

*Victor Barbara*

*Bez bólu*

*Historia Maggie Sommers, wyzwalającej się z okowów nieudanego małżeństwa, rozpoczynającej pracę zawodową i osiągającej sukces w jednej z amerykańskich sieci telewizyjnych, która po latach samotnego, podporządkowanego kariery życia poznaje wreszcie smak prawdziwej miłości.*

## *Prolog*

*Jest* 1982 rok. Zacięte walki toczące się od dwóch miesięcy w Libanie między Palestyńczykami, Libańczykami i Izraelczykami powodują cierpienia, których skala jest dla mnie nie do ogarnięcia. Siedzę na ziemi gdzieś w pobliżu obozu dla uchodźców w Sabrze i przeglądam kartę gwarancyjną walkmana Joe Valeriego. Przeróżliwe krzyki kobiet i dzieci mieszają się z jękami chorych i rannych oraz monotonnym warkotem buldożerów zgarniających ciała zabitych. Przebywam na Bliskim Wschodzie już od roku jako korespondentka amerykańskiej sieci telewizyjnej, lecz mimo to wciąż nie potrafię zrozumieć, dlaczego ta wojna jest tak brutalna. A przecież jestem tu właśnie po to, by komentować tę rzeź, obozy dla uchodźców zamienione w gruzy przez bombardowania i ostrzał artyleryjski - aby relacjonować stopniowy rozpad społeczeństwa, ukazywać dramat ludzi, którzy kiedyś prowadzili zwykłe, codzienne życie. Dzień w dzień staję przed kamerą, na tle palestyńskich dzieci, z rozszerzonymi oczyma błędzących po rumowisku i próbujących wygrzebać resztki dobytku spod sterty gruzu, która dawniej była ich domem.

Kochany, przestraszony Joe Valeri, chłopak odpowiedzialny za stronę dźwiękową moich korespondencji z tych rozdartych wojną rejonów Libanu, przysłuchuje się, jak monotennie odczytuję kolejne punkty i podpunkty wyszczególnione w karcie gwarancyjnej. Ponagla mnie, żebym czytała dalej i głośniej, gdyż mój głos odwraca jego uwagę od rozdzierających okrzyków bólu i rozpaczających ze wszystkich stron. Podejmując czytanie w miejscu, gdzie mowa o dożywotniej gwarancji, na chwilę podnoszę wzrok i spostrzegam, że Joe nie ma już głowy. Z chwilą gdy słowa „dożywotnia gwarancja” spływają mi z ust, uświadamiam sobie, że mój dźwiękowiec nie żyje. Szczątki tego, co przed ułamkiem sekundy było jego głową, walają się po ziemi i oblepiają mój biały podkoszulek. Nie jestem nawet w stanie krzyknąć. W głowie mam kompletną pustkę, nic nie rozumiem, zupełnie jakbym nagle straciła zdolność kojarzenia.

- Dożywotnia gwarancja — powtarzam w kółko, jak zacięta płyta, aż wreszcie "ktoś wsuwa mi ręce pod pachy i dźwiga mnie z ziemi. Jakaś zamazana postać w mundurze odciąga mnie od Joego. Spoglądam w dół i widzę, że jestem cała pokryta strzępami ludzkiego ciała, ciała Joego. Zamazana postać w mundurze przybiera kształt — znajomy izraelski generał mocno przyciska mnie do siebie i gładzi po głowie. Kryję twarz na jego ramieniu, nie mogąc zebrać myśli, a potem nagle staje mi w oczach migawka z wieczornego dziennika. Wejdę na antenę tak jak jestem, zbryzgana krwią i strzępami ciała Joego. Zobaczcie, co zrobiliście z moim dźwiękowcem — wy, którzy domagacie się relacji o ludzkich cierpieniach, tylko po to, by zobaczyć makabryczne zdjęcia i przeżyć dreszczyk emocji. W ogóle nie pojmujecie, o co chodzi w tej bezsensownej wojnie i macie to gdzieś. Walkman Joe Valeriego ma dożywotnią gwarancję. Dlaczego? Czyżby Joe pozostawił testament? „Ja, Joe

Valeri, niniejszym pozostawiam swoją dożywotnią gwarancję mojej dobrej znajomej Maggie Sommers, ponieważ zakończyłem życie dość raptownie niedaleko obozu Sabra w Libanie, gwarancja zaś zachowa ważność przez jakieś czterdzieści lat".

Parę godzin później, w barze hotelu Commodore w Bejrucie, stałe grono dziennikarzy siedzi przy jednym ze stolików pijąc na umór. Izraelski generał jest nadal przy mnie - człowiek, którego znam przelotnie od początku wojny. Dłoń Aviego Herzoga dyskretnie spoczywa na moim ramieniu. Prawie nie czuję jego dotyku. Moją uwagę pochłania dotkliwy ból, który odczuwam gdzieś w środku, choć nie potrafię go umiejscowić. Raptem docierają do mnie głosy, chyba skierowane do mnie. - Paskudna historia z tym Valerim, no nie? Rozwaliło mu głowę. Przypadkowy granat i już po nim — zauważa ktoś pstrykając palcami. Ręka Aviego mocno zaciska się na moim ramieniu.

Później, już sama, obgryzając paznokiec i patrząc w łuszczący się sufit obłany nikłym światłem żarówki, przypominam sobie swoją pierwszą i jedyną sesję z psychiatrą. Trzydzieści z pięćdziesięciu pięciu opłaconych minut upłynęło w zupełnym milczeniu, przerywanym jedynie odgłosem mojego stłumionego łkania.

- Czego właściwie chcesz od życia, Maggie? — zapytał.

— Chcę być szczęśliwa — odparłam po prostu.

Nie wahał się ani chwili. Pochylając się naprzód powiedział: — Nie mogę obiecać ci szczęścia, ale jeśli zachowasz godność, mogę ci gwarantować w miarę bezbolesną egzystencję.

## *Rozdział 1*

Było niedzielne popołudnie w czerwcu 1969 roku. W imponującej sali balowej hotelu Pierre wyleciało ze złoconych klatek siedemnaście białych gołębi. Mój ślub z Erykiem Ornsteinem był nie tylko ważnym wydarzeniem towarzyskim, lecz również gwarancją, że mój ojciec zachowa lukratywną pozycję radcy prawnego w prestiżowym domu maklerskim Ornstein i Ornstein przy Wall Street. Cała sala tonęła w kwiatkach w dniu, gdy szłam między tłumem gości, trzymając ojca pod rękę. -

Uśmiechnijże się, Maggie - mruknął. — To wszystko kosztowało dwadzieścia tauzenów.

Czuł się rozgoryczony. Nigdy nie wybaczył mi słabych ocen, szminki, którą kiedyś gwizdnęłam ze stoiska z kosmetykami w domu towarowym, ciąży, z powodu której musiałam potajemnie wyjechać do San Juan, ubrana w gigantyczne ciemne okulary i wojskową kurtkę khaki - na znak protestu przeciwko wojnie w Wietnamie, lecz również przeciw temu, co miano ze mną zrobić. W mojej pamięci nie zatarła się jeszcze klinika dla kobiet na przedmieściu San Turce i lekarz o prosięcej twarzy, który

po pośpiesznym badaniu kazał sobie płacić z góry, po sto dolarów od tygodnia nie chcianego płodu. Byliśmy już z ojcem w połowie sali, kiedy raptem szepnął: - Jesteś naprawdę zdecydowana, Maggie? — Na mgnienie oka zaświtała mi nadzieja, że zawrócimy do wyjścia i będziemy udawać, że to wszystko nigdy nie miało miejsca. Ale, niestety, stwierdził tylko, że namiętność wygasa szybko, bardzo szybko, toteż radzi mi zawczasu pomyśleć o zabezpieczeniu na przyszłość, zwłaszcza że mam wyraźną tendencję do tycia. Mężczyzna, który dał mi życie, przypuszczalnie bez szczególnej namiętności, uroczyście oddawał mnie pod baldachimem ślubnym człowiekowi, który, jak wierzyłam, zamierzał przywłaszczyć sobie moją duszę.

Skupiłam uwagę na chupie - baldachimie ślubnym — ponieważ w moich myślach panował kompletny zamęt. To wszystko nie miało sensu - mój żydowski ojciec, prawosławna matka, ja ochrzczona w kościele episkopalnym, a teraz jeszcze to: rytualna chupa! Gdy tak stałam pod bogato zdobionym baldachimem, stanowiącym nieodłączny element ortodoksyjnej żydowskiej ceremonii ślubnej, zauważyłam mimochodem, że w życiu nie widziałam czegoś tak pretensjonalnego. Białe girlandy, przeplatane kwitnącymi pędami gipsówki i delikatnymi pączkami róż, upięto misternie na siedemnastowiecznej tkaninie haftowanej w małe cherubiny przyskające wodą w otwarte usta pulchnych dziewoi. Ten symboliczny dach, nie kojarzył mi się jakoś z czteropokojowym mieszkaniem pana Ornsteina juniora, z obszerną kuchnią i widokiem na Gracie Mansion — moim nowym domem.

\* chupa - symboliczny dach, pod który, wg tradycji żydowskiej, oblubieniec wprowadza oblubienicę - przyp. tłum.

Eryk ujął moje ramię i ścisnął je znacząco. Ten stojący obok obcy mężczyzna, którego nazwisko widniało już w moim paszporcie, miał lepkie ręce. Kiedy podniosłam na niego wzrok, przemknęło mi przez myśl, że byłoby lepiej, gdybyśmy nie mieli ze sobą córek, a jeśli już, to żeby nie odziedziczyły jego nosa. Chciałam krzyknąć, że zaszła jakaś straszna pomyłka, ale rabin zaczął już mówić po hebrajsku. A może później będę mogła zażądać unieważnienia aktu ślubu, twierdząc, że nie rozumiałam o czym mowa? „Gdybym wiedziała o co chodzi, Wasza Wielbność, gdybym rozumiała, że to już na zawsze, w żadnym wypadku nie stałabym pod tym baldachimem, podczas gdy gołębie trzepotały się w klatkach zawieszonych pod sufitem, a ich odchody kapwały na ziemię niebezpiecznie blisko matki Eryka. I jeszcze coś, Wasza Wielbność: jestem protestantką”.

Niewykluczone, że na moment straciłam przytomność, bo zupełnie niespodziewanie było już po wszystkim i usłyszałam, jak rabin mówi coś o mężu i żonie. Dotarło do mnie, że jeszcze przed paroma sekundami mogłam zwyczajnie odwrócić się na pięcie, przeprosić zebranych i odejść, gdzie mi się podoba, ale teraz jest już po herbacie. Może nawet się nie roztyję, lecz i tak od tej chwili niejaki Eryk Ornstein będzie decydować o każdym moim kroku. Byłam nieodwołalnie skazana na życie bez namiętności.

Eryk mocno objął mnie w pól, drugą zaś ręką zaczął gmerać w fałdach mojego welonu. Moja siostra Cara, jego współpracowniczka, złapała mój koronkowy tren i próbowała odgarnąć na bok zasłonę z białego tiulu, aby małżonek mógł mnie pocałować jak należy. Moja rodzona siostra, zdrajczyni,



mężatka z jednym dzieckiem i drugim w brzuchu. Cieszysz się z mojego nieszczęścia, podła. Że mnie też to spotkało — myślałam, wywijając się jej zwinnym palcom i próbując uwolnić ramię z jej mocnego uścisku. — Maggie — szepnęła nagle — wszyscy czekają, żebyś go pocałowała, wypłacz się jakoś.

Wilgotne usta Eryka przywarły do moich; zacisnęłam je z całej siły, w obronie przed jego językiem. Wszyscy czekali. Nagle poczułam się aktorką: kandydowałam do Oscara, cała moja kariera zależała od tej jednej sceny. Odrzuciłam welon, lekko wstrząsnęłam głową i moje włosy, zwinięte dotąd w węzeł na karku, opadły kaskadą na plecy. Niech mają czego chcą — pomyślałam i namiętnie pocałowałam w usta mojego świeżo poślubionego męża. Tłum wiwatował. „Gorzko, gorzko!”.

Oczywiście wyobraźni ujrzałam, jak ściagam suknię ślubną, metodycznie rozsznurowuję gorset, dziurka po dziurce, aż jestem kompletnie naga, jeśli nie liczyć podwiązek, białych ażurowych pończoch i białych, obciągniętych jedwabiem szpilek. Położywszy się na ziemi opieram nogi o pulpit, rozsuwam kolana i przyglądam się gołębiom, które niespokojnie kołują pod sufitem sali balowej. Kopulujemy pod chupą. Oszalali z podniecenia goście klaszczą w rytm gwałtownych ruchów Eryka, podczas gdy piramida z lodów topi się z wolna, skapując na pasztet z wątróbek.

Moja fantazja dobiegła końca. Z włosami w nieładzie, wolno ruszyłam ku wyjściu między szpalerem gości, trzymając Eryka pod ramię. Mała córeczka Cary i jakaś nie zidentyfikowana grubaska reprezentująca klan Ornsteinów podtrzymywały mój długi tren. W pewnym momencie musiały chyba nastąpić na skraj sukni, bo dobiegł mnie trzask rozrywanej

tkaniny, ale to było bez znaczenia. I tak nie miałam już więcej nosić tej sukni.

Moja matka spełniła to, co uważała za swoją misję życiową: wydała obie córki za dwóch niczego nie podejrzewających zamożnych Żydów. Państwo Sommersowie zapomnieli o moim chrzcie w kościele świętego Andrzeja, nie napomknęli o tym, że rodzina mamy uczestniczyła w pogromie klanu Ornsteinów w carskiej Rosji i nie spytali ani razu, czy Maggie ma ochotę wyjść za tego człowieka. Orkiestra pod dyрекcją Petera Duchina grała *Fascination*, gdy wreszcie skończyliśmy odbierać powinszowania. Kiedy po raz pierwszy tańczyliśmy ze sobą jako mąż i żona, Eryk, przyciskając mnie mocno do siebie i dysząc mi nad uchem, wyszeptał: - Dziś w nocy będę cię pieprzyć, aż ci zrobię wodę z mózgu.

Wszyscy przyglądali nam się z aprobatą, a my udawaliśmy, że tańczymy. Mama ze swoimi diamentami, ojciec ze swoim lichym cygarem, matka Eryka z nieustającą zgagą, jego ojciec z lubieżnym uśmiechem na twarzy oraz przyjaciele obu rodzin — filary miejscowej gminy żydowskiej, wspólnie świętujący coś, co mnie wydawało się złym snem. Był tam nawet partner taty do gry w tenisa — ambasador Tajlandii, który tego roku głosował przeciw Izraelowi na forum ONZ; wysłanie mu zaproszenia było demokratycznym gestem ze strony rodziny Sommersów. Innym demokratycznym gestem było posadzenie Jonesie, naszej ukochanej czarnej służącej, z przodu sali bankietowej. W taki właśnie sposób ja, dwudziestojednoletnia Marguerite Sommers, świeżo upieczona absolwentka wydziału literatury angielskiej, mająca aspiracje, by zostać dziennikarką, wyszłam za mąż za człowieka, który nie tylko chciał

mojego ciała, lecz również zdecydowany był zniszczyć mój mózg.

Dwa dni później przybyliśmy z Erykiem do Monachium, skąd mieliśmy rozpocząć nasz miesiąc miodowy - zorganizowany objazd europejskich obozów koncentracyjnych. Siedząc w pokoju hotelowym pierwszego ranka po przyjeździe, myślałam o okropnościach, które Eryk zamierzał mi pokazać i zastanawiałam się, czemu właściwie zgodziłam się na ten pomysł. Chrupiąc ciastka i popijając *Kaffee mit Schlag* nie mogłam się nadziwić gruboskórności mężczyzny, z którym teraz dzieliłam łazienkę. Było mi wstyd, że nie zaprotestowałam przeciwko tej decyzji, co więcej - nawet nie przyszło mi do głowy, żeby spróbować.

Eryk nie zdołał jak dotąd swoim pieprzeniem zrobić mi wody z mózgu, gdyż nie straciłam jeszcze zdolności mniej więcej logicznego myślenia. Zarazem jednak, penetracja mojego ciała, jakiej systematycznie dokonywał, pozostawała dla mnie tylko nieprzyjemnym, lecz krótkotrwałym doznaniem, porównywalnym z badaniem przez doktora Drysdale'a, który dwa tygodnie wcześniej dopasowywał mi diafragmę. W odpowiedzi na moje okrzyki bólu, Drysdale posłużył się wziernikiem do badania dziewic — jeszcze jedna blaga, bo przecież aborcja figurowała czarno na białym w dokumentacji lekarskiej. Jediną odpowiedzią Eryka na moje okrzyki bólu było przyspieszone sapanie i dziwne rżenie sygnalizujące, że już za chwilę strumień jego plemników uderzy w gumową przegrodę diafragmy doktora Drysdale'a. - Dobrze było, kochanie? - pytał mnie za każdym razem (dokładnie mówiąc, sześć razy).

— Co znaczy „dobrze”, Eryku? Skąd mam wiedzieć, nie miałam innych doświadczeń seksualnych, prócz tego razu ze Skipem Hillingworthem, jeszcze w college'u.

— A co się zdarzyło ze Skipem?

— To było po wiecu protestacyjnym przeciwko wojnie w Wietnamie, tańczyliśmy przy Platter-sach...

— Dlaczego? — wtrącił Eryk.

— Bo śpiewali *I am the Great Pretender*.

— Nie — przerwał mi ponownie. — Po jaką cholerę poszłaś na ten cały wiec?

Na tym zakończyliśmy rozmowę i już nigdy nie opowiedziałam mu, jak okropnie wzburzeni byliśmy tą wojną, jak bardzo rozwścieczeni polityką władz uczelni i jak strasznie pijani tanią sangrią ze splekanej wazy, w której pływały nadpsute owoce. Wydawało mi się, że robię coś najnaturalniejszego w świecie, gdy szłam za Skipem na trzecie piętro jednego z harwardzkich akademików, do jego ciasnego pokoju, gdzie łagodnie ułożył mnie na swoim małym, nie posłanym łóżku. Skłamałabym mówiąc, że nie miałam pojęcia, na co się zanosi, ale z pewnością nie rozumiałam, że „wpuszczenie go ociupinkę” może okazać się najzupełniej wystarczające. Dwa miesiące później wyjechałam do Puerto Rico, a Skip obronił pracę magisterską. Rok później ledwie go poznałam, kiedy przypadkowo spotkaliśmy się w dziale pasmanterii u Bloomingdale'a. Zdążyłam już prawie zapomnieć, że to właśnie jego dziecko zamordowałam tamtego deszczowego poranka w Puerto Rico.

Eryk, z rącznikiem owiniętym dokoła bioder, wyszedł z łazienki, gdzie przed chwilą brał prysznic, i usiadł w fotelu. Pierś i ramiona porośnięte miał

czarnymi kręconymi włosami, śniada skóra lśniła pod wpływem gorącej wody, a na twarz wystąpiły mu czerwone placki. Przyglądając się mojemu mężowi, mogłam przyznać obiektywnie, że gdyby tylko miał trochę krótszy nos i coś na kształt podbródka, nie byłoby jeszcze tak tragicznie. Najgorsze było to owłosienie... Energicznie zatarł ręce i zaczął pochłaniać śniadanie. Siedziałam z podwiniętymi nogami, otulona w różowy jedwabny szlafroczek, który rozchyłał się nieznacznie na piersiach, ilekroć sięgnęłam po coś stojącego na tacy.

— Nie przesadzaj z tymi ciastkami, bo zanadto utyjesz — przestrzegł mnie, a potem dorzucił: — Czy dałabyś radę szybko się zebrać? Chciałbym zdążyć do Dachau, póki jest dobre światło.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem i ponownie zadałam sobie pytanie, dlaczego Dachau znaczyło więcej dla mnie — podrabianej Żydówki — aniżeli dla mojego męża, ortodoksyjnego Żyda. Ale gdyby Eryk rozumiał, jak niewłaściwe jest traktowanie Dachau jako atrakcji turystycznej, z pewnością pozostałby moim mężem do końca życia.

— Idę się wykapać — oznajmiłam przeciągając się.

Eryk przyglądał mi się tym szczególnym wzrokiem, który oznaczał, że już za moment znajdę się twarzą do sufitu — ryba wyjęta z wody, schwytana flądra. Skuliłam się próbując ukryć piersi — zdeklarowaną słabość Eryka — lecz on nie dał się nabrać. Chwycił mnie za nadgarstek, pociągnął w kierunku łóżka i pchnął na poduszki. Wymruczawszy coś niezrozumiałego, zaczął gładzić mnie po piersiach, po czym wetknął sobie do ust jeden z sutków, polecając jednocześnie, bym wzięła do ręki jego sterczący narząd. Nie protestowałam, gdyż sprzeciw wymagał więcej energii niż współudział w jego zamachu na moje ciało. Poczulałam, że jego interes - jak go nazywał. - zaczyna pulsować w moim uścisku.

— Puść — rozkazał — albo to się stanie za szybko.

Ja jednak nie przestawałam go masować, ponieważ, nawet przy swoim niewielkim zasobie doświadczenia, zdążyłam się zorientować, że „to” oznacza święty spokój. Potem, już w chwili gdy poczułam go w sobie, przypomniałam sobie nagle, że zapomniałam założyć diafragmę.

— Stój! — krzyknęłam. — Poczekaj, zajdę w ciążę!

— Nieważne — sapnął w odpowiedzi. — Możemy mieć dziecko, stać mnie na to. — I w krótkim czasie, jaki mu jeszcze pozostał do orgazmu, przeprowadził szybką kalkulację kosztów posiadania dziecka, wliczając w to sukienki ciążowe, opłatę za szpital, ubezpieczenie, pielęgniarkę na pierwsze sześć tygodni oraz chesne za porządną prywatną szkołę i college.

Jak do tego doszło? Próbowałam mu się wymknąć kuląc się i garbiąc, ale i tak zdołał mnie zapłodnić w hotelu Pod Trzema Ostrygami w Monachium. Włokąc się do łazienki, czułam na udach ciepłą wilgoć i wiedziałam, że moje nadzieje na ucieczkę od życia, jakie czekało mnie u jego boku, legły w gruzach. Czułam, że jestem w ciąży. Wchodząc do wanny miałam niezbitą pewność, że zasiało się we mnie nowe życie. Choć szorowałam się zapamiętale, nie miałam szans na powstrzymanie tysięcy plemników, które zapamiętale płynęły pod prąd, by schwytać moją komórkę jajową. Desperacja, którą odczuwałam w tamtej chwili, była jeszcze większa

niż rozpacz, z jaką parę dni wcześniej słuchałam rabina podczas ceremonii w hotelu Pierre.

Eryk pogwizdywał coś fałszywie, gdy na golasa wróciłam do pokoju - odważnie, bo i tak było już za późno. Stanął za mną i uśmiechnął się do mojego odbicia w lustrze: - Pośpiesz się, Maggie. Taksówka, którą zamówiłam do Dachau, już czeka.

Wtedy właśnie - po raz pierwszy, lecz nie ostatni w naszym małżeńskim pożyciu - stanęłam okoniem.

- Ja nie jadę.

- Jak to, nie jedziesz? Wszystko załatwione.

- To okropne, robić sobie z czegoś takiego rozrywkę - miesiąc miodowy. Nie mogę.

- Zrobisz to, czego ja chcę - odpowiedział. — Stanowimy jedno.

Mylił się. To on był numerem jeden. Ja wciąż jeszcze byłam zerem.

- Maggie - mówił jękliwie. - Chciałem ci tam zrobić zdjęcia na pamiątkę.

Ciekawe, komu sąd przyzna te fotografie podczas naszej sprawy rozwodowej, pomyślałam. „To był mój aparat fotograficzny” - zaznaczy Eryk bez wątpienia. „Tak, ale ten przylepiony uśmiech na twarzy widocznej na tle pomnika należy do mnie”. Będziemy walczyć na noże o każdy drobiazg, aż do ostatniej szklanki pozostałej w kuchennym kredensie. To dziwne, lecz mimo instynktownej pewności, że zaszłam w ciążę, nie przewidywałam bitwy o przyznanie praw rodzicielskich. W jakiś sposób już wtedy wiedziałam, że tego dziecka nigdy nie będzie.

Tamtego dnia pojechał sam do Dachau, a ja zostałam w pokoju hotelowym i usiłowałam poskładać w całość fragmenty mojego życia, które pozwoliłyby mi wyjaśnić, w jaki sposób mogło dojść

do tego wszystkiego. Przypominałam sobie wielki dom na Long Island, gdzie spędzałam wakacje jako dziecko — wtedy wszystko wydawało się takie proste. Mama urządzała wystawne przyjęcia pod gołym niebem, zawsze wysyłała te urocze zaproszenia — „Summers at the Sommers” („Lato u Sommersów”). Właśnie parę godzin przed jedną z tych imprez odbyła się jedna z ich słynnych kłótni. A może jednak mimo wszystko moje dzieciństwo nie było takie proste.

Cara i ja siedziałyśmy na patio na tyłach kuchni i jadłyśmy kanapki pod wielkim pasiastym parasolem, podczas gdy mama i ojciec kłócili się zawzięcie wewnątrz domu. Kanapki ułożone były starannie na owalnym półmisku stojącym pośrodku stołu z drewna sekwoi. Spomiędzy okrojonych ze skórki kromek, zwykłego w naszym domu wiejskiego chleba, wyzierały plastry żółtego sera, różowe płatki tuńczyka, galaretka i masło fistasz-kowe. Cara wydawała się bez reszty pochłonięta zlizywaniem galaretki z brzegów swojej kanapki. Z pojedynczych gniewnych słów, które udało mi się dosłyszeć, zorientowałam się, że chodzi o sekretarkę z kancelarii adwokackiej ojca. Mama groziła, że odejdzie, jeśli ojciec nadal będzie to robić — cokolwiek by to miało oznaczać. Jak zauważyłam, na nasz temat nie padło ani jedno słowo. Hej, tam! — miałam ochotę zawołać. — A co z nami? Przeraziła mnie ta tajemnicza nieznajoma, która niespodziewanie wtargnęła w moje życie. Zerkając na Carę zauważyłam, że wciąż jeszcze metodycznie obgryza kanapkę w kółko



- teraz pozostał już tylko niewielki krążek, prawie bez galaretki i masła fistaszkowego.
  - Cara - szepnęłam - słyszałaś?
  - Tak. I co z tego? - odparła. Wetknąwszy do ust resztę chleba, zaczęła dłubać wskazującym palcem w swoim aparacie do regulacji zgryzu, w którym zostało trochę masła fistaszkowego. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, że Cara cierpi nie mniej ode mnie
  - była równie wystraszona jak ja, tyle że radziła sobie z tym strachem w inny sposób. Nie pomagałyśmy sobie wzajemnie, bo nie było nikogo, kto mógłby nas tego nauczyć. Miałam właśnie zamiar sięgnąć po drugą kanapkę z tuńczykiem, kiedy mama potykając się wyszła przez drzwi od kuchni. Ojciec wyszedł za nią.
  - Durna sziksa! - wrzasnął.
  - Kocham cię, mamó - powiedziałam odruchowo.
- Oślepią łzami pobiegła w kierunku kortu tenisowego, nie obejrzała się ani razu. Ojciec usiadł przy naszym stoliku, a Cara, ku mojemu zdumieniu, jakby nigdy nic zagadnęła go o plany na drugą połowę wakacji.
- Ale walka o przetrwanie była stałym elementem życia rodzinnego Sommersów - tam każdy patrzył, jak ratować własną skórę.
- Pozwolisz mi chodzić do klubu na lekcje tenisa?
  - Tak - odpowiedział ojciec z roztargnieniem. W tym momencie ja się wtrąciłam, bo w wieku dziewięciu lat nie orientowałam się jeszcze zbyt dokładnie w zawiłościach stosunków męsko-damskich.
  - Dlaczego się kłócicie, ty i mama?
  - Nie kłócimy się - warknął. - Dorosłym zdarzają się nieporozumienia - to nie kłótnie.

— Ale co to znaczy sziksa? — pytałam dalej.

— Sziksa — odparł bez chwili namysłu — to ktoś, kto jest głupi.

Mimo że miałam dopiero dziewięć lat, ani jedna, ani druga odpowiedź nie wydała mi się przekonująca. Wiele lat później jednak przekonałam się, że byłam w błędzie: dorosłym istotnie często zdarzają się nieporozumienia, a dla ludzi takich jak mój ojciec „sziksa” istotnie znaczy „głupia”.

\* \* \*

Kiedy tamtego wieczoru Eryk nie wrócił na kolację do hotelu, pochwycił mnie ten sam dławiący strach, który pamiętałam z dzieciństwa — powracał co wieczór, gdy ojciec przekręcał klucz w zamku, by znowu wkroczyć w moje życie. Nigdy nie wiedziałam, co może się zdarzyć, ani kiedy wybuchnie awantura. Przypominałam sobie wszystko, co wycierpiałam przez niego — mojego ojca, który uważał się za Żyda, kiedy było mu to na rękę, a przestawał nim być, gdy tylko znalazł się w towarzystwie zubożałych, lecz utytułowanych Rosjan, w kręgu których obracała się mama. Był Żydem, gdy ostentacyjnie rzucał pieniądze na tacę podczas balów dobroczynnych, siedząc w gronie swoich szacownych kolegów z nowojorskiej palestry. Zapominał o swoim żydostwie, kiedy odwiedzał bogatych klientów, naftowych krezusów z Teksasu, którzy jowialnie klepali go po plecach na zakończenie antysemitycznych kawałów.

Wszystko to miało jakiś związek z tym, co przeżywałam jako dziecko w ekskluzywnej, pilnie strzeżonej kamienicy przy Piątej Alei. Rosłam w otoczeniu portierów i windziarzy, których nauczyłam się nie

poznawać na ulicy, gdy nie mieli na sobie munduru. Uważałam ich za istoty stworzone do usługiwania ludziom bogatym, takim jak nasza rodzina i inne nam podobne, i wstydziłam się, kiedy pozdrawiali mnie na Madison Avenue. Niemniej jednak spędzałam w ich towarzystwie znacznie więcej czasu niż pozostali lokatorzy, a mianowicie te wszystkie noce, gdy ojciec za karę nie wpuszczał mnie do mieszkania, ilekroć wróciłam do domu później niż mi nakazał. Drzemałam na podartej skórzanej kanapie w holu wraz z nocnym portierem - świadkiem mojego upokorzenia i hańby - póki słońce nie zaczynało wypływać z nad szczelnie zamkniętych gmachów stojących naprzeciw Central .^arku. Czy miałam tłumaczyć Otisowi, że w mojej sferze jest przyjęte, by dziewczyna siedziała w holu przez całą noc? Czy miałam go przekonywać, że to lekcja pokazowa na jego użytek: aby mógł się naocznie przekonać, jak bogacze traktują swoje potomstwo? Otis ze strapioną miną przyglądał się, jak siedzę skulona w rogu kanapy. Kręcąc głową obierał pomarańczę wyjętą z papierowej torebki, którą naszykowała mu żona. Czasem częstował mnie pomarańczą, a nawet czekoladowym batonikiem i zagadywał przyjaźnie, dopóki ojciec nie zadzwonił i me polecił, by wysłał mnie na górę. Na górę, zanim nadejdzie listonosz ze swoją wielką skórzaną torbą i zobaczy mnie w holu, bladą i ścierpniętą. Do domu, mm zauważy mnie portier przychodzący na ranną zmianę, który mógłby narobić plotek na nasz temat. Nieraz zadawałam sobie pytanie, co było większym okrucieństwem ze strony ojca: traktowanie nocnego portiera jak najniższej formy życia, czy to, że zatrzaskiwał młodszą córkę drzwi przed nosem, ponieważ spóźniła się dziesięć minut ze szkolnej potańcówki.

Czekając na powrót Eryka tamtego wieczoru w Monachium, doszłam do wniosku, że stosunek ojca do mnie był odbiciem jego tajonej udręki - tyle już wiedziałam, kiedy wreszcie dorosłam i zostałam panią Ornstein. Ale jak mogłam opowiedzieć Erykowi - człowiekowi, który kupił szykowną fasadę mojej zamożnej, snobistycznej rodziny — o wewnętrznym rozdarciu pozłacanej dziewczyny, którą wziął za żonę? Właśnie w tamtym momencie po raz pierwszy nawiedziła mnie wizja, która miała mnie prześladować przez wszystkie lata naszego małżeństwa. Przed oczami stanęła mi kamienna płyta z wyrytym napisem: „Tu spoczywa Marguerite Sommers, Ukochana Małżonka Eryka Ornsteina". Później zwrot ten zaczął mi się kojarzyć z pośmiertnym hołdem, wtedy oznaczał po prostu Koniec. Już wówczas jednak wiedziałam, że chcę być czymś więcej niż tylko ukochaną małżonką. Z wolna wszystko stawało się dla mnie jasne. Odkąd pamiętam, funkcjonowałam jak maltretowane dziecko, które broni swoich rodziców, nie chce się przyznać, że to właśnie oni bezlitośnie posiniaczyli jego słabe, bezbronne ciało. Te nieustanne bitwy, jakie staczałam z ojcem, usiłując zarazem wierzyć w czystość jego intencji, łudząc się, że w gruncie rzeczy chodzi mu tylko o moje dobro. A matka, z właściwym sobie chłodem, nigdy nie ukrywała przede mną swojej obojętności i dezaprobaty. Biedny Eryk Ornstein. Dokładnie to powiedziałam mu, kiedy wreszcie wrócił. Ale on nie zrozumiał, o co mi chodzi.

— Biedny Eryk.

Spojrzał na mnie zdezorientowany, wciąż jeszcze z ręką na klamce.

— To niesprawiedliwe, prawda? - spytałam miękko.

— Na świecie jest wiele niesprawiedliwych rzeczy, Maggie — odpowiedział po dłuższej chwili. — Ale to, że uznałaś za stosowne nie-towarzyszyć mi podczas naszego miodowego miesiąca, jest w moim pojęciu zachowaniem niedopuszczalnym.

Aczkolwiek Eryk po pewnym czasie zaniechał zwiedzania pozostałości mrocznego okresu historii, ja nadal przeżuwałam wspomnienia z mojego mrocznego dzieciństwa. W końcu wylądowaliśmy w hotelu Connaught w Londynie i to pierwsze wrażenie zaważyło w sposób decydujący na moim stosunku do tego miasta. Czułam się tam intruzem w ekskluzywnym męskim klubie, gdzie gęsty dym z cygar, kieliszki z brandy i finansowe rubryki gazet odgradzały mnie od tego, co stanowiło istotę życia Eryka. Przyjechał do Londynu w interesach i dał mi wyraźnie do zrozumienia, że w godzinach rannych i popołudniowych powinnam sama organizować sobie czas. Właśnie podczas jednej z tych bezcelowych wędrówek po mieście weszłam do Scotch House w poszukiwaniu tradycyjnej szkockiej spódniczki i spotkałam Qu-incy Reynolds.

Była moim dokładnym przeciwieństwem: drobniutka, rudowłosa i piegowata, o iskrzących się zielonych oczach i cieniutkim głosiku. Pod tymi pozorami krył się twardy, żelazny wręcz charakter. Quincy była żywym dowodem na to, że człowiek jest w stanie przeżyć wszystko. Pochowała dziecko, które urodziło się z nieuleczalną, postępującą chorobą - to ona podjęła decyzję o odłączeniu respiratora, kiedy jej synek leżał w stanie śpiączki od sześciu tygodni. I, jakby tego było mało, mąż rzucił

ją dla jakiejś przypadkowo poznanej w samolocie kobiety, tuż po tym, jak poroniła następne dziecko. Quincy uważała życie za tor przeszkód i dobrze sobie radziła. Udało jej się wybić na pozycję jednej z najlepszych agentek w branży telewizyjnej. Pracowała wraz z mężem, znanym księgowym, a przy tym człowiekiem dostatecznie mądrym, by rozumieć, że żal wyrabia z ludźmi różne dziwne rzeczy. Rozumiał jej zachłanną potrzebę sprawdzenia się w pracy, odniesienia sukcesu za wszelką cenę, czasami nawet kosztem wszystkiego innego. „Reynolds i Perry” - głosił napis na drzwiach ich biura, a pod spodem ktoś dopisał szminką: „Na Zawsze”. Ani Quincy, ani Dan nigdy tego nie zmyli. Quincy twierdziła, że można znieść wszystko, jeśli tylko zachowa się poczucie humoru. Właśnie to zbliżyło nas do siebie tamtego dnia, wśród stert przecenionych szetlandów i kaszmirowych kardiganów. Grzebiąc w swetrach rozłożonych na jednym ze stołów, rozmyślałam nad moim małżeństwem. Eryka znużył już mój brak entuzjazmu wobec wszystkiego, co oferował mi w nagrodę za to, że zgodziłam się za niego wyjść. Ze łzami w oczach uświadomiłam sobie, że nasze małżeństwo już okazało się fiaskiem. Przestał mnie nawet pytać, czy „było dobrze”, zrozumiawszy, że raczej toleruję jego miłosne zapały, aniżeli ich pragnę. Quincy spostrzegła mnie natychmiast. Udając, że nie widzi mojej zalanej łzami twarzy, zauważyła: — Klaczą się. Zerknęłam na jej lewą dłoń i stwierdziłam z ulgą, że nosi lśniącą złotą obrączkę. Miała męża, co w moich oczach stanowiło potwierdzenie jej kobiecej wartości.

Widząc, że nie odpowiadam, dodała: - Nikt nie jest wart tego, żeby dla niego płakać.

— Skąd pani wie, że to ktoś, a nie coś?

— Bo tylko ktoś jest w stanie sprawić, by kobieta płakała, kiedy takie kaszmiry można dostać za pół ceny. — Uśmiechnęła się.

— Co się kłaczy?

W pierwszej chwili nie zrozumiała. - Te kaszmirowe swetry - odparła po chwili. - Lepiej kupować wełnę z domieszką tworzyw sztucznych.

Jednocześnie parsknęłyśmy śmiechem, razem przeszłyśmy między stoiskami z mieszankami, minęłyśmy akryłowe kamizelki, a wreszcie wyszłyśmy na dwór, żeby się czegoś napić. Znalazłyśmy małą kawiarenkę, usiadłyśmy przy stoliku i zaczęłyśmy gawędzić.

— Co robisz w Londynie? — spytała.

— Jestem w podróży poślubnej. Dopiero co przyjechaliśmy z... - Zamilkłam, bo wstydziłam się jej powiedzieć, jak Eryk opracował trasę naszej podróży poślubnej.

— Płakałaś przez niego, czy dlatego, że ta sytuacja jest dla ciebie taka nowa?

— Chyba po prostu nie byłam na to przygotowana. A teraz mam wrażenie, jakby nie czekało mnie w życiu nic innego: widzę już ten napis na nagrobku.

Quincy musiała zrozumieć, bo nawet nie spytała, co mam na myśli.

— Jestem tu z klientem — poinformowała mnie, mieszając napój słomką. - Jestem agentką telewizyjną, a mój klient kręci film dokumentalny o zamku w Windsorze. Wszyscy mówili, że nic z tego nie będzie, bo różne ekipy od lat starają się o pozwolenie.

Byłam zafascynowana. Nigdy dotąd nie spotkałam kobiety, która nie tylko nosiła obrączkę, lecz również miała pracę.

- Miałam w związku z tym mnóstwo przykrości

- mówiła dalej. - Udało mi się uzyskać zgodę rodziny królewskiej, zaciągnęłam mojego klienta do tutejszego studia ABN, a tam jakiś bydlak z zarządu wsiadł na mnie i przez całą godzinę musiałam wysłuchiwać jego bredni.

- Nie rozumiem - zdziwiłam się.

- To proste. Był zazdrosny, wściekły, że dostałam pozwolenie, o które sam starał się od dwóch lat.

- Dlaczego?

- Ponieważ — odparła ze zniecierpliwieniem

- to właśnie muszą znosić kobiety w świecie zdominowanym przez mężczyzn, a telewizja jest chyba najgorsza pod tym względem. A ty, co robisz?

- Jestem mężatką.

- To już wiemy. — Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Pamiętaj, że to ja znalazłam cię płaczącą nad szetlandami. Ale gdzie pracujesz?

- Nigdzie.

- To śmieszne. Samo małżeństwo nie wystarcza, zwłaszcza jeśli nie jesteś szczęśliwa. Minęły dopiero dwa tygodnie, a ty już się zastanawiasz, o co tu chodzi.

- A gdybym wiedziała, o co chodzi? Myślisz, że poczułabym się lepiej?

- Prawdopodobnie nie. Naprawdę powinnaś znaleźć sobie jakieś zajęcie. Czy interesuje cię coś konkretnego?

Zaczęłam mówić, najpierw wolno, bo miałam tak niewiele pewności siebie, a potem szybko i gorączkowo. - Myślę, że chciałabym być dziennikarką - zajmować się problematyką między-



narodową. Chyba najbardziej chciałabym zostać zagraniczną korespondentką, relacjonować to, co dzieje się na scenie politycznej, a nawet obsługiwać wojny.

Słuchała mnie uważnie, bez cienia uśmiechu, jakby notując w pamięci każde słowo. - Chcesz pisać czy pracować w telewizji?

Skąd mogłam wiedzieć? Po raz pierwszy z kimś o tym rozmawiałam, wcześniej moje marzenia wydawały mi się tak nierealne, że nie próbowałam nawet opowiedzieć ich słowami.

- W telewizji - wyrzuciłam z siebie. Dziwne, lecz było to absolutną prawdą: dokładnie to pragnęłam robić.

- Skąd wiesz, że dałabyś sobie radę? To nie jest proste.

- Nie wiem - odrzekłam obronnym tonem, ponieważ już walczyłam o pracę, o której dwie minuty wcześniej nawet mi się nie śniło. - Ale jestem pewna, że mogłabym się nauczyć, gdyby tylko dano mi szansę.

Ouincy ponownie się uśmiechnęła. - W tej branży panują prawa buszu - trudno tam kogoś wcisnąć. Wiem coś o tym, bo właśnie tym się zajmuję.

I tak oto rozmowa, która zaczęła się błąhą wymianą zdań, nieoczekiwanie zeszła na temat tak doniosły, jak mój pomysł na życie.

- Muszę już iść. Obiecałam Erykowi, że spotkam się z nim o piątej, a już jest piąta. - Nie dodałam, że Eryk Ornstein nie lubi na nic czekać. Nie dodałam też, że ponieważ w tak niewielkim stopniu spełniałam jego oczekiwania jako żona, poczuwałam się do tego, by przynajmniej jak najmniej komplikować mu życie pod względem czysto zewnętrznym.

— Niech czeka — powiedziała Quincy. — Poczekaj pięć, a nawet piętnaście minut, gwarantuję ci. Zaprzeczyłam ruchem głowy, wstałam i starannie schowałam jej wizytówkę do portfela. — Zadzwoń do ciebie po powrocie do Nowego Jorku.

Wracałam do hotelu oszołomiona, a zarazem dziwnie upojona, prawie z takim uczuciem, jakbym zdradziła Eryka. W gruncie rzeczy zrobiłam coś znacznie gorszego, ponieważ ta rozmowa mogła zmienić mój los. I w przeciwieństwie do cudzołóstwa, nie musiała mieć tego nieuchronnego zakończenia.

Eryk siedział przy stoliku w holu i pił herbatę. Był wyraźnie niespokojny, gdyż co rusz wyciągał szyję w kierunku drzwi wejściowych - czekał, aż wreszcie się zjawię, zdyszana i skruszona z powodu piętnastominutowego spóźnienia.

— Marguerite — stwierdził surowo — nigdy więcej nie każ mi na siebie czekać. W naszym domu ja płacę rachunki.

W dwa tygodnie i cztery obozy koncentracyjne po ślubie mój mąż zdążył już poznać reguły gry. Ja sama miałam dopiero niejasną świadomość, że jestem stroną przegraną.

## *Rozdział 2*

Samolot transportowy stoi na opustoszałym żuźlowym pasie lotniska Ben Guriona w Tel Awiwie. Moja dłoń spoczywa na pokrywie szarej metalowej urny, którą już za chwilę załadują do czarnej dziury ziejącej z brzucha maszyny. Poprzedniego dnia znowu przekazałam korespondencję z obozu w Sabrze, pod wznowionym ostrzałem artyleryjskim, który spowodował dalszą masakrę uchodźców. Stojąc przed kamerą, szczegółowo zrelacjonowałam przebieg działań wojennych oraz ich wpływ na sytuację Izraelczyków, Palestyńczyków, Libańczyków i niezliczonych innych frakcji, które włączyły się w konflikt, będący w gruncie rzeczy najbardziej spektakularnym porwaniem, jakie dotychczas odnotowano. Wątpię, czy do amerykańskiej publiczności naprawdę dotarło, że cały kraj stał się zakładnikiem zwalczających się wzajemnie grup desperatów.

Podczas emisji głos mi się załamał i łzy napłynęły do oczu, gdy opisywałam, jak zaledwie parę godzin wcześniej przypadkowy granat urwał głowę Joe Valeriemu. Mój kierownik produkcji nie zgodził się wyłączyć kamery, kiedy dałam mu znak, że po-

trzebuję krótkiej przerwy, by się opanować. Żałował tylko, że kamera nie była włączona, kiedy to się wydarzyło - za takie ujęcie mielibyśmy murowaną nominację do Emmy. Mimo to zapewnił mnie, że kawałek był naprawdę fantastyczny - prawie tak dobry, jak zdjęcie samego epizodu. Joe Valeri to teraz tylko epizod.

Avi Herzog jest dalej ze mną — ten sam *tat aluf*, czyli izraelski generał dywizji, który był przy śmierci Joego. Podtrzymuje mnie za łokieć, gdy kilku wojskowych sprawdza niezbędne formularze, które zostaną przesłane do Stanów wraz ze szczątkami Joego. Może jeszcze raz powinnam spróbować się dodzwonić do rodziców Joego na Staten Island, mimo że studio w Nowym Jorku zawiadomiło ich już o śmierci syna. Może mieliby ochotę porozmawiać z kimś, kto go naprawdę lubił — z kimś, kto chętnie słuchał jego opowiadań z dzieciństwa i o tym, jak się czuł jako syn dzielnicowego. Joe, młody twardziel, którego kumpli jego ojciec nieraz musiał aresztować, gdy wszyscy byli jeszcze nastolatkami - całe wieki temu. Pani Valeri byłaby chyba wzruszona wiadomością, że Joe bardzo żałował tego, co kiedyś jej powiedział: „Przymknij się, nie ma żadnego Boga”. Joe zademonstrował mi, jak szeroko otworzyła oczy i przycisnęła rękę do ust z niedowierzaniem i zgrozą, kiedy głośno wymówił te słowa w ich ultrakatolickim domu. Prawdopodobnie lepiej jej teraz o tym nie przypominać — najlepiej pozwolić jej zapomnieć i pocieszać się wiarą, że Joe przebywa teraz z jej Bogiem. Choć może miałyby ochotę Go spytać, czemu w Swej niezgłębionej mądrości pozbawił ją jedyne dziecko.

Łzy lecą mi ciurkiem po twarzy, gdy przypominam sobie, że Joe zapraszał mnie do domu na

przypadające za tydzień Święto Dziękczynienia. Powinnam powiedzieć pani Valeri: „Nie znam pani, ale znałam pani syna, kochałam go, i zaprosił mnie do domu na Święto Dziękczynienia, bo mówił, że u was w domu rodzice troszczą się przede wszystkim

o to, by dziecko było szczęśliwe i wesołe, zamiast koncentrować się na tematach, które wzbogaciłyby jego umysł. Widzi pani, u Sommersów kształcenie umysłu serwuje się na pierwsze i drugie danie, zaspokajanie potrzeb emocjonalnych nie figuruje w jadłospisie”.

Teraz już szlocham głośno. *Tat aluf* Herzog wyjmuje z kieszeni spodni pomietą chustkę do nosa i podaje mi ją w milczeniu. Biorę ją, nie obdarzając go ani jednym spojrzeniem, i wycieram oczy i nos. Nie mogę się nawet odsunąć, ponieważ czterech mężczyzn właśnie układa szarą metalową urnę na platformie dźwigni, która uniesie ją do wnętrza samolotu. Joe Valeri wraca do domu na Święto Dziękczynienia. Zastanawiam się, czy poczułby się lepiej, gdyby mógł wiedzieć, że najbliżsi go oplakują, kochają i niecierpliwie czekają, by odebrać to, co z niego zostało. Wczoraj w Sabrze zginęło trzydziestu siedmiu Palestyńczyków, w tym sześciu członków jednej rodziny. Nie pozostało już nikogo, kto mógłby nosić po nich żałobę. Dziś rano, gdzieś w Libanie Południowym, poległo ośmiu izraelskich żołnierzy. Ich śmierć przeszła serce całego narodu izraelskiego. Wieczorem jadę z ekipą do izraelskiego Ministerstwa Obrony, żeby przekazać sprawozdanie na temat aktualnego stanowiska Izraelskich Sił Zbrojnych i reperkusji wydarzeń w palestyńskim obozie dla uchodźców w Szatili. W zaciśniętej dłoni, ukrytej w kieszeni blezera, wciąż jeszcze trzymam zmiętą kartkę papieru – do-

żywością gwarancję na walkmana Joe Valeriego. Już po wszystkim, drzwi w dzień kadłuba zatrzaśnięto i ludzie zaczynają się rozchodzić. Oddalając się wolno od samolotu przysięgam sobie, że wiecznie zachowam w pamięci obraz tamtej urny znikającej w ciemnej czeluści ładowni.

Kierownik produkcji biegnie w moją stronę i przekrzykując huk samolotu, rozpędzającego się na drodze startowej, woła: - Maggie, puszcza to w wieczornym dzienniku. Pamiętaj, że o pierwszej nadajemy na żywo z ministerstwa.

Kiwam potakująco głową. Relacja na żywo o zabitych, dobre sobie. Czy pozwolą mi wyjaśnić, czemu wojny krzywdzą wszystkich — nawet tych, którzy są tu jedynie po to, by rejestrować na taśmie to krwawe szaleństwo?

„Walka o przetrwanie jest elementem naszej codzienności”. Nie pamiętam już, kto to powiedział — jakiś Izraelczyk, Palestyńczyk, czy też Quincy. Uśmiecham się mimowolnie: ona niewątpliwie rzucałaby teraz jakąś zabawną uwagę, dowcip tak absurdalny, że musiałabym się roześmiać mimo tego okropnego bólu. Quincy... Ile to już czasu, odkąd jadłyśmy razem obiad w Rosyjskiej Herbaciarni i zaśmiewałyśmy się do łez? Quincy, która przeszła ze mną wszystko, nawet ten wieczór, kiedy wreszcie odeszłam od Eryka Ornsteina. Pamiętam, jak siedziała i słuchała, podczas gdy wyrzucałam z siebie całą bolesną prawdę o moim małżeństwie z człowiekiem, którego tolerowała wyłącznie dlatego, że był moim mężem. „W życiu zdarzają się gorsze nieszczęścia niż rozwód” — stwierdziła rzeczowo. I miała rację.

— Odwiozę panią do hotelu — mówi Avi, biorąc mnie pod ramię.

— Nie musi pan, mogę się zabrać z kimś z ABN.

— Wiem, że nie muszę, ale chcę, i to bardzo

— odpowiada, już prowadząc mnie w stronę parkingu.

Spoglądając teraz na niego, doskonale rozumiem, czemu z premedytacją ignorowałam tego mężczyznę przez ostatnie pół roku. Ilekroć w Ministerstwie Obrony mignęła mi w polu widzenia ta wysoka barczysta postać, odwracałam głowę w inną stronę. Ilekroć próbował mnie zagadnąć swoim śpiewnym cudzoziemskim akcentem, udawałam, że nie słyszę. Z czasem nauczyłam się rozpoznawać go z daleka

— jego niesforną, rozwichrzoną czuprynę i charakterystyczny sposób chodzenia, z przygarbionymi ramionami i rękami w kieszeniach — co pozwalało mi umykać, nim mógł mnie przyprzeć do muru. Pewnego zaś razu, gdy przypadkiem wpadliśmy na siebie u zbiegu korytarzy, z trudem powstrzymałam się od uśmiechu, natknąwszy się na rozbawione spojrzenie brązowych oczu Aviego. Widok jego przystojnej twarzy tak mnie zmieszał, że zupełnie odjęło mi mowę. W końcu wybąkałam coś bezsensownego, wyminęłam go i czym prędzej uciekłam. Był taki atrakcyjny - po prostu zbyt niebezpieczny, aby go nie ignorować.

— Mieszka pani w hotelu Golan w Tel Awiwie, prawda? — pyta Avi.

— Tak. Skąd pan wie?

— Po prostu wiem — odpowiada cicho.

Jego samochód to limuzyna nie do opisania, posiada cztery opony, dwoje drzwi oraz jedną kierownicę. To ma sens — samochody powinny być właśnie takie, tak samo jak *tat alufowie* powinni nosić czarne sznurowane buciory i spodnie khaki. Sama otwieram sobie drzwi, przyzwyczajona do obyczajów Izraelczyków, którzy znani są z tego, że

nigdy nie pomagają kobietom wsiadać do samochodu, nie zapalają im papierosów i natychmiast po miłosnym stosunku dają nura pod łóżko w poszukiwaniu skarpetek, majtek i innych części garderoby, bez oczekiwania choćby paru minut dla przyzwoitości. Zerkając na niego ukradkiem, gdy przekręca klucz w stacyjce, dochodzę do wniosku, że ma około czterdziestki — mniej więcej sześć lat więcej niż ja, jak szybko obliczam. Tyle że tego wieczoru Maggie Sommers, korespondentka telewizji ABN na Bliskim Wschodzie, wcale nie czuje się na trzydzieści cztery lata. Widziała już dość, aby być zgrzybiałą staruszką, a zarazem rozumie z tego tak niewiele, jak małe dziecko. Czuję się kompletnie wykończona.

Avi wyprowadza wóz na szosę łączącą Tel Awiw z Jerozolimą; po drodze wskazuje mi miejsca, w których przed wojną sześciodniową rozmieszczone były wojska jordańskie. Pokazuje mi punkt, z którego Jordańczycy mogliby spojrzeć przez lornetkę w okna Knesetu i sprawdzić, czy premier Izraela golił się danego ranka. Znam ten argument na pamięć — usprawiedliwienie izraelskiej polityki wobec tysięcy Palestyńczyków, którzy nadal gnieźdzą się w nieludzkich warunkach w obozach dla uchodźców. Odchylam głowę na oparcie i zamykam oczy. Huczy mi w skroniach, a w całym ciele czuję przejmujący ból, gorszy niż wszystko, czego dotąd doświadczyłam.

— Dlaczego ignorowała mnie pani przez ostatnie sześć miesięcy? Spotykałam panią prawie codziennie, ale nie chciała pani ze mną rozmawiać — pyta Avi ze wzrokiem wbitym w drogę przed nami. Otwieram oczy i widzę te niesamowite dłonie na \ kierownicy. Gdyby przyniesiono mi tylko te ręce, wiedziałabym, że należały do niego.



- Prawdę mówiąc, jestem strasznie krótkowzroczna. Musiałam pana nie zauważyć.

Odwraca głowę, żeby na mnie spojrzeć, a ja odruchowo zwracam twarz do okna.

- Odzywałem się do pani wielokrotnie, a pani odchodziła, czasem przerywając mi w pół zdania.

— Uśmiecha się.

- Naprawdę bardzo mi przykro - jąkam.

— Musiałam pana nie dosłyszeć.

- A zatem - stwierdza Avi - jest pani nie tylko ślepa, ale i głucha.

Mimo usilnych starań nie mogę powstrzymać się od śmiechu. - Nie byłam zbyt uprzejma, prawda?

Przepraszam. Czy moglibyśmy udać, że dzisiaj spotkaliśmy się po raz pierwszy i zacząć od początku?

Ujmuje moją rękę, leżącą na siedzeniu pomiędzy nami. - Wczoraj, to chyba bardziej realistyczna propozycja. Chyba żadne z nas nigdy nie zapomni tego, co się stało.

Zaciskam powieki, zmagając się z bólem. Wiem, że ma rację.

Jedziemy dalej w milczeniu, aż wreszcie samochód skręca na podjazd do mojego hotelu w Tel Awiwie.

- Zawiozę panią na górę. Nie chcę, żeby była pani sama — oświadcza Avi.

- Nie, naprawdę, ja...

- Pod żadnym pozorem. Chcę bezpiecznie odstawić panią na miejsce i upewnić się, że niczego pani nie brakuje. - Podnosi rękę i lekko dotyka mojego policzka. - Nie chcę, żeby była pani sama w windzie.

To pewnie jakaś nowa reguła w kodeksie towarzyskim Izraelczyków - nigdy, pod żadnym pozorem

nie narażać kobiet na samotną jazdę windą. Nie ma problemu, jeśli chodzi o inne rzeczy: na polu bitwy, tak; w łóżku, jak najbardziej; w mykwie, nie ma sprawy — ale nigdy, przenigdy w windzie. Gdy wchodzimy do holu, Gila, zarządzająca hotelem i moja najbliższa przyjaciółka w Tel Awiwie, wykrzykuje: - Maggie! Jest dla ciebie telegram z Nowego Jorku. - Wychodzi zza kontuaru, ładna, jasnowłosa, ubrana w niebieską dżersejową sukienkę ciasno opinającą jej bujne piersi i kształtne biodra, i podaje mi różowy pasek papieru.

— Dziękuję. To już trzeci w tym tygodniu, prawda?

Ona uśmiecha się i zerka na Aviego, który zajęty jest rozmową z przypadkowo spotkanym znajomym.

— Jest nadal z tobą?

— Tak mi się zdaje.

— Z kimś takim nie powinno ci się zdawać, powinnaś być pewna. Ręczę ci, że on z całą pewnością jest z tobą. Gdybyś mnie potrzebowała, to mam dziś nocny dyżur.

— Nie martw się o mnie, będzie dobrze.

— Na pewno — odpowiada, ponownie zerkając na Aviego.

„Święto Dziękczynienia tak czy nie” - odczytuję. To od mamy, która od dłuższego czasu próbuje się ze mną skontaktować, żeby się dowiedzieć, czy wracam do domu na święta.

— Jedziesz do domu? — pyta Gila.

— Mam nadzieję, że nie. Spróbuję się jakoś wykręcić — odpowiadam, zdecydowana za wszelką cenę uniknąć kolejnych koszmarnych świąt w towarzystwie Sommersów.

Było Święto Dziękczynienia 1961 roku. Cara i ja chichotałyśmy nad rogiem obfitości, wypełnionym po brzegi suszoną kukurydzą, winogronami, persymonami\* i gałązkami ostrokrzewu. Dziadek Małkow siedział przy mnie z rozpromienioną twarzą, ponieważ przed chwilą wygrał turniej szachowy w klubie emigrantów rosyjskich. Co rusz poklepywał mnie mitygująco po kolanie, żeby powstrzymać mnie od śmiechu. Babcia Małkow z oburzeniem opowiadała o zniewadze, jaka spotkała ją w Metropolitan Museum of Art, gdy próbowała dostać się na wystawę dzieł sztuki z carskiej Rosji. „Wyobraźcie sobie tylko - musiałam stać w kolejce, żeby obejrzeć rzeczy, które - nikczemnicy zrabowali naszej rodzinie”.

Jonesie, moja niania i przyjaciółka, która, gdy byłam w trzeciej klasie, pomogła mi dokończyć krzyżówkę w książce do ortografii, sugerując, że synonim słowa „aktualnie” na cztery litery, to „tera”, wniosła perfekcyjnie upieczonego indyka na kobaltowym półmisku. Jonesie, która w życiu nie słyszała o ruchu na rzecz praw (Obywatelskich, ani o tym, że jej współplemieńcy pracujący na kolei, owi „znakomicie wytresowani” służący Pulmanna, ubiegają się obecnie o miejsca w Kongresie. Biedna Jonesie, dla niej czas się zatrzymał, odkąd przyjechała z Alabamy na północ i zaczęła pracować dla rodziny Sommersów. Rose, kuchenna pomoc Jonesie, niosła dwa następne niebieskie półmiski, na których piętrzył się dziki ryż i młody groszek, jaki zawsze kupowało się /pobliskiego

\* persymony - owoce hurmy amerykańskiej - przyp. tłum.

Gristede'a. Ojciec miał właśnie przystąpić do krojenia indyka, gdy mama chrząknęła głośno.

— Grace\*, kochanie — przypomniała.

— Jaka Grace? — spytał ojciec. Zreflektował się natychmiast, ale Cara i ja zdążyłyśmy już parsknąć śmiechem. Brzmiało to zupełnie jak kiepski dowcip ze szkoły podstawowej. Nie zdziwiłyśmy się, gdy poprawił jedwabny fontaż, strzepnął płatek łupieżu z brokatowego fraka, pochylił głowę i wyrecytował: — Ojcze, pobłogosław te dary na pożytek nasz, a nas na pożytek Twój, i spraw, byśmy zawsze pamiętali o potrzebie innych. Prosimy Cię o to w imię Syna Twojego, Jezusa Chrystusa.

Amen.

Tak modlił się nasz ojciec, który niecałe dwadzieścia lat wcześniej wkładał filakterie w Bronksie.

Było jednak Święto Dziękczynienia, dzień poświęcony uczczeniu Pielgrzymów, ojców naszego kraju, co oznaczało, że tego wieczoru jesteśmy wszyscy protestantami. Ten wieczór państwo Sommersowie obchodzili w duchu Nowego Testamentu.

Ojciec podniósł zestaw noży wykładanych macicą perłową i już miał napocząć indyka, kiedy raptem się 'zatrzymał. Spoglądając na mnie surowo, oświadczył: — Maggie, udzielam ci amnestii — mamy Święto Dziękczynienia, toteż zamierzam udzielić ci amnestii.

— Dziękuję, ojcze — wymamrotałam pod nosem, niezbyt pewna, do którego z ojców to mówię. A po krótkiej przerwie dodałam: — Co to jest amnestia, tato? — Znałam już znaczenie tego słowa, choć nadal nie umiałam podać kątów trójkąta równoramiennego, lecz mimo swoich niespełna

\* Grace — modlitwa przy stole lub imię kobiece — przyp. tłum.

trzynastu lat, wiedziałam już, że grając głupiutką gąskę, mam większe szanse uzyskać faktyczne darowanie win.

Mama promieniała, dumna, że jej mąż okazał się w końcu monarchą łaskawym, skłonny do udzielenia amnestii młodszej z jej córek.

- Przynieś słownik, Maggie - nakazał ojciec.

Polecenie to było, rzecz jasna, czystą przerośnią, gdyż wspomniany słownik był opasłym starym tomiskiem Webstera, stale spoczywającym na osiemnastowiecznym biurczku Chippendale'a, stojącym w obszernym przedpokoju naszego mieszkania. Ostrożnie wstałam od stołu, uważając, żeby przypadkiem nie skrzywnąć krzesłem o wypolerowaną posadzkę z białego marmuru. Krocząc z powagą, podeszłam do Webstera i zaczęłam przeglądać cieniuteńkie pergaminowe strony w poszukiwaniu hasła „amnestia”. Byłam przerażona, że przez swoją fatalną ortografię nie zdołam go znaleźć, a wtedy zabronią mi oglądać telewizję, słuchać adaptera i używać błyszczyka do ust w weekendy i inne wolne dni. „Boże, kimkolwiek jesteś - modliłam się. - Ojcze, Synu, czy brodaty Żydzie, błagam cię, pomóż mi znaleźć «amnestię»”. Jedna z trzech osób, do których się zwróciłam, musiała mnie usłyszeć, ponieważ wreszcie, ku swojej niewysłowionej uldze, zobaczyłam: „Amnestia, rzeczownik, akt łaski polegający na darowaniu prawomocnie orzeczonych kar”.

Wracając powoli do jadalni, powtarzałam tę definicję w myśli, póki nie usiadłam z powrotem na swoim miejscu za stołem. Cara już płakała, a dziadek dziwnie poruszał swoją sztuczną szczęką, może po to, żeby ją rozśmieszyć. Babcia trzęsła głową, a mama siedziała na samym brzegu krzesła, a jej długi sznur pereł pobrzękiwał o talerz.

— Maggie — spytał ojciec — jaka jest definicja słowa „amnestia”?

Wyrecytowałam przeczytaną formułkę, nie zapominając zaznaczyć, że jest to rzeczownik i dodać na zakończenie: - Dziękuję, ojczy, jestem ci bardzo wdzięczna - takim tonem, jakby to należało jeszcze do definicji. Ojciec był chyba zadowolony, ponieważ niezwłocznie przeniósł uwagę na indyka leżącego na kobaltowym półmisku. Wtem jednak Cara zerwała się z miejsca, wybąkała jakieś przeprosiny i wypadła z pokoju z głośnym szlochem. Mama pobiegła za nią.

— Dlaczego to robicie?! - krzyczała zza ściany. — Dlaczego tak ją ciągle upokarzacie?

W głuchym milczeniu, które zaległo w jadalni, pozostali członkowie rodziny Sommersów próbowali bez przekonania celebrować kolejny radosny świąteczny posiłek. Kiedy Cara wróciła do stołu, uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością. Mimo to jednak czułam się osobiście odpowiedzialna za napiętą atmosferę panującą w pokoju. Miałam wrażenie, że to moja wina.

\* \* \*

Avi Herzog stoi na tarasie mojego pokoju, z którego rozciąga się widok na morze i całe wybrzeże Tel Awiwu. Siedzę na wprost niego, skulona w rogu kanapy. Od dłuższego czasu wypytuje mnie o moje życie - sprytnie, gdyż jest biegły w sztuce przesłuchiwania, jako że mógł ćwiczyć ją regularnie na arabskich jeńcach, wziętych do niewoli podczas ostatnich trzech wojen, wojen, które uczyniły z niego *tat alufa*.

— Jesteś dziwną mieszaniną smutku i poczucia humoru - zauważał. — Dlaczego jesteś taka?

Zwlekam z odpowiedzią, bo wolałabym uniknąć mówienia na temat Maggie Sommers. Jak mam mu wyjaśnić, że, zasadniczo rzecz biorąc, nie mam nic przeciwko temu, żeby zagłębił się w moim ciele, o ile tylko daruje sobie próby zgłębiania mojego umysłu. Myśli mi się płaczą, nie wiem, jak go przekonać, że nie ma we mnie niczego, czego nie dałoby się zobaczyć gołym okiem, co powiedzieć, żeby dał spokój tym badaniom i wreszcie zabrał się do rzeczy.

— Przecież nie mogę być zawsze wesoła — odpowiadam i natychmiast żałuję tych głupawych słów.

— To nie tylko to, Maggie. Przyglądałem ci się od wielu miesięcy i chciałem cię poznać, ale byłaś bardziej niedostępna niż Arafat. A przecież często widziałem, jak się śmiejesz i żartujesz z innymi korespondentami, a nawet niektórymi z moich pracowników w ministerstwie. Dlaczego tak bardzo bałaś się ze mną porozmawiać?

— Nie śmiem na niego spojrzeć, bo jest już o krok od prawdy — że tamci nie przedstawiali dla mnie niebezpieczeństwa, a on tak. Od samego początku czułam instynktownie, że powinnam się go wystrzegać. Poprawiam się na kanapie, opieram głowę na przedramionach i mówię: — Opowiedz mi coś o sobie, Avi, dobrze?

I on, z bystrością rasowego oficera śledczego, spełnia moją prośbę bez wahania, bo wie, że tak właśnie najłatwiej wzbudzić zaufanie przesłuchiwanego i skłonić go do mówienia.

— Urodziłem się w Rosji i przyjechałem tu, to znaczy do Palestyny, kiedy miałem cztery lata.

Oto kolejna ofiara przodków Very Małkow i ich pojęcia sprawiedliwości społecznej.

— Jestem nieprawdopodobnie dumny z tego kraju, bo widziałem, jak powstawał z niczego

— marzenie, w którego spełnienie nikt naprawdę nie wierzył. Mimo to nadal czuję się w pewnym sensie Rosjaninem. Mówię po rosyjsku i kocham ich muzykę, pieśni, które śpiewali rodzice, kiedy byłem mały.

— Zawsze chciałeś być wojskowym?

— Nie — odpowiada z nieznacznym uśmiechem.

— Chciałem zostać lekarzem, ale wszystko potoczyło się inaczej. — Milknie.

— Dlaczego?

— Mam wrażenie, jakbyś robiła ze mną wywiad.

— Nie, po prostu chciałam zrozumieć, jak to się dzieje, że ktoś pragnie uzdrawiać ludzi, a potem nagle staje się częścią maszyny śmierci.

Widać, że moje słowa sprawiły mu przykrość.

— Wychowałem się w kibucu w okolicy Emek Hasharon. Żyliśmy wtedy po sąsiedzku z Palestyńczykami. Potem, w 1947 roku, jeszcze przed wojną o niepodległość, zaczęło się — ta maszyna śmierci, jak ją nazywasz, poszła w ruch. Brytyjska okupacja dobiegała końca i Arabowie czuli się coraz bardziej zagrożeni, zaczęły się napady na żydowskie kibuce. Chyba wydawało im się, że jeśli zmuszą nas do wyjazdu, Brytyjczycy szybciej się wycofają. Kiedy miałem pięć lat, Arabowie napadli na nasz kibuc i zabili mojego ojca. To zmieniło moje wyobrażenia na temat pokojowego współistnienia.

Nie ma wątpliwości, że Avi porusza we mnie coś bardzo głębokiego, coś, co zrodziło się już podczas tych miesięcy, kiedy udawałam, że go nie dostrzegam.

— W 1956 roku, podczas natarcia na półwysep Synaj, zginął mój starszy brat. Miałem wtedy piętnaście lat. Wtedy właśnie ostatecznie porzuciłem zamiar wyjazdu na studia do Stanów. Wiedziałem,



że tu jest moje miejsce. Została mi już tylko matka i nie mogłem jej zostawić.

W tym momencie to coś więcej niż seksualna fascynacja sprawia, że ledwie walczę z pragnieniem wzięcia go w ramiona. Chcę go pocieszyć swoimi ustami i swoim ciałem, wynagrodzić mu utratę ojca, brata i tamte nie spełnione marzenia, i wszystko, co kiedykolwiek sprawiło mu ból. Najpierw jednak muszę oddzielić serce od rozumu, żeby zanadto się nie zaangażować. — Przykro mi z powodu twojego brata — mówię cicho.

To, że Avi obrał karierę wojskową, wynikało z naturalnego biegu rzeczy - na decyzję tę złożył się gniew z powodu śmierci brata, jak również świadomość, że w Izraelu zawodowa służba w wojsku to bezpieczna i potrzebna profesja — bezpieczna, bo dająca gwarancję, że nigdy nie zostanie bezrobotny, i potrzebna, bo warunkująca istnienie państwa.

— Nie żałujesz czasami, że zdecydowałeś się na takie życie? — dorzucam.

— Przypuszczam, że gdybym żałował, mój ojciec i brat zginęliby na darmo.

— To bardzo absorbująca praca, poważne zobowiązanie, prawda? Chyba nie zostawia ci wiele czasu na inne rzeczy?

Potrząsa głową: rozmowa o nim dobiegła końca. — Teraz ty, Maggie. Powiedz mi coś o sobie - coś więcej niż to, że jesteś piękna i osiągnęłaś sukces zawodowy.

Tak łatwo byłoby opowiedzieć mu wszystko od samego początku, otworzyć serce przed tym obcym człowiekiem. Jednakże instynkt mi podpowiada, że rozsądniej będzie ograniczyć tę rodzącą się zażyłość do sfery czysto fizycznej, nie otwierać duszy na oścież.

— Trzeba przyznać, że wojsko utrzymuje cię w formie — zauważam.

Po twarzy znowu przemyka mu tajone rozbawienie. — Pływam codziennie rano, przynajmniej staram się to robić, kiedy nie jestem w polu.

Dostraja się do mojego tonu.

— A ty — pyta — jak zachowujesz tak dobrą formę?

Ale w gruncie rzeczy moja kondycja fizyczna mało go obchodzi. Znacznie bardziej interesuje go, czemu w wieku trzydziestu czterech lat jestem nadal bezdzietna. Szczegóły mojej ciąży sprzed prawie dwunastu lat, kiedy moje dziecko urodziło się z pępownią mocno zaciśniętą wokół szyi, to coś, o czym wciąż nie jestem w stanie mówić. Nie mogę przecież wyjaśnić, że gdyby żyło, byłoby jedynie straszną pomyłką, ponieważ od chwili, w której się poczęło, czułam się jak w potrzasku.

— Rozwiodłam się sześć lat temu. Od tamtej pory nie było nikogo, na kim zależałoby mi na tyle, żeby mieć z nim dziecko.

— A twój mąż — nie chciałaś mieć z nim dziecka, kiedy jeszcze byliście małżeństwem?

— Nie, nigdy - odpowiadam. — To była pomyłka od samego początku. A ty masz dzieci?

— Nie.

I zanim mogę spytać o coś jeszcze, dodaje:

— Często widzisz swoich rodziców?

— Najrzadziej jak tylko mogę - śmieję się.

— Moje dzieciństwo było wystarczająco okropne, żebym trzymała się od nich z daleka, ale mam siostrę, z którą często się spotykam, kiedy jestem w Stanach.

— Znowu słysząc ten ból w twoim głosie — zauważa, zapalając krótkie czarne cygaro. — To jakby

odwrotna strona tego świetnego poczucia humoru, które tak mi się w tobie podoba. — Patrzy na mnie z czułością.

— Pamiętam, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam — mówię cicho.

Avi jest zdziwiony. — Naprawdę? W takim razie, dlaczego...?

— To było w Marjayoun, tego dnia, kiedy wybuchła wojna, piętnastego czerwca...

— Przyjechałaś tam z ekipą ABN i próbowałaś zrobić wywiad z Hadadem, szefem Armii Libanu Południowego — przerywa mi.

— I nie udało mi się — mówię ze śmiechem.

— Nie, ale gdybyś nie udawała, że mnie nie dostrzegasz, pewnie mógłbym ci to załatwić.

— Na przyszłość będę pamiętać. — Już się zaczęło i nie potrafię dłużej odsuwać tego, co nieuchronne. Poza tym, sama już nie wiem, czy naprawdę chcę.

— Tamtego dnia zachowywałaś się jak prawdziwy zawodowiec. Wszyscy ci się przyglądali, bo nie pasowałaś do tego wszystkiego — korespondent wojenny w spódnicy.

— Rzeczywiście czułam się nie na miejscu, poza tym strasznie się bałam. Ale chyba zawsze tak jest za pierwszym razem. - Rzucając na niego szybkie spojrzenie, stwierdzam, że przypatruje mi się z powagą.

— Miałem ochotę cię chronić. To brzmi głupio, prawda?

Kiwam potakująco głową, myśląc, jak bardzo zachęcająco to brzmi.

Avi wyciąga do mnie rękę i zaprasza, żebym wyszła na taras zobaczyć piękną panoramę wybrzeża.

Decyduję się wstać z miejsca, choć czuję tak potworne zmęczenie, że nie jestem pewna, czy zdołam przebyć półtora metra dzielące mnie od tarasu. Kiedy zaczynam się podnosić z kanapy, Avi mówi

nagle: — Jeśli wstaniesz, Maggie, to cię pocałuję, a jeśli cię pocałuję, będę się z tobą kochać, a kiedy to się stanie, nie pozwolę ci wyjechać z Tel Awiwu.

Obliczam błyskawicznie — wciąż jeszcze ni to siedząc, ni to stojąc — że jest już dwudziesty trzeci listopada, a zatem do Święta Dziękczynienia pozostały zaledwie trzy dni. Mój naczelny, przyciśnięty przez Quincy, zaproponował mi urlop, żebym mogła wrócić do Stanów i spędzić święta w gronie rodzinnym. Święto Dziękczynienia — tradycja, która Amerykanom kojarzy się na ogół z nastrojem rozbawienia, ogniem płonącym w kominku, słodkimi ziemniakami, zabawnymi anegdotkami z dzieciństwa i rzewnymi wspominkami, wywołującymi łzy wzruszenia i serdeczne uściski bliskich sobie ludzi. Co do mnie, nie waham się ani chwili. Telegram, który układam w myśli, brzmi następująco: MAMO TATO STOP TAK BARDZO CHCIAŁAM SPĘDZIĆ ŚWIĘTO DZIĘKCZYNIENIA Z WAMI CARĄ STEVENEM LISETTE PTYSIEM I BRADEM STOP NIESTETY TAT ALUF HERZOG DOWÓDCA FRONTU PÓŁNOCNEGO I DORADCA PREMIERA DO SPRAW LIBANU ZATRZYMAŁ MNIE NA NIEOKREŚLONY CZAS W IZRAELU STOP ZADZWONIĘ GDY TYLKO SKOŃCZĘ INSPEKCJĘ WYBRZEŻA TEL AWIWU STOP MAGGIE.

Avi pocałował mnie, całował mnie i całował, a potem zaprowadził z powrotem na kanapę i ułożył na poduszkach, nie wypuszczając mnie z ramion ani na moment.

— Pragnę cię, Maggie. Pragnąłem cię od pierwszej chwili. — Wyciągając ramię ponad moją głowę, strąca

poduszki na ziemię. W pokoju jest ciemno, rozjaśniają go jedynie refleksy latarni i ruchliwe światła samochodów przejeżdżających po nabrzeżu. Przypominam sobie Aviego w Marjayoun, w Metulli, w Tel Awiwie, Bejrucie i dziś na lotnisku. Kładzie się przy mnie na wąskiej kanapce i mocno przyciska mnie do siebie.

— Trochę przytyłam — mówię z nagłym uczuciem skrępowania.

Avi nie odpowiada, po prostu przytula mnie jeszcze mocniej, jakby chciał mnie uspokoić, rozgrzać swoim ciałem, żeby przestała tak strasznie drżeć. Dociera do mnie, że dokładnie dlatego ignorowałam go przez te wszystkie miesiące — bo wiedziałam, że byłoby właśnie tak, gdyby kiedyś do tego doszło, wiedziałam, że musi do tego dojść.

— Zakochałem się w tobie tamtego dnia w Marjayoun — szepcze Avi.

Zamykam mu usta dłonią, przesuwam palcami po jego twarzy i wyczuwam, że się nie golił. Przynajmniej nie zaplanował sobie tego na chłodno, w każdym razie niezupełnie. Zdejmuje moją rękę ze swoich ust, przygarnia mnie do siebie i całuje, jakby nigdy nie miał przestać.

— Pozwól mi się kochać — mówi stłumionym głosem. — Chodź do łóżka.

Ciekawe, co powiedziałyby Quincy, gdybym jej oznajmiła, że jakiś facet zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia na polu bitwy w Libanie Południowym. Chyba nigdy by w to nie uwierzyła. Wtedy jeszcze sama nie rozumiałam, czemu mu uwierzyłam.

Avi pieści językiem każdy zakamarek mojego ciała, a ja się bronię, ale tylko przez chwilę. Dotychczas kupowałam w łóżku, sprzedawałam w łóżku,

a nawet targowałam się w łóżku, lecz nigdy jeszcze nie byłam posiadana w łóżku. Nigdy — aż do tej pory. Kiedy to się staje z nim, zamykam oczy, przygryzam wargi i oplakuję stracone lata. Klęka przy mnie, czeka chwilę, a potem zaczyna wszystko od początku, na wypadek, gdybym zdażyła zapomnieć. Całując mnie i dotykając w już znajomy sposób, zawsze wraca do moich oczu, jakby chciał mnie upewnić, że to ciągle on, nie kto inny.

Wiedziałam, że jest tym najlepszym, jeszcze zanim we mnie wszedł — idealnym, wytęsknionym kochankiem, którego nigdy nie miałam. Którego próbowałam znaleźć od samego początku. Uczestniczę w tym akcie miłosnym z szeroko otwartymi oczami, całą sobą, świadoma bliskości osoby, a nie tylko autonomicznego członka wypełniającego otwór.

Avi ujmuje moją twarz w swoje duże i czułe dłonie, i mówi: — Otwórz oczy i popatrz na mnie, Maggie. Kocham cię.

I spadając w ową tajemniczą, niezgłębioną przepaść, uzmysławiam sobie, że związek z tym mężczyzną może przyczynić mi niemało bólu, kiedy nieuchronnie dobiegnie końca. Myślę „kiedy”, a nie „jeśli”, ponieważ mój zasób optymizmu został poważnie nadwątlony na przestrzeni minionych lat. Ale gdy tak trzyma mnie w ramionach, to uczucie nie wygasa, powraca jeszcze i jeszcze — i w głębi duszy mam nadzieję, że nie kryje się za tym chęć zapomnienia o wczorajszej makabrze. Nie chcę, żeby okazało się to tylko formą lęku przed śmiercią

— sposobem na upewnienie się, że nadal żyję.

- Przestań, proszę przestań, już nie mogę!

— krzyczę.

— Kocham cię — powtarza on, ocierając mi łzy z twarzy. A ja nie jestem pewna, czyje to łzy. Przez

chwile wydaje mi się, że nasze, bo jest częścią mnie samej. Przynajmniej na razie.

Już po wszystkim, ale nadal leżymy bez ruchu. Gładząc go po włosach, zbieram odwagę, żeby zadać nieuchronne pytanie — to, które chodzi mi po głowie od kilku godzin. Wciąż się waham, nie chcę psuć tego, co się przed chwilą wydarzyło, a poza tym nie uszło mojej uwagi, że Avi przez cały czas starannie omijał ten temat. Nagle ogarnia mnie złość: ostatecznie mam prawo wiedzieć. Z jakiej racji mam sobie odmawiać tej drobnej przyjemności?

— Jesteś żonaty?

— To bardzo skomplikowane — odpowiada on i milknie.

Nie wydaje mi się, że bym zadała jakieś specjalnie złożone pytanie: wystarczyłoby zwykłe „tak” lub „nie”, a zresztą i tak już za późno, bo przecież dopiero co się z tobą kochałam. Po prostu uroiłam sobie, że będę musiała zostać w Tel Awiwie i nie wracać do domu na Święto Dziękczynienia. Nie przejmuj się, Avi, to nic takiego — jak to głupio z mojej strony, że uwierzyłam, kiedy powiedziałeś, że mnie kochasz. A jednak myślałam, że to prawda, tak samo, jak to, co powiedziałeś na tarasie — że zatrzymasz mnie w Tel Awiwie na całą wieczność, o miliony lat świetlnych od Sommersów i konieczności spędzenia z nimi świąt. Ale ty nie zrozumiałeś tego, Avi, bo tu, w Izraelu, wszyscy jesteście jedną wielką rodziną, oczywiście, jeśli nie liczyć waszych palestyńskich kuzynów. I jeszcze coś: ja też zakochałam się w tobie tamtego dnia w Marjayoun, kiedy twoja armia wdarła się do Libanu. Po dłuższej pauzie Avi dodaje: — Moje małżeństwo od lat nie jest już małżeństwem.

50

— W takim razie czemu nadal jesteś żonaty?

— Boję się, że Ruth załamie się, jeśli ją rzucę. Jest taka krucha i bezbronna.

Rozumiem już całą nie wypowiedzianą historię Aviego i Ruth Herzogów. Ruth, bezbronna, krucha istota, pokornie godzi się na podwójne życie swojego męża. Zapadłaby się w otchłań nicości, gdyby pięknie jej podziękował i zabrał swoje brudne rzeczy do innego kosza na bieliznę albo pozwolił innej kobiecie czyścić po sobie umywalkę. Przynajmniej w to właśnie chce wierzyć Avi. Z drugiej strony nie można wykluczyć, że Ruth byłaby zadowolona, gdyby spakował manatki i wreszcie się wyniósł, tylko zwyczajnie nie wie, jak mu to powiedzieć. No, ale to jest wersja, w którą ja chcę wierzyć.

— Wszystko się zmieniło, Maggie — mówi on.

— Teraz, kiedy mam ciebie, wszystko jest inaczej. Od kiedy to mnie masz, panie Avi Herzogu? Jeden raz w łóżku z Maggie Sommers to jeszcze nie powód, żeby komplikować sobie życie. Rzucam okiem na zegarek leżący na nocnym stoliku i stwierdzam, że dochodzi jedenasta. Avi leży na boku, podpierając głowę ręką i przygląda mi się badawczo. Zauważam z pewnym zdziwieniem, że wcale nie zabiera się za szukanie swoich rzeczy, które w namiętym pośpiechu porzucił po podłodze. Nie wygląda na to, żeby się dokądkolwiek śpieszył. To ja się śpieszę.

— Avi, muszę się wykąpać i przebrać. Mam nadać korespondencję z ministerstwa.

— Wiem — odpowiada nie zmieniając pozycji.

— Zawiozę cię tam, poczekam, a potem wrócimy tu razem i będę przy tobie przez całą noc. — A co z bezbronną Ruth, tą, która nie przeżyłaby, gdyby ją zostawił? Nie śmiem zadać tego pytania, bo



nauczyłam się, że szczęście jest darem zbyt cennym, żeby tracić okazję przedłużenia go choćby o parę godzin.

Kiedy pływam się w wannie, Avi wchodzi do łazienki i opiera się o umywalkę. — Opowiedz mi o swoim małżeństwie, dlaczego się rozwiedliście.

— Naprawdę trudno streścić siedem lat w ciągu paru minut.

— Mam nieograniczoną ilość czasu — odpowiada cicho.

— Ja nie — ucinam opryskliwie.

Avi Herzog nagle staje się dla mnie wrogiem. Jestem wprawdzie skłonna po cichu zgodzić się na to, co zasadniczo uważam za rzecz niedopuszczalną, a mianowicie, na sypianie z żonatym mężczyzną, jednakże nie mam zamiaru wtajemniczać tego agresora w szczegóły mojego życia prywatnego. W tym momencie poczuwam się, nie wiedzieć czemu, do solidarności z Ruth - mam wyrzuty sumienia, że mimowolnie przedłużam jej małżeńską udrękę. Ja jestem dla Aviego tylko rozrywką, przyjemnym urozmaiceniem, które pozwala mu znosić tamten związek, ciągnąc go dalej. A co z nią? A co ze mną? Avi, który wtargnął już do mojego ciała i mojego serca, próbuje teraz zgłębić moje myśli. A więc dobrze, jeśli tak koniecznie chce. - Skąd ci przyszło do głowy, że jesteśmy na tyle blisko, żebym opowiadała ci o swoim małżeństwie czy o swojej przeszłości? Jakim prawem w ogóle mnie o to pytasz?

Avi uśmiecha się lekko. - A co, w twoim mniemaniu, dałoby mi takie prawo?

Nie odpowiadam. Wszystko, co mogłabym powiedzieć, byłoby nieprawdą, zwykłym oszustwem, bo przecież częściowo już należę do tego człowieka.

— Nie bądź taka nastroszona — mówi on z czułością. — Dopiero co się poznaliśmy. Potrzebuję trochę czasu, żeby zmienić swoje życie.

Nic nie rozumie. Tłumaczy sobie moje milczenie rozczarowaniem z powodu tego, że nie jest jeszcze wolny i nie może ułożyć sobie ze mną życia. Możliwe, że ja też źle go zrozumiałam, mylnie zinterpretowałam jego słowa jako prośbę, żebym związała z nim swoje życie. A w ogóle to nie wydaje mi się, by którekolwiek z nas było skłonne zmienić swoje życiowe plany — dla kogokolwiek.

Ale w tym momencie on pochyla się i całuje mnie, ocierając się policzkiem o moją namydloną twarz.

— Kocham cię, Maggie — mówi. — Nie pozwolę ci odejść.

Wychodzi za mną z łazienki, wciąga skarpetki, wkłada swoje spodnie khaki i zasznurowuje lśniące czarne buty. Już ubrany siada w fotelu i przygląda się, jak siedząc przed lustrem starannie maluję usta pędzelkiem, rozprowadzam po powiekach zielony cień — w ciemnym odcieniu, żeby nie był zbyt jaskrawy dla kamery — a potem spuszczam głowę i energicznie szczotkuję włosy. Odrzucam je do tyłu i rozsypują się wokół twarzy niczym dzika grzywa. Moja skóra jest zaróżowiona, ma naturalny blask, którego nie widziałam od wielu miesięcy. Na koniec wkładam okulary w szylkretowej oprawce i uważnie studiuję swoje odbicie.

— Nosisz okulary, Maggie? — pyta Avi chytrze.

— Nie — odpowiadam bezmyślnie. — To zwykłe szkła, nie optyczne, ale każą mi je nosić, żebym wyglądała inteligentniej na wizji — bardziej wiarygodnie, rozumiesz. — I wtedy ponieważ sobie przypominam. „Jestem strasznie krótkowzroczna. W ogóle cię nie widziałam”, Avi Herzogu”.

Avi wstaje i bierze mnie w ramiona. — Dlaczego zmarnowałaś te sześć miesięcy? Mogliśmy być razem o pół roku dłużej.

Prostuję się na wysokość swojego metra sześćdziesięciu ośmiu centymetrów i spoglądam mu prosto w oczy. - Dlaczego? Dlaczego? - Zaciskam pięści. - Pewnie dlatego, że próbowałam zrobić najmądrzejszą rzecz od wielu lat - uniknąć wiązania się z żonatym mężczyzną, oszczędzić sobie przynajmniej sześciu miesięcy bólu. Teraz już wiesz dlaczego.

- Nie dajesz mi żadnej szansy — mówi Avi spokojnie.

- Musisz zaryzykować - mówię łagodnie i dodaję: — Ja to zrobiłam.

- Co próbujesz udowodnić, Maggie? - pyta Avi ze smutkiem.

\* \* \*

- Co próbujesz udowodnić, Marguerite? - spytała mama.

Leżąc na łożu królewskich rozmiarów, widziałam od dołu jej zatroskaną twarz, podczas gdy klimatyzator warczał mozolnie, pompując chłodne powietrze do mojej błękitnej sypialni od Wedgwooda. Było dopiero wpół do dziesiątej rano, ale mama wyglądała już jak starsze wydanie reklamy mydła Ivory. Jej biała płócienna sukienka była nieskazitelnie odprasowana; barwna apaszka od Hermesa, zarzucona na ramiona z wystudiowaną niedbałością, dopełniała stroju. Była perfekcyjnie umalowana, włosy miała ułożone w klasyczny gładki węzeł nad karkiem i założyła nawet pończochy mimo trzydziestostopniowego upału. Zadziwiała mnie ta

gotowość ponoszenia heroicznycy ofiar dla zachowania dobrego tonu.

Przysiadła na brzegu mojego łóżka i ze zmarszczonym czołem, bliska paniki, patrzyła, jak zanoszę się niepowstrzymanym łkaniem. Wyczuwałam, że jest nie tyle poruszona moimi łzami, co zirytowana, że swoim niemożliwym zachowaniem zmusiłam Eryka do tego, by ją wezwał.

„Vero, czy mogłabyś tu przyjechać i zrobić coś ze swoją córką?” Kiedy nie wywiązywałam się należycie z obowiązków żony, automatycznie stawałam się córką Vero, podobnie jak stawałam się córką ojca, ilekroć zrobiłam coś, co nie podobało się mamie.

Widząc, że nie przestaję płakać, dość niespodziewanie złagodniała i przybrała współczującą minę — najwyraźniej przypomniła sobie wszystko, co kiedykolwiek czytała na temat psychologii wychowawczej. Gesell i lig *Dziecko od 20 do 30 roku życia*, kolejny tom, którego ktoś zapomniał napisać.

„Dziecko między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia ma niesprecyzowany stosunek do śmierci i sił wyższych: to pragnie śmierci, widząc w niej kres udręku doczesnych, to uważa Boga za zdrajcę, winiąc go za swoje głębokie rozczarowanie życiem.”

— Mamo, nie chcę już żyć. Nienawidzę swojego życia.

— Maggie, Maggie, masz przecież takie piękne życie, wszystko, czego tylko...

— Ach, mamo — przerwałam jej ze złością — co w tym pięknego? Ważę osiemdziesiąt kilo.

— Ależ Maggie, spójrz na ten cudowny widok na East River. Pomyśl, ilu ludzi może oglądać coś takiego z własnego okna?

— Mamo - jęknęłam. - Chcę pracować, a on mi nie pozwala. Czuję się zupełnie bezużyteczna.

— Więc Eryk ma kłopoty finansowe? — Mama była przerażona na dobre. Czyżby mylnie oceniła zarobkowe możliwości Eryka? Czy popełniła błąd? Czy sprzedała córkę oszustowi?

— Nie, mamó — odparłam znużonym głosem. — Chcę pracować dla własnej satysfakcji. Chcę zdobyć jakąś pozycję zawodową — po co wysłałaś mnie do college'u?

Mama spojrzała na mnie smutno i pokręciła głową. — Posłałam cię tam, żebyś się wspaniale bawiła i dobrze wyszła za mąż — za wspaniałego człowieka jak Eryk.

Leżąc na łóżku tamtego ranka, tłusta, z nalaną twarzą i kluskowatymi palcami zaciśniętymi na kryształowej szklance z nie dopitym sokiem pomarańczowym, stanowiłam bez wątpienia żywy dowód na to, że sprawy nie ułożyły się po jej myśli. Właśnie ta kryształowa szklanka, jedna z dwunastu od kompletu, była przyczyną telefonu Eryka do mamy. Dwie godziny wcześniej umyślnie rozbiłam o podłogę osiem z nich podczas naszej rutynowej porannej kłótni.

— Eryku, proszę cię, czy moglibyśmy chwilę porozmawiać? Przyrzekam, że nie będę płakać, ani podnosić głosu. Proszę cię, Eryku, chcę cię tylko o coś zapytać. Odłóż tę gazetę tylko na minutę, Erykuuu... — zawodziłam.

Mój głos rozbrzmiewał coraz głośniejsze, aż wreszcie osiągnął takie natężenie, że można go było słyszeć trzy piętra powyżej i trzy piętra poniżej naszego mieszkania w ekskluzywnej kamienicy przy East End Avenue.

— Nie rób scen — skarcił mnie Eryk, wyzierając zza „Wall Street Journal”. — Nie będę cię słuchał, póki nie przestaniesz płakać i krzyczeć.

— Dobrze, Eryku — szepnęłam. — Już nie płaczę

i nie krzyczę, sam zobacz. Czy teraz ze mną porozmawiasz?

- O co chodzi, Maggie? - spytał w końcu, mierząc mnie od stóp do głów wzrokiem pełnym obrzydzenia. - Znowu jesteś głodna?

- Eryku, proszę cię - błagałam. - Chcę pójść do pracy. Proszę, pozwól mi pracować. - Większość kobiet walczyła o równe płace i dostęp do kierowniczych stanowisk, ja zebrałam o pozwolenie na podjęcie pracy, jakiejkolwiek pracy.

- Moje zarobki są wystarczające, Maggie. Nie życzę sobie, żeby moja żona pracowała. Masz dość roboty w domu, zajmując się mną.

Słyszałam jego słowa, ale nadal nic nie rozumiałam. Miałam dyplom wyższej uczelni, skończyłam nawet kurs maszynopisania, na który mama posłała mnie zaraz po absolutorium. Przewidująco zapisała mnie do szkoły prowadzonej przez księżniczkę Ragdę, najstarszą córkę zdetronizowanego króla Libii, stwierdzając, że bez względu na to, co się zdarzy, umiejętność maszynopisania zapewni mi chleb. Wciąż jeszcze miała kompleks ofiary, uraz wyniesiony z czasów rewolucji rosyjskiej, kiedy to jej rodzina straciła cały majątek. Często się zastanawiałam, czy przypadkiem historia nie potoczyłaby się zgoła odmiennym torem, gdyby wszystkie kobiety na dworze carskim umiały pisać na maszynie. Może wtedy bolszewicy nie mieliby najmniejszych szans. Jednakże chodząc na zajęcia, mimowolnie czułam w księżniczce Ragdzie pokrewną duszę. Byłam pewna, że jej matka - eks-królowa - radziła jej w swoim czasie to samo, co moja mama mnie. Niestety, kiedy próbowałam posłużyć się tym argumentem, by przekonać Eryka, że nawet najbogatsi pracują, bądź to z konieczności, bądź to dla

zwykłej higieny psychicznej, jego odpowiedź brzmiała zawsze jednakowo:

— Nigdy nie zgodzę się, żeby moja żona pracowała gdzieś za marne grosze jako sekretarka. To nie wypada, po prostu nie wypada.

— To przecież tylko na początek, żeby się zaczepić... Potem mogłabym awansować, robić coś ciekawszego...

Sporunował mnie wzrokiem. — Jeśli rzeczywiście zżera cię pragnienie stukania na maszynie i podawania kawy, to od dziś możesz wypisywać listę zakupów na maszynie, a co do kawy, to może zrobiłabyś mi filiżankę?

Jedynym rezultatem tych codziennych batalii było to, że przesiadywałam całymi dniami przed telewizorem, opychając się ciastem, paczkowanym spaghetti z serem od Stouffera, mieszanką tortową Schraffta i wszystkim, co tylko było pod ręką. Gdy przychodziło popołudnie, zwlekałam się z sofy i z udręką w duszy podchodziłam do szafy, żeby wyszperać coś, co dałoby się wcisnąć na moje groteskowe ciało, a następnie odbywałam rytualną pielgrzymkę do sklepu spożywczego, po zakupy na kolację. Posiłek ten musiał być podany dokładnie o siódmej, tak, aby Eryk Ornstein mógł spożyć go przy wieczornym dzienniku, bez patrzenia na swoją nieszczęsną żonę.

Mama, która dawniej ostrzegała mnie, że się roztyję, o ile wcześniej nie wyjdę za mąż, czuła się zdezorientowana: nie mogła pojąć, jakim sposobem doszło do takiej katastrofy, skoro posłusznie spełniłam to, czego ode mnie oczekiwała. Tego po prostu nie było w scenariuszu.

— Maggie, kochanie. — Przemawiała do mnie, jakbym była niespełna rozumu, tonem, którym - jak sobie wyobrażałam - psychiatrzy nakłaniają

samobójców do zejścia z parapetu, a policjanci próbują wyperswadować psychopatom zamiar wystrzelania swojej rodziny z broni maszynowej. — Maggie, kochanie, nie myśl, że cię krytykuję, ale czy zaglądałaś ostatnio do lustra?

Czy zaglądałam do lustra? Czy nie spostrzegłam przypadkiem, że moje dawniej wielkie, zielone oczy toną w obrzmiałych fałdach, nos w ogóle zniknął, a kości policzkowe — ongiś wyraziste — giną pod warstwą tłuszczu? Czy zwróciłam uwagę na swoje obwisłe piersi i talię proporcjonalną do monstrualnych ud i bioder? Czy spoglądałam ostatnio na swoje nogi — dawniej kształtne, o smukłych kostkach, a dziś tak tęgie, że kupując rajstopy, muszę szukać XL-ek? A moi wierni adoratorzy, robotnicy pracujący przy wykopach kanalizacyjnych, już nie gwizdali, kiedy przechodziłam obok — najcięższa z obelg, ostateczne świadectwo mojego upadku. Niezliczone godziny spędzone przed ekranem telewizora miały jednak pewien pozytywny skutek: budziły we mnie coraz gorętsze pragnienie zostania dziennikarką telewizyjną. Miałam już niezbitą pewność, że właśnie to chcę robić w życiu. Trzeba było tylko jakoś powstrzymać ten proces autodestrukcji i rozpocząć karierę.

— Maggie, kochanie, powiedz mi szczerze, co cię trapi? Może mogłabym ci pomóc — rzekła mama, podchodząc do lustra. Upięła pasemko włosów, które wymknęło się z jej porządnie zwiniętego koka i chusteczką przeniosła nieco pomadki z ust na policzki. — Biedna Maggie — powtórzyła z roztargnieniem — co cię trapi, może mogłabym jakoś pomóc?

Jak miałam wytłumaczyć mamie, która ponownie przysiadła w nogach mojego łóżka, czemu tak bardzo nienawidzę swojego życia, tego, że każdy



mój ruch jest kontrolowany przez mężczyznę, w przekonaniu którego najlepszym lekarstwem na wszystkie moje problemy jest „ciupcianie”. Eryk mówił mi to za każdym razem, gdy próbowałam mu uświadomić, że trzeba mi czegoś więcej do szczęścia, prócz zajmowania się jego osobą i zaspokajania jego potrzeb seksualnych. „Wiem, czego ci trzeba, Maggie. Trochę ciupciania i przestaniesz marudzić”.

— W Carnegie Hall prowadzą cudowne lekcje tańca - powiedziała mama. - Trochę ruchu i gimnastyki doskonale ci zrobi, ale chcę, żebyś najpierw poszła do doktora Feldmana. Zapisze ci małe tabletki na wyciszenie apetytu. Gwarantuję, że zrzucisz dwadzieścia kilo w niecałe trzy miesiące.

Była na pozór spokojna, lecz piskliwe brzmienie jej głosu sygnalizowało, że jest bliska hysterii. To dopiero byłby wstyd, gdyby Eryk Ornstein wypędził Maggie Sommers, ponieważ roztyła się, zbrzydła i krnąbrnie odmawiała mu posłuszeństwa. W tej chwili zadzwieczał dzwonek do drzwi i mama poszła otworzyć. To była Cara. Rozpoznałam charakterystyczne skrzypienie jej nieodłącznego wózka spacerowego, który hałaśliwie wtoczył się do mieszkania, po raz tysięczny odrapując farbę ze ścian przedpokoju. Najstarsze dziecko Cary poszło już do szkoły, toteż obecnie musiała się zajmować jedynie numerem dwa, podczas gdy numer trzy rósł spokojnie w jej brzuchu. Wtoczyła się do sypialni z nieśmiałym uśmiechem, zakłopotana, że widzi mnie w chwili takiego załamania. Maggie - ta, którą wszyscy uważali za twardą, upartą i samowolną, rozsypała się psychicznie, podczas gdy Cara, uznawana za bezbronną i słabą, nabiła wszystkich w butelkę i sprawnie radziła sobie z domem, mężem i prawie trójką dzieci.

— Urojona ciąża — zawyrokowała teraz.

— Przez pół nocy wertowaliśmy ze Stevenem jedną z jego książek medycznych i on doszedł do wniosku, że to z całą pewnością urojona ciąża.

W wyobraźni zobaczyłam, jak Cara i Steven, mój szwagier-psychiatra, siedzą w małżeńskim łóżu i rozpaczliwie szukają etykiety, która wytłumaczyłaby, czemu niszczy sobie życie.

— Steven martwi się o ciebie, Maggie — stwierdziła Cara. — A wiesz, że jedna z jego pacjentek ma identyczny problem?

— Nie o to chodzi — odpowiedziałam z irytacją.

— Chcę mieć pracę, a nie dziecko.

— No, to czemu nie pójdziesz do pracy? — spytała zniecierpliwiona. — Jeśli tylko na tym polega problem, to łatwo go rozwiązać: na pewno znajdziesz gdzieś pracę.

— Kiedy on mi nie pozwala — załkałam.

— Jak to ci nie pozwala?

— Co się tak dziwisz?

— Bo nie miałam o tym pojęcia — rzekła.

— Nigdy mnie nie pytałaś — odpowiedziałam. Cara rzuciła pytające spojrzenie na mamę, która tylko potrząsnęła głową. — Eryk zarabia dość pieniędzy; nie życzy sobie, żeby Maggie pracowała.

— To idiotyczne — stwierdziła Cara, sadowiąc się obok mnie. — Co jego zarobki mają z tym wspólnego?

— Praca Maggie polega na zajmowaniu się Erykiem, to on ją utrzymuje — wyjaśniła mama rzeczowo, po czym dodała: — Popatrz na siebie: jesteś najzupełniej szczęśliwa mogąc zajmować się Stevenem i dziećmi. Dlaczego ona musi tak dziwaczyć?

Cara uśmiechnęła się do mnie. - Ponieważ ja to ja, a Maggie to Maggie i jeśli chce pracować, to ma do tego pełne prawo. Gdybym zechciała pracować, Steven byłby wniebowzięty, jak długo sprawiałoby mi to przyjemność.

- Widzisz, mamó - załkałam znowu. - Sama widzisz: to nie w porządku.

- Caro — rzekła mama surowo - jeśli przyjechałaś tu po to, żeby dodatkowo ją rozdrażniać, to lepiej zabierz ten wózek i idź sobie.

- Nigdzie nie pójdę, chyba że Maggie mi każe.

— Znowu się do mnie uśmiechnęła.

- Zostań, Caro — poprosiłam, biorąc ją za rękę.

- W takim razie przynajmniej uświadom jej, że musi schudnąć.

- Musisz schudnąć - rzekła Cara cicho. - Ale sama o tym wiesz.

Przytaknęłam tylko ruchem głowy.

Mama podniosła słuchawkę i wykręciła numer doktora Feldmana - Irvinga Feldmana, znanego z prowadzenia kuracji odchudzających bogatych i sławnych grubasów. To właśnie jego kolorowe pigułki w małym pudełeczku z szarego plastiku

- dwie różowe rano, trzy zielone po południu i cztery pomarańczowe na noc - miały migiem sprowadzić mnie z powrotem do rozmiaru 6.

- Martwimy się jej stanem - szeptała mama, osłaniając słuchawkę dłonią. - Moj zięć, który jest psychiatrą, podejrzewa, że to urojona ciąża. Tak, doskonale, doktorze, jutro o drugiej. Tak, oczywiście, jestem panu naprawdę bardzo zobowiązana.

Odłożywszy słuchawkę, radośnie splotła dłonie.

- Jutro po południu rozpocznie się pierwszy dzień twojego nowego życia - oznajmiła triumfalnie.

— Pójdiesz, Maggie? - spytała Cara łagodnie.

Odwrociłam się od niej, ukryłam twarz w poduszce i stłumionym głosem wyszlochałam: — Pójdę tylko pod jednym warunkiem.

— No wiesz, Maggie — powiedziała mama sięgając po torebkę. — Jesteś naprawdę strasznie trudna — niewdzięczna, jak zawsze.

— Co masz na myśli, Maggie? — spytała Cara miękko.

— Chciałabym wiedzieć, kto przekona Eryka Ornsteina, że mam prawo iść do pracy? - spytałam dramatycznie, odwracając się do niej.

— Nikt — odparła z uśmiechem. — Po prostu zrobisz, co ci się podoba i do diabła z Erykiem Ornsteinem.

— Mam nadzieję, że weźmiesz ją na utrzymanie, kiedy znajdzie się na bruku, bo ja nie. — Z tymi słowy mama opuściła pokój, rozgniewana, lecz równie władcza jak zawsze.

Trzy tygodnie później, po pięciu sesjach z Feldmanem i piętnastu dniach ćwiczeń, schudłam pięć kilogramów i skończyłam pisać swój życiorys. Z chwilą gdy tylko udało mi się wcisnąć w coś przyzwoitego, postanowiłam zacząć dzwonić po ogłoszeniach i umawiać się na rozmowy kwalifikacyjne. Tego wieczoru, kiedy Eryk przyszedł z biura do domu, w milczeniu dałam mu do przeczytania życiorys. Odwieszając jego płaszcz do szafy w przedpokoju, widziałam kątem oka, jak wpatruje się w zapisany maszynowym drukiem arkusz papieru. Nagle śmiertelnie zbladł, chwycił się za serce i zaczął konwulsyjnie łapać powietrze otwartymi ustami, jakby się dusił.

— Co się dzieje? — krzyknęłam. — Co ci jest?

- Sam nie wiem — wybełkotał, opadając na krzesło - Słabo mi. Przynieś mi szklankę wody.  
Galopem pobiegłam do kuchni i wróciłam stamtąd ze szklanką letniej wody, którą podałam mojemu konającemu mężowi, chwytając go jednocześnie za nadgarstek, żeby wyczuć puls. W tym popłochu wytrąciłam mu szklankę z ręki, oblewając wodą jego szary prążkowany garnitur.

- Do cholery, Maggie! - wrzasnął. - Popatrz tylko, co narobiłaś.  
- Przestraszyłeś mnie, Eryku. Myślałam, że to zawał.  
- Nie, nie — odparł z rozdrażnieniem. — Niemi nie jest. To tylko nerwy.  
Wszedł do salonu i wbił posepne spojrzenie w okno.

- Po co tracisz czas na pisanie życiorysów, czy naprawdę koniecznie musisz mnie denerwować? Nie rozumiesz, że jeśli będę podenerwowany, nie będę w stanie pracować i zarabiać na twoje utrzymanie?  
- Wcale nie chcę, żebyś musiał mnie utrzymywać. Chcę, żebyśmy wspólnie zarabiali na życie.  
- Pozwól, że ściągnę cię na ziemię - powiedział ostro. - Po pierwsze, okazałaś się do niczego jako żona: doprowadziłaś się do takiego stanu, że wstydzę się zabrać cię do restauracji, a do tego pozbawiłaś mnie moich małżeńskich praw.  
Prawdę mówiąc, Eryk nie użył sformułowania „prawa małżeńskie”, lecz i tak doskonale zrozumiałam o co chodzi. Dosłownie cytując, wyraził się następująco: „Stałaś się tak gruba i odrażająca, że nie dotknąłbym cię za skarby świata”. A ponieważ zdążyłam już poznać wrodzone skąpstwo Eryka, byłam w stanie docenić całą powagę tego stwierdzenia.

— Nie dość, że zawiodłaś mnie pod tym względem — kontynuował — to jeszcze okazałaś się niezdolna do urodzenia zdrowego dziecka.

— Czy to moja wina? — spytałam ze łzami w oczach.

Nie raczył odpowiedzieć na to pytanie. — Po tym niepowodzeniu...

Nazywał moje martwe dziecko niepowodzeniem.

— Po tym niepowodzeniu tak się zapasałaś, że nie mogę nawet zmusić się do tego, by znowu cię zapłodnić. Zamieniłaś moje życie w piekło.

— Myślisz, że to dla mnie przyjemne, tak wyglądać? — krzyknęłam.

— Zamknij się i słuchaj, Maggie. W tym momencie mało mnie obchodzi co czujesz. Miałem prawo oczekiwać czego innego. Byłem gotów ofiarować ci rajskie życie — setki kobiet połaszczyłyby się przede mną, żeby tylko zostać panią Ornstein.

— Płaszczyłyby się, Eryku — poprawiłam go.

— Chciałaś powiedzieć, że płaszczyłyby się przed tobą.

— Chciałem powiedzieć, że byłyby wdzięczne!

— wrzasnął. — To właśnie chciałem powiedzieć. Kłótnia przeciągnęła się do późnej nocy i stale schodziła na temat mojego zmarłego dziecka. W końcu odważyłam się zadać zakazane pytanie.

— Czy to był chłopiec, czy dziewczynka, Eryku? Proszę, powiedz, czy dziecko było chłopcem, czy dziewczynką? — Eryk spojrzał na mnie z niesmakiem zmieszonym z wściekłością. Systematycznie odrzucał moje prośby o ujawnienie płci martwego noworodka, w czym solidarnie wspierała go zarówno moja rodzina, jak i lekarz, ponieważ wszyscy zgodnie uznali, że taka informacja mogłaby źle

wpłynąć na mój stan psychiczny. Mnie jednak ten argument nie trafiał do przekonania: miałam wewnętrzną potrzebę, aby odczuć stratę istoty, którą nosiłam w sobie przez dziewięć miesięcy, istoty, której nie pragnęłam, ale której przecież dałabym życie. I czułam się winna śmierci tego dziecka, bo byłam pewna, że w jakiś sposób wyczuwało, że je odrzucam. Nie mogłam jednak przełamać tej zмовы milczenia, w której wszyscy zjednoczyli się pod hasłem: „Tak jest najlepiej dla Maggie”.

— Co to było, Eryku? — powtórzyłam cicho.

— Jeśli obiecasz mi, że schudniesz — odparł w końcu — jeśli będziesz starała się mnie zadowolić i przyrzekniesz, że już nigdy więcej nie padnie między nami żadne słowo na temat twojej pracy, to ci powiem. — Brzmiało to tak logicznie, tak rozsądnie, że chyba tylko moim oczywistym obłędem można wytłumaczyć fakt, iż odmówiłam.

Patrząc na niego chłodno, powiedziałam tonem, jakiego nigdy dotąd u siebie nie słyszałam: - Nie wchodzę Eryku, nie będziemy się o to targować.

Temat został wyczerpany i już nigdy nie dowiedziałam się, czy to był chłopiec, czy też dziewczynka.

### *Rozdział 3*

*Duży pokój w białym domku z prefabrykatów przy Hylan Boulevard, należącym do Rose i Tony'ego Valerich, jest mauzoleum ich syna. Na ścianie oklejonej tapetą wytłaczaną w złoto-czarny deseń, pod wielkim drewnianym krucyfiksem, wiszą fotografie Joego otoczone pękami kwiatów. Migawki z krótkiego życia Joe Valeriego — maturalne zdjęcie uśmiechniętego chłopca w czarnej czapce i todze; portret nieco starszego — z paczką papierosów wsuniętą za zrolowany rękaw białego podkoszulka — spoglądającego wyzywająco w obiektyw; fotografia już dojrzałego młodego mężczyzny, bawiącego się z małym owczarkiem niemieckim.*

*Rose szlocha obejmując mnie, z twarzą ukrytą na moim ramieniu. Spazmatyczny płacz wstrząsa jej pulchnym ciałem. Tony stoi przy nas, jego szeroką pierś okrywa czerwona flanelowa koszula w kratę zapięta pod samą szyję, wielki brzuch wylewa się z wyświechtanych niebieskich spodni. Przestępuje z nogi na nogę zawstydzony łzami, które płyną mu po twarzy.*

*Rose odsuwa się ode mnie i wyciera oczy pomiętą chusteczką. Chowa ją z powrotem do kieszeni*



fartucha w różowe kwiaty i potrząsa głową: — Przepraszam, że tak się rozkleiłam.

Tony zbliża się i bierze moją rękę w swoje wielkie stwardniałe dłonie. — Dziękuję, że pani do nas przyszła — mówi z prostotą. — Joey był naszym jedynym synem, mieliśmy go jednego.

Siadają tuż przy sobie na kanapie obitej białym brokatem i zasłanej dla zabezpieczenia przezroczystą ceratą, jakby ta fizyczna bliskość łagodziła ich smutek.

— Był dobrym chłopcem — stwierdza Tony, przetykając łzy. — Nigdy nie zrobił nikomu krzywdy. Przygryzam dolną wargę, żeby powstrzymać się od płaczu. Nie chcę, żeby czuli się w obowiązku mnie pocieszać. Sami tak bardzo potrzebują tego, żeby się komuś wyzalić.

— Był naszym jedynym synem — powtarza Tony, wydmuchując nos. — Rose nie mogła mieć więcej dzieci. Próbowaliśmy, ale dwa razy poroniła.

— Znowu zaczyna płakać. Rose bezradnie klepie go po udzie. Próbuję coś powiedzieć, ale słowa utykają mi w gardle.

— Ma pani krewnych tu, w Nowym Jorku?

— pyta Rose. — Przyjechała pani spędzić Boże Narodzenie wśród swoich?

Jak mam powiedzieć tej prostej, dobrej kobiecie, którą właśnie odarto z macierzyństwa, że jestem tu od wczoraj i jeszcze nie zawiadomiłam rodziców o swoim przyjeździe? Jak mam opowiedzieć tym zrozpaczonym ludziom o dziecięcych sercach, którzy otrzymali szarą metalową urnę w prezencie gwiazdkowym, że spędziłam pierwszy dzień świąt na pokładzie samolotu El Al-u, zapadając w coraz głębszą rozpacz w miarę zbliżania się do domu?

Tępy ból, który czuję gdzieś w środku, rozpaczliwa tęsknota za Avim, który jest teraz tak daleko, wydają się takie błahe w zestawieniu z ich strasznym cierpieniem. Poza tym, mimo że w tej chwili łączy nas ból z powodu śmierci Joego, zdają sobie sprawę, że pewnych rzeczy nie potrafiliby zrozumieć.

— Joey mówił, że ma pani spędzić z nami Święto Dziękczynienia — zauważa Tony nieśmiało. — Gdybyśmy tylko wiedzieli, że jest pani tutaj, zaprosilibyśmy panią na Gwiazdkę. Byliśmy zupełnie sami. — Płacze. — Nie ma już naszego chłopca.

Rose przyciska jego głowę do piersi i kołysze ją łagodnie.

Jeśli jest ktoś, kto nie powinien być pozbawiony daru rodzicielstwa, to właśnie tych dwoje. Siedząc tak i patrząc, jak zmagają się z ogromem poniesionej straty, zadają sobie pytanie, czy list do Very i Alana Sommersów nie mógłby częściowo rozwiązać problemu: list z prośbą o pozwolenie na adopcję ich młodszej córki, Marguerite.

Oczyrna wyobraźnia widzę, jak ojciec otwiera drzwi apartamentu państwa Sommersów i schyla się po listy leżące na słomiance, opatrzonej wytwornym monogramem vSa. Rozdziera obcą niebieską koperkę bez adresu zwrotnego, przebiega wzrokiem list, po czym podaje go Verze, która właśnie starannie wmasowuje krem Nivea w twarz i szyję.

*Szanowni Państwo!*

*Nasz syn, Joey, zginął niedawno w Libanie i Maggie odwiedziła nas w naszym domu na Staten Island, który, nawiasem mówiąc, jest już spleacony. Tony wpłacił ostatnią ratę w zeszłym roku, kiedy dostał dodatek kombatancki do emerytury. Niech Państwo nie myślą, że mamy*

*jakieś długi. No więc, kiedy tak sobie siedzieliśmy, rozmawialiśmy i płakaliśmy, Maggie nagle wpadła na pomysł, że mogłaby zastąpić nam syna — to złagodziłoby nas ból, tak powiedziała. Zgodziliśmy się, bo faktycznie byłoby nam lżej na duszy. Gdybyśmy zaadoptowali Maggie, czulibyśmy się mniej samotni, a Państwo przecież są tacy zajęci. Jak już pisaliśmy, nasz syn, Joey, został zabity tuż przed Świętem Dziękczynienia.*

- Mhm - mruczy Vera. - To wyraźnie bardzo prości ludzie. Spójrz tylko, jaki to tandetny papier, Alanie.

— Owszem, moja droga, ale mimo to wydają się dość uczciwi - odpowiada Alan, wsadzając nos w finansową rubrykę „New York Timesa”. - Sądzę, że to dobry pomysł.

- No więc, dobrze - ustępuje Vera - jeśli ty się zgadzasz, to i ja nie mam nic przeciwko temu. Rose Valeri powraca z kuchni z tacą w rękach. Z imbryka, malowanego w zielone wianuszki ostro-krzewu, nalewa trzy filiżanki herbaty i częstuje ciastkami domowej roboty, leżącymi na półmisku ozdobionym uśmiechniętymi Świętymi Mikołajami.

— Często oglądamy panią w telewizji - wyznaje nieśmiało. - Oglądamy z Tonym wszystkie pani programy.

— Wróciła pani na dobre? — zapytuje Tony.

- Nie, jestem tylko na urlopie. Moja agentka i szef biura uznali, że przerwa dobrze mi zrobi. - O mały włos nie dodaję, że codzienny kontakt ze śmiercią jest wykańczający psychicznie.

Próbuję powiedzieć im to, z czym noszę się od początku wizyty, ale słowa z trudem przechodzą mi przez gardło.

— Chciałabym państwu powiedzieć, jak wiele Joe dla mnie znaczył i...

Pochylają się ku mnie z nateżeniem, ponieważ właśnie na to czekali i mają do tego prawo.

— Joe nie cierpiał — udaje mi się wreszcie wykrztusić. — Stało się to tak szybko, że nawet nic nie poczuł. — Spoglądam w sufit, żeby łzy, które zebrały mi się pod powiekami, nie spłynęły na policzki.

— Czy miał na sobie kuloodporną kamizelkę? — pyta Tony niegłęboko.

— Tak, wszyscy musimy je nosić, takie są przepisy, ale...

— Ale ten pieprzony odłamek trafił go w samą głowę — konkluduje on z goryczą.

Nie zostało już wiele do powiedzenia.

— Niech panią Bóg błogosławi — mówi Rose, odprowadzając mnie do drzwi. — To naprawdę dużo dla nas znaczy, że pani przyszła. — Ociera oczy.

— Niech pani o nas nie zapomina — dodaje Tony, ściskając mi rękę.

Wymieniając pożegnalne uściski i pocałunki, mamy wszyscy świadomość, że więź, jaka łączy nas w tej chwili, nie przetrwa próby czasu. Rozluźni się, gdy tylko minie wstrząs wywołany gwałtowną śmiercią Joego.

Mroźny wiatr rozwiewa mi włosy, gdy stoję na dolnym pokładzie promu powracającego ze Staten Island. Opieram się o metalową balustradę i dygocząc z zimna otulam się ciasniej płaszczem z wielbłądziej wełny. W oddali widać już zarysy Manhattanu, stara łajba, skrzypiąc i stękając, wolno zbliża się do mojej rodzinnej wyspy. Kobieta z małym dzieckiem podchodzi do mnie i pyta: — Czy

pani przypadkiem nie jest Maggie Sommers z wiadomości ABN?

- Nie - odpowiadam cicho. - Kto to jest Maggie Sommers?

\* \* \*

Ostatni wspólny wieczór spędziliśmy w pseudo-francuskiej restauracji w Tel Awiwie, gdzie mechanicznie zjedliśmy kolację, mimo że żadne z nas nie miało apetytu. Zafrapował mnie kawałek smażonego pasztetu, pływający w kałuży żółtego tłuszczu na " moim talerzu.

- Dlaczego smażyście pasztet? - spytałam szefa sali. - W Paryżu się tego nie robi.

- Paryż! - zbył mnie lekceważącym machnięciem ręki. - Co oni tam wiedzą o pasztecie!

Avi i ja byliśmy nierozłączni od dwudziestego drugiego listopada, dnia szarej metalowej urny, jak weszło mi w zwyczaj go nazywać. Siedząc w restauracji, nieustannie myślałam o słowach Very: - Nie można budować szczęścia na cudzym nieszczęściu.

- Ależ mam - protestowałam - Eryk mnie niszczy, nie rozumiesz?

- Lepsze to, niż gdyby miało być na odwrót - zawyrokowałam. - Niech to on ma nieczyste sumienie.

Nie chciałam pamiętać dni spędzonych z Avim, naszych spacerów wzdłuż plaży w Tel Awiwie, nie kończących się rozmów, podczas których poznaliśmy się tak dobrze, że jedno mogło niemal czytać w myślach drugiego. Nie chciałam myśleć o naszych nocach, kiedy kochaliśmy się do kompletnego wyczerpania, zasypialiśmy bezwładni i złani potem, tylko po to, by obudzić się parę godzin

później i zacząć wszystko od początku. Nie powiedziałam mu jeszcze, że następnego dnia wyjeżdżam na nieokreślony czas z Izraela. Nie wiedział, że postanowiłam zostawić go na zawsze. Łzy, które przez ubiegły miesiąc wylewałam nad losem Joe Valeriego, miały też sporo wspólnego z rozterką, w jakiej byłam pogrążona, od kiedy poznałam Aviego. Wtargnął w moje życie, wypełnił je tak bez reszty, że nie byłam w stanie skoncentrować się na tym, co stanowiło dla mnie sens istnienia: na mojej pracy. — Może zbyt pochopnie położyłeś krzyżyk na swoim małżeństwie — zauważyłam, wycierając sos kawałkiem chleba.

Ni stąd, ni zowąd weszłam w rolę pani psycholog z poradni rodzinnej, przywracającej klientowi wiarę w jego męskie możliwości, by odesłać go do domu pogodniejszego i lepiej usposobionego do żony. Jeśli Maggie Sommers, ekspertka od problematyki małżeńskiej, nie umiała rozwiązać własnych problemów, to mogła przynajmniej rozwiązać cudze.

Avi spojrzał na mnie podejrzliwie, nie rozumiejąc, czemu raptem rzuciłam się na temat jego nieudanego małżeństwa.

— Słuchaj — powiedział, biorąc mnie za rękę — to nieprawda, że nie próbowałam ratować swojego małżeństwa. Ciągnąłem je przez piętnaście lat, choć od samego początku wiedziałem, że to była pomyłka.

— W takim razie, dlaczego się z nią ożeniłeś?

— Maggie — odpowiedział ze znużeniem — rozmawialiśmy już o tym tyle razy. Było to podczas wojny czerwcowej. Spotykaliśmy się już od paru miesięcy. Potrzebna mi była świadomość, że będzie

na mnie czekać, kiedy wrócę, albo jeśli stanie się to najgorsze i przegramy. Ale wojna skończyła się tak szybko, że nawet nie miałem możliwości przemyśleć tego, co zrobiłem. Wpadłem po uszy w robotę. Byłem tak zajęty ciągłymi szkoleniami i groźbą wybuchu następnej wojny, że nie zwracałem uwagi na swoje życie osobiste. Wiesz jak tu jest, wszystkim rządzi wojna lub ciągle niebezpieczeństwo wojny. - Musiałeś ją kochać - upierałam się Zmarszczył brwi. - Miałem dwadzieścia pięć lat co mogłem wówczas wiedzieć o miłości? Przypuszczam, że stało się to po trosze dlatego, że Ruth pochodziła z Afryki Południowej, co wydawało się bardzo egzotyczne w Izraelu, a po trosze dlatego że miała jasne włosy i niebieskie oczy, tak inne od włosów i oczu innych dziewcząt w kibucu. Ale co mogłem wtedy wiedzieć o miłości?

Co którykolwiek z nich wie o miłości, która przeminęła? Zawsze wypierają się uczuć, jakie dawniej żywili dla kobiety, kiedy uczucia te są już obumarłe - zupełnie jakby fakt, że ta miłość nie okazała się wieczna, miał ich zdyskwalifikować. Zupełnie jakby mogła mieć mu za złe, gdyby uczciwie przyznał się, że kochał ją, a potem przestał kochać.

- To jeszcze nie powód, żeby się żenić - powiedziałam.

- Powody, dla których to zrobiłem, nie mają teraz żadnego znaczenia - rzekł zniecierpliwiony - Nie muszę bronić czegoś, co i tak okazało się omyłką. Chodzi o to, że od samego początku była zimna i zamknięta w sobie, a kiedy wojna skończyła się w szesc dni, nie miałem czasu na analizowanie czegokolwiek, a co dopiero swojego małżeństwa.

- Co masz na myśli?

— Izrael nagle zdobył te wszystkie nowe terytoria, musiał wchłonąć dziesiątki tysięcy Arabów. Marzenie stało się rzeczywistością: dostaliśmy, czego chcieliśmy. Staliśmy się narodem.

— Co to ma do twojego małżeństwa?

— Wszystko — odpowiedział z uporem. — Byłem tak zajęty pracą, że nie miałem czasu myśleć o niczym innym. Mechanicznie spełniałem małżeńskie obowiązki między martwieniem się o granice a szkoleniem swojej brygady spadochronowej. Życie osobiste było luksusem — moja praca nie była zabawą, wisiała nad nami groźba fizycznej zagłady. Izrael przestał być abstrakcją.

— A więc zdradzałeś ją z pobudek patriotycznych. Czy może syjonizm był powodem tych wszystkich kobiet w twoim życiu — spytałam kąśliwie.

Avi uśmiechnął się lekko. — Wydaje mi się — odpowiedział wolno — że początkowo chodziło o zaspokojenie czysto fizycznych potrzeb, a potem o coś więcej. Szukałem ciepła, którego nie znajdowałem w domu, przy Ruth. I nienawidziłem sam siebie za każdym razem, gdy ją okłamywałem, dopóki nie znienawidziłem jej za to, że mnie do tego zmusza.

— Dlaczego miałabym wierzyć, że ze mną jest inaczej? - spytałam cicho — Dlaczego mam wierzyć, że właśnie na mnie naprawdę ci zależy?

Przycisnął moje palce do ust i z miejsca poczułam znajomą słabość w dołku, to obezwładniające uczucie odbierające mi wszelką zdolność racjonalnego myślenia.

— Maggie — powiedział — nie chcę nikogo prócz ciebie. Dajesz mi wszystko. Mam czterdzieści lat i jestem zmęczony podwójnym życiem. Chcę zbudować z tobą coś trwałego.



Wydało mi się, że słyszę pierwsze echa męskiego „łabędziego śpiewu”, owego krytycznego okresu, kiedy przy odkręconych piecykach gazowych znajduje się zwłoki porzuconych żon. Nagle wzięła we mnie górę kobieca solidarność, rycerskie pragnienie obrony nieszczęsnych ofiar, nawet tych, których mężowie stali się dla mnie wszystkim na świecie. Postanowiłam za wszelką cenę załatać małżeństwo swojego kochanka, Aviego Herzoga, zanim przetnę to, co nazwał najszcześniejszym miesiącem swojego życia — miesiącem, dzięki któremu znowu poczuł, że żyje.

— Avi — powiedziałam cicho. — Ja nie jestem dla ciebie. Potrzebujesz kogoś, kto poświęciłby ci cały swój czas, a ja nie mogę tego zrobić.

— Jesteś dla mnie — odrzekł, delikatnie dotykając mojego policzka — bo ciebie właśnie pragnę. No i proszę — odrzuciłam dziecko, które pomyślnym zrzędzeniem losu zmarło przy urodzeniu, uraziłam ojca, który posyłał mnie do prywatnych szkół, zawiodłam matkę, która próbowała wychować mnie na czarującą panią domu, zbuntowałam się przeciwko Bogu ducha winnemu mężowi-maklerowi, który oferował mi rajskie życie, i dokładałam wszelkich starań, żeby zrazić do siebie Aviego, a ten nadal mnie pragnął! Tak to jest z facetami — jak cię pragną, to cię pragną, i choćbyś była Lukrecją Borgia, Lizzie Borden i Medeą w jednej osobie, nic by to nie zmieniło. Jak cię pragną, to cię pragną i kwita.

— Dla ciebie najważniejsza jest wojna, a dla mnie praca — oświadczyłam, odsuwając jego rękę.

— Całe twoje dotychczasowe życie także było wojną, Maggie, twoją prywatną wojną.

— I ja to szanuję — mówiłam dalej, ignorując jego uwagę — bo taka miłość do ojczyzny jest

bardzo szlachetna, ale nigdy nie uwierzę, że byłbyś w stanie uszanować moją miłość do pracy.

— To, co do ciebie czuję, nie ma nic wspólnego z moim krajem ani z moją pracą. Nie ma nic wspólnego z wojną w Libanie. Po prostu jesteś częścią mnie.

Bo jak cię pragnę, to cię pragnę i w końcu to uczucie tak ich pochłania, że wszystko przestaje się liczyć. A zaczyna się tak niewinnie, od niepokojącego ćmienia między nogami, pojawiającego się na samą myśl o tobie, które nie wiedzieć kiedy osiąga katastrofalne natężenie. Bo jak cię pragnę, to cię pragnę i wszystko inne staje się nieważne.

— Nie zrozum mnie źle — mówię bardzo poważnie. — Szanuję pobudki, z których wasza armia wkroczyła do Libanu, choć, jak sądzę, w przyszłości będziecie musieli wziąć pod uwagę inne warianty rozwiązania kwestii palestyńskiej. Ale mimo wszystko szanuję wasze stanowisko. Położenie, w jakim się znaleźliście, nie jest łatwe i...

Avi potrząsnął głową. — To nad własnym położeniem powinnaś się zastanowić — przerwał mi — nad wojną, którą prowadzisz sama ze sobą.

Ale pora na to jeszcze nie nadeszła — był dopiero grudzień i Izrael nadal toczył wojnę w Libanie, a Maggie Sommers wciąż jeszcze walczyła sama ze sobą.

— Avi, wracam jutro do domu — rzekłam po chwili milczenia. — Wyjeżdżam na jakiś czas z Izraela.

— Wiem — odparł, gładząc mnie po policzku. — Wiem już od tygodnia.

*Tat aluf* Avi Herzog nie po to przeszedł szkolenie wywiadowcze, i to u samych asów, aby dać się zaskoczyć kobiecie, która pozwoliła mu zostawić

kilka par spodni, koszul i butów w swoim pokoju hotelowym. Ale ja nie na darmo byłam córką Very, i też umiałam niezgorzej manipulować faktami.

- Nie próbuj nawet mnie zatrzymywać — rzekłam w nadziei, że to właśnie zrobi. — Nie potrafię dać ci tego, czego potrzebujesz - tego, na co zasługujesz.

Nie odpowiedział, siedział tylko, bawiąc się popielniczką, z ustami zaciśniętymi w twardą linię. W milczeniu słuchał moich chaotycznych wywodów na temat wszystkiego, czego nie potrafię mu dać (bo gdybym, nie daj Boże, przyznała, że jednak potrafię, mogłabym stać się szczęśliwą kobietą, a to zepsułoby wszystko, a już najbardziej mój zamiar bycia nieszczęśliwą do końca życia).

- Z drugiej strony, Avi - podjęłam, żeby jakoś zapełnić chwilową przerwę w rozmowie - sam fakt, że mam absorbującą pracę, nie oznacza jeszcze, że nie mogę być kobietą. Ale może się mylę. Po pewnym czasie byłbyś mną zmęczony, a potem wybuchłaby następna wojna i miałbyś pretekst, żeby postąpić ze mną tak samo jak teraz z Ruth. - Nabrałam powietrza w płuca.

- Skończyłaś, Maggie? - spytał, przyglądając mi się współczująco swoimi ciepłymi brązowymi oczami.

Miałam ochotę go objąć. - Nie - warknęłam — wcale nie skończyłam, a w ogóle, to dlaczego nie miałeś z nią dzieci? Pewnie powiesz, że to też jej wina.

- Nie - odparł cicho. - To nie tylko jej wina. Trudno mieć dziecko z kimś, z kim się prawie nie rozmawia, ale takie rzeczy sama powinnaś wiedzieć.

- Wiem tylko, że nie mam zamiaru jeszcze raz przez to przechodzić. Nie chcę się znowu szarpać między pracą a domem i próbować być kimś innym niż jestem, dla kogoś, ktoś i tak mnie nie rozumie.

Uśmiechnął się. — Rozumiem cię lepiej niż ty sama siebie rozumiesz.

Znowu chciałam mu przerwać, lecz tym razem mnie powstrzymał. — Pozwól, że teraz ja coś powiem.

Ja cię wysłuchałem. — Położył rękę na mojej dłoni i gładząc moje palce, mówił: — Rozumiałem wystarczająco wiele, żeby nigdy nie wspominać o zamieszkaniu razem, bo wtedy od razu byś uciekła. Wiedziałem, że każda ingerencja w twoje życie musi być utrzymana w tajemnicy przed tobą.

— I na pewno się nie zmienię, więc możesz sobie od razu wracać do Ruth. — Ale już miałam łzy w oczach.

— Nic nie mówiłem, kiedy pracowałaś do drugiej czy trzeciej nad ranem. Godziłem się na ten wariacki rytm dnia, bo wiedziałem, że jest stałym elementem twojego życia, twojej pracy.

— Nie wyobrażaj sobie, że kiedykolwiek przestanie tak być — powiedziałam, ocierając mokrą twarz grzbietem dłoni.

— Zrozumiałem, w co się pakuję, w chwili gdy po raz pierwszy cię zobaczyłem, w chwili gdy się w tobie zakochałem, więc to żadna niespodzianka, Maggie. — Przycisnął moją dłoń do ust.

— I oczywiście teraz chcesz spróbować mnie zmienić. Zrobić ze mnie kogoś, kim w końcu sam zaczniesz gardzić.

— Nigdy nie próbowałbym cię zmieniać i nigdy nie mógłbym tobą gardzić.

— Zaczęłyby się od drobiazgów, miałbyś pretensje, że za mało jestem w domu i...

Odgarnął mi włosy z twarzy i spojrzał na mnie z czułością. — Kiedy wracałaś do domu przysuwałem się tylko do ściany, żeby móc cię objąć i trzymać w ramionach, aż zaśniesz.

Potrząsnęłam głową. — Chciałeś mi dokładnie uświadomić, ile stracę wyjeżdżając, no nie?

— Zapominasz o tym, co ja sam stracę.

— Może gdybyś był taki z Ruth, nie byłaby taka zimna i zamknięta w sobie.

Wziął w dłonie moją spłakaną twarz. — Przestań się bawić w jej adwokata, Maggie. Znam ją lepiej niż ty. Nigdy nie komplikowała mi życia, bo była całkowicie przewidywalna.

— To oczywiście ma znaczyć, że ja ci komplikuję życie?

Milczał chwilę. Zapalił jedno z tych swoich małych czarnych cygar i zaciągnął się głęboko. - Z pewnością nie dajesz mi tego rutynowego poczucia bezpieczeństwa, które miałem żyjąc z nią.

— W takim razie czemu mnie chcesz?

Jego usta już prawie dotykały moich. - Jesteś najbardziej podniecającą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem, i mam nadzieję, że w końcu przyjmiesz do wiadomości, że mnie kochasz.

— Dlaczego sobie wyobrażasz, że cię kocham?

— spytałam, choć wiedziałam, że sprawy zaszły już za daleko.

Wypuścił kłęb dymu i spojrzał na mnie zmrużonymi oczyma. — Jeśli mnie nie kochasz i nie masz zamiaru zbudować ze mną czegoś na kształt normalnego życia, to może rzeczywiście lepiej wyjedź.

Nie będę próbował cię zatrzymywać.

— Ach tak, teraz rozumiem. Jeśli kobieta zapewnia ci coś na kształt normalnego życia, szybko zaczyna cię nudzić, a jeśli nie chce się nagiąć do twoich wymagań, uznajesz, że nie warto sobie nią zawracać głowy i pozbywasz się jej przy pierwszej lepszej okazji.

— Do diabła, czy ty nigdy nie jesteś zadowolona?

— wybuchnął.

- Nigdy nie zrozumiesz — rzekłam z goryczą.
- Kiedy wreszcie miałam wszystko poukładane, musiałeś przyjść i wszystko zniszczyć.
- Przestań ze mną walczyć, Maggie. Kocham cię.
- Odwieź mnie do domu, Avi. Muszę się spakować.
- Cały kłopot z tobą, Maggie Sommers, polega na tym, że sama nie wiesz, gdzie jest twój dom
- powiedział ze smutkiem.

Tej nocy położyliśmy się do łóżka i nawet się nie dotknęliśmy. Następnego ranka pojechaliśmy w milczeniu na lotnisko Ben Guriona, gdzie Avi machinalnie pomógł mi nadać bagaż i zczekał, aż przejdę przez odprawę. Kiedy zapowiedziano odlot mojego samolotu, wolno poszliśmy razem do wyjścia. Dopiero wówczas, w momencie gdy miałam już zniknąć z jego życia na zawsze, wziął mnie w ramiona i powiedział: — To nie koniec, Maggie. Nic się nie skończyło.

Idąc w kierunku samolotu, nie obejrzałam się ani razu — bałam się, że Aviego Herzoga już nie będzie, a chciałam zapamiętać go takim, jak wtedy. Chciałam na zawsze zachować w pamięci moment, w którym stał tam kochając mnie.

Przeprawa dobiega końca. Prom dobija do przystani w Battery Park i myśl o powrocie do pustego mieszkania w Greenwich Village wydaje mi się nagle mało nęcąca. Postanawiam przejść się Szóstą Aleją, aby odnowić znajomość z miastem, które teraz wydaje mi się takie obce. Ironia polega na tym, że każdy róg ulicy, każdy dom, każdy słup ogłoszenio-

wy wywołuje wspomnienia, które nie przynoszą mi najmniejszej pociechy. To, co znajome, sprawia mi ból, a to, co nowe, budzi we mnie uczucie bliskie lęku. Przemykam przez tłum płynący chodnikami, mijając bezdomnych leżących w rynsztokach, ulicznych sprzedawców zachwalających głośnym krzykiem swoje towary lub gotujących coś na przenośnych piecykach i zastanawiam się, czemu wszystko wydaje mi się tak bardzo zmienione, inne niż dawniej.

Ale to nie tylko miasto się zmieniło, choć rzeczywiście jest jakby brudniejsze i bardziej zatłoczone. To ja jestem inna, w głowie mam zamęt i nie umiem sobie poradzić z własnymi uczuciami. Trudno dokładnie określić, w którym momencie zaczęłam tracić kontrolę nad swoim życiem, kiedy wszystko tak się skomplikowało. Drepcząc dalej, pocieszam się tylko myślą, że niektórzy ludzie nadal są ze mną, gotowi nieść mi pociechę i wsparcie.

\* \* \*

Przez cały ostatni rok regularnie widywałam Quincy. Szybkie lunchy w ciągu tygodnia i długie miłe popołudnia na jej zaadaptowanym strychu w SoHo stanowiły pożądane urozmaicenie w nudnym, monotonnym życiu pani Ornstein. Ani razu nie odważyłam się przyjść z Erykiem, ponieważ czułam instynktownie, że moja nowa przyjaciółka nie spodobałaby mu się. Była zdecydowanie nie w jego typie: agresywna, inteligentna i świetnie ustawiona zawodowo. Fakt, że była mężatką i do tego szczęśliwą, zbiłby go z tropu, bo nie mógłby zaklasyfikować jej do kategorii znikomych feministek. Jak się wydaje, Quincy rozumiała, że jest jeszcze za wcześnie na to, abym zrobiła coś ze swoim życiem.

— Maggie — mówiła mi niezliczoną ilość razy.

- Masz dość oleju w głowie, aby wiedzieć, że chętnie ci pomogę, kiedy wreszcie zdecydujesz się spojrzeć prawdzie w oczy.

— Jeśli kiedyś dojdę do tego, jaka to prawda, dam ci znać — odpowiadałam zazwyczaj. — Dzięki za dobre chęci, Quince.

Ale okropna prawda wypływała na wierzch samoistnie, w miarę jak zacierało się moje podobieństwo do tej Maggie Sommers, którą niegdyś znała Quincy. Im gorzej ze mną było, tym bardziej wstydziłam się pokazać jej na oczy.

— Ostatnio rozmawiamy wyłącznie przez telefon

- żaliła się. - W ogóle cię nie widuję.

— Jestem strasznie zajęta urządzaniem domu

- kłamałam. - Szafy, szuflady, narady z dekoratorem. Muszę najpierw uporać się z tym bałaganem.

Ale wymowne milczenie panujące w słuchawce wyraźnie świadczyło o tym, że mi nie wierzyła, jakkolwiek była zbyt uprzejma, żeby nalegać. W końcu, kiedy udało mi się zrzucić pierwszych dziesięć kilogramów, zdobyłam się na odwagę, żeby umówić się z nią na lunch w telewizyjnej kawiarni, w przekonaniu, że teraz szok nie powinien być zbyt wielki. Myliłam się. Odziana w bezkształtną, ale elegancką czarną sukienkę, sięgającą dobrze poniżej grubych kolan, udałam się taksówką do gmachu w stylu Art Deco w Centrum Rockefellera. Wjechałam windą na czterdzieste trzecie piętro, odczuwając jedynie lekki niepokój. Okna eleganckiego beżowo-brązowego gabinetu wychodziły na lodowisko, z którym wiązały się jedne z nielicznych miłych wspomnień z okresu mojego dzieciństwa. Ale kiedy tylko zobaczyłam jej minę, z miejsca pożałowałam, że przyszedłam.



- Chyba darujemy sobie lunch - zawyrokowała, opierając się ciężko o biurko. - Na litość boską coś ty ze sobą zrobiła?

- Było znacznie gorzej - odparłam, opuszczając się na jeden z pluszowych foteli. - Właśnie schudłam o dziesięć kilo.

- Och, Maggie! - wykrzyknęła, odsyłając gestem sekretarkę. - Nic dziwnego, że nie chciałaś się ze mną zobaczyć. Dlaczego to zrobiłaś?

Krzyżując nogi w kostkach tak, aby moje poodcieranym uda nie stykały się ze sobą, odparłam z wymuszonym spokojem: - Chyba sama nie wiedziałam, jak bardzo jestem nieszczęśliwa. Bałam się do tego przyznać sama przed sobą, bo wtedy musiałabym coś z tym zrobić, więc po prostu przekreśliłam ostatnią szansę, jaką miałam. Jadłam i jadłam, żeby nie pozostało mi już nic innego, jak tylko siedzieć w domu.

- No i faktycznie ci się udało, jeśli to dla ciebie jakaś pociecha. - Quincy nacisnęła guzik inter-komu i poleciła sekretarce przynieść dwie czarne kawy, trochę owoców i twarożek z kuchni położonej na zapleczu biura.

- Zjemy tutaj - oświadczyła - żebyś mogła mi o wszystkim opowiedzieć i żeby nikt cię nie zobaczył. W tym miejscu po prostu roi się od ludzi z telewizji.

Było mi coraz bardziej wstyd, ale fakt, że mimo wszystko zgadzała się mnie wysłuchać, dodał mi odwagi. - Pewnie się ucieszysz, że już ostatecznie zdecydowałam, co chcę robić - rzekłam, spodziewając się wybuchu radości.

Ale ona tylko gapiła się na mnie z niedowierzaniem.

- Chciałabym zajmować się poważną proble-

matyką, robić programy dokumentalne o Wietnamie albo o klęsce głodu w Etiopii.

- Nikt przy zdrowych zmysłach nie dałby ci do zrobienia żadnego materiału związanego z głodem - przerwała - więc chwilowo dajmy sobie spokój z tymi planami i skoncentrujmy się na tym, jak znowu zrobić z ciebie tę piękną kobietę, którą znałam. Powiedz mi, co robisz, żeby schudnąć?

- Byłam u lekarza, który przepisał mi tabletki na wyciszenie apetytu. Jednocześnie chodzę codziennie na gimnastykę do Carnegie Hall, żeby ćwiczyć mięśnie.

- Od jak dawna to trwa? Mam na myśli lekarza i ćwiczenia.

- Od niecałego miesiąca, a już zrzuciłam dziesięć kilo. Muszę tylko pozbyć się jeszcze jakichś piętnastu.

- Kochana, o tym nie musisz mnie przekonywać. - Uśmiechnęła się. - A co jesz?

Zjawił się nasz lunch. Podczas gdy Quincy uprzątała biurko, opisywałam jej swoje posiłki.

- Na śniadanie zazwyczaj kłócę się z Erykiem, więc wypijam tylko pół filiżanki czarnej kawy.

- Dobrze. A co na lunch, kiedy nie ma go w domu?

- Z lunchem nie ma problemu, przegryzam coś dopiero po zajęciach. Zawsze idę gdzieś z paroma osobami z kursu, które także są na diecie albo interesują się zdrową żywnością. Przeważnie zjadam tylko jogurt i świeże owoce.

- A obiad - gotujesz dla Eryka?

- Tak, z wyjątkiem niedziel. Robię rybę albo gotuję jakieś chude mięso. Cara dała mi garnek do gotowania jarzyn na parze, do tego czasem robię sałatkę z sosem vinegrette. Żadnych deserów, chleba czy wina. To naprawdę bardzo smutne.

– To, co widze, jest jeszcze smutniejsze - stwierdziła Quincy z powagą. - A co robisz wieczorem, jeśli zgłodniejesz przed pójściem spać? Wywołujesz następną kłótnię?

- Nie muszę - odparłam z uśmiechem - To przeważnie dzieje się samoistnie, bez wysiłku z mojej strony. Jest naprawdę bardzo zgnębiony moim stanem.

Quincy tylko potrząsnęła głową. - Nie tak zgnębiony, jak ty powinnaś być. A ubrania, Maggie? Przecież chyba nic na ciebie nie pasuje?

- Rzeczywiście nic, jeśli nie liczyć starych ciężowych sukienek Cary.

- Och, Maggie - powiedziała Quincy - Nigdy me pozwól, żeby ci mówiono, że jesteś tęga ale masz ładną twarz, bo to nieprawda. Wyglądasz koszmarnie i ani przez chwilę o tym nie zapominaj. <sup>J</sup>

Skończyłyśmy sałatkę owocową, gawędząc na różne tematy, aż wreszcie odważyłam się zadać pytanie, które chodziło mi po głowie od dwóch lat

- Quincy, czy mogłabyś mi pomóc? Chcę pracować w telewizji. Nie mówię o reportażach - jestem gotowa robić wszystko, żeby tylko się załapać

Wstała zza biurka, podeszła do wielkiego panoramicznego okna i przez chwilę tkwiła tam w milczeniu. Wreszcie odwróciła się z posepnym wyrazem twarzy.

- Mam rozległe kontakty w tej branży, ale nie mam zamiaru cię teraz nikomu przedstawiać Nie zrobię tego, jak długo będziesz tak wyglądać

Spuściłam głowę. Zdawałam sobie sprawę że ma słuszość, lecz me zmniejszało to mojego upokorzenia. Na szczęście Quincy nie należała do osób, które drażą nieprzyjemny temat. Usiadłszy za biurkiem

zaczęła wertować pękaty kołonotatnik, aż znalazła wizytówkę, której szukała. Podniosła słuchawkę i wykrciła numer.

— Nick? Mówi Quincy — rzuciła w słuchawkę. — Świetnie, a ty kochanie? Zastanawiałam się nad twoją prośbą i chyba znalazłam kogoś, kto idealnie by się do tego nadawał. Jest tylko jeden problem. W tej chwili jest niezmiernie zajęta, może się z tobą spotkać dopiero za...

— spojrzała na mnie krytycznie znad okularów zsuniętych na czubek nosa — powiedzmy za jakieś dwa miesiące. Na razie kończy inną robotę, ale definitywnie chce się dostać do lokalnej informacji. Możesz zatrzymać dla niej ten etat? Tak, Nick, doskonale. Aha, zapomniałabym: nazywa się Maggie Sommers.

Quincy bynajmniej nie okłamała Nicka Spriga, naczelnego redaktora lokalnych wiadomości American Broadcast Network. Przez najbliższe dwa miesiące miałam istotnie być niezmiernie zajęta: zrzućcie piętnastu kilogramów wymagało morderczej pracy.

— Powiem ci, co zrobimy — oznajmiła Quincy.

— Za mniej więcej dwa miesiące, zakładając, że wywiążesz się z umowy, zadzwonię do Nicka Spriga i umówię cię na rozmowę kwalifikacyjną. Na razie daj mi swój życiorys, żebym mogła go przesłać do ABN.

— Masz — powiedziałam, wciskając jej kartkę w rękę. — Napisałam tam nawet, że umiem pisać na maszynie z szybkością sześćdziesięciu słów na minutę.

— Jeśli to napiszesz, dokładnie to będziesz robić przez następne trzydzieści lat — odparła, naciskając guzik interkomu, żeby wezwać sekretarkę. — Ellen,

weź ten życiorys i wymaż to zdanie o maszynopisanu, dobrze? Zrób mi trzy kopie.

- Sluchaj, a tak nawiasem mowiac, to co mam tam robic?

- Najprawdopodobniej na początku będziesz czymś w rodzaju gońca, osobą do wszystkiego, poki nie nauczysz sie, jak wyglada praca nad dziennikiem.

- A potem?

Odpowiedziała z uśmiechem: - Jeśli nie przyznasz się że umiesz pisać na maszynie - bo wtedy od razu by cię zaszufldkowali, a do tej roboty, która cię interesuje, wzięli kogoś innego - to prędzej czy później dadzą ci to czego chcesz.

- Czego ja chcę?

Rzuciła na mnie szybkie spojrzenie: - Chcesz dostać się na wizję.

Z namysłem przygryzłam dolną wargę

- A me? - spytała.

- Tak mi się zdaje.

Ale Quincy nie była specjalnie ciekawa, co myślę na ten temat. W tym momencie zajmowało ją tylko to, jak doprowadzić mnie do formy. - Masz tu przychodzić co tydzień, żebym mogła sprawdzać czy robisz postępy - oświadczyła. - Pamiętaj że zainwestowałam w ciebie, Maggie Sommers. Od tej chwili jesteś moją klientką.

Ale była również moją przyjaciółką. Przysuwając się do mnie razem z krzesłem, rzekła łagodnie- Cokolwiek się zdarzy, bez względu na to, jak świetnie ci się ułoży, czy jak wystrzałowó będziesz wyglądać, nie chcę, żebyś kiedykolwiek zapomniała o tym, jak czujesz się w tej chwili. Chcę, żebyś zawsze pamiętała, że wyglądałaś tak okropnie, że nie po-

zwoliłam ci się z nikim spotkać. Nigdy więcej nie próbuj się zniszczyć, proszę cię.

Ze łzami w oczach spytałam: - Dlaczego zawracasz sobie mną głowę?

Zaśmiała się gardłowo i wstała. — Ponieważ jesteś bystra, masz poczucie humoru i najwyraźniej szukasz w życiu guza. Właśnie takich kobiet trzeba nam w tej firmie.

Posłuszna jej rozkazowi, zgłaszałam się co tydzień na kontrolę, mimo że czasami była zbyt zajęta, żeby zamienić ze mną choćby słowo. Nie miało to znaczenia, bo wynalazłyśmy nasz własny rytuał.

Wsadzałam głowę w drzwi jej gabinetu, a ona szybkim gestem zapraszała mnie do środka.

Rozchylałam poły płaszcza i okręcałam się dokoła, następnie unosiłam spódnicę do połowy uda i czekałam, aż podniesie w górę kciuk na znak aprobaty. Wszystko to działo się w obecności osłupiałych dyrektorów, producentów i szefów najrozmaitszych działów ABN, którzy nigdy nie zrozumieli sensu mojej pantomimy ani uciechy Quincy. Wreszcie, po upływie dwóch miesięcy, ponownie zasiadłam w jej gabinecie, tym razem z notesem opartym na obecnie już smukłej nodze. Słuchałam, jak rozmawia z Nickiem Sprigiem.

— Jutro o dziesiątej - mówiła. - Tak, będzie tam. Dziękuję, Nick.

— Jestem ci taka wdzięczna — powiedziałam, kiedy się rozłączyła.

— Nie bądź wdzięczna — odrzekła szczerze. — Po prostu nigdy więcej nie rób czegoś podobnie głupiego.

Reprezentacyjny hall budynku ABN był nieraz reprodukowany w „Architectural Digest” jako przykład „otoczenia przyjaznego twórcom”. Na

pastelowoszarym dywanie stały plastikowe i chromowane meble oraz barwne ceramiczne naczynia w których pieniała się bujna roślinność. Ściany pokrywała niebieska tapeta o mięsistej fakturze na której wisiały grafiki najmodniejszych współczesnych plastyków. Młodzi ludzie, ubrani w czerwone blezery z literami ABN wyhaftowanymi na kieszeniach, stali sztywno jak manekiny, z rękoma za plecami ożywając jedynie wtedy, gdy na horyzoncie pojawiała się jakaś wycieczka, którą należało oprowadzić po gmachu.

Strażnik podał mi plastikową przepustkę z czarnym nadrukiem „Gość”. - Prosto, a potem w prawo — powiedział.

Poszłam długim krętym korytarzem, aż znalazłam się w przedsionku wyłożonym poplamionym, żółtym linoleum, na wprost zdezelowanej windy, której wygląd wzbudził we mnie wątpliwość, czy zdołam bezpiecznie dojechać na trzecie piętro, do pokoju wydania. Później przekonałam się, że w tej firmie wszystko jest tylko na pokaz, atrakcyjna fasada ma za zadanie uwodzić sponsorów finansujących programy i utrzymywać zwiedzających widzów w przekonaniu, że telewizja jest w życiu równie olśniewająca jak na ekranie.

Dychawiczna winda zatrzymała się z gwałtownym szarpnięciem i wysiadłam. Powitał mnie następny korytarz, którego monotonię ożywiały jedynie rząd drzwi opatrzonych tabliczkami, na których wyryte były jedynie stanowiska właścicieli gabinetów - bez imion i nazwisk. Jak później odkryłam rotacja stanowisk na szczeblu kierowniczym jest tak szybka że nikt nie zadaje sobie trudu rycia coraz to nowych nazwisk na tabliczkach. Wreszcie, po nieskończeniu długiej wędrówce przez pokryte wy-

kładziną korytarze, dotarłam do rozsuwanych szklanych drzwi, na których widniał napis: NIE UPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Wchodząc nieśmiało do środka, zauważyłam wiszące na ścianach fotosy „gadających głów”, prezenterów wiadomości, sportu i pogody, za których roczne honoraria można by karmić całą ludność przeciętnego afrykańskiego kraju przez pięć lat. W krótką chwilę po tym, jak spytałam o Nicka Spriga, z jednej z klitek przylegających do pokoju wydania wynurzył się mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna o znękanym wyglądzie, z podkrążonymi oczami i papierosem w zębach.

- Nick Sprig - przedstawił się, wyciągając rękę.

- A pani, to pewnie Maggie Sommers. Proszę za mną. - Był wysoki, muskularny i szedł elastycznym krokiem sportowca.

Pokój wydania był ogromny i szczelnie wypełniony długimi rzędami biurk, tworzącymi istny tor przeszkód dla nie wtajemniczonych, którzy nie opanowali jeszcze sztuki manewrowania w labiryncie ciasnych przejść. Na każdym biurku stał telefon i mały mófiitor wyposażony jedynie w sam obraz, bez dźwięk^ Całą szerokość jednej ze ścian zajmowała wielka czarna tablica - jak się później dowiedziałam, zawierała ona tak zwany szpigel, czyli zestaw tematów, które miały się znaleźć w wieczornym wydaniu dziennika, wraz z zaznaczonym zieloną kredą czasem wejścia na antenę i długością emisji.

- To tylko wstępny scenariusz — zauważył Nick.

- Wszystko może się jeszcze zmienić, jeśli w ostatniej chwili wyskoczy jakiś ważny temat.

Bezpośrednio pod tablicą stał długi stół, który wydawał się centralnym punktem zbiorowej hysterii panującej w pokoju. Osiem dyżurujących przy nim



osób utrzymywało stałą łączność z wozami transmisyjnymi, miejskimi karetkami pogotowia, policyjnymi krótkofalówkami i strażą pożarną. Krzycząc na całe gardło do telefonów, przekazywały napływające informacje gdzieś dalej, a potem przez mikrofony zawiadamiały reporterów, zebranych w pokoju wydania, o krwawych i dramatycznych wydarzeniach, które akurat miały miejsce.

Nick szedł szybko, w przelocie odpowiadając na pytania, które rzucano mu, gdy klucząc w prawo i w lewo przedzierał się przez rozwrzeszczaną cizbę. Trzymałam się za nim krok w krok, toteż potknęłam się tylko jeden raz, kiedy wykonał nagły zwrot, zapominając mnie przedtem ostrzec. W końcu zatrzymał się przy jakimś gabinecie, otworzył drzwi i gestem zaprosił mnie do środka.

— Tutaj każdy, kto może zamknąć się w gabinecie, ma albo kartę ekranową, albo wrzód żołądka, bo odpowiada za to, żeby wszystko szło punktualnie i bez wpadek. Ja należę do tej drugiej kategorii. — Wyszczrzył zęby.

Wskazał mi krzesło, a potem okrążył czerwone metalowe biurko ginące pod stosem papierzysk.

Usiadł w czarnym obrotowym fotelu, nalał sobie wody z dzbanka ze stali nierdzewnej, wsadził do ust dwie aspiryny i połknął je krzywiąc się.

— A więc, chce pani pracować w telewizyjnej informacji.

— Tak — odparłam potulnie.

Nick wziął do ręki mój życiorys, leżący luzem na stosie akt, i niedbale rzucił na niego okiem.

— Potrzebuję redaktora bocznego. Oferujemy sto dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo z dodatkami, udział w zyskach po dwóch latach i premię po roku pracy.

Nie miałam zielonego pojęcia, co robi redaktor boczny, ale byłam pewna, że cokolwiek by to było, ja to potrafię.

— Jest pani zamężna? Kiwnęłam głową.

— Są dzieci?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

— A w planie?

— Absolutnie nie - oparłam z naciskiem, mając nadzieję, że Eryk nie wpadł na pomysł założenia mi podsłuchu w notesie.

— I oczywiście nie umie pani pisać na maszynie - stwierdził, trąc oczy ręką. - Znam to na pamięć.

Uśmiechnęłam się nerwowo. Nagle poczułam się niepewnie pod jego przenikliwym spojrzeniem.

— Niech pani się obróci. Usiadłam bokiem.

— Nie, tylko głowę — powiedział niecierpliwie. Instynktownie pokazałam mu swój „lepszy”, lewy profil.

— Myślała pani kiedyś o pracy na wizji? Ładna z pani dziewczyna.

Miał przyjść taki okres w moim życiu i karierze, kiedy określenie „dziewczyna” doprowadzało mnie do białej gorączki. Miała przyjść taka chwila, gdy zaczęłam napominać mężczyzn, z którymi pracowałam, że właściwym słowem jest „kobieta”. „Spróbuj tylko — przekonywałam. — Kobieta. Widzisz, to wcale nie takie trudne”.

Ale to nie była jeszcze ta chwila. Wtedy zakręciło mi się w głowie ze szczęścia, bo Maggie Sommers — dziewczyna — właśnie dostała propozycję pracy! Byłam tak podniecona, że zapomniałam nawet spytać, co robi redaktor boczny.

— Masz szczęście, Sommers — zauważył Nick.

Nagle dotarło do mnie, że podałam mu swoje panińskie nazwisko - krótko brzmiące i dobre do telewizji - w przewidywaniu chwili, w której ujrę je wśród napisów końcowych.

- Dlaczego mam szczęście? - spytałam cichutko.

Nick zapamiętałe grzebał w szufladzie biurka. - Ponieważ - odparł, nie podnosząc głowy - jestem tu najlepszy i nauczę cię wszystkiego o tym zasranym fachu. - Czkaając cicho, odwinął z papierka dwie białe tabletki, które wreszcie zdołał wyłowić spośród szpargałów zalegających szufladę, i wsunął je do ust.

- Idź na szóste piętro do działu kadr i wypełnij formularze. Zaczynamy w poniedziałek, okay?

- Oczywiście - odrzekłam z takim uczuciem jakby rosły mi skrzydła.

Byłam już na progu, gotowa natychmiast frunąć na gorę do działu kadr, kiedy dobiegł mnie jego śmiech. - Nie spytasz mnie nawet, czym zajmuje się redaktor boczny, Sommers?

Zaczerwieniłam się. - Miałam zamiar to zrobić ale...

- Zbierasz tematy ze stołu w pokoju wydania

- wyjaśnił - przepisujesz je porządnie na maszynie - przykro mi, mała - i przynosisz je mnie. Ja wybieram te, które znajdują się w naszym serwisie informacyjnym i przydzielam je reporterom, którzy biorą ekipę i jadą na zdjęcia Kapujesz?

- Kapuję - odparłam i uśmiechnęłam się.

- W takim razie, w poniedziałek o dziewiątej.

- A po krótkiej chwili dorzucił: - Lubię słabą kawę. - Nie zmartwiłam się, że mam pisać na maszynie i podawać kawę, bo w wyobraźni wciąż jeszcze napawałam się wizją nazwiska „Sommers”

wśród napisów końcowych. Nagrobek odpływał w bezpowrotną przeszłość. Byłam teraz w telewizyjnej informacji!

Trzy dni później, w niedzielę rano, zdałam sobie sprawę, że jeśli nie powiem Erykowi o rozmowie z Nickiem Sprigiem, to już nazajutrz stanę przed poważnym problemem, a mianowicie: jak wyjść do pracy. Chodziło mi nawet po głowie, żeby okłamać Eryka, lecz to tylko odwlekłoby sprawę.

Dostawałam jednak gęziej skórki na myśl o awanturze, jaka niewątpliwie nastąpi po tym wyznaniu.

Obecnie Eryk słuchał mnie dość uprzejmie, może nie tyle z zainteresowania, co dlatego, że znowu ważyłam pięćdziesiąt cztery kilogramy. Zakazał mi jednak poruszania takich tematów, które mogłyby wyprowadzić go z równowagi

i wpłynąć hamująco na przebieg jego psychoterapii.

- Wszelkie negatywne bodźce wywołują u mnie stany lękowe, a te utrudniają mi awansowanie w firmie. Fakt, że to przedsiębiorstwo taty, nie oznacza wcale, że nie muszę pracować równie ciężko, jak wszyscy inni.

- Tak powiedział twój psychoterapeuta? - spytałam.

- Tak. Obecnie pracuje nad zrównoważeniem moich emocji. Ponoszą mnie, kiedy nie mogę normalnie funkcjonować, co dzieje się wtedy, gdy coś uniemożliwia mi odnoszenie sukcesów w pracy, a to z kolei pogłębia moje stany lękowe. To błędne koło.

Moje życie było piekłem.

Systematycznie raczył mnie tym tłumaczeniem swojej nerwicy, ilekroć wsuwał się do łóżka z erekcją;

kolejne wyjaśnienie pojawiało się, kiedy ze mnie wychodził.

- Czemu znów założyłaś tę diafragmę, do cholery? Chcę dziecka. Zostajemy w tyle za innymi małżeństwami w naszym wieku i to mnie strasznie niepokoi. Znowu nie będę mógł skupić się w pracy. Tamtego niedzielnego poranka siedziałam w łóżku oparta o poduszki i przyglądałam się, jak Eryk robi przysiady.

- Jeślibyś teraz zaszła w ciążę, Maggie - siad, wyprost - jest dopiero październik - uff uff - i poród przypadałby na lipiec - uch, ech - co oznacza, że nie straciłoby roku szkolnego, jak dzieci urodzone w grudniu.

- Bach, bach - wymamrotałam bezgłośnie Dzień minął i nadszedł wieczór. Jak każdej niedzieli, szykowaliśmy się do wyjścia na naszą rytualną kolację w chińskiej restauracji, tylko że tym razem mieliśmy być sami, bez rodziców Eryka. Specjalnie o to poprosiłam. Te niedzielne kolacje zawsze dawały Mildred okazję do krytykowania mnie, a Harry'emu, okazję do krytykowania Eryka Obojgu, zaś umożliwiały wypytywanie nas, czemu jeszcze nie jesteśmy w ciąży.

- Słuchajcie no, wy dwoje - mawiał Harry co niedziela, a jego grube wargi lśniły od tłuszczu, gdy żarłocznie pochłaniał swoją ulubioną wieprzowinę *mu snu* - kiedy wreszcie zabierzecie się do rzeczy? Chcę zostać dziadkiem.

Podczas tych rozmów, Mildred zawsze przyglądała mi się podejrzliwie, a Eryk odpowiadał niezmiennie: - Spytaj ją, tato. To nie moja wina. - Na co Harry replikował: - Gdyby była moją żoną, wcale bym się nie pytał, po prostu bym to zrobił - co

słyszając Mildred przesywała mnie gniewnym wzrokiem, a przy tym pieszczotliwie muskała włosy Eryka upierścienioną dłonią.

Tamtego wieczoru byliśmy sami. Eryk spałaszował już cały talerz żeberek i kończył właśnie ostatni krokiecik z jajkiem. Widząc, że nawet nie tknęłam żadnej z potraw leżących na licznych półmiskach, zagadnął: — Nie jesteś głodna, Maggie? A może jeszcze się odchudzasz?

Po krótkiej pauzie rzekłam z bijącym sercem: — Chcę z tobą porozmawiać.

Podniósł oczy znad talerza i skinął głową na znak, że potrafi jeść i słuchać jednocześnie.

— Eryku, dostałam pracę w telewizyjnej sieci ABN. Będę redaktorką boczną, dają mi sto dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo. Zaczynam jutro i naprawdę strasznie się na to cieszę.

W słowach, które pośpiesznie wyrzuciłam z siebie, brzmiało więcej strachu niż radości, bo po prostu chciałam jak najszybciej mieć to za sobą. Kacie, czyń swoją powinność. Albo, jak powiedziałby Harry Ornstein, gdyby siedział tu z nami i był w stanie podzielić mój entuzjizm z powodu znalezienia pracy: „Szczęść Boże. Smacznego”.

Eryk odłożył widelec, osuszył usta białą płócienną serwetką, zżuł kasek, który jeszcze miał w ustach i spojrzał na mnie zmrużonymi oczami. Przełknął, pociągnął długi łyk wody, ponownie otarł usta i spytał: — Zrobiłaś to, nie pytając mnie o pozwolenie?

Zamrugałam nerwowo, ale nic nie odpowiedziałam. Ścisnęłam w ręce szklanę z wodą, w oczekiwaniu na atak nerwicy lękowej Eryka, ten jednak nie nastąpił. Siedzieliśmy bez słowa, czekając, aż kelner przyniesie rachunek. Opuściliśmy restaura-

cję pana Tonga i w milczeniu poszliśmy Trzecią Aleją w kierunku domu. Atmosfera była wyraźnie napięta, ale - o dziwo - nie bałam się, bo wiedziałam, że cokolwiek zdarzy się teraz, jutro znajdę się w pracy, w American Broadcast Network. Jednakże świadomość, że Eryk przegrał decydującą bitwę i był na najlepszej drodze do przegrania wojny, budziła we mnie więcej smutku niż triumfu. Stało się coś, czego nie przewidziałam: moje małżeństwo się kończyło. Udało mi się wreszcie dopiąć swego, ale przekonałam się, że jestem kompletnie nie przygotowana na konsekwencje tego zwycięstwa. Tam, w restauracji Tonga, coś się we mnie zmieniło, niespodziewanie zapragnęłam pocieszyć Eryka, powiedzieć, że wcale nie chciałam, żeby to tak wyszło. Ale on nigdy nie przyjąłby pociechy od kobiety, która wbiła mu nóż w przyrodzenie. I z dojmującym smutkiem uświadomiłam sobie, że nieprzypadkowo pomyślałam „przyrodzenie”, a nie serce - to, co wydarzyło się tego wieczoru, nie miało nic wspólnego z czymkolwiek sercem.

W milczeniu weszliśmy do naszego ciemnego mieszkania. Eryk zapalił światło i bez słowa odwiesił swój płaszcz do szafy w przedpokoju - na znak, że już straciłam prawo do tej drobnej usługi, ten drobny acz znaczący przywilej. Wszedł do sypialni, usiadł na łóżku i zaczął rozsznurowywać buty. Rozbierałam się powoli, starannie składając i chowając swoje rzeczy, przed nałożeniem nocnej koszuli. Eryk wyszedł z łazienki w beżowym jedwabnym szlafroku i władczy krokiem zbliżył się do łóżka. Wydarł mi gazetę z ręki i cisnął ją na podłogę. - Postanowiłem ci tego nie zabraniać, bo dobrze ci zrobi, jeśli się przekonasz na własnej skórze, jak ciężko zarobić na życie. Jesteś rozkapryszoną smar-

kulą, ale zamierzam przeczekać ten okres, o ile zrozumiesz, że moja cierpliwość ma jednak pewne granice.

Tamtego wieczoru zrozumiałam, że Maggie Sommers i Eryk Ornstein na pewno nie zestarzeją się razem. Zarazem jednak ogarnęło mnie przejmujące uczucie czułości dla tego człowieka, chyba dlatego, że po raz pierwszy od dnia ślubu mogłam go znosić jako wolny człowiek. Chciałam mu powiedzieć, że mamy jeszcze szansę coś uratować, ale i tak by nie zrozumiał, a ja nie umiałabym mu tego wytłumaczyć. Eryk Ornstein był równie nieszczęśliwy jak Maggie Sommers — uwikłany w tę samą pułapkę cudzych oczekiwań i wyobrażeń o tym, jacy powinniśmy być.

Nie protestowałam, gdy wdrapał się do łóżka i zgasił światło. Nie opierałam się, gdy sięgnął po mnie w ciemności i gniewny, sfrustrowany, zagrzebał się w moim ciele. To było nowe dla nas obojga. W domu państwa Ornsteinów wreszcie zapanowała równość — oboje byliśmy równie przerażeni.



#### *Rozdział 4*

Stojąc ze łzami w oczach przed kamerą, dokładnie w tym miejscu, gdzie parę godzin wcześniej zginął Joe, zauważyłam, że Avi stoi za operatorem i zaciskając pięści śledzi każdy mój ruch. Właśnie przed chwilą odmówiłam przeczytania tekstu, a konkretnie słów, którymi miałam rozpocząć relację o śmierci Joego.

„Dobry wieczór państwu - nie zgodziłam się powiedzieć. - Z Bejrutu dla wiadomości wieczornych Maggie Sommers. W ten dżdżysty, ponury wieczór w Bejrucie...”

Ciskając skrypt na ziemię, wrzasnęłam: - Nie będzie żadnego dżdżystego, ponurego wieczoru w Bejrucie!

Larry Frank, mój kierownik produkcji, podbiegł i desperacko próbował mnie uspokoić. - Dziewczyno, jesteś zmęczona, zdenerwowana, więc po prostu przeczytaj ten tekst, dobrze? - mówił pojednawczo. - Odwalmy to jak najszybciej i chodźmy spać.

- Nie jestem dziewczyną - wycodziłam przez zęby. - Jestem kobietą, a ty jesteś bezdusznym matolem, Larry, i żebyś wiedział, że jestem zdener-

wowana, ale możesz się wypchać. Nie przeczytam tego tekstu.

— W porządku, kochanie — odparł kojącym tonem. — Jeśli nie dżdżysty i ponury, to może zimny i deszczowy, albo nawet szary i posepny. Sama zdecyduj, serdeńko.

Ale mnie nie chodziło o stylistyczne przeróbki, po prostu nie zgadzałam się na sprowadzanie tej tragedii do banalnego komunikatu meteorologicznego, czy na mierzenie głębi naszego żalu na skali warunków klimatycznych panujących akurat w Bejrucie. Chciałam, żeby ta korespondencja była wzruszającą opowieścią o tym, jak pewien dwudziestosiedmioletni dźwiękowiec włoskiego pochodzenia, pracujący dla sieci ABN w Libanie, przypadkiem usiadł w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym momencie, podczas gdy ja szczęśliwym trafem usiadłam o dziesięć centymetrów dalej. W tym czasie zebrali się już wokół mnie wszyscy członkowie ekipy i ze spłoszonymi minami ściskali w zgrabiątych dłoniach kubki gorącej kawy. Powiodłam po nich wzrokiem, szukając jakiegoś znaku zrozumienia i poparcia, ale na wszystkich twarzach widziałam to samo — ulgę, że to nie na nich padło, i paniczny strach, że może ich jeszcze spotkać to samo, jeśli niespodziewanie rąbnie w nas kolejny zabłąkany granat.

— Maggie, kochanie — powiedział Larry z afektowanym spokojem. — Za dwie minuty wchodzimy na antenę, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, kiciuniu, przyłóż sitko do swoich pięknych warg i opowiedz tym miłym ludziom, którzy siedzą przed telewizorami, co stało się dzisiaj Joe Valeriemu, bo jeśli tego nie zrobisz, Maggie, skarbie — jego początkowo cichy głos stopniowo podnosił się coraz

bardziej, aż w końcu przeszedł w ogłuszający ryk

- jest bardzo prawdopodobne, że to samo się powtórzy i założę się, że wiesz dlaczego - ale na wypadek gdybyś zapomniała, przypomnę ci, Sommers: Jesteśmy na pieprzonej linii ognia, więc zaczynamy wreszcie, do jasnej cholery: Za minutę kręcimy! Dziękuję.

Kilka osób urządziło mu stojącą owację, miarowo bijąc brawo, ponieważ - trzeba uczciwie przyznać - udało mu się to wszystko powiedzieć jednym tchem. Zaiste imponujące. Ale ostatecznie i tak nie było niczego o dżdżystym i ponurym, ani zimnym i deszczowym, ani nawet szarym i posepnym wieczorze w Bejrucie i naprawdę szkoda, że Joe. nie mógł widzieć tej całej hecy, bo na pewno uśmiełby się do łez.

„Dobry wieczór państwu, mówi Maggie Sommers z obozu Sabra w Libanie, gdzie dziś wieczorem zginął ktoś, kogo wszyscy bardzo kochaliśmy: Joe Valeri...”

Tamtego tragicznego i żalosego wieczoru w Bejrucie, kiedy już było po wszystkim, Avi podszedł do mnie, bez słowa narzucił wytartą skórzaną kurtkę lotniczą na moje drżące ramiona i zaprowadził mnie do jeepa, który czekał zaparkowany w pobliżu.

- Teraz już wiem, dlaczego tak bardzo cię pragnę — powiedział miękko.

\* \* \*

Spacer od przystani do mojego mieszkania w Greenwich Village zupełnie mnie wykończył. Stojąc w przedpokoju, w pierwszej chwili nie poznaję twarzy, która spogląda na mnie z lustra: obcej kobiety, o podkrążonych oczach, ostrych kościach

policzkowych obciągniętych pergaminową skórą i skołtunionych włosach opadających bezładnie na ramiona. W obłąkanym wzroku tej istoty jest jednak coś fascynującego, a pomięta czarna sukienka, podarte pończochy i zabłocone czółenka (wdepnęłam w kałużę na podwórzu państwa Valerich) potęgują jeszcze widmowe wrażenie.

Zapisuję w pamięci, żeby się wykapać, przebrać i umalować przed przyjściem Quincy i Dana. Nie chcę, żeby widzieli, jaka jestem nieszczęśliwa i udręczona. Myśl o Avim nie opuszcza mnie ani na moment: to widzę go, jak stoi na lotnisku Ben Guriona i odprowadza mnie wzrokiem pełnym miłości, to cierpię potępieńcze męki, wyobrażając sobie, że na pewno wrócił już w podskokach do Ruth, wdzięczny za swojską nudę, którą ona mu oferuje. Przypominam sobie nasz powrót z wycieczki do Jerycha — dwie godziny jazdy przez cudowną okolicę, której prawie nie widziałam, bo nie miałam czasu wyjrzeć przez okno. Przez całą drogę nie mogłam utrzymać rąk przy sobie, a on walczył z kierownicą, żeby zmieścić się w ostrych zakrętach i nie wylądować w przepaści.

— Nie powinniśmy nigdy oddalać się na więcej niż kwadrans drogi od łóżka — zauważył ze śmiechem. Avi, który zjechał na pobocze i wziął mnie w objęcia, całował i pieścił, a wreszcie pociągnął na tylne siedzenie. Avi, który wciągnął mnie na siebie, posadził na sobie, aż do czasu gdy mogliśmy znowu podjąć przerwana drogę do łóżka.

Mój duży pokój wydaje się tak opuszczony, z mebli i obrazów nadal smętnie zwisają zakurzone prześcieradła. Ściągam je, a potem obchodzę cenne pamiątki ustawione na stołach i półkach

— przedmioty, które zgromadziłam przez lata wędrówek po świecie. Nawet fotografie moich najbliższych, miłych nieznanym, uśmiechających się do mnie serdecznie z wytartych srebrnych ramek, sprawiają przyjazne wrażenie. Zupełnie jakby cieszyły się z mojego powrotu, utrzymując go równocześnie w sekrecie przed swoimi żywymi pierwowzorami.

Znowu słyszę słowa Rose: „Ma pani krewnych tu, w Nowym Jorku?”

W doniczkach zwisają martwe, uschnięte kwiaty, rośliny, które tak pieczołowicie ustawiłam jak najbliżej okien, żeby mogły pić poranne słońce. Biedny Joe, jakże nienawidził tych nocy w Libanie, rozświetlanych jedynie błyskami artylerii i wybuchami pocisków mózdzierzowych.

Perski dywan, zaścielający podłogę we wnęce jadalnej, wygląda niechlujnie, jest wydeptany i przetarty. Co prawda minęło już siedem lat, odkąd walczyliśmy o niego z Erykiem podczas sprawy rozwodowej, siedem lat, odkąd pozwolił mi go zatrzymać — w zamian za biżuterię, którą dostałam od jego matki.

— Kobiety wyzwolone same kupują sobie biżuterię — zawyrokował.

I, rzeczywiście, przez te wszystkie lata czułam, że wolność ma gorzki smak samotności. Małżeństwo było dla mnie przydatnym doświadczeniem - mawiałam, dopóki nie przekonałam się, że doświadczenie to coś, co zdobywam jedynie wtedy gdy nie mogę zdobyć tego, czego pragnę. Tak mi się zdawało aż do dnia, kiedy zginął Joe, a potem wszystko się zmieniło; to, co dawniej wydawało mi się ważne, nagle straciło wszelkie znaczenie.

Moje walizki nadal stoją oparte o ścianę w czarno-białej sypialni, w tym samym miejscu, gdzie

niedbale rzuciłam je poprzedniego wieczoru, zanim padłam na łóżko i zasnęłam jak kamień. Ten pokój nie został urządzony z myślą o mężczyznach, brak tu ciepłych barw i różowych lamp o przyćmionym świetle, które zachęcałyby gości do wejścia w otwarte, miękkie ciało Maggie Sommers. Mój ojciec podsumował to kiedyś nader trafnie: - Twoja sypialnia mówi sama za siebie. Po prostu nie jesteś zainteresowana.

Stojąc teraz przed toaletką, rozbieram się i ponownie studiuję w lustrze swoją twarz. Może wydaje mi się tak wymizerowana i apatyczna, bo nagle zobaczyłam ją w normalnym otoczeniu, a nie, jak zawsze dotąd, na tle zniszczeń wojennych?

„Zakochałem się w tobie tamtego dnia w Marjayoun” — powiedział Avi.

Już mam rozpiąć stanik i wciągnąć stary podarty T-shirt, kiedy zauważam znajomą twarz w oknie domu po drugiej stronie Dziesiątej Ulicy. To ta sama twarz, która śledzi mnie od sześciu lat. Nie wiem, do kogo należy, ale ten bezimienny przyjaciel jest mi bardzo bliski. Widział, jak się rozbieram, ubieram, rozmawiam przez telefon, czytam, śmieję się, płaczę i uprawiam miłość. Co pewien czas fantazjuję sobie na jego temat. Podczas jakiegoś koktajlu w Nowym Jorku podchodzi do mnie, bierze mnie za rękę i odciąga od tłumu. Przyciskając mnie do ściany w jakimś ustronnym kąciku, podaje mi kieliszek zimnego białego wina.

- Czekaliśmy wystarczająco długo - mówi. — Teraz jesteśmy już gotowi.

Nie rumienię się nawet, kiedy wyznaje, że obserwował przez lornetkę moje akty miłosne. Robił to tylko po to, aby poznać moje potrzeby. Twarz jest zbyt pewna siebie, aby być zazdrosna o tych

nieznajomych, zbyt pewna swoich uczuć, aby tracić czas na zapraszanie mnie na kolację, do teatru i tym podobne podchody. Twarz jest gotowa — od pierwszego wejrzenia - ofiarować mi rajskie życie, mimo moich napiętych terminów i osobliwych narowów, takich jak rozrzucanie papierów po całej podłodze czy picie wody mineralnej prosto z butelki. Rozumiemy się bez słów, więź, która nas łączy, ma niepowtarzalny charakter. Biorąc mnie za rękę, Twarz zapewnia mnie, że jest całkowicie samowystarczalna, że wyglądanie przez okno najzupełniej jej wystarczy w ciągu tygodni i miesięcy, które spędzam w rozjazdach. Już mam przyjąć jej propozycję i wreszcie zacząć żyć długo i szczęśliwie z kimś, kto naprawdę mnie rozumie, kiedy raptem nawiedza mnie straszne podejrzenie. Twarz, która tęsknie przygląda mi się z drugiej strony Dziesiątej Ulicy należy do samotnego kadłuba bez rąk i nóg, posadzonego przy oknie i opuszczonego przez niedbałych opiekunów.

Ostry dźwięk telefonu gwałtownie przywołuje mnie do rzeczywistości. Podbiegam galopem do aparatu, a potem na sekundę zamieram z ręką na słuchawce, bo nie jestem psychicznie przygotowana na szumy i trzaski połączenia międzynarodowego. Jeszcze nie.

- Maggie, próbowałam się do ciebie dodzwonić przez cały dzień. Martwiłam się.

Z miejsca rozpoznaję ten głos. - Quincy, tak się cieszę, że to ty.

- Gdzie się podziewałaś?

Biorę głęboki oddech. - Pojechałam na Staten Island odwiedzić rodziców Joego.

- To ładnie z twojej strony, Maggie. Chyba było im to bardzo potrzebne.

106

— Mnie też — mówię po prostu. — Kochałam go— A my kochamy ciebie i przyjedziemy koło ósmej. Potrzeba ci czegoś?

— Nie, dziękuję, mam wszystko. Na razie próbuję jakoś tu posprzątać, wszystko jest do góry nogami.

— Wiesz co, najlepiej odpuść to sobie do jutra. Odpocznij dzisiaj, Maggie. Przeżyłaś swoje, a poza tym musisz być wykończona po podróży.

— Czuję się świetnie, Quince — mówię bez przekonania. — Zawsze świetnie się czuję.

— Wiem, kotku. Właśnie to mnie martwi. Rozłączamy się. Biorę prysznic, przebieram się i zacznę rozprowadzać podkład po twarzy, poświęcając szczególną uwagę sinym kołom pod oczami. Drżącymi rękami nanoszę trochę różu na policzki, pudruję się, a potem badam końcowy efekt w lustrze. Jest ohydny. Miejsce promiennej kobiety, którą widziałam każdego ranka będąc z Avim, zajęła nie wiedzieć kiedy zwiędła, przesadnie uróżowana staruszka o nienaturalnie kruczonych włosach, ktoś, komu zbyt długie życie w pojedynkę beznadziejnie spaczyło autopercepcję. Tak naprawdę, widzę teraz kobietę, którą w głębi duszy boję się stać: istotę, która samotnie dożywa swoich pustych lat, karmiąc gołębie w wymarłym parku.

Quincy w końcu przychodzi, zsuwa z głowy biały wełniany kaptur i rozburzą włosy, przylizane przez deszcz ze śniegiem.

— Wyglądasz na zmęczoną, kochanie — mówi. — Tak się cieszę, że wróciłaś.

Dan Perry bierze mnie pod brodę i przygląda mi się badawczo. - Jesteś dalej piękna, Maggie, ale robisz wrażenie kompletnie wykończonej.



— Dziękuję — odpowiadam, biorąc Quincy pod ramię. — Brutalna szczerłość to twoja specjalność, prawda?

Dan, muskularny, o zwartym, doskonale proporcjonalnym ciele, wymija nas i znika w drzwiach kuchni. — Włożę szampana do lodówki.

- Tęskniłam za tobą - mówi Quincy, sadowiac się na miękkiej sofie w dużym pokoju.

- Czułam się tak cholernie bezradna, kiedy to się stało. Chciałam coś zrobić, nie tylko telefonować, ale po prostu nie mogłam się stąd wyrwać. Jak się czujesz, Maggie?

- Itak nie mogłabyś nic zrobić. To było okropne i chyba teraz, kiedy minął pierwszy szok, jest jeszcze gorzej, bo w myśli przeżywam to na okrągło.

Dan wraca do pokoju sprężystym krokiem i błyszczącymi ciemnymi oczami spogląda najpierw na Quincy, a potem na mnie. - Powiedziałaś jej już?

— Jeszcze nie — Quincy klepie go po ręce.

- Właśnie miałam to zrobić. Maggie, chcę, żebyś poprowadziła nowy magazyn publicystyczny, który będzie emitowany z Nowego Jorku od wiosny.

- Czy to nie bomba? - pyta Dan. - Większe pieniądze, a poza tym to program autorski. Będziesz jeździć po całym świecie, do atrakcyjnych, cywilizowanych krajów, gdzie można naprawdę miło spędzać czas.

Oboje patrzą na mnie wyczekująco, spodziewając się wybuchu radości, zdumienia czy choćby nawet niezadowolenia - jakiegokolwiek ludzkiej reakcji. A ja tylko siedzę i gapię się na nich z niedowierzaniem.

- No i? - pyta Quincy, zerkając na Dana.

— No i co?

— Jak to, nie jesteś zachwycona? — pyta Dan.

— Nie, wcale nie jestem zachwycona. Jestem raczej wkurzona, że przychodzicie tu i beztrąsko oznajmiacie, że mam prowadzić jakiś kretyński magazyn, zakładając z góry, że będę uszczęśliwiona. Ja chyba też mam tu coś do powiedzenia, no nie? Ostatecznie to moje życie, nie wasze, mimo że dziesięć procent należy do was.

— Oczywiście, że tak — potwierdza Quincy łagodnie. — Decyzja należy wyłącznie do ciebie, wiesz o tym. Sądziłem tylko, że odetchniesz z ulgą, że nie musisz już wracać na Bliski Wschód i obsługiwać tej wojny. Myśleliśmy, że się ucieszysz, że wreszcie odniosłaś autentyczny sukces.

— Już go odniosłam — mówię gniewnie.

— Jeśli koniecznie chcesz nazywać przesyłanie korespondencji z Marjayoun sukcesem, to twoje prawo — wtrąca Dan. — Ale chyba nie będziesz porównywać tego piekielnego kotła z Paryżem, Londynem, Rzymem czy Atenami i kręceniem reportaży na dowolnie wybrane tematy.

Spacerując tam i z powrotem przed oknem, z trudem powstrzymuję się od krzyku. Panicznie się boję, że odbiorą mi mój rejon, a wraz z nim Aviego Herzoga.

— Słuchajcie, bardzo wam dziękuję, ale praca w Izraelu naprawdę mi się podoba i mam zamiar tam wrócić.

Dan, wyraźnie zgaszony, ze znużeniem przeciąga ręką po oczafci. — Przyniosę szampana — mówi osowiale.

— Maggie — zauważa Quincy — wiem, że bardzo przeżywasz to, co się stało, ale nie ma sensu tak się poddawać. Prędzej czy później będziesz musiała się otrząsnąć i dlatego sądziłam, że zmiana otoczenia dobrze ci zrobi.

- Zgodziłam się wrócić tylko dlatego, że chwilowo zawarto rozejm, ale Syryjczycy lada chwila przedostaną się przez linie OWP. Walki zaczną się na nowo, a wtedy znowu będzie potrzebny korespondent.

- Maggie, przestań! Nie jesteś jedynym reporterem, którego mogą tam wysłać.

- Ale tylko ja naprawdę rozumiem, co się dzieje. Inni tylko czytają tekst - mogliby równie dobrze prowadzić magazyn publicystyczny.

Dan wraca do pokoju, niosąc tacę z szampanem i trzema kieliszkami. - Coś ci powiem, Maggie — mówi odkorkowując butelkę - telewizowie i tak mają to w nosie. Nie potrafiliby odróżnić szyity od Izraelczyka, fedaina od falangisty. Interesuje ich tylko to, czy mogą polecieć do Europy bez obawy, że zostaną porwani, albo czy znowu nie będzie kłopotów z benzyną, albo czy przypadkiem nie zaleją nas komuniści i ceny nieruchomości nie spadną. Daj spokój, sama wiesz, że to wszystko bajer - Amerykanie chcą się tylko rozerwać i od tego mają telewizję.

- W takim razie poszukajcie kogoś innego, żeby ich rozrywał. Tacy łowcy głów, jak wy, na pewno znajdą rozsądniejszego klienta, kogoś, kto będzie wniebowzięty mogąc prowadzić jakiś idiotyczny magazyn publicystyczny.

Quincy patrzy na mnie z osłupieniem. - Co się z tobą dzieje?

- Jak możesz tak mówić? — pyta Dan, podając mi kieliszek szampana. - Przecież wiesz, że jesteś dla nas kimś bardzo bliskim, nie tylko klientką.

Ale ja nie mogę im odpowiedzieć, bo płaczę z twarzą ukrytą w dłoniach. Quincy podchodzi do mnie i w tym momencie zaczyna dzwonić telefon.

— Proszę, odbierzcie — chlapię. — Ja nie mogę. Po upływie paru minut Quincy wraca. Siada i otacza mnie ramionami.

— Powinnaś była mi powiedzieć — mówi, odgarniając mi włosy z twarzy.

— Przepraszam, Quince.

— Co powiedzieć? — pyta Dan. Przechylając głowę na bok, Quincy pyta: — Mogę mu powiedzieć?

— Tak.

— Wygląda na to, że pewien mężczyzna — obdarzony naprawdę cudownym głosem, nawiasem mówiąc — jest bardzo zakochany w Maggie. — Odwraca się do mnie. — Avi kazał ci powtórzyć, że za tobą tęskni, i że jutro będzie w polu, ale zadzwoni do ciebie, gdy tylko wróci, to jest o północy tutejszego czasu. Dlaczego mi od razu nie powiedziałaś, że to dlatego chcesz zostać w Izraelu, i słuchaj, czy mówiąc o polu, miał na myśli to, co mi się zdaje?

— Wiecie co, może jednak powinnam wziąć ten program publicystyczny.

— Jesteś najbardziej niezdecydowaną osobą, jaką znam — śmieje się Dan. — Przewyższasz pod tym względem nawet moją żonę. Strasznie się cieszymy, że kogoś masz. Jeśli chcesz, Quincy pójdzie jutro do ABN i przedłuży twój kontrakt. Więc o co jeszcze chodzi?

— Jest żonaty — mówię bezbarwnym tonem.

— O, psiakość — stwierdza Quincy.

— A od czego są rozwody? — zauważa Dan pragmatycznie. — Nadal nie widzę problemu, chyba że pole, o jakim on wspominał, to pole bitwy i związałaś się z wojskowym.

Quincy przygląda mi się badawczo. — Tak jest, Maggie?

- Tak... nie... ja nie wiem. Tak, związałam się, i tak, on jest generałem i mówił o polu bitwy, ale nie, tam jest zupełnie inaczej niż tutaj, a w ogóle to nie mam pojęcia, co z tym wszystkim zrobić.
- Rozumiem. Różnica polega na tym, że tu tylko biedni nadstawiają głowy, a tam elita walczy na pierwszej linii. Bardzo chwalebne. Może jednak powinnaś się jeszcze raz zastanowić nad tym programem publicystycznym.
- Ona nie ma na to ochoty - opiniuje Dan.
- Kocha go, martwi się tylko, że jest żonaty.
- Nie o to chodzi - prycha Quincy.
- Jasne, że o to. Sama ją spytaj. Odwracają się i czekają, żebym coś powiedziała.
- Nie chcę rozbijać jego małżeństwa - odpowiadam w końcu. - Nie mam sumienia.
- Nie pochlebiaj sobie - mówi Dan sucho.
- Jeśli jego małżeństwo się rozpadnie, to nie przez ciebie. Nigdy tak nie jest. Najprawdopodobniej nie układało im się od lat.
- Maggie - mówi Quincy z przejęciem — jesteśmy umówione z Graysonem dopiero za kilka dni. Przemyśl to sobie spokojnie, nie próbuj decydować na chybcika. Przecież dopiero co przyjechałaś i musisz być na ostatnich nogach.
- Chyba masz rację, Quincy. Może do tego czasu zorientuję się, czy Avi mnie chce, czy nie.
- Maggie Sommers! Odkąd to podporządkowujesz swoje sprawy zawodowe facetom?
- Odkąd zakochała się w jednym z nich - odpowiada Dan z uśmiechem. - Mam rację?
- Lepiej zmieńmy temat - proponuję, widząc, że Quincy zupełnie zatkało. - Jak tam Grayson? Nie widziałam go od miesiący.

— Zawsze ten sam — odpowiada Dan, dolewając szampana. — Ten się nigdy nie zmienia. Quincy, która ochłoneła już trochę ze zdumienia, parska śmiechem. — Pamiętasz jeszcze tę niezapomnianą randkę, na którą cię zaprosił?

Śmieję się z przymusem, aby upozorować zainteresowanie nowym tematem. Prawdę mówiąc, ostatnią rzeczą, do której mam ochotę wracać pamięcią, jest tamta noc z Danielem Graysonem.

Na wiosnę 1973 roku miałam już dwuletni staż jako „boczna” Nicka Spriga. Pewnego wieczoru, kiedy siedziałam w pokoju wydania zajęta pilną robotą, zauważyłam nobliwie wyglądającego mężczyznę, który, stojąc w drzwiach jednego z pokoi redakcyjnych, przyglądał mi się ze skupieniem. Uśmiechnął się. Ja również się uśmiechnęłam. Siedem i pół sekundy później siedziałam już w wytwornie urządzonej gabinecie na wprost Graysona Daniela, generalnego dyrektora wszystkich stacji ABN rozmieszczonych w głównych miastach Stanów Zjednoczonych. Grayson był wysoki, chudy, w miarę nonszalancki — klasyczny WASP\*, tak modelowy okaz tego gatunku, że gdyby nie szpakowate skronie i ledwo dostrzegalna plamka na szarym prążkowanym garniturze, wydawałby się wręcz nieprawdziwy. Na jego opaloną twarz raz po raz wybiegał dobroduszny uśmiech, lecz stalowoniebieskie oczy pozostawały zimne i pozbawione wyrazu. Najbardziej jednak frapowały mnie jego wargi,

\* WASP - White Anglo-Saxon Protestant - biały protestant pochodzenia anglosaskiego. Postać tradycyjnie stojąca najwyżej w amerykańskiej hierarchii towarzyskiej i społecznej — przyp. tłum.

które prawie się nie poruszały, gdy cedził słowa, bezbłędnie artykułując głoska po głosce. Gustował w młodzieżowych powiedzonkach, przez co kojarzył mi się trochę z chłopcem z college'u, który nigdy nie dorósł. „Fajowski był ten kawałek, który puściliście w głównym wydaniu”, wołał na przykład, albo: „Byczo to poprowadziłeś, kolego”, do sprawozdawcy sportowego.

- Czuję, że zdolna z ciebie dziewczuszka - stwierdził tym razem, gapiąc się na moje piersi.

Uśmiechnęłam się, zarumieniłam i zaczęłam nerwowo kręcić w palcach swój sznurek pereł.

Jakkolwiek nie było nic dziwnego w tym, że ktoś szuka nowych osobowości telewizyjnych w pokoju wydania, zwłaszcza że, jak wiadomo, niejedną gwiazdkę odkryto w drogerii, jego niespodziewane zainteresowanie moją osobą trochę mnie peszyło. Obecnie skupił uwagę na mojej lśniącej złotej obrączce.

- Powiedz mi co nieco o swoich celach życiowych, panno Maggie - rozkazał, kładąc swoje patykowate nogi na biurko.

Patrząc w zdarte podeszwy jego brązowych mokasynów od Gucciego, zaczęłam wyłuszczać swoje cele życiowe.

- Chciałabym pracować na wizji, robić materiały związane z problematyką polityczną i międzynarodową. Myślę, że poprzez podejmowanie drażliwych, kontrowersyjnych tematów, takich jak głód w krajach Trzeciego Świata, wojna wietnamska, czy nieprawidłowości w funkcjonowaniu systemu opieki społecznej, mogłabym w pewnej mierze przyczynić się do wyrównania istniejących nierówności...

Powiedziałabym znacznie więcej, gdyby nie przerwało mi donośne chrząknięcie.

— Twój idealizm jest godny podziwu, moja droga — stwierdził Grayson — nawet jeśli cele, które sobie stawiasz, są niezbyt realistyczne. Widzisz, Maggie, światem rządzi pieniądz, a zresztą gdyby nie bogaci, biedni nie mogliby sobie pozwolić na leżenie do góry brzuchem. Tak, że w ostatecznym rachunku nikomu nie zależy na wyrównywaniu społecznych nierówności, bo to jedynie zakłóciłoby równowagę między sferami posiadającymi a biedotą.

Uśmiechnęłam się bezmyślnie, bo co miałam zrobić. Było jasne, że Grayson nie jest szczególnie zainteresowany moimi aspiracjami.

Wyplątał się z uprzedniej pozycji, uwalniając mnie od widoku swoich mokasynów, i wyprostowany, z rękami założonymi do tyłu, nieśpiesznie zbliżył się do okna.

— Powiem ci, o czym teraz myślimy tu, w ABN: chcemy zaangażować reporterkę, która zajmowałaby się na antenie tematyką kryminalną. Uważamy, że to mogłoby poprawić oglądalność; telewizzowie lubią sobie popatrzeć na coś ładnego. — Mrugnął do mnie i zaczął przechadzać się tam i z powrotem po pokoju. Raptem przystanął, okręcił się na pięcie i wycelował chudym palcem prosto w moją zaskoczoną twarz. — Kiedy pracuję, panno Maggie, to na całego, a kiedy się zabawiam, to też na całego. Parsknęłam nerwowym śmiechem, ale pośpiesznie przeprosiłam.

— Grasz w naszej drużynie, Maggie Sommers?

— Tak jest! — odparłam ni w pięć, ni w dziewięć.

— Doskonale — stwierdził, zacierając ręce. — A więc, teraz będziesz montować temat ze Sprigiem, a potem pewnie musisz lecieć prosto do domu, do męża.



Było to raczej pytanie, aniżeli stwierdzenie faktu, a Maggie Sommers, zawodniczka drużyny ABN, nie była pierwszą naiwną. Spojrzałam prosto w chmurne oczy Graysona Daniela i odparłam: — Niekoniecznie.

- W takim razie - rzekł rozpromieniając się - co byś powiedziała na to, żebyśmy poszli razem coś przekąsić i przedyskutować tę możliwość.

- Jaką możliwość, panie Daniel? - spytałam, bo jak się gra, to lepiej znać reguły gry.

- Możliwość zaangażowania reporterki do spraw kryminalnych - odparł, wyraźnie zadowolony, że gra już się rozpoczęła.

Nawet nie mrugnąłam, tylko dalej patrzyłam w te jego chłodne oczy.

- Montażownia numer trzy jest w tej chwili wolna - rzekł krótko. - Wpadnę po ciebie, kiedy skończycie. Fajnie było cię spotkać, M.S.

O wpół do dziesiątej siedzieliśmy jeszcze z Nickiem w montażowni i po raz nie wiadomo który przeglądaliśmy taśmę z fragmentem trzyczęściowego reportażu. Materiał dotyczył traktowania biedoty miejskiej w szpitalnych izbach przyjęć i, niestety, musieliśmy skrócić go o osiem minut, ponieważ niespodziewanie postanowiono wstawić pierwszą część do ostatniego wydania dziennika.

Tymczasem każdy kadr, każde słowo wydawało nam się tak istotne, że nie wiedzieliśmy, co wyciąć.

- Trzeba będzie wyrzucić tę kobietę z dzieciakiem - orzekł Nick, dopijając ostatnie krople wystygłej kawy.

- Majaczyło, a ona czekała całe dwie godziny w izbie przyjęć, zanim je ktoś obejrzał.

— Dobra, dobra, ale widzowie tego nie wiedzą  
— stwierdził rzeczowo. — To ujęcie faceta z raną kłutą jest dużo efektowniejsze.  
— Ale mamy już jedną ranę kłutą.  
— Ta jest lepsza — orzekł, zapalając papierosa.  
— Więc wytnijmy tę pierwszą.  
— Nie ma mowy, tamten gość wyciąga nogi na samym stole operacyjnym. Za dobry kawałek.  
— Wobec tego wytnijmy tego drugiego — podsunęłam rozsądnie.  
— Nie mogę, bo rana numer dwa to gwóźdź programu. Lekarze przyjęli go od razu, tym razem rzeczywiście zrobili, co trzeba.  
— Dobrze — powiedziałam z rezygnacją.  
— Dziecko z gorączką to jedna minuta, a jeśli wytniemy trochę tego materiału z południowego Bronxu, to pozbędziemy się jeszcze jakichś dwóch minut i pięciu sekund.  
— Może — odparł Nick z namysłem, trąc ręką podbródek — może... ale i tak zostanie o pięć minut za dużo.  
Spoglądając przelotnie na zegarek, raptem sobie przypomniałam.' - O nie! Zapomniałam zadzwonić do Eryka. Dochodzi dziesiąta i pewnie już odchodzi od zmysłów. Nigdy się jeszcze nie spóźniłam. Nick przewrócił tylko oczami i niecierpliwie przysunął mi telefon. - Tylko szybko. Mamy już tylko godzinę do wejścia na antenę.  
Nakręciłam nasz domowy numer i z sercem w gardle czekałam, aż Eryk podniesie słuchawkę. Wreszcie, po czterech sygnałach, odebrał telefon.  
— Eryk? - spytałam. - Halo, to ty, Eryku? - Ale odpowiedziało mi jedynie głucho milczenie, w którym dał się słyszeć czyjś ciężki oddech. — Eryku

- powtórzyłam - to ja. - Znowu głucho milczenie i ciężki oddech. - Eryku, proszę, odezwij się, nie mam teraz czasu wisieć na telefonie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że jestem cała i żywa, tylko trochę się zasiedziałam. Jestem jeszcze w montażowni. Eryku, słyszysz mnie?

- Maggie - przemówił wreszcie fałszywie rozradowanym tonem. - Jak to miło, że dzwonisz. Właśnie przed chwilą odciąłem sobie czubek palca, próbując ukroić plasterek salami na kolację.

- Strasznie mi przykro, Eryku. Sama nie wiem, co ci poradzić. Najlepiej wsadź pod zimną wodę.

- Co takiego, kochanie - palec czy salami?

- Eryku, proszę cię - szepnęłam w słuchawkę

- nie mam teraz czasu się kłócić. Już ci mówiłam, że mi przykro.

- Proszę, proszę, panna redaktorka, która zarabia całe sto dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo z dodatkami, twierdzi, że jej przykro. Powiedz no, panno boczna, czy wyobrażasz sobie, że mogłabyś za to wyżyć? - Eryk porzucił już zgryźliwie ironiczny ton. Wrzeszczał mi do ucha ile sił w płucach.

- A w ogóle, panno boczna, kto, do wszystkich diabłów, ma się mną zajmować w czasie, gdy ty troszczysz się o biednych, chorych i pokrzywdzonych, z ramienia jakichś zasranych wieczornych wiadomości?

Nick nerwowo krążył po ciasnej klitce, międląc w ustach przekleństwa. Teraz albo nigdy, pomyślałam. -

- Kto?! - krzyknęłam na całe gardło. - Powiem ci kto: twoja mamusia! - I rzuciłam słuchawkę tak gwałtownie, że popielniczka podskoczyła i niedopałki rozsypały się po szarym poplamionym dywanie.

— Dobry wieczór państwu — zadudni! Nick do pustego termosu po kawie. — Kolejne małżeństwo właśnie rozpada się z hukiem: relacjonujemy to na żywo ze studia lokalnych wiadomości ABN. Siedząc w słabo oświetlonej restauracji w pobliżu studia, którą Grayson określił jako „szpanerski lokal z ekstra kucharzem”, nie byłam w stanie przełknąć nawet kęsa podwójnego cheesburgera. Rozprawiając, Grayson nieustannie dotykał mojej twarzy.

— A więc, jak już mówiłem, zespół konsultantów opracował plan, który gwarantuje polepszenie naszych wskaźników oglądalności, a zarazem. wychodzi naprzeciw oczekiwaniom sporej liczby odbiorców. - Urwał i pociągnął długi łyk podwójnego martini. — Tym, czego widzowie chcą, albo myślą, że chcą, jest dziennikarka telewizyjna, a powodem tego jest rewolucja feministyczna, która szerzy się w całym kraju. Rozumiesz?

Kiwnęłam potakująco głową i spróbowałam coś przełknąć.

— Dobrze — powiedział, klepiąc mnie po kolanie. — To wszystko oznacza, że ABN będzie zmuszona zaangażować kobietę, a ponieważ zależy nam na tym, żeby iść z duchem czasu i wyprzedzać w tym pozostałe sieci telewizyjne, zdecydowaliśmy się na naprawdę niezwykle posunięcie. — Ponownie przerwał, tym razem po to, aby dotknąć mojego nosa. — Masz szmaragdowe oczy, panno Maggie. Mówił ci to już ktoś?

— Nie — odparłam, z twarzą zastygłą w wyrazie zainteresowania. - Mów dalej, Grayson, to fascynujące.

- Zdecydowaliśmy się na naprawdę niezwykle posunięcie - powtórzył. - Postanowiliśmy powierzyć kobiecie prowadzenie tematyki kryminalnej
- żadne tam porady konsumenckie, pogoda, czy inne typowo kobiece działki. O nie, nic z tych rzeczy. ABN postanowiła pójść na całość i posłać kobietę tam, gdzie jej nigdy dotąd nie było: do slumsów, melin i komisariatów, do szefów mafii, morderców i gwałcicieli - w te wszystkie cudowne miejsca, które tak uwielbiają nasi widzowie. ABN zamierza być pierwszą siecią telewizyjną, która odciągnie kobietę od kuchni i supermarketu, od wyżów i niżów mapy pogody, od domowych wypieków, i rzuci ją w świat brudny, odrażający, brutalny i rojący się od szczurów, gdzie będzie musiała polegać jedynie na swojej odwadze, inteligencji i profesjonalizmie.
- Uśmiechnął się. - Ale ponieważ to telewizja
- podsumował — ta kobieta musi być piękna i mieć fantastyczne ciało, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie. Rozumiesz?
- Tak - odparłam, wciąż jeszcze skofowana po tej podróży przez getta.
- Obserwujemy cię od wielu miesięcy; właściwie to zwróciłem na ciebie uwagę jeszcze wcześniej. Jesteś bardzo ładną dziewczyną, Maggie Sommers, jedną z dwóch dziewczyn w ABN, które mają jakieś praktyczne doświadczenie w pracy nad dziennikiem. Niestety, ta druga dziewczyna spędza zbyt wiele czasu na rozdawaniu ulotek ruchu feministycznego, żeby przyjąć ją do naszej drużyny. Jasne?
- Jasne — odparłam.
- Moje stanowisko w tej sprawie jest bardzo proste - stwierdził, dając znak kelnerowi, żeby przyniósł następną kolejkę - trzecie martini dla niego i drugą colę dla mnie. Nie mogę nawet zasłonić

się argumentem, że nie wiedziałam, co robię. Byłam całkowicie trzeźwa i w pełni władz umysłowych. — Jestem jak najbardziej za równouprawnieniem w tym, co dotyczy podstawowych praw jednostki — ciągnął.

Darowałam sobie pytanie, czy te jego prawa jednostki ograniczają się do jedzenia, oddychania i spania.

— Nie sądzę jednak, by kobiety należało zachęcać do odbierania pracy mężczyznom, naturalnym żywicielom rodziny, tym, na których spoczywa odpowiedzialność za utrzymanie żon i dzieci. To zresztą nie w porządku nakładać na kobietę tak wielki ciężar, wymagać, żeby jednocześnie zarabiała na życie i zajmowała się domem. To wbrew naturze i milcząca większość kobiet doskonale to rozumie. To tylko parę sfrustrowanych pańienek robi wielkie halo, podczas gdy tak naprawdę, każdej z nich potrzebny jest do szczęścia jedynie dobry mąż. I to właśnie za naszą sprawą — mediów — ich hasła szerzą się i znajdują odzew: wiem o tym, ale co mogę zrobić? Tak już jest.

W tym czasie Grayson zdążył już opróżnić trzecią szlankę martini i wsunąć mi rękę pod spódnicę.

— W gruncie rzeczy — szepnął, nachylając się do mnie konfidencjonalnie — kobiety są diabelnie zadowolone ze swojej sytuacji. Chcą być rozpieszczane, kochane, otaczane szacunkiem jako dobre żony i czułe matki — sól tej ziemi. Ale że naszym priorytetem jest wysoka oglądalność, robimy to, co musimy, co sprowadza mnie do ciebie, M.S. — i obdarzył mnie szerokim uśmiechem, który, jak zwykle, nie znalazł żadnego odbicia w oczach. — Co byś powiedziała, gdybym ci zaproponował próbne nagranie? Wydaje się, że posiadasz wszystkie warunki,

o jakich rozmawialiśmy. - I, jakby reasumując, czknał głośno.

Tak więc, w ostatecznym rachunku wszystko sprowadzało się do maszynopisania i cycków. Maszynopisanie pozwalało wcisnąć się do firmy, a cycki

- do studia. I podczas gdy Grayson rozwodził się o żywicielach rodziny i matkach, oglądalności i feminizmie, przez cały czas wyobrażałam go sobie rozciągniętego na jezdni pod kołami samochodu, ze szklanymi, martwymi oczami i strumyczkiem krwi wolno spływającym z ust, bo inaczej musiałabym stawić czoło brutalnej prawdzie, która objawiła mi się w tej szpanerskiej restauracji z ekstra kucharzem, podczas rozmowy z Graysonem. Że chodzi o seks.

- Nie chciałabyś rzucić okiem na nowy apartament zarządu ABN, moja zielonooka Maggie?

- zapytał, trzymając mi rękę na pośladkach, kiedy wychodziliśmy z restauracji.

- Z przyjemnością - skłamałam, podążając za nim w nieznane, w każdym sensie tego słowa.

Przechodząc przez Dziewiątą Aleję, desperacko rozglądałam się za jakimś pędzącym samochodem, ale los mi nie sprzyjał.

Apartament zarządu ABN wyglądał bardziej jak snobistyczny klub myśliwski niż garsoniera dyrektorów telewizyjnych. W wyłożonym ciemnozielonym dywanem salonie stały solidne angielskie antyki, szlachetnie wypłowiałe, jak przystało na meble, które przechodziły z pokolenia na pokolenie, z jednej bezbarwnej, zapyziałej bawialni do drugiej. Jasnozielone ściany zdobiły obrazy o tematyce myśliwskiej - jeźdźcy pokonujący schludnie przycięte żywopłoty i sfory ogarów rwące się w pogoń za małymi bezbronnymi zajaczkami. Sam środek pokoju zajmował kompletnie nie pasujący do otocze-

nia, ordynarny złoto-czarny barek, za którym stał teraz w nonszalanckiej pozie Grayson Daniel i mieszał dwa pieniste różowe drinki, na powierzchni których unosiły się zielone wisienki. Kiedy już wlał tam po odrobinie z każdej butelki znajdującej się w barku, uniósł szklankę i wybełkotał: - Za lepszą Amerykę, wolną od komuchów. — A potem wzniósł następny toast, tylko że tym razem siedział już przy mnie i międził w palcach moje ucho. — Za moją nową reporterkę od tematyki kryminalnej. Popieprzmy się trochę.

Ściany sypialni oklejone były tapetą przedstawiającą bitwę pod Gettysburgiem. Gdzieś w okolicy najbardziej zaciekłych walk stał teraz Grayson i wysupływał się z ubrania. Leżałam, bezwolnie wyciągnięta na pościeli w barwach narodowych, usiłując nie dopuścić do tego, by poczucie winy stanęło między mną a szansą na zostanie pierwszą reporterką kryminalną w historii lokalnych wiadomości ABN. Nie było jednak zbyt wiele czasu na rozważania, gdyż nagle Grayson ruszył ku mnie chwiejnym krokiem, trzymając pod pachą zrolowane bokserki.

- Dośrodkowanie! — ryknął, dając nura na łóżko.

Leżał na mnie, miętosił moje piersi, drapiąc mnie przy tym sygnetem w lewy sutek i mamrotał coś niezrozumiale.

— Zobacz, jaki jest twardy — zdawało mi się, że powiedział.

Posłusznie wsunęłam mu rękę między nogi, ale nie wymacałam nic.

Już miałam uznać, że się przesłyszałam, kiedy powtórzył: — Zobacz, jaki jest twardy.

Pomyślałam więc, że najwyraźniej szukałam nie tam, gdzie trzeba. Przesunęłam rękę trochę w prawo,



a potem trochę w lewo, lecz nadal nie wyczuwałam nic w najmniejszym choćby stopniu twardego. Nie wyprowadziłam go z błędu. „Nieprawda, Grayson - nie powiedziałam. - Nie jest wcale twardy, jest tak miękki i śliski, że trudno utrzymać go w dłoni”.

Ale on już obślinał mi usta, nieudolnie próbując wsunąć do nich język, co miłosiernie złożyłam na karb faktu, że był tak okropnie pijany, co zresztą mogło również tłumaczyć wiotkość jego członka. - Śmiało - wybełkotał - nie krępuj się...

Grayson nie dokończył zdania i nie umożliwił mi spełnienia swojego życzenia, cokolwiek ono miało oznaczać, albowiem w tym momencie zapadł w pijacki sen. Krople potu wystąpiły mu na czoło i górną wargę. Uprzytomniłam sobie, że w ogóle nie doszło do penetracji, ani na koniuszek, ani na centymetr. Maggie Sommers, zawodnik drużyny, pozostała praktycznie monogamiczna — w zasadzie nie zdradziła męża. Kiedy zbierałam swoje rzeczy, niepokoiła mnie tylko myśl, czy po przebudzeniu Grayson będzie pamiętał, że tego nie zrobiliśmy. Ubierając się pośpiesznie i gnając w dół po schodach, pocieszałam się, że będzie wolał się łudzić, iż wszystko poszło jak trzeba. Już w taksówce zaświtała mi inna straszna ewentualność: Grayson może uważać, że to zrobiliśmy, a jednocześnie mieć przebłyski, że nie było znowu tak rewelacyjnie. Otwierając kluczem drzwi do mieszkania, uświadomiłam sobie z zaskoczeniem, że przez cały ten czas ani powstało mi w głowie martwić się, co pomyśli sobie Eryk Ornstein, kiedy wróćę o wpół do trzeciej w nocy.

Następnego dnia zostałam wezwana do gabinetu Graysona Daniela, do gmachu zarządu górującego

nad kompleksem telewizyjnym. Przywitał mnie już od progu serdecznym uściskiem i porozumiewawczym mrugnięciem. - Oto ona! - wykrzyknął. — Najbardziej seksowna reporterka kryminalna w telewizji! - Nie tylko był przekonany, że to zrobiliśmy, ale wyraźnie uważał, że było wspaniale. W świetle tego, co zdarzyło się minionej nocy, tym bardziej że postanowił wierzyć we własny poprawiony scenariusz, posada reporterki kryminalnej była minimalnym wynagrodzeniem, jakiego miałam prawa oczekiwać. Nie mrugnęłabym nawet okiem, gdyby powiedział „prezes zarządu” czy „dyrektor holdingu”. Mimo to udałam radosne zaskoczenie.

— Strasznie się cieszę, Grayson — powiedziałam wesoło, acz nie bez pewnej rezerwy. - Kiedy zaczynam?

— Próbnego nagranie odbędzie się w studiu jutro po południu — odrzekł gładko.

Nie ukrywam, że byłam z lekka rozczarowana.

— Najlepiej weź sobie agentkę, dzióbku.

Tak więc, skoro maszynopisanie stanowiło przepustkę do firmy, a cycki - do studia, trzeba było agentki tej klasy co Quincy Reynolds, żeby zapewnić sobie dobry kontrakt, tak, aby już nic więcej w moim życiu nie zależało od maszynopisania i cycków.

Następnego ranka siedziałam na wysokim stołku w charakteryzatorni, pod baczny okiem Quincy. - Jak myślisz, chyba uważają, że mam zadatki na dobrą dziennikarkę? - spytałam naiwnie. - Zawsze o tym marzyłam.

Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym zupełnie straciła rozum.

- Zgłupiałaś? Na razie to nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem. Chodzi im tylko o te twoje wystające kości policzkowe i zmysłowy głos.

Poczułam się jak przekłuty balon. - A więc tak to wygląda w telewizji - mruknęłam, przechylając głowę do tyłu, żeby charakteryzatorka mogła nanieść pędzelkiem trochę różu na kości policzkowe, którym najwyraźniej zawdzięczałam to nagranie próbne. Z przygnębieniem pomyślałam, że gdybym trochę bardziej na nich polegała, oszczędziłabym sobie niejednego. Być może nie musiałam się aż tak wysilać, żeby dali mi tę szansę.

- Nie uogólniajmy, to tak wygląda przez jakiś czas. Ale pamiętaj, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni — przepowiedziała Quincy.

- Jak to?

- Kiedy zostaniesz gwiazdą i będziesz zarabiać krocie, wszyscy będą myśleli, że urodziłaś się z mikrofonem w ręku.

- A jeśli teraz im się nie spodobam?

- To pójdziemy do innej stacji - odrzekła. — Przestań się martwić.

Teatralnym gestem zarzuciła na ramiona zieloną kraciatą pelerynę i powiewając nią wymaszerowała z pokoju. — Będę na górze, w reżyserce. Powodzenia, Mags. Pójdzie świetnie, zobaczysz.

W studiu trzy kamery skierowane były prosto na mnie, ale kazano mi patrzeć w obiektyw tylko jednej, tej z czerwoną lampką na szczycie. Ktoś przypiął mały mikrofon do mojej gładkiej, białej jedwabnej bluzki zawiązanej pod szyją na miękką kokardę, a kto inny umieścił mi za uchem małą słuchawkę. Kierownik produkcji podniósł rękę. - Przygotuj się, Maggie. Będę odliczać: Dziesięć, dziewięć...

A kiedy doszedł do zera, Grayson siedzący w reżyserce zabuczał przez mikrofon: - Śmiało, Maggie, nie krępuj się! - a ja zaczęłam się tak strasznie śmiać, że musieli jeszcze raz odliczać od początku. Zaczęłam czytać tekst, z początku dość wolno, coś o pożarze na dolnym Manhattanie, podczas którego jakiś mężczyzna wygramolił się na parapet i skoczył na rozciągniętą pod oknem sieć, wśród wiwatów zgromadzonych gapiów i strażaków. Właściwie dopiero za piątym podejściem udało mi się zrobić to tak, by nie uśmiechnąć się przy słowach „wybuchł pożar”, lecz w tym miejscu, gdzie „Angelo Carluzzi bezpiecznie wylądował w sieci”. Po skończonym nagraniu Grayson, Quincy i Nick zeszli do mnie z reżyserki.

- Wspaniale, Maggie - powiedziała Quincy,  
ściskając mnie.

- Dobra robota, mała - rzekł Nick. - Pierwsza klasa.

- Byczo, M.S - stwierdził Grayson. - Fa-jowsko.

A ja miałam ochotę krzyknąć na cały głos: - Dziękuję, Angelo Carluzzi i Nowojorska Komenda Straży Pożarnej, że mi to umożliwiliście!

\* \* \*

Na ulicy pod moim oknem panuje teraz cisza; pozamykano restauracje i nie słychać już odgłosu klaksonów. Po pizzy, którą zamówiliśmy przed paroma godzinami, nie ma śladu, zostało tylko trochę stopionego sera przyklejonego do tłustego pergaminu. Quincy siedzi na podłodze z głową opartą o kanapę, a Dan leży wyciągnięty na

ziemi, z głową na jej kolanach. Gawędzimy już od długiego czasu, wspominając sytuacje i zdarzenia, które dziś wydają się takie zabawne, lecz wtedy dawno temu, wydawały się tak śmiertelnie poważne! A jednak, choć przeszłość wydaje mi się teraz znacznie bliższa, nadal boję się spojrzeć w przyszłość i stawić czoło teraźniejszości.

- Mam wrażenie, jakby to wszystko zdarzyło się sto lat temu - zauważa Quincy.

- A ja mam uczucie, jakbym nie spał od stu lat - ziewa Dan, podnosząc się z podłogi. - Padam już na nos.

Ogarnia mnie nagła panika na myśl, że Quincy odejdzie i zostawi mnie samą.

- Nie idźcie jeszcze - proszę.

- Muszę nakarmić koty - mówi Quincy z wahaniem. - Chyba że ty to zrobisz. - Patrzy pytająco na Dana.

- Nakarmię je - odpowiada z szerokim uśmiechem. - Zostawiam ci moją żonę, Maggie.

- Dzięki, Dan - ściskam go. - Naprawdę bardzo me chciałam być dzisiaj sama.

- Spróbujecie się trochę przespać, co? - pyta Dan, obejmując Quincy.

Ona kiwa głową i odwraca się, żeby go cmoknąć w policzek. - Dziękuję, skarbie. Do zobaczenia rano, czyli już za parę godzin. Wiecie, że jest już czwarta?

Po wyjściu Dana zgarniam z łóżka kilka poduszek i rzucam je Quincy wraz z paroma kocami.

Ścielimy sobie na kanapach w dużym pokoju. W pewnym momencie, kiedy obie już leżymy, mówię:

- Jakie to dziwne: akurat wtedy gdy zaczęło mi dobrze iść w ABN, życie osobiste zaczęło mi się sypać.

— To nieprawda — zaprzecza Quincy. — Twoje życie osobiste rozsypało się już znacznie wcześniej. Po prostu w tym okresie miałaś już możliwość decydowania o sobie, przestałaś być taka zastraszona. Dobrze pamiętam, że nigdy nie byłaś szczęśliwa z Erykiem, nawet na samym początku.

\* \* \*

Kiedy nadszedł sylwester 1974 roku, pracowałam od prawie dwóch lat na wizji jako reporterka kryminalna. Dni schodziły mi na wspinaczkę po schodach zaszczurzonych czynszówek, w których nagrywałam wywiady z ofiarami napadów, rozbojów i gwałtów. Brodząc po kostki w śmieciach, przemierzałam wraz z ekipą zdewastowane ulice, prowadzona zaciekawionymi spojrzeniami małolątów, których naznaczone śladami po igle ramiona, stanowiły wymowny zapis beznadziejnej, już przegranej walki z narkotykami. Chwilami płakałam razem z matkami, których głodujące dzieci wykorzystywane były przez media — przeze mnie — do demonstrowania okropności systemu, do ubarwienia faktów, do zrobienia kolejnego sensacyjnego tematu na pierwsze minuty wieczornego dziennika. Nieraz gotowałam się w sobie, kiedy operator bezceremonialnie podjeżdżał kamerą, żeby zrobić zbliżenie Maggie Sommers trzymającej za rękę trzynastoletnią ofiarę gwałtu, w czasie gdy dziecko opowiadało o swoim koszmarnym doświadczeniu. — Dajcie jeszcze zbliżenie na jej twarz, nie z tej, z lewej — dysponował kierownik produkcji, kiedy siedząc na brudnej podłodze, w przypominającym norę mieszkaniu, słuchałam, jak ojciec dziewczynki latami bił ją i wykorzystywał seksualnie.

Jakkolwiek nie byłam pewna, kto dokładnie ponosi odpowiedzialność za ten ogrom nieszczęść, przez długi czas nie mogłam wyzbyć się poczucia winy z powodu natrętnej obecności kamer i lamp. Trwało to dopóty, dopóki nie zrozumiałam, że ludzie, z którymi rozmawiam, łakną jej tak samo, jak ludzie przy odbiornikach. Telewizjo — przyjedź i zrób coś. Zobacz, jak tu jest. Ratuj. I Grayson miał absolutną rację — kobieta relacjonująca mrozące krew w żyłach wypadki trafiała w upodobania widzów, dawała im to, czego chcieli: pikantną kombinację seksu i cierpienia. Co do mnie, zauważyłam, że praca jakby znieczula mnie na własne problemy. Z czasem stało się ze mną coś takiego, że poruszały mnie jedynie cudze nieszczęścia, nie byłam w stanie przejąć się niczym, co dotyczyło mnie samej. I tak było lepiej.

Nick Sprig dotrzymał obietnicy, którą dał mi cztery lata wcześniej. Nadal wtajemniczał mnie we wszystkie arkania „tego zasranego fachu”. To on nauczył mnie, że najlepszym sposobem zdobycia informacji jest odstawianie słodkiej idiotki.

— Ludzie uwielbiają mówić — powiedział. — Im dłużej pozwolisz im trajlować, tym więcej się dowiesz. Rób tylko rozkoszne minki i udawaj, że nic nie rozumiesz.

Kariera Maggie Sommers układała się znakomicie — w przeciwieństwie do jej małżeństwa. Tamtego wieczoru, ostatniego w 1974 roku, wybieraliśmy się z Erykiem na przyjęcie sylwestrowe do państwa Sommersów — wspaniałą uroczystość, na której mieli być obecni także państwo Mildred i Harry Ornsteinowie oraz państwo Cara i Steven Blattsbergowie. To doroczne przyjęcie znakomicie obrazowało, dlaczego nadal byłam żoną Eryka. Wyłamanie

się z tego rytuału, niepójście na sylwestra do rodziców, wydawało mi się równie nie do pomyślenia, jak samo wystąpienie o rozwód. Po prostu nie czułam się na siłach, żeby zająć stanowisko w którejkolwiek z tych kwestii.

Eryk przypinał czarną muszkę do białej plisowanej koszuli od fraka, a ja siedziałam przy toalecie, zastanawiając się z przerażeniem, jak przetrwam ten wieczór.

Eryk odmawiał dyskusji na temat tego, jak wypełniam sobie czas w ciągu dnia. Jeśli przypadkiem zdarzyło się, że ludzie poznawali mnie na ulicy czy w restauracji, co nie było znowu takie dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, że moja twarz pojawiała się w ich domach każdego wieczoru, Eryk radził sobie z sytuacją w sposób następujący: „Jak państwo zapewne zauważyli, właśnie jemy kolację. Więc jeśli państwo pozwolą...”, albo też: „Proszę pozwolić nam przejść przez ulicę. My również płacimy podatki”.

W domu państwa Ornsteinów obowiązywała niepisana zasada, że Maggie nie wolno przynosić, jak to ujął Eryk, „ulic Nowego Jorku pod mój dach”. Druga zasada pociągała za sobą znacznie poważniejsze konsekwencje. Przez ostatnie cztery lata Maggie regularnie wpłacała swoje honoraria na konto bankowe męża. W zamian za to mogła otrzymywać kieszonkowe na lunch, przejazdy oraz inne osobiste wydatki, nie przekraczające dwudziestu pięciu dolarów miesięcznie, pod warunkiem, że co tydzień skrupulatnie przedstawi Erykowi odnośne rachunki. „Pójdziemy z torbami, jeśli nie będziemy kalkulować, mamy przecież na utrzymaniu całą bandę nierobów z opieki społecznej” — powtarzał wielokrotnie. Miałam niejasne poczucie, że w tym całym układzie jest coś zde-



cydowanie nie fair, ale wówczas nie miałam jeszcze odwagi zaprotestować. A kiedy wreszcie się zdecydowałam, było już za późno.

— Maggie, pośpiesz się. Spóźnimy się. — Eryk maszerował tam i z powrotem po pokoju, unosząc palce stóp przy każdym kroku, aby rozchodzić nowe i sztywne czarne lakierki. — Naprawdę wielka szkoda — wymamrotał, przysiadając na kremowej kanapce.

— Czego ci szkoda? — spytałam, grzebiąc w szafie.

— Zgrabne nogi, mocne kości, a do tego mój intelekt: moglibyśmy mieć naprawdę fantastyczne dzieciaki.

Odwracając się odsłoniłam zęby w szerokim uśmiechu. — Nie zapominaj o zębach, Eryku — napomniałam go. — Mocne, proste, nie musiałam nigdy nosić aparatu do regulacji zgryzu.

Oszczędzilibyśmy około trzech tysięcy dolarów na dentyście, a gdybym urodziła trójkę, jak Cara, to bylibyśmy do przodu o całe dziewięć tysięcy dolarów.

Nieco wcześniej tamtego wieczoru przysięgłam sobie, że nie będę reagować na odzywki Eryka, nawet takie, które normalnie doprowadziłyby mnie do białej gorączki. Głowa już mi pękała na myśl o spędzeniu całego wieczoru z Sommersami — znałam na pamięć te kolacje, podczas których na przekąskę serwowano pocucie wina, krytykę na danie główne, a całość przyprawiona była obficie bolesnymi wspomnieniami z dzieciństwa. Wszystko to sprawiało, że za każdym razem żałowałam, iż w ogóle przyszłam.

Wciągnęłam sukienkę — czarny obcisły „futurał”, który przez ostatnie parę lat wkładałam na rozmaite

rodzinne uroczystości — między innymi na przyjęcie z okazji dziesiątej rocznicy ślubu Cary i Stevena, dwa tygodnie temu. To właśnie tamtego pamiętnego wieczoru Steven musiał wygrzmocić Mildred po plecach, kiedy pulpecik utknął jej w gardle. Przez ten czas Eryk stał tylko nad nią, wołając rozpaczliwie: „Przełknij, mamusiu! No pokaż, jak umiesz przełykać!” Zwierzył mi się później, że ten incydent uświadomił mu, iż sam jest śmiertelny.

— Miałaś tę sukienkę na sobie, kiedy mama się udławiła — zauważył teraz. — Zmień ją, działa na mnie przygnębiająco.

Uśmiechając się słodko, podeszłam do szafy i wyciągnęłam inną suknię, koszulową z beżowego jedwabiu, która nigdy nie była świadkiem niczyjego zadławienia.

— Załóż tę broszkę od mamy, Maggie.

Posłusznie wyjęłam z kasetki wspomnianą broszkę — złotą żabę, trochę przypominającą Mildred, jeśli nie liczyć szmaragdowych oczu. Oczy Mildred były brązowe.

— Przełóż ją na drugą stronę, Maggie.

Bez słowa odpięłam żabę z prawej strony kołnierzyka i przypięłam ją po lewej.

— Rozpuść sobie włosy.

Skinęłam potakująco głową i wyjęłam spinki, pozwalając włosom opaść na ramiona.

— Masz za blade usta.

Usiadłszy z powrotem przy toalecie, pociągnęłam usta szminką, mocno zacisnęłam wargi, a następnie starannie osuszyłam je papierową chusteczką.

Tego wieczoru byłam gotowa zrobić niemal wszystko dla Eryka, wszystko z wyjątkiem zostawienia swojej diafragmy w różowym, wysypanym talkiem, etui i zajścia w ciążę.

— Przygotuj się na duże zmiany w nadchodzącym roku — oznajmił niespodziewanie — takie, którymi pewnie nie będziesz zachwycona.

— O jakich zmianach mówisz? — spytałam, szczotkując włosy.

— Nie mam zamiaru dłużej poświęcać swojego szczęścia dla twoich zachcianek.

— Jakich zachcianek? - Byłam zdecydowana nie dać się sprowokować, nie dopuścić do tego, by ta rozmowa przerodziła się w dziką awanturę.

— Zachcianki w rodzaju twojej kariery. Nie myślę dłużej znosić upokarzających pytań taty, czemu jeszcze nie mamy dzieci.

— Powiedz mu, że to nie jego interes.

— Nic podobnego. Ta sprawa dotyczy go w tym samym stopniu, co i nas.

— To niech sam ci urodzi dziecko — odpaliłam. I z tymi słowami moje dobre chęci ulotniły się.

— Nigdzie nie idę! - wrzasnął Eryk, zdzierając muszkę i rzucając marynarkę na podłogę. — Nie mam zamiaru iść i narażać się na dalsze upokorzenia, o ile nie uzyskam od ciebie stanowczej deklaracji. Ciskając szczotkę na blat toaletki z taką siłą, że odprysł kawał drewna, odkrzyknęłam: - Ja sama nic cię nie obchodzi! Nie interesuje cię, co myślę i co czuję! Nie zależy ci na niczym, prócz dziecka, a ja przypadkiem jestem do tego konieczna.

— Proszę, proszę. Nareszcie załapałaś — wycedził szyderczo. — Jeśli masz na tyle oleju w głowie, żeby to pojąć, to czemu bez przerwy się opierasz?

— Dlatego, że nie chcę teraz mieć dziecka.

I wtedy podszedł do mnie, pochylił się i spojrzał mi w oczy. A ponieważ spodziewałam się raczej wybuchu gniewu, moja zawziętość stopniała w jednej chwili.

— Pragnę cię, Maggie — powiedział.

Te magiczne słowa. Ale mogło być gorzej.

Eryk wodził rękoma po moim ciele, nie zważając na to, że jesteśmy już godzinę spóźnieni. Po raz pierwszy od bardzo dawna uczułam, że go pragnę, chcę poczuć go w sobie i powiedziałam mu to.

— Kochaj mnie, Eryku — szepnęłam.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałam, był zgrzyt rozpinanego rozporka, a potem, bez ostrzeżenia, brutalnie chwycił moją głowę i wepchnął ją sobie między nogi.

— Weź go do ust, Maggie, do ust. Klęczałam między udami Eryka, niepewnie wiodąc językiem po czubku jego pulsującego członka.

— Weź go do ust — rozkazał znowu. — Do ust. Nabrałam głęboko powietrza i włożyłam go do ust, mniej więcej jedną czwartą długości. Zaczęłam ssać, siorbiąc przy tym i mlaszcząc, i przerywając tylko dwa razy, żeby zaczerpnąć powietrza.

— Nie, Maggie, nie tak — powiedział opryskliwie. — Uważaj na zęby.

Otworłam usta trochę szerzej i połknęłam nieco więcej — mniej więcej jedną trzecią długości — wsysając policzki i usilnie starając się nie zadrasnąć go trzonowymi zębami.

— Nie tak, Maggie — zganił mnie jeszcze bardziej opryskliwie i mocno wziął w dłonie moją głowę.

— Tak.

I zaczął nią dyrygować tam i z powrotem, aż zaczęłam się dławić i krztusić, bo żołądź jego napęczniałego penisa uciskała mi migdałki. Wtłaczał mi się prawie do gardła, dusił. Miałam uczucie, że tonę, podczas gdy Eryk jęczał i dyszał, szarpiąc mnie za głowę w oszalałym, coraz szybszym rytmie. Nagle gdzieś w mojej jamie ustnej trysnął płyn.

Gwałtownie odepchnęłam ręce Eryka, wynurzając się spod bluzgającej cieczy, która zdawała się mnie zalewać i dusić. Spazmatycznie łapiąc powietrze, tonąc w spermie Eryka Ornsteina, uświadomiłam sobie raptem, czemu mogłoby być gorzej. Moja diafragma przez cały czas spoczywała w swoim różowym, wysypanym talkiem, pudełeczku. Szczęśliwego Nowego Roku.

## *Rozdział 5*

Quincy śpi jeszcze mocno na kanapie w dużym pokoju, z szarą puchową kołdrą podciągniętą pod brodę, kiedy śmieciarki zaczynają swój zwykły poranny łomot na ulicy pod moim oknem. Stąpając na palcach, przechodzę do sypialni, odchylam koc i wpełzam między lodowato zimne prześcieradła. Kiedy budzę się ponownie, jest już dziesiąta rano, a z łazienki dobiega szum prysznic.

Podchodzę tam na bosaka i pukam lekko. - Hej, to ty?

- A kogo się spodziewałaś? - odkrzykuje Quincy. Staje w drzwiach w czarnym szlafroku frotte, zbyt obszernym na jej drobniutką figurkę. - Co się stało, Maggie?

- Kiepsko spałam. Ten magazyn publicystyczny jakoś nie daje mi spokoju.

Bierze mnie pod rękę. - Pogadajmy o tym przy kawie.

Quincy przygląda mi się z troską, gdy wsypuję kawę do młynka. - Pewna jesteś, że to przez ten magazyn tak kiepsko spałaś?

Podnoszę na nią wzrok, ale zaraz koncentruję się z powrotem na huczącym plastikowym cylindrze,

o którego pokrywkę głośno uderzają pojedyncze ziarna. Ni stąd, ni zowąd zwykły proces parzenia porannej kawy nabiera wagi rytuału. Potrzebuję czasu, żeby zebrać myśli, sformułować, czego właściwie chcę - by Quincy mogła mi potem wyjaśnić, czego właściwie chcę.

- To naprawdę fantastyczna szansa i jestem ci wdzięczna za...

Przerywa mi gestem. - Nie musisz być wdzięczna: to mój obowiązek zawodowy, a poza tym jesteś moją przyjaciółką. Zawarłyśmy braterstwo krwi i łez tamtego dnia w Londynie, pamiętasz?

— Uśmiecha się.

Odpowiadam jej uśmiechem. Kawa przestaje perkotać; ostrożnie napełniam dwa fajansowe kubki, podaję jeden Quincy, a drugi - dla siebie - stawiam na blacie kuchennym.

- To fakt, że na pewno zarabiałabym dużo więcej i nareszcie nie byłabym pod butem wydawców, kierowników produkcji czy operatorów...

- Nic z tych rzeczy, Maggie. Jak długo pracujesz z ludźmi, tak długo będziesz od nich zależna.

- Ty nie, masz przecież własną firmę. Quincy śmieje się. - Chyba żartujesz. Jestem stale na łasce klientów i telewizyjnych grubych ryb. Od tego nie da się uciec. Po dłuższej chwili milczenia zauważam miękko:

— Dałam ci wczoraj do wiwatu, co?

- Nie - odpowiada ona. - Sama sobie dałaś do wiwatu. - Milczy chwilę. - W gruncie rzeczy wcale nie chodzi ci o ten program, prawda? Chodzi o co innego. - Przypatruje mi się z rozchyłonymi ustami i zmarszczonym czołem, ale nie naciska.

- Kocham go — mówię, odwracając się do niej

tyłem. — Mam nim tak nabita głowę, że nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

— Powinna była wiedzieć — stwierdza ona, opierając się plecami o lodówkę. — Właściwie to już wiedziałam.

— Słuchaj, wiem, że to głupio brzmi — tłumaczę, teraz już patrząc na nią — bo przecież i tak nic nie mogę na to poradzić, ale chwilami czuję się zniewolona tą miłością i boję się, żeby nie przeszkodziła mi w pracy. Nie myśl, że to przez niego. On nie robi nic takiego, to znaczy nic złego. Kocha mnie, nic więcej, i właśnie to sprawia, że czasem mam ochotę rozerwać jakiś niewidoczny łańcuch i wreszcie się od niego uwolnić. I dlatego znowu zaczął mnie korcić ten magazyn publicystyczny. Wiesz, o co mi chodzi?

Quincy dolewa sobie mleka do kawy. — Wiem, o co ci chodzi, ale nie jestem pewna, czy ty wiesz.

Nabieram tchu i starając się mówić bardzo wyraźnie, tak, żeby nawet do mnie to dotarło, stwierdzam:

— No więc dobrze, a gdybym tak wzięła ten program i spróbowała czegoś nowego? Nie wracałabym już na Bliski Wschód i...

— Maggie, już próbujesz czegoś nowego: uczysz się kochać. Może chwilowo poprzestałabyś na jednym, co?

— Jesteś moją agentką; dlaczego chcesz mi to wybić z głowy?

— Co takiego? Następnych sto tysięcy dolarów rocznie, czy szansę na znalezienie szczęścia z drugim człowiekiem? Posłuchaj mnie, Maggie. Masz farta, jakich mało: karząc siebie, a przy okazji i Aviego, zyskasz rocznie sto tysięcy dolarów netto. Nie, nie przerywaj mi przez chwilę, tylko słuchaj. Jeśli spojrzeć na to pod kątem czysto finansowym, trzeba



wziąć pod uwagę, że ten magazyn to nie dziennik. Mogą go zdjąć z anteny, a co za tym idzie, i ciebie. A wtedy, po odliczeniu podatku, mój dochód - bo postąpię jak stuprocentowa agentka i będę wstrętną egoistką - nie pokryje nawet jednej raty za mój domek na plaży. Nie wspominając już o tym, że jeśli cię zdejmą, to zostaniesz na lodzie - na twoim miejscu za pulpitem wiadomości będzie już siedzieć jakaś dwudziestopięcioletnia cizia. Ale wiesz co, Maggie? Mimo wszystko radziłabym ci zaryzykować, gdybym nie uważała, że chcesz wziąć tę robotę tylko po to, żeby uciec od mężczyzny, który za tobą szaleje. Zaznaczam, że nie mówię tego jako twoja agentka, ale przyjaciółka, której zależy na twoim szczęściu.

- Ciągle nic nie rozumiesz - mówię żałośnie.

- Rozumiem. To ty nic nie rozumiesz.

- Czasami go nienawidzę, pogardzam nim, bo jest żonaty. Nie wierzę w jego dobre intencje, a do tego mam mu za złe, że robi taką krzywdę żonie, chce ją rzucić... Momentami mam ochotę uciec gdzieś daleko od niego, Izraela i wiadomości.

- Jak już popełniać harakiri, to efektownie - stwierdza Quincy ironicznie. - Poczekaj, aż zaproponują ci prowadzenie głównego wydania, a może nawet ze dwa specjalne wydania rocznie i zaczniesz zarabiać milion dolarów rocznie jak Walters, i wtedy wykręc taki numer. Jak na razie nie jesteś na tyle ważna, żeby twoje odejście wywarło piorunujące wrażenie.

- Jesteś niesamowita - mówię, nie rozumiejąc, jak to się stało, że rozmowa przybrała zupełnie inny obrót niż zamierzałam. - No dobrze, a jeśli to pomyłka? Może się okazać, że w gruncie rzeczy wcale go nie chcę albo on wcale mnie nie chce.

— Wróc i przekonaj się. Zastanów się nad tym, kiedy będziecie razem, ale nie mieszaj ze sobą dwóch oddzielnych spraw, nie uzależniaj czysto zawodowych decyzji od tego, czy kogoś kochasz, czy nie.

— Kocham go — odpowiadam cicho. — Wariuję za nim.

— Wiem — stwierdza ona z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. — O to właśnie chodzi.

Nieoczekiwanie przechodzę przez kuchnię i przytulam się do Quincy, co mnie samą zaskakuje nie mniej od niej, a do tego znowu płaczę.

— Co ja wyprawiam?

— Po prostu nie jesteś przyzwyczajona do tego, żeby być szczęśliwą.

— Może to przez śmierć Joego.

— Może — odpowiada, gładząc mnie po włosach. — A może to przez Eryka i Verę, i Alana, i wszystko inne.

— W takim razie — pytam, odsuwając się, żeby wytrzeć oczy i wydmuchać nos — czemu ty sama tak świetnie się trzymasz mimo wszystkich okropnych przeżyć, jakie miałaś?

— Nie zawsze trzymam się świetnie. Też mam czasami ochotę wszystko rzucić i gdzieś się schować.

— Ale nie robisz tego.

— To prawda — odpowiada Quincy w zamyśleniu. — Pewnie dlatego, że jestem od ciebie o całe dziesięć lat starsza i mam bardziej filozoficzny stosunek do życia. Poza tym trzeba przyznać, że znacznie uspokoiłam się i złagodniałam, odkąd jestem z Danem.

— Wobec tego i ja mogę z nadzieją patrzeć w przyszłość? — uśmiecham się.

Quincy krzywi się znacząco. — Aha, być tak starą jak ja, to sama rozkosz.

- Jestem teraz inna niż wtedy, gdy zaczynałyśmy... Zmieniłam się, prawda?
- Ogromnie, kochanie, pod wieloma względami. Oczywiście, że tak.
- Czuję się teraz zupełnie inaczej, nawet pod względem zawodowym. Wszystko przychodzi mi o wiele łatwiej.
- Pamiętam, jak zaczynałaś pracować na wizji i byłaś dosłownie na łasce pierwszego lepszego wydawcy czy kierownika produkcji.
- To fakt, ale chyba nie zdawałam sobie z tego sprawy. Byłam zbyt szczęśliwa i przejęta. To było jeszcze takie nowe.
- Pamiętasz, jak pojechałaś z kamerą na pogrzeb tego policjanta? O mało cię wtedy nie wylali.
- Pewnie, że pamiętam, ale nie tylko z tego powodu. Tamtego dnia zdarzyły się jeszcze inne rzeczy. Quincy kiwa potakująco głową. - Racja. Zdążyłam już prawie zapomnieć o tych innych rzeczach.

\* \* \*

Całą Piątą Aleję zamknięto dla ruchu. Na trotuarach kłębił się tłum ciekawskich, napierając na metalowe barierki wzniesione przez policję po obu stronach szerokiej ulicy. Przed bogato zdobionymi wrotami katedry Świętego Patryka stało grono dygnitarzy, wśród których znajdował się burmistrz, naczelny komendant policji, paru kongresmanów oraz kilku wysokich funkcjonariuszy policji z medalami połyskującymi na niebieskich mundurach. W samym środku stał kardynał Nowego Jorku, jedną ręką przytrzymując purpurowy biret, a drugą

ogarniając szkarłatny ornat miotany ostrymi podmuchami listopadowego wiatru.

Na chodniku przed kościołem rozstawiono telewizyjne kamery i mikrofony, przez schody przeciągnięto czarny kabel. Reporterzy i technicy bądź to przytupywali w miejscu, bądź snuli się bezcelowo w oczekiwaniu na rozpoczęcie ceremonii. Z bliżej nie sprecyzowanego powodu, przedstawiciele władz miejskich obrali ten konkretny pogrzeb, by zademonstrować wszem i wobec, że bezsensowne morderstwa najlepszych synów Nowego Jorku nie będą dłużej tolerowane. Zabójstwo jednego policjanta, który padł na posterunku, wystarczyło, by zmobilizować media do wydania zażartej wojny przestępczości. Co prawda — stwierdzam to tylko dla ścisłości — Richard Steven Tomaski padł niezupełnie na posterunku. Po prostu miał pecha, a do tego popełnił dwie niefortunne pomyłki. Nadal miał na sobie mundur, gdy po skończonej pracy wstąpił na piwo do Gospody pod Srebrną Gwiazdą przy Chauncery Street w Brooklynie, o dwie przecznice od swojego domu, oraz odruchowo sięgnął do kabury, kiedy dwóch siedemnastoletnich smarkaczy wpadło do środka i kazało wszystkim podnieść ręce do góry. Niestety, ta druga pomyłka okazała się tragiczna w skutkach. Tomaski znalazł się na podłodze w ułamek sekundy po tym, jak sięgnął po broń. Kilka godzin później, gdy lekarz sądowy stwierdził zgon wskutek ran postrzałowych klatki piersiowej, podbrzusza i lewego uda, wyraz zdumienia nie zniknął jeszcze z twarzy Tomaskiego — twarzy, która już nigdy nie miała mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Moja ekipa niepostrzeżenie przysunęła się do krawężnika. Operator już wziął na ramię kamerę, a kierownik produkcji wyciągał szyję w stronę wylotu ulicy, gdzie ukazały się dwa motocykle

prowadzone przez ubranych w kaski policjantów. Za nimi sunęły trzy czarne limuzyny, a jeszcze dalej okryty kwiatami karawan. Nagle pozostałe ekipy telewizyjne rzuciły się naprzód, próbując dopchać się jak najbliżej sześciu mundurowych, którzy już czekali, aby wnieść trumnę poległego policjanta do kościoła. W chwili gdy karawan doturłał się do kościoła, powzięłam błyskawiczną decyzję, żeby przejść na lewo, do jadącej z przodu limuzyny, w której, jak przypuszczałam, znajdowała się wdowa po Richardzie Stevenie Tomaskim. Rzeczywiście, już po chwili lewe tylne drzwi się otworzyły i na chodnik wysiadła blada jasnowłosa kobieta. Stała, jakby na coś czekając, aż wreszcie siedzący na przodzie mężczyzna wynurzył się z samochodu i okrążywszy go podał jej zawinięte w becik niemowlę.

Dyskretnie trzymając mikrofon w opuszczonej nęce, przysunęłam się do zrozpaczonej kobiety i rzekłam: - Ogromnie pani współczuję z powodu śmierci męża.

Instynktownie zwróciłabym się tymi słowami do nieszczęśliwej wdowy, gdyby nawet Nick Sprig nie nauczył mnie, że najłatwiej nakłonić kogoś do wypowiedzi przed kamerą okazując głębokie zrozumienie dla jego sytuacji, czyli tak zwane „ludzkie podejście”. Chcąc, dajmy na to, zrobić wywiad z wielokrotnym mordercą, postrzelonym przez policyjnego snajpera i leżącym w kałuży krwi, należy zagaić: „Mnie też ludzie denerwują. A już najbardziej nie cierpię tych hucznych przyjęć”. Mając natomiast do czynienia z kierowcą, który nawiał z miejsca wypadku, a teraz siedzi przykuty do krzesła na komisariacie, można zauważyć mimochodem: „Co za zbieg okoliczności. Miałam identyczny problem z hamulcami w swojej hondzie”.

— Przynajmniej tego rodzaju teksty puszczano w pokoju wydania, chyba głównie pod moim adresem, bo Nick zawsze twierdził, że Maggie zanadto angażuje się emocjonalnie.

W przypadku Rity Tomaski opinia Nicka — zarówno o wyżej opisanej słabości Maggie, jak i o tym „zasranym fachu” — okazała się w pełni uzasadniona. Maggie Sommers nie musiała się specjalnie wysilać, by czuć się emocjonalnie zaangażowana, ani też nie mogła kwestionować trafności sądu Nicka na temat telewizji jako takiej. Ten konkretny temat był szczególnie tragiczny, bowiem główną jego bohaterką była ofiara — ofiary zaś były specjalnością Maggie.

— Pani Tomaski — powtórzyłam. — Naprawdę bardzo pani współczuję.

Spojrzała na mnie nieufnie, ale nic nie odpowiedziała. Przycisnęła tylko mocniej dziecko do piersi, osłaniając chudą dłońią jego główkę w niebieskiej, zrobionej na drutach, czapeczce. Dopiero wtedy, gdy Rita mozolnie przełożyła do drugiej ręki ciężką torbę wypchaną pieluchami i butelkami, ruszyłam do ataku. Wykorzystując jej chwilową dezorientację, wetknęłam mikrofon pod pachę i delikatnie wzięłam dziecko na ręce.

Kątem oka zauważyłam, że Kelly Blake, mój kamerzysta, i Fred Foreman, kierownik produkcji, chyłkiem przemykają się ku mnie za plecami zebranych. Fred zaciśniętą pięścią zakreślał koła niedaleko swojej głowy, dając znać Kelly'emu, żeby ustawił się do zbliżenia. Wyczuł, że już za moment sześć milionów widzów będzie ronić łzy razem z biedną Ritą Tomaski.

Niemowlę poruszyło się sennie, gdy sięgnęłam po mikrofon. Wydało jedynie cichy bulgot, gdy

powie-

działam: - Pani Tomaski, jestem Maggie Sommers z wiadomości ABN. Czy mogłabym panią prosić o minutę rozmowy?

W oczach Rity błysnęło dzikie przerażenie, bo nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że jakaś obca kobieta trzyma jej dziecko - jedyną żywą pamiątkę po jej zmarłym mężu. Po jej twarzy przemknął wyraz bezsilnej rozpacz i wściekłości, że ta obca kobieta, reporterka, podstępnie zmusiła ją do udzielenia wywiadu. Zareagowała tak, jak przewidywałam. Rzucając się, żeby wyrwać mi dziecko, krzyknęła: - Nie chcę z panią rozmawiać! Nie chcę z nikim rozmawiać!

Ale Maggie była szybsza - odskoczyła w lewo i obdarzyła Ritę czarującym uśmiechem.

- Zajmę pani tylko minutkę - rzuciłam śpiesznie. — Tylko kilka pytań, obiecuję.

Cichy szantaż: poświęć mi minutę czasu, a oddam ci dziecko. I nietrudno było zgadnąć, jaka będzie odpowiedź, ponieważ cała ta rozgrywka była równie prosta jak odebranie dziecku cukierka; czy też odebranie dziecka oszołomionej, zrozpaczonej matce, która chciała jedynie wejść do kościoła, by pomodlić się za duszę męża.

Rita na sekundę zamknęła oczy, a potem wolno skinęła głową. — Dobrze — powiedziała bezbarwnym głosem. - Ale proszę, nie dłużej niż minutę. Muszę wejść do środka.

Ale ja już zaczęłam odliczać — bynajmniej nie z litości dla biednej Rity, lecz dlatego, że cały ten temat musiał się zmieścić w czterech minutach i trzydziestu dwóch sekundach.

- Czy już dawniej obawiała się pani, że może do tego dojść?

- Nie — odrzekła cicho. — Staralam się o tym

nie myśleć. Tylko kiedy zdarzało się to innym, miałam różne takie myśli.

Czterdzieści pięć sekund, Rito. Nieco zwięźlej, jeśli łaska.

— Jak zareagowała pani na wiadomość o śmierci męża?

Usta Rity wykrzywił nagły grymas nienawiści, spojrzała na mnie zwięzonymi oczami z bezgraniczną pogardą. No, dalej Rita — poganiałam ją w myśli — już tylko trzydzieści sekund. Nie zrób mi teraz zawodu, pamiętaj, że mam twoje dziecko.

— A pani myśli, że jak się czułam? Chciałam umrzeć. Najpierw nie wierzyłam, a potem, kiedy go zobaczyłam, chciałam umrzeć. — Zaczęła bezgłośnie płakać.

— Czy poszła pani do baru, kiedy to się stało? — spytałam, widząc, że Fred wymownie przeciąga palcem po gardle — czas kończyć.

— Tak, wezwali mnie — wyszłochała. — Kiedy tam dobiegłam, ksiądz dawał mu ostatnie namaszczenie.

— Stop, Maggie! — wrzasnął Fred.

— Dziękujemy, że zechciała się pani z nami podzielić swoimi przeżyciami — rzekłam, podając jej dziecko, które również zaczęło płakać.

Maggie Sommers dotrzymała słowa, przekroczyła umówioną minutę tylko o sześć sekund, a teraz musiała już lecieć, bo trzeba było nakręcić jeszcze jedną sekwencję, żeby jakoś zapełnić pozostały czas. Oddając dziecko, unikałam wzroku Rity Tomaski, bo nie chciałam, żeby zobaczyła, że Maggie Sommers też ma łzy w oczach. Rita nigdy się nie dowiedziała, że Maggie było strasznie przykro i strasznie wstyd z powodu tego, co zrobiła, ale miała



w tym okresie własne problemy, a jeden z nich znacznie by się skomplikował, gdyby zaważyła temat i straciła pracę. Tymczasem jednak miałam na kasecie wywiad z wdową, którego nie udało się zdobyć nikomu innemu, i chwilowo nic mi nie groziło.

Przeszłam przez Piątą Aleję w ślad za Kellym i Fredem, żeby ustawić się na tle katedry, którą chcieli pokazać w szerokim planie. Stojąc pośrodku opustoszałej ulicy, na wprost włączonej kamery, niespodziewanie oznajmiłam, że nie przeczytam słów, które wcześniej przygotowano dla mnie w studiu. W tym momencie Maggie Sommers zbuntowała się i postanowiła postąpić etycznie, po swoim wysoce nieetycznym popisie przed paroma minutami. Stało się to, kiedy zaczęłam czytać tekst o tym, jak całe miasto okryło się żałobą po śmierci Richarda Tomaskiego i jak wielką uroczystością stał się jego pogrzeb. Nagle urwałam.

- Chwileczkę — powiedziałam idąc w kierunku kamery. - Co to ma znaczyć: „sam by sobie tego życzył”? Wcale by sobie tego nie życzył. Chciałby być w domu z Ritą i dzieckiem albo dokończyć to piwo, albo nawet - zrobiłam pauzę - stać tutaj i opłakiwać kogoś innego z godnością i miłością. Wcale by sobie tego nie życzył.

- Przeczytaj ten cholerny tekst, Maggie, po prostu go przeczytaj, co? Musimy jeszcze skoczyć na pożar do Bronxu, a poza tym jestem głodny. Przeczytaj już ten cholerny tekst.

- Nie powiem tej ostatniej linijki, że sam by sobie tego życzył. Nie zrobię tego i już. - Usiadłam na brzegu chodnika z mikrofonem na kolanach i czekałam.

Fred Forman przyklęknął przede mną. - Maggie, jeśli nie przeczytasz tego tekstu, i to w tej chwili,

daję ci słowo, że już nigdy nie będziesz mieć okazji przeczytać żadnego tekstu. Jasne? A teraz wstawaj i czytaj.

I choć walczyłam ze sobą przez jakieś dwie sekundy, nietrudno było zgadnąć, co w końcu odpowiem, bo to wszystko było równie proste jak odebranie dziecku cukierka, czy odebranie dziecka oszołomionej i zrozpaczonej matce, czy zagrożenie Maggie Sommers, że wyleci z pracy i będzie zmuszona sama urodzić dziecko. Wstałam, wróciłam na środek pustej ulicy, podniosłam mikrofon i przeczytałam tekst.

Kiedy skończyłam, rzuciłam sitko na ziemię i majestatycznie ruszyłam przez Piątą Aleję, lecz zdołałam ująć tylko trzy kroki, bo potknęłam się o gruby czarny kabel przeciągnięty przez ulicę i rymnęłam głową naprzód, prosto w ramiona jakiegoś mężczyzny. Odzyskawszy równowagę, szybko podniosłam wzrok i, ku swojemu zdziwieniu i zawstydzeniu, stwierdziłam, że Paul Newman także przyszedł na pogrzeb Tomaskiego. Spoglądając na niego ponownie, uczułam, że policzki oblewa mi gorący rumieniec: wszystko się zgadzało, te same jasne, krótko przystrzyżone włosy, te same uderzająco niebieskie oczy, pełne zmysłowe usta, średni wzrost i mocna budowa... ale nie, coś było nie tak. Nos był jakiś inny, niedoskonały, jakby ktoś wgniótł go prawym sierpowym, i faktycznie to właśnie przytrafiło się detektywowi Brianowi Flaherty'emu podczas nalotu na melinę handlarzy heroiną kilka lat wcześniej.

- Ja też myślę, że Tomaski nie byłby tym zachwycony — powiedział, trzymając mnie za łokieć. Nie zaszczyliłam go odpowiedzią, mimo że prz<sup>^</sup>d chwilą niewątpliwie uratował mój nos przed takim

losem, jaki spotkał jego własny. Uwagę moją pochłaniał złamany obcas.

— Cholera jasna — zakląłam, podnosząc zniszczony but. — Tylko tego mi jeszcze brakowało.

Czułam na ramieniu mocny uścisk jego dłoni, gdy pomagał mi dokuśtykać do schodów kościoła.

— Detektyw Brian Flaherty — przedstawił się. — Ja panią znam. Poznałbym wszędzie te zielone oczy i seksowne usta.

— Uhm... ja... — zabełkotałam, udając, że nadal zaprzęta mnie feralny obcas.

— Dziwię się tylko, że się wcześniej nie spotkaliśmy — dorzucił.

Spojrzałam w górę, prosto w jego niewiarygodnie niebieskie oczy, i mimowolnie pomyślałam, jaka to wielka szkoda, jaka strata. Ale jego intonacja była straszliwie wulgarna, naprawdę nie do przeżycia.

— Czy mówiono już panu, że wygląda pan zupełnie jak Paul Newman? — W głowie huczało mi:

Chodź tu — Odejdź, Chodź tu — Odejdź.

— Taa. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Wszyscy mi to mówią. Z wyjątkiem nosa, no nie?

— Nie zwróciłam uwagi — odparłam oschle.

— A więc — mówił dalej, ignorując niemy sygnał „Odejdź”, jaki właśnie wysyłałam — skoro ja jestem podobny do Paula Newmana, jeśli nie liczyć nosa, a pani nie jest podobna do Ann-Margret, jeśli nie liczyć górnej połowy ciała, to czemu nigdy dotąd się nie spotkaliśmy? — Jego wygląd był pociągający, słowa — odstręczające. — Jak to się stało — powtórzył z naciskiem — skoro oboje zajmujemy się przestępczością?

Głośno nabrałam powietrza w płuca, z irytacją, przynajmniej chciałam, żeby tak to zabrzmiało.

W rzeczywistości byłam urzeczona jego dolną wargą. — Naprawdę nie mam pojęcia — odparłam. -

W którym rejonie pan pracuje? Czym konkretnie się pan zajmuje? Znał pan Tomas-kiego?

Roześmiał się głośno i przysiadł obok mnie na schodach. - Hola! Jedno pytanie naraz.

- Prze... przepraszam.

Poklepał mnie po ręce. Wyszarpnęłam ją.

- Nie ma sprawy - powiedział. - Pracuję w wydziale zabójstw, obsługuję rejon między Siedemdziesiątą Siódmą a Bed-Stuy, i nie, nie znałem Tomaskiego.

- Jakiego rodzaju zabójstwa trafiają się panu najczęściej w Bedford-Stuyvesant?

Wyraźnie traciłam przy nim głowę, chyba że Maggie Sommers popadła w taką zależność od mikrofonu, że bez niego potrafiła zadawać wyłącznie idiotyczne pytania.

Zaśmiał się ponownie. — Przeważnie trafiają mi się takie zabójstwa, w wyniku których giną ludzie,

- Przepraszam — powtórzyłam. — Nie o to mi chodziło. Znowu poklepał mnie po ręce uspokajająco i spojrzał na mnie z powagą.

- Czasami, w weekendy, zdarzają się tak zwane zbrodnie domowe, zwłaszcza w biednych dzielnicach, gdzie ludzie nie mają forsy na rozwód. To ten rodzaj zabójstw, w których mąż postanawia skończyć z nieszczęśliwym małżeństwem i zadźgać żonę, kobietę, której przyrzekał „miłość, wierność i posłuszeństwo aż do śmierci”.

- Posłuszeństwo nie - poprawiłam go.

- He?

- Oni nie ślubują posłuszeństwa, tylko kobiety to robią.

151

- To chyba niewiele zmienia, bo nieraz zdarza się, że żona strzela do śpiącego męża, bo nie może dłużej wytrzymać bicia i znęcania się. W takich wypadkach zawsze cieszę się, że nie jestem żonaty — westchnął. — A pani?

- Co ja? - spytałam z roztargnieniem, zahipnotyzowana jego językiem, którym właśnie przesunął po spierzchniętych wargach.

- Jest pani mężatką?

- Tak.

Zmarszczył nieznacznie brwi, bezceremonialnie otaksował mnie wzrokiem, a potem uśmiechnął się szeroko, jakby uznając, że tak czy siak warto kontynuować.

- Miisi pani zostać do końca pogrzebu?

- Nie - odparłam - ale powinnam kupić sobie nowe buty przed powrotem do studia.

Brian wstał, a ja nadal siedziałam na schodach. Z wnętrza katedry płynęły melodyjne tony Albinioniego, na czystym błękicie nieba unosiły się lekkie jak puch obłoczki, a naprężona wypukłość między nogami Briana Flaherty'ego zasłaniała mi widok na chodnik, po którym wirowały złoto-czerwone liście unoszone rześkimi podmuchami jesiennego wiatru.

- Chciałby pan pójść ze mną? - spytałam, choć odpowiedź była przecież zupełnie oczywista.

On widać też tak uważał, bo nic nie powiedział, tylko zwilżył językiem górną wargę i podsunął mi ramię. Oparłam się na jego masywnym przedramieniu i chwiejnie stanęłam na złamanym obcasie. Chodź tu - Odejdź, łomotało mi w skroniach, coraz głośniejsze i głośniejsze. Posuwaliśmy się wolno Piątą Aleją w kierunku salonu obuwia Chandlera, a ja nie byłam świadoma niczego, prócz dotyku jego ramienia.

— Jak znosi pan tę całą przemoc, z jaką ma pan codziennie do czynienia?

Westchnął. — To parszywy świat, czasem naprawdę bez sensu.

Stwierdzenie to nie odznaczało się może szczególną głębią, co nie przeszkodziło mi jednak zauważyć, jak szerokie są ramiona detektywa Flaherty'ego.

— Mmm — mruknęłam uwalniając rękę i udając, że drapię się w nos.

— Dużo czasu minęło, zanim się przyzwyczyliem. Na początku ciągle musiałem dawać nura w puste uliczki czy na ciemne klatki schodowe, żeby się wyrzygać.

Spoglądając na niego kątem oka, zadałam sobie pytanie, jakiego rodzaju indywiduum dobrowolnie babrze się na co dzień w takich brudach, lecz zaraz uzmysłowiłam sobie, że przecież moja praca polega dokładnie na tym samym. Z tym, że to, co ja robiłam, było chyba jeszcze gorsze, bo z premedytacją wykorzystywałam te potworności, dorzucając stosowny komentarz do aż nadto szokujących migawek, które noc w noc pojawiały się na ekranach telewizorów. Jedyna różnica między Brianem Flahertym a Maggie Sommers polegała na tym, że ona miała ambiwalentny stosunek do swojej pracy, a on nie. Ale to bynajmniej nie dlatego pozwoliłam Brianowi odprowadzić się do Chandlera. Prawdę mówiąc, to wszystko zdarzyło się wyłącznie z powodu jego uderzającego podobieństwa do Paula Newmana.

Wybrałam najtańszą parę plastikowych sandałów, bo nie miałam ani karty kredytowej, ani książeczki czekowej — dzięki Erykowi Ornsteinowi, rzecz jasna. Wysupłując z portmonetki ostatni grosik, uświadomiłam sobie, że będę zmuszona przejść

piechotą kawał drogi do studia ABN. Zrozpaczona, zła i podminowana zapłaciłam dziewczynie przy kasie i wyszłam ze sklepu, z Brianem o parę kroków za mną. Już miałam się odwrócić i na niego poczekać, kiedy dobiegły mnie słowa: - Masz fantastyczną pupę, Maggie.

Skurczyłam się w sobie, jakkolwiek tym razem w mojej reakcji nie było nic ambiwalentnego. Ale jeszcze raz udałam oburzenie: — Mam znacznie lepszy profil. Może byś się przyjrzał?

- Nie - zawyrokował po dłuższej chwili. - Masz lepszą pupę.

Stałam jak wrośnięta w ziemię, przygryzając wargi i próbując sobie wyobrazić, jak by to było, co przychodziło mi dość łatwo, jako że moje majtki już były wilgotne.

- Brian - wykrztusiłam z trudem. - Muszę lecieć do studia. Jestem już spóźniona.

- Chodź - powiedział, biorąc mnie za rękę. - Mój wóz stoi tylko o parę domów dalej. Podrzucę cię. Siedzieliśmy w samochodzie, unieruchomieni w korku ulicznym gdzieś w centrum miasta, kiedy Brian zapytał: - O której schodzisz z roboty, Maggie?

Odchyliłam głowę na oparcie siedzenia, policzki mi płonęły. - Schodzę z roboty? - powtórzyłam miękko. Bo tak właśnie było. Brian Flaherty „schodził z roboty”, a Maggie Sommers „kończyła pracę”. Ale Maggie Sommers pożałowała Briana Flaherty'ego i to w ostatecznym rachunku niwelowało ową różnicę, jakkolwiek tylko tymczasowo.

Brian manewrował w gąszczu pojazdów ze zręcznością rasowego gliny, a wreszcie zajechał przed kompleks ABN. Przesuwając palcem po moich

wargach, nie tyle zapytał, co oświadczył: - Wpadnę po ciebie o siódmej, dobrze?

Kiwając potakująco głową, uzmysłowiłam sobie, że despotyczne zachowanie mężczyzny wobec kobiety jest dopuszczalne jedynie w tym przypadku, gdy kobieta żarliwie pragnie poczuć go w tym szczególnym miejscu, w które i on agresywnie pragnie wtargnąć. Tam, gdzie rodziło się wzajemne pożądanie, równość zniknęła, kobieta stała się w pewien sposób zależna. A przecież znacznie gorzej było, jeśli spragniona, wilgotna kobieta była ubezwłasnowolniona w innych dziedzinach życia — gorzej, bo takie ubezwłasnowolnienie prowadziło zwykle do oziębłości. Tamtego dnia, siedząc w samochodzie Briana, nie buntowałam się przeciwko władzy, jaką nade mną zyskał, ponieważ stało się to za moim przyzwoleniem. Był tak seksowny, że po prostu nie miałam wyboru. I jeszcze jedna drobnostka: Brian Flaherty nie miał możliwości pozbawienia mnie karty kredytowej czy książeczki czekowej, tak, abym nie była w stanie kupić sobie przyzwoitej pary butów.

Wreszcie skończyłam pracę i ponownie znalazłam się w nowiuteńkiej niebieskiej gablocie Briana. - Pojedziemy do jednego baru w Maspeth, niedaleko mojego domu - oznajmił. - Dają tam solidne drinki i grają wszystkie hity z lat sześćdziesiątych. Spodoba ci się.

Dotarliśmy do pubu, który okazał się wielką zatłoczoną salą z gigantycznym telewizorem zawieszonym pod sufitem, przy jednym z krańców długiej lady z sękatych sosnowych desek, obleganej przez zbitą ciżbę ludzi. Brian torował nam drogę łokciami przez kłębiące się morze ciał, póki nie znaleźliśmy wolnego miejsca przy barze, na przeciwnym krańcu



niż telewizor. Wtłoczył mnie pomiędzy dwóch mężczyzn, którzy powitali go wylewnie, waląc go po plecach i miażdżąc mu rękę, po czym zamówił piwo dla siebie i colę dla mnie.

Kiedy Brian zamówił drugie piwo, skapitulowałam i zgodziłam się napić czegoś mocniejszego.

- Szkocką z lodem dla tej pani, Mac! - krzyknął Brian do barmana, który natychmiast nalał drinka i szurnął nim po kontuarze, prosto w otwartą dłoń Briana.

- Czy pani nie jest przypadkiem Maggie Sommers? — zagadnął barman, podchodząc do nas.

Dwadzieścia par oczu natychmiast zwróciło się w moją stronę. Uśmiechnęłam się i skinęłam głową, mocno zmieszana tym całym zainteresowaniem. Trudno było przypuścić, by któryś ze znajomych czy współpracowników Eryka przypadkiem zawędrował do Gospody pod Czterolistną Koniczynką w Maspeth, ale i tak wołałam pozostać nie zauważona.

- Wypij, Maggie, to zatańczymy — powiedział Brian, wyczuwając moje zdenerwowanie.

Pociągnęłam kolejny długi łyk - krzywiąc się przy tym okropnie, bo nie znosiłam szkockiej — i przeszłam za Brianem na niewielki parkiet.

Tańczyliśmy przy dźwiękach *Jeremiah is a bullfrog*, tylko że wcale nie staraliśmy się utrzymać w ostrym rytmie muzyki. Ale choć poruszaliśmy się tak leniwie, ciągle potykałam się o nogi Briana.

Ilekcroć to się zdarzyło - czyli nieustannie - Brian po prostu przyciągał mnie do siebie tak mocno, że prawie nie dotykałam stopami podłogi. Właśnie wtedy, tańcząc z Brianem, dowiedziałam się czegoś bardzo istotnego.

Brian Flaherty nie był twardy. Był twardy jak skała. W pierwszym momencie zamarłam wstrząś-

nięta tym odkryciem, a potem podjęłam dalszą analizę tego zjawiska. Otóż zarówno tego, który jest twardy, jak i tego twardego jak skała, da się zauważyć przez naprężony materiał spodni w kroczu męzczyzny. Jednak tego, który jest twardy, otaczają zawsze jakieś miękkie partie. Tymczasem twardy jak skała nie jest w ogóle niczym otoczony; sterczy pod spodniami jak wielka zwałista masa zajmująca cały obszar krocza. I podczas gdy twardy jest końcowym rezultatem określonej transformacji, twardy jak skała nie jest rezultatem żadnej transformacji. Po prostu jest, jaki jest: twardy jak skała i to, jaki był przedtem, jest całkowicie i absolutnie bez znaczenia.

Muzyka grała, a ja czułam, że zaczyna mi się trochę kręcić w głowie, poza tym mocno zgłodniałam, bo przez cały dzień nie miałam nic w ustach prócz filiżanki kawy i jednego bajgla. Popełniłam błąd przypominając sobie tego bajgla, gdyż to naprowadziło mnie na myśl o Eryku i z miejsca ogarnęło mnie poczucie winy. Kiedy piosenka dobiegła końca, Brian zaprowadził mnie z powrotem do baru i szepnął: - Mieszkam tuż za rogiem, Maggie, i jest wtorek, czyli mój brat Denny pracuje do późna w magazynie przecenionych mebli Seamana. Nie wróci do domu przed jedenastą.

Zaczęłam coś mówić, ale zamknął mi usta pocałunkiem.

- Jeśli natychmiast nie wyjdziemy - powiedział ochryple — będziemy mieć dla siebie tylko niecałe trzy godziny.

\* \* \*

Quincy już się ubrała, siedzi na brzegu mojego łóżka i popija kawę. - Czy czułaś do Briana to samo, co teraz do Aviego? — pyta.

Zastanawiam się chwilę. - Nie - odpowiadam z namysłem. — Zdawało mi się, że Kocham Briana, bo dał mi coś, czego nikt inny wcześniej mi nie dał.

Quincy uśmiecha się domyślnie. - Ciekawe, co jeszcze prócz orgazmu?

Uśmiecham się. - Nic, ale wtedy to było aż nadto.

- No więc jak, czułaś do niego to samo, co do Aviego? — naciska Quincy.

Rozważam to pytanie, uczucia, jakie żywiłam dla nich obu. Kochałam Briana Flaherty'ego, bo był pierwszym mężczyzną, który wprowadził mnie w świat seksu, pomógł mi odkryć seksualny potencjał mojego ciała. Byłam nim zauroczona, bo traciłam przy nim poczucie czasu i przestrzeni, zdolność, a nawet potrzebę racjonalnego myślenia. Wszystko, prócz zmysłów, których istnienia w ogóle dotąd nie podejrzewałam. Wtedy nie rozumiałam jeszcze, że uprawiam autonomiczny seks - coś, co na ogół przychodzi kobietom z trudnością, a co mężczyźni potrafią robić z zamkniętymi oczami, i zresztą tak to przeważnie robią. Już samo to było miernikiem mojego uczucia do Aviego. Kochając się ze mną Brian nigdy nie brał w dłonie mojej twarzy i nigdy nie patrzył mi w oczy.

- Nieświadomość jest szczęściem - odpowiadam wreszcie.

- Co masz na myśli?

- Wtedy, z Brianem, nie zdawałam sobie sprawy, że skutecznie oddzieliłam serce i umysł od ciała.

- To dlatego, że byłaś już świadoma swojego serca i umysłu, a tamtą część siebie zaczynałaś dopiero odkrywać.

Uśmiecham się. - To śmieszne, ale przedtem nie wiedziałam, że może być aż tak.

- Aż tak?
  - Jeszcze jak! - śmieję się. - Na okrągło, aż nie mogłam już ruszyć ręką ani nogą.
  - Uhm - chrząka Quincy znacząco. - Teraz rozumiem: dał ci taki wycisk, że w końcu przypomniałaś sobie, że masz głowę?
  - Niezupełnie.
- A jednak pamiętam, że nigdy nie zabiegałam o tę nieuchwytną nagrodę, którą mężczyźni uznają za rzecz oczywistą, a kobiety za coś, co niekoniecznie musi przypaść im w udziale - i dlatego mierzą wartość aktu miłosnego według innych kryteriów, takich jak miłość, szacunek oraz to, czy ich poświęcenie nagrodzone będzie tym najwyższym z komplementów: propozycją małżeństwa.
- A jednak coś w tym było. Maggie Sommers przyjęła Briana bez specjalnych oczekiwań, a Brian posiadał Maggie z naiwną beztróską. Orgazm był dla Maggie nadal czarną magią i miała już męża. Równouprawnienie kojarzyło się Brianowi mgliście z czarnymi w Alabamie i wcale nie szukał żony.
- W takim razie, jaki był powód? - pyta Quincy.
  - Może to przez to całe gadanie o kobiecym orgazmie.
  - No cóż, same jesteśmy sobie winne — stwierdza Quincy - bo dopuściliśmy do tego, by publicznie roztrząsano nasze orgazmy. To idiotyczne, do czego doprowadziłyśmy.
  - Mhm... Przypominam sobie. Nie można było otworzyć książki czy gazety, żeby nie natknąć się na kolejną definicję. I te ciągłe uczone debaty,

w których jakoś uczestniczyli sami mężczyźni. To już przestawało być sprawą prywatną.

— Ale przecież Brian podobno nigdy nie kalał się lekturą, więc co on miał wspólnego z tą sprawą?

- Rzeczywiście, nie czytał i nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia, ale ja się przejmowałam. Zdawało mi się, że powinnam zająć jakieś stanowisko wobec tego zagadnienia, włączyć się w dyskusję — no wiesz, czy kobiecy orgazm w ogóle istnieje, a jeśli tak, to jaki. Coś straszego. Quincy parska śmiechem. - Mhm, pochwowy czy lechtaczkowy, a potem ktoś orzekł, i to bardzo autorytatywnie, że orgazm pochwowy jest zwykłym mitem. Zaczęłam się wtedy poważnie zastanawiać, czy ze mną jest coś nie tak. Nie rozumiałam, czemu coś dzieje się tam, gdzie podobno nic nie ma prawa się dziać.

- No więc, jeśli działo się to z tobą - i ze mną też, nawiasem mówiąc - to skąd brał się ten niedosyt?

— A to kto powiedział? Odkąd to sam orgazm nie wystarcza?

- Może odkąd znalazło się kogoś, kto ma do zaoferowania coś więcej? - odpowiadam z wolna.

- Więc to sprawa kompensacji, to chcesz powiedzieć? — uśmiecha się ona.

— Raczej dojrzałości.

— Koniec z seksem dla samej frajdy? - wzdycha Quincy. — No cóż, było miłe, ale się skończyło. Sama przyznasz, że było miłe.

- Oczywiście, że było i nadal jest, ale to nie wystarcza.

— Nigdy nie wystarczało, kotku, jeszcze zanim to odkryłaś. Tak się nam tylko wydawało. — Quincy urywa, a potem dodaje: - I wiesz co? Nadal tak się wydaje, przynajmniej w danej chwili.

Wtedy jednak, nieświadomość była istotnie szczęściem. Przynajmniej przez krótki czas wierzyłam, że Brian Flaherty jest facetem moich marzeń, kwintesencją mężczyzny wyzwolonego. W rzeczywistości w życiu nie słyszał o czymś takim jak ruch feministyczny, i całe szczęście zresztą, bo ruch feministyczny koncentrował się na orgazmie lechtaczkowym. Przez cały czas nie mogłam wyjść z podziwu nad niezwykłym „wyczuciem” Briana i łudziłam się, że go kocham. Tymczasem Brian beztrudnie robił swoje, wychodząc z założenia, że grunt to, żeby jemu było dobrze, a jeśli przy okazji skorzysta i Maggie, to i lepiej — on osobiście nie miał nic przeciwko lechtaczkowemu, pochwowemu czy jakimkolwiek innemu orgazmowi, który mógł się zdarzyć w tej sympatycznej okolicy. Z drugiej strony, Maggie wzięła Aviego w ramiona bez specjalnych oczekiwań, ponieważ orgazm był najmniejszym z jej problemów i już nie miała, ani nie szukała męża. Avi posiadał Maggie, kochając ją, lecz nie mogąc jej nagrodzić tym najwyższym z komplementów, propozycją małżeństwa, bo był już żonaty. Wszystko się zmieniło. Avi wiedział wiele rzeczy, o których Brian nie miał pojęcia, ale nie miało to nic wspólnego z rzeczami, które robił z Maggie, z wielkim pożytkiem dla obojga. Maggie i Avi kochali się z otwartymi oczami i nie było już miejsca na rozważania nad typami orgazmu, bo to po prostu działało się samo. To, co działało się między nimi, wynikało z faktu, że oboje nie potrafili oddzielić serca i umysłu od ciała. Nieświadomość nie była szczęściem, dojrzałość — tak.

— A jednak seks jest w gruncie rzeczy niesprawiedliwy — zauważam.

— Dla kogo? — pyta Quincy.

— Dla kobiet, bo nasze orgazmy nie są niezbędne.

— Mnie są niezbędne — śmieje się Quincy.

— Nie o to mi chodzi. Gdyby faktycznie były bezwzględnie potrzebne, to bez nich ludzkość nie mogłaby trwać. Natomiast mężczyźni muszą je mieć, albo koniec z naszym gatunkiem. To poważna sprawa, znacznie poważniejsza niż odrobina sapania.

— Ale to nasza własna wina.

— Dlaczego?

Quincy uśmiecha się melancholijnie. — Bo zdradziłyśmy nasze sekrety, niepotrzebnie rozprawiałyśmy tak publicznie o naszych orgazmach. Chyba dużo mądrzej byłoby wmówić facetom, że są nam równie potrzebne, co im samym. Może wtedy bardziej by się starali. Zamiast tego demonstracyjnie okazywałyśmy swoją niezależność i samowystarczalność, a przecież robienie tego w pojedynkę to średnia przyjemność.

— Racja, ale trzeba powiedzieć, że przykład Briana był niezmiernie typowy dla lat siedemdziesiątych, kiedy poziom intelektualny i kulturalny wpływał bezpośrednio na seksualne możliwości mężczyzny. Wiesz — im prostszy facet, tym lepszy kochanek, a im bardziej świadomy, tym gorszy, sfrustrowany i niepewny swojej męskości.

— Z tego wynika, że robienie tego z Brianem przypominało robienie tego samej.

— Może trochę.

— Tak czy siak, jest faktem, że to oni przewodzą, w sensie biologicznym, rzecz jasna — śmieje się Quincy. — Pewnie dlatego to właśnie mężczyzna wynalazł wibrator.

— Jeśli nawet, to w ten sposób przyspieszył tylko przemiany zachodzące w latach osiemdziesiątych.

— Chyba jesteśmy dziś łagodniejsze, mniej radykalne w porównaniu z tym, jakie byłyśmy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

— Wiesz, Quince, Avi też wcale nie jest jakimś doskonałym przykładem mężczyzny lat osiemdziesiątych, to już raczej ja...

— Co ty?

— No cóż, pomijając biologię, większość kobiet skłonna jest przyznać, że sfera fizyczna nie zawsze jest najważniejsza, chyba że ograniczają się do niej z własnego wyboru.

— Czy z Avim zawsze jest idealnie?

— Nie — odpowiadam szczerze. — Ale kocham go i to wyrównuje wszystkie usterki. I wiesz co, jestem przeszczęśliwa, że nie ode mnie zależy przetrwanie gatunku. Nie chciałabym wziąć na siebie tej odpowiedzialności.

Quincy milczy przez dłuższą chwilę.

— Muszę ci coś powiedzieć — odzywa się wreszcie. — Ale tak mi głupio.

— Co takiego, Quince?

— Nigdy nie robiłam tej rzeczy z lustrem — wyznaje nieśmiało. — Nigdy nie zależało mi na tym, żeby obejrzeć się w lustrze, po prostu mnie to nie interesowało.

Przypominam sobie tak popularną w latach siedemdziesiątych tezę o potrzebie poznania przez kobiety wszystkich szczegółów własnej anatomii — miało nam to udowodnić, że jesteśmy piękne, godne pożądania i w pełni świadome swojego „ja”. I nagle wszystko staje się jasne. Choć Brian Flaherty był pierwszym mężczyzną w moim życiu, który



nauczył mnie rozkoszy, musiały minąć lata, zanim naprawdę stałam się w pełni świadoma swojego „ja” i nie miało to nic wspólnego z żadnym lustrem.

— Pytałaś mnie o coś, Quincy — mówię. — O różnicę między moim uczuciem do Aviego a tym, co czułam do Briana.

— A już wiesz?

— Tak. Dzięki Brianowi odkryłam tę część siebie, której poznanie miało nam ułatwić lustro.

Natomiast Avi pomógł mi odkryć całą resztę, coś, w czym nie mogłoby mi pomóc żadne lustro na świecie.

Quincy przygląda mi się badawczo. — Czy to możliwe, że naprawdę zakochałaś się w tym człowieku?

— Myślę, że to bardzo możliwe.

\* \* \*

Tłum wypełniający Gospodę pod Czterolistną Koniczynką znacznie się już przerzedził," gdy Brian regulował rachunek.

— Muszę jeszcze gdzieś zadzwonić, zanim wyjdziemy — powiedziałam.

— Możesz to zrobić ode mnie, Maggie. Mam telefon.

— Nie, lepiej zrobię to z budki. Automat przerwie rozmowę, jeśli przeciągnie się powyżej trzech minut.

Brian obdarzył mnie spojrzeniem pełnym uznania, bo jako detektyw potrafił docenić zręczną taktykę — nawet jeśli wolał pominąć dyskretnym milczeniem fakt, że byłam mężatką. Co prawda, nie robiło mu to większej różnicy, gdyż cielesne przyjemności nie figurowały na jego osobistej liście grzechów głównych — chyba że przybierały formę

molestowania nieletnich, sodomii czy gwałtu. A w takich wypadkach to Brian-detektyw, a nie Brian-katolik, pilnował, by sprawiedliwości stało się zadość. Przeprosiłam go i poszłam w głąb sali, do budki telefonicznej wciśniętej między męską a damską toaletę.

Wykręciłam nasz numer domowy i czekałam, póki — po siódmym sygnale — nie przypomniałam sobie, że jest wtorek: dzień, w którym Denny Flaherty pracuje do późna w magazynie przecenionych mebli Seamana, zaś Eryk Ornstein zostaje dłużej w biurze, żeby załatwić zaległą papierkową robotę. Rozłączyłam się i ponownie nakręciłam numer, tym razem biura Eryka. Po krótkiej chwili w słuchawce rozległ się nosowy głos pani Pierce, sekretarki Eryka: - Biuro pana Ornsteina juniora, słucham?

- Dobry wieczór, pani Pierce - przywitałam się. — Czy mogłabym mówić z Erykiem?

— Czy można wiedzieć, kto mówi? — spytała swoim zwyczajem.

Był 1976 rok i byłam żoną Eryka Ornsteina od 1969 roku, czyli od okrągłych siedmiu lat, a zatem pani Pierce miała dostatecznie wiele okazji, żeby słyszeć mój głos — osobiście, przez telefon, czy choćby na antenie — aby go rozpoznać, gdyby tylko zechciała. Jednak widocznie nie chciała, bo ile razy dzwoniłam, zdawała się nie wiedzieć, z kim ma do czynienia.

W wyobraźni widziałam to straszycło — przesadnie umalowane, z ufarbowanymi na pomarańczowo włosami zwiniętymi w ciasny koczek na czubku głowy, szkarłatnymi paznokciami i krzywymi nogami w czarnych pończochach ze szwami z tyłu — jak siedzi za biurkiem wielce zadowolone, że raz kolejny zmusiło mnie, bym się przedstawiła.

— Mówi Maggie.

Zawsze kojarzyła mi się z chytrą francuską kasjerką, siedzącą na wysokim stołku w paryskim *tabac* i liczącą banknoty dłonią uzbrojoną w gumowy napastrzek. Jednakże pani Pierce nie nosiła napastrka i nie była chytrą francuską kasjerką. Zaliczała się natomiast do nielicznych już sekretarek starej szkoły, które ukończyły jeszcze kursy stenografii i nadal nosiły plastikowe ochraniacze na łokcie. Zawsze osłaniała nimi rękawy swoich zjadliwie zielonych i krzykliwie błękitnych sukienek z tworzyw sztucznych, gdy przeglądała pliki zamówień i rachunków, leżące w równych, porządnym stosach na jej biurku, obok zaplamionego szkarłatną szminką papierosa, który stale żarzył się w bursztynowej popielniczce.

Pani Pierce stale obwieszała się biżuterią zdobioną błyszczącymi kamieniami — niebieskimi lub zielonymi, w zależności od koloru sukienki, przeważnie ściągniętej w chudej talii szerokim paskiem z czarnej lakierowanej skóry. Kolczyki, bransolety i naszyjniki skapywały z wielkich małżowin usznych, kościstych ramion i wyschniętej szyi pani Pierce. Klejnoty te były pamiątką po świętej pamięci panu Pierce, który pracował w branży jubilerskiej szlifując i oprawiając kamienie półszlachetne, aż do swojej przedwczesnej śmierci w wieku pięćdziesięciu sześciu lat. Eryk Ornstein odziedziczył panią Pierce po Harrym Ornsteinie, w okresie gdy zaczęły chodzić słuchy, że niepokieszona wdowa rozpoczęła energiczne poszukiwania nowego męża i Harry się wystraszył.

— Pan Ornstein jest w tej chwili zajęty — odrzekła lodowato. — Czy może pani poczekać?

— Obawiam się, że nie, pani Pierce — rzekłam ze słodyczą. — Dzwonię z budki i jestem w samym

środku nagrania. Chciałam tylko zawiadomić Eryka, że późno wrócę, — niewykluczone, że dopiero o jedenastej. - Rzecz jasna, nie dodałam, że z pewnością będę już w domu, gdy zamkną magazyn Seamana i Denny Flaherty powróci do segmentu braci Flaherty w Maspeth, w Queens.

Po obu stronach betonowej ścieżki, prowadzącej do ceglanego bliźniaka, stały schludnym rzędkiem plastikowe tulipany. Idąc za Brianem w kierunku drzwi wejściowych, zobaczyłam, że jedna z firanek wiszących w oknie na parterze odchyliła się nieznacznie i mignęła zza niej jakaś głowa okolona wianuszkami siwych włosów.

— Twoja matka jest w domu?

— Tak, mama zawsze siedzi w domu. Wychodzi tylko do kościoła albo zagrać w bingo w poniedziałki wieczorem.

Oczywiście, mogłam się tego domyślić - zupełnie jak moja mama. Tu jednak podobieństwo się kończyło, bo moja mama byłaby ciut zdziwiona, gdyby wiedziała, że właśnie zamierzam wejść do jednego z tych zabawnych domków, które widywała jedynie z okien samochodu jadąc na lotnisko. Zdziwiona, to było mało powiedziane: osłupiała, zbulwersowana, zaszokowana — to lepiej oddałoby jej uczucia.

Brian otworzył drzwi i grzecznie odstąpił na bok, żeby mnie przepuścić. Przytrzymując się dębowej poręczy, weszłam na górę — po schodach wyłożonych dywanem w czarno-brązową pepitkę, przez cały czas czując rękę Briana na swojej, jak to zostało orzeczone, fantastycznej pupie. Tym razem jednak, zamiast proponować mu, by obejrzał mój lewy profil, szłam nieśpiesznie, zalotnie

kołysząc biodrami, aż wreszcie dotarłam na pięterko i weszłam do dużego pokoju. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęło się olbrzymie akwarium podświetlone niebieskimi i zielonymi lampkami. Na wysypanym czerwonymi i błękitnymi kamyczkami dnie zbiornika leżała miniaturowa statuetka Neptuna; kolorowe egzotyczne ryby najrozmaitszych rozmiarów leniwie przemierzały bulgoczącą wodę. Pod drugą ścianą stała wielka kanapa z brązowego pluszu, a obok niewielki rzeźbiony stolik w stylu hiszpańskim. Kąt jadalny oddzielał od reszty pokoju gigantyczny telewizor, połączony z zestawem stereo, który błyskał kolorowymi światłami w rytm muzyki. Na zielonych ścianach wisiały plakaty odzwierciedlające społeczne, kulturalne i polityczne poglądy braci Flaherty. Na jednym z nich policjant w kasku, stojący na tle powiększonej flagi amerykańskiej, celował wskazującym palcem prosto w widza. „Nowojorska Komenda Policji cię potrzebuje” — głosił napis. Na plakacie wiszącym nie opodal, długowłosego, wyraźnie zamroczony osobnik wspierał się bezwładnie o przepelniony pojemnik na śmieci stojący przed zdewastowaną rudera. Pod spodem widniał podpis: „Mak zabija”. Zaś z naturalnej wielkości fotosów, rozlepionych na każdym wolnym miejscu, wdzięczyły się króliczki Playboya, reprezentujące wszystkie miesiące roku. Tamtego wieczoru nie zdążyłam zwiedzić innych pokoi, z wyjątkiem łazienki, gdyż zanim mogłam uprzejmie podziękować za proponowane mi piwo, Brian Flaherty zaczął mnie delikatnie rozbierać. I nie tylko całował — żuł, kąsał, gryzł, pochłaniał i pożerał, póki cała moja uwaga nie skupiła się wyłącznie na wargach. Nie miałam już innych części ciała. Byłam cała ustami, aż do

168

chwili gdy Brian postanowił się zająć moimi piersiami. I nie tylko ich dotykał - pieścił, ssał, muskał, gładził i lizał, póki nie skupiłam całej uwagi właśnie na nich. Nie miałam już innych części ciała. Byłam cała piersiami, aż do chwili gdy Brian postanowił wślizgnąć się we mnie tą twardą jak skała częścią swojego ciała, którą odkryłam tańcząc przy dźwiękach *Jeremiah is a bullfrog*. Przez cały ten czas nie odzywał się ani słowem. Tylko wtedy, gdy zdumiona szybkością, z jaką się we mnie znalazł, wykrzyknęłam stłumionym głosem: - Brian, wcale go nie musiałeś wkładać! Wszedł sam! — wygłosił pierwsze i ostatnie zdanie w ciągu tych trzech godzin, które spędziłam z nim na jadowicie zielonym nylonowym dywanie zaścielającym podłogę.

- Faceci - stwierdził — którzy muszą pomagać sobie ręką, w ogóle nie powinni się tam pchać. - Pomyślałam o Eryku Ornsteinie i w duchu przyznałam mu rację.

Trwało to i trwało, aż wreszcie, kiedy tak leżałam pod jędrnym, muskularnym ciałem Briana Flaherty'ego, mężczyzny, którego poznałam zaledwie parę godzin wcześniej, do mojej świadomości zaczął z wolna docierać ból promieniujący gdzieś z okolicy mojej brody, jak również kości ogonowej. Ilekroć jednak zamierzałam poprosić Briana, by pomógł mi określić przyczynę tego nieprzyjemnego doznania, moim ciałem wstrząsał nowy spazm i zapominałam o wszystkim, zajęta już tylko tym nowym uczuciem, promieniującym gdzieś z głębi mojego ciała.

Okazało się, że Brian Flaherty kwalifikuje się do kolejnej podgrupy, tej bezpośrednio pod kategorią „twardy jak skała”. Był bowiem twardy jak skała nie tylko na parkiecie i w łóżku, lecz pozostawał twardy

jak skała nawet po orgazmie. Nie fatygował się nawet, żeby ze mnie wyjść, po prostu leżał przez parę minut nieruchomo, mocno obejmując mnie ramionami, z twarzą wtuloną w moją szyję, a potem wszystko zaczynało się od początku. Właśnie podczas jednej z tych krótkich przerw, udało mi się w końcu zwrócić jego uwagę na moją brodę, jako że kość ogonowa była chwilowo niewidoczna.

— Podrapałem cię — stwierdził rzeczowo.

— Wygląda na to, że zapomniałem się ogolić.

I wysunął się ze mnie, pozwalając mi stanąć na miękkich nogach.

— O kurczę, Maggie — powiedział - dywan cię obtarł. Paskudnie to wygląda.

Powłokłam się do łazienki wyłożonej różowo-zieloną glazurą — jedyne pomieszczenia, jakie miałam jeszcze zobaczyć tego wieczoru — wspierałam się na umywalkę i zobaczyłam okrągłą rozognioną ranę na swojej brodzie. Obróciwszy z trudem obolałe ciało, ujrzałam podobną ranę tuż nad pośladkami

— jeszcze jedną, acz mniej widoczną chlubną pozostałość po trzech nieprzerwanych godzinach czegoś, co dawało się określić jedynie mianem najlepszego autonomicznego seksu w całym moim życiu. Było pewne, że czas uleczy wprawdzie moje rany, lecz nigdy nie zatrze wspomnienia tego, co zaszło dziś wieczorem.

Wróciłam do pokoju w identycznym stanie, w jakim go opuściłam, czyli goła jak święty turecki. Gdy oczy oswoiły mi się trochę z panującą ciemnością, zaczęłam rozglądać się za Brianem, którego, o ile pamiętałam, zostawiłam na podłodze gdzieś w okolicy gulgoczącego akwarium. Nigdzie go nie było.

Nagle ukazały się dwie postacie — jedna ubrana,

a druga naga, każda z puszką piwa w ręce - wychodzące z pomieszczenia, które, jak się zdawało, było kuchnią. Wciąż na golasa zastygłam w miejscu, prawie nie śmiać oddychać; mój olbrzymi cień kładł się na ścianie pomiędzy panną Czerwiec a panną Listopad. Odruchowo przycisnęłam dłoń do ust, szybko ją opuściłam, bezskutecznie próbując zasłonić piersi, i wykrzyknęłam: — O Matko Boska! Sama nie wiem, co mnie napadło, żeby w takim momencie wzywać pomocy błogosławionej dziewicy, może to irlandzka sperma posiadała tak wielką moc, że jakimś sposobem przeniknęła aż do mojego ośrodka mowy.

Brian podszedł do mnie i bez cienia skrepowania objął ramieniem moje drżące plecy. - Przywitaj się z moim bratem Denny — powiedział.

Zdrętwiała ze wstydu, mruknęłam niedosłyszalnie „Dobry wieczór”, wysunęłam się z uścisku Briana, pozbierałam swoje porzucane po podłodze części garderoby i pośpiesznie wycofałam się do łazienki.

Wróciłam stamtąd po krótkiej chwili, ubrana, uczesana, z odświeżonym makijażem, i usiadłam przy Brianie, który - nadal goluteńki - słuchał, jak Denny opowiada o dwóch transakcjach, jakich dokonał tego wieczoru.

- Wtedy wchodzi ten gość i bez opieprzania się kupuje cały komplet mebli do jadalni razem z kredensem, klonowy, w stylu wczesnoamerykańskim, ładna robota na wysoki połysk - zupełnie jak te, które zawsze stoją w domach, gdzie umarł jakiś prezydent, wiesz o co biega?

- Taaa - przytaknął Brian. - W Wirginii.

- No, no. Facet zapłacił i już miałem się zwinąć, kiedy wchodzi jedna laseczka z pudełkiem minia-  
171



turką, takie cacuszko z wypolerowanymi paznokciami, i prosi o ten komplet do sypialni w stylu prowansalskim.

— Laseczka czy pies? — zaśmiał się Brian.

— He?

— To o niej powiedziałaś cacuszko z wypolerowanymi paznokciami?

— Ale jaja — Denny zaniósł się bezdźwięcznym śmiechem, kiwając przy tym głową jak najęty.

— O psie. Ale jaja.

— Brian — wtrąciłam cichutko. — Chyba lepiej już pójdę.

— Tak szybko wychodzisz? — spytał Denny, odrzucając rudy kosmyk z piegowatej twarzy.

— Bardzo miło było cię poznać i dam głowę, że jeszcze się spotkamy.

Było to zrozumiałe przypuszczenie ze strony kogoś, z kim już łączyła mnie pewna dość osobliwa więź.

Uśmiechnęłam się. — Na pewno tak. I gratuluję ci udanych transakcji.

— Dzięki. Gdybyście kiedyś — ty, czy twoja rodzina — potrzebowali mebli, wpadnijcie do Seamana.

— O, z pewnością — odrzekłam, wyobrażając sobie, jak olśniewająco prezentowałby się wczesno-amerykański komplet mebli do jadalni wraz z kredensem wśród osiemnastowiecznych francuskich antyków wypełniających letni domek Very.

— Zaczekaj sekundę, Maggie — powiedział Brian. — Tylko coś na siebie wrzucę. — A potem wziął mnie pod brodę i dorzucił: — Nie smaruj tego kremem, niech lepiej samo wyschnie.

Skinęłam potakująco głową, zadając sobie po cichu pytanie, ile razy w życiu miał już do czynienia z podobnym problemem. Powyższa rada należała

do tej dziedziny wiedzy, którą Brian zdawał się mieć po prostu we krwi.

Kiedy mknęliśmy przez most prowadzący na Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę, wracając z jego świata do mojego, postanowiłam postawić sprawę jasno.

— Jestem mężatką - powiedziałam nagle, gdy zjechał ślimakiem na ulicę w dole.

— Wiem — odrzekł, spoglądając na mnie przelotnie. — Już mi mówiłaś.

— Nie przeszkadza ci to?

— Nie, czemu miałyby mi przeszkadzać? Nie robię nic złego.

Było to zdumiewające, ale najzupełniej logiczne.

Zakonnice uczyły Briana, że pogodzenie z losem jest dowodem głębokiej wiary w Pana, a ścieżki Pana są niezbadane. Mówiły mu, że żyjąc na tym padole obrać można tylko jedną z dwóch dróg — słuszną, gwarantującą człowiekowi miejsce w niebie, gdy to co widzialne przeminie, oraz błędną, prowadzącą prosto do piekła, gdzie udęczone dusze cierpią wieczyste męki, skazane na nieustanne rozpamiętywanie swoich doczesnych przewinień. Ten czarno-biały dogmat nigdy nie budził w nim wątpliwości natury intelektualnej ani nie tłumił jego radości życia. Przekonał się, że może nagiąć obowiązujące reguły na tyle, aby się dobrze bawić, o ile tylko ta zabawa nie wyrządza nikomu krzywdy.

Brian spędzał długie godziny nad katechizmem, czekając, aż wreszcie zadźwięczy upragniony dzwonek, po którym będzie mógł pobiec na pusty plac przy Monroe Avenue i powalić w swoją ukochaną starą piłkę wyślizganym i opatrzonym autografem kijem baseballowym. A kiedy Brian nie walił w piłkę na Monroe Avenue, można go było czasem znaleźć za opuszczonym budynkiem, gdzie przykucnięty

pod ścianą, wraz z czterema czy pięcioma innymi chłopcami, oddawał się zapamiętane waleniu czego innego — na wprost lśniącej ćwierćdolarówki, umieszczonej w strategicznym punkcie o parę stóp od zawodników. Brian niezmiennie wygrywał, trafiając prosto w cel, po czym spokojnie chował ćwiartkę do kieszeni, bez obawy przed karą niebios. Nie krzywdził przecież nikogo, a zresztą był przekonany, że w razie czego będzie mógł odpokutować to później — dużo później — jeśli zajdzie taka konieczność, w życiu przyszłym, o ile takowe istnieje.

Po maturze Brian stawiał twardy opór rodzicom, którzy błagali go, by został księdzem, i zrobił to, o czym sam od dawna marzył — wstąpił do szkoły policyjnej. Jakkolwiek gotów był bez wahania przyjąć wszystkie zasady wiary i nigdy nie kwestionować nieprzeniknionych wyroków Pana, z pewnych rzeczy po prostu nie miał zamiaru rezygnować. Tak więc, Brian został gliną i przeniósł to czarno-białe widzenie świata na ulice Nowego Jorku, gdzie wszystko było rzeczywiście bardzo proste, pod warunkiem, że człowiek trzymał się ustalonych reguł. Jeśli przestrzegał prawa, zostawał na wolności, szedł do roboty na dziewiątą, wracał o piątej, popołudniami grywał w baseball, a w sobotnie wieczory dosiadał jakiejś Włoszki — wprawiając się na ćwierćdolarówkach — a po pewnym czasie żenił się, miał dzieci i razem z żoną skrzętnie odkładali pieniądze, żeby na stare lata osiąść na zachodnim wybrzeżu Florydy, z dala od miejskiej hołoty. Ci, którzy łamali prawo, szli do pudła i od tego był właśnie Brian.

Brian Flaherty wyspecjalizował się w roli policjanta o dobrym sercu: okazywał podejrzanym dale-

174

ko posuniętą uprzejmość, częstował ich kawą i papierosem, a także dawał im odczuć, że nie ma nic dziwnego w fakcie, iż rozwalili komuś głowę łomem. W pewnym punkcie rozmowy wychodził pod jakimś pretekstem i dawał znak koledze, który podejmował przesłuchanie, aczkolwiek już nie w tak uprzejmy sposób jak Brian. Po pewnym czasie - nie za długim, żeby sprawy nie zaszły za daleko — Brian niedbałym krokiem wracał do pokoju, pozorował oburzenie na nieczułość kolegi i bez większego trudu uzyskiwał pisemne przyznanie się do winy od przerażonego, lecz wdzięcznego więźnia. Właśnie tej wysoce efektywnej metodzie pracy zawdzięczał awans na detektywa pierwszej klasy, który otrzymał tuż przed trzydziestymi urodzinami, na miesiąc przed spotkaniem z Maggie Sommers na środku Piątej Alei.

Życie prywatne Briana układało się równie bezkolizyjnie, jak jego praca. Mieszkając w segmencie w Maspeth, tuż nad swoją owdowiałą matką, miał uczucie, że jest w porządku wobec siebie, matki i Pana Boga. Codziennie o szóstej rano pani Flaherty udawała się na mszę świętą do kościoła położonego o dwie przecznice dalej. W wolne niedziele Brian i Denny towarzyszyli matce, w miłym przekonaniu, że robią to, co do nich należy. To poczucie dobrze spełnionego obowiązku pozwalało Brianowi oddawać się innym przyjemnościom z czystym sumieniem.

— Nie możesz dzwonić do mnie do domu — rzekłam, gdy jechaliśmy w górę Piątej Alei. - Musisz mnie łapać w studiu. Jestem tam codziennie od dziewiątej do dziesiątej, potem z reguły jadę gdzieś na zdjęcia.

- Umowa stoi — odparł, ściskając mnie za rękę. - Ale jeśli umówisz się ze mną od razu, to w tym

tygodniu nie będę musiał wcale do ciebie dzwonić.

— Uśmiechnął się szeroko.

Poczułam zadowolenie — ulgę, że znów chce się ze mną spotkać — ale i przerażenie, że nieodwołalnie uwikłałam się w związek pozamążelński. Brian Flaherty nie był tylko na jedną noc.

— Już nigdy się z tobą nie spotkam, jeśli się nie ogolisz — zażartowałam. — Jak mam się pokazać na wizji? Wyglądam, jakbym upadła twarzą na chodnik.

W tym momencie wpadło mi do głowy, że właśnie to powiem Erykowi, gdyby pytał, co mi się stało.

Brian roześmiał się. — Przysięgam, że się ogolę. Więc jak, może jutro?

Zbliżaliśmy się do Siedemdziesiątej Drugiej, kiedy dotarło do mnie, jak nierozważnie byłoby dać się podwieźć do samego domu. — Zatrzymaj się tutaj

— rzuciłam — podjadę do domu taksówką. — Zrozumiał w mig i stanął przy zbiegu Pierwszej Alei i Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy.

— Do widzenia, Brian — powiedziałam miękko.

— Do widzenia, Maggie — odrzekł, delikatnie dotykając mojego poranionego podbródka. Gdy otwierałam drzwi samochodu, nasze oczy przelotnie się spotkały. Wiedział.

Jadąc na górę windą, uświadomiłam sobie, że złamany obcas znakomicie wpasuje się w historyjkę, którą zamierzałam opowiedzieć Erykowi. Stąpając na palcach i trzymając buty w ręce, bezszelestnie wślizgnęłam się do przedpokoju. Drzwi do sypialni były uchylone i padała z nich smuga światła. Eryk Ornstein nie spał. Nałożywszy buty — ten uszkodzony też — pokuśtykałam do pokoju i stanęłam w nogach łóżka. Eryk siedział oparty o wysoko

ułożone poduszki, całkowicie zaabsorbowany kalkulatorem i żółtym notesem rozłożonym na kolanach. Był tak pochłonięty obliczeniami, że nawet nie podniósł oczu, gdy rozpoczęłam swoją starannie obmyśloną opowieść.

— Popatrz tylko, co mi się stało — powiedziałam bez tchu. — Próbowałam dogonić moją ekipę, która pojechała za policją, bo facet podejrzany o napad właśnie...

— Mhm — mruknął Eryk. — Zaraz, zaraz... Niespokojnie przestąpiłam z nogi na nogę i czekałam.

— Skończyłam — oznajmił wreszcie triumfalnie, rzucając ołówek na koldrę i podnosząc głowę znad kartki. — Teraz powiedz, co się stało?

Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam od nowa:

— Próbowałam dogonić mój wóz transmisyjny, który ruszył za radiowozem goniącym faceta podejrzanego o napad, kiedy upadłam, złamałam obcas — zademonstrowałam mu dowód rzeczowy — i rozkwaśliłam sobie podbródek o chodnik. — Wysunęłam brodę do przodu.

— Gdzie to się stało? — spytał spoglądając na mnie znad okularów.

— W Maspeth — odparłam odruchowo. Co za głupota, miałam ochotę kopnąć się w kostkę. Flatbush, Kew Gardens, Harlem - cokolwiek, tylko nie Maspeth.

Ale on nie był specjalnie zainteresowany moją przygodą; jego następne słowa wykazały to jasno, jak również potwierdziły prawdziwość odwiecznej maksymy, że faceci, którzy muszą pomagać sobie ręką, w ogóle nie powinni się tam pchać.

— Posmaruj sobie brodę kremem — rzekł Eryk.

— Ale najpierw chodź tutaj. Chcę ci coś pokazać.

Usiadłam na brzegu łóżka i spojrzałam na skomplikowane wykresy widniejące w jego żółtym notesie.

— Nad czym tak pracujesz o wpół do dwunastej w nocy?

Uśmiechnął się. — Właśnie zrobiłem wykres twojego cyklu z grudnia. W oparciu o twoją ostatnią miesiączkę zaznaczyłem dni, w których byłaś najbardziej płodna.

— Po co?

Ponownie się uśmiechnął. — Po to, żebyśmy mieli pewność, że zajdziesz w ciążę w następnym miesiącu. A żeby mieć stuprocentową pewność, odszukałem twoją diafragmę i pociąłem ją na drobne kawałeczki.

Słuchałam, ale nie wierzyłam własnym uszom. Pocieszała mnie jedynie świadomość, że nic nie mówiąc Erykowi już trzy miesiące wcześniej zaczęłam brać pigułki. Nie miałam zamiaru ryzykować. — Z moich obliczeń wynika, że będziemy musieli to zrobić dwunastego, trzynastego i czternastego, i dla zupełnej pewności, piętnastego rano. Przy pomocy tego termometru — sięgnął do nocnego stolika i dumnie podniósł go do góry — mierząc temperaturę w odbytnicy, bo tym sposobem uzyskuje się dokładniejsze wyniki niż w ustach, powinniśmy zajść w ciążę jeszcze przed upływem miesiąca. A teraz połóż się, żebym mógł określić twoją podstawową temperaturę ciała, zanim jeszcze zacznie się faza płodna.

Gapiałam się tylko na niego, z dłonią przyciśniętą do ust, niezdolna wydobyć słowa.

— O Matko Boska! — wyrwało mi się w końcu. Jak widać, mój ośrodek mowy wciąż jeszcze pozostawał pod przemożnym działaniem spermy Briana Flaherty'ego.

Siedzimy z Quincy w dużym pokoju. Kubki po kawie stoją na szklanym stoliku.

— Wiesz, co było najgorsze w twoim związku z Erykiem? - zauważa ona, zapalając papierosa. - To, że sama z siebie nigdy byś od niego nie odeszła. Ciągnęłoby się to w nieskończoność.

— Nieprawda, w końcu bym się zdecydowała, kiedy poczułabym się bardziej pewna siebie.

— Nie wydaje mi się. Masz tendencję do oddzielania swojego życia zawodowego od uczuciowego. Nawet kiedy stanęłaś na nogach pod względem zawodowym, panicznie bałaś się zerwać i zostać sama.

— A gdybym zakochała się w Avim w tamtym okresie mojego życia, zamiast teraz?

Quincy namyśla się chwilę. - Nawet byś na niego nie spojrzała, a gdyby nawet, to uciekłabyś przed nim gdzie pieprz rośnie. Byłaś wtedy jeszcze bardzo dziecinna, a on oczekiwałby, żebyś się zachowywała jak kobieta. Przeraziłabyś się tego.

— Byłam kobietą - protestuję. - Miałam piekielnie odpowiedzialną pracę.

— Tak, pod względem zawodowym zawsze dawałaś sobie radę. Ale nie o tym mówię. Chodzi mi o to, że życie z Erykiem było w pewien sposób nieskomplikowane: nie oczekiwał od ciebie niczego, chciał tylko żony i matki dla swojego dziecka. Avi żądałby znacznie więcej - chciałby, żebyś dała mu dużo więcej z siebie. Byłby o wiele bardziej wymagający. — Quincy urywa. — Nie jest taki?

— Jest — odpowiadam miękko. — Jest właśnie taki.

— Pozwoliłby, żebyś go lekceważyła, zdradzała, nie mówiła mu, co myślisz i czujesz?



— Nie — odpowiadam cicho.

— A widzisz.

— Zgoda, ale tak się składa, że kocham Aviego.

— Wiem, ale teraz jesteś już kimś innym. Chcę powiedzieć, że w tamtym okresie nie miałabyś odwagi go kochać. — Wypuszcza cienką smużkę dymu. — Słuchaj, powiedz mi coś: czy nagroda Emmy dała ci większe poczucie bezpieczeństwa?

Potrząsam przecząco głową. — Prawdę mówiąc, nie, choć na pewno trochę zmniejszyła mój strach przed samotnością. Skończyły się koszmarne sny, w których siedziałam sama jak palec w jakiejś obskurnej norze i gryzłam suchy chleb z serem. Przestałam się bać, że skończę w przytułku dla bezdomnych.

Quincy parska śmiechem. — Swoją drogą, przedziwnie się to złożyło. Od momentu, gdy pojechałaś zrobić ten temat, wszystko w twoim życiu zaczęło się zmieniać lawinowo.

— Prawda?

— No cóż, ta cała historia na pewno pozwoliła ci zobaczyć Briana w ostrym świetle. Bałaś się?

— Jak wszyscy diabli, ale nie to było najgorsze.

— A co?

— Strach, że nie zrobię tematu i ktoś sprzątnie mi sprzed nosa tę Emmy. A wtedy znowu stanęłabym wobec perspektywy przytułku i chleba z serem!

Tamtego pięknego wiosennego poranka, w kwietniu 1975 roku, siedziałam w swoim gabinecie przylegającym do pokoju wydania i przycinałam fotografie rodzinne, które chciałam ułożyć w nowiu-  
180

teńkim albumie. Nie miałam nic szczególnego do roboty i w ogóle nie zanosilo się na nic ciekawego. Być może ludzie rozmarzeni śliczną pogodą nie mieli ochoty obrabowywać banków, podpalać czy mordować się wzajemnie - przynajmniej chwilowo nie otrzymaliśmy żadnych doniesień o tego rodzaju wypadkach, które regularnie zapelniały wyznaczone pasma w wieczornym dzienniku. A to oznaczało, że będę mogła wyjść wcześniej i spędzić więcej czasu w łóżku Briana Flaherty'ego w Maspeth. Brzęk telefonu wyrwał mnie z tych przyjemnych rojeń.

- To ty, Mags? - spytał Brian.

— To ja — odrzekłam wesoło.

— Słuchaj, Mags - zaczął monotonnym głosem, którym posługiwał się zawsze w sytuacjach zawodowych. — Mam pewien problem. Dzwonię z Bronxu - jeden czubek zamknął się w mieszkaniu z żoną i dwiema siostrami, i grozi, że je rozwali.

Jako samolubna hedonistka z miejsca uznałam, iż Brian dzwoni tylko po to, by mnie zawiadomić, że o ile ów nieszczęśnik nie zwolni swojej rodziny do wieczora, to nici z naszego spotkania.

- Ma kilka bomb własnej produkcji i grozi, że wysadzi dom w powietrze.

Zrozumiałam, że muszę się przygotować na przykrą ewentualność spędzenia wieczoru z Erykiem Ornsteinem i słuchania, jak próbuje zdobyć się na odwagę, by poprosić mnie o rozwód. Ostatnio nasze wspólne wieczory stały się jeszcze bardziej przygnębiające, bowiem, wkrótce po owej pamiętnej nocy, kiedy to pierwszy raz zawarłam znajomość z jego termometrem, nabrał pewnego nowego zwyczaju. Zadawał mi mianowicie hipotetyczne pytania, w stylu: „Gdybyśmy kiedyś mieli się rozejść, do czego rzecz jasna nigdy nie dojdzie, pytam tylko tak

sobie, z ciekawości, to jak sądzisz, które z nas powinno zatrzymać bucharę po babci?" W ten sposób zdążył już rozporządzić niemal całą zawartością dużego pokoju, kuchni i sypialni. Domyślałam się, że dzisiejszego wieczoru nadszedł czas na część jadalną, co oznaczało, że Eryk postawi najbardziej ważkie z dotychczasowych pytań: „Czy sądzisz, że zastawa od Wedgwooda i kryształowe kieliszki z Baccarat straciłyby na wartości, gdyby podzielić komplety pół na pół?" Trochę niepokojący był fakt, że w rezultacie tego hipotetycznego podziału majątku dostało mi się jedynie sześć kompletów bielizny pościelowej wraz z czternastoma powłóczkami na poduszki, ale bez łóżka, jedna maszynka do robienia gofrów, którą Eryk zobaczył kiedyś w telewizyjnej reklamie, komplet noży kuchennych, który również zobaczył w telewizyjnej reklamie oraz kilka kaflowych podstawek, które Cara przywiozła któregoś roku z Acapulco. Zdaniem mojego męża, jedynym materialnym wkładem rodziny Sommersów w nasze gospodarstwo były bilety do teatru, karnet do Metropolitan Opera oraz szybkowar, który wybuchł mu w twarz którejś Wigilii, kiedy próbował ugotować sobie kolbę kukurydzy. Stale dawał mi do zrozumienia, iż w gruncie rzeczy okazuje dużą hojność, bo przecież przed ślubem nikt nie poinformował go o tym, że mam dwa ubytki, które trzeba będzie leczyć przewodowo.

— Facet nazywa się Hector Rodriguez, walczył w Wietnamie, potem był w psychiatryku. Teraz leczy się ambulatoryjnie i pracuje jako spawacz. Majster opieprzył go, że stale się spóźnia, więc facetowi puściły nerwy — pobiegł do domu i sterroryzował żonę i siostry, które właśnie oglądały telewizję.

Grozi, że je zastrzeli, a potem popełni samobójstwo. Wiesz, Mags, zawsze ta sama historia — podsumował Brian zmęczonym głosem.

Zawsze ta sama historia weteranów wojny wietnamskiej, którzy kończyli jako pacjenci przychodni psychiatrycznych, lecz ich cierpienie i udręka w najmniejszym stopniu nie interesowały policji, która nieuchronnie zjawiała się w końcowej fazie dramatu. Ale zanim mogłam skomentować usłyszaną nowinę, czy powiedzieć mu jak bardzo żałuję, że nasze spotkanie nie dojdzie do skutku, Brian stwierdził:

- Największy problem mam z tobą, Mags.
- Och, mną się nie przejmuj - rzekłam, siląc się na pogodny ton. — Zobaczymy się jutro.
- Nie w tym rzecz — powiedział Brian wolno.
- Problem polega na tym: Hector mówi, że podda się tylko pod warunkiem, że przyjdiesz z nim porozmawiać.
- Ja?
- Ty

Dokładnie w tym momencie do mojego gabinetu wpadł Nick Sprig, zdyszany i zdenerwowany jak nigdy.

- Rozłącz się, Maggie - rzucił podnieconym głosem. — Muszę z tobą porozmawiać.
- Ale — wyjąkałam — rozmawiam z Brianem i on mówi, że...
- Odłóż słuchawkę, Maggie - rozkazał Nick.
- Później z nim pogadasz. Mam na głowie porywacza.
- Ty też? — spytałam zdeorientowana.
- Brian także i ten facet mówi, że się podda, jeśli ja tam" pójdę.
- Czekał no - powiedział Nick zbity z tropu.
- Skąd on dzwoni?

— Brian, kochanie — rzekłam — czy możesz mi powiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się dom, o którym mówisz?

Brian podał mi adres — Morris Avenue 510 — a ja powtórzyłam go Nickowi, który spojrzał na mnie ze zdumieniem, po czym wyrwał mi słuchawkę z ręki.

— Brian? — rzucił Nick w słuchawkę — Co robimy? Właśnie dostałem wiadomość.

Siedziałam sobie w moim gabinecie w piękny wiosenny dzień i z niedowierzaniem przysłuchiwałam się, jak dwaj mężczyźni — detektyw, który przypadkowo był również moim kochankiem, i mój szef, który przypadkowo był również moim bliskim przyjacielem, omawiają między sobą sprawę wysłania mnie do mieszkania, w którym jakiś obłąkaniec trzyma żonę i dwie siostry na muszce. Nie wspominając o tym, że ma do dyspozycji kilka bomb, za pomocą których może wysadzić całą kamienicę w powietrze.

— Sekundę — powiedziałam do Nicka. — Chciałabym zamienić z wami słówko.

Nick uciszył mnie niecierpliwym gestem i słuchając Briana z natężoną uwagą, zapisywał coś pośpiesznie na odwrocie fotografii Maggie Sommers w wieku lat dwunastu, w samym rozkwicie beztróskiego dzieciństwa. Wreszcie oddał mi słuchawkę i powiedział: - Masz, pogadaj z nim, a potem przyjdź do mojego gabinetu. Musimy działać szybko. — I wypadł równie pośpiesznie, jak przyszedł. Podnosząc słuchawkę do ucha, rzekłam bardzo cicho: — Brian, to wariactwo.

— Słuchaj, Mags — odparł wciąż tym samym jednostajnym „zawodowym” głosem. — Hector dał mi słowo, że się podda, jeśli tylko będzie mógł przedstawić ci swoje racje.

Można by pomyśleć, że on i Hector byli starymi przyjaciółmi, partnerami do gry w kręgle, kumplami od kieliszka — dwoma koleżkami, znającymi się jeszcze z piaskownicy.

— Dał ci słowo — powtórzyłam. — A ty mu wierzysz?

— Mags — powiedział Brian. — Mam pewne wątpliwości, ale tak, w zasadzie wierzę, bo facet robi w gacie ze strachu.

— Czemu ja? — spytałam Briana.

— Ponieważ — odrzekł bez cienia uśmiechu w głosie — jesteś ładną laską, która zajmuje się hołotą w tej zasranej dziurze.

Może nie było przypadkiem, że prawie wcale ze sobą nie rozmawialiśmy.

— Brian, czy gdybym była twoją żoną, pozwoliłbyś mi tam wejść? — spytałam, wstrzymując oddech. Parsknął krótkim śmiechem. — Mags — powiedział — gdybyś była moją żoną, w ogóle nie pozwoliłbym ci się zajmować czymś takim. Byłabyś sekretarką, manicurzystką, a może szatniarką w porządnej restauracji gdzieś na mieście.

Bezgraniczny smutek, jaki ogarnął mnie po tych słowach, da się porównać jedynie z uwiązaniem męskiego członka w momencie penetracji, skurczeniem się tego dumnego organu w żalostną kupkę pomarszczonej skóry. Z niewymownym przygnębieniem uświadomiłam sobie, że rozmawiam z zupełnie obcym człowiekiem. Nie byłam w stanie zrozumieć, jak mogłam wiązać z Brianem jakieś nadzieje, wierzyć, że ocali mnie przed stoczeniem się w otchłań samotności, kiedy Eryk Ornstein wreszcie zbierze odwagę, by poprosić mnie o rozwód. Hector Rodriguez nagle stał się dla mnie kimś więcej niż

tylko obcym weteranem wojny wietnamskiej, trzymającym trzy zakładniczki gdzieś w południowym Bronksie. Hector był katalizatorem. Miałam wrażenie, jakby jego i moja przyszłość były nierozzerwalnie związane.

— Brian — szepnęłam, czepiając się ostatniego strzępka nadziei. — Kochasz mnie?

— Maggie — odparł zniecierpliwionym głosem

— jesteś mężatką. Kocham cię tak, jak można kochać kobietę zamężną.

— A gdybym nie była mężatką — nalegałam.

— Czy wtedy byś mnie kochał?

— Słuchaj, Maggie — westchnął — mam tu cholerny kocioł. Czy moglibyśmy pogadać o tym innym razem?

Chciałam mu powiedzieć, że nie będzie już żadnego innego razu, może z wyjątkiem jeszcze paru godzin nieprzerwanego pieprzenia. Głupia byłam oczekując, że Nowojorska Komenda Policji wybawi mnie od rozpaczy i udręki, skoro jeden z jej najlepszych pracowników nie potrafił nawet zrozumieć rozpaczy i udręki niejakiego Hectora Rodrigueza, kogoś, kogo uważał za hołotę. Tak więc, w ostatecznym rachunku, przyłączenie się do Hectora nie było wcale takim głupim pomysłem.

Właściwie, to w tamtym momencie wydawało się nawet naj sensowniej-szym rozwiązaniem.

— Maggie, muszę już kończyć — odezwał się Brian wreszcie. — Przekręcę do Spriga za pół godziny, żeby się dowiedzieć, co zdecydowaliście.

Ponownie rzuciłam wzrokiem na fotografię dwunastoletniej Maggie Sommers i chwycił mnie żal za beztroskim — a nie docenianym przeze mnie — dzieciństwem, które skończyło się tak raptownie.

Powodem posępnej miny, z jaką wpatrywałam się w obie-

ktyw, był wstrząs przeżyty krótko wcześniej. Dyrektorka wywołała mnie z lekcji angielskiego w chwili, gdy moja nauczycielka, panna Hadley, miała właśnie rozpocząć analizę *Szkarłatnej Litery*. Vera czekała na mnie, siedząc w skromnej pozie na obitym perkalem foteliku w poczekalni dla rodziców. Pożegnawszy majestatyczną pannę Harkness dyskretnym skinieniem głowy, wzięła mnie za rękę i wyprowadziła na dwór, na gęsty zielony trawnik służący uczennicom za pole do hokeja — była to jedna z głównych atrakcji tej ekskluzywnej szkoły położonej na peryferiach miasta.

— Znalazłam dziś rano krew na twoim prześcieradle — oświadczyła bez żadnych wstępów. Pierwszą myślą, jaka błysnęła mi w głowie, było to, że oskarżają mnie o morderstwo. — Dlaczego ja, a nie Cara? - zdołałam wyjąkać. - Obie wyszłyśmy o tej samej porze.

— Ponieważ zakrwawiłaś całe prześcieradło — odparła Vera, wsuwając porządnie opakowaną papierową paczuszkę do mojej drżącej dłoni.

— Skąd wiesz, że to ja? — chlipnęłam. — Czemu to ja mam być zawsze wszystkiemu winna? Łzy leciały mi ciurkiem, a Vera przyglądała mi się z wyrazem zniecierpliwienia na starannie umalowanej twarzy. — Dostałaś dzisiaj menstruacji i będziesz ją mieć co miesiąc przez następne czterdzieści lat.

Skazana na dożywocie. Wyklęta. Potępiona. W taki oto bezceremonialny sposób tamtego dnia na polu hokejowym przekroczyłam próg kobiecości. Co dokładnie działo się z moim ciałem, podczas gdy panna Hadley nicowała *Szkarłatną Literę*<sup>1</sup>. Patrzyłam, jak Vera odchodzi, chwiejąc się na wysokich szpilkach od Ferragamo, przecina trawnik, mija laboratorium z czerwonej cegły i otynkowane na



biało budynki szkolne, a wreszcie znika we wnętrzu żółto-czarnej taksówki, czekającej u stóp wzgórza. „Niech pan z łaski swojej trzyma wóz na sprzęgle, wpadnę tylko powiedzieć mojej młodszej córce o krwi na jej prześcieradle”.

Stałam ściskając w rękę białą paczuszkę, póki moje koleżanki nie wysypały się na dwór i nie skupiły się koło masztu w oczekiwaniu na fotografa, który miał zrobić zdjęcie całej klasie. Pobiełam do ubikacji dla dziewcząt, potykając się wpadłam do jednej z kabin i rozwinęłam zawiniątko. Zawierało trzy podpaski i jasnoróżowy elastyczny pasek w kwiatki, z którego zwieszały się dziwne, metalowe sprzączki. W pięć minut zorientowałam się, do czego służą, bowiem z tłumionym krzykiem przerażenia odkryłam, że zarówno moje białe bawełniane majtki, jak i uda umazane są krwią. Dopiero gdy jako tako ochłonęłam, uzmysłowiłam sobie z głębokim smutkiem, że w moim życiu zaszła jakaś radykalna zmiana i stąd to spojrzenie spode łba na szkolnej fotografii.

W tamtym czasie miałam równie nikłe pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi, co owego pięknego wiosennego dnia, kiedy weteran wojny wietnamskiej uwięził trzy zakładniczki w swoim mieszkaniu w Bronksie, owego dnia, w którym okazało się, że Brian Flaherty nie stanie się dla mnie deską ratunku. Wiedziałam tylko jedno: już nigdy nie popełnię fatalnej pomyłki - och, jak będzie mi brakować jędrnego, muskularnego ciała Briana i jego pulsującego we mnie, twardego jak skała członka - zakładając z góry, że irlandzka fantazja erotyczna nie może iść w parze z żydowską mentalnością. Jak się okazało, sam fakt, że mężczyzna nie jest obarczony żydowską neurastenią, sięgającą czasów gore-

jącego krzewu albo i wcześniej, nie oznacza jeszcze, że nie może mieć pewnych głęboko zakorzenionych uprzedzeń, wywodzących się jeszcze sprzed zarazy ziemniaczanej. Ponadto żydowskie pochodzenie bynajmniej nie stanowiło rękojmi inteligencji, a katolicyzm tępoty umysłowej. Eryk Ornstein mawiał zawsze, że te intelektualne brednie to czysta strata czasu, a „ludzie byliby o wiele szczęśliwsi, gdyby przestali czytać te wszystkie dyrdymałki i szli za głosem natury”, co sprowadza nas do jego listy „odpowiednich” zawodów dla kobiet, patrz: macierzyństwo. Brian natomiast mawiał zawsze, że te intelektualne brednie - te koszalki opałki - to czysta strata czasu, bo przecież wszyscy byliby o wiele szczęśliwsi, gdyby „dali sobie spokój z czytaniem tych głupot i po prostu robili TO”. Łatwo mu mówić. Mnie jednak trudno było wyobrazić sobie małżeńską idyllę z człowiekiem, który potrafił rozmawiać jedynie o baseballu, ostatnim fasonie kajdanek, czy najnowszym zestawie stereo, wyposażonym w urządzenie przegrywające automatycznie osiem kaset jedna po drugiej, co oszczędziłoby mu konieczności wstawania - bądź wysuwania się - by zmienić taśmę. Zarazem jednak nie wyobrażałam sobie spędzenia reszty życia z Erykiem Ornsteinem, który kochał się niczym supernowoczesny pociąg gnający z Paryża do Genewy bez zatrzymania się w Dijon po odrobinę musztardy.

Kontemplując możliwość spędzenia ostatnich chwil życia z Hectorem Rodriguezem, uświadomiłam sobie, że spędzenie ich z Erykiem Ornsteinem w pozycji horyzontalnej lub z Brianem Flahertym w pozycji wertykalnej, jest perspektywą nie mniej

okropną. I choć nadal winałam Verę i Alana za to, że namówili mnie do małżeństwa z Erykiem, mogłam winić tylko siebie za to, że nigdy nie zadałam pewnych pytań, które szybko uświadomiłyby mi, iż Brian również nie jest tym, o kogo chodzi. Cała ironia polegała na tym, że Eryk pragnął widzieć Maggie rozwiedzioną, a Brian pragnął ją widzieć zamężną, natomiast ona sama - piętnaście lat po tym, jak pierwsza kropla krwi ukazała się na jej prześcieradle - nadal nie rozumiała, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi.

Idąc wolno przez pokój wydania do gabinetu Nicka Spriga, powzięłam decyzję, że przyjmę zaproszenie Hectora Rodrigueza. Prawdę mówiąc, nie miałam większego wyboru, ponieważ Hector stał się nagle nieodłącznym elementem jedynej części mojego życia, która naprawdę do mnie należała — mojej pracy.

- Nick - zagadnęłam go siadając - co o tym myślisz?

- Myślę, że mogłabyś za to dostać Emmy - odparł z błyszczącymi oczyma.

- Genialnie — odparłam. — Ale jaką mam szansę wyjść z tego żywa?

- O tym właśnie musimy porozmawiać — rzekł Nick poważnie. - Brian twierdzi, że facet na dziewięćdziesiąt procent dotrzyma słowa — podda się, jeśli tam wejdiesz.

- Genialnie - powtórzyłam. — Ale oboje znamy statystyki.

Jeśli się podda, mam sto procent pewności, a jeśli nie, to zero.

- Słuchaj, Maggie, musimy się sprężyć, bo facet dał glinom godzinę, zanim wysadzi wszystkich w powietrze.

Nick musiał chyba na chwilę stracić rozum.

- I właśnie do niego mam pójść, tego ode mnie chcesz? - spytałam, nie wierząc własnym uszom.

Spojrzał na mnie z miną winowajcy. - Słuchaj, Maggie, zrób jak sama uważasz. To wyłącznie twoja decyzja. Jeśli chcesz, to nawet wejdę tam z tobą. Nie zostawię cię samej.

Patrząc na Nicka, zadałam sobie pytanie, czemu wszyscy naprawdę wspaniali mężczyźni muszą być albo żonaci, albo związani z innymi naprawdę wspaniałymi mężczyznami.

— Chodźmy — oświadczyłam wstając. — Zawiadam Briana, a ja przekreślę do Eryka.

— Po jaką cholere?

— Ponieważ Eryk nigdy by mi nie wybaczył, gdybym dała się zabić nie mówiąc mu, gdzie położyłam kwit do pralni - zażartowałam.

— Mów serio, Maggie - rzekł Nick z troską.

— Po co dzwonicz do Eryka?

— Chyba chcę, żeby się o mnie pomartwił, choćby troszeczkę — odrzekłam szczerze.

Nakręciłam prywatny numer Eryka, bo nie byłam w nastroju do rozmowy z panią Pierce, która, gdyby była katoliczką, niewątpliwie pobiegłaby zapalić świecę w intencji mojej rychłej śmierci.

Liczyłam sygnały... trzy, cztery, pięć i wreszcie po szóstym usłyszałam zdyszany głos: - Eryk Ornstein, słucham.

— Eryku, przeszkadzam ci?

— Tak. Złoto zaraz dupnie, mam po uszy roboty. Co się dzieje?

Wyjaśniłam całą sprawę, przerywając tylko dwukrotnie - raz, gdy krzyknął coś o jenach, a drugi raz o markach niemieckich - i zakończyłam

dramatycznym oświadczeniem, że Hector dał policji tylko jedną godzinę, nim zabije wszystkich w mieszkaniu, z sobą włącznie. Cisza. Nie miałam wątpliwości, że Eryk milczy zdjęty skruchą z powodu wszystkich przewinień, jakich dopuścił się względem mnie. Najprawdopodobniej zastanawia się, jak wszystko naprawić — może na początek planuje równy podział dóbr znajdujących się w naszym mieszkaniu. A może, kto wie, szuka w myśli jakichś słów, które uratowałyby nasze małżeństwo, pozwoliły nam zacząć wszystko od początku — cokolwiek, bylebym tylko nie musiała samotnie stawić czoło życiu, skoro Brian Flaherty przestał być dla mnie realną alternatywą.

— Maggie — przemówił wreszcie.

— Tak, Eryku? - spytałam z nadzieją w głosie.

— Co mam zrobić, jeśli coś ci się stanie?

— W jakim sensie?

— No wiesz, to naprawdę cholerny egoizm, wyprawiać takie rzeczy i nawet nie pomyśleć, jak sobie poradzę w razie najgorszej ewentualności.

— Eryku, nie rozu...

— Chociażby, gdzie jest sklep spożywczy, to po pierwsze, a po drugie - gdzie mam odebrać moje koszule?

— Kwit do pralni jest w drugiej szufladzie w kuchni, obok kuchenki. — Właściwie przeczuwałam to od samego początku: moje małżeństwo się skończyło.

Zbierając swoje rzeczy przed wyjazdem do południowego Bronksu, zaczęłam bawić się sama ze sobą w ryzykowną grę słowną. Przez głowę przelatywały mi wyrazy w rodzaju: wolna, przepadło, samotna, klapa. Kiedy zjeżdżałam windą, ten niebezpieczny łańcuch skojarzeń wzbogacał się o coraz to nowe

określenia: kłapa — bezdomna — bez grosza przy duszy — rozwiedziona — sama jak palec — niezamężna — żebraczka — dziadówka — Hector Rodriguez.

Furgonetka leniwie pełzała przez zapchane pojazdami ulice miasta. Nick, zaniepokojony milczeniem, w jakim trwał od chwili wyjazdu, obrzucił mnie szybkim spojrzeniem i widząc krople potu nad moją górną wargą, uznał, że denerwuję się bliskim spotkaniem z niepoczytalnym porywaczem. — Nie przejmuj się, Maggie — powiedział uspokajająco.

— Będę cały czas z tobą. — W rzeczywistości Hector Rodriguez był w tym momencie najmniejszym z moich problemów, ponieważ właśnie dotarło do mnie, że nie mam ani kart kredytowych, ani konta bankowego — cały mój ziemski dobytek mieścił się w portmonetce i wynosił w przybliżeniu dwadzieścia siedem dolarów i pięćdziesiąt centów.

Furgonetka skręciła w East River Drive, klucząc wąskimi uliczkami dotarła do Willis Avenue, po czym skierowała się w stronę Morris Avenue. Kiedy mijaliśmy szereg wypalonych kamienic, Nick polecił: — Wjedź w następną przecznicę. — Kierowca, z bohaterską miną człowieka gotowego na śmierć, gwałtownie skręcił w prawo. — Robi się, szefie.

— W chwili gdy furgonetka zatrzymała się na światłach, niedaleko grupki narkomanów leżących na chodniku, postanowiłam, że o ile wszystko pójdzie zgodnie z planem i wyjdę z tego cało, to dziś wieczorem będę kochać się z Brianem ostatni raz, a potem pójdę do domu i zażądam, żeby Eryk oddał mi moje pieniądze, które przelewano na jego osobiste konto przez ostatnie cztery lata. Kiedy wóz transmisyjny wreszcie dotarł do rogu Morris Avenue i Sto Czterdziestej Ósmej, byłam posępna,

lecz zdecydowana. Rząd samochodów policyjnych stał w poprzek drogi, tworząc coś na kształt barykady. Dick Carlson, nasz operator, wysunął swój masywny kark przez otwarte okno i pokazał policjantowi nasze legitymacje dziennikarskie. Samochody pośpiesznie rozsunęły się, żeby nas przepuścić. Scena, jaką zobaczyliśmy, przypominała pole bitwy; grupki ciekawskich — albo krwiożerczych cywilów, jak nazywał ich Brian — tłoczyły się wokół karetki pogotowia, trzech wozów straży pożarnej i czterech nie oznakowanych wozów policyjnych z przenośnymi czerwonymi światłami migającymi na dachach.

Zaparkowaliśmy obok jednego z radiowozów i Nick pomógł mi wysiąść. Stojąc na ulicy wraz z Nickiem i nowym dźwiękowcem, którego nigdy dotąd nie widziałam, zorientowałam się, że niektórzy z zebranych gapiów wykrzykują coś pod moim adresem.

— Te, Maggie, wchodzisz tam? Maggie, daj mi autograf.

Dźwiękowiec, niebezpiecznie piękny chłopak o niewiarygodnie długich rzęsach, rzucających cień na opalone policzki, żartobliwie dźgnął mnie palcem w bok. — Uśmiechnij się do nich, a jeszcze lepiej podnieś trochę spódnice. — Uśmiechnął się od ucha do ucha. — Będą to wspominać do końca życia. Posłusznie pomachałam ręką. Ale nie mogłam oderwać oczu od jego ślicznych rysów i wdzięcznych ruchów. — Musisz być nowy. Nigdy cię przedtem nie widziałam.

Musnął mój policzek dłonią, strzepując jakiś niewidoczny pyłek. — Nie, po prostu pracuję w redakcji zagranicznej. Przeważnie jestem w rozjazdach.

— Co było na mojej twarzy?

— Tylko trochę sadzy.

— Dzięki. — Umilkłam na chwilę. — Jak ci na imię?

— Joe Valeri.

— Cześć, jestem Maggie.

W odpowiedzi uśmiechnął się tylko.

Podeszło do nas dwóch tajniaków z krótkofalówkami w rękach. — Przestępca otrzymał już wiadomość, że Maggie Sommers zaraz przyjdzie

— oświadczył jeden z nich.

— Okay. Nie ruszajcie się stąd, zaraz wracam

— rozkazał Nick i ruszył za cichociemnymi w stronę wozów policyjnych, zajmujących strategiczną pozycję na wprost wejścia do budynku.

— Zauważyłaś, że kiedy tylko coś się dzieje, gliny od razu zaczynają nazywać ludzi przestępcami albo sprawcami? — zagadnął Joe.

— Przestają widzieć w nich istoty ludzkie

— przytaknęłam.

Zanim mogliśmy powiedzieć coś więcej, Nick skinął na nas. — Do apelu — mruknął Joe, gdy biegliśmy w jego kierunku.

Samochodów policyjnych było w sumie dziesięć, przy czym za otwartymi drzwiami każdego z nich kryło się po dwóch przykucniętych policjantów ubranych w kamizelki kuloodporne. Ich karabiny wycelowane były prosto w drzwi domu przy Morris Avenue 510. Brian stał z rękami na biodrach, bez kurtki, z rozluźnionym krawatem, i naradzał się z dwoma zwierzchnikami. Muskuły zaznaczały mu się wyraźnie pod cienką niebieską koszulą, a gdy pochylił się, żeby podnieść upuszczony bloczek, spostrzegłam ciemne plamy potu na jego plecach i pod pachami.



— To twój facet — stwierdził Joe z uśmiechem.

— Co powiedziałaś? — spytałam z udaną naiwnością.

— Powiedziałem, nie rozdziawiaj tak ust — roześmiał się.

Bezceremonialność Joe Valeriego odjęła mi mowę. Ale zaraz nadbiegł Nick i zaczął wydawać nam dyspozycje.

Joe dołączył do Dicka, który kręcił już ogólny plan ulicy. Przez dłuższą chwilę śledziłam go wzrokiem i sama nie wiem dlaczego, poczułam, że jeśli oboje przeżyjemy to całe szaleństwo, zostaniemy prawdziwymi przyjaciółmi. Już miałam podejść do Nicka i spytać, czy nie jestem mu potrzebna, kiedy spostrzegł mnie Brian.

— Jak tam, Mags. W porządku? — zagadnął.

— Tak — odparłam, patrząc w jego niesamowicie niebieskie oczy i czując już pierwsze ukłucie tęsknoty.

— Hector czeka na ciebie. Wszystko przygotowane.

— To świetnie — skłamałam. Żałowałam, że nie możemy być teraz w jego łóżku w Maspeth — ten ostatni raz — zamiast tracić tu drogocenny czas.

Nick gestem nakazał operatorowi zatrzymać kamerę. — Zachowajcie resztę taśmy na potem — poleciał, a potem krzyknął do Briana: — Poczekaj, mam do ciebie słowo.

— Co jest?

— Chcę tam wejść razem z Maggie.

— Nie jestem pewien, czy on się zgodzi — odparł Brian.

Podczas gdy dyskutowali nad tym, czy Hector Rodriguez wpuści Nicka Spriga do mieszkania, Joe dotknął mojego ramienia i milcząco wskazał na dach kamienicy przy Morris Avenue 510 i dachy

kilku przyległych budynków. Komandosi z brygady antyterrorystycznej stali z rozstawionymi nogami i bronią gotową do strzału, wyraźnie czekając na komendę. — Biedny sukinsyn — mruknął Joe cicho. — Sam nie wiem, Sprig — mówił Brian. — Była umowa, że Maggie pójdzie sama. — Nie chcę, żeby szła tam sama, a poza tym, na cholere to wszystko, jeśli ekipa nie będzie mogła tego nakręcić?

Brian skierował się do centralki zainstalowanej na środku ulicy, obok baterii radiowozów wyznaczających linię frontu tego osobliwego pola bitwy. — Spyta go! — zawpiał do nas.

Podczas gdy rozmawiał z Hectorem zabarykadowanym we wnętrzu mieszkania, zauważyłam mimochodem, iż ten skomplikowany system połączeń zmontowano w ciągu zaledwie paru godzin, co było naprawdę zdumiewające, jeśli wziąć pod uwagę, że na banalną reperację uszkodzonego gniazdka trzeba było czekać całymi tygodniami.

— Popatrz na to — powiedział Joe, wskazując na sprzęt rozstawiony na stoliku. — Telefon wysiadł mi trzy dni temu, a faceta z naprawy przyślą dopiero jutro.

— O tym samym myślałam — odparłam.

— Dlaczego nosisz obrączkę? — spytał Joe nagle.

— Bo jestem mężatką.

— Nie wyglądasz na mężatkę.

— Bo nie czuję się mężatką, ale to już zupełnie inna historia — uśmiechnęłam się.

— I stąd ten Paul Newman dla ubogich. Zgadza się? — Joe rzucił okiem na Briana. — On nie jest dla ciebie, dzieciaku.

Przerwał nam Nick. — Chcę, żebyś teraz Staęła z Brianem przed kamerą. Niech powie telewizjom, co tu jest grane — czego chce Hector, co zamierzasz zrobić, itede.

Kiwnęłam głową, wciąż jeszcze myśląc o tym, co powiedział Joe.

— I popraw makijaż — dorzucił Nick. — Wy-szczotkuj włosy i zrób się na bóstwo.

Kiedy szłam w stronę wozu transmisyjnego, gapie stojący na chodnikach znowu zaczęli wykrzykiwać:

— Ej, Maggie! Mieszkasz sama?

Machając ręką myślałam: Wkrótce, już wkrótce.

— Rozchmurz się, Maggie. Masz pietra? Boisz się Portorykańczyków?

Uśmiechając się myślałam: Nie Portorykańczyków, a żydowskich maklerów, którzy zabierają mi pieniądze.

A potem, kiedy już wdrapywałam się do furgonetki, żeby się uczesać i umalować, jakiś idiota rozdarł się: — Zrób to, Hector, zrób to! — i już po chwili cały tłum zaczął skandować: — Zrób to, Hector, zrób to! — To wszystko coraz bardziej przypominało autentyczny festyn.

Ekipa czekała na rozpoczęcie nagrania, Hector skryty w głębi Morris Avenue 510 niecierpliwił się coraz bardziej. Brian w ogóle nie zwracał uwagi na to, co się dzieje, bez reszty pochłonięty kłótnią z Nickiem, zdecydowanym doprowadzić do tego, by nagranie tego pasjonującego spektaklu odbyło się bez żadnych przeszkód.

— No, dobra, ona wejdzie pierwsza, a ja z ekipą pół godziny później. Zgoda?

— Nie wiem. Trzeba dać mu czas, żeby mógł z nią porozmawiać. Nie może mieć poczucia, że się go

popędza — to mogłoby go rozdrażnić. Chcę, żeby te kobiety wyszły stamtąd żywe.

— Do ciężkiej cholery, ile więcej czasu mu potrzeba? — wybuchnął Nick. — Trzydzieści minut sam na sam z tym czubkiem to aż za długo dla Maggie.

— Słuchaj — rzucił Brian — mnie obchodzą tylko te trzy kobiety.

— Cztery — poprawił go Nick. — Nie zapominaj o Maggie.

Brian wyraźnie się spieszył. — Nie wymądrzaj się, Sprig. Nie zapomniałem.

— Więc mogę tam wejść po upływie pół godziny?

— Dobra, dobra, ale macie się stamtąd zwinąć tak szybko, jak to tylko możliwe. Uzgodniliśmy, że wypuści te trzy kobiety po przyjsciu Maggie, jasne? Jeśli tego nie zrobi, wezwę posiłki.

— Co to ma znaczyć, do wszystkich diabłów?

— To znaczy — ryknął rozjuszony Brian — że jeśli go zdenerwujecie swoimi światłami i kamerami, cała ta buda może wylecieć w powietrze!

Nick cofnął się nieznacznie, tak, żeby nie stali już nosem w nos. Brian przez chwilę przeszywał go wściekłym wzrokiem, a potem odwrócił się i splunął na chodnik.

— Gówno — stwierdził Nick, kręcąc głową — po prostu fantastycznie. Teraz na dodatek będę mieć na karku jeszcze gliny. — Spojrzał na mnie. — Co ty na to, Maggie? Zgodzisz się zaryzykować i zostać tam sama przez pół godziny?

W tym momencie Brian zbliżył się do mnie

i otoczył mnie ramieniem. - Nie dramatyzuj, Sprig. Maggie niczym nie ryzykuje.

Nick cisnął mu wzgardliwe spojrzenie. — Kurczę, ale mu na tobie zależy, mała. Po prostu trzęsie się o ciebie.

199

Ramię Briana opadło. — Przymknij się, Sprig. Nie mam czasu na pieprzenie głupot.

— A ja mam masę czasu, tyle, ile będzie trzeba, aby się upewnić, że Maggie będzie bezpieczna. — Łagodnie pogłaskał mnie po policzku. — Jak myślisz? Nie rób tego, jeśli nie jesteś pewna, że sobie poradzisz.

Brian przypatrywał mi się uważnie, ale prawie go nie dostrzegałam.

— Nie ma sprawy — odpowiedziałam z roztargnieniem. — Będzie dobrze.

Nick zaczął teraz dyrygować ekipą, ustawiając wszystkich do nagrania przed budynkiem. — Przysuń się do Briana — polecił mi.

— Daj mi sekundę, co? — rzucił Brian. — Muszę przekazać jednemu z moich ludzi wiadomość od Hectora.

Podczas gdy Brian konferował z młodym posterunkowym, wyraźnym nowicjuszem, który wyglądał na jeszcze bardziej wystraszonego od nas, przysunął się do mnie Joe Valeri.

— Boisz się? — zapytał.

Namyślałam się chwilę. — To śmieszne, ale mam jakąś dziwną pewność, że nic mi nie będzie.

Uśmiechnął się. — To nic dziwnego, takie rzeczy się wie. Zawsze mam to uczucie, kiedy robię tematy za granicą.

Spojrzałam na niego uważnie. — Co masz na myśli?

— Pracuję tam, gdzie jest naprawdę gorąco. Obsługuję wojny, przewroty, rewolucje, wiesz — tematy z pierwszych minut dziennika. Zanim pojedę w teren, zawsze wsłuchuję się w ten wewnętrzny głos.

Jeśli czuję się pewny i spokojny, wszystko kończy się dobrze. Jeśli nie, to... — urwał i wymownie wzruszył ramionami.

— To co? — spytałam.

— To chyba koniec.

— Tak, ale skąd możesz wiedzieć? Czy, na przykład, odmówiłbyś, gdyby... - Nie dokończyłam, bo przerwał mi wybuch śmiechu Nicka i reszty obecnych.

— Skoro już o tym mowa, Brian — mówił Nick — moja żona prosiła, żebym kupił chleb i karton mleka.

— Bardzo śmieszne, Sprig - skomentował Brian i odwrócił się z powrotem do posterunkowego.

- A więc czarna kawa i puszka toniku. Załapałeś? Policjant skinął głową.

— Dobra. Teraz dalej: jeden hot dog z podwójną kiszoną kapustą, jedna długa bułka z szynką i serem, jedna kanapka z tuńczykiem i pomidorem na żytnim chlebie, i jedna z pastrami\* na białej bułce, do tego majonez i jedna duża torba frytek.

— Chwileczkę! - krzyknął Nick, kiedy dzielnicowy już się kawałek oddalił. — Jeśli policja funduje, to Maggie też powinna dostać lunch.

— Stój! — wrzasnął Brian do policjanta. — Co dla ciebie, Maggie?

To zaczynało być absurdalne. - Nie jestem specjalnie głodna - zaczęłam, ale Joe wtrącił:

— Zamów sandwicza. Lepiej, żebyś jadła razem z nimi.

— No, dobrze. Poproszę grahamkę z boczkiem, sałatą i pomidorem.

— Coś do picia? - podsunął policjant.

— Kawę.

— Życzy pani ze śmietanką?

— Czarną — wyręczył mnie Brian.

\* pastry — pikantna peklowana wołowina — przyp. tłum.

Joe spojrział na mnie jakoś dziwnie, a potem odwrócił się i *zaczął* coś majstrować przy mikrofonie. Brian wciągnął kurtkę i przeczesał włosy grzebieniem.

— Gotowi? — spytał Nick. — No, to kręcimy.

— Detektywie Flaherty — zaczęłam — czy mógłby pan nam powiedzieć, co się tutaj dzieje?

Detektyw Flaherty odchrząknął. — Mamy do czynienia z przypadkiem porwania — zaczął monotonnie jak katarynka. — Niejaki Hector Rodriguez trzyma żonę i dwie siostry na muszce w tym właśnie budynku. — Odwrócił się i wskazał na Morris Avenue 510, a Dick skierował kamerę na dom.

— Kiedy się to wszystko zaczęło?

— Dziś rano o godzinie dziesiątej dwadzieścia osobnik, o którym mowa, zawiadomił nas telefonicznie, że zamierza zastrzelić żonę i dwie siostry, a następnie popełnić samobójstwo.

— Czy wyjaśnił dlaczego?

— Tak, ale nie jestem upoważniony do przekazania prasie tej informacji.

— Detektywie Flaherty — powiedziałam, spoglądając przelotnie na Joe Valeriego — jest teraz dwunasta dziesiąta. Co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch godzin?

Flaherty przesunął językiem po górnej wardze. — Przesłaniec wyraził życzenie, aby pani przyszła do jego mieszkania. Chce mieć możliwość wyjaśnienia pani motywów swojego działania i od tego uzależnia swoje poddanie się.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, detektywie Flaherty — powtórzyłam na użytek tych telewidzów, którzy akurat włączyli program — w tym budynku znajduje się terrorysta wraz z trojgiem zakładników,

który twierdzi, że podda się jedynie wtedy, gdy pójde z nim porozmawiać. Czy tak?

— Tak jest — rzekł Flaherty.

— No cóż, detektywie — zawiesiłam głos dla efektu — chodźmy.

I poszliśmy, ja z ciężkim sercem, bo w trakcie wywiadu głos nie zmienił mu się ani na jotę, co sprawiło mi niespodziewaną przykrość.

Dick szedł za nami z kamerą na ramieniu, a Joe biegł przodem, przechylając mikrofon ku wejściu.

Włosy na masywnych przedramionach Briana połyskiwały złościście, gdy przytrzymując mój łokieć eskortował mnie do drzwi domu przy Morris Avenue 510. Przystanęłam na chwilę, żeby wziąć dwie brązowe papierowe torebki — z kawą i kanapkami — z rąk wystraszonego posterunkowego, a potem pchnęłam drzwi i zaczęłam wspinaczkę na czwarte piętro, do mieszkania Rodrigueza.

Nazwisko wypisane było koślawymi literami na białym kawałku papieru, przyklejonym tuż pod wizjerem. Podparłam kolaniem torby z jedzeniem i lekko zapukałam.

— Kto tam? — wrzasnął męski głos.

— Maggie Sommers z ABN - odparłam dystyngowanie.

Niespodziewanie jakaś kobieta zaczęła zawodzić, inna piszczeć, a trzecia hałaśliwie jazgotać po hiszpańsku. - Skąd pani wie, że jest sama? - zawołał mężczyzna, przekrzykując cały ten harmider.

— Wiem, że jestem sama — odrzekłam spokojnie. — Chciał pan zapytać, skąd pan ma wiedzieć, że jestem sama.

— Nie! — krzyknął histerycznie. - Właśnie to powiedziałem.



— Nie — zaprzeczyłam odruchowo. — Spytał pan czy...

— Nie jestem sam! — zawołał piskliwie.

— Wiem, że nie jestem sam.

Poczułam, że gorąca kawa sączy mi się po kolanie, chyba kubek musiał się przewrócić. — Hector — powiedziałam, domyślając się, że z nim właśnie rozmawiam. — Przyszłam sama, tak jak się umawialiśmy. Może byś mnie wreszcie wpuścił, przyniosłam ci lunch.

Drzwi się uchyliły i stanął w nich śmiertelnie przerażony trzydziestoparoletni mężczyzna z twarzą pokrytą kilkuniedniowym zarostem. Był bez koszuli, miał na sobie tylko podarte brązowe spodnie, mocno wypchane na kolanach, i zdumiewającą ilość złotych łańcuszków i medalików dokoła chudej szyi. Odgarniając z oczu czarne, długie do ramion włosy drżącą ręką o zakrzywionych jak smocze szpony paznokciach, milcząco wskazał mi drogę do środka przeraźliwie długim karabinem. Udając, że nie dostrzegam tej śmiercionośnej broni, którą wymachiwał z widocznym upodobaniem, podszłam prosto do stołu okrytego poplamioną niebieską ceratą. Dwie zapłakane kobiety lękliwie kryły się w kącie, trzecia leżała w niedbalej pozie na podłodze koło nich.

— Kanapki i picie dla wszystkich — oznajmiłam pogodnie i zaczęłam wykladać jedzenie na stół.

Jedna z kobiet była monstrualnie gruba, o wyglądzie zapaśniczki, druga chorobliwie wychudzona, z czarnymi krzaczastymi brwiami i ciemnym zarostem nad górną wargą, trzecia, która właśnie podnosiła się z podłogi, miała krzywe nogi, wyzywający makijaż i włosy ufarbowane na płomiennorudy kolor. Odpięła teraz zapinkę wysadzaną sztucznymi

brylantami i potrząsnęła głową tak, że marchewkowe pukle opadły jej na jedno oko.

Uśmiechając się do seksbomby, która leniwie oparła się o olbrzymi telewizor stojący na laminowanej szafce, ukradkiem obrzuciłam wzrokiem pokój. Jasnozielone ściany oklejone były pretensjonalnymi świętymi obrazkami. Dwie podarte kanapy, z których wyłaziły trociny, złamany bujak, dwa pomalowane na biało stoliki, a na nich fotografie: Johna Kennedy'ego, Roberta Kennedy'ego, Martina Luthera Kinga oraz, jak się zdawało, zdjęcie całego klanu Rodriguezów na pikniku koło lunaparku. A potem, rozkładając paczuski z kanapkami, zauważyłam trzy pudełka po butach stojące na podłodze pod otwartym oknem. Z płataniny miedzianych drucików wystawało około osiemnastu lasek dynamitu obłożonych białym kitem.

— Tylko nie próbuj żadnych sztuczek — rzucił nerwowo Hector, przemierzając pokój dużymi krokami i dziko wywijając karabinem nad głową. Mówiąc trochę sepleniał, a teraz zaczął się jeszcze jąkać ze zdenerwowania.

Dwie kobiety skulone w kącie zaczęły coś szeptać między sobą.

— Zamknijcie się! — wrzasnął Hector, okręcając się na pięcie.

W odpowiedzi znowu podniosły ogłuszający lament, póki ruda, która wyraźnie wodziła rej w tym babińcu, nie powiedziała czegoś po hiszpańsku. Ucichły w jednej chwili. Odwracając się do mnie, spytała łamaną angielszczyzną: — Przyniosłaś moje frytki?

— Obawiam się, że o nich zapomnieli — odparłam, zaglądając do opróżnionych papierowych toreb.

— *Putá* — wymamrotała pod nosem.

Zignorowałam ją. — Odłóż ten karabin, Hectorze

— zwróciłam się do gospodarza — albo nie podam wam lunchu.

W tym poleceniu pobrzmiwało echo słów Very Sommers, w owe słoneczne popołudnia przy basenie kąpielowym. „Dziewczynki, odłóżcie natychmiast ten brudny patyk i umyjcie ręce, albo nie będzie lunchu”.

Trudno uwierzyć, ale Hector położył karabin na jednej z podartych kanap i posłusznie usiadł przy stole. Odwracając się do kobiet siedzących na podłodze, spytałam: — Nie macie ochoty na lunch? Spojrzały strachliwie najpierw na siebie, potem na Hectora, a w końcu ta gruba, zwabiona widokiem pożywienia, podniosła się ciężko i przelewając się podeszła do stołu. Chuda, wciąż niezdecydowana, rzuciła pytające spojrzenie na rudą seksbombę, czekając na sygnał, że można bezpiecznie się do nas przyłączyć.

Czerwonowłosa spojrzała na mnie. — Na imię mi Estella — poinformowała mnie niespodziewanie.

— Jestem jego żoną.

— Miło cię poznać, Estello — odparłam. — Może zaprosiłabyś swoją koleżankę do stołu?

— Jaka tam koleżanka — burknęła czarująca pani domu. — To jego siostra.

— Siostra czy koleżanka — powiedz jej, że może już wstać.

— Ej, ty! - wrzasnęła Estella, wskazując kciukiem wolne krzesło. — Podnieś tyłek i chodź tu.

Siostra Hectora śmignęła ku nam szybciej niż można by powiedzieć „podano do stołu”.

— Kto zamawiał hot doga z podwójną kapustą?

— spytałam wesoło.

Gdybym wiedziała, że wszyscy o mało nie przy-

płacimy życiem tego niewinnego pytania, z pewnością ugryzłabym się w język.

— To dla Hectora — zaskrzeczała grubaska.

— Wcale nie! — zawołał Hector — Chciałem kanapkę z szynką i serem.

— Nie *stupidol* — pisnęła przenikliwie ta z wąsami. — Chciałeś hot doga.

— Przymknij się, *puta* — krzyknął Hector, zrywając się z miejsca — Kanapka z szynką i serem jest dla mnie.

— Słyszałam cię, *maricónl* — *Tu dice* hot dog! — wrzasnęła Estella na całe gardło.

— *No soy maricón* — zaszlochał Hector rozpaczliwie. — Wszystkich wysadzę w powietrze.

— Przez hot dog?! — wykrzyknęłam.

I wtedy rzucił się na ziemię koło trzech pudełek i trzęsącymi się rękoma zaczął coś majstrować przy drucikach. Zerwałam się z krzesła tak gwałtownie, że upadło, doskoczyłam do niego i — jeden Bóg wie, w jaki sposób — przewróciłam go na plecy silnym kopniakiem.

Hector leżał w pozycji embrionalnej obok trzech bomb i kwilił jak ranne szczenię.

— Już dobrze, Hector — powiedziałam uspokajająco, gładząc go po głowie. — Już dobrze. Wiem, że chciałeś kanapkę z szynką i serem. Masz rację, one się mylą, kanapka z szynką i serem jest twoja.

— Ja nie *maricón* — zawodził Hector. Spoglądając z dołu na Estellę, która obdarzyła go tym epitetem, spytałam: — Co to znaczy *maricónl* Estella odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się chrapliwie, kubek w kubek jak Teresa Berganza w roli Carmen. — Impotent! — wykrzyknęła świdrującym głosem. — Hector impotent — on nie umie robić dzieci.

— Wcale mu się nie dziwię - mruknęłam niedosłyszalnie. Ale zanim mogłam zebrać energię, by usadzić babsztyla, który doprowadził Hectora do takiego stanu, że kolebał się z boku na bok i wierzgał nogami w powietrzu, dwie pozostałe jędze podniosły taki jazgot, że nie zdziwiłabym się, gdyby dach zwalił się nam na głowę, bez pomocy tych bomb chałupniczej produkcji. Przyciskając ręką chudą pierś Hectora, krzyknęłam ile sił w płucach: - Cisza! Zamknijcie się w tej chwili!

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Estella oniemiała, z jej twarzy zniknął dawny butny wyraz, ustępując miejsca oszołomieniu i niedowierzaniu. Przestała nawijać na palce pasma włosów i zastygła w bezruchu. Dwie pozostałe tylko gapiły się na mnie z rozdziawionymi ustami. Jednak najbardziej zdumiony był Hector, który nie mógł wyjść z podziwu, że ktoś śmiało stawić czoło jego trzem dręczycielkom. Spędziłam zaledwie dziesięć minut w mieszkaniu Rodriguezów, ale było już dla mnie jasne, że Hec-torem poniewierano tak bezlitośnie, iż każdemu normalnemu człowiekowi na jego miejscu już dawno puściłyby nerwy.

Zanim mogłam powiedzieć coś więcej, zadzwonił telefon podłączony do centrali policyjnej.

— Wszystko w porządku, Mags? - spytał Brian spokojnie. - Słyszeliśmy, że krzyknęłaś.

Ten człowiek miał w żyłach lodowatą wodę, nie krew, rozgrzewał się tylko w łóżku. - Daj mi Spriga

— powiedziałam.

Natychmiast usłyszałam głos Nicka. - Co się dzieje, mała? W porządku?

— Wszystko dobrze. - Wiedziałam już, jak opisać tę paranoiczną sytuację tak, żeby inni w pokoju mnie nie zrozumieli. — Słuchaj tylko i nic nie

mów - rozkazałam, układając sobie w głowie potrzebne słowa. Nick Sprig był wprawdzie czarny, a moja znajomość jidysz nader ograniczona, jednak oboje pracowaliśmy w nowojorskiej telewizji wystarczająco długo, by opanować podstawy.

— Hector ma *cures* bo *naſki* są *meszuga*. Sytuacja jest *szlecht* i każdy normalny człowiek już dawno powiedziałby *naſkom: kisz mir w tochis*. Załapałeś?

Nick najwyraźniej zrozumiał, że te straszne baby obrzydzą Hectorowi życie, a ten nie umie im powiedzieć, żeby go pocałowały gdzieś, bo spytał z tłumionym śmiechem: - Więc co proponujesz?

— Trochę rosołu — odpowiedziałam. Hector dał się zaprowadzić do stołu, usiadł na krześle i zaczął z zadowoleniem zajadać kanapkę z szynką i serem. Widocznie cisza panująca w pokoju była nie do zniesienia dla tych bab, bo grubaska wrzasnęła nagle: - Zamykaj gębę, jak jesz, ty *cochinol*

Na co wąsata zawtórowała: — *Loco*, ty jesz jak świnia. - A ośmielona tym pani Hectorowa rozdarła się: — *Maricón*, tu nie *sabes comer*, *no sades nadal*

Jak można się domyślić, Hector cisnął kanapkę na ziemię i skoczył po karabin, przewracając po drodze mój kubek z kawą i zalewając mi cały przód bladobrzoskwiniowej trykotowej sukienki.

Właśnie w tym momencie podjęłam decyzję.

— Hector! - zawołałam, podbiegając do niego. Po drodze potknęłam się o krzesło, lecz zdołałam powstrzymać go w chwili, gdy już chwycił za broń. — Chcę, żeby te trzy *locas* wyniosły się stąd w tej chwili, słyszysz mnie? W tej chwili! Wyrzuć je!

Zaczął chichotać, z początku cicho, a potem coraz głośniej i głośniej. — *Locas, locas* — powtarzał raz po raz, łkając w paroksyzmach śmiechu. Trzy

kobiety, nie wiedząc co myśleć o tym nieoczekiwanym wyzwoleniu, znowu roztrajkotały się po hiszpańsku, więc wrzasnęłam: — Zamknijcie się! Muszę zatelefonować.

— Te kobiety już wychodzą - poinformowałam Briana.

— Czy twoja ekipa może wejść na górę? Odwracając się do Hectora, który trochę się już uspokoił, spytałam: — Moja ekipa chciałaby tu przyjść i pokazać cię w telewizji. Czy mogę im powiedzieć, że się zgadzasz?

— *Si, si* — przytaknął, kiwając głową. — Założę koszulę.

— Za pięć minut?

Hector podniósł do góry dziesięć palców.

— Za dziesięć minut — powiedziałałam Brianowi. Nadszedł czas, żeby Hector Rodriguez odzyskał swoją ludzką godność.

— Każ im się wynieść - powiedziałałam cicho.

I to właśnie zrobił, może niezupełnie tak, jak to sobie wyobrażałam, lecz chyba dokładnie tak, jak sama zrobiłabym to na jego miejscu. Zostały wypchnięte za drzwi kolanem przy akompaniamencie soczystych wyzwisk, wykrzykiwanych po hiszpańsku i po angielsku.

— *Maricón!* — cisnęła mu Estella na pożegnanie.

— *Putanal* — krzyknęłam za nią, zanim drzwi się zatrzasnęły, bo i mnie udzielił się nastrój chwili.

Hector odwrócił się i uśmiechnął jak psotne dziecko. — *Si*.

Z chwilą gdy Hector wrócił z sypialni, umyty, przebrany w czystą białą koszulę, z włosami zaczesanymi do tyłu i pociągniętymi brylantyną o zapachu kokosowym, ręce trzęsły mi się tak, że trudno mi było utrzymać w nich kanapkę.

Wetknął koszulę za pasek swoich podartych brązowych spodni i usiadł przy stole, żeby dokończyć przerwany posiłek. Z żalem popatrzył na kanapkę z serem i szynką leżącą na brudnym plecionym chodniku, gdzie cisnął ją w napadzie wściekłości. Nagle uśmiechnęliśmy się do siebie, jak ludzie, których łączy jakiś śmieszny sekret. W milczeniu podałam mu hot doga z podwójną kiszoną kapustą, a on przyjął go bez chwili namysłu.

— Dobry? — spytałam.

— Kocham hot dogi - odparł, zajądając z zadowoloną miną. Kiedy zadźwięczał dzwonek do drzwi, Hector gryzł hot doga, przez cały czas kopiąc nogą w stół i patrząc bezmyślnie przed siebie. Karabin leżał na stole, a ładunki wybuchowe wciąż jeszcze spoczywały w pudełkach pod oknem.

— To moja ekipa. Mogę otworzyć? Przytaknął ruchem głowy.

Otworzyłam drzwi. Nick od razu chwycił mnie za ramię. - Są tu chłopcy z oddziału minerów - szepnął.

— Myślisz, że ich wpuści?

— Przyszła moja ekipa - powiedziała do Hectora, który jeszcze siedział przy stole i kończył lunch. -

Czy zgodziłbyś się wpuścić tu również paru ludzi, którzy rozbroiliby te bomby, które zrobiłeś?

Znowu skinął głową.

Dick Carlson ustawił kamerę na statywie, zlewając się przy tym rześistym potem. Joe Valeri podszedł prosto do Hectora i uściskał mu rękę.

— Cześć, Hector - przywitał się. - Na imię mi Joe.

— Cześć, Joe - odparł Hector. Prowadząc Hectora do kanapy, na której mieliśmy



siedzieć podczas nagrania, spostrzegłam kątem oka, że trzech minerów przecina już druty i wyluskuje laski dynamitu z białego kitu.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziałam łagodnie do Hectora.

Nick przyklęknął przed nami. - Dzień dobry, Hector, na imię mam Nick. Będę reżyserować ten wywiad.

— Cześć, Nick - odparł Hector z szerokim uśmiechem.

— Poradzisz sobie doskonale. Pamiętaj tylko, żeby patrzeć na Maggie, nie patrz na kamerę.

— Gotowy jesteś? — spytałam.

— Gotowy — potwierdził Hector. Nick skinął głową. — Kręcimy!

— Hector — powiedziałam, patrząc mu w oczy

— dlaczego uwięziłeś żonę i dwie siostry, i groziłeś, że je zabijesz?

Raptem Nick podniósł rękę. — Stop, Maggie. Co się stało z twoją sukienką?

Spuszczając wzrok ujrzałam wielką brązową plamę na swoim gorsie. - Zapomniałam — powiedziałam przepaszająco — to kawa.

— Idź do łazienki i włóż sukienkę tyłem na przód, żeby plama była niewidoczna.

Za niecałą minutę wróciłam na kanapę.

— Zaczynajcie od początku - polecił Nick.

— Hector — powiedziałam, patrząc mu w oczy

— dlaczego uwięziłeś żonę i dwie siostry, i groziłeś, że je zabijesz?

Oczy wezbrały mu łzami. - To one mnie więziły. Ja ich nie więził.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ja pracuję i daję wszystkie pieniądze Estelli. Ona nie daje mi nic - tylko na przejazd do fabryki

i czasem robi mi kanapkę. Nie mam nawet pieniędzy na nowe buty.

- Czemu oddajesz jej wszystkie zarobione pieniądze?

- Bo ona mówi, że to przeze mnie nie ma dzieci. Ona cały czas mnie męczy, żeby my mieli dziecko, mówi na mnie brzydkie słowa. - Popatrzył błagalnie, szukając u mnie zrozumienia. — Jak zrobić dziecko z kimś, kto cały czas krzyczy i wrzeszczy?

Pewnego wieczoru gdzieś na Górnym Wschodnim Manhattanie, niedaleko Gracie Mansion, pracująca żona, niejaka Maggie Sommers, siedziała przy swoim politurowanym dębowym stole kuchennym, wpatrzona w kruchy placek ze szpinakiem, oblany łagodnym światłem witrażowej lampy od Tiffa-ny'ego. Zastanawiała się nad pytaniem, jakie właśnie zadała jej przyjaciółka.

- Chyba najbardziej drażni mnie to, że Eryk daje mi tylko pieniądze na przejazd. W razie czego nie mogę sobie nawet kupić nowych butów.

- Czemu się na to godzisz? - spytała przyjaciółka. — Ostatecznie pracujesz.

- Bo wpędza mnie w okropne poczucie winy z powodu tego, że nie mamy dziecka. Stale mi to wypomina, ale powiedz sama: jak można myśleć o dziecku z mężczyzną, który nic, tylko wrzeszczy na ciebie od rana do wieczora?

Kamery już czekały, kiedy wyszliśmy z Hectorem z domu przy Morris Avenue 510. Przed wejściem tłoczyło się wiele ekip radiowych i telewizyjnych, pragnących sfilmować dramatyczną scenę kapitulacji, która jednak nie okazała się bynajmniej dramatyczna, tylko okropnie smutna. Policjanci nadal

trwali przykucnięci za otwartymi drzwiami samochodów, z karabinami wymierzonymi prosto w biednego Hectora, komandosi z brygady antyterrorystycznej wciąż zajmowali pozycje na dachach okolicznych domów. Zgromadzeni gapie zaczęli wiwatować, kiedy się pojawiliśmy.

Detektyw pierwszej klasy, Brian Flaherty, przywitał Hectora parą kajdanek, które natychmiast zatrzasnął na chudych nadgarstkach oszołomionego „terrorysty”, recytując przy tym formułkę o przysługujących mu prawach. Dwóch sanitariuszy wysiadło ze stojącej nie opodal karetki i lękliwie zbliżyło się do Hectora.

Ujęłam jedną z jego skutych dłoni i spojrzałam w jego zaczerwienione oczy. - Nie zapomnę o tobie, Hectorze - powiedziałam z powagą. - Obiecuję.

Przy akompaniamencie strzelających lamp błyskowych, milczący, biało ubrani sanitariusze zaprowadzili go do karetki.

- Czy mogę postawić ci drinka? - zaproponował Joe.

- Nie, dziękuję - odmówiłam, zerkając na Briana. — Jestem z kimś umówiona.

Wzruszył ramionami. — Mamy mnóstwo czasu na tego drinka - błysnął zębami w uśmiechu - a coś mi się zdaje, że jego czas już się kończy.

Mary Margaret Flaherty wystroiła się w jaskra-woźoły trykotowy kostium, złoty krzyżyk lśnił między jej obwisłymi piersiami, a zasnurowane czarne buty ortopedyczne wysoko opinały cienkie kostki. Białe włosy były skrupulatnie skręcone w ciasne pukle przypominające kiełbaski, a jaskraworóżowa szminka rozmasała jej się po przednich zębach. Natknęliśmy się na nią, gdy wychodziła z segmentu w Maspeth. Głośno cmoknęła syna w policzek

i oznajmiła: - Flora Carlucci lada moment przyjedzie zabrać mnie do kościoła. Dziś wieczorem gram w bingo.

Uśmiechałam się do niej, gdy lustrowała mnie domyślnym wzrokiem.

- Czy mama nie zapomniała aparatu słuchowego? — .spytał Brian.

- Złamał się, synusiu - westchnęła Mary Margaret.

- Pani syn wiele mi o pani opowiadał - zagaiłam, żeby jakoś nawiązać z nią kontakt. - Bardzo się cieszę, że wreszcie się poznałyśmy.

Ignorując moje wysiłki, zwróciła się do Briana:

- Gdzie się wybierasz dziś wieczorem, synusiu?

- Posiedzimy i pooglądamy telewizję - odparł Brian.

- A pani to pewnie Maggie - stwierdziła wreszcie. — To irlandzkie imię?

- Nie, mam - powiedział Brian i zaczerwienił się jak burak. - Maggie nie jest Irlandką.

- Skąd pochodzi pani rodzina?

- O ile wiem - odparłam nerwowo - ojciec urodził się w Bronksie, a mama w Petersburgu, w Rosji.

Ale ostatnie słowo do niej nie dotarło, może wpadło do tego ucha bez aparatu słuchowego.

- Petersburg — powtórzyła z rozrzewnieniem.

- Świętej pamięci pan Flaherty, niech spoczywa w spokoju, miał krewnych w Petersburgu. Każdej zimy spędzaliśmy u nich dwa tygodnie.

- Tak, pamiętam - wtrącił Brian z widoczną ulgą. - Kuzyn Tim Riley i jego żona. Tata bardzo lubił tam jeździć, kiedy jeszcze żył.

Dobiegł nas dźwięk klaksonu. Mary Margaret podniosła dłoń w białej rękawiczce i pomachała do  
215

Flory Carlucci, która właśnie zajechała przed furtkę.

- Nie kładź się zbyt późno spać, synusiu - rzekła Mary Margaret, ponownie obrzucając mnie domyślnym wzrokiem.

- Pa, mamó - powiedział Brian. — Baw się dobrze.

Magnetofon w pokoju Briana odtwarzał w kółko jedną i tę samą taśmę - *Strangers in the Night*

- ponieważ Brian nie zdążył jeszcze zebrać pieniędzy na miniwieżę wyposażoną w automatyczne urządzenie umożliwiające przegranie ośmiu kaset z rzędu, bez konieczności wstawiania — bądź wysuwania się - by zmienić taśmę. Leżałam na brzuchu w jego łóżku, a Brian na mnie, z ustami przyciśniętymi do mojej szyi. Jego twardy jak skała członek poruszał się rytmicznie, nasze śliskie od potu ciała ocierały się o siebie coraz szybciej, w końcu oboje dobiliśmy do swoich brzegów. Odetchnął głęboko parę razy i przez chwilę leżał nieruchomo w wilgotnej pościeli. Po upływie kilku minut przewrócił się na bok i przyciągnął mnie do siebie tak, że moje plecy i pośladki znalazły się przy jego brzuchu. Pocałował mnie w szyję i powiódł językiem po moim prawym ramieniu.

- Wiesz, Brian - powiedziałam - ta piosenka jest o nas.

- Co? — odmruknął:

- Obcy pośród nocy, tak właśnie jest z nami

- powtórzyłam. Zamiast odpowiedzi sięgnął w dół i dotknął tych zakamarków mojego ciała, w których znów pragnął się znaleźć, zagłębił badawczy palec w inne zakamarki, a potem rozpoczął wszystko od początku.

- Obcy pośród nocy, tak to nazywasz?

Objęłam go za szyję i przyciągnęłam do siebie. Nasze wargi odszukały się w ciemności, a języki zaczęły się nawzajem leniwie badać.

— Brian - wydyszałam, gdy wślaczał się we mnie coraz głębiej — rozwodzę się z Erykiem.

I wtedy znieruchomiał, a jego członek zwiądnął, skurczył się do prawie niedostrzegalnych rozmiarów i magia tej chwili rozwiązała się bezpowrotnie.

— Nie mogę się z tobą ożenić, Maggie — powiedział żałośnie, siadając na brzegu łóżka.

— Wcale tego nie oczekiwałam — odparłam cicho, podciągając kolana pod brodę i ogarniając je ramionami.

— To znaczy lubię cię, Maggie, ale jest przecież mama i robota.

Zastanowiło mnie, czy moje poczucie straty byłoby dotkliwsze, gdyby Brian wyraził się jakoś inaczej, chociażby: „Ubóstwiam cię, najdroższa, lecz moja praca jest zbyt wymagająca i niebezpieczna, żebym śmiał poprosić jakąkolwiek kobietę, by dzieliła ze mną życie. No i, rzecz jasna, mam zobowiązania wobec matki”.

Przez chwilę panowało napięte milczenie, aż w końcu to ja zrobiłam pierwszy ruch, który był zarazem jednym z ostatnich. Wstałam, poszłam do łazienki, umyłam się i ubrałam, tym razem nakładając sukienkę normalnie, tak, że plama po kawie znalazła się z przodu.

Brian już czekał, żeby odwieźć mnie do domu. Podeszłam, wzięłam go w ramiona i mocno przytuliłam, żegnając się z nim bez słów, bo to był już koniec.

Dwadzieścia minut później zatrzymał wóz w zwykłym miejscu, pięć przecznic przed moją kamienicą,

na East End Avenue. Wciąż jeszcze trwaliśmy w napiętym milczeniu, w którym jechaliśmy przez całą drogę z jego świata do mojego. Raz jeszcze zrobiłam pierwszy ruch, już po raz ostatni. Wsiadając z samochodu, wymówiłam bezgłośnie: „Kocham cię”, bo częściowo rzeczywiście tak było, a częściowo wciąż jeszcze się oszukiwałam.

Podniesiony głos Eryka Ornsteina, dolatujący zza drzwi naszego mieszkania, przeszedł w stłumiony szept, kiedy przestąpiłam próg. Rzuciłam torbę na podłogę, spojrzałam przelotnie na listy leżące na stoliku i weszłam do dużego pokoju. Eryk siedział na cytrynowej sofie obok swojej matki, a jego ojciec spacerował tam i z powrotem po pokoju, trzymając ręce za plecami.

— Dobry wieczór — przywitałam ich, opuszczając się na taboret kryty białym muślinem.

Harry przerwał swoją wędrówkę, a Mildred spojrzała na mnie z wyrazem ni mniej, ni więcej, jak tylko bezgranicznej pogardy. Wciągnęła haust powietrza i chwyciła się za serce, zaś Eryk skrzyżował swoje szczudłowate nogi i zwrócił wyczekujące spojrzenie na ojca.

- Witaj, Maggie - rzekł Harry z szerokim uśmiechem.

Harry Ornstein wydawałby mi się oślizgłym typem, nawet gdyby jego fizjonomia nie stanowiła frapującego studium szpetoty: małe oczka osadzone były blisko nieproporcjonalnie wielkiego nosa, a grube mięsiste wargi wydymały się nad cofniętym, słabo zarysowanym podbródkiem. Teraz, przyglądając się swojemu teściowi, rozpoznałam charakterystyczny uśmiech oznaczający, że kobra spręży się do skoku.

Harry Ornstein, który sprzedał kwitnący zakład krawiecki, położony w samym sercu handlowej dzielnicy Nowego Jorku, aby odkupić za grosze dom maklerski przy Wall Street od przyjaciela zagrożonego bankructwem, zwierzył mi się kiedyś: „Płaszcze czy akcje, to wszystko jedno gówno. Sekret powodzenia, to umieć kogoś załatwić z uśmiechem na ustach”.

- Co się tutaj dzieje? - spy tałam, widząc, że mały czarno-biały telewizor, znajdujący się zwykle w kuchni, stoi teraz na szklanym stoliku koło kanapy.

Mildred skrzyżowała pulchne ręce na piersi, który to gest stanowił zawsze wstęp do monotonnego kołysania się, trochę przypominającego rytualne modły w domach ortodoksyjnych Żydów. Jak słusznie przewidziałam, moja teściowa zaczęła się kiwać w przód i w tył na kanapie, a Harry usiadł na drugim obitym muślinem taborecie i ścisnął skronie krótkimi tłustymi palcami. Eryk zaczął nucić pod nosem.

- Przymknij się - warknął Harry. Coś było nie w porządku i to bardzo.

- Co się dzieje? - powtórzyłam, rozglądając się po obecnych.

- Wygląda na to, że mamy pewien drobny problem - rzekł Harry. Jego królicze zęby błysnęły spod grubej górnej wargi.

- Eryku? — rzuciłam pytająco.

W odpowiedzi tylko zanucił coś fałszywie.

- Już ci mówiłem, żebyś się zamknął! - wrzasnął Harry.

Mildred kojąco poklepała Eryka po kolanie, muskając jednocześnie drugą dłonią swój sześćcio-karatowy diament w kształcie gruszki.

- Oglądaliśmy cię w telewizji dziś wieczorem - powiadomił mnie Harry, ponownie się uśmiechając.

Być może Ornsteinowie zebrali się w moim dużym



pokoju, żeby obejrzeć dziennik i nie spodobała im się moja relacja z Morris Avenue.

- Zaciekawiał was ten kawałek?

Zacierając ręce tak mocno, że jego wysadzana szafirami obrączka dźwięcznie stuknęła o sygnet z onyksowym oczkiem wsunięty na mały palec, Harry żalobnie potrząsnął głową. Na jego dolnej wardze zaślśniły kropelki śliny. - O Maggie, Maggie.

- Słuchajcie - zniecierpliwiłam się w końcu - może ktoś by mi powiedział, co się tutaj dzieje?

Mildred zaczęła nerwowo okręcać naszyjnik z szarych nieregularnych pereł, tak że diamentowa zapinka znalazła się tuż pod jej podwójnym podbródkiem.

- Gdzie tak poplamiałaś tę ładną sukienkę? - spytał Harry, niebezpiecznie przyciszonym głosem.

- Hector Rodriguez wylał na mnie kawę, gdy byłam w jego mieszkaniu - odparłam, nie mając pojęcia, o co może chodzić.

- Aha - stwierdził Harry dramatycznie. - Magia telewizji.

- Co masz na myśli? - spytałam z jeszcze większym zdumieniem.

- Na ekranie nie było widać tej plamy - zauważył z uśmiechem.

- To dlatego, że przed nagraniem szef kazał mi włożyć sukienkę tył na przód.

Może rachunki z pralni były ostatnio za wysokie.

- A zatem - podsumował Harry, takim głosem jak Perry Mason - wpadłaś do Maspeth w Queens, żeby się przebrać przed powrotem do domu.

Eryk znowu zaczął rozpaczliwie poświstywać, póki Harry nie cisnął w niego poduszką.

- Cholerny świat, ile razy mam ci mówić, żebyś się zamknął! - huknął.

Nagle wszystko stało się jasne, ale nie mogłam już nic zrobić, bo było za późno. Zło już się stało. Dziwne, ale moją pierwszą myślą było: jak zareaguje mama na wiadomość, że prywatny detektyw, wynajęty przez rodzinę Eryka, przyłapał jej młodszą córkę na przebieraniu poplamionej sukienki z brzoskwińowego trykotu w pewnym segmencie w Maspeth, w Queens.

- Co powie twoja wypindrzona mamusia, kiedy dowie się, że jej córka jest dziwką? - spytała Mildred, jakby czytając w moich myślach.

Harry powstał z miejsca i z szerokim gestem, jakiego nie powstydziliby się sam król Salomon, skarcił ją dobrotliwie: - Mildred, Mildred, czy tak się mówi do rodziny?

Siedziałam z płonącymi policzkami, z dłońmi lepkiemi od potu, nie odrywając wzroku od misternych arabesk perskiego dywanu.

- Kazałeś mnie śledzić - szeptałam w kółko

- kazałeś mnie śledzić.

- Maggie, Maggie - rzekł Harry z patosem.

- „Śledzić, śledzić”, czy tylko to masz nam do powiedzenia?

Więc powiedziałam coś innego. - Eryku, jak mogłeś pozwolić, żeby kazali mnie śledzić?

- To dzień żałoby w domu Ornsteinów

- oświadczył Harry - i to ty jesteś odpowiedzialna za straszny smutek, który odczuwamy. Kochaliśmy cię jak własną córkę, a zdrada córki boli tak, jakby ktoś ugodził nas nożem w serce.

- A do tego zrobiła to z gojem - dorzuciła Mildred.

- Gojszmoj - zawyrokował filozoficznie.

- Najgorsze, że Maggie, która była dla nas jak rodzona córka, dopuściła się zdrady.

- Ja to załatwię, tato - oświadczył Eryk mężnie, kurczowo ściskając matkę za rękę. Lecz Harry, jako prawdziwy mędrzec, zamierzał dołożyć wszelkich starań, by oszczędzić niepotrzebnych awantur swoim najbliższym - w tym również Maggie, którą kochał jak własną córkę. - Nic nie załatwisz, gówniarzu - powiedział przez zęby. - Nie umiałeś nawet dopilnować żony, żeby nie rozkładała się dla jakiegoś gojowskiego gliniarza. A właściwie, to co miałam do stracenia? Może skazano mnie na banicję z Pałacu Buckingham? Może miałam płakać, że już nigdy więcej nie zobaczę, jak Mildred zgarnia resztki z talerzy do ubikacji dla służby „żeby nie marnować toreb na śmieci”, albo jak Harry rozkazuje kelnerowi „Stolly z lodem, bez żadnych paskudztw” co, jak się przekonałam, znaczyło: „Poproszę stoliczną z lodem bez cytryny czy limonu”, albo, że już nie będę musiała bawić się w chowanego z cholernym termometrem Eryka? - Nigdy nie mów do mnie w ten sposób - powiedziałam zimno. - Nie pozwolę na to. Moje oburzenie musiało spodobać się Harry'emu, gdyż - daję słowo - spojrzał na mnie z widocznym podziwem. - Gdybyś była moją żoną, nigdy by do tego nie doszło - stwierdził. Była pewna szansa, niewielka, ale jednak, na polubowne załatwienie sprawy, o ile tylko sprytnie - rozegram tę partię. - Harry, gdybym była twoją żoną, przedyskutowalibyśmy to między sobą, bez wciągania rodziców w nasze problemy. Zareagował dokładnie tak, jak przypuszczałam, znając jego niebotyczną próżność. - Staralem się przekazać Erykowi jak najwięcej, ale nie okazał się zbyt pojętny. Próbowałem wpoić mu podstawowe

zasady, lecz po prostu nie jest ulepiony z tej samej gliny co jego ojciec. To słaby chłopiec. Może później znajdę czas, by pocieszyć Eryka, mojego męża, chłopca, lecz w tym momencie sprawa moich pieniędzy była najważniejsza. - Harry, czemu kazałeś mnie śledzić? — spytałam.

Westchnął ciężko. - Wolałbym wyrwać sobie serce z piersi niż to zrobić, ale ktoś mi powiedział, że widział cię trzymającą się za rękę z jakimś facetem w nędznej speluncie w Maspeth. Wierz mi, Maggie, w pierwszej chwili byłem zaszokowany, wstrząśnięty, nie uwierzyłem. Ale potem ktoś zobaczył, jak wsiadałaś z tym facetem do samochodu, naprzeciwko studia. Co miałem począć? Łudziłem się, że to wszystko okaże się pomyłką.

Nie byłam na tyle głupia, żeby się rozplakać, gdy Harry ostentacyjnie wyjął z kieszeni chusteczkę i podał mi ją, mówiąc: - Nie chcę w to wciągać tych oszustów prawników, bo obdarliby nas ze skóry. Załatwimy to we własnym gronie, jak czynili to nasi praojcowie za czasów Mojżesza.

Eryk zakasłał. Mildred czknęła.

Pod wrażeniem tej aluzji do plemiennych obyczajów starożytnych Hebrajczyków, odpowiedziałam: - Przysięgam, że nie zrobię niczego, co mogłoby wyrządzić komuś krzywdę większą niż ta, która już się stała. I przysięgam, że nie pójdę do adwokata.

- Wiesz, Maggie - powiedział Harry ciepło - nadal uważam cię za córkę, mam uczucie, jakbyś była krwią z mojej krwi.

- Tatusiu - jęknął Eryk.

- Zamknij się! - usadził go Harry, nawet się nie odwracając.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli przenocuję dziś u Quincy. Jutro wszyscy poczujemy się lepiej i będziemy mogli to sobie spokojnie przedyskutować.

- Maggie, sama Sara nie zachowałaby się inaczej. Tylko pamiętaj, żadnych prawników. Tak? Quincy nie była specjalnie zdziwiona, gdy zobaczyła mnie na progu, jakkolwiek nie mogła zrozumieć, czemu oblewam swoją relację rzewnymi łzami.

- No więc, skończyło się - stwierdziła rzeczowo. - Czego płaczesz? Męczyłaś się z nim od lat.

- Bo czuję się strasznie winna — szlochałam - i Harry tak okropnie potraktował Eryka... Nazwał go chłopcem.

- On jest chłopcem - powiedziała Quincy z naciskiem. — Inaczej nigdy nie prosiłby tatusia o pomoc w takiej sytuacji.

- Naprawdę trudno go winić, Quincy. Postąpiłam karygodnie.

Spojrzała na mnie w taki sposób, jakby brakowało mi piątej klepki. Wstała, podeszła do okna i przez chwilę wpatrywała się w nie w milczeniu. Wreszcie odwróciła się z wolna i cicho spytała: - Czy mam ci przypomnieć wszystkie upojne chwile, jakie z nim przeżyłaś?

Potrząsnęłam głową, wydmuchałam nos i zakasłałam. — Nie.

- Dlaczego? Bo przypadkiem mogłabyś przestać się nad nim uzalać?

Ale ja byłam zdecydowana się obwinać. Quincy nawet nie próbowała ze mną dyskutować, kiedy raptem o piątej rano oświadczyłam: - Moje miejsce jest przy Eryku. Wracam do domu. Może po prostu potrzebowałam się wypłakać.

Godzinę później znowu stanęłam na wycieraczce Quincy Reynolds. Eryk zdążył już zmienić wszystkie zamki. To by było na tyle, jeśli chodzi o Sarę, Mojżesza i plemienne obyczaje starożytnych Hebrajczyków, nie pozwalające na korzystanie z pomocy nieuczciwych prawników.

— Może to oduczy cię sentymentów — rzekła energicznie Quincy, wciągając mnie do środka. -  
Gdzieś tu powinna być czysta szklanka. Nalej sobie coś mocniejszego i prześpij się wreszcie.

## *Rozdział 6*

Quincy zdaje sobie sprawę, że coś mnie gryzień zatroskaną miną przygląda się moim palcom, na które machinalnie nawijam pasma włosów tylko po to, by uwolnić je niecierpliwym szarpnięciem; mojej stopie, postukującej desperacko o podłogę. Nie chce mi się nic robić i ona to wyczuwa, toteż nie kwapi się z wychodzeniem. Przez delikatność co jakiś czas sięga niepewnie po torebkę albo bez większego przekonania spogląda na zegarek, na wypadek gdybym jednak wołała zostać sama. Ostatecznie jest mnóstwo rzeczy, za które mogłabym się w tym momencie zabrać: rozpakować się, pozamiatać, uporządkować papiery i notatki, poukładać rzeczy, zastanowić się co dalej robić ze swoim życiem. Ja jednak potrzebuję jej obecności, chcę, żeby została ze mną choćby przez kilka minut, póki nie odpędzę bolesnych myśli, które natrętnie kołaczą mi się w głowie. Aż nazbyt prędko będę zmuszona powrócić do świata telewizyjnych kontraktów i zadawnionych rodzinnych konfliktów, i to ze świadomością, że gdy nadejdzie wieczór, Avi nie stanie w drzwiach mojego pokoju.

- Czy czujesz się na siłach, żeby pójść na kolację z Graysonem, czy mam to przełożyć na jakiś inny dzień? - pyta Quincy, po raz kolejny udając, że zbiera się do wyjścia.
- Nie, nic nie przekładaj. Lepiej załatwię sobie ten kontrakt, przecież muszę czymś wypełnić życie. Ona przygryza dolną wargę i unosi brwi.
- Oszczędź mi tych łzawych tekstów, Maggie. Nie do twarzy ci z tym, możesz mi wierzyć. Nie chcę się uśmiechnąć, ale muszę, bo wiem, że ma rację - to faktycznie nie w moim stylu. Ale już sama myśl, że miałabym się silić na wesołość, potwornie mnie męczy. - No, dalej - mówię.
- Wiem, że umierasz z niecierpliwości, żeby wyliczyć te wszystkie wspaniałe rzeczy, za które powinnam być wdzięczna losowi.
- Uff, już ledwo mogłam wytrzymać.
- No, mów.
- Dobrze. A więc po pierwsze, niejaki Avi Herzog będzie dzwonić do ciebie dziś o północy, po drugie, masz fantastycznych przyjaciół, którzy cię kochają, w tym mnie i Dana, a po trzecie — niech no pomyślę - masz rewelacyjne ciało i nogi do samego nieba, które, przykro mi to mówić, dalej robią spore wrażenie na Graysonie, co ma swoje zalety.
- Uśmiecha się. - Zaraz, zaraz, co my tu jeszcze mamy? Aha, może jeszcze to: możesz teraz spać spokojnie i nie bać się, że skończysz w przytułku, bo od zeszłego roku oficjalnie przysługuje ci emerytura.
- No proszę, a ja cały czas martwiłam się, jak wykorzystać to ciało i nogi, żeby zapewnić sobie spokojny chleb na starość. Prawie zapomniałam, że ABN roztacza ojcowską opiekę nad zeszkapiałymi korespondentami wojennymi.



- Jeśli mowa o starych szkapach, wiesz, kogo jeszcze spotkamy dziś wieczorem?

- Kogo?

- Elliota Jamesa, bo jest twoim szefem z redakcji zagranicznej, i co ważniejsze, chłopcem do bicia Graysona. - Quincy poprawia włosy przed lustrem, a potem odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. - Maggie, musisz się przespać. Wiesz co, najlepiej wyłącz telefon i po prostu sobie odpocznij. Nie masz nic pilnego do zrobienia, poza tą kolacją.

- Chciałam zadzwonić do mamy.

Quincy ostentacyjnie zdejmuje płaszcz i rzuca go na fotel. - Wobec tego zostaję. Ktoś będzie musiał cię potem cucić.

- Nie musisz — bąkam bez przekonania.

- Dobra, dobra, miejmy to już za sobą - mówi, wchodząc pierwsza do sypialni. - Widać masz za dobre samopoczucie i potrzebujesz, żeby ci ktoś dokopał.

Quincy sadowi się w fotelu stojącym w mojej sypialni, podczas gdy ja nakręcam numer. Słabym uśmiechem dodaje mi otuchy, gdy czekam na połączenie.

Jest godzina dwunasta w południe, wtorek, dwudziesty ósmy grudnia 1982 roku. Wszystko wskazuje na to, że Avi Herzog nadal mnie chce, Grayson Daniel ma spotkać się ze mną dziś wieczorem, żeby zaproponować mi nowy kontrakt, czyli bezrobocie chwilowo mi nie grozi, i jestem już dorosłą kobietą. A jednak, o dziwo, nie mogę zapanować nad drżeniem rąk.

- Halo?

Z ledwo dostrzegalnym wahaniem odpowiadam ojcu, który odebrał telefon po drugim sygnale.

- Tato, to ja, Maggie. Wróciłam do Nowego Jorku.

Quincy przewraca oczami. W słuchawce zalega cisza, nie tylko dostrzegalna, lecz nieskończenie długa.

- Proszę, proszę - odzywa się on wreszcie.

- Pomyśleć tylko, że czołówki gazet nie doniosły o tym epokowym wydarzeniu.

Na skrawku papieru rysuję małe kwadraciki, całe piramidy połączonych kwadracików.

- Jak się czujesz, tato? - pytam, udając, że nie dostrzegam jego sarkazmu.

- Doskonale, ale zdaje się, że twój dźwiękowiec ma się trochę gorzej. Podobno kilku durnych Arabów rzuciło bombę, która urwała mu głowę. Dobrze mu tak, po kiego diabła się tam pchał?

To trzy zdania, dokładnie trzydzieści słów - bo liczę je w miarę, jak zapadają w moją świadomość

- dokładnie obrazuje, czemu w domu państwa Sommersów w latach dorastania Maggie wszystko źle się układało. Właściwie nie pozostało nic więcej do powiedzenia, chyba że zdecydowałabym się na atak, samoobronę czy pouczanie, lecz ja nie decyduję się na żadną z tych rzeczy, bo jest już na to zwyczajnie za późno. Oczy wzbierają mi łzami - to normalka, już sama wzmianka o nim zwykle wywołuje u mnie taką reakcję.

- Mama jest w domu?

Ojciec nie zadaje sobie nawet trudu odpowiedzi, bo zrobił już, co do niego należało. Wykonał zadanie na dzisiejsze popołudnie.

Głos Very Sommers jest podminowany, równocześnie jednak brzmi w nim nuta rezygnacji, znajoma i zarazem niepokojąca. - Halo, Marguerite — mówi apatycznie.

- Co się stało, mamó? Czemu masz taki okropny głos?

Quincy potrząsa głową i zapala papierosa.

— Nic — odpowiada mama. — Kiedy wróciłaś?

— Wczoraj — kłamię.

— A wiesz, Cary nie ma, wyjechali wszyscy na ferie do Aruby.

— Wiem, mamó. Może miałabyś ochotę mnie odwiedzić dziś po południu?

Ku mojemu zdumieniu Vera nie tylko zgadza się przyjechać - choć na ogół niechętnie zapuszcza się w te rejony miasta — lecz wyraźnie nie może się doczekać, żeby mnie zobaczyć.

— Złapię tylko taksówkę i będę u ciebie za kwadrans - rzuca pośpiesznie i odkłada słuchawkę.

— No i jak? - pyta Quincy.

— To samo co zawsze — odpowiadam — tylko że tym razem w jej głosie było beznadziejne przygnębienie, jakiego nie słyszałam od dzieciństwa. Przypomina mi to dzień, kiedy ojciec narysował ten koszmarny portret na serwetce w restauracji hotelu Plaża.

Quincy nie posiada się ze zdziwienia. - O czym ty mówisz, Maggie?

\* \* \*

Lato 1963 roku było stosunkowo przyjemne, ponieważ udało mi się przekonać rodziców, by pozwolili mi wyjechać na obóz młodzieżowy niedaleko Bangor w stanie Maine. Po raz pierwszy w życiu nie musiałam spędzać dwóch miesięcy wakacji w letnim domku Sommersów na Long Island.

Siedziałam po turecku na podłodze mojej sypialni w naszym mieszkaniu przy Piątej Alei i czekałam, aż Jonesie skończy naszywać metki z moim nazwiskiem na ubrania, które zabierałam ze sobą na obóz.

Trzymając w zębach koniec długiej białej nitki, podawała mi kolejno starannie złożone szorty i koszule, które miały się znaleźć w podróżnym kufrze, stojącym pod oknem. Tym razem Jonesie musiała spakować tylko mnie, bo Cara nie wybierała się na obóz. Załatwiła sobie pracę wolontariuszki w szpitalu w Lennox Hill, gdzie ubrana w fartuch w biało-czerwone paski, rozwoziła gazety po salach, żeby pacjenci mieli co czytać, czekając bądź to na wyzdrowienie, bądź na śmierć.

Mama pożegnała się z nami parę dni wcześniej. Powiedziano nam, że wyjeżdża do rodziców, do Milwaukee, i przez dłuższy czas nie będzie z nią żadnego kontaktu, gdyż wybierają się razem na miesiąc do zapadłej wsi położonej nad jeziorami w północnym Wisconsin, gdzie mają zamieszkać w urokliwej chacie z bali sosnowych. Wizja mamy w chałupie z bali sosnowych była dla nas jeszcze mniej przekonująca niż argument, którym ojciec co wieczór usprawiedliwiał swoją nieobecność na kolacji. „Haruję jak wół, żebyście mogli sobie pozwolić na szpanerskie prywatne szkoły, obozy i college. Nie wrócę do domu przed północą”.

Spojrząwszy na zegarek stwierdziłam ze zgrozą, że dochodzi wpół do szóstej. Tymczasem punktualnie o szóstej miałam się stawić w restauracji Traders Vic w Plaza, żeby zjeść kolację z ojcem.

- Muszę już iść, Jonesie - powiedziałam.

— Nie mogę się spóźnić.

Skinęła głową i ciężko podniosła się z podłogi, wspierając się zgrubiałą dłonią o potężne biodro.

- Tak, lepiej się pośpiesz, Maggie. I przebierz się, żeby ładnie dla niego wyglądać.

Podjechałam autobusem na róg Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Piątej Alei, w pobliże skweru,

gdzie skupiona przed fontanną grupa brodatych mężczyzn i długowłosych kobiet śpiewała piosenki folkowe. Ubrana w białą plisowaną spódniczkę, biało-niebieską bluzkę w kwiatki i białe sandały na płaskim obcasie, pasowałam zdecydowanie lepiej do gości hotelowych niż do tej rozśpiewanej gromady, z którą najchętniej spędziłabym wieczór.

Wstąpiłam na frontowe schody zasłane zielonym chodnikiem, weszłam do holu i, minawszy oszklone gabloty wypełnione migoczącą biżuterią, dotarłam do następnych wyłożonych zielonym dywanem schodów, prowadzących na dół, do polinezyjskiej restauracji.

Wdzięcznie uśmiechnięta kobieta ubrana w jedwabne sari powitała mnie od progu i zaprowadziła do stołu Alana Sommersa. Na mój widok ojciec uprzejmie powstał, czekając aż zajmę wskazane mi miejsce, po czym usiadł i zamówił owocowy poncz bez rumu dla mnie i drugą czystą wódkę dla siebie.

— Jak się masz, Maggie? - zagał sztywno.

— Doskonale, dziękuję - odparłam oficjalnie.

— Wszystko spakowane na obóz? — spytał mechanicznie.

— Prawie, tato — rzekłam obronnie.

— To świetnie — zauważył automatycznie.

— Dlaczego chciałeś zjeść ze mną kolację, tato? — wyrwało mi się i od tej chwili rozmowa przestała się kleić. Siedzieliśmy w milczeniu, póki nie zjawiły się oczekiwane drinki, które nareszcie pozwoliły nam skupić uwagę na czymś innym niż moje niewybaczalne potknięcie. Zanim jednak mogłam wziąć do ust słomkę wystającą ze sztucznego orzecha kokosowego, ojciec wysunął papierową serwetkę spod mojego drinka. Sięgnąwszy do górnej kieszeni,

wyjął długopis i zaczął szkicować ludzką twarz, przyciemniając okolice oczu i podbródka oraz przekreślając czoło i nos grubymi poprzecznymi krechami. Z płataniny kresek z wolna zaczęło się wyłaniać zabandażowane oblicze ofiary jakiegoś strasznego wypadku.

- Tak wygląda obecnie twoja matka — oświadczył ojciec. Odwrócił serwetkę i podsunął mi ją pod nos.

Wlepiłam w nią wzrok, mocno zmieszana jego uporczywym spojrzeniem, a końcu spytałam: — Co jej się stało?

Nie kwapił się z odpowiedzią. Pociągnął długi łyk alkoholu, odchylił głowę na oparcie krzesła i beznamiętnie patrzył, jak łzy napływają mi do oczu, a potem wolno toczą się po policzkach.

- Co się stało mamie? - powtórzyłam, starając się nie rozplakać.

- Twoja matka nie wyjechała do Milwaukee — poinformował mnie, ściągając usta z wyraźną satysfakcją. - Poszła do szpitala na operację kosmetyczną nosa i kiedy ją zobaczymy, zaraz po kolacji, nie wolno ci płakać, bo to jej tylko zaszkodzi.

Jakkolwiek odetchnęłam z ulgą, że życiu mamy nie zagraża niebezpieczeństwo, niezupełnie rozumiałam, czemu postanowiła zoperować sobie nos, wyjątkowo zgrabny nos, któremu, na mój rozum, niczego nie brakowało.

- Uderzyła się o ścianę, kiedy była w pierwszej ciąży, i z biegiem lat przegroda nosowa zwapniała. Chrapała przez to tak głośno, że nie mogłem zmrużyć oka, więc postanowiła coś z tym zrobić.

Wtedy jeszcze nie przyszło mi do głowy, że pomysł zoperowania sobie nosa po to, by ojciec mógł spać,

był równie absurdalny, jak to, gdyby ojciec odciął sobie ucho, żeby mama mogła oddychać.

— Czy Cara wie? — spytałam potulnie.

— Owszem. Widziałem się z nią w szpitalu przed przyjściem tutaj.

Kiedy teraz o tym myślę, żałuję, że nie schowałam do kieszeni serwetki z rysunkiem tej zmasakrowanej głowy, aby mieć dowód rzeczowy na wypadek, gdyby w przyszłości ktoś wątpił w prawdziwość tej historii. Spójrzcie tylko — mogłabym powiedzieć — spójrzcie na tę serwetkę. Oto dlaczego Maggie Sommers ma problemy z nawiązywaniem trwałych więzi z przedstawicielami płci odmiennej. Widzicie ten rysunek? To nie wina Maggie, że nie potrafi was kochać, to naprawdę nie jej wina.

Tamtego wieczoru nie mogłam nic przełknąć; krokieciki z jajkiem, panierowane krewetki i żeberka zostały prawie nietknięte na talerzu. Ojciec zamówił jeszcze kawę i deser, po czym wreszcie uregulował rachunek. Szybkim krokiem opuścił restaurację — musiałam biec truchtem; żeby za nim nadążyć — i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. W milczeniu przejechaliśmy Park Avenue i dotarliśmy do szpitala.

— Pamiętaj, co ci mówiłem: żadnych łez — upomniał mnie, kiedy szliśmy korytarzem. Skręciwszy za róg, wszedł energicznie do jej pokoju, a ja nieśmiało zatrzymałam się na progu.

Ale i tak widziałam ją doskonale, obandażowaną, całkiem jak na rysunku, z twarzą i szyją w sińcach i szramach. Przypominała piłkę do gry w kręgle, z dwoma szparkami na oczy zamiast otworów do trzymania. Surowe napomnienia ojca nie na wiele się zdały: zareagowałam histerycznie. Płacząc, kaszląc i pociągając nosem, nie zauważyłam dramatu roz-

grywającego się w łóżku. Dopiero kiedy krzepki sanitariusz wpadł do pokoju i siłą przycisnął mamę do materaca, zwróciłam uwagę na to, co się dzieje. W tym czasie przestała już rzucać się i krzyczeć, pielęgniarka wbiła jej strzykawkę w ramię, a pielęgniarz uspokajająco głaskał jej czoło. Atak skończył się tak samo raptownie, jak się zaczął. Mama na chwilę się uspokoiła, póki nie spojrzała na ojca. Wtedy poderwała się do pozycji siedzącej. — Jak mogłeś? - zaszlochała. - Nie chcę już żyć. - Po czym opadła na poduszki i zasnęła.

Cara wyprowadziła mnie z separatki i zaciągnęła do poczekalni dla odwiedzających, gdzie usiadłyśmy na kozetce obitej podartym zielonym skajem i zaczęłyśmy rozmawiać przyciszonym szeptem. Okazało się, że ojciec tajemniczo polecił Carze udać się do pokoju numer 1212, nie wyjaśniając jej celu wizyty. Nie miała pojęcia, kim będzie pacjentka, toteż kiedy weszła, o mało nie zemdląła widząc mamę w takim stanie. Na domiar złego zjawiała się w najmniej odpowiednim momencie. Vera, pomimo swoich opuchniętych oczu i odurzenia narkozą, wypatrzyła ciemnoróżową szminkę na kołnierzyku i apaszcze Allana.

— Stałam w drzwiach i słyszałam ojca — mówiła Cara. — Nawet nie próbował się wykręcać. Oświadczył jej tylko, że będzie robić na co ma ochotę, a jeśli jej się nie podoba, to może się wynieść do Wisconsin.

Zauważył Carę dopiero, kiedy minął ją wychodząc.

— Powiedział mi, że umówił się z tobą na kolację i kazał mi tu zostać z mamą, dopóki nie przyjdziecie.

I wrócił, ze mną za plecami, przez co krzepki sanitariusz musiał dać mamie zastrzyk uspokajający, żeby szwy jej się nie rozeszły. Kiedy Cara



skończyła swoją opowieść, uściskałam ją mocno, szczęśliwa, że mam siostrę, lecz nadal oszołomiona i bezradna. Po prostu nie mogłam zrozumieć, czemu ojciec tak się zachowuje.

— To istny cud, że nie skończyłyście obie w domu wariatów — stwierdza Quincy ze smutkiem.

— Prawda? — mówię, odprowadzając ją do drzwi.

— Z drugiej strony, bez tego nie byłabyś taka silna. - Ściska mnie. - Muszę lecieć, Mags. Spotkamy się wieczorem w Rosyjskiej Herbaciarni?

— Tak, Quincy...

Przytakuje ruchem głowy. — Wiem.

Teraz ja ją ściskam. - Dziękuję ci za wszystko.

Odsuwa mnie na długość ramienia. — Zrób mi przysługę - mówi łagodnie. - Nie pozwól, żeby coś cię dzisiaj zdenerwowało. Miałaś już dość.

Po wyjściu Quincy parzę kolejny dzbanek kawy i doprowadzam do porządku mieszkanie na przyjęcie mamy. Dzwonek do drzwi odzywa się w chwili, gdy ustawiam filiżanki i spodeczki na tacy. Vera Sommers, po jednej operacji nosa, dwóch liftingach, z ciałem zakonserwowanym przez lata morderczych ćwiczeń, wygląda wcale nieźle jak na sześćdziesiąt cztery lata. Wcale nieźle, jeśli nie przyglądać się zbyt dokładnie. Jej twarz jest wyraźnie zapadnięta, a usta drgają nerwowo, gdy zsuwa z ramion obszerne futro z tchórzów. Obejmując ją nie czuję urazy, że biernie poddaje się moim uściskom, stoi sztywno, z opuszczonymi ramionami. Po chwili odsuwa się i uśmiecha z wysiłkiem. — Wyglądasz stosunkowo dobrze, Marguerite. Wpraw-

dzie znać po tobie zmęczenie, ale to rozumiałe przy twoim nienormalnym trybie życia.

A więc wszystko po staremu. Początek mamy już za sobą.

Vera wchodzi do dużego pokoju, obciągając długi czarny sweter wyłożony na czarne, zwężone u dołu spodnie i siada.

— Wróciłaś na stałe, czy tylko na urlop?

— Na urlop, tyle że nie jestem pewna, kiedy, a nawet dokąd znowu wyjadę. Powinnam coś wiedzieć dziś wieczorem. Idę na kolację z Graysonem.

Mama w milczeniu popija kawę, którą jej podałam. Kryjąc przede mną oczy, nerwowo kołysze nogą w przód i w tył.

— Czym się martwisz? - pytam wreszcie.

— Wiem, że coś jest nie tak. Wyczułam to przez telefon, a teraz widzę.

Wzdycha głęboko. - Żałuję tylko, że Cara wyjechała.

— Już to mówiłaś, mamo — mówię ze znużeniem. — Ale jest jeszcze coś.

— No cóż — mówi ona, odstawiając filiżankę na spodeczek — nie powinno cię to zaskoczyć, bo obie z Carą od dawna wiecie aż za dużo.

Mogłaby sobie oszczędzić dalszych wyjaśnień, rzeczywiście wiedziałam. Przecież od lat powtarzało się to samo.

— Twój ojciec jest związany z inną kobietą i, jak sędzę, powinnam już była się do tego przyzwycząić.

— Mama wzdycha. — Chyba po prostu jestem zbyt stara i zmęczona, żeby nadal udawać, że o niczym nie wiem, a poza tym

— znowu wzdycha — nie chcę zostać sama na stare lata.

— Z czego to wywnioskowałaś?

Vera patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym była jeszcze głupsza niż zawsze twierdziła.

— A jak myślisz? — pyta z niesmakiem. — Z tego co zawsze: wieczorami prawie nigdy nie ma go w domu, a jeśli przypadkiem jest, telefon dzwoni jeden raz — to ich umówiony sygnał — i on chyłkiem wymyka się do gabinetu, żeby oddzwonić.

Dochodzi trzecia, a mama jeszcze nie wyszła. Jej odporność na wybryki ojca jest zwyczajnie na wyczerpaniu. Cierpi coraz dotkliwiej z każdym rokiem, w miarę, jak maleje jej zasób energii i coraz wyraźniej daje o sobie znać nowy czynnik: strach. Siedzi w tym samym punkcie kanapy i rozpaczliwie próbuje mi dowieść, że jej strach przed porzuceniem jest większy niż wszystkie upokorzenia, jakie znosi od ojca.

— Ja po prostu nie potrafię egzystować samodzielnie, byłabym tylko w połowie sobą.

— Nie byłoby tak, gdybyś od początku czuła się w stu procentach odrębną osobą.

— Tak, ale widzisz, nie zrobiłam tego: przez całe życie byłam połową Alana. Bez niego jestem pusta.

— Skąd miała wiedzieć, wtedy przed laty, że gdyby od samego początku ustawiła ich wzajemny stosunek jako sto procent plus sto procent i przez lata twardo utrzymała tę proporcję, to obecnie miałyby jedynie poczucie ogromnej straty, bez uczucia bezmiernej pustki.

— A czym będzie on bez ciebie? — pytam.

— Według niego, o wiele szczęśliwszym człowiekiem — odpowiada.

— Może i ty byłabyś znacznie szczęśliwsza. Lecz ona nie chce tego słuchać. — Ale, ale — mówi

— twojemu mężowi urodziło się drugie dziecko, jeszcze jeden chłopiec.

Eryk Ornstein, powtórnie żonaty od ponad sześciu lat i ojciec już niejednego, lecz dwojga dzieci, jest dalej mężem Maggie Sommers. Byłoby doprawdy przesadą wymagać od mamy, żeby przestała nazywać go moim mężem - nie można mieć tak wygórowanych oczekiwań.

- Skąd wiesz? - pytam uprzejmie.

- Przysłał nam kartkę z zawiadomieniem. Mogłam się tego spodziewać. To zupełnie w stylu Eryka - wciągnąć Verę i Alana Sommersów na listę osób, które należy powiadomić o narodzinach syna. Zawsze czuł potrzebę udowodnienia wszystkim, że to wyłącznie ja ponoszę odpowiedzialność za rozpad naszego małżeństwa. Chciał koniecznie wykazać moim krewnym i znajomym, że sam pragnął jedynie normalnej rodziny i dzieci. „Maggie - oświadczył kiedyś - jesteś patologicznie wyzuta z instynktu macierzyńskiego. Na tym właśnie polega twój problem i to w końcu doprowadzi do rozpadu naszego związku”.

- Szczerze mówiąc, nie zostawiłaś Erykowi wyboru - zauważyła teraz mama, dolewając kawy do filiżanek. Wstąpił w nią nowy duch. Wątkujemy ten temat, ile razy się spotkamy - moje nieudane małżeństwo nie tylko dostarcza nam już od lat tematu do rozmowy, lecz również pozwala Verze na ucieczkę od własnych bolączek. - Sama go do tego doprowadziłaś.

- Dlaczego mam być odpowiedzialna nie tylko za własne postępowanie, ale i za Eryka?

- Twoja niewierność - mama wymawia testowo z taką odrazą, że muszę się uśmiechnąć - była zupełnie nieuzasadniona. Ten mężczyzna był nic niewart.

- A czy, twoim zdaniem, sprawa przedsta-

wiałyby się lepiej, gdyby był towarzyszko do przyjęcia?

- Z pewnością byłoby tak lepiej dla ciebie

- replikuje mama. - Eryk postępował honorowo, próbował ułożyć sobie z tobą życie, a kiedy przekonał się, że to nie będzie możliwe, zwyczajnie przeniósł uczucie na osobę, która była gotowa dać mu to, czego pragnął.

Logika tej argumentacji jest nie do odparcia: zdaniem mamy, w każdym małżeńskim trójkącie o winie czy niewinności mężczyzny stanowi jego wartość rynkowa, natomiast o winie czy niewinności kobiety - to, na ile trafnie zdołała oszacować rynkową wartość partnera i własne szanse.

- A Rona - czy potępiasz ją tak samo jak mnie? Mama patrzy na mnie z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że nie. Eryk jest przyzwoitym człowiekiem.

- Ale przecież miała romans z moim mężem, kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem. Czy to się nie liczy?

- Nie, Marguerite - tłumaczy ona cierpliwie, zupełnie jakbym była upośledzona umysłowo.

- Przecież ożenił się z nią, a poza tym każda kobieta, która romansuje z mężczyzną w mundurze, sama się prosi o kłopoty.

- Brian nie nosił munduru, mamó, był detektywem — wyjaśniam chyba po raz setny.

- To jeszcze gorzej - stwierdza ona marszcząc brwi.

Rozumiem jej argumentację - odwieczne reguły tej fałszywej gry. Zdrada z pobudek seksualnych jest niewybaczalna i godna potępienia, natomiast zdrada, której ostatecznym celem jest zalegalizowany związek, jest usprawiedliwiona, z wyjątkiem tych

przypadków, gdy jedna ze stron zainteresowanych nosi mundur. To z całą pewnością nie jest właściwy moment na wszczynanie rozmowy o Avim Herzogu.

- Nie było mi zbyt przyjemnie, kiedy się dowiedziałam.

- Zapewne nie — odpowiada ona z roztargnieniem. - Ale możesz mieć pretensję tylko do siebie.

Jeszcze chwila, a stracę cierpliwość. Biorę głęboki oddech i odchodzę dwa kroki na bok, tak, aby nie mogła mnie widzieć. - A to dlaczego? - pytam.

- Gdybyś miała trochę oleju w głowie, nigdy nie poszłabyś na to przyjęcie walentynkowe. Zle się stało, że przyłapałaś go praktycznie na gorącym uczynku. To nie było mądre posunięcie.

Mam już tego dość. - Skąd, do diabła... - Nabieram powietrza w płuca i zaczynam od początku:

- Skąd miałam wiedzieć, że on...

- Kobiety wiedzą takie rzeczy instynktownie

- przerywa mi mama. - Ale ty byłaś zbyt zajęta swoim romansikiem...

- Byłam zajęta pracą! Miałam za sobą koszmarny dzień. Możesz mi wierzyć, że ostatnią rzeczą, jakiej wtedy potrzebowałam, był taki pasztet.

\* \* \*

Wszystko zaczęło się od zwykłego nerwowego wyścigu z czasem. Siedziałam przy maszynie i z obłędem w oku próbowałam dokończyć tekst do swojego materiału na temat skandalicznych warunków życia w pewnej czynszówce w Harlemie. Byłam już elegancko ubrana na przyjęcie z okazji Dnia Świętego Walentego, które odbywało się tego wieczoru w biurze Eryka. Nickowi również zależało na tym,

żeby jak najszybciej skończyć i opuścić studio, ponieważ tego dnia przypadała czternasta rocznica jego ślubu. Stał mi nad głową i poganiał, żebyśmy wreszcie mogli zacząć montować. Tymczasem, jak na złość, temat szedł mi wyjątkowo opornie. Mimo że już od dwóch lat pracowałam jako reporterka kryminalna i przyzwyczajona byłam do opętańczego tempa pracy nad wieczornym dziennikiem, wciąż jeszcze nie umiałam się oswoić z tragediami, które wypełniały serwis informacyjny. A relacja, którą przygotowywałam na dzisiejsze Święto Zakochanych, była wyjątkowo tragiczna.

— Czy mogę podać nazwisko właściciela domu? - zawbłalam, przekrzykując klekot maszyn do pisania i zwykły kociokwik panujący w pokoju wydania.

— Czemu nie? Ta rudera należy do niego. Sprawdziłaś to, prawda?

— Tak, ale moje zarzuty dotyczą czegoś więcej niż łamania przepisów. Praktycznie oskarżam go o zabójstwo.

Nick spojrział na mnie takim wzrokiem, jakbym oszalała. - O czym ty gadasz, do cholery? Przerwałam pisanie, oparłam się o maszynę i spytałam:

— Nawet nie obejrzałeś mojego materiału, prawda?

— Mam do ciebie zaufanie, Maggie - odparł, zapalając papierosa. - Chyba nic poważnego się nie stało?

Wyraz mojej twarzy musiał mu powiedzieć, że owszem, stało się coś poważnego — coś potwornego, dokładnie mówiąc.

— Co tam się zdarzyło, do diabła?

- Zobaczysz - odparłam, odwracając się od niego, żeby wystukać zakończenie.
  - Próbowalaś się do niego dodzwonić albo umówić się na spotkanie?
  - Tak, dzwoniłam trzy razy, ale nie chciał ze mną rozmawiać, a potem pojechałam z ekipą do jego biura i zatrzasnęli nam drzwi przed nosem.
  - Doskonale - Nick zatarł ręce. - Puścimy to w głównym wydaniu.
- Odmruknęłam coś niewyraźnie; jednocześnie zaterkotał telefon. Nick podniósł słuchawkę.
- Cześć, skarbie - powiedział miękko. - Ja też.
- Przestałam pisać i wpatrzyłam się przed siebie niewidzącym wzrokiem, uderzona nutą czułości brzmiącą w głosie Nicka, nutą zastrzeżoną wyłącznie dla jego Vivian.
- Jasne, że tak. Kiedy tylko skończę ten ostatni kawałek - powiedział i cmoknął dwa razy w słuchawkę, zanim się rozłączył.
- Rzuciłam mu miazdzące spojrzenie, z furią wystukałam ostatnie zdanie i gwałtownym szarpnięciem wyciągnęłam kartkę z maszyny.
- O ile nie jesteś zbyt zajęty - wycedziłam, porządkując zapisane strony - może zechciałbyś posłuchać mojego tekstu.
  - Coś taka nerwowa? Daj mi odetchnąć, Maggie. Świat się nie zawali, jeśli poświęcę dwadzieścia sekund na sprawy osobiste. To tylko lokalne wiadomości.
  - Więc co mam robić? Zmontować temat, nie mówiąc ci nawet o co w nim chodzi? Doskonale. -
- Rzuciłam papiery na biurko i zaczęłam wstawać z krzesła.



— Czekaj, Maggie — wstrzymał mnie z rozdrażnieniem. — No już, przeczytaj ten cholerny kawałek. Obdarzyłam go przeciągłym spojrzeniem, a potem odchrząknęłam i zaczęłam:

*Władze miejskie płacą Sheldonowi Schwartzowi, właścicielowi kamienicy przy Gates Avenue w Harlemie, około 1200 dolarów miesięcznie za każdy lokal kwaterunkowy. Za tę sumę pieniędzy samotna matka, Emma Rollin, gnieździ się z czworgiem dzieci w dwóch pokojach bez kanalizacji, ciepłej wody i ogrzewania. Z prądu może korzystać tylko sporadycznie. W kuchni (kamera pokazuje kuchnię) z sufitu odpadł kawał tynku, odsłaniając przetarte przewody elektryczne i skorodowane rury, utrzymywane w miejscu przez rozsypujące się metalowe wsporniki. Przez wielkie dziury zięjące w ścianach wchodzą swobodnie szczury i...*

— Przerwij na chwilę, Maggie - wtrącił Nick.

— To przecież ten sam szajs co zawsze. To ma być ten wstrząsający materiał? — Przewiercił mnie wzrokiem.

Odpowiedziałam mu hardym spojrzeniem.

— Chodzi ci o coś mocniejszego, prawda? Coś, z czego dałoby się zrobić telewizyjny hit wieczoru...

— Maggie... — powiedział ostrzegawczo. Opanowałam się. — W porządku. Najlepszy w tej całej historii jest kawałek o dziecku.

— Czytaj — polecił znużonym głosem. — Ten fragment, o którym wspomniałaś.

*Kilka godzin później nasza ekipa wróciła biegiem do mieszkania Emmy. Jedno z jej dzieci wypadło z okna na szóstym piętrze i zabiło się na miejscu (kamera pokazuje zbliżenie ciała leżącego na chodniku).*

— A niech to! — wykrzyknął Nick, przecierając oczy. — Dlaczego?

— Brakowało szyby w oknie.

— Ile miało?

— Dwa lata.

— Przepraszam cię, Mags. Udało ci się namówić Schwartza do wypowiedzi?

— Mam ci przeczytać?

— Tak.

*Wielokrotnie usiłowaliśmy dodzwonić się do pana Schwartza, lecz za każdym razem był nieosiągalny. Kiedy udaliśmy się do jego biura, zatrzaśnięto nam drzwi przed nosem (obraz skacze, wymachujące pięści w kadrze). Niedawno telefonowaliśmy tam ze studia i uzyskaliśmy informację, że jest spodziewany lada chwila i zamierza złożyć oświadczenie w tej sprawie. Dzwonił chwilę wcześniej z telefonu komórkowego w swoim samochodzie.*

Nick milczał.

— No i co o tym myślisz?

— Myślę — odparł powoli — że miałbym ochotę dorwać tego skurwiela i wepchnąć mu do gardła ten jego telefon komórkowy.

Wzruszyłam ramionami, wzięłam go pod rękę i poszliśmy do montażowni.

- Co za pieprzony koszmar - zauważył Nick, kręcąc głową.

Jack Roshanski, technik, od którego uczyłam się, co powinno zostać na kasecie, a co wylądować na podłodze hali montażowej, już na nas czekał. Gruby brzuch wydał mu się nad indiańskim pasem wysadzonym turkusami, gdy ciężko opuścił się na fotel przed monitorem. Panowała cisza^przerywana jedynie odgłosem wirującej taśmy, podczas gdy Jack podnosił dźwignie i wciskał guziki, przesuując klatki w przód i w tył, aż wreszcie był gotów rozpocząć zgrywanie mojego głosu z materiałem zdjęciowym.

- Okay, Maggie - powiedział. - Zaczynamy. Czytałam tekst, zerkając co chwila na monitor, żeby zsynchronizować swój głos z obrazem lub robiąc pauzę, w zależności od tego, co sygnalizował Jack. Była dopiero piąta trzydzieści i do emisji pozostało jeszcze pół godziny - przynajmniej ten jeden raz udało nam się zdążyć z pewnym wyprzedzeniem. Pod końcowy fragment tekstu, w którym była mowa o telefonie komórkowym Sheldona Schwartza, podłożyliśmy stary materiał, pokazujący nieprzerwany strumień limuzyn płynących przez Park Avenue w popołudniowych godzinach szczytu. Choć Jack Roshanski przepracował dwadzieścia lat w telewizyjnej informacji i widział wszystkie możliwe okropności codziennego życia w Nowym Jorku, był widocznie poruszony obrazem maleńkiej, żalostnej postaci leżącej z rozrzuconymi rączkami na chodniku. Hałaśliwie przekręcając ostatni wyłącznik, wymamrotał: - Kutas - i wstał od stołu montażowego.

Nick także wstał, z papierosem przylepionym do ust.

- Tego sukinsyna powinno się wsadzić na resztę życia do pierdła.
  - Pieniądz rządzi światem — zawyrokował Jack ponuro. — Bogaci się bogacą, a biedni obrywają. W informacji zdarzają się takie przypadki, i to bardzo często, kiedy siła oddziaływania filmowej relacji nie ma kompletnie nic wspólnego z osobą reporterki, i to była właśnie taka chwila. Zgarnęłam swoje rzeczy i dotknęłam ramienia Jacka. - Dziękuję, znowu zrobiłeś kawał dobrej roboty.
  - Nie dziękuj, mała - odburknął. - Podziękuj temu kutasowi Schwartzowi. - Bo Jack Roshanski też wiedział, że w informacji zdarzają się takie przypadki, i to bardzo często, kiedy siła oddziaływania filmowej relacji nie zawdzięcza absolutnie niczego kunsztowi montażysty. Niestety, mieliśmy do czynienia właśnie z takim przypadkiem, bowiem obraz zarejestrowany na taśmie był tak okropny, że słowa czy sztuczki operatorskie były zupełnie zbędne.
  - Wychodzisz, Maggie? - spytał Nick.
  - Tak, mam się spotkać z Erykiem w jego biurze. Urządzają tam jakąś imprezę z okazji Świętego Walentego.
  - Jak chcesz, to cię podwiozę - rzucił Nick, śpiesząc do swojego gabinetu. — Będzie mi po drodze.
  - Sekundkę - odrzuciłam, pędząc do mojej klitki po płaszcz.
- Nick dołączył do mnie, gdy stojąc w drzwiach pokoju wydania pośpiesznie malowałam usta i przeczesywałam włosy szczotką.
- Co robi Brian dziś wieczorem? - zapytał, pociągając mnie w stronę schodów.
- Od dawna już nie było dla niego tajemnicą, że mam romans z Brianem Flahertym. Odbyliśmy

wiele tasiemcowych dyskusji — gdy wszyscy inni dawno już wyszli z biura - podczas których radził mi zostawić Eryka i zacząć nowe życie. Podczas niekończących się rozmów nad niezliczonymi filiżankami kawy w telewizyjnej kawiarni, przekonywał mnie, że o ile nie podejmę wysiłku rozpoczęcia wszystkiego od początku, w pojedynkę, to nigdy nie znajdę mężczyzny, z którym mogłabym być naprawdę szczęśliwa. Trudno zliczyć, ile razy, w drodze na zdjęcia, próbował mi wykazać, że Brian Flaherty nie jest tym mężczyzną.

— Brian pracuje — odrzekłam. — Dzwoniłam do niego jakiś czas temu.

Zbiegłam za Nickiem na parter i potem na ulicę. W milczeniu poszliśmy do jego samochodu zaparkowanego o dwie ulice dalej. Otworzył drzwi i sięgnąwszy na przednie siedzenie dał mi do przytrzymania pokazny pakunek w biało-różowym papierze — prezent dla Vivian — a potem pomógł mi wsiąść i zatrzasnął za mną drzwi. — Czy ona cię chociaż docenia? — spytałam, kiedy już usadowił się za kierownicą.

— Oczywiście — odparł, przekręcając kluczyk w stacyjce. — Ja ją też.

Z miejsca pożałowałam swojego pytania, ponieważ dało mu ono pretekst do kolejnego kazania na temat walorów dobrego, solidnego małżeństwa.

— Nie muszę ci mówić, że mogłabyś mieć to samo - podsumował, kierując samochód na West Side Highway.

— Pewnie, nigdy tego nie mówisz — odparłam, kładąc głowę na oparcie i przymykając oczy.

— Dobrze, wobec tego powiem to jeszcze raz.

— Ulżyj sobie, Nick — powiedziałam z uśmiechem. — Stąd ci nie ucieknę.

— Powinnaś zostawić Eryka i przerwać tę idiotyczną historię z Brianem. Żaden z tych związków nie ma realnych szans.

— Nie doszłam jeszcze do takiego etapu, żeby kierować się wyłącznie realizmem.

Nick zaśmiał się zgryźliwie. — Pięknie, ale z obiecuję ci, że przyjdzie taki moment, a wtedy zadzwonisz do mnie i powiesz, że od początku miałem rację.

— Jak to, do ciebie zadzwonię? To nie będziemy już pracować ze sobą?

— Nie sądzę. Przejdiesz do redakcji zagranicznej albo zaczniesz prowadzić własny program. Nie zostaniesz wiecznie w lokalnych wiadomościach.

— Więc myślisz, że musi upłynąć aż tyle czasu, żebym zmądrzała? — zażartowałam.

Poklepał mnie po ręce. - Bynajmniej. Jesteś diabelnie ambitna, strach patrzeć, jak się wykańczasz.

Wyczuwam to, kiedy pracujemy razem. Zupełnie, jakbyś katowała się po to, aby zagłuszyć wewnętrzną pustkę, zapomnieć, że nie masz nic innego, co dawałoby ci szczęście.

Stara śpiewka, która niegdyś brzmiała: „Wiem, czego jej trzeba”, uległa obecnie pewnej modyfikacji, bo ostatecznie mamy już silniejszą pozycję na rynku pracy: „Gdyby była szczęśliwa z facetem, ambicja tak by jej nie zżerała”.

— Oczywiście, nie wolno mi mieć jednego i drugiego?

Nick zjechał z autostrady w jakąś aleję — sobie tylko znany skrót — i zatrzymał się na rogu wąskiej, uliczki wychodzącej prosto na Wall Street.

— Daj spokój, Maggie, nie zaczynaj tych swoich gadek. Nie to miałem na myśli. Kocham swoją pracę tak samo jak ty, ale potrzebna mi jest świadomość,

że Vivian czeka na mnie c wieczór, kiedy wracam do domu.

Zawsze fascynowało mnie to, że mężczyźni tak bardzo łakną tego zabezpieczenia, jeszcze bardziej niż kobiety, choć przecież im jest o wiele łatwiej samotnie posiedzieć w barze czy restauracji. Widocznie była to nie tyle kwestia strachu przed samotnością, co prostej potrzeby słyszenia czyjegoś głosu, posiadania kogoś, kto witałby ich na progu domu. Ciekawe, że jedynym pozytywnym aspektem samotnego życia, jaki umiałam sobie wyobrazić, była rozkoszna cisza, którą mogłabym się delektować na początku i pod koniec każdego dnia.

— Kapuję — mówię. — Tak naprawdę potrzeba mi żony. Fajnie byłoby wracać do domu: gorący obiad na stole, dzieci wyszorowane i wykąpane... Jaki mąż zgodziłby się to robić?

Nick odgarnął mi włosy z oczu i spojrzał na mnie serdecznie.

— Nie wiem, Maggie. Wiem tylko, że bardzo cię lubię i że kiedyś sukcesy, nawet największe, przestaną cię cieszyć, jeśli nie będziesz miała ich z kim podzielić.

— Och, Nick — westchnęłam. — Żebyś wiedział, jaka jestem zmęczona tą szarpaniną.

Przechylił się i pocałował mnie w policzek.

— Sommers, naprawdę bardzo cię lubię.

— Ja też cię lubię, mimo że niezupełnie rozumiesz, o co mi chodzi. — I z uśmiechem dodałam:

— A pani Vivian jest prawdziwą szczęściarą.

— Ona też uważa cię za szczęściarę — odparł szczerząc zęby. — Twierdzi, że spędzasz ze mną więcej czasu niż ona.

— Tak, tak — roześmiałam się. — Nie fatyguj się. Wiem, co chcesz powiedzieć: mogłabym sobie

znaleźć takiego mężczyznę jak Vivian, gdybym tylko chciała, no nie?

Uściskałam go ponownie i wysiadłam. Stojąc u wylotu uliczki, patrzyłam jak odjeżdża — zatrąbił dwa razy na pożegnanie i zniknął za rogiem. Już od dwóch tygodni skóra mi cierpła na myśl o przyjęciu walentynkowym w biurze Eryka. Przywołując na pomoc całą odwagę, weszłam do przeszklonego, wyłożonego marmurem holu wieżowca przy Wall Street 63 z twardym postanowieniem unikania wszelkich spięć tego wieczoru.

Winda zatrzymała się na szesnastym piętrze i drzwi się rozsunęły, ukazując reprezentacyjny hol udekorowany czerwonymi i białymi balonikami oraz różowymi kotylionami drukowanymi w maleńkie czerwone i białe serduszka. W jednym rogu wisiał transparent ze złotym napisem „Wesołego Świętego Walentego”, otoczony różowymi, wyciętymi z papieru kupidynkami, płynącymi na puchatych obłoczkach. Okrążywszy biurko ze stali nierdzewnej, prześlizgnęłam się przez rozsuwane drzwi z przydymionego szkła i znalazłam się w głównej sali. Wszystkie meble zsunięto na jedną stronę i przykryto pokrowcami z szarego płótna. Pod sufitem rozciągnięto gigantyczną sieć w cielistym kolorze, wypełnioną balonikami, znowu czerwonymi i białymi.

Cała masa ludzi kręciła się po sali, inni, skupieni wokół długiego stołu, na którym zastawiono zimny bufet, przekrzykiwali się wzajemnie, próbując się porozumieć mimo ogłuszającej muzyki płynącej z rozmieszczonych na ścianach głośników.

Stojąc na obrzeżu tłumu i rozglądając się za jakąś znajomą twarzą, uświadomiłam sobie, jak niewiele wiem o życiu Eryka. Nie poznawałam absolutnie



nikogo, nie umiałabym wskazać ani jednego z jego przyjaciół czy współpracowników, i trudno się dziwić, gdyż na przestrzeni siedmiu lat byłam zaledwie dwukrotnie w biurze mojego męża. Były to zresztą bardzo krótkie wizyty — raz, niedługo po naszym ślubie, wpadłam zabrać Eryka na kolację do chińskiej restauracji, a drugi raz, niedługo po naszym ślubie, wpadłam zabrać Eryka i Harry'ego na kolację do chińskiej restauracji.

Po dłuższym wahaniu zdecydowałam się podejść do bufetu, żeby się czegoś napić i wtedy ją zobaczyłam. Stała tuż przy Eryku, wpatrując się w niego rozkochanym wzrokiem, zachłannie chłonąc każde jego słowo. Przyglądałam im się przez kilka minut jak zahipnotyzowana, zanim dotarło do mnie, że ta kobieta jest bez wątpienia następną panią Ornstein.

Była bardzo wysoka, prawie tak wysoka jak Eryk, i bardzo chuda. Szopa jasnych, ufarbowanych w pasemka włosów opadała w wystudiowanym nieładzie na jej kościste ramiona. Krzykliwie zielona kusa spódniczka odsłaniała krzywe nogi, a płaską jak deska pierś okrywała biała jedwabna tunika, ściągnięta paskiem z zielonych muszelek, które pobrzękiwały przy każdym jej ruchu. Jedną dłoń, zakończoną długimi czerwonymi paznokciami, oparła niedbale na ramieniu Eryka, drugą nerwowo strzepywała popiół z bladozielonego papierosa. Było w niej coś dziwnie znajomego, ale co, zrozumiałam dopiero wtedy, gdy czując jakąś dłoń na swoim ramieniu, odwróciłam się i znalazłam się twarzą w twarz z panią Pierce.

— Panna Sommers, o ile się nie mylę? — rzekła lodowato. — Co panią do nas sprowadza?

Gdybym miała zupełnie czyste sumienie, odparłabym z godnością, że jako żona Eryka Ornsteina mam wszelkie prawo się tu znajdować i spytałabym,

jak śmie zadawać mi podobne pytania. Jednakże moje poczucie winy oraz niejasne podejrzenie, że sama wpędziłam swojego męża w ramiona innej, kazało mi przełknąć zniewagę.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś bezczelnie próbuje zabrać mi kogoś, kto - jak doskonale wiedziałam — nie wpływał najlepiej na moje zdrowie psychiczne, a mianowicie mojego małżonka, Eryka Ornsteina. Nie ulegało też wątpliwości, że nie mogło mnie spotkać nic lepszego. Jednak ten konkretny dzień, 14 lutego 1975 roku, nie wydawał mi się odpowiednim momentem. Po prostu nie byłam na to przygotowana.

- Obiecałam Erykowi, że przyjdę - odparłam potulnie. Nienawidziłam jej za to, że zepchnęła mnie do defensywy, nienawidziłam Eryka za to, że postawił mnie w takiej sytuacji i nienawidziłam samej siebie za to, że jestem taką hipokrytką.

- Moja córka, Rona - oznajmiła dumnie, wskazując na stertę farbowanych kudłów i czerwonych szponów, które teraz gładziły lewy policzek mojego męża.

- Uhm - stęknęłam, nie rozumiejąc, czemu czuję się tak, jakbym właśnie dostała kopniaka w sam żołądek, skoro przecież od dawna się na to zanosilo.

- Czemu nie podejdzie pani przywitać się z nią?

— rzekła pani Pierce wyzywająco.

- Uhm - bąknęłam znowu, dotknięta do żywego w swoich prawach żony.

Nie odrywając od nich oczu - nie byłam w stanie

- pożegnałam panią Pierce bladym uśmiechem i podeszłam do bufetu. Delikatnie poklepałam Eryka po ramieniu, czując się natrętem, intruzem. Czarne jak paciorki oczy Rony wpiły się we mnie ciekawie, gdy Eryk odwrócił się z wyrazem

zaskoczenia na twarzy. Wyraźnie zażenowany, zsunął dłoń Rony ze swojego policzka.

— Cześć, Maggie — powiedział, oblewając się pąsem.

Uśmiechnęłam się. Rona lustrowała mnie od stóp do głów, bez żenady prześlizgując się wzrokiem po całym moim ciele, tak, jakby próbowała ocenić jedyną przeszkodę dzielącą ją od luksusowego mieszkania przy East End Avenue, legitymacji wiejskiego klubu w Westchester oraz efektownego nowiutkiego nazwiska. Jakkolwiek było zupełnie możliwe, że naprawdę go kocha i okropnie krzywdzę ją tymi posądzeniami, nie miałam zamiaru silić się na obiektywizm, bo przecież Rona Pierce też skrzywdziła Maggie Sommers, odbierając jej możliwość samodzielnego wyboru dalszej drogi życiowej.

Eryk niepewnie przestąpił z nogi na nogę i zaczerwienił się jeszcze mocniej, kiedy wyciągnęłam rękę, żeby poprawić mu krawat. Nie przejmuj się, Eryku, pomyślałam. Ta tutaj na pewno nie rzuci cię tylko dlatego, że twoja żona demonstruje swoje prawo do twojego krawata. Zanadto zależy jej na twoich kartach kredytowych. Eryk zakasłał nerwowo, gdy strzepnęłam niedostrzegalny pyłek z klapy jego marynarki. Nie denerwuj się, Eryku. Wkrótce to ona będzie ci czyścić marynarki z łupieżu, a nawet prać ci bieliznę i nigdy nie pobiegnie na zdjęcia, zapominając powiedzieć, gdzie schowała kwit do pralni. Prawdę mówiąc, w ogóle rle będzie nigdzie biegać, bo jej jedynym zajęciem będzie uszczęśliwianie ciebie. Eryk wyjął chustkę i otarł pot z czoła, gdy wsunęłam mu dłoń pod ramię. Biedaczysko, był tak wytracony z równowagi, że nawet nas sobie nie przedstawił, a Rona wyraźnie nie była pewna, co zaleca etykieta w przypadku spotkania żony z kochanką.

— Dobry wieczór — przywitałam się w końcu, wyciągając rękę, która — jak teraz zauważyłam — była cała w atramentowych plamach.

Rona ujęła ją z wahaniem i ścisnęła słabo. Chyba bała się złamać któryś ze swoich efektownych paznokci albo też brzydziła się dotknąć mojej niezbyt czystej dłoni.

- Miło mi panią poznać — rzekła z silnym nowojorskim akcentem.

Wyobrażam sobie. - Eryku - zwróciłam się do niego, czując, że robi mi się niedobrze - proszę, przynieś mi coś do picia.

— Oczywiście — powiedział skwapliwie. — Na co masz ochotę?

Najlepiej od razu cykuteę. - Szkocką z lodem, jeśli możesz.

Zostałyśmy same, ja, przyszła eks-pani Ornstein i ona, przyszła druga pani Ornstein. Przez krótką chwilę miałam ochotę powiedzieć jej otwarcie, że wiem o wszystkim i nie ma sensu udawać — jako ludzie kulturalni powinniśmy usiąść i spokojnie zdecydować, jak rozwiązać nasz mały problemik w sposób możliwie bezbolesny. Rzecz jasna, nie zapomniałabym napomknąć, że bardzo się cieszę i życzę im obojgu szczęścia, co byłoby bezczelnym kłamstwem, ponieważ z najwyższym trudem hamowałam się, żeby nie skoczyć jej do oczu i nie zerwać jej tych sztucznych rzęs. Ale ona gotowała się do walki na śmierć i życie, więc nie pozostawało mi nic innego, jak podjąć wyzwanie.

- Trzeba powiedzieć, że wygląda pani zupełnie inaczej niż na ekranie.

Zawahałam się, niepewna jak zareagować: przyjąć to za komplement czy odparować cios —

Dziękuję. Czym się pani zajmuje? - Byłam naprawdę

dumna z siebie, że nie dodałam: „poza spaniem z moim mężem”.

— Jestem dekoratorką wewnątrz. — Jej rozbiegane, podobne do paciorków oczy błędziły nerwowo po sali. — Dziwię się, że pani tego nie wie. Eryk zlecił mi urządzenie mieszkania.

Tego było już za wiele, prześcieradła jeszcze nie ostygły, a już chciano mnie wyeksmitować. - Ach tak — odrzekłam.

— Nie mogę się już doczekać, żeby zacząć — rzekła, bawiąc się swoim żółtawozielonym paskiem z muszelek.

Patrząc na jej przykrótki, jakby ścięty na końcu nos, uczułam nagły niepokój o nie narodzone dzieci Eryka, ponieważ nie było jasne, na ile okropnie wyglądał, nim go sobie zoperowała. Zaraz jednak porwał mnie głuchy gniew, pod wpływem którego zapomniałam o genetycznych powikłaniach grożących ich stadłu.

— Co za szczęście, że wreszcie kogoś znalazł — zauważyłam z twarzą wykrzywioną uśmiechem, wypraktykowanym specjalnie dla kamery. — Wie pani, po prostu nie potrafimy zdecydować, w jakim kolorze urządzić pokój dziecienny.

Jej twarz przybrała upiorny zielonkawy odcień, nieco podobny do jej paska. Zaczęła wściekle postukiwać paznokciem o paznokcieć.

— Rzecz jasna — dodałam — najlepiej byłoby poczekać z tym do urodzenia dziecka, chyba że zdecydujemy się od razu na żółty, jak pani myśli?

Cienkie wargi Rony zadrgały konwulsyjnie, bezskutecznie usiłowała przemówić.

Stałam z uniesionymi brwiami i lekko rozchylonymi ustami, pasąc oczy efektem swoich słów. Nie kiwnęłam nawet palcem, żeby rozwiać jej najgorsze obawy.

- Czy pani i Eryk - wyjąkała wreszcie - czy pani, to znaczy chciałam powiedzieć, czy on... Czy państwo spodziewają się dziecka?

W odpowiedzi odrzuciłam tylko głowę do tyłu i zaśmiałam się perliście, dokładnie tak, jak musiała to robić Maria Antonina, kiedy mówiła: „Jeśli lud jest głodny, niechaj je ciastka”.

- Czy to prawda? - spytała podniesionym głosem, w którym drgała rozpacz.

Nagle zrobiło mi się jej żal, bo była tak wygłodniała, tak niepewna swego, tak przerażona możliwością utraty czegoś, co wydawało jej się szczytem marzeń. Mogłam skłamać i pogrzyść ją w straszliwym niepokoju. Mogłam unieszczęśliwić ją jednym słowem, brutalnie zniweczyć wszystkie jej nadzieje. Mogłam też ulec odruchowi litości i odejść, pozwalając jej rozpocząć nowe życie z moim mężem. Ale gdybym to zrobiła, skapitulowała, nie pozwalając sobie nawet na najmniejsze kłamstewko, byłabym zmuszona sama rozpocząć nowe życie w samotności, czego panicznie się bałam. Wybrałam więc kompromis: niech Rona Pierce pocierpi sobie troszeczkę, niech zapłaci tę drobną cenę za szczęście, które znajdzie u boku Eryka, kiedy Maggie Sommers zostanie sama jak palec.

- Niejestemjeszczewciąży - zwierzyłam jej się nieśmiało - ale Eryk po prostu marzy o dziecku.

— Przecież nie skłamałam: chodziło jedynie o to, która pierwsza da mu to, czego tak żarliwie pragnął.

Twarz Rony z zielonej stała się biała jak kreda.

— Zdawało mi się, że pani nie chce mieć dzieci

— wyrwało jej się.

- Dlaczego pani tak myślała? - spytałam słodko, żałując, że nie mogę siedzieć sobie teraz w montażowni.

— Chciałam powiedzieć, że jest pani tak pochłonięta pracą - plątała się - to znaczy, jest pani zbyt zajęta i w ogóle...

Położyłam dłoń na jej ramieniu. - Masz rację, Rono, ale to bardzo złożona sprawa.

Wyszarpnęła ramię, patrząc na mnie rozszerzonymi oczami i zaniósła się niepowstrzymanym kaszlem.

Postanowiłam kuć żelazo, póki gorące. Udając, że nie dostrzegam miotającego nią paroksyzmu, zagadnęłam: - A pani jest mężatką?

— Nie, jeszcze nie — wykrztusiła.

— O, a może jest pani z kimś związana? Nagle przestała kaszleć. - Można tak to ująć

— odparła chłodno.

Z iście siostrzanym zainteresowaniem spytałam:

— Od jak dawna się spotykacie?

— To naprawdę nie pani interes — ucięła. Skurczyłam się w sobie. Była twarda. - Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

— Staram się jedynie oddzielać życie zawodowe od prywatnego - rzekła wyniośle. - A ponieważ mam dekorować pani mieszkanie, lepiej, żebyśmy nie były na zbyt intymnej stopie.

Nie wierzyłam własnym uszom. - Kiedy Eryk kazał pani zacząć?

— Zacząć?

— Mieszkanie.

— O, kiedy tylko będę chciała. Zależy mu jedynie na tym, żeby było gotowe na lato.

A więc nie miałam już zbyt wiele czasu. — Chciałabym, żeby rzuciła pani okiem na mieszkanie mojej przyjaciółki. Przeżyła niedawno straszną tragedię, ale dom jest naprawdę piękny - powiedziałam.

— Jakiego rodzaju tragedię?

— Mężczyzna, z którym była związana, niespodziewanie wrócił do żony. Oczywiście zapłacił za ten luksusowy apartament i urządził go na własny koszt, ale i tak jest załamana. Najbardziej podoba mi się duży pokój.

— Wolę kierować się własnym gustem, nie ulegać zewnętrznym wpływom. Przekonałam się, że osiągam wtedy znacznie lepsze rezultaty. Jak długo byli ze sobą?

— Kto?

— Pani przyjaciółka i ten żonaty facet.

— Och, około pół roku, ale to bez znaczenia. Żonaci mężczyźni bardzo rzadko porzucają swoje żony. Nagle się rozgniewała. Postanowiła bronić swojej sprawy, nie bacząc na postanowienie niemieszania sfery zawodowej z osobistą. - Zależy jak kiedy. Robią to, jeśli dziewczyna jest gorąca, a żona to zimna ryba.

Szkoda, że ta rozmowa nie odbywała się w samolocie - przynajmniej byłaby pod ręką plastikowa torebka. Zanim mogłam odpowiedzieć, nadszedł Eryk z drinkami: szkocką z lodem dla wżgardzonej zimnej ryby oraz z „Krwawą Mary” dla zwycięskiej gorącej ślicznotki, co było doprawdy wzruszające, jeśli wziąć pod uwagę, że nawet o to nie prosiła. Właśnie ten postępek przekonał mnie, że chyba jednak chodzi tu o prawdziwe uczucie - miłość - ponieważ mój mąż rzadko kiedy myślał o potrzebach innych.

— Eryku — powiedziała Rona ostro — może byś mnie oświecił. Twoja żona twierdzi, że dalej staracie się o dziecko.

Dobry Boże. Ta kobieta nie tylko chciała mojego męża i moje mieszkanie z wbudowaną cedrową szafą, ale jeszcze domagała się wyjaśnień.



Eryk w popłochu rozejrzał się po sali, zupełnie jakby oczekiwał, że jakaś niewidzialna ręka wyrwie go z tej okropnej sytuacji. Niestety, nie tylko nie doczekał się upragnionej odsieczy, lecz zdołał jeszcze pogorszyć sytuację. Dłoń podskoczyła mu w nagłym skurczu, szklanka ze szkocką upadła na podłogę i rozprysła się na drobne kawałki, a złocisty płyn ochlapał cały przód zielonej spódniczki Rony.

Kwiknęła przeraźliwie, odskoczyła i zaczęła wycierać się jak szalona. Eryk spojrzął na mnie błagalnie, ale ja tylko wzruszyłam ramionami z rezygnacją.

— Masz, Rono — wybełkotał podając jej serwetkę. — Weź to.

Odepchnęła jego rękę i pobięła, zdaje się do damskiej toalety, żeby wyczyścić ubranie. Zostaliśmy sami.

— Jest bardzo ładna — zauważyłam.

— Kto taki? - spytał Eryk nienaturalnie piskliwym głosem.

— Rona.

Przez chwilę panowała cisza, po czym oboje zaczęliśmy mówić jednocześnie.

— Ty pierwszy - powiedziałam ze śmiechem.

— Nie, to nic takiego. Co chciałaś powiedzieć? — spytał bez cienia uśmiechu.

— Jak ją poznałeś?

— To córka pani Pierce. Rona zastępowała ją, kiedy chorowała na grypę. Było to, zdaje się, jakieś dwa miesiące temu... Właśnie przyjechała z Florydy. Chyba się rozwiodła, czy coś w tym rodzaju.

Rozwiodła się, czy coś w tym rodzaju. Na pewno znał cały jej życiorys, nie wspominając już o powierzchni skóry na wewnętrznej stronie ud. No, ale ona pewnie mu na to pozwalała. Ja zabraniałam mu wszystkiego.

- Jest podobna do pani Pierce.

- Nie - odparł Eryk obronnie. - Jest o wiele ładniejsza.

Wszystko to było tak żalosne i bezsensowne, bo w gruncie rzeczy zasługiwał na coś lepszego. Byłam fatalną żoną, odmawiałam mu wszystkiego, czego pragnął, a Rona tak dobrze odpowiadała jego potrzebom. Ale to dobrotliwe nastawienie nie trwało długo, ponieważ moje dobre chęci nie spotkały się z żadnym odzewem.

- Wcale się nie gniewam, Eryku — powiedziałam łagodnie.

- O co? - spytał ten łgarz i hipokryta.

- Z powodu Rony — odparłam ze słodyczą.

- Dlaczego miałabyś się gniewać? To ja powinienem się gniewać, że rozpowiadasz wszystkim naokoło, że staramy się o dziecko.

- A może tak nie jest? Może ciągle mi nie powtarzasz, że go chcesz? Czy nie po to codziennie mierzysz mi temperaturę?

- Ciii - szepnął Eryk. - Nie mów tak głośno. - Sprawa była jasna: dostanie go ta, która pierwsza zajdzie w ciążę. Zupełnie jak w bajce - wypowiedz magiczne zaklęcie, a zjawi się wróżka i da ci Eryka.

- Czemu nie miałabym mówić głośno? Przecież to prawda.

- Słuchaj, Maggie, mówienie o tym, a robienie tego, to dwie zupełnie różne sprawy, natomiast my ostatnio nie robiliśmy zbyt wiele w tym kierunku.

- Chyba rzeczywiście. - Nagle opanowała mnie bezgraniczna rozpacz, bo wszystko się waliło, rozpadało i mimo wszystko wydawało mi się to przeraźliwie smutne.

- To nie wszystko - mówił dalej z rosnącą energią. — Nie jestem szczęśliwy.

— Mhm, nie można powiedzieć, żeby nasz dom rozbrzmiewał śmiechem, prawda?

— Słuchaj — powiedział raptem, chwytając mnie za ramię. Jeśli zgodzisz się zająć w ciążę, to obiecuję ci, że spróbuję się śmiać. Co ty na to?

Nie wydało mi się to uczciwą propozycją: dziecko za wybuch śmiechu, płód za krótki chichot. — Eryku — rzekłam smutno. — Muszę wracać do domu, mam robotę. Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Skinął głową, wziął mnie pod rękę i przeprowadził przez tłum gości do drzwi z przydymionego szkła i holu udekorowanego kupidynami i puszystymi obłoczkami. Staliśmy czekając na windę, kiedy niespodziewanie zjawiała się Rona z wielką mokrą plamą na trawiastej spódnicy.

Wyciągnęłam rękę. - Do widzenia, Rono. Miło cię było poznać. Zignorowała mój pojednawczy gest.

Spojrzała najpierw na Eryka, potem na mnie, a wreszcie wzruszyła ramionami. Na jej ściągniętej twarzy widniał nieprzyjemny uśmieszek. — Kiedyś w końcu musiała się pani o nas dowiedzieć.

— Na litość boską! - wybuchnął Eryk. - To mnie będzie słono kosztowało.

Winda przyjechała i odjechała, a ja wciąż tkwiłam w holu, dosłownie uwięziona pomiędzy tymi dwojgiem.

Spojrzałam na Ronę.

— Chciałam tylko, żeby wiedziała, że jeśli ktoś ci urodzi dziecko, to na pewno ja! — krzyknęła przenikliwie.

Spojrzałam na Eryka.

— Już ci mówiłem, że to załatwię — wycedził przez zęby.

Spojrzałam na Ronę.

- Gówna prawda, ty śmierdzący oszuście! - I ni mniej, ni więcej, tylko dźgnęła go palcem w klatkę piersiową. Chwycił go i wykręcił z całej siły, aż krzyknęła głośno.

Spojrzałam na Eryka.

- Słuchaj no! - krzyknął. - Moje słowo to nie wiatr! Ty masz się tylko bawić swoimi szmatkami, a mnie pozostawić całą resztę.

Spojrzałam na Ronę.

- Tak, akurat. Mam ci wierzyć, po tym, jak ona mi powiedziała, że dalej próbujesz z nią zrobić dziecko.

Spojrzałam na Eryka.

- Słuchaj, ona jest dalej moją żoną - jęknął. Spojrzałam na Ronę.

- A więc to tak, ty draniu. Teraz będziesz jej bronić?

Spojrzałam na Eryka.

- Nie bronię jej - syknął - ale czy chcesz żyć jak żebraczka?

Spojrzałam na Ronę.

- I tak będziesz płacił alimenty przez całe lata - syknęła w odpowiedzi. - Kto ją weźmie z tymi poplamionymi rękami?

- Przepraszam was na momencik — rzekłam uprzejmie, pukając Eryka w plecy.

Oboje przestali się wydzierać i popatrzyli na mnie, jakbym spadła z księżycy. Sądzili widocznie, że dawno już wsiadłam do windy i odjechałam.

- Czego znowu chcesz? — spytała Rona, mrużąc oczy. - Czy nie przyczyniłaś mi już dość bólu?

- Zamknij się, Rono - skarcił ją Eryk szorstko. I wtedy rozsłochała się głośno, na co Eryk jęknął tylko: - O Boże, stul japę, co?

- Nic na to nie poradzę - chlipnęła, pociągając nosem. — Kocham cię.

I w tym momencie wszystko się zmieniło. To ona była stroną skrzywdzoną, ponieważ fakt, że go kochała, dawał jej nowy status, taki, do którego ja nie mogłam nawet pretendować. Od tej chwili była zagrożonym gatunkiem, białym krukiem, kimś zasługującym na ochronę, szacunek i wdzięczność. Ona go kochała.

- Maggie - rzekł Eryk chłodno - myślałem, że już wyszłaś. Nie masz na autobus?

Taksówka już mi nie przysługiwała. W kręgach nowojorskiej finansjery nie bawiono się w konwenanse, degradowano ludzi szybko i brutalnie.

- Nie, dziękuję, Eryku. Mam pieniądze.

Ale on już wyjął z kieszeni dziesięciocentówkę i ćwiartkę. - Masz, to na wypadek, gdybyś potrzebowała drobnych - powiedział, ocierając usta wierzchem dłoni.

Zignorowałam drobniaki, które mi oferował, ogarnięta nagłym niepokojem o znacznie grubszą sumę, a mianowicie moje honoraria zdeponowane na jego koncie bankowym. Ale to nie był odpowiedni moment.

- Eryku, czy moglibyśmy porozmawiać chwilę sami?

Odwrócił się do Rony. - Poczekasz na mnie chwilę, kochanie?

- Uhm — załkała.

- O co chodzi, Maggie - spytał niecierpliwie, prowadząc mnie na kraniec holu.

Ale Rona szła krok w krok za nami.

- Eryku, przykro mi, że to musiało się stać w taki sposób. Czuję się okropnie.

- A myślisz, że co się stało? — zapytał surowo.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, ale zaraz

zaczęło mi świtać, o co tu chodzi. — Ja nie myślę, Eryku, ja wiem.

— A co takiego wiesz, co takiego wyniuchałaś panno reporterko?

Potrząsnęłam tylko głową.

— No, nie stój tak, czekam. Powiedz mi, co takiego wiesz.

— Eryku — zaczęłam — dlaczego jeszcze utrudniasz mi to wszystko?

— Ja? Ja przecież nic nie robię — zaśmiał się drwiąco. — Jestem tylko niewinnym obserwatorem.

— W porządku — powiedziałam, kierując się do wyjścia. — Dajmy temu spokój.

Złapał mnie za ramię. — Dokąd się wybierasz?

Wywinęłam się z jego uścisku. — Do domu. Przynajmniej chwilowo jest to mój dom, póki ona go nie przemebluje.

Zaśmiał się głucho. — Nie zdarzyło się zupełnie nic, Maggie, więc nie czuj się okropnie. Rona jest tylko trochę pobudliwa i czasem nie wie, co mówi.

Rona przysunęła się do nas. — Co to ma znaczyć?

— Właśnie, co to ma znaczyć, Eryku? — zawtórowałam.

Spojrzał na mnie, a potem na nią. — Jestem piekielnie atrakcyjnym facetem i wiele kobiet za mną szaleje. To jeszcze nic nie znaczy.

— Wiesz co, pocałuj mnie gdzieś! — krzyknęła Rona.

— Rono — zdenerwował się Eryk — czy wreszcie sobie pójdiesz i zostawisz nas na sekundę samych?

— Daj spokój, Eryku. Winda właśnie przyjechała i tym razem mam zamiar do niej wsiąść.

Przez zasuwające się drzwi zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak Eryk schyla się, żeby podnieść drobniaki,

które wypadły mu z ręki, gdy Rona dała mu kuksańca, a ona postukuje ostrym jak szpila obcasem niepokojąco blisko jego pochylonej głowy. Bezpiecznie schowana we wnętrzu windy Maggie Sommers miała uczucie, jakby spadł jej kamień z serca, przekonała się bowiem, że Eryk robił dokładnie to samo, co ona, choć, żeby było śmieszniej, to Rona w końcu ją oświeciła.

\* \* \*

Mama wzrusza ramionami, odwraca się do mnie plecami i otwiera głęboką wbudowaną szafę w mojej sypialni. Wchodzi do środka i z głębokim westchnieniem zaczyna porządkować moje rzeczy, oddzielając spódnice od sukienek i koszule od spodni. Choć systematycznie ponawiam próby wywabienia jej stamtąd, z dzikim uporem atakuje rzędy ubrań wiszących na drucianych wieszakach, co rusz cmokając z dezaprobatą. Siedząc na obudowie kaloryfera, głowię się, jak przekonać mamę, że jest mi najzupełniej obojętne, iż moje ubrania nie wiszą starannie posegregowane na opatrzonych monogramami wieszakach, tak jak rzeczy Cary w Short Hills, w New Jersey.

— Te druciane wieszaki świetnie obrazują, dlaczego nie sprawdziłaś się w roli żony. Czemu nie możesz być taka jak Cara? Ona jest taka normalna. Prawdziwa radość patrzeć, jak prowadzi dom.

— Mamo, proszę.

— Przestań już z tym „proszę” — odpowiada z irytacją. — To wszystko jedna i ta sama sprawa: te wieszaki tłumaczą, czemu taki porządny człowiek jak Eryk robi teraz dzieci z inną kobietą.

Z lekka alarmujące wydaje mi się to, że bez trudu pojmuję tok rozumowania mamy, logiczny związek

między faktem, iż nie zostałam matką dzieci Eryka, a drucianymi wieszakami. Niesie teraz całą ich stertę, zrzuca ją na podłogę koło mojej sfatygowanej dębowej toaletki i ukradkiem spogląda na mnie przez pokój, wyraźnie czekając, kiedy zapytam, co druciane wieszaki mają wspólnego z moją niechęcią do ustabilizowanego życia. Pytam. Mama wzdycha — z ulgą, jak mi się wydaje — i odwraca się do toaletki. — Są określone nawyki, które kobieta wyrabia w sobie od wczesnej młodości — stwierdza, wysuwając górną szufladę i znowu cmokając z dezaprobatą. — Staralam się ci je wpajać, odkąd skończyłaś piętnaście lat. Nawyki, o których mówię, sprawiają, że porządni mężczyźni w rodzaju Eryka czują się zadowoleni ze swojego małżeństwa, spokojni, że poślubili kobietę o normalnych pragnieniach i potrzebach. — Urywa na chwilę, żeby wyciągnąć z szuflady moje skłębione staniki i rajstopy. — Takie kobiety nie wieszają swoich rzeczy na drucianych wieszakach z pralni, ale zamawiają eleganckie wieszaki z monogramem, które dla znajomych i członków rodziny są dowodem, że kobieta przynależy do określonej sfery. To tak jak z porodem naturalnym, tobie oczywiście nie przy-szłoby to do głowy. Odwracam twarz od okna i patrzę na nią. — Jak to? — Kobiety takie jak my — wyjaśnia mama — nie ulegają tej idiotycznej modzie na porody naturalne, podczas których mężowie siedzą na sali porodowej i patrzą, jak ich żony rozwierają się do rozmiarów półmiska. — Dlaczego nie? To przecież zupełnie naturalne.



— Tak sądzisz? To tylko pokazuje, jak mało rozumiesz. Żaden mężczyzna nie zechce dotknąć kobiety, po tym jak widział ją rozwartą do rozmiarów półmiska.

Ta ostatnia informacja daje mi wiele do myślenia, ponieważ w jakiś sposób wydaje się bardzo istotna dla zrozumienia wzajemnego stosunku Very i Alana, a może i moich stosunków z nimi obojgiem. — Czy ojciec był na sali porodowej, kiedy nas rodziłaś?

— Oczywiście, że nie! — wykrzykuje ona. — Na litość boską, skąd ci to przyszło do głowy?

— Nie wiem, zastanawiałam się tylko. Może właśnie dlatego ty i ojciec...

Mama wysuwa drugą szufladę i podejmuje przerwany wątek, puszczając mimo uszu moje wyjaśnienia. — Powinnyśmy koniecznie zrobić listę wszystkich rzeczy, których potrzebujesz, żebyś mogła zacząć żyć normalnie, o ile jeszcze nie jest na to za późno. — Składając moje swetry, potrzasa głową z powątpiewaniem i mruczy: — Jesteś przechodzonym towarem, Maggie, i nie ma większych szans na to, żeby jakiś odpowiedni mężczyzna zechciał ożenić się z trzydziestoczteroletnią kobietą, która prowadzi tak nieuporządkowane życie.

Ale ja już się wyłączyłam, bo bez reszty pochłonęła mnie wizja Aviego siedzącego na sali porodowej i trzymającego mnie za rękę, podczas gdy ja rodzę nasze dziecko. Avi na pewno nie uznałby mnie za półmisek czy przechodzony towar jedynie dlatego, że używam drucianych wieszaków. Nie sposób było wytłumaczyć mamie, że powodem, dla którego od razu nie wybrałam mężczyzny w rodzaju Aviego Herzoga i nie oszczędziłam sobie rozwodu, było to, że od dzieciństwa klęska była dla mnie o wiele bardziej naturalnym stanem rzeczy niż

sukces. Dlatego postanowiłam zakwestionować same podstawy jej rozumowania.

— Ty jesteś taką kobietą, o jakiej mówisz, prawda?

— Z pewnością staram się nią być — odparła zarozumiale.

— Wobec tego, czym wytłumaczysz swoje nieudane małżeństwo, mimo wieszaków z monogramami, pedikiuru i wszystkich atrybutów normalności, o których mówisz?

— Przypuszczam, że czasem nawet to nie wystarcza - odpowiada, przygryzając wargę.

Nic nie zapowiada nadchodzącej katastrofy, nic, prócz jednego stłumionego chlipnięcia. Vera błędnym krokiem podchodzi do łóżka i z rozpaczliwym szlochem opada na moją czarno-szarą pikowaną kapę. Wstyd mi, że doprowadziłam ją do łez — nie zaprzeczam. Jest jednak oczywiste, że nie płacze tylko dlatego, iż mam inne poglądy na życie niż ona.

Zanim mogę coś powiedzieć, Vera podnosi się do pozycji siedzącej i zauważa: — W dodatku nie masz ani jednej granatowej sukienki, Marguerite.

— Nie cierpię granatowego, mam — odpowiadam ze szczerym zdumieniem.

— Ani granatowo-zielonej, ani granatowo-czerwonej, ani granatowo-żółtej, ani granatowo-białej - szlocha. - Och, Marguerite, nie wytrzymam tego dłużej.

— Mamo — błagam — proszę cię, nie płacz. Zrobimy listę wszystkiego, czego potrzebuję, żeby być normalna, kupię sobie nawet granatową sukienkę, obiecuję ci, i nigdy nie będę się rozwierać do rozmiarów półmiska.

— O tak, będziesz — szlocha ona. — Sama zobaczysz.

— Mamo, gdybym tylko wiedziała, że te drobiazgi mają dla ciebie takie znaczenie, nigdy nie mówiłabym nic na temat tych wieszaków i postarałabym się mieć w szafie coś granatowego. Przysięgam ci, mamo, ja...

— Och, Marguerite! — krzyczy Vera, wyciągając białą koronkową chusteczkę z rękawa czarnego swetra — Jakaś ty głupia! — Głośno wydmuchuje nos i chlipie: — Jeśli mnie zostawi, zabiję się. Obejmuję ją i przytulam do siebie. Czuję jej łzy na policzku, gdy z jękiem powtarza w kółko, że nie potrafi żyć bez niego. Kobieta, którą trzymam w ramionach, jest moją matką, osobą, która przez całe życie skrupulatnie przestrzegała konwenansów i przez trzydzieści osiem lat zdołała utrzymać na pozór normalne małżeństwo. Na ironię zakrawał jedynie fakt, że ta normalna kobieta o normalnych potrzebach szukała pociechy u kobiety, która nie była niczym więcej, jak tylko przechodzonym towarem. Jednakże mimo wszystkich detali, drobnych różnic, które wykopały tak ogromną przepaść między nami, potrafię zrozumieć jej ból. Cierpi z powodu ukochanego mężczyzny, kogoś, kto w minionych latach wielokrotnie ją skrzywdził, mężczyzny, który jest również moim ojcem i też niejednokrotnie mnie skrzywdził.

Vera wysuwa się z mojego uścisku i zaczyna zbierać spinki do włosów, które powysuwały się z jej koka i leżą porozrzucane na kołdrze. Wygląda tak bezbronne z długimi czarnymi włosami spływającymi na plecy, zaczerwienionymi oczami okolonymi siecią delikatnych zmarszczek i śladami szminki widocznymi w pionowych bruzdach nad górną wargą. Nietrudno mi sobie wyobrazić, jak niezwykle piękna musiała być wtedy, gdy Alan zenił się z nią

wiele lat temu. I cieszę się, że ten mimowolny wybuch zdarzył się właśnie tutaj, a nie w obecności Cary, która wiecznie siedzi w Arubie wraz ze swym wiernym mężem i trzema owocami ich miłości — choć sama Vera zapewne wolałaby, żeby było inaczej.

— Czy pamiętasz jeszcze tę Niedzielę Wielkanocną, kiedy zabrałam was obie na lunch do Plaża?

— pyta mama ni stąd, ni zowąd. — Miałaś wtedy siedem lat. — Potrząsam przecząco głową. Tyle było tych wielkanocnych lunchów w hotelu Plaża, na które mama stroiła Carę i Marguerite w odświeżone biało-granatowe sukienki z marynarskimi kołnierzami i białe słomkowe kapelusze przystrojone niebieskimi wstążkami, opadającymi aż na ich wyprostowane plecki. Tyle wielkanocnych lunchów, podczas których Cara i Marguerite siedziały przy narożnym stoliku w Palm Court w hotelu Plaża, rozglądając się dokoła błyszczącymi oczami i starając się nie pokazywać palcem rozmaitych znakomitości, które przepływały obok z szelestem jedwabiu.

— Spokojnie, moje kochane — napominała nas mama — nie wymachujcie tak rękami. — A Cara i Marguerite chichocząc małpowyły szerokie gesty mamy za każdym razem, gdy jakaś kolejna sława przeciągała obok w otoczeniu równie olśniewającej świty. Rozgorączkowane, podniecone, trącały się wzajemnie pod stołem, zdecydowane nie przegapić ani jednej z gwiazd przesuwających się przed ich oczami. Przypominam sobie także, jak mama z powagą przykazywała nam, żebyśmy przeżuwały jajecznicę powoli, z zamkniętymi ustami, i „bez żadnego obrzydliwego mlaskania, moje panny”. „Oddychaj przez nos, Marguerite” — upominała mnie, kiedy Marguerite charczała z powodu ciężkiego

nieżyty gardła. I pamiętam, jak mama wytwornie osuszała kąciki ust, marszcząc brwi z niezadowoleniem, gdy Cara i Marguerite zamazyście wycierały twarze serwetkami. Zachowałam w pamięci wszystkie lunche wielkanocne, odkąd Cara miała siedem lat, a Marguerite pięć.

W moich wspomnieniach z naszych rodzinnych uroczystości postać ojca rysuje się bardzo mgliście, choć przypominam sobie, jak się zjawiał, zawsze spóźniony, i jak śpiesznie wychodził. W pamięci utkwiła mi szczególnie jedna z Niedzieli Wielkanocnych, kiedy ojciec wcale nie przyszedł do Plaža, aby dzielić nasz radosny zachwyty nad kolorowo opakowanymi czekoladowymi jajeczkami, spoczywającymi w gniazdku z zielonej papierowej trawy wyściełającej żółte koszycki, jakie dostawałyśmy na koniec każdego wielkanocnego lunchu.

— Pamiętam jeden raz, kiedy ojca nie było. Czy to było wtedy, gdy miałam siedem lat?

— W ogóle nie przyszedł — mówi Vera sennie.

— Siedziałyśmy i czekałyśmy na niego bardzo długo, aż w końcu zamówiłam jajecznicę dla ciebie i Cary, a dla siebie jaja na szynce z sosem holenderskim i blinami.

— Teraz sobie przypominam — potwierdzam.

— To było tego dnia, kiedy Cara spróbowała trochę jajecznicy i zawymiotowała cały obrus; był taki ładny, różowy.

Mama marszczy nos, zdegustowana moim obrazowym opisem niefortunnej przygody biednej Cary, owej pamiętnej Niedzieli Wielkanocnej.

— Rozpłakałaś się — podejmuje po chwili — bo zajaczek zapomniał podejść do naszego stolika i dać wam koszycki z czekoladowymi jajeczkami.

Potrafię sobie doskonale wyobrazić, jak boleśnie musiałam odczuć lekceważące zachowanie zajączka, który ofiarował koszyczki wszystkim dzieciom na sali oprócz mnie. Co prawda, dopiero teraz do mnie dotarło, że zajączek nie tyle mnie lekceważył, co nie miał szczególnej ochoty podejść do stołu, przy którym dziecko przed chwilą zwymiotowało.

— Próbowałam was jakoś rozweselić, pocieszyć biedną Careę — opowiada Vera, osuszając oczy białą koronkową chusteczką. — Zawiązałam jej na szyi serwetkę, żeby zakryć poplamioną sukienkę i obiecałam, że dostaniecie czekoladowe jajeczka, kiedy wrócimy do domu. Pamiętasz, co było potem? Przymykam oczy, usiłując odtworzyć w pamięci bieg wydarzeń, po tym jak Vera pośpiesznie wyprowadziła Careę, z płócienną serwetką dokoła szyi, i Marguerite, bez koszyka czekoladowych jajeczek z hotelu Plaža. - Tak - odpowiadam z namysłem. — Wróciłyśmy do domu i zapakowałam Careę do łóżka. Pamiętam, jak siedziałam w tym dużym fotelu w jej pokoju. Pozwoliłaś nam pooglądać telewizję.

Z piersi mamy wydobywa się przeciągłe westchnienie. I nagle wszystko do mnie wraca. Kiedy mama już zmierzyła Carze temperaturę, przetręła jej gorące czoło ręcznikiem zwilżonym zimną wodą, wyjęła dla mnie z kredensu pięć czekoladowych jajek owiniętych w wesole kolorowe papierki, zmieniła Carze pościel, wsunęła mi poduszkę pod plecy, żeby mi się wygodnie siedziało w fotelu Cary i włączyła urocze przedstawienie kukielkowe w telewizji, czule ucałowała Careę i mnie w czoło... Dopiero wtedy, sumiennie wykonawszy wszystko, co do niej należało, Vera Sommers cicho poszła do sypialni, zamknęła drzwi na klucz i...

— Połknęłam osiemnaście tabletek seconalu — mówi spokojnie.

Jestem wstrząśnięta, mimo że gdzieś w środku wiedziałam o tym przez cały czas. Jej słowa odarły mnie z nadziei, której czepiałam się od lat — że być może wszystkie moje podejrzania były przesadzone.

— Twój ojciec spędził ten dzień z inną kobietą, którą poznał parę miesięcy wcześniej.

— Jeśli tak, to czemu próbowałaś się zabić właśnie tego dnia?

— Bo właśnie tego dnia rano poprosił mnie o rozwód — odpowiada ona cicho.

— Dlaczego więc czekałaś z tym cały dzień? Nie rozumiem.

Zupełnie jakby to było ważne. Ale znacznie łatwiej mi się skoncentrować na nieistotnych szczegółach, takich jak czas i miejsce, niż zająć się sednem sprawy.

— Bo powiedziałam mu, że jeśli nie przyjdzie do Plaża, będę wiedziała, że mówił serio. A on nie przyszedł.

— Mój Boże, mam — wybucham. — Przecież mógł utknąć gdzieś w korku albo mieć wypadek, mógł nie zjawić się z tysiąca innych powodów, wcale nie dlatego, że naprawdę poważnie myślał o rozwodzie — i co wtedy? Zrobiłabyś coś tak strasznego bez żadnego powodu.

— Nie — odpowiada ona stanowczo. — Ja po prostu wiedziałam. Nie mogłam znieść myśli, że mam zostać zupełnie sama na świecie z dwójką małych dzieci. Uważałam, że będzie dla was lepiej, jeśli odejdę.

— Jasne, miałybyśmy sielankowe dzieciństwo, same z ojcem i jakąś kretynką — mówię z wściekłością.

— Wcale nie była kretynką — zaprzecza mama półgłosem. — Była pielęgniarką. To niewiarygodne — ona go jeszcze broniła, broniła gustu, z jakim wybrał jakąś kretynkę, która omal nie została naszą macochą!

Tamtego wieczoru, kiedy ojciec wreszcie wrócił do domu, przekonał się, że nie może dostać się do sypialni. Walił w drzwi i wołał mamę, aż w końcu Jonesie wybiegła ze swojej służbówki i pomogła mu wyważyć drzwi.

— Chyba byłam już nieprzytomna — wyjaśnia mama. — Jonesie później opowiadała mi, co się działo: jak przykładała mi zimne kompresy na czoło — Śmieje się. — Biedna Jonesie, zupełnie jakby to mogło pomóc. A potem ojciec wezwał karetkę i następną rzeczą, jaką pamiętam, jest śliczny zielono-biały pokój, w którym się obudziłam, gdy zrobili mi płukanie żołądka. Był stamtąd naprawdę wspaniały widok na Wschodnią Rzekę, po której pływały żaglówki, i na przemyły mały park koło ratusza.

Jest niewątpliwie skrzywiona psychicznie, kto wie, czy to już nie poważna choroba. Trudno powiedzieć, bo tyle rzeczy usprawiedliwia jej dziwactwo.

— Kiedy się obudziłam — mówi Vera — ojciec siedział na brzegu łóżka.

— Czy to ma świadczyć na jego korzyść — że raczył być przy tobie, kiedy o mało nie umarłaś?

— Powiedział, że sama go do tego doprowadziłam, bo nie sprawdziłam się jako żona, a teraz okazałam się na dodatek zupełnie nieodpowiedzialna, bo beztriosko próbowałam przerzucić na niego swoje obowiązki.

Twarz mi blednie. — A ty mu uwierzyłaś?! Vera spuszcza głowę i mnie w palcach białą koronkową chusteczkę. Wielkimi krokami podchodzę



do okna, po czym gniewnie okręcam się na pięcie, żeby na nią spojrzeć.

— Słuchaj, mamó, nie zawiodłaś ojca. To samolubny, egocentryczny skurwysyn.

— Jak śmiesz tak o nim mówić? — Dolna warga jej drży.

— Mój Boże — pytam cicho — dlaczego ciągle go bronisz?

— A co mam zrobić? Spakować manatki i odejść? W moim wieku?

Milczę.

— A widzisz — stwierdza triumfalnie. — To nie takie proste, kiedy nie ma się nic innego. Moją pracą było małżeństwo.

— Toteż byłoby ci trudno wtedy, przed laty, kiedy miałaś dwoje małych dzieci — odpowiadam, siadając przy niej na łóżku. — Ale nie teraz. Nie jesteś nic winna nikomu, prócz samej siebie.

Pieniądze z pewnością nie byłyby problemem. Po co dalej cierpieć, skoro mogłabyś spokojnie ułożyć sobie życie bez niego?

Ale ona wyraźnie mnie nie słucha, patrzy gdzieś przed siebie z nieobecny wyrazem twarzy.

— On był twoim kochankiem, prawda? — pyta nagle.

— Kto taki, mamó?

— Ten człowiek, którego zabili w Bejrucie.

Rozmowa przyjmuje nieoczekiwany obrót, schodzi z zawłoścí codziennego życia na zawłoścí codziennego umierania.

— Nie, mamó, nie był moim kochankiem. Przyjaźniliśmy się tylko.

Właściwie czemu powiedziałam „tylko”, zupełnie jakby lepiej było mieć kochanka niż kochającego przyjaciela? A w ogóle, to czemu nie miałyby się spać z przyjacielem — dlaczego wykluczyłam taką ewen-

tualność, czyżby weszło mi w zwyczaj sypianie wyłącznie z wrogami?

— Joe był homoseksualistą, mamó. Miał kochankę, tancerza z American Ballet Theatre.

Mama w milczeniu przygląda się, jak gmeram w stercie rajstop leżących na łóżku, żeby w końcu, po dłuższych poszukiwaniach, wyłowić parę szarych, pasujących do szarej moherowej sukienki z golfem, którą mam zamiar włożyć na kolację z Graysonem, Elliotem i Quincy. — A ten izraelski generał? Czy też jest homoseksualistą? — pyta ironicznie.

— Nie, mamó, jest moim kochankiem — odpowiadam spokojnie. I po namyśle dodaję: — A także moim przyjacielem.

Ona kiwa głową. Wygląda na to, że zawarłyśmy cichy rozejm, który jednak trwa tylko tyle czasu, abym mogła wciągnąć szare rajstopy i podejść do szafy po sukienkę.

— Czemu Izraelczycy zawsze noszą te okropne koszule z krótkimi rękawami i bez krawatów, nawet na posiedzeniach Knesetu? — Widziała dostatecznie wiele migawek z Izraela, aby zauważyć niedbały strój tamtejszych parlamentarzystów.

— W Izraelu ludzie nie przywiązują specjalnej wagi do form, kierują się głównie praktycyzmem, a jest tam przeważnie ciepło.

— Byłam zdumiona, Marguerite — kontynuuje mama — kiedy podczas wizyty w Izraelu odkryłam, że wszyscy tam tańczą paso doble, nie wspominając już o moim obrzydzeniu i przerażeniu, gdy zobaczyłam, że po posiłkach wszyscy mężczyźni dłubią w zębach wykałaczkami. Czy on tańczy paso doble?

— Tylko wtedy, gdy ma wykałaczkę w zębach — odpowiadam nonszalancko, szperając po podłodze szafy w poszukiwaniu szarych botków.

Drugi strzał trafia mnie prosto w żołądek, akurat kiedy pochylam się, żeby wciągnąć botki, które wreszcie znalazłam zagrzebane pod stosem pudeł.

— I, jak przypuszczam, jest żonaty? Prostuję się wolno, podchodzę do łóżka i siadając przy mamie, biorę ją za rękę. — Tego już nie zepsujesz. Tym razem jest inaczej.

— Nie mam zamiaru niczego psuć — protestuje ona. — Po prostu spytałam, czy jest żonaty, a sądząc z twojej reakcji, jest tak istotnie.

— Wiem, że to brzmi jak banał, ale jego małżeństwo jest fikcją od wielu lat. Jest porządnym człowiekiem, mamó, takim, który...

— Który jest zbyt zajęty tańczeniem paso dobie z wykałaczką w zębach, żeby tracić czas na formalności rozwodowe — wtrąca ona.

— Nie zepsujesz tego — powtarzam cicho.

— A teraz już skończ z tym.

I ona rzeczywiście milknie i bez słowa patrzy, jak szcnotkuję włosy.

— Maggie — odzywa się niespodziewanie.

— Czy kochasz tego człowieka, to znaczy, kochasz go tak naprawdę? Czy dzieje się z tobą coś dziwnego, gdy dotyka twojej ręki, albo łzy nagle napływają ci do oczu, kiedy przyglądasz się, jak wykonuje jakieś drobne codzienne czynności? Czy noc w noc instynktownie padasz mu w ramiona i zapominasz o całym świecie, kiedy jesteś przy nim?

Odwracając się z wolna, spoglądam na nią z niedowierzaniem. Nagle ogarnia mnie pragnienie, żeby się do niej przytulić, przycisnąć policzek do jej twarzy. Jest moją matką, kimś, kogo znam przez całe życie, kimś, dla kogo, odkąd pamiętam, żywiłam bardzo różne, często sprzeczne uczucia. Ale to nie wszystko: czuję się Oszołomiona, wręcz porażona

odkryciem tej nowej, nie znanej mi dotąd strony jej natury. Jestem jej córką — nie tylko dlatego, że mam te same zielone oczy, czarne włosy, wysokie kości policzkowe. Więż, jaka łączy nas w tym momencie, ma związek tylko i wyłącznie z namiętnością. W jednej chwili staje się dla mnie jasne, dlaczego próbowała odebrać sobie życie w tamtą Niedzielę Wielkanocną — bynajmniej nie dlatego, że bała się zostać sama z dwójką małych dzieci. Alan Sommers, mężczyzna, który mnie wydaje się okrutny, nadęty i nieatrakcyjny, jest obiektem namiętności Very! Ale przecież to tajemne przyciąganie, o jakim przed chwilą mówiła, nie ma nic wspólnego z zaletami charakteru, pociągającą powierzchownością czy dobrocią. To po prostu kwestia zmysłów. Cała tragedia polega na tym, że ludzie słabi i niezrównoważeni psychicznie, jak moja mama, nie powinni nigdy zaznać takiej namiętności. Może okazać się dla nich zabójcza.

— Czy kochasz go w ten sposób, Marguerite? — pyta ona miękko.

— Tak, ale na pewno nie popełniłabym samobójstwa, gdyby mnie rzucił — mówię stanowczo.

— Kiedy się w nim zakochałaś?

— Nie jestem pewna — odpowiadam z wahaniem — ale ta historia z Joem miała z tym sporo wspólnego. Jego śmierć była tak niepotrzebna, tak potworna, że życie nagle wydało mi się zupełnie pozbawione sensu. Byłam strasznie przybita, miałam uczucie, że wszystko może się skończyć z minuty na minutę — w tak brutalny sposób.

— Więc zakochałaś się w nim tego dnia, kiedy zginął twój dźwiękowiec?

Uśmiecham się. — Niezupełnie. Właściwie to zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia, ale ukrywałam to przed wszystkimi, z sobą włącznie, aż

do dnia, kiedy stało się to z Joem. Wtedy nagle przeraziłam się, że moje życie nie jest niczym więcej, jak tylko jeszcze jednym tematem. A potem wystraszyłam się go i uciekłam.

— Dlaczego?

— Czułam się rozdarta pomiędzy miłością do Aviego a pracą, bałam się, że jeśli będę go kochać, moja kariera przepadnie.

— A teraz?

— Teraz mogłabym powiedzieć, że bez niego czuję kompletną pustkę, że potrzebuję go i nic innego się nie liczy. No, ale on jest tam, a ja tutaj.

Vera wyjmuję mi szczotkę z ręki i przeciąga nią po moich włosach.

— Kiedy poznałam twojego ojca — mówi miękko — miał już za sobą wiele romansów. Aleja byłam bardzo niezależna, możesz mi wierzyć czy nie, ale tak było; uczyłam w szkole i w ogóle nie myślałam o małżeństwie. — Uśmiecha się sama do siebie. — Myślę, że tak bardzo pragnął mnie zdobyć, bo byłam pierwszą kobietą, która wcale go nie chciała.

Ojciec musiał zabiegać przez wiele miesięcy o to, żeby w ogóle zechciała się z nim umówić. A kiedy wreszcie zgodziła się pójść na kolację z tym zuchwałym, ambitnym prawnikiem, który chciał być najlepszy we wszystkim, co robi, i posiadać wszystko, co najpiękniejsze — i dlatego właśnie zapragnął Very — przekonała się, że nie potrafi mii się oprzeć.

— Oświadczył mi się już na drugiej randce, a ja się zgodziłam — mówi, oddając mi szczotkę.

— Musiałaś go bardzo kochać.

— Wiesz, Marguerite — mówi nieśmiało — nie macie monopolu na namiętność — ty i twój Avi. Słowa te brzmią bardzo znajomo, zupełnie jakbym nie tak dawno gdzieś je słyszała.

klucz, żeby zdążyć się ubrać na spotkanie we Wschodniej Jerozolimie, do którego pozostała już niespełna godzina. Wypadłam z klatki schodowej na korytarz, pędem puściłam się ku recepcji, bosa, z włosami w nieładzie, i przyhamowałam gwałtownie przed generałem dywizji Avim Herzogiem, pułkownikiem Gidonem Levym i Mosze Moradem, szoferem Aviego. Udałam jednak, że ich nie dostrzegam, łudząc się, że w ten sposób sama stanę się dla nich niewidzialna.

Prostując się na całą wysokość metra siedemdziesięciu centymetrów — tyle bowiem mierzyłam bez butów — z całą godnością, na jaką było mnie stać w tych okolicznościach, uprzejmie poprosiłam dziewczynę za kontuarem o klucz do numeru 608. Herzog, Levy i Morad stojący zaledwie o parę kroków dalej, przerwali ożywioną rozmowę, jaką prowadzili jeszcze przed chwilą. Kątem oka spostrzegłam, że Levy i Morad przyglądają mi się ciekawie. Herzog natomiast, bynajmniej nie sprawiał wrażenia zdziwionego moim niespodziewanym zjawieniem się w hallu — zaszedł mnie od tyłu i szepnął: — Co się stało, najmilsza? Pobiegåł za mną, bo uznał, że miałem rację?

Policzki mi płonęły. — Proszę cię!

Ale zanim mogłam wziąć klucz i dyskretnie się oddalić, pan Błękitny i pani Kwiecista z plakietkami „Bóg jest moim najlepszym przyjacielem” zwołali już pozostałych uczestników swojej wycieczki i pokazywali nas palcami. Nietrudno było się domyślić, że komentują moją chorobliwą fascynację krocem Aviego Herzoga.

— Drzwi się zatrzasnęły — powiedziałam szeptem. — Idź sobie!

— Tere-fere, myślisz, że ci uwierzę? - przekomarzał się Avi, sięgając ponad moją głowę po klucz leżący na kontuarze.

— A w ogóle, dlaczego jeszcze nie wyjechałeś?

- spytałam, próbując wyrwać mu klucz.

— Bo plany się zmieniły — wyjaśnił, podnosząc go tak, żebym nie mogła dosięgnąć. - Mam się stawić w gabinecie premiera w Jerozolimie. Chodź się przywitać z Gidonem i Mosze, zanim pójdziesz na górę.

— W takim stanie?! Jestem w proszku!

— Może ty odkryłaś to dopiero teraz, skarbie, ale my spostrzeżliśmy to już jakiś czas temu. - Wziął mnie za rękę i zaprowadził do nich, zupełnie nie zmieszany, że kobieta, z którą jawnie żył w Tel Awiwie, budziła sporą sensację swoim roznegliżowanym wyglądem.

— Cześć, Gidon — przywitałam się, z przyjemnością widząc człowieka, który był najbardziej niezawodnym towarzyszem walki Aviego i jego najlepszym przyjacielem w cywilu.

Powierzchnowość Gidona z pewnością nie przystawała do opinii twardego i nieustępliwego rzecznika Izraelskich Sił Zbrojnych, jaką zasłużenie cieszył się wśród zachodnich dziennikarzy. Niski i drobny, o chłopięcej twarzy i ciemnych kędziorach opadających na czoło, z reguły budził w korespondentkach macierzyńskie uczucia, co bezwstydnie wykorzystywał dla swoich celów. — Ostatnio wcale cię nie widuję

- zauważył ciepło. - Odkąd spotykasz się z tym typem, przestałaś zwracać się do mnie po informacje.

— To nie przez niego — odpowiedziałam, świadoma, że pan Błękitny i pani Kwiecista zachodzą mnie od lewej strony, odcinając mi odwrót. - Po prostu odwołano mnie z Libanu, obsługuję teraz Jerozolimę.

— *Szalom*, Maggie — przywitał mnie Mosze nieśmiało.

— Jak się masz, Mosze? — odparłam, teraz już czując, że ktoś stuka mnie w ramię.

— Z przykrością usłyszałem, co przytrafiło się pani dźwiękowcowi — powiedział Mosze szczerze.

— To był miły chłopak.

Skinęłam głową, celowo ignorując osobę, która szarpała mnie za rękaw. Niestety, Gidon niechcący zmusił mnie do tego, by przyjąć do wiadomości jej obecność. — Czy chciała pani coś powiedzieć?

— zagadnął uprzejmie. Schowałam głowę w ramiona.

— Czy pani jest Maggie Sommers z ABN? — spytała pani Kwiecista.

Avi przysunął się do mnie, szczerząc zęby z widocznym rozbawieniem. Zgromiłam go wzrokiem.

— Tak.

— Często oglądamy panią u nas, w Bergen County — powiedziała. — Naprawdę bardzo się cieszę, że mam okazję z panią porozmawiać.

Kto mianowicie dał tej pani okazję, by ze mną porozmawiać, pozostawało dla mnie nieprzeniknioną tajemnicą. Najwyraźniej uznała, że łatwo się ze mną spoufalić — i faktycznie trudno ją było za to winić, po naszym popisie przy windzie. Herzog stał tylko z rękami założonymi na piersi i wyrazem rozbawienia na przystojnej twarzy, spokojnie obserwując rozwój sytuacji.

— Mogę pani pomóc uwolnić się spod panowania cielesnych żądz.

— Amen! — wykrzyknął pan Błękitny. — Precz z rozpustą!

Gidon nie miał pojęcia, co się dzieje, ale na samą wzmiankę o rozpuszcie, wyraźnie nadstawił uszu.

Choć szczeka mi opadła, zdołałam odrzucić ich



uprzejmą propozycję, mówiąc: - To naprawdę bardzo miło z państwa strony, ale nie mam żadnych problemów z żądzą, a przynajmniej nie jest ona dla mnie problemem.

To wszystko przypominało do złudzenia jakąś sztukę teatralną, bo w tym momencie, jakby za skinieniem reżysera, Gila Enav, zarządzająca hotelem i moja najbliższa znajoma w Tel Awiwie, wybiegła zza kontuaru. - Maggie - oznajmiła wesoło, nieświadoma tego, co rozgrywało się pośrodku holu. — Zaraz wyślę kogoś na górę, żeby zmienił ci materac w łóżku; jest mocno zużyty.

— Urwała i obrzuciła mnie zdumionym wzrokiem, dopiero teraz spostrzegając mój niedbały strój.

— Wybierasz się w tym do pracy? -Ale było już za późno.

— Niech Bóg pani wybaczy — wymamrotał pan Błękitny, zaś pani Kwiecista nerwowo wcisnęła mi do ręki broszurę z nagłówkiem ZBAWIENIE, wydrukowanym grubymi czarnymi literami na okładce. Gila wsunęła dłoń pod ramię Aviego i próbowała stłumić chichot, bowiem w tym czasie otoczyła nas już cała grupa pielgrzymów z Bergen County, tak przynajmniej wywnioskowałam z plaketek, jakie mieli przypięte tuż nad tymi z hasłem „Bóg jest moim najlepszym przyjacielem”.

Gidon zbliżył się do Gili i, z upodobaniem prześlizgując się wzrokiem po jej piersiach, przedstawił się: - Jestem Gidon Levy, kontroler jakości wszystkich materaców Herzoga. — Uśmiechnął się urzekająco, jak. to on potrafił.

Gila zareagowała tak, jak się spodziewałam.

— Co za zbieg okoliczności, pełnię tę samą funkcję przy Maggie Sommers. Moglibyście mi powiedzieć, co tu jest grane?

No i proszę, wszyscy troje — najlepsza przyjaciółka, jaką miałam w Tel Awiwie, najlepszy przyjaciel Aviego w cywilu, i mężczyzna, którego kochałam, ten sam, który przy windzie chwycił się za krocze i rozpełtał to wszystko - stali sobie w holu mojego hotelu w Tel Awiwie i pysznie się bawili — pożądając się nawzajem, albo pożądając w skrytości serc. Upokorzona i wściekła, zaczęłam chyłkiem wycofywać się ku windzie, kiedy dobiegły mnie słowa:

- Szkółka niedzielna już się skończyła, proszę państwa. Maggie musi się przebrać albo spóźni się do pracy. — Avi wziął mnie za rękę i dorzucił:

- Pożegnaj się, Maggie, i podziękuj tym sympatycznym ludziom za to, że próbowali ci pomóc.

— Dziękuję — bąknęłam, pozwalając się odciągnąć od zebranego towarzystwa. — Mam ochotę cię zamordować! Przez ciebie mam przechlapane w Bergen County.

Avi nie odpowiedział. Zamiast tego przycisnął mnie do ściany i ucałował. — Czy ktoś ci już mówił, że jesteś lubieżną kobietą? - zapytał, kiedy wreszcie mnie puścił.

— A tobie się pewnie wydaje, że to było śmieszne

- powiedziałam z pretensją, kiedy zamknęły się za nami drzwi windy.

Śmiał się jeszcze wtedy, kiedy objęci wracaliśmy korytarzem do mojego pokoju, zupełnie jak wcześniej tego ranka. Avi otworzył drzwi kluczem.

- Tak, wydało mi się okropnie śmieszne. Słuchaj, a tak w ogóle, to gdzie leży to całe Bergen County? Stałam przed lustrem szcztokując włosy, ubrana tylko w czarne figi i czerwone sandały, kiedy podszedł do mnie od tyłu i przykrył dłońmi moje piersi.

— Są tak duże, że prawie nie mieszczą mi się w rękach.

- Nie próbuj mnie ugłaskać - rzekłam, sięgając po czarny stanik i czerwony T-shirt.  
- Zawiozę cię do Wschodniej Jerozolimy, a potem spotkamy się o szóstej na tarasie hotelowym, tak jak się umawialiśmy.  
Pochyliłam się i zapięłam stanik. - Gwarantuję, że mój szef dostanie wkrótce donosik. Te oszołomy z pewnością napiszą w tej sprawie do ABN.  
- Tu, w Izraelu, nikt nie przejmie się informacją, że korespondentka ABN jest rozpustnicą.  
Wciągnęłam koszulkę przez głowę. - Założę się o co chcesz, że izraelskiemu generałowi nie przystoi chwytać się za krocze w miejscach publicznych.  
Avi uśmiechnął się. - Nie wiesz, jakie legendy krążą na temat izraelskich generałów?  
Zaprzeczyłam ruchem głowy i wciągnęłam dżinsową spódnicę.  
- Podobno zaraz po obudzeniu wskakujemy do morza i przepływamy pięćdziesiąt okrążeń, - robimy z pół tysiąca pompek, a następnie odbywamy pięć do sześciu stosunków za jednym zamachem. To tylko przed śniadaniem, zauważ. Po śniadaniu biegniemy do sadu i zrywamy sobie trochę jafijskich pomarańcz. Potem zabieramy się do poważnej roboty, na przykład odbijamy kilku zakładników. Po obiedzie udajemy się na naradę wojenną, gdzie rozwiązujemy jeden z naszych problemów granicznych, staczamy błyskawiczną wojnę, po czym znowu odbywamy kilka stosunków. Po kolacji wszyscy gromadzimy się, żeby tańczyć norę, znowu odbywamy kilka stosunków, a na koniec, przed samym pójściem spać, projektujemy nowy typ myśliwca.  
Roześmiałam się. - Ja, w każdym razie, mogę z czystym sumieniem zdementować te plotki. Nigdy nie widziałam, żebyś tańczył horę.

— Oczywiście, nie możesz już liczyć na to, że zrobią cię korespondentem w Watykanie.  
— To fakt — przyznałam, zapinając zegarek.  
— Twoje oczy są dziś ciemnozielone — powiedział miękko.  
— To dlatego, że nadal jestem wściekła — odparłam, siląc się na wściekły ton.  
Byliśmy prawie gotowi do wyjścia. Avi zaczął wrzucać mój sprzęt — magnetofon, baterie, zapasowe kasety i przybory do makijażu, szczotkę do włosów oraz notatnik — do przepastnej płóciennnej torby.  
— Widzisz, naprawdę bardzo się staram z tobą pogodzić.  
Chwyając mały podróżny neseser, wzięłam ze stołu dwa komplety kluczy i ostatni raz obrzuciłam wzrokiem pokój.  
— Jesteś piękną kobietą — zauważył, gasząc światło.  
— Już dobrze, wybaczam ci — zaśmiałam się.  
- Tylko nie mów już nic więcej, zanim nie wyjdziemy z hotelu.  
Kiedy dotarliśmy na parter, Mosze i Gidona już tam nie było. Wdrapaliśmy się do furgonetki ABN  
- Avi na miejsce kierowcy — i ruszyliśmy w dobrze znaną drogę między Tel Awiwem a Jerozolimą. Patrząc w okno, zauważyłam lekkim tonem:  
- Szkoda, że nie mam tu porządnej kuchni. Chciałabym czasem sama ugotować obiad. Nie cierpię na okrągło jeść w restauracjach.  
Avi spojrzał na mnie przelotnie. — Gdy tylko uporządkujemy nasze sprawy, czyli już wkrótce, będziemy mieć nie tylko porządną kuchnię, ale i porządną sypialnię, gdzie będę mieć własną szafkę na ubrania. Ja też jestem już zmęczony prowizorką. Musimy zacząć myśleć o przyszłości.

Ogarnięta nagłą paniką, nerwowo poprawiłam się na siedzeniu i wlepiłam chmurny wzrok w okno.  
- O co chodzi, Maggie? - spytał. - Wystarczy, że choćby napomknę o przyszłości, a zaraz zaczynasz się denerwować. Dlaczego?

Jak miałam mu powiedzieć, że ilekroć wspominał o „porządkowaniu” swoich spraw, od razu przychodziło mi na myśl, jak wielki ból sprawi tym Ruth. Już widziałam, co się będzie działo w domu państwa Herzogów, kiedy Avi w końcu jej powie, że się wyprowadza. Co prawda, zawsze jakoś umykał mi fakt, że już tam nie mieszkał - i to od dość dawna. Jednak wiadomość, że ich małżeństwo oficjalnie się skończyło i że on zaczyna nowe życie z kim innym, będzie potwornym ciosem dla kobiety tak kruchej jak Ruth. Zawsze wyobrażałam ją sobie z różowymi lokówkami we włosach i drewnianą chochlą w ręku. Ze łzami spływającymi po pulchnych policzkach wykrzyknie: „Kto będzie ci cerować skarpetki i gotować rosół, kiedy będziesz chory?” I wtedy przed oczami stawały mi sceny z dzieciństwa i ze skurczem w żołądku przypomiinałam sobie ów nieustający lęk, że Alan Sommers nas opuści. Zastanawiałam się, jak wytłumaczyć to Aviemu, a potem nagle słowa popłynęły niepowstrzymanym strumieniem. Beładnie wyrzucałam z siebie wszystko, co sama przeżywałam i co teraz będzie przeżywać Ruth. Przez cały ten czas, gdy otwierałam przed nim swoje serce, patrzył prosto przed siebie, nie odrywając oczu od szosy. Widziałam, jak napinają mu się szczęki, a kostki dłoni powoli bieleją.

- Żal mi jej - tłumaczyłam - a jednocześnie boję się, że tobie też zrobi się jej żal i mnie porzucisz. Pewnie w końcu zaczniesz brakować tych rosołków

i porządnie zacerowanych skarpetek, a nawet tych jej wdzięcznych różowych lokówek. Gwałtownie skręcił na pobocze u stóp wzgórza, na którym tkwiło kilka zardzewiałych wagonów towarowych — pamiątka wojny 1948 roku. Zatrzymawszy samochód, odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Siedziałam skulona w kącie fotela, czekając na, jak mi się zdawało, nieuchronny wybuch. Przeczesał włosy palcami — jak dobrze znałam i kochałam ten jego gest — i powiedział bardzo opanowanym głosem: — Maggie, Ruth w życiu nie nosiła różowych lokówek i nie ma pojęcia, jak się gotuje rosół, a poza tym... — Zamilkł. — Co poza tym? — spytałam pokornie. Nabrał w płuca powietrza. — A poza tym wcale nie chce dłużej ze mną żyć. — Dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Spojrzał na mnie poważnie. — Nie chciałem wywierać na ciebie nacisku, nie chciałem, żebyś sobie pomyślała, że tak mi na tobie zależy, bo nie chcę być sam. — Wyjął jedno ze swoich małych czarnych cygar i przez chwilę trzymał je między palcami, zanim zapalił. — Jesteś taka silna i niezależna, że trochę się bałem, że mnie odrzucisz. — Wypuścił smugę dymu i podjął: — Nie byłem pewien, jak z tobą postępować. Nie byłem przyzwyczajony do kogoś takiego jak ty, bo Ruth była zawsze taka przewidywalna, taka bezbronna. I właśnie dlatego tak się zdziwiłem, gdy wszystko się zmieniło. — Co się zmieniło? Nie rozumiem. Uśmiechnął się nieznacznie. — Wróciła do pracy, do architektonicznej firmy swojego brata. Byłem z tego zadowolony, bo dzięki temu miała coś do roboty, coś, co ją interesowało i co sprawiało jej przyjemność. — Przez chwilę wyglądał przez okno. — Tam go spotkała.

- Kogo?

- Swojego starego przyjaciela, kogoś, kogo poznała zaraz po przyjeździe do Izraela, gdy była jeszcze młodą dziewczyną. Wierzę jej, kiedy mówi, że nic między nimi nie ma i wierzę również, gdy mówi, że chce spróbować ułożyć sobie życie na nowo, z mężczyzną, który naprawdę jej pragnie. - Potarł oczy ręką. - Ona zdaje sobie sprawę, że ja nie jestem tym mężczyzną i wcale jej nie winię. Ma pełne prawo tak postąpić. Wiesz, jest przecież nadal taka bezbronna - dokończył w formie usprawiedliwienia. Naprawdę opłacało się być bezbronną. Jeśli okazywało się, że kobieta uważana za bezbronną ma kochanka, komentarz brzmiał następująco: „Biedna Ruthie, Avi zdradzał ją na prawo i lewo przez tyle lat. Dobrze, że w końcu znalazła kogoś, kto naprawdę ją kocha i chce się nią zaopiekować. Przecież to samo mogło się przytrafić i naszej Miriam...” Natomiast jeśli analogiczna historia przytrafiła się kobiecie cieszącej się opinią osoby niezależnej i samodzielnej, komentarz brzmiał zgoła inaczej: „Ta dziwka Maggie po wszystkim, co Eryk dla niej zrobił, puściła się z jakimś gojowskim golcem! Nie jest warta nawet czyścić butów naszej Miriam. Mam nadzieję, że w końcu dostanie, na co zasłużyła”. Tak więc, w gruncie rzeczy wszystko sprowadzało się do pozorów, toteż trudno się dziwić, że słuchałam Aviego z mieszanymi uczuciami, biorąc pod uwagę moją niezbyt chlubną przeszłość. Tamtego ranka w samochodzie panowało napięte milczenie. Zastanawiałam się, czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym wiedziała, że Avi jest wolny i osiągalny tamtego dnia, gdy odwiózł mnie z lotniska do hotelu - w dzień szarej metalowej urny. Ale teraz nie miało to już większego znaczenia, bo co się

stało, to się stało i po raz pierwszy w życiu byłam zdecydowana nie stawiać przeszkód na drodze swojego szczęścia.

Delikatnie dotknęłam jego twarzy.

— No więc? — spytał cicho, biorąc mnie za rękę.

— No więc — odparłam wstrzymując oddech

— czego teraz chcesz?

— Ciebie — powiedział, biorąc mnie w ramiona.

— Kocham pana namiętnie, panie Herzog — wymruczałam z twarzą ukrytą na jego szyi.

— Wiesz co, Sommers — odszepnął. — Nie masz monopolu na namiętność.

\* \* \*

Vera machinalnie skubie moją szaro-czarną pikowaną kołdrę i kręci głową w zadumie.

— Na początku naszego małżeństwa twój ojciec odwiedzał mnie co drugą noc. — Milknie na chwilę, żeby zbadać efekt swoich słów. — Twój ojciec jest

— znowu urywa, szukając kolejnego eufemizmu

— uhm, szczerze obdarzony przez naturę. Maggie Sommers nie jest dziewicą. Doświadczyła zarówno szczytów namiętności, jak i najgłębszej rozpacz, i wie, na czym polegają nocne wizyty owych szczerze obdarzonych przez naturę mężczyzn, którzy sprawiają, że kobieta zapomina o całym Bożym świecie. Poza tym Maggie Sommers robiła z Avim takie rzeczy, o jakich Vera nie ma pojęcia. Ale tego było trochę za wiele.

— Nie jestem wcale pruderyjna — ciągnie Vera

— choć nie wyobrażam sobie, żebym mogła robić pewne rzeczy... Wiesz, takie, które robią prostytutki i zboczeńcy. — Jest pewne, że Maggie robiła z Avim takie rzeczy, o jakich Vera nie ma pojęcia. Niemniej



jednak, obraz mamy robiącej to ze szczodrze obdarzonym przez naturę ojcem jest trudny to przełknięcia.

W jej oczach widać cień smutku, gdy próbuje mi wytłumaczyć, dlaczego ojciec nigdy nie pragnął dzieci.

— Uważał, że to mu przeszkodzi w karierze — wyjaśnia — ograniczy naszą swobodę podróżowania i życie towarzyskie. Dlatego nigdy naprawdę nie myślałam o dziecku, póki pewnego dnia nie okazało się, że jestem w ciąży. Byłam uszczęśliwiona. Ostatecznie oczekiwałam dziecka mężczyzny, którego kochałam. Widzisz, w tamtych czasach środki antykoncepcyjne nie były tak łatwo dostępne jak obecnie, a ja nie zgadzałam się na te rzeczy, które zbrodniecy i prostytutki robią zamiast normalnych stosunków, tymczasem twój ojciec był taki wymagający.

Wiedziałam! Chodziło o „te” rzeczy. Ale w tym momencie interesuje mnie coś innego. — Czy pokochał Carę, kiedy się urodziła? — pytam.

— Myślę, że pokochał ją, kiedy trochę wyrosła i zaczęła łąpać z nim kontakt.

— A ja, mamó? Czy kochał mnie, kiedy się urodziłam?

Mama z trudem hamuje łzy. — Kiedy po raz drugi zaszłam w ciążę, wpadł w istną furję, ale co mogłam na to poradzić?

— A ty mnie chciałaś?

— Chyba przede wszystkim chciałam, żeby twój ojciec przestał się na mnie gniewać, odnosić się do mnie tak obojętnie. Czułam się strasznie samotna.

Zrozumiałam. Przez całe dziewięć miesięcy, kiedy nosiła mnie w sobie, czuła się zagubiona i przerażona. Ale Alan też nosił mnie w sobie, i to przez znacznie dłuższy czas, nim przekazał mnie mamie, choć nawet nie poczuł, jak go opuściłam. Teraz już

wiedziała, że ojciec nie dostrzegał mojej obecności, gdy w nim przebywałam, a mama czuła się przeraźliwie samotna, gdy w niej przebywałam. Trudno to nazwać wspólnym startem życiowym.

— A teraz? — pytam cicho.

— Teraz mam tylko nadzieję, że nie zdecyduje się mnie zostawić.

— A jeśli tego nie zrobi, nie odejdzie, to co?

— To zestarzejemy się razem i może znajdziemy jakąś pociechę w tej ciągłości, jaką udało nam się stworzyć.

— A jeśli odejdzie, co wtedy ?

— Spróbuję jeszcze raz — mówi ona, podnosząc się z łóżka.

— Co spróbujesz, mamo? — pytam, odprowadzając ją do drzwi.

Odwraca się. — Gdzie się teraz wybierasz? — pyta, jakby nie słysząc mojego pytania.

— Do Rosyjskiej Herbaciarni, spotkać się z Quincy.. Weźmiemy razem taksówkę?

Mama wkłada futro z tchórzów. — Tak. Ściągam paskiem trencz podbity szopami i zarzucam jej ramiona na szyję, ale ona się odsuwa.

— Kochasz go, tego swojego Izraelczyka w krótkich rękawach?

— Tak.

— W takim razie na pewno sprawi ci ból, więc ciesz się, póki możesz, bo to nie potrwa długo. To nigdy nie trwa długo, choć początki są zawsze dobre.

— Wiesz co, mamo? Lepsze jest wrogiem dobrego.

Patrzy na mnie dziwnym wzrokiem, którego znaczenia nie potrafię przeniknąć. — Doprawdy, Marguerite, bardzo ci się dziwię. To nawet nie jest poprawna angielszczyzna.

## Rozdział 7

Wystrój Rosyjskiej Herbaciarni jest zawsze ten sam. Złota cynfolia od lat owija kryształowe żyrandole, pod zdobionym sztukaterią sufitem zwisają sznury czerwonych i zielonych kuleczek, a ściany głównej sali jadalnej pokrywają od podłogi do sufitu olejne obrazy obramowane migającymi lampkami choinkowymi. Ta dekoracja, zawsze jednakowa, niezależna od przemiennej rytmu świąt i pór roku, jest stałym elementem restauracji, podobnie jak Vincent, szef sali, którego zawsze można znaleźć przy barze przed wielkim, srebrnym spatynowanym samowarem.

— Maggie, *bella* — chrypi teraz gardłowym głosem — zniknęłaś z mojego życia na zbyt długo.

Obdarzając go uściskiem, który normalnie zarezerwowałabym dla ulubionego wuja, gdybym takowego posiadała, odpowiadam: — Tak się cieszę, że cię widzę!

Vincent Rocatello, zwany Jaszczurką, mały i żylasty, z szopą siwych włosów spadających na oczy, ubrany jest w swój zwykły wysłużony czarny smoking, z wąskim czarnym krawatem luźno zawiązanym pod wystrzępionym kołnierzykiem białej koszuli.

— Grayson i Elliot już przyszli. Są nieprawdopodobnie podekscytowani twoją nominacją do Emmy za ten kawałek z Bejrutu — informuje mnie szeptem, nerwowo wysuwając i chowając język. Właśnie temu charakterystycznemu tikowi zawdzięcza swój przydomek.

Patrzę na niego zdębiała. — Jaka znowu nominacja do Emmy?

— Ta, którą dostałaś za materiał o śmierci Joeya. Nie wiedziałaś? Mają to jutro ogłosić.

Nie ma sensu pytać, skąd o tym wie, ponieważ Vincent Jaszczurka bezbłędnie orientuje się we wszystkim, co dzieje się przy każdym stoliku w jego królestwie. Zdumiewający jest jedynie fakt, że dali mi nominację za to, iż tamtej nocy stałam w skrwawionym ubraniu i strugach deszczu gdzieś w pobliżu Sabry i płakałam na oczach dwudziestu milionów telewidzów tuż po tym, jak zginął Joe. Zupełnie, jakbym zaplanowała to wszystko z premedytacją. Jedno nie ulega kwestii: choć Quincy zawsze twierdzi, że w telewizji liczy się wyłącznie jakoś nakręconego materiału, a nie emocje, będzie zadowolona, że zdobyła dodatkową kartę przetargową przed rozpoczęciem negocjacji.

— Gdzie siedzą? — pytam, rozglądając się po sali za dwoma dyrektorami sieci ABN, z których każdy w swoim czasie spędził ze mną parę intymnych chwil — z bardzo odmiennych powodów.

— Odwróć się, stół numer pięć, pierwszy bankietowy po lewej stronie — objaśnia Vincent, szybko kreśląc swoje inicjały pod rachunkiem, który podsunął mu kelner.

— Miejmy nadzieję, że mnie nie zauważą. Nie czuję się na siłach sama stawić im czoło.

Vincent gładzi mnie po pojjczku. — Ja cię obronię, dziecińko.

Widziałam z milion razy, jak Vincent tkwił dyskretnie, acz nieustępliwie za krzesłem Graysona w czasie tych nie kończących się kolacji, podczas których Quincy nicowała każdy punkt kontraktu, a ja z przygnębieniem grzebałam widelcem w stercie blinów, które niezmiennie zostawały nietknięte na talerzu. Jakkolwiek Vincent, obdarzony iście włoskim temperamentem, cieszył się powszechnie opinią Casanovy, jego stosunek do mnie był zawsze opiekuńczy, prawie ojcowski. Mrugał do mnie ukradkiem, kiedy wiałam się na krzesło podczas długich monologów Quincy, wygłaszanych tonem rozkapryszonej małej dziewczynki, w efekcie których Grayson był zawsze bliski apopleksji i nie mógł skosztować kurczaka po kijowsku z podwójnym wiśniowym sosem. Wysuwał moje krzesło i krzepiąco ścisnął mnie za ramię, kiedy Quincy sygnalizowała mi spojrzeniem, że powinnam już odejść od stołu. A potem, stojąc ze mną przy szatni, uspokajał mnie przyciszonym głosem, że wszystko będzie dobrze i rzeczywiście, za każdym razem miał rację — sama nie wiem jakim cudem. Tym razem trąca mnie w bok, żeby zwrócić moją uwagę na jeden z okrągłych stołów bankietowych ustawionych pod długą zwierciadlaną ścianą, przy którym stoi teraz Grayson, ze świeżą białą serwetką zatknietą za brązowy pasek z krokodyłowej skóry i entuzjastycznie macha do mnie ręką. Nie pozostaje mi nic innego, jak opuścić Vincenta, który właśnie obejmuje kolejną klientkę - tym razem już niezupełnie po ojcowsku - i skierować się do stolika numer pięć.

— Oto ona! — wykrzykuje Grayson, wyraźnie nie zdając sobie sprawy, że wygląda jak w fartuszkach — nasza seksbomba z Bejrutu!

Dojrzałam. Obecnie, spotykając tego niemądrego, nietaktownego faceta, nie odczuwam już przymożnego pragnienia, żeby kopnąć go kolanem w obwisły, nieużyteczny członek.

— Dobry wieczór, Grayson — mówię uprzejmie, patrząc w jego zgaszone oczy.

— Maggie — stwierdza Elliot, podnosząc się z miejsca — jesteś jeszcze piękniejsza niż zawsze.

— Jeszcze ładniejsza na żywo niż na ekranie, jeśli to możliwe — przytwierdza Grayson, szczypiąc mnie w policzek.

Elliot James, chłopięcy i uroczy, z przedwcześnie posiwiąłą czupryną spadającą na osłonięte okularami oczy, obejmuje mnie serdecznie. Po paru miłych chwilach odsuwam się i trzymając jedną dłoń na jego ramieniu, drugą odruchowo poprawiam mu trochę przekrzywiony krawat w czerwono-niebieskie prążki.

— Wszyscy mówią tylko o tobie i twojej korespondencji z Bejrutu — mówi, przyciskając do ust czubki moich palców.

— Elliot — wtrąca Grayson, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie — może zamówilibyśmy drinka dla Maggie?

— Szkoda, że nie mogę się zachwycać tym kawałkiem tak samo, jak wszyscy inni — zauważam siadając.

— Szkocką, Maggie? - pyta Grayson, strzelając palcami na kelnera.

Potakuję ruchem głowy.

— Szkoda, że nie dali ci parasolki, miałaś włosy w strąkach. Jedną szkocką i jeszcze jedną wódkę z martini. Elliot?

Elliot potrząsa przecząco głową. — Dzięki tobie wszyscy odczuli, jakie to było potworne. — Bierze mnie za rękę.

- Nikt wtedy nie miał głowy myśleć o parasolkach, Grayson — odpowiadam cicho.
- Do diabła, jak zdołałaś doprowadzić się do takiego płaczu, Maggie? Naprawdę pierwszorzędne ujęcie, jak stoisz tam ociekając wodą, cała zbryzgana krwią. Kurczę, to było dobre - peroruje Grayson, muskając lewym łokciem moją prawą pierś.

Przysuwam się do Elliota.

- Robiła, co czuła - wyjaśnia sucho Elliot. - Nie doprowadzała się do płaczu, tylko po prostu płakała. Grayson śmieje się nerwowo. Ten człowiek niewątpliwie drogo płaci za sprawowaną władzę: może nawet niezdolnością odczuwania prawdziwej przyjemności czy prawdziwego bólu. Ale może to właśnie czyni z niego bezwzględneho, wyrachowanego i bezdusznego profesjonalistę, którym musi być jako szef dyrekcji programów informacyjnych American Broadcast Network.

- Quincy trochę się spóźnia - zauważa, przyciskając prawą nogę do mojej łydki.

Odsuwam się nieznacznie. - Będzie tu lada chwila.

- Cieszę się, że znów będziemy ze sobą współpracować - mówi Elliot serdecznie. - Zrobili mnie naczelnym redaktorem tego magazynu, bo to ja jestem jego pomysłodawcą.

- Nie wiedziałam, Elliot - odpowiadam z niekłamany zadowoleniem. — Gratuluję ci.

- Tak jest. Wymyśliłem go jednej nocy, kiedy okropnie się nudziłem. - Puszcza do mnie oko.

W tym momencie Grayson rozpoczyna długą i nudną tyradę na temat poważnych cięć budżetowych, do dokonania których redakcja programów informacyjnych będzie zmuszona w tym sezonie.

— Jak się miewa Frances? — pytam, ignorując Graysona.

— W porządku, zarabia kupę pieniędzy — odpowiada Elliot z widocznym przygnębieniem.

— To świetnie, bardzo się cieszę. — Kłamię w żywe oczy, bo Frances James jest najbardziej znieawidzoną agentką w całej branży i nikt nie byłby w stanie ucieszyć się niczym, co jej dotyczy, chyba żeby się zdematerializowała.

— Zbija kokosy na łowieniu głów — wtrąca Grayson — ale i tak nie pozwala naszemu chłopczykowi kupować w lecie karmy dla ptaków. Nie stać mnie na okruchy, powiada, te małe nieroby mogą same poszukać sobie jedzenia. — Pęka ze śmiechu.

Elliot, zaczerwieniony po uszy, sięga po wódkę stojącą w posrebrzanej kompotierze wypełnionej pokruszonym lodem. Widzę, jak wychyla kieliszek z nieszczęśliwym wyrazem twarzy, i żałuję, że nie mogę mu jakoś pomóc. Ale dojrzałam. Obecnie, kiedy spotykam wrażliwych, uroczych, udreńczonych i żonatych mężczyzn, nie odczuwam już przemożnego pragnienia, żeby naprawić szkody, jakie przez lata wyrządziły ich żony, bo i tak guzik z tego wychodzi.

— Ale to nie wszystko — kontynuuje Grayson, śmiejąc się do rozpuku. — Któregoś razu jechali autostradą w Los Angeles i Frances zauważyła stertę pustych puszek po oranżadzie na poboczu drogi.

— Urywa, żeby otrzeć załzawione oczy. — Kazała naszemu staremu Ełowi zatrzymać się i je pozbierać, żeby mogła oddać je na złom. Zgadza się, stary chłopie? — I klepie biednego Elliota po plecach.

Lecz Elliot nie wydaje się szczególnie rozbawiony. Siedzi i z bolesną uwagą wpatruje się w swoje dłonie.



A dla mnie nie mniej bolesne jest wspomnienie, że to właśnie z powodu tych ptaków, okruchów, pustych puszek po oranżadzie i wszystkich strasznych upokorzeń, które spotykały go wobec osłupiałych gości podczas eleganckich bankietów, którejs nocy odważyłam się poszukać u niego pociechy.

\* \* \*

W tym czasie pracowałam dla Elliota już od trzech lat, jako dziennikarka w redakcji kryminalnej. Był naczelnym redaktorem wieczornego dziennika. Zawsze poprawiał mi się nastrój, kiedy rano wchodził do pokoju wydania, wymachując rakieta do squasha i przyjaźnie kiwając do mnie ręką. Elliot nigdy nie zapominał mnie pochwalić, kiedy relacja była szczególnie udana, albo zganić, kiedy coś mogło być lepiej zrobione. Jednak niezależnie od jakości dostarczonego przeze mnie materiału, zawsze ofiarowywał mi rano jedną herbacianą różę, jeśli poprzedniej nocy ślęczeliśmy do późna nad jakimś tematem.

Kiedyś - z kimś - musiało się to zdarzyć; był to taki okres w moim życiu. Krótco wcześniej przeprowadziłam się do własnego mieszkania w Greenwich Village, po rozstaniu z Erykiem Ornsteinem i zerwaniu z Brianem Flahertym, i mimo wszystkich wysiłków nie potrafiłam zwalczyć ćmiącego bólu, który stale czułam gdzieś w środku. Jak to zwykle bywa, przez moje życie przewinał się korowód bezimiennych mężczyzn, którzy zawsze pojawiają się, kiedy kobieta jest sama - drinki, kolacje, teatr — ale jeden był nudniejszy od drugiego. Elliot był kimś znajomym, mężczyzną, który rozumiał stresy i obciążenia mojej pracy, mężczyzną, który był na

miejscu dzień w dzień. Zaczęło się od porannych kolegiów, kiedy trzymając nogi na swoim zabałaganionym biurku omawiał ze mną nowe pomysły dotyczące programu albo po prostu plotkował o wspólnych znajomych. Właśnie podczas jednej z owych narad, nim jeszcze zaczął się codzienny młyn, Elliot wspomniał o tym wypadku. Przez chwilę w zamyśleniu mieszał kawę łyżeczką, a potem opowiedział mi, jak którejs zimy, gdy oboje jechali na narty do Vermont, samochód wpadł w poślizg i runął trzydzieści stóp w dół po urwistym zboczu. Spoglądając na mnie znad kubka z kawą, opisywał swoje przerażenie, gdy odzyskawszy przytomność zobaczył wybitą przednią szybę i puste miejsce obok siebie. W pierwszej chwili był zbyt zaszokowany, żeby zrozumieć co zaszło, póki nie wyczołgał się z samochodu i nie znalazł Frances leżącą na zamarzniętej ziemi w kałuży krwi, ze zmasakrowaną twarzą. Oskarżał się, żałował, że sam nie może leżeć tam zamiast niej. Szlochał, krzyczał i pragnął śmierci, nie mogąc sobie darować, że spowodował ten wypadek. Jednak właśnie tego Elliot nie umiał zrozumieć — to był tylko wypadek, nic innego.

Odchyliwszy się do tyłu na krześle, z rękami pod głową, wspominał, jak lekarze poinformowali go, że jego złamana w trzech miejscach noga z czasem się zrośnie, lecz twarz Frances będzie wymagać rozległych zabiegów chirurgicznych, aby odzyskać ludzki wygląd.

Po sześciu operacjach, przeprowadzonych na przestrzeni dwóch lat przez zespół najlepszych krajowych specjalistów, Frances miała już tylko parę ledwo zauważalnych szram, idealnie prosty nos i nieznaczny zeza w jednym oku, co — jak wszyscy mówili — było prawdziwym cudem, ponieważ

brakowało, a w ogóle by je straciła. W tym momencie Elliot przerwał, ukrył twarz w dłoniach i siedział tak przez dłuższy czas. - Żeby było śmieszniej — dodał wreszcie - na parę sekund przed wypadkiem poprosiła mnie o rozwód. To był dla mnie taki szok, że nie zmieściłem się w zakręcie - zakręt śmierci, tak go chyba nazywają.

Po tym wszystkim nie zostało wiele do powiedzenia, ponieważ było już jasne, dlaczego został z Frances i pozwalał się maltretować. Myślałam o tym przez resztę dnia i cały wieczór, i uznałam, że jest jeszcze bardziej przegrany niż ja, co tylko dodało mu uroku w moich oczach. Z chwilą gdy skończyłam montować temat o bezdomnych, który przygotowałam na ten dzień, powzięłam już decyzję. I kiedy Elliot wziął mnie za rękę i spytał niepewnie: - Myślisz, że moglibyśmy razem pójść coś przegryźć, niedaleko twojego mieszkania? - nie wahałam się ani chwili.

- Chętnie - odparłam.

Później w restauracji, nad zupą cebulową i smażonymi panierowanymi kulkami sera mozzarella, zapytał nieśmiało, czy kiedy już skończymy kolację, moglibyśmy ewentualnie odbyć ze sobą stosunek płciowy. I właśnie dlatego, że powiedział to dokładnie w taki sposób - stosunek płciowy, poszłam z nim do łóżka, usilnie starając się spełnić jego życzenie.

Elliot był tak żałośnie nieśmiały i nieprawdopodobnie naiwny - zasłał prześcieradło czystym ręcznikiem, zgasił wszystkie światła, rozbierał się pod kołdrą i używał słowa „pochwa" w odniesieniu do miejsca, w którym usiłował się znaleźć — że naprawdę trudno było nie mieć dla niego cieplejszych uczuć. Tamtego wieczoru dotykał mnie trochę tu i trochę

tam, zupełnie jak dziecko, które z namaszczeniem zlizuje każdą kropelkę lukru, trochę stąd i trochę stamtąd, z wielkiej drewnianej miski. Jednak ani razu nie pozwolił mi się dotknąć, bo faktycznie nie było zbyt wiele do dotykania — Frances już o to zadbała. Mimo to zdołałam jakoś przebrnąć przez tę noc, dokładając wszystkich starań, żeby pobudzić wiotki członek Elliota, aż w końcu zrobiło się późno i musiał już iść. Kiedy wreszcie, wyszorowawszy podłogę w kuchni i wypolerowawszy miedziany czajnik, położyłam się z powrotem do łóżka, przekonałam się, że jednak musiało się to stać, bardzo cicho i bardzo szybko, bo ręcznik był zdecydowanie wilgotny.

Większość nocy spędziłam bezsennie, rozpamiętując słowa Elliota: „stosunek płciowy” oraz „pochwa”, i doszłam do wniosku, że to w nich tkwi sedno problemu. Widocznie nikt go nigdy nie nauczył, że nazwy „pochwa” w ogóle nie powinno się używać, chyba że na sali porodowej, aby określić położenie główki dziecka w trakcie porodu kleszczowego. Nikt go nie nauczył, że nazwą „pochwa” za nic w świecie nie powinno się posługiwać żadne z dwojga ludzi zajętych tym, co nigdy nie powinno być określane jako stosunek płciowy. Zdrzemnąłam się na parę godzin, po czym obudziłam się uderzona nową myślą. Otóż, o ile słowo „cipka” brzmiało z całą pewnością obrzydliwie i wulgarnie, gdy ktoś wykrzykiwał je z okna samochodu uwięzionego w korku ulicznym, było bez wątpienia jedynym słowem nadającym się do użycia w tych chwilach, gdy stosunek płciowy był kochaniem się, co zazwyczaj oznaczało, że warto było się rozbierać. Zabawne, ale to Avi Herzog ostatecznie udowodnił słuszność mojej tezy, ponieważ

jakoś nie miał kłopotów z dostosowaniem słów do okoliczności, mimo że angielski nie był jego rodzimym językiem.

Szybko się okazało, że problem Elliota miał w gruncie rzeczy niewiele wspólnego z nazewnictwem, podobnie jak powody, dla których wpuściłam go do wnętrza swojego ciała, miały niewiele wspólnego z pożądaniem. Było to coś, czego potrzebowałam w tamtym momencie, a kiedy noc przeszła, uznałam, że będziemy mogli o tym zapomnieć i żyć dalej tak, jakby nic się nie stało. Tymczasem, nie wiedząc kiedy, role się odwróciły i Elliot stał się sentymentalny, nie chciał się odczepić. W swoim zapale wierzył, że opieram się jedynie dlatego, iż jest żonaty, choć w rzeczywistości, gdyby nie był żonaty, tamtego wieczoru w ogóle nie wpuściłabym go do' mieszkania.

- Zakochałem się w tobie, Maggie, i nie wiem co robić.

- Dlaczego miałbyś w ogóle cokolwiek robić Elliot?

- Bo nie mogę porzucić Frances.

- Nie chcę, żebyś porzucił ją dla mnie, ale powinieneś serio się zastanowić, czy nie odejść dla własnego dobra. Traktuje cię tak podle.

- Nigdy; pamiętaj, co stało się z jej okiem. Nie mógłbym jej porzucić.

Próbowałam mu pomóc, argumentując spokojnie, że oko za oko może być logiczną zasadą, ale nie oko za życie. To zwyczajnie nie wydawało mi się sprawiedliwe. Ale Elliot nie rozumiał, że moje motywy są czysto bezinteresowne. Kilka tygodni później wszedł późnym wieczorem do pokoju wydania, gdy opróżniałam swoje biurko. Właśnie dostałam przydział na Bliski Wschód.

— Przepraszam — powiedział cicho, wręczając mi herbacianą różę. - Na pewno kiedyś będę żałował, że tak z tobą postąpiłem.

— Ja też przepraszam — odparłam spokojnie.

— Przykro mi z powodu tej całej historii.

I tak było, ale nie mogłam już cofnąć tego, co się stało.

\* \* \*

— Jeśli już mowa o pieniądzach — zauważa Grayson, wciąż jeszcze trzęsąc się ze śmiechu na wspomnienie puszek po oranżadzie — czy to zarząd ma pokryć koszty transportu ciała z Libanu, czy też zajmie się tym wasza redakcja?

Łapiąc się za gardło, głośno chwytam ustami powietrze.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem — odpowiada Elliot chłodno, zauważając moją reakcję.

— I niedobrze, kurka wodna - stwierdza Grayson. - Ostatecznie to wy wysłaliście tam tego biednego sukinsyna, więc powinniście być ubezpieczeni.

Elliot otrząsa się mimowolnie. - O Boże, Grayson.

Nie mogę pojąć, jak można być tak wypranym z ludzkich uczuć, nawet wobec kogoś, kto jest już martwy.

— Jeszcze jedną whisky, Maggie? - proponuje Elliot, patrząc z obrzydzeniem na Graysona.

- Chyba oboje chętnie się po tym napijemy. Kiedy kelner z identyfikatorem „Pedro”, przypiętym do czerwonej kozackiej bluzy, kończy przyjmować zamówienie, pytam cichutko: — Ile dokładnie kosztuje sprowadzenie ciała z Libanu?

- Nie przejmuj się tym, Maggie - mówi Grayson wielkodusznie, obejmując mnie ramieniem - to już problem zarządu. Niech cię o to główka nie boli. Doceniam jednak, że troszczysz się o naszą kondycję finansową, ponieważ każdy dodatkowy wydatek rzutuje na obniżkę płac, do której będziemy, niestety, zmuszeni w tym półroczu.

- Boże święty, Grayson! - woła Elliot na całe gardło. — Tego już za wiele?

- Czeka, Elliot — powstrzymuję go, świadoma, że mój głos podskoczył o ton w górę. - Chcę wiedzieć, ile to kosztuje.

Grayson wzrusza ramionami, odchyła połą marynarki i wyjmuję z kieszonki niewielki notes i długopis. Bez słowa oblicza coś szybko na kartce papieru.

- Orientacyjnie około trzech tysięcy dolarów — oznajmia, zatraskując notes.

Pedro podaje drinki, co szczęśliwie uniemożliwia nam kontynuowanie dyskusji. Korci mnie, żeby zaatakować Graysona, rzucić mu w twarz, że jest gruboskórnym brutalem i pewnie dlatego nie potrafi nawet być w pełni mężczyzną. Wiem jednak, że gdybym pozwoliła sobie na tę przyjemność, już nigdy nie przysyłałabym korespondencji z Bliskiego Wschodu, nie prowadziłabym nowego magazynu publicystycznego, ani nawet najgłupszego programu dla gospodyń domowych.

- Macie jeszcze jedno wyjście - podsuwam, spoglądając znacząco na Elliota.

A to jakie, moja pięknowłosa Maggie? - pyta Grayson figlarnie.

Choć zapewne bezpieczniej byłoby biec pod gradem kul w Bejrucie niż bawić się w gry wojenne z jednym prymitywnym telewizyjnym bossem, który jest akurat w trakcie dokonywania przykrych, lecz

niezbędnych cięć budżetowych, brnę dalej: - No wiesz, Grayson — mówię ze słodkim uśmiechem — mógłbyś zażądać odszkodowania od frakcji El Fatah, bo to jeden z jej członków wystrzelił granat, który zabił Joego. Albo, gdyby zarząd ABN miał jakieś opory przed negocjowaniem z organizacją terrorystyczną w rodzaju El Fatah, mógłbyś się zwrócić bezpośrednio do Libijczyków czy Syryjczyków — bo to oni zaopatrują OWP w broń — i zażądać wprost, żeby zwrócili ABN koszty przetransportowania ciała Joego z Libanu. Ostatecznie to jeden z ich granatów urwał mu głowę.

— I w tym momencie zaczynam płakać, co wprawia Graysona w takie zmieszanie, że przewraca szklanekę z wodą, a Pedro spiesznie podbiega osuszyć zalany obrus i zabrać nawilgły koszyk z pieczywem.

Raoul - tak wynika z identyfikatora przypiętego do jego czerwonej kozackiej koszuli — podaje Graysonowi drugą serwetkę i odstepuje na bok, żeby przepuścić Quincy Reynolds. Ta wygląda szalowo w swoich ciemnobrązowych norkach, ale wyraz jej twarzy nie wróży nic dobrego.

- Co się dzieje, Maggie? - pyta mnie prosto z mostu.

— Nic się nie dzieje. Po prostu Grayson dotąd nie zgłębił znaczenia słowa „takt” - odpowiada Elliot wstając, żeby cmoknąć Quincy w policzek.

- Nic mi nie jest, Quince - mówię ocierając oczy.

— Chrzanią i tyle — stwierdza Grayson, również podnosząc się z miejsca. — Facet był ubezpieczony na minimalną kwotę, więc po prostu się zastanawiałem, jak uniknąć niepotrzebnych kosztów, żeby nie narażać naszych ludzi z wizji na horrendalną obniżkę płac.



— Odlicz te trzy tysiące dolarów z mojego honorarium, Grayson — mówię przez łyżę. - Ja zapłacę.  
— No cóż - stwierdza Quincy, sadwiąc się obok Elliota - przynajmniej możemy być spokojni, że Graysonowi nie grozi zawał, ponieważ nie ma serca.  
— Za to mam szansę na guz mózgu, w przeciwieństwie do niektórych znanych mi osób — odcina się Grayson, patrząc prosto na Elliota.  
— Ja już dawno wybrałem wieńcówkę — cedzi Elliot. — Póki dla ciebie pracuję, mogę przebierać w chorobach wedle uznania i mój wybór padł właśnie na wieńcówkę.  
— Dobry strzał, Elliot - rechocze Grayson.  
— A teraz nie mówmy już niczego, co mogłoby popsuć nastrój naszej małej uroczystości.  
— Uroczystości? — pytam niewinnie.  
— Dostałaś nominację do Emmy, kochanie  
- oznajmia Quincy. - Zamierzałam ci powiedzieć.  
— Skąd się dowiedziałaś? — pyta Grayson wyraźnie zawiedziony.  
— Mam swoje źródła - odpowiada ona, puszczając do mnie oko. Vincent.  
— Co pijesz, Quincy?  
— Wódkę, dziękuję — odpowiada Graysonowi, gmerając w torebce.  
— Co tam słyszeć? — pyta Grayson zacierając ręce.  
Quincy wreszcie znajduje papierosa i wygodnie sadwi się na krześle. - Nic szczególnego, poza tym, że nominacja Maggie przychodzi w doskonałym momencie, akurat kiedy mamy negocjować jej nowy kontrakt.  
Elliot nachyla się do mnie i szepcze: - Cały czas o tobie myślałem, Maggie.

— Szykują się poważne cięcia budżetowe — odpowiada Grayson — chyba już o tym słyszałaś? To wprost fatalny moment na negocjacje.

— Tak czy siak, nas to nie dotyczy — stwierdza Quincy, wypuszczając cienką smużkę dymu. - Maggie ma dostać nagrodę Emmy — już po raz drugi — a to oznacza znacznie wyższe honorarium niż dotąd, za program, który - jak mi przypadkiem wiadomo — ma budżet wysokości sześciuset tysięcy dolarów od odcinka.

— Suma, o której mówisz, musi pokryć wszystkie wydatki — od a do z. Ściągamy nawet dwóch prezenterów z wieczornego wydania do pomocy prowadzącemu, żeby uniknąć lansowania nowych talentów.

Poklepując dłoń Elliota, odpowiadam przyciszonym głosem: — Cieszę się, że cię widzę. Wyglądasz znakomicie.

Elliot znacząco ściska moją dłoń. — Dobrze, że wróciłaś do Nowego Jorku. Bardzo mi ciebie brakowało. Czy moglibyśmy spędzić trochę czasu razem?

— Szczerze mówiąc, Grayson — zauważa Quincy, odsuwając się nieco, żeby zrobić miejsce dla kelnera, który właśnie podaje wódkę — poważnie się zastanawiam, czy Maggie nie powinna odejść z ABN. Obawiam się, że jej umiejętności nie są tam należycie wykorzystywane.

— O odejściu z ABN nie może być mowy i świetnie o tym wiesz — wybucha Grayson. — To jej dom, a poza tym nikt nie zaoferuje jej lepszych warunków.

— Nie jestem tego pewna, Grayson — odpowiada Quincy, od niechcienia bawiąc się słomką. — Skoro mogą ją dotknąć te poważne cięcia budżetowe, o jakich wspomniałeś...

— Słuchaj no, Quincy, nie wiemy nawet, czy Maggie faktycznie dostanie tę nagrodę. Ma ostrą konkurencję.

— Elliot — odpowiadam szeptem — jestem związana z kimś, kto mieszka w Izraelu i marzę tylko o tym, żeby tam wrócić.

— Kochasz go?

— Tak.

— Dostanie ją, Grayson, i ty o tym wiesz - odpowiada Quincy stanowczo.

— Nic podobnego - zaprzecza Grayson powoli.

- Weźmy choćby reportaż NTC o tym biednym kalece z Queens, którego nie było nawet stać na wózek inwalidzki... Naprawdę trafia w czułe struny widzów. Przypomnij sobie tylko, jak sąsiedzi zebrali się do kupy, wyciągnęli go z tej taczki, w której żona go pchała, i zrzucili się na nowoczesny wózek z elektrycznym napędem. Naprawdę wzruszające, psia krew.

— To był dobry kawałek - przyznaje Quincy

- ale nie można go nawet porównać ze wstrząsającą relacją o śmierci członka własnej ekipy na froncie.

- Energicznym ruchem gasi papierosa.

— Nie jestem szczęśliwy - zwierza mi się Elliot smutno. - Sprawy z Frances układają się coraz gorzej. Mam napady depresji, sam już nie wiem, co ze sobą zrobić.

Dotykam jego policzka. - Strasznie przykro mi to mówić, ale chyba najlepsza rzecz, jaką mógłbyś zrobić, to odejść od niej i znaleźć kogoś, z kim mógłbyś być szczęśliwy.

— Znalazłem kiedyś taką osobę, ale wtedy nie umiałem odejść. Wydawało mi się, że postępuję właściwie.

— Problem polega na tym, że kamera nie zarejes-

trowała momentu, gdy trafił go ten odłamek

— stwierdza Grayson.

— Jesteś chamem bez serca! - wykrzykuje Quincy.

— Po co te epitety — broni się Grayson jękliwie.

— Zapomniałam, że oceniasz reportaże wyłącznie w oparciu o materiał zdjęciowy — mówi Quincy z odrazą.

— Och, Elliot, nadajesz zbyt wielkie znaczenie temu, co było między nami — odpowiadam cicho.

— I znowu mogłoby być, Maggie — nalega Elliot

— gdybyś tylko dała mi jeszcze jedną szansę.

— Mam dla ciebie wiele sympatii, Elliot, ale tamto skończyło się nieodwołalnie. Przykro mi.

— Nie ma sensu owijać w bawełnę, Quincy. Byłbym znacznie pewniejszy wygranej, gdyby urwało mu głowę na oczach widzów.\*To nazywam dobrym materiałem.

— Grayson! — Quincy chwyta się za gardło.

— Chryste, Daniel! — wybucha Elliot.

— Czy ja dobrze słyszałam? — pytam spoglądając po nich.

Quincy jest oburzona, Elliot wstrząśnięty, a ja zwyczajnie rozwścieczona.

— Najpierw próbujesz się wykręcić od płacenia za przewóz ciała Joego do domu - mówię, patrząc Graysonowi prosto w twarz — a potem narzekasz, że materiał filmowy nie był dostatecznie krwawy. - Milknę, żeby nabrać tchu. - Pozwól, że ci przypomnę, jak sprawy wyglądały tamtego dnia, bo chyba nie dosłyszałeś: kamera nie była włączona — zapewne przez naszą głupotę - a powtórzenie ujęcia nie wchodziło w grę, bo Joe nie miał już głowy i trudno było go prosić, żeby jeszcze raz ustawił się do zdjęcia.

— Znowu urywam, żeby wziąć głęboki oddech.

Elliot przykrywa dłonią moją rękę. - Przestań, Maggie. Nie warto.

- Nie - mówi Quincy twardo. - Pozwól jej mówić.

Dziękując jej spojrzeniem, podejmuję: - To był zupełnie zwyczajny dzień, taki jak zawsze w rejonie walk koło obozów, i właśnie pomogłam palestyńskiemu chłopczykowi wygrzebać jakieś buty ze sterty gruzów, bo jego dom został zburzony, a potrzebował butów, żeby dojść do szpitala w Gazie, gdzie leżała jego siostra, która straciła obydwie nogi. - Grayson wygląda tak, jakby robiło mu się niedobrze, ale mam to w nosie. - Ringler zajmował się w tym czasie trzema Izraelczykami - kojarzysz Ringlera, Grayson, naszego kamerzystę, który został ranny dziesięć dni wcześniej, ale nie przerwał pracy ani na moment? A więc był przy tych trzech żołnierzach - dwóch było rannych, jeden dość ciężko w głowę i bardzo krwawił, a drugi miał złamaną nogę. Widzisz, lekarze próbowali ratować innego żołnierza, który doznał wstrząsu. - Łzy ciekną mi po twarzy, wpływają do ust. - Ekipa irlandzka miała własne kłopoty, bo ich sprawozdawca dostał hysterii i wcale go nie winię. Był nowy i chwilę wcześniej po raz pierwszy zobaczył buldożer, jeden z tych, które codziennie oczyszczają teren spychając ciała zabitych - tego dnia tylko sto trupów - do wielkiego rowu, żeby ci, co przeżyli, mogli je zidentyfikować.

Quincy trzyma mnie za rękę, jej szczęki są zaciśnięte, a oczy wilgotne.

— Wszystko powoli zaczynało się uspokajać. Siedziałam obok Joego i wmawiałam sobie, że ten dzień mamy już prawie za sobą, kiedy nagle rozległ się huk, wrzaski i krzyki, a potem chyba dostałam szoku albo coś w tym rodzaju, bo obok siebie

zobaczyłam już tylko strzęp skrwawionego mięsa. Ale to był właśnie ten wystrzałowy materiał zdjęciowy, który tak uwielbiają widzowie, więc pewnie nie powinnam była się tak cholernie zdemoralizować.

— Maggie, dosyć — mówi Elliot.

— Dla kogo? — pyta Quincy. — Dla ciebie czy dla niej? Ona tego potrzebuje, zostaw ją w spokoju. Grayson milczy, z twarzą schowaną w dłoniach.

— Rzecz w tym, Grayson — mówię, kładąc mu dłoń na ramieniu — że nie jestem nawet pewna, czy powinnam przyjąć tę nagrodę, jeśli ją dostanę, bo to ciągle za dużo mnie boli i jeśli mam być zupełnie szczerą, wcale nie zrobiłam tego nagrania dla ABN, ale dla Joego, Ringlera i siebie samej. Chciałam, żeby wszyscy gdzieś tam — wiesz gdzie, Grayson: tam, skąd pochodzą te twoje wskaźniki oglądalności - zobaczyli, jak absurdalny i pokręcony jest nasz świat i jak, biedny Joe przypadkiem dostał się w sam środek tego wszystkiego, a ja przypadkiem byłam tuż obok, z mikrofonem w ręce i na wprost kamery, ale daję ci słowo, Grayson — już nie mówię, ale szlocham rozpaczliwie — na pewno nie zrobiłam tego dla ciebie ani dla ABN.

Quincy ściska mnie. Elliot wyciąga chustkę i głośno wydmuchuje nos. Raoul i Pedro beznamiętnie wycierają stół i zabierają mokry koszyk z pieczywem, bo Grayson znów niechcący potrącił szklanekę z wodą. Elliot pociąga haust wódki i czeka, żeby Grayson coś powiedział - cokolwiek, byle tylko rozładować napiętą atmosferę. Quincy zapala kolejnego papierosa i mruga do mnie porozumiewawczo. Grayson pochrząkując wyciąga przemoczoną serwetkę zza brązowego paska z krokodylowej skóry, rzuca ją na stół, a potem patrzy na mnie.

- Właśnie to najbardziej w tobie cenię, Maggie: twoje doskonałe wyczucie chwili.
- To ty masz doskonałe wyczucie chwili — replikuje Quincy. - Sam zaczęłaś to wszystko. Po co zaczynałaś dyskusję o kosztach przewozu ciała?
- Wiesz, Grayson - zaczyna Elliot - ona ma rację. Powinieneś myśleć o ludzkiej...
- Zamknij się, Elliot - prycha Grayson.
- Moim zdaniem — upiera się Elliot - życie to coś więcej niż rachunki.
- Ktoś cię pyta? - mówi Grayson ze złością.
- Nikt mnie nie musi pytać. To ja go tam wysłałem. Pamiętaj, że to moja redakcja ponosi za to odpowiedzialność.
- Szkoda, że wcześniej o tym nie pomyśleliście. Nie trzeba było wysłać ekipy tam, gdzie można dostać w czapę.

Na twarzy Elliota maluje się wyraźna przykrość. - Zastanawiałem się nad tym bardzo<sup>^</sup>długo, ale nie było wyboru. Ja przynajmniej nie lamentuję, że kamera nie była włączona, kiedy zdarzyło się to nieszczęście.

- Słuchaj no - mówi Grayson podniesionym głosem. - Pracuję w telewizji. Nie jestem pielęgniarzką ani psychologiem, ani przedszkolanką, ani szefem lokalnej rozgłośni na jakimś zadupiu. Zawsze będę zabiegać o najlepsze ujęcia, najwyższą oglądalność, najwięcej nagród i maksymalny zysk, bo inaczej firma splajtuje, a wtedy ty, Maggie i wszyscy inni stracą pracę, ze mną włącznie. - Przeszywa Elliota gniewnym wzrokiem.

W odpowiedzi Elliot pociąga długi łyk wódki, ociera usta dłonią i, wpatrując się ze skupieniem w stół, odpowiada powoli: - Jeśli tak się sprawy mają, jeśli uczucia innych nic dla ciebie nie znaczą,

to możesz mnie skreślić, wziąć tę całą forszę i wsadzić ją sobie w dupę.

— Ciekawe, gdzie się zaczepisz na początek. U swojej żoneczki?

— Słuchajcie, dajcie spokój tym głupstwom - wtrącam, kładąc dłoń na ramieniu Elliota. Nie chcę, żeby się zagalopował i rzucił pracę, przez co stałby się całkowicie zależny od swojej jędzowatej żony.

— Maggie, skarbie — mówi Grayson, zdejmując moją dłoń z ramienia Elliota — jesteś zdenerwowana, Elliot jest zdenerwowany, wszyscy jesteśmy zdenerwowani.

— Wiecie co, najlepiej zmienmy temat — proponuje Quincy. — Jak myślisz, Grayson? Wrócimy do tego później, kiedy wszyscy już trochę ochłonimy.

— Bardzo rozsądny pomysł, Quincy. Chcę tylko, żeby moja Maggie wiedziała, że dbam o nią jak o członka własnej rodziny - i faktycznie nim jest, tak samo jak wszyscy inni pracownicy ABN — mojej nadzwyczajnej małej rodzinki. Wierz mi, Maggie, nie spałem po nocach, kiedy byłaś w Libanie, a potem, kiedy zdarzyła się ta straszna tragedia i nie mogłem już niczego odrobić, zacząłem się zastanawiać, jak zdyskontować to, co się stało, na użytek nas wszystkich — naszej małej rodzinki — i twojej kariery. Myślałem i o tym, żeby zrobić coś dla biednego Joe — powołać jakiś fundusz, czy coś w tym rodzaju. Nie jesteśmy pozbawieni ludzkich uczuć, ale zależało mi również na możliwie najlepszym ujęciu, żeby moja Maggie mogła zdobyć Emmy dla swojej rodzinki.

— Ostrzegam, że wszystko słyszałam — przerywa mu Quincy.

Elliot zaczyna coś mówić. — Grayson...



- Nie, czekajcie - wtrącam. - Wróćmy do tego, co Grayson mówił o funduszu dla uczczenia pamięci Joego.

Grayson, przykro zaskoczony, patrzy na mnie ze zbaraniałą miną, ale tylko przez chwilę. Momentalnie odzyskując utraconą równowagę, rozciąga usta w uśmiechu i serdecznie klepie mnie po ręce. — Moja bystra mała dziewczynka, zawsze trzeźwa, zawsze przytomna. No cóż, może należałoby ufundować stypendium jego imienia dla studentów wydziału audiowizualnego New York University. — No i proszę, widzicie sami — oznajmiam z uśmiechem. - Grayson jednak ma serce!

— Gorzej z mózgiem — mamrocze Elliot niedosłyszalnie.

- Czy teraz zgodzisz się przyjąć Emmy, jeśli wygrasz? — pyta Grayson.

— Nie jestem pewna - odpowiadam.

- Wiesz, Grayson, dobrze rozumiem uczucia Maggie - mówi Quincy spokojnie. - Czemu nie mielibyśmy zjeść spokojnie kolacji i odłożyć rozmowy o kontraktach, nagrodach i tym podobnych rzeczach? Chciałabym wpięrow porozmawiać z Maggie.

— Bzdura — Grayson purpurowieje. — Chcę sfinalizować sprawę tego magazynu publicystycznego, a Maggie jest naszą najlepszą kandydatką.

- Odpreź się, Grayson - rzuca Quincy przyjaźnie. - Nie pali się, a zresztą chyba i tak nie będzie cię stać na cenę, którą ustaliłam.

Decydująca chwila nadeszła. Podstawowe reguły gry były ustalone, gracze zajęli wyznaczone pozycje, od tej pory uprzejmości odkładano na bok i każde słowo miało być traktowane serio. W oczekiwaniu na zbliżający się pojedynek wiercę się niespokojnie

na krześle, łamię zapałki na maciupeńkie kawałeczki i układam z nich domki na obrusie. Vincent ustawił się już za Graysonem. Mrugając do mnie, rozściela mu na kolanach świeżą białą serwetkę. — Słuchaj, Quincy - mówi Grayson, odwracając się na moment, żeby przeszyć Vincenta wściekłym wzrokiem — nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana. Niewykluczone, że uda mi się zaoszczędzić na czym innym i uniknąć obniżki płac.

— Dla mnie kurczak po kijowsku — zamawia Quincy jakby nie słysząc.

— Ja wezmę bliny - dodaje. Już z góry wiem, że nie zjem ani kęsa.

— A ja ciebie — dopowiada szeptem Elliot.

— Ja też wezmę kurczaka po kijowsku, z podwójną porcją sosu wiśniowego — mówi Grayson kwaśno. - I przestań za mną sterczeć, Vincent. Działasz mi na nerwy.

Quincy zaczyna już tokować głosem małej rozkapryszonej dziewczynki, kiedy Elliot decyduje się na boeuf strogonoff.

— Nie chciałabym narażać cię na nieporozumienia z członkami zarządu. - Uśmiecha się czarująco, jej zielone oczy błyszczą.

— Pozwól, że sam się będę martwić o swój zarząd

- odpowiada Grayson opryskliwie.

Quincy rzuca mi znaczące spojrzenie i mówi dalej:

- Nie jestem nawet pewna, czy Maggie w ogóle zgodzi się poprowadzić ten magazyn, jeśli będzie się to wiązać z koniecznością zostania na Bliskim Wschodzie. Ostatecznie siedziała w Libanie pełne dwa lata. Może przyszedł czas, żeby wróciła do domu i skończyła z obijaniem się po świecie.

Elliot wymownie spogląda w górę, a ja składam usta do słów „dziękuję”, wdzięczna za jego milczenie.

- Nowy Jork czy Tel Awiw, i tak nie będzie obsługiwać wojny. Mówimy o zupełnie innej pracy. Dotychczas siedziała w rejonie walk. Z tym już koniec. Odtąd będzie robić tylko tematy lekkie, łatwe i przyjemne: wywiady z mężami stanu, głowami państw i tak dalej. Jeśli chodzi o politykę, to by było na tyle. Ale oczywiście chciałbym, żeby pozostała w Izraelu, bo jest najlepszą korespondentką, jaką mamy w tym rejonie. Telewizjowicze zdążyli nabrać do niej zaufania.

Quincy kręci głową z powątpiewaniem. - Właśnie w tym cały szkopuł, Grayson. Sądzę, że byłaby skłonna przyjąć tę pracę, ale tylko wtedy, gdyby mogła pozostać w Nowym Jorku. — Odwracając się ku mnie, pyta: - Czy zgodziłabyś się wrócić na Bliski Wschód?

- Bo ja wiem? — odpowiadam posłusznie, unikając wzroku Elliota.

- Sam widzisz, Grayson - stwierdza Quincy.

— Jeśli Maggie ma wątpliwości co do powrotu, to nie ma sensu dyskutować o jej udziale w tym programie. Sądzę, że powinniśmy z tym poczekać. Teraz naprawdę nie ma sensu o tym rozmawiać.

- Słuchaj, Maggie - mówi Grayson, pochylając się do przodu. - Rzecz w tym, że jesteś nam znacznie bardziej potrzebna na Bliskim Wschodzie niż tu, w Nowym Jorku. Do pracy w dzienniku mogę wziąć pierwszą lepszą osobę. Początkowo myślałem o znacznej obniżce pensji, ale niewykluczone, że zmienię zdanie, jeśli zgodzisz się tam wrócić. Co ty na to, Mags?

- Nie sądzą, żeby to było możliwe - wyręcza mnie Quincy.

- Maggie - naciska Grayson, ignorując ją

— dla mnie?

Wzruszam ramionami.

— No więc, zgoda - śmieje się Grayson nieszczercze. - Wygrałaś. Takie samo honorarium jak dotychczas i żadnych cięć.

Elliot parska śmiechem. — Coś mi się zdaje, że niezupełnie zrozumiałeś, o co chodzi w tej rozmowie. Wszyscy przy tym stole grali nieczysto, na szczęście jednak najlepszy z graczy był po mojej stronie — w tej grze Quincy Reynolds nie miał sobie równych.

— Ktoś cię pytał? — warczy Grayson.

— Nikt — odpowiada Elliot zmęczonym tonem

- ale jestem naczelnym redaktorem tego programu i bardzo uważnie słuchałem wszystkiego, czego nie powiedziała Quincy Reynolds.

— Czy przyjmiesz Emmy, jeśli wygrasz? — pyta ponownie Grayson, w ogóle nie zauważając sugestii Elliota.

— To nie jest karta przetargowa - uprzedza mnie Quincy, ostrzegawczo kładąc dłoń na mojej ręce. Vincent wraca do naszego stołu. - Niestety, boeuf strogonoff się skończył, panie James, ale mamy znakomity stek — zwraca się do Elliota.

I, bezgłośnie poruszając wargami, dodaje pod moim adresem: — Przyjmij Emmy.

— Dlaczego? — pytam również niedosłyszalnie.

— Nie mam zamiaru się o to targować. Po prostu chciałbym wiedzieć, na czym stoimy — broni się Grayson, rzucając złe spojrzenie na Vincenta.

— Przejdź już do konkretów, Quincy, dobrze?

— mówi Elliot. — Tak, wezmę stek.

— Bo on by tego chciał — odpowiada mi Vincent głośno.

— O czym ty mówisz, do licha? — wybucha Grayson.

- Quincy mówi teraz tak cicho, że Elliot musi się nachylić, żeby dosłyszeć jej słowa. -  
Dwudziestoprocentowa podwyżka pensji plus premia w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów na koniec pierwszego półrocza - jeśli program utrzyma się na antenie  
- a potem kolejna piętnastoprocentowa podwyżka pod koniec pierwszego roku, w razie przedłużenia kontraktu - i Maggie pojedzie na Bliski Wschód.  
- Wykluczone! — ryczy Grayson.  
- Skąd wiesz, że chciałby tego? - pytam Vincenta.  
- Uprzedzałam, że lepiej będzie odłożyć całą tę dyskusję - Quincy uśmiecha się do Pedra, który stawia przed nią parujący talerz z kurczakiem po kijowsku.  
- Bo był Włochem - odpowiada Vincent cicho.  
- Jestem pewien, że życzyłyby sobie tego.  
- Do wszystkich diabłów, czy ktoś mi wreszcie powie, co się tu dzieje? - wścieka się Grayson.  
- Kto był Włochem?

Quincy wbija widelec w swojego kurczaka i mruczy:

- Pyszności - gdy struga masła wycieka na dziki ryż. Raoul odkorkowuje butelkę białego wina i nalewa parę kropel do kieliszka Elliota. Elliot parokrotnie okręca kieliszek w dłoniach. - Bardzo dobre, ale trochę za mało schłodzone. - Raoul wkłada butelkę z powrotem do kubelka z lodem.  
- Valeri - odpowiada Vincent. - Joe Valeri był Włochem.  
- Co ma piernik do wiatraka? Mówimy o honorarium Maggie. A tak w ogóle, to mam już dość twojego natręctwa, Vincent. Zawsze wtrącasz się do rozmowy, kiedy próbuję załatwić interes. To się powtarza od lat!

Wraca Pedro z moimi blinami i kurczęciem po kijowsku z podwójnym wiśniowym sosem — dla

Graysona. Stojąc z boku czeka, aż Raoul poda Elliotowi stek z papryką.

Quincy przyciska serwetkę do ust. - Czy twój stek jest dostatecznie soczysty, Elliot?

- Doskonały - odpowiada tamten, krojąc mięso.

Grayson, pogrążony w posepnych rozmyślaniach, machinalnie miesza widelcem sos wiśniowy.

- Zgoda, Quincy - odzywa się niespodziewanie, gwałtownie upuszczając widelec i ochlapując sosem cały przód swojej niebieskiej koszuli. - Dam jej dziesięcioprocentową podwyżkę plus premię w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów pod koniec pierwszego roku, a potem następną dziesięcioprocentową podwyżkę, jeśli program będzie nadal emitowany, ale ma zostać w Izraelu.

- Nie wchodzę - odpowiada Quincy, przełykając kawałek kurczęcia. - Popatrz, co zrobiłeś ze swoją koszulą.

Elliot przewraca oczami. - Ale z niej numer

- szepcze.

- A co z tym funduszem dla uczczenia Joego?

- pytam, nie zwracając uwagi na Elliota. Grayson usiłuje oczyścić poplamioną koszulę serwetką zmoczoną w wodzie mineralnej. — Tak, tak, tak - odpowiada niecierpliwie - powołamy fundusz stypendialny imienia Joe Vatucciego.

- Valeriego - poprawia go Vincent półgłosem, mrugając do mnie porozumiewawczo.

- Dlaczego nie jesz blinów, Maggie? - pyta

Elliot.

- Przyjmę Emmy, jeśli ją zdobędę - mówię, patrząc tylko na Vincenta - i wrócę na Bliski Wschód, jeśli koniecznie nalegasz.

Vincent odchodzi z uśmiechem na twarzy.

- Ale z ciebie numer - mruczy zdziwiony Elliot.  
- No więc, jak? - pyta Quincy z uśmiechem.  
— Zgadzasz się na moje warunki?  
Prawie nie poruszając wargami, Grayson cedzi:  
— A jeśli nie?  
- Pójdę gdzie indziej. - Posyła mu jeszcze jeden czarujący uśmiech. - Jutro z samego rana.  
Grayson uderza otwartą dłońią w stół. - Umowa stoi - mówi żałośnie. - Mam nadzieję, że obiad będzie wam smakował, bo ja nie dam rady nic przełknąć. - Wstaje od stołu.  
Elliot woła za nim: - Zaraz przyjdę, Grayson!  
— Zwracając się do mnie, podejmuje jeszcze jedną próbę. - Mam mieszane uczucia co do współpracy z tobą, skarbie. Żal mi, że nie zostajesz tutaj, a równocześnie wiem, że program na pewno zyska na twoich korespondencjach z Bliskiego Wschodu.  
— Całuje mnie w czoło. — Zmień zdanie, Maggie. Przynajmniej przemyśl to sobie.  
- Och, Elliot - odpowiadam miękko. - Chcę, żebyś był szczęśliwy, naprawdę, ale nie mogę ci pomóc. Nic by z tego nie wyszło.  
- Elliot! - grzmi Grayson.  
- Już idę, Gray - odkrzykuje Elliot, śpiesznie podążając za nim.  
Nareszcie zostajemy same. Quincy zamawia kawę.  
- Uff - oddech z ulgą. - Nie poszło lekko, co? A ty myślisz, że nie jestem od nikogo zależna.  
— Parska śmiechem.  
- Jesteś niesamowita. A teraz co?  
- Teraz musimy się spotkać jeszcze jeden raz, żeby podpisać wszystkie potrzebne papiery, ostatecznie sfinalizować sprawę i dostać wiosenny grafik. Pierwsza emisja magazynu przewidziana jest na pierwszego marca.

— Naprawdę się cieszę na tę robotę.

Quincy ma zafrasowaną minę. — Czy dobrze zrobiłam, że wynegocjowałam twój powrót do Izraela?

— Czemu to mówisz?

— Przede wszystkim dlatego, że nie jesteś pewna swoich uczuć do tego generała.

— W gruncie rzeczy, jestem ich najzupełniej pewna, Quincy. Nie wiem tylko, co o nim myśleć, bo nie mieści się w żadnej znanej mi kategorii.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nie jest podobny do nikogo, kogo dotąd spotkałam i chwilami boję się, że mnie rzuci. Śmieszne, ale niedawno rozmawiałam o tym z mamą.

— Rozmawiałaś z nią o tym, że Avi może cię rzucić?

— Nie. Rozmawialiśmy o ojcu. Mówiła, że nie przeżyje, jeśli ją porzuci. Okropnie się rozłościłam, bo była taka beznadziejnie, żałośnie słaba. Miałam ochotę nią potrząsnąć, uświadomić jej, że nie przestanie być odrębną istotą, nawet jeśli on odejdzie.

— Ale ona nie jest odrębną istotą. Z nim, czy bez niego.

— Wiem, i to jest właśnie najsmutniejsze. Co prawda, chwilami sama nie jestem pewna, jak to jest / . tą moją odrębnością. Czasem wydaje mi się, że nie przeżyłabym utraty Aviego.

— Ale oczywiście przeżyłabyś, i wiesz o tym. Cierpiałabyś, ale ludzie potrafią znieść nawet najbardziej niewyobrażalny ból. — Milknie na chwilę. - Tak jak ja.

Wyciągam rękę i dotykam jej dłoni. — Zapomniałam, Quince. Przepraszam.

Ona chrząka nieznacznie. — Dzięki Bogu, czasami sama zapominam.



Milczymy przez chwilę, a wreszcie Quincy pyta: — Poza tym, czemu właściwie miałby cię rzucić, Maggie?

— No wiesz, dla któregoś z tych doniosłych powodów, dla jakich mężczyźni porzucają kobiety. Mogą go raptem opaść gwałtowne wyrzuty sumienia wobec żony albo któregoś ranka wstanie z łóżka i zwyczajnie stwierdzi, że ma dosyć. Sama nie wiem. Czy wszystko musi zawsze mieć logiczną przyczynę?

Quincy się uśmiecha. - Wiesz, kiedy zakochałam się w Danie i przeżywałam takie rozterki jak ty teraz, starałam się skupić na jakimś jego nawyku, który doprowadzał mnie do białej gorączki.

— Już tego próbowałam, z tymi jego idiotycznymi krótkimi beżowymi skarpetkami.

Quincy parska śmiechem — To brzmi fascynująco. Czy naprawdę je nosi?

— O tak, to tamtejsza tradycja. Izraelczycy uważają, że skarpetki powinny pasować do koszuli, a ich koszule są z reguły okropne. Więc próbowałam myśleć tylko o tych beżowych skarpetkach.

— Nie jestem pewna, czy słusznie przypięłaś się akurat do tego. Mężczyźni, którzy noszą fantastyczne skarpetki, jako mężowie są przeważnie do niczego.

— Gdzie to wyczytałaś?

— To Raport Quincy Reynolds — odpowiada z uśmiechem. - W dodatku oparty na osobistych doświadczeniach. Mój pierwszy mąż nosił czarne wełniane podkolanówki, naprawdę bardzo eleganckie, a popatrz tylko jaki był z niego skurwysyn.

— I tak guzik z tego wyszło, bo kiedy próbowałam z nim skończyć pod pretekstem tych skarpetek, przechytrzył mnie.

Quincy otwiera szeroko oczy. — Kiedy próbowałaś z nim skończyć pod pretekstem skarpetek?

— Nad Morzem Martwym — odpowiadam z całą powagą.

Quincy kręci głową. — Grayson miał rację: twoje wyczucie chwili jest zadziwiające.

— Muszę lecieć, Quincy. Mogłybyśmy już wyjść? Idziemy razem Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą, rozglądając się za taksówką.

— Nie musisz się tak śpieszyć. Twój generał ma dzwonić dopiero o północy.

Taksówka z piskiem opon zatrzymuje się o parę metrów przed nami. — Wsiadaj, Quince — mówię raptem. — Mam ochotę trochę się przejść. Muszę sobie coś przemyśleć.

— Co takiego? — pyta ona z ręką na klamce. Marszcząc nos odpowiadam: — Och, sama nie wiem. Może beżowe skarpetki.

\* \* \*

Jękliwe tony arabskiej muzyki płynące z pobliskiej restauracji niemal zagłuszały beczenie owiec idących poboczem drogi. Avi zaparkował w pewnej odległości od budynku, w którym mieściła się redakcja dziennika „El Hoqq”, organu prawego skrzydła OWP, ponieważ było niewskazane, aby zachodni dziennikarze pokazywali się we Wschodniej Jerozolimie w towarzystwie izraelskich dygnitarzy.

— Postarajmy się wyruszyć nad Morze Martwe nie później niż o szóstej, zanim się ściemni.

— Jak mam cię pocałować na do widzenia?

— Zaczekaj, aż te owce przejdą, a potem się zobaczy — powiedział, zdejmując ciemne okulary w złotej oprawce i kładąc je na desce rozdzielczej.

— A widzisz — zauważył — to twój pierwszy błąd: nie jesteś dostatecznie czujna. Nie pomyślałaś

nawet, że to mogą być członkowie OWP przebrani za owce, albo owce przebrane za agentów Mossadu. Jesteśmy nadzwyczaj przebiegli, moja kochana.

— Przechyliwszy się przez oparcie, wyciągnął z torby leżącej na tylnym siedzeniu zielony sweter wykończony pod szyją grubym ściągaczem i nałożył go na swoją wojskową koszulę.

— Jesteś rzeczywiście przygotowany na każdą ewentualność.

— Inicjatywa bojowa cechuje armię izraelską

— wyrecytował z żartobliwą powagą. — Dlatego wygrywamy wojny. A teraz możesz mnie pocałować.

Otarłam się policzkiem o szorstką wełnę swetra i dotknęłam wargami jego ust. Pocałował mnie, najpierw delikatnie, potem bardziej namiętnie, a wreszcie mocno przycisnął mnie do piersi i trzymał tak przez chwilę.

Uczułam dobrze znajomą słabość w dołku. — Czy całowanie w taki sposób też cechuje armię izraelską?

Pogłaskał mnie po włosach. — Kocham cię i chcę się z tobą ożenić — to mnie cechuje.

Zamarł w oczekiwaniu, że jak zwykle schowam się do swojej skorupy.

— Nie szkodzi — powiedziałam. — Zaczynam się do tego przyzwyczajać.

Avi nałożył okulary w złotych oprawkach.

— Czemu idziesz do „El Hoqq”, skoro macie nagrać wywiad w areszcie śledczym?

— A widzisz — odparłam — nie jesteś tak czujny jak myślisz, mój kochany. Palestyńczycy radzili mi porozmawiać z Ahmedem, naczelnym gazety. Podobno może nam załatwić spotkanie z bratem więźnia.

— Oho! — Uśmiechnął się tylko. — Zawsze w tle kryje się jakiś brat.

— Kocham cię — powiedziałam raptem.

Przyciągnął mnie do siebie i czule ucałował. — Jesteś nieobliczalną kobietą i kompletną wariatką, i ja też cię kocham. Uważaj dziś na siebie.

— Ty też — odparłam wysiadając z samochodu. Wąskie przejście między domami prowadziło do drzwi wejściowych redakcji „El Hoqq”, gdzie oczekiwał mnie pan Ahmed. To on miał mnie skontaktować z tak zwanym bojownikiem o niepodległość Palestyny, przebywającym gdzieś we wschodnim sektorze tego starożytnego miasta, tak nasyczonego religijnymi treściami, historycznymi pamiątkami i zażartymi waśniami. Kobiety w obszernych czarnych czadorach, z ciężkimi koszami pełnymi chleba i owoców na szczelnie zakrytych głowach, siedziały w kucki pod ścianami i rozprawiwały między sobą ostrymi, ptasimi głosami. Stary człowiek biegł za stadkiem owiec, przytrzymując ręką brzeg pod-kasanej sukni i wymachując prymitywnie rzeźbionym drewnianym kosturem; wykrzykiwał coś przy tym chrapliwym głosem, w którym pobrzmiwało znajome arabskie „r”.

Pchnęłam ciężkie, misternie zdobione drzwi z kutego żelaza i weszłam do odrapanego przedsionka. Ściany udekorowane były podobiznami promieniejącego Jasera Arafata z głową owiniętą czarno-białą kafiją ze wzorem szachownicy i dłonią wzniesioną w znaku „V”. Mężczyzna w opiętych džinsach i różowym T-shircie z napisem: „Witajcie w Miami”, wydrukowanym na przodzie między dwiema palmami, siedział na brzegu biurka i przeglądał egzemplarz magazynu „People”. Kilku innych mężczyzn, również wbitych w wyjątkowo obcisłe džinsy i toczących dokoła groźnym wzrokiem, zaczęło sykać i cmokać na mój widok.

— Cześć — przywitałam się. — Fajna koszulka.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa złote zęby. - Panna Maggie z telewizji ABN ? Jestem Bashir.

— Jak się masz, Bashir — uśmiechnęłam się.

— Bardzo dobrze, dziękuję — odparł. — Pan Ahmed oczekuje pani.

Gestem nakazał mi iść za sobą, za zasłonę z brązowych paciorków wiszącą za jego biurkiem. Znałam tę procedurę na pamięć i byłam przygotowana na to, że trzeba będzie czekać dwie lub trzy godziny, by pan Ahmed raczył się wynurzyć z gabinetu, z taką miną, jakby stawiał się na spotkanie punktualnie co do minuty. Odprowadzana chóralnym sykaniem i cmokaniem, przeszłam przez zasłonę, zaczepiłam torbą o sznur paciorków, omal nie rozdarłam sobie małżowiny usznej próbując uwolnić długi złoty kolczyk, który zaplątał mi się we włosy, a na zakończenie wyrznęłam kolanem o zlew stojący przy samym wejściu do małego dusznego pokoiku.

— Cholera jasna — zakląłam pod nosem. Chris Ringler, mój kamerzysta, siedział już na niebieskim odrapanym plastikowym krześle, z nogami wyciągniętymi przed siebie i opalonymi ramionami skrzyżowanymi na piersi. Miał na sobie kapelusz a la Indiana Jones, zsunięty nisko na oczy oraz różowy T-shirt z napisem „Witamy w Miami” wydrukowanym z przodu, między dwiema palmami.

— Cześć, ślicznotko — przywitał mnie, podnosząc palcem kapelusz. — To musiało porządnie zboleć.

Kiwnęłam głową, gapiąc się na jego koszulkę.

Roześmiał się. — Przywiozłem ich ze Stanów całą furę dla tutejszych chłopaków; pomyślałem, że to może ułatwić nam wejście. Skinąwszy ponownie głową, usiadłam na żółtym odrapanym plastikowym krześle.

— Mam zamiar przeczytać sobie *Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy* — oświadczył Chris, wskazując na opasły tom leżący na rzeźbionej mosiężnej tacy, na czarnym stoliku z drewna tekowego.

Postawiłam torbę na podłodze i oparłam obolałą nogę o stolik, obok książki Chrisa.

— Proszę spuścić nogę — nakazał Bashir ostro.

— U nas nie ma zwyczaju pokazywania podeszew butów.

Wlepiłam w niego zdumiony wzrok. — Bashir, może nie zauważyłeś, ale przed chwilą rąbnęłam kolaniem o zlew, który — nawiasem mówiąc

— w ogóle nie powinien tam stać.

— W świecie arabskim podeszwy butów są oznaką lekceważenia.

Zdejmując nogę ze stolika, odparłam: — W świecie zachodnim sykanie i cmokanie na kobietę jest oznaką lekceważenia.

— Jest pani teraz na terenach okupowanych.

— Niemożliwe — odcięłam się. — A ja myślałam, że to plaża w Miami.

Chris zerwał się z miejsca i objął ramieniem wątle plecy Bashira. — Słuchaj, koleś, następnym razem przywiozę ci koszulkę z aligatorem. Umowa stoi?

Bashir przestał piorunować mnie wzrokiem.

— Umowa stoi — przytaknął. — Chcecie trochę zielonej herbaty i daktyli?

— Obawiam się, że nie wystarczy nam na to czasu

— powiedziałam, nieudolnie próbując go ponaglić.

— Nie chciałabym, żeby pan Ahmed był zmuszony na nas czekać.

Bashir znowu zgromił mnie spojrzeniem. — Pan Ahmed jest teraz bardzo zajęty. Dostaniecie zielonej herbaty i daktyli — powiedział rozkazująco i starannie

omijając zlew, zniknął za zasłoną z brązowych paciorków.

— Ten facet doprowadza mnie do szału — rzekłam z oburzeniem.

— Pogarszasz tylko sprawę, zachowując się w taki sposób — odparł Chris, opadając z powrotem na krzesło. — Rób tak dalej, a będę mógł przestudiować nie tylko *Powstanie i upadek*, ale również cały Koran i zebrane dzieła Szekspira, i pewnie zobaczę swojego trzyletniego synka dopiero wtedy, gdy będzie szedł na studia.

— Przepraszam, Chris, ale miło byłoby choć raz pojechać w jakiś normalny rejon i robić wywiady z dorosłymi ludźmi.

— Coś ty, Mags — powiedział z nagłą goryczą. — Nie wiesz, że to pierwszorzędny rejon? Wojna jest seksowna. — Wyprostował się na krześle i podciągnął koszulkę, odsłaniając grubą czerwoną szramę biegnącą przez całą szerokość brzucha.

Dotknęłam jej delikatnie. — Ty przynajmniej żyjesz, Ringler.

Gwałtownym ruchem spuścił koszulkę i opadł na oparcie. Miał łzy w oczach. - Tak, to był tylko mały odłamek. Szkoda, że Valeri nie miał takiego farta.

Wrócił Bashir z tacą, na której stały dwie szklanki zielonej herbaty i talerz lepkich daktyli. - Pan Ahmed mówi, że jest bardzo rad z waszego przybycia i przyjmie was za chwilę.

Zapamiętałam wertowałam notatki, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem. Bashir postawił tacę na stoliku i zniknął.

Bite trzy i pół godziny później, dokładnie o dwunastej, kiedy zdążyliśmy już skosztować cztery

szklanki zielonej herbaty i z tuzin lepkich daktyli, odbyć kilka wycieczek do toalety i z milion razy przemierzyć naszą ciasną, niemożliwie duszną kłitkę, Bashir zjawił się ponownie. — Pan Ahmed ma teraz wolną chwilę. Chodźcie, chodźcie szybko. Przyjmie was.

Miałam nieprzewartą ochotę ziewnąć, przeciągnąć się leniwie i mruknąć, że nie jesteśmy już zainteresowani wywiadem. Ale Chris poderwał się na nogi, zarzucił plecak i wziął kamerę na prawe ramię. Wstałam, odklejając przepoconą koszulkę od plastikowego oparcia i podążyłam za Chrisem i Bashirem do głównego holu. Drzwi do gabinetu pana Ahmeda stały otworem, a on sam szedł w naszą stronę.

— Panno Maggie — oświadczył. — Zrobię dla was, co tylko będę mógł, bo wszyscy zachodni dziennikarze to moi serdeczni druhowie.

Ściskając go za rękę zauważyłam, że jest jeszcze mizerniej szy i bardziej zachrypnięty niż ostatnim razem, kiedy to przez całą rozmowę zanosił się kaszlem i palił jednego papierosa za drugim.

Wprowadził nas do swojego, tonącego w kłębach dymu, gabinetu. — Proszę, wejdźcie.

Chris położył plecak i kamerę na podłodze. Widziałam, że jest nieprzyjemnie poruszony fotografią przedstawiającą dwunasto- czy trzynastoletnich chłopców pozujących do zdjęcia z granatami i pistoletami maszynowymi Kałasznikowa. Jednak najbardziej bulwersująca była inna fotografia, umieszczona bezpośrednio nad biurkiem pana Ahmeda: wielki plakat pokazujący zmasakrowane ciała rozrzucone na ziemi koło wypalonego wraku autobusu stojącego na poboczu drogi — rezultat akcji uznawanej za jeden z najbardziej chlubnych wysiłków



OWP dla oswobodzenia Palestyny. Zdjęcie zrobiono tej nocy, kiedy porwano cywilny autobus na drodze między Hajfą a Tel Awiwem.

— Spotka go pani - zauważył pan Ahmed, przyglądając mi się przenikliwie.

Drgnęłam nerwowo i obróciłam się. — Kogo?

Wskazał na fotografię. - Człowieka, który dowodził tą operacją. To z nim właśnie macie się spotkać w więzieniu.

Oczy Chrisa zwięziły się. - Ja cię kręcę! - powiedział.

Pan Ahmed uśmiechnął się. — Jego brat już was oczekuje.

— Gdzie? — spytał Chris, nie mogąc oderwać oczu od fotografii.

— Czeka na was w barze American Colony Hotel.

— Jak go poznamy? — spytałam.

— Jest niski, ciemny i zareaguje na hasło Rashid

— odparł pan Ahmed. Zerknęłam na Chrisa. — Świetnie.

Ringler z uśmiechem bawił się kasetą. - Proste jak barszcz — mruknął.

Pan Ahmed podniósł się z widocznym wysiłkiem, żeby odprowadzić nas do drzwi. Nagle jednak opadł w gwałtownym ataku kaszlu, po którym przez dłuższą chwilę siedział drżąc na całym ciele i z trudem łapiąc powietrze. Wreszcie zdołał wstać, opierając się o ścianę. - Bądźcie uprzejmi przesłać mi taśmę z kopią nagrania — wycharczał.

— Oczywiście, panie Ahmed — odparłam.

— Raz jeszcze bardzo dziękujemy.

— Niski, ciemny i reaguje na hasło Rashid - wymamrotałam do nikogo w szczególności.

Chris wyszedł za mną do przedsionka, po którym wałęsali się ci sami młodzi twardziele w opiętych

portkach i toczyli dokoła groźnym wzrokiem. Kiedy mnie zobaczyli, znowu zaczęli sykać i cmokać. Zatrzymałam się raptownie i zadarłam nogę, demonstrując im podeszwę. Chris bezsilnie zatoczył się na ścianę. — Tego już za wiele — ryknął ze śmiechu.

— To nie film o Drakuli.

Ruszyliśmy wąską uliczką w stronę hotelu American Colony, interesującego gmachu w stylu mauretańskim, będącego kwaterą sztabu brytyjskiego podczas wojny 1948 roku, obecnie zaś ulubionym miejscem spotkań licznych palestyńskich i arabskich notabli przyjeżdżających do Wschodniej Jerozolimy. W holu stały masywne, bogato rzeźbione dębowe stoły i marokańskie skórzane fotele, ściany pokrywały biało-niebieskie kafle. Przeszedłszy pod paroma stiukowymi łukami mauretańskimi, dotarliśmy do recepcji, gdzie wskazano nam drogę do baru, do którego schodziło się po trzech stopniach w dół. Weszłam pierwsza do ciemnowej sali, w której majaczyła postać niskiego ciemnowłosego mężczyzny, siedzącego samotnie przy jednym ze stolików. Dając znak Chrisowi, żeby zaczekał, podeszłam do nieznanego.

- Dzień dobry - przywitałam się, wyciągając rękę na powitanie. - Jestem Maggie Sommers. Czy możemy tutaj rozmawiać?

Wstał uprzejmie i ukradkiem rozejrzał się po sali.

— Nie, nie tutaj. Czekam na kogoś.

Może przyczyniło się do tego moje obolałe kolano. Może zdenerwowali mnie ci sykający i cmokający faceci w redakcji. Może niecierpliwiłam się, żeby wreszcie zacząć te cztery cudowne dni z Avim nad Morzem Martwym. A może nagle miałam już dość słuchania na okrągło tej samej dętej retoryki, oglądania na okrągło koszmarnych

fotografii okaleczonych kadłubów, pourywanych kończyn i zwęglonych niemowląt, plonu walki o wolność i sprawiedliwość. Tak czy siak, po prostu puściły mi nerwy.

— Nie rozumiem — powiedziałam ostro. — Dlaczego nie tutaj i dlaczego nie teraz?

— Bo jestem już umówiony — powtórzył mężczyzna. Lewa powieka drgała mu nerwowo. — Ta druga osoba zaraz tu przyjdzie.

Zsiniałam z wściekłości. Zapewniano nas, że jako jedyni będziemy mogli zrobić wywiad z więźniem i jego bratem. Uzyskaliśmy na to zgodę zarówno władz izraelskich, jak i przywódców OWP — w osobie pana Ahmeda. Byłam zdecydowana dowiedzieć się, co się stało i nie dopuścić do tego, by ubiegła nas jakaś inna ekipa. — Czy ta druga osoba mówi po angielsku?

— naciskałam.

Mężczyzna spojrział na mnie ze zdziwieniem.

— Jakie to ma dla pani znaczenie?

— Zasadnicze — odparłam niecierpliwie — bo chcę być pierwszą Amerykanką, która to robi.

Uśmiechnął się nieznacznie. — Właśnie to mi się najbardziej podoba w was, Amerykankach — wasz ognisty temperament i agresywność. To lubię.

— Niech pan posłucha — powiedziałam, rzucając spojrzenie na Chrisa, który stał oparty o ladę. — Zależy mi, żeby zacząć, póki jeszcze jest światło.

— O, i to także? — mruknął, podkrecając wąsa.

— Noc nie wchodzi w rachubę?

Byłam zniecierpliwiona do ostateczności. — Nie, nie wchodzi w rachubę — odparłam, wskazując na Ringlera — bo bez światła on nie da rady tego sfilmować.

Na twarzy mężczyzny odbiło się przerażenie.

- Chce pani to sfilmować? - spytał zdławionym głosem.

Przeczesałam włosy palcami, próbując się opanować. — Proszę pana, nie mam na to większej ochoty niż pan, ale muszę wykonać swoją robotę. Tracimy tylko niepotrzebnie czas. Tak czy nie — robimy to teraz, czy mam odejść i opowiedzieć wszystkim, że nie dotrzymał pan słowa?

- Nie, nie. Niech pani zrozumie, ja nie mogę tego zrobić.

- Chris - zawołałam - podejdź tu na chwilę. Ringler zbliżył się do nas niedbałym krokiem z rękami w kieszeniach. — Co jest?

- Nasz przyjaciel nie ma zamiaru dotrzymać słowa. Mówi, że nie pozwoli się sfilmować. Co robimy?

- Proszę — wybełkotał mężczyzna, ocierając spotniałe czoło. - Nie chcę mieć żadnych kłopotów.

Obiecuję, że zrobimy to dziś wieczorem. Tu są pieniądze, ale żadnego filmowania. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął zwitek banknotów.

Chris położył mi rękę na ramieniu. — Przestań, Maggie. Wydaje mi się...

- Nie, Chris - warknęłam. - Nie przestanę.

- Celując wyciągniętym palcem w twarz roztrzęsionego mężczyzny, oświadczyłam gniewnie: — Nie chcę pana pieniędzy. Może pan zapomnieć o całej sprawie, ale my na pewno nie zapomnimy. Przyrzekam to panu, panie Rashid.

- Rashid? — powtórzył ogłupiały. - Jaki Rashid?

W tym momencie kruczowłosa kobieta podeszła do nas, kołysząc się na wysokich obcasach, wsunęła dłoń pod ramię niskiego ciemnowłosego mężczyzny,

który najwyraźniej nie zareagował na hasło Rashid, i wyszemrała zmysłowo: — Mustafa, możemy już iść się zabawić?

- Och, Chris - jęknęłam, opadając na krzesło.

— Ja się poddamę.

Lecz on śmiał się tak histerycznie, że nie był w stanie mnie pocieszyć. Zresztą i tak nie byłoby na to czasu, gdyż w tym momencie niski ciemnowłosa mężczyzna dotknął mojego ramienia i powiedział:

— Jestem Rashid.

Wyglądał bardziej jak George Hamilton niż Rashid w swoim granatowym blezerze, szarych spodniach i błękitnej koszuli rozpiętej pod szyją. Niezwykle gęste, falujące czarne włosy i olśniewająco białe zęby na pewno przyniosłyby mu rocznie około stu tysięcy dolarów netto, gdyby zdecydował się występować w Hollywood w reklamach pasty do zębów, zamiast pracować dla OWP.

- Czy to znaczy, że nie spotkamy się dziś wieczorem? - szepnął mi do ucha Mustafa, gdy tylko jego towarzyszka drobnym kroczkiem opuściła salę.

Spoglądając na niego ze znużeniem, odparłam:

— Nie, Mustafa, chyba że wysadziłeś autobus w powietrze.

Rashid wydał mi się typowym terrorystą-gwiazdorem, pupilem mediów, wyszkolonym specjalnie w tym celu, żeby poruszać czułe struny w sercach damskiej widowni na całym świecie. Wyjąwszy papierosa z cienkiej srebrnej papierošnicy, zapalił go masywną złotą zapalniczką, przez cały czas śledząc mnie spod ciężkich powiek efektownymi błękitnymi oczami. Trzeba było mu koniecznie uświadomić, czego od niego oczekujemy.

- Posłuchaj, Rashid - powiedziałam. - Polecono nam nakręcić wywiad z prawdziwym bojow-

nikiem palestyńskim, kimś, kto naprawdę walczy, a nie tylko wygłasza patriotyczne frazesy na którymś z uniwersytetów Zachodniego Brzegu.

Rashid uśmiechnął się uwodzicielsko, wyraźnie przekonany, że dzięki swoim fantastycznym ciuchom, olśniewającej powierzchowności i wspaniałym zębom nie będzie narażony na rutynowe prośby zagranicznych korespondentów: „Potrzebujemy sensacyjnych zdjęć dla naszych żądnych krwi widzów, więc czy mógłby pan wyglądać trochę bardziej złowrogo?”

— Przecież macie robić wywiad z moim bratem

— odpowiedział nienaganną angielszczyzną. — Zgodził się właśnie dzięki mnie. Dałem mu zezwolenie na rozmowę z wami. Jeżeli nie chcecie mnie sfilmować, żeby mieć — jak wy to nazywacie — tło, to nie ma problemu. Powiedzcie tylko szczerze.

— Nie w tym rzecz, Rashid — rzekłam, dotykając jego gładkiej dłoni. — Próbowałam powiedzieć co innego. Potrzebuję kogoś, kto ma krew na rękach, kogoś, kto rzeczywiście walczy o rewolucję, a nie tylko o niej mówi.

Rashid milczał.

— Innymi słowy, szukam kogoś, kto nie wahał się zabijać dla sprawy, jak twój brat, więc jeśli mam być szczerą, nie sądzę, żebyś mógł się nam dzisiaj przydać. Przepraszam.

— Przestań owijać rzeczy w bawełnę, Sommers

— rzucił Chris sarkastycznie, zsuwając kapelusz na czoło. — Czy nie jesteś przypadkiem za delikatna?

Wyszliśmy na dwór i w oślepiającym słońcu wolno poszliśmy drogą z ubitej ziemi w kierunku Starego Miasta, słuchając jak Rashid opowiada o swoim życiu.

— Zwerbowano mnie do Ashbalu, palestyńskiej organizacji młodzieżowej, kiedy miałem czternaście lat. Uczyli nas obsługiwać wyrzutnie granatów.

Chris posłał mi znaczące spojrzenie. Oboje słyszeliśmy o dzieciakach, które posyłano na pierwsze linie, żeby wystrzeliwały te śmiertelne granaty odłamkowe, zabijające wszystkich znajdujących się w promieniu półtora kilometra od miejsca eksplozji

— jak Joe Valeri.

— Co czują rodzice takich dzieci?

— Są gotowi poświęcić nawet własne dzieci dla dobra ojczyzny.

Znaleźliśmy pustą ławkę koło Bramy Gnojnej, w pobliżu Ściany Płaczu. Niedaleko nas, na trawie rozłożyła się grupa francuskich turystów.

— A czym zajmujesz się obecnie? — spytałam.

— Wykładam chemię w Ramallah na Zachodnim Brzegu - odpowiedział, wystawiając twarz na słońce.

— Chemię? — powtórzyłam, czując skurcz w żołądku.

Uśmiechnął się. - Uczę, że sól zmieszany z kwasem azotowym tworzy azotan sodu.

— Po co? — Serce tłukło mi się jak oszalałe.

— Przy pomocy detonatora - objaśnił cierpliwie

— moi uczniowie mogą wysadzić w powietrze spory budynek, parę samochodów albo nawet obiekt wojskowy.

— Albo cywilny autobus na drodze między Hajfą a Tel Awiwem - dodał Chris cicho. - Prawda, Rashid?

Wzruszył tylko ramionami i znowu obrócił twarz do słońca.

— Czy to prawda? — nalegam. — Dostarczyłeś im ładunków wybuchowych?

Nawet nie drgnął. Ledwo poruszając wargami odpowiedział: — Siedzę sobie spokojnie na słońcu. Nie udowodniono mi żadnego przestępstwa, więc czemu mnie o coś oskarżacie?

— Nie oskarżam cię, Rashid. Po prostu zastanawiałam się, czy to ty...

— Czy to ja dostarczyłem ładunków, które spowodowały eksplozję autobusu - dokończył. Patrzył mi teraz w oczy bez drgnienia powiek, z ustami ściągniętymi w wąską linię.

Huczało mi w skroniach. — Zrobiłeś to? — spytałam ledwo dosłyszalnie.

W odpowiedzi uśmiechnął się tylko. — Pozdrówcie mojego brata — rzekł, wstając z ławki. Ruszył przed siebie leniwym krokiem spacerowicza, który przechadza się bez celu w słoneczne popołudnie.

Nagle jednak odwrócił się i uniósł zaciśniętą pięść. — Za rewolucję — zadeklamował. — Aż do śmierci.

Jerozolimski areszt śledczy składał się z parterowych kamiennych domków otaczających spore podwórze. Przetrzymano tu podejrzanych o przestępstwa tak kryminalne, jak i polityczne w okresie poprzedzającym rozprawę.

Moud, brat Rashida, siedział w jednym z małych pokojów przesłuchań. Kajdanki nie przeszkadzały mu odpalać papierosa od papierosa przez cały czas trwania wywiadu. Chris filmował, podczas gdy Moud recytował kolejne rewolucyjne slogany, prawie bez związku z zadawanymi pytaniami.

— Izraelczycy zabijają nasze dzieci.

— Czy brat dostarczył panu ładunków wybuchowych, które spowodowały eksplozję autobusu?

— Nie zaniechamy walki zbrojnej, póki Palestyna nie będzie wolna.



- Czy nie oburza pana fakt, że pana przywódcy mieszkają w luksusowych willach na Riwierze, podczas gdy pan siedzi w więzieniu?

- Nasi przywódcy głoszą ideologię marksistowską.

— Czy istnieje jakaś szansa na pokojowe rozwiązanie kwestii palestyńskiej?

— Będziemy toczyć wojnę z okupantem do ostatniej kropli krwi.

- Czy jest jakaś nadzieja na pana uwolnienie? I tylko wtedy, na krótką chwilę, zaniechał tej patriotycznej retoryki i spojrzał prosto w obiektyw kamery. - Tak - odparł dobitnie. — Izraelczycy mówią, że być może zostanie zwolniony, jeśli dojdzie do wymiany więźniów.

Strażnicy zabrali Mouda z powrotem do celi, a my z Chrisem zostaliśmy, czując się mocno nieswojo.

— Ten człowiek mnie przeraża — odezwałam się wreszcie.

Chris składał i pakował sprzęt. — Nie jest gorszy od swojego braciszka, który chodzi sobie na wolności.

Wróciliśmy do studia i przez resztę dnia montowaliśmy temat, żeby zrobić „siedem minut autentycznego horroru z siedmiu godzin autentycznego koszmaru”, jak to celnie określił Ringler.

Dochodziło już wpół do siódmej, kiedy w końcu weszłam na taras hotelu King David i ujrzałam Aviego, siedzącego przy stoliku w rogu, pod wielkim parasolem w żółto-czarne pasy.

Turyści byli wszędzie. Kobiety w wielkich słomkowych kapeluszach i kolorowych espadrylach, wyzierających spod pstrokatych spódnic z indyjskiej bawełny, mocno trzymały dzieci za rączki, żeby nie wypadły za balustradę, podczas gdy one zajęte były

ogłądaniem przepięknie utrzymanych ogrodów, rozciągających się w dole. Mężczyźni, stłamszeni i wymęczeni upałem, stali pilnując toreb z zakupami albo sumiennie pstrykali zdjęcia członków rodziny, snujących się po słynnym hotelu. Minęłam ich, uśmiechając się w przelocie do skrzypeków grających na podium pośrodku tarasu, i prawie wpadłam w ramiona Aviego.

— Co się stało? — zapytał. — Okropnie wyglądasz.

Usiadłam i z wymuszonym uśmiechem odgarnęłam z karku zlepione potem włosy. — Opowiedzieć ci, jak spędziłam dzień?

Kiwnął potakująco głową.

— Najpierw rąbnęłam się w kolano o jakiś kretyński zlew w redakcji „El Hoqq”, gdzie sykała na mnie zgraja młodych ważniaków. Potem, po trzech godzinach wyczekiwania na rozmowę z panem Ahmedem, poszliśmy z Ringlerem do American -Colony, żeby spotkać się z niskim ciemnowłosym gościem imieniem Rashid, bratem tego terrorysty, tyle że przez pomyłkę wzięłam jakiegoś Mustafę za Rashida, a Mustafa wziął mnie za kurewkę. Potem była ta dobijająca rozmowa z więźniem, który przez dwie godziny tłumaczył mi, czemu próbuje cię zamordować, a na koniec, po tej całej harówce, udało nam się wykroić z tego zasranego materiału siedem minut i czterdzieści trzy sekundy.

Avi wziął mnie za rękę, w jego brązowych oczach migotały wesołe iskierki. — Jeszcze nie tak dawno potrzebowaliśmy tłumacza, żeby zrozumieć to, co powiedziałaś.

— Uciekajmy stąd — rzekłam nagle. — Wyjedźmy natychmiast i zapomnijmy o tym wszystkim.

347

Avi szedł tuż za mną, trzymając dłoń na moich plecach. - Jedno pytanie - szepnął. - Ile zaproponował ci Mustafa?

Zmierzchało się już, kiedy Avi wyprowadził wóz na krętą drogę wiodącą przez pofałdowany, piaszczysty krajobraz. Zostawiliśmy za sobą położoną na prawo Masadę i zbliżaliśmy się do Sodomy.

Powietrze było gęste od cuchnących oparów siarki, napływających od Morza Martwego. Panowała głucha cisza, przerywana jedynie odgłosem kamyków uderzających o podwozie.

— Tu nic się nie porusza — zauważył Avi.

— Wszystko jest nieruchome.

— Będziesz się nudzić?

Rzucił na mnie szybkie spojrzenie, biorąc zakręt obok izraelskiej bazy wojskowej, oznaczonej jedynie brudną biało-niebieską flagą, zwisającą z zardzewiałego masztu. Przemknęliśmy wzdłuż ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym i, już wolniej, zaczęliśmy się posuwać po stromym zboczu do położonego w górze hotelu.

— Mam szczerą nadzieję, że oboje się wynudzimy

- odparł, całując mnie w czubek nosa. - Potrzebne nam to.

Później, tej samej nocy, siedzieliśmy na wychodzącym na Morze Martwe tarasie naszego pokoju. W oddali migotały światelka Ammanu, odbijające się w grudach soli, które unosiły się na powierzchni jeziora niczym kawałki kry. Trzymałam stopy na balustradzie, a głowę na nagim ramieniu Aviego.

— Opowiedz mi jeszcze o Ruth — poprosiłam cicho. - Martwisz się, że z nią już koniec?

Patrząc prosto przed siebie, zauważył z lekkim

uśmiechem: — Fascynuje mnie, że pod pewnymi względami jesteś tak przewidywalna, choć jesteś najbardziej nieprzewidywalną kobietą, jaką w życiu spotkałem. Byłem pewien, że o to zapytasz.

— Jesteś zły, że chcę o niej wiedzieć? — spytałam, podnosząc głowę.

— Nie — odpowiedział ważąc słowa — bo sam chciałbym wiedzieć wszystko o wszystkich mężczyznach, którzy przewinęli się przez twoje życie. - Uśmiechnął się. - Ale nie jestem Amerykaninem i nie umiem pytać o pewne rzeczy tak otwarcie jak ty.

— Z tamtymi było inaczej. - Wstałam i oparłam się o balustradę. Ciepły wiatr igrał z moim białym jedwabnym kimonem.

— To dlatego, że jesteś już pewna swoich uczuć do mnie, ale nie do końca pewna moich.

Poczułam się upokorzona, że tak dobrze mnie zna. — Martwisz się, że z nią już koniec? — powtórzyłam.

Spojrzał na mnie z czułością. — Maggie, nigdy nie kochałem żadnej kobiety tak jak ciebie i nigdy już nie będę. Spędzimy resztę życia razem, bo jestem prawdopodobnie jedynym mężczyzną, który może uczynić cię szczęśliwą. Jestem tego pewny.

Słuchałam w czujnym milczeniu, czekając na słowo „ale”, czy z „drugiej strony” - słowa, które zwykle następują w ślad za tego rodzaju deklaracjami.

— Nie rób takiej podejrzliwej miny — powiedział łagodnie. — Chciałem powiedzieć tylko to, nic więcej.

— Opowiedz mi o niej. Chcę wiedzieć wszystko.

— Siadaj tu, to ci opowiem — tylko że to niezbyt interesujące.

Usadowiłam się obok niego, z nogami w górze i głową opartą o jego ramię, i odetchnęłam głęboko.

- Z tobą przeżywam tydzień w parę godzin - zaczął, wodząc dłonią po mojej twarzy — miesiąc w parę dni i całe życie przez parę tygodni. Funkcjonujemy na tych samych falach, tyle się między nami dzieje. - Umilkł na chwilę. — A między mną a Ruth nic się nie działo.

- Nigdy?

- Byliśmy małżeństwem przez piętnaście lat, więc skłamałbym mówiąc, że nic do niej nie czuję.

Oczywiście, coś czuję.

- Co? — Poruszyłam się nieznacznie.

- Nigdy nie byłem z nią tak blisko jak z tobą, ale odczuwam stratę czegoś bardzo swojskiego, choć ta swojskość nigdy mi nie wystarczała.

- Jesteś zadowolony, że ma kogoś innego?

- Nie użyłbym słowa „zadowolony”.

- Jesteś zazdrosny? - spytałam wstrzymując oddech.

Usta Aviego zacisnęły się nagle, a oczy zwięzły. Wążąc słowa, odpowiedział: - Czuję się zdradzony.

Było potworne, nie do zniesienia, że mężczyzna, którego kochałam bardziej niż wszystko na świecie, okazał się takim hipokrytą.

- Jak możesz tak to mówić? — wrzasnęłam, zrywając się z leżaka. - Jak możesz czuć się zdradzony?

- Jak możesz być taka głupia? — odpowiedział bardzo spokojnie.

- Głupia! Ja głupia! - krzyknęłam. - Myślisz, że jestem głupia, podczas gdy sam przed chwilą powiedziałeś najgłupszą, najbardziej idiotyczną rzecz, jaką tylko można sobie wyobrazić.

Avi mógłby kamień doprowadzić do szału, bo nie dawał się wyprowadzić z równowagi. — Musiałaś na chwilę zapomnieć, że zakochałaś się w Izraelczyku, a nie Amerykaninie.

W tym, co powiedział, było niewątpliwie jakieś ziarnko prawdy. Avi nie wychował się w pseudo-cywilizowanym świecie, gdzie rozwiedzeni małżonkowie wymieniali zdawkowe cmoknięcia w policzek, spotykając się na korcie tenisowym albo przy brydżu. Nie był jednym z tych mężów, którzy próbowali zachowywać się jakby nigdy nic na koktajlach u wspólnych przyjaciół, kiedy zajadłe spory majątkowe były już tylko wspomnieniem, dzieci podzielone, a nowe przysięgi małżeńskie wymienione podczas kameralnych, lecz gustownych ceremonii ślubnych.

— Dlaczego uważasz, że Amerykanie są jacyś inni? — spytałam przez zęby. — Może po prostu jesteśmy bardziej cywilizowani niż wy.

Wyciągnął rękę i zacisnął ją na moim ramieniu. - Dlatego, że nie ma nic cywilizowanego w miłości i namiętności.

— Może i nie, ale ty nie umiesz nawet spojrzeć w oczy prawdzie, że Ruth mogła spać z tym człowiekiem.

— Owszem, umiem — odparł wolno — Ale nie widzę nic cywilizowanego w tym, że moja żona spała z obcym mężczyzną. O ile to zrobiła, czego wcale nie jestem taki pewny.

— Ale przecież ty spałeś ze mną! - krzyknęłam, wyszarpując ramię z jego uścisku.

— To co innego — odparł z prostotą. — Nie „spalem” z tobą; kocham cię. A poza tym, jest coś takiego jak podwójny standard. To niezupełnie *to* samo, kiedy robi to mężczyzna.

Oburzenie odjęło mi mowę. Miotana bezsilną wściekłością, to chciałam wbiec do pokoju i spakować walizki, to rzucić się na Aviego z pięściami i tłuc dopóty, dopóki nie pojmie znaczenia słowa „cywilizowany”.

— Rozluźnij się — zauważył spokojnie, wyjmując cygarnicę z kieszeni niebieskich szortów.

— Może po prostu źle cię zrozumiałam — rzekłam, krzyżując ręce na piersi i chodząc tam i z powrotem po wąskim tarasie.

Avi zapalił cygaro. — Izraelczycy mają swoje wady i zalety — zauważył z rozbawioną miną. — Naszą wadą jest to, że nie uważamy, by kobiety były takie same jak mężczyźni, a zaletą to, że nie uważamy, by kobiety były takie same jak mężczyźni.

— I oczywiście nie miałbyś oporów, żeby postąpić ze mną tak samo jak z nią — przerwałam, ostentacyjnie machając dłonią, żeby rozpędzić dym.

— Nie — odparł, próbując uwięzić moją nogę między swoimi udami. — To, że jestem Izraelczykiem, nie oznacza, że nie potrafię być wierny kobiecie, którą naprawdę kocham.

— A gdybym ja ci to zrobiła? - spytałam wciąż rozjuszona.

— Zabiłbym cię — odparł, strzepując popiół za balustradę. I wyciągnąwszy rękę, złapał mnie za ramię i posadził sobie na kolanach.

— Kocham cię bardziej niż wszystko na świecie, więc przestań się już wygłupiać.

— Co to za różnica, czy mnie kochasz, czy nie. Mówisz, że nie kochasz Ruth, a i tak czujesz się zdradzony, kiedy jest z innym mężczyzną.

— Różnica polega na tym, że Ruth bym za to nie zabił, bo dla mnie już umarła — odparł, całując mnie

w szyję. Przycisnął mnie bardzo mocno do siebie i musnął ustami moje usta.

— Naprawdę byś mi to zrobił? - spytałam cicho.

W odpowiedzi ugryzł mnie tylko lekko w lewe ucho.

— A co z moimi przyjaciółmi i moją pracą?

— Co to ma do rzeczy? Jestem dumny ze wszystkiego, co robisz, ale jestem naprawdę bardzo prostym Izraelczykiem — odparł, sięgając pod moje kimono i obejmując dłonią moją pierś. — Twoje ciało należy do mnie.

— Avi, chcę, żebyś mi coś obiecał.

— Co tylko zechcesz.

— Przyrzeknij mi, że przy moich znajomych nigdy nie powtórzysz tego, co przed chwilą mówiłeś o Ruth i podwójnym standardzie. Pomyśleliby, że jesteś jaskiniowcem, a ja idiotką. — Ale w głębi duszy nic mnie to nie obchodziło, bo byłam nim tak przepelniona.

Skinął potakująco głową i podniósł prawą dłoń. — Możesz być pewna, że nie zdradzę naszej strasznej tajemnicy.

Bez słowa weszłam do sypialni przez otwarte drzwi balkonowe, a on został jeszcze chwilę na zewnątrz, patrząc na wodę. Wyciągnęłam się na łóżku z ramionami pod głową. Za chwilę wszedł do pokoju i stanął nade mną.

— Zdejmij suknię — powiedział cicho. Wolno pokręciłam głową, nie spuszczać oczu z jego twarzy. Uniósł nieznacznie brwi, a potem rozpiął i zdjął szorty. Usiadłszy na łóżku, łagodnie zsunął ze mnie kimono. Dźwignął mnie do pozycji klęczącej i wziął w dłonie moją twarz. — Kocham cię, Maggie — powiedział. — Kocham cię.



Oboje cicho jęknęliśmy, kiedy we mnie wszedł. Niecierpliwie przywarliśmy do siebie, a potem poddaliśmy się czemuś, co zaczęło się już przy pierwszym pocałunku.

— Jesteś taka milcząca — wymruczał potem.

— Bo chwilami zapierasz mi dech w piersi — odparłam, znowu przyciągając go do siebie.

Zasypiając myślałam, że bez tego człowieka nie zostałoby mi nic, że umarłabym bez niego. Ale kiedy do pokoju wpadły pierwsze promienie słońca, zrozumiałam, że wczoraj to wczoraj, a dzisiaj to dzisiaj. Bezszelestnie wysunęłam się z łóżka, ostrożnie, żeby go nie obudzić i na palcach podeszłam do szafki na ubrania. Grzebiąc w szufladzie, próbowałam znaleźć jego idiotyczne krótkie beżowe skarpetki: antidotum na ten nieuleczalny przypadek bezbronności. Ale znalazłam tylko trzy pary białych bawełnianych skarpetek i dwie pary czarnych podkolanó-wek. Aż podskoczyłam, kiedy niespodziewanie otoczył mnie ramionami i szepnął mi do ucha: — Wyrzuciłem wszystkie.

— Co takiego? — spytałam niewinnie.

— Te idiotyczne beżowe skarpetki — odparł, całując mnie w kark.

— Jakie znów idiotyczne beżowe skarpetki?

— Te, które zawsze wykorzystujesz jako pretekst do kłótni, kiedy jest nam ze sobą za dobrze — odparł, biorąc mnie w ramiona.

\* \* \*

Dochodzi północ, kiedy wracam do domu. Druciane wieszaki nadal leżą tam, gdzie rzuciła je Vera, na podłodze koło mojej sfatygowanej dębowej ko-

mody. W chwili gdy pochylam się, żeby je pozbiierać, ciszę przeszywa ostry dźwięk telefonu. Nieprzytomnie rzucam się do aparatu, który z trzaskiem ląduje na podłodze, bo po drodze potykam się o przewód.

W słuchawce szumi jak w muszli. — Halo? — rzucam bez tchu.

— Tęsknię za sobą - mówi on, nawet się nie witając.

Zamykam oczy i opieram się o ścianę. — Ja też za tobą tęsknię.

— Mam uczucie, jakby nie było cię już parę miesięcy.

— To zaledwie dwa dni — odpowiadam, żeby tylko coś powiedzieć.

— Tak czy inaczej — mówi ze swoim śpiewnym akcentem — wkrótce się zobaczymy.

— Już wiesz o tym programie? — pytam zdumiona, że Avi zna już treść mojej rozmowy z Gray-sonem. W pierwszej chwili przemyka mi przez myśl, że izraelskie służby wywiadowcze naprawdę nie mają sobie równych, ponieważ nie wyobrażam sobie, jak mógł się o tym dowiedzieć, o ile Pedro i Raoul nie byli agentami Mossadu.

— Nie słyszałem o żadnym programie — odpowiada Avi.

Widzę go, jak siedzi z głową przechyloną na bok i zmrużonymi oczami, wypuszczając smugę dymu z cygara.

— Wracam do Izraela. Mam tam prowadzić magazyn.

— Byłem pewien, że wrócisz, kochanie, z pracą czy bez pracy. Należysz do mnie.

Zalewa mnie fala ulgi. - Więc skąd wiedziałeś, że już wkrótce się zobaczymy?

— Dlatego, że pojutrze przylatuję na tydzień do Nowego Jorku.

Nie mogę wydobyć głosu.

— Szczęśliwa?

— Tak, bardzo szczęśliwa — odpowiadam, żałując, że nie może być tutaj natychmiast. — Ale czemu przyjeżdżasz?

— Oficjalnie na rozmowy w sprawie wycofania naszych wojsk z Libanu, które mają się odbyć w Waszyngtonie. Nieoficjalnie po to, żeby być z tobą.

— Jak długo potrwać te obrady? — pytam, już zazdrosna o każdą minutę jego czasu.

— Przynajmniej parę dni, ale mam zamiar kursować tam i z powrotem, oczywiście, o ile nie masz nic przeciwko temu, żebym u ciebie zamieszkał.

— I dodaje lekkim tonem: — Jeśli nie masz innych planów, pomyślałem, że moglibyśmy spędzić razem waszego sylwestra.

Szczyście znowu odbiera mi mowę. — Avi, Avi

— powtarzam tylko.

— Przylatuję dwudziestego dziewiątego, samolotem z Tel Awiwu, lot numer 3393 i kocham cię bardziej niż ty mnie.

— Czemu tak mówisz? — pytam, pośpiesznie zapisując numer lotu na skrawku papieru.

— Bo w przeciwieństwie do ciebie, pogodziłem się już z tym, że z wielu istotnych powodów spędzimy resztę życia razem.

## *Rozdział 8*

W studiu panuje zwykły poranny bałagan - znak, że lada chwila zacznie się kolejny dzień pracy. Telefony stojące na długim stole w pokoju wydania już się urywają, ludzie krzątają się nerwowo dokoła metalowych szafek, w szufladach których piętrzą się zapisane na kartkach informacje. Telefaksy popiskują, rytmicznie wypluwając zwoje białego papieru zadrukowanego bladofioletowym, prawie nieczytelnym maczkiem, który w cudowny sposób zostanie przekształcony w przekonujące relacje w wieczornych wiadomościach. Na rozkładanym stoliku stoi wielki stalowy termos z kawą, cała masa tekturowych kubeczków, słoik sproszkowanej śmietanki, miska z kostkami cukru i kartonowe pudło pełne lukrowanych pączków. Stojąc z boku w swoim szarym futrze z kojotów, z twarzą osłoniętą wielkimi ciemnymi okularami, zastanawiam się, czemu obudziłam się dziś niespokojna, rozdrażniona i trochę wystraszona. Postanowiłam pójść do studia po telefonicznej rozmowie z Carą, która oznajmiła mi płaczliwie, że poprzedniego wieczoru wróciła z Aruby, gdzie

koszmarnie rozchorowała się na grype, i spytała, czy mogłybyśmy się gdzieś umówić na lunch. Kiedy zadzwoniła w ten piękny śnieżny poranek, była dopiero ósma, ale nie spałam już od dłuższego czasu, straszliwie zdenerwowana z powodu jutrzejszego przyjazdu Aviego.

Cara pominęła milczeniem moją dość burkliwą uwagę, że ktoś, kto ma za męża niejakiego Stevena Blattberga, a ponadto trójkę zdrowych dzieci i ogromny dom stojący na czteroakrowej posiadłości w Short Hills w stanie New Jersey, nie ma prawa narzekać, choćby nawet wrócił z Aruby mocno zakatarzony. I nie miało znaczenia, że Steven Blattberg miał rzadkie brązowe włosy, wątlą posturę i nerwowy nawyk pykania nie zapalanej fajki, skoro był na miejscu, żeby opiekować się nią w chorobie. Prawda, że nawet najżyczliwsi nie mogliby nazwać Stevena przystojnym czy interesującym, a poza tym doprowadzał Carę do szału, kiedy błąkał się nocą po domu sporządzając listę zakupów. Ale kochał ją i byłby niepokieszony, gdyby wiedział, jak okropnie irytuje ją swoimi nocnymi wędrówkami. Moja siostra jednak, co dla niej typowe, nigdy nie wspomniała mu o tym ani słowem. Cara po prostu dusiła wszystko w sobie, aż wreszcie nie mogła już dłużej wytrzymać i wtedy wybuchała. A jej wybuchy nie oznaczały nic więcej, jak tylko potrzebę wygadania się przede mną. Tego dnia naprawdę nie byłam w nastroju do słuchania jej wynurzeń, lecz zgodziłam się z nią spotkać w telewizyjnej kawiarni z powodu urażonego milczenia panującego w słuchawce, punktowanego jeszcze żalonymi kichnięciami. Ale jej fatalny nastrój miał poważniejszą przyczynę niż katar. Tuż przed odłożeniem słuchawki zwierzyła mi się łzawo, że znowu jest w ciąży i nie

wyobraża sobie, jak jeszcze raz zniesie wzdęty brzuch, obwisłe, wezbrane mlekiem piersi, pół roku zarwanych nocy i dwa lata brudnych pieluch, a ja poczułam się jak potwór.

I wtedy powoli wróciły do mnie słowa, które Avi wypowiedział tamtej nocy nad Morzem Martwym, jeszcze będąc we mnie: „Chcę mieć twoje dziecko” i nagle już wiedziałam, że nigdy nie będzie innego mężczyzny, bo żaden inny mężczyzna nie powiedziałby tego w ten sposób. Były w moim życiu takie chwile, kiedy rozpacz czy namiętność podszeptywała mi, żeby pociąć diafragmę, wyrzucić pigułki do muszli klozetowej lub wyjąć spiralę. Ale kiedy inni mówili: „Chcę, żebyś mi urodziła dziecko”, namiętność ulatniała się w jednej chwili - i w samą porę. Diafragma zostawała na miejscu, pigułki w fiołce, a spirala nadal mocno przylegała do ścianek macicy.

Takie oto myśli kłębiły mi się w głowie, kiedy skończyłam rozmawiać z Carą i właśnie pod ich wpływem zrodziło się we mnie pragnienie odwiedzenia pokoju wydania w ABN. Wydało się to najprostszą receptą na powrót do rzeczywistości, cokolwiek by to miało oznaczać.

Młoda dziewczyna w przydeptanych czarnych baletkach od Capezia zbliża się do stołu, z biodrami wyrzuconymi do przodu, nonszalancko kołysząc ramionami. Jej pełne, lekko odęte usta są uroczo nadąsane, a ogromne brązowe oczy mają kompletnie bezmyślny wyraz, gdy cienkim głosikiem pyta o coś brodatego kierownika produkcji, który wpatruje się w nią jak urzeczony - co najmniej jakby przekazywała mu swoje osobiste doświadczenia z życia po życiu. Przypominają mi się słowa Very: „Każdego roku pojawia się nowy narybek”. Stwierdzenie to miało zachwiać moją pewnością siebie,

rozbudzić stare obawy i kompleksy, uświadomić mi, że sukcesy zawodowe nie zrekompensują mi nieudanego życia osobistego. Vera obrazowo opisywała, jak to całe chmary dziewcząt o świeżych buziach codziennie napływają do Nowego Jorku z całego kraju w poszukiwaniu męża, redukując moje szanse prawie do zera. Swoją drogą, ciekawe, czemu mama spędza tyle czasu w rejonie dworca autobusowego; muszę ją kiedyś o to zapytać.

Dziewczyna jest naprawdę urzekająca, kiedy tak szura po pokoju beztrąsco przydeptując baletki za osiemdziesiąt dolarów, z biodrami wysuniętymi do przodu i ramionami lekko ściągniętymi do tyłu, żeby piersi zaznaczały się niewyraźnie, lecz kusząco pod cienkim materiałem bluzki, i zadaje infantylne pytania, które wywołują zachwyty na twarzach dorosłych mężczyzn. I wiem, że ta tutaj, bez wahania zamordowałaby własną matkę, za szansę na mój stołek.

Panna Zmysłowe Usta zerka w moją stronę i szepcze coś do ucha brodatemu kierownikowi produkcji, który spogląda na mnie i kiwa potakująco głową. Z jakiegoś powodu, niejasnego, lecz mającego wyraźny związek z osobą Dawn - ktoś tak ją nazwał przed chwilą - pojawia się we mnie desperackie pragnienie, żeby przywrócić wszystkiemu właściwe proporcje. Muszę za wszelką cenę udowodnić sobie, że wcale nie pragnę dziecka z kimś, kto nawet nie umiałby się zachować w Nowym Jorku. Pod wpływem tej dziecinnej myśli, wyobraźnia podsuwa mi kolejne obrazy Aviego w komicznych sytuacjach, charakterystycznych dla turystów w Nowym Jorku, obrazy, które tylko potwierdzają prawdziwość jego słów. Nie pogodziłam się jeszcze z myślą, że spędzimy resztę życia

razem. Ale nic na to nie poradzę. Widzę Aviego przybywającego na lotnisko Kennedy'ego z tekturową walizką w ręku. Aviego, usiłującego zatrzymać jedną zajętą taksówkę za drugą, a w końcu zwycięsko staczającego bitwę na śmierć i życie z małą staruszką, kurczowo czepiającą się drzwi taryfy. Aviego, dającego zbyt mały napiwek taksówkarzowi, który sypie za nim gradem wyzwisk, gdy oddala się ulicą. Naiwnego Aviego, przyjmującego kanadyjskie monety od ślepego sprzedawcy gazet, który mimo ślepoty bez trudu odróżnia turystę od autochtona. Aviego, pokornie czekającego na wolny stolik w trzeciorzędnej restauracji szumnie reklamującej swój szwedzki bufet, a potem dającego zbyt suty napiwek kelnerowi, który wskazał mu stolik w głębi sali, obok męskiej toalety. Aviego, błędzącego po ulicach Nowego Jorku z zadartą głową, zapatrzonego na drapacze chmur, a na koniec żałosny obraz Aviego, przytrzymującego się latarni i desperacko zeskrobującego z podeszwy psią kupe, w którą nieopatrznie wdepnął. Jestem zdumiona łatwością, z jaką zdołałam przetrząsnąć z pragnienia dziecka Aviego na psie kupki, pokrywające nowojorskie chodniki.

Panna Zmysłowe Usta podbiega do mnie rozentuzjasmowana, wylewna, wyrywając mnie z tych irracjonalnych rozważań. — Czy to naprawdę pani, Maggie Sommers? Wprost nie mogę w to uwierzyć!

Rzecz jasna, nie mam zamiaru jej niczego ułatwiać, częściowo dlatego, że ma olśniewającą cerę i najwyżej dwadzieścia dwa lata, a częściowo dlatego, że ja nie. Stojąc nieruchomo, słucham beznamiętnie jej egzaltowanego szczebiotu. Ach, jak to cudownie panią poznać (czyżby nas sobie

361



przedstawiono?) i och, oglądałam panią w telewizji, odkąd byłam małą dziewczynką.

Ta kropla przepelnia czarę goryczy. Zdejmuję okulary i przebiegam językiem po swoich, jak od lat mówią operatorzy, fantastycznych zębach. To niewiarygodne, że instynktownie wiedziała, jak ugodzić w najsłabszy punkt roztrzęsionej kobiety, która przyszła do pokoju wydania ABN, szukając wytchnienia dla swojej skołatanej duszy.

— Czym się pani zajmuje?

— Jestem redaktorką boczną.

— Próbuje pani dostać się do produkcji?

— Och, nie. Chciałabym pracować na wizji, tak jak pani. — Bingo.

— W takim razie może powinna pani pomyśleć o usunięciu tego pieprzyka nad ustami.

Jej delikatne różowe paluszki niespokojnie dotykają pieprzyka, a potem kontynuuje swoją paplaninę, bez cienia skrepowania, z dziecięcą ufnością.

— Bardzo dziękuję za radę. Uwielbiam pani relacje z Bliskiego Wschodu.

I podczas gdy Dawn z zapalem rozwodzi się o zaletach jakichś kursów dziennikarskich, na które uczęszcza („Każdego roku pojawia się nowy narybek”) w myśli znowu go obejmuję, dotykam, czuję jego usta na moich i słyszę: „Chcę mieć twoje dziecko”.

— Ma pani wprost cudowny nos — świergocze Dawn — taki prościuteńki i leciutko zadarty na czubku, zupełnie jak nos Vivien Leigh w *Przeminęło z wiatrem*.

Czyżby nos Vivien Leigh przestał być zadarty, kiedy *Przeminęło z wiatrem* znalazło się na kasecie?

Trzeba przyznać, że nie jestem dziś najzyczliwiej usposobiona.

— Dziękuję — mówię. Lecz mój umysł zajęty jest czym innym, bowiem właśnie usiłuję rozstrzygnąć, co lepsze — poród naturalny czy znieczulenie dołędźwiowe.

— Może mi pani polecić swojego lekarza?

— pyta ona.

— Jakiego lekarza? — pytam, choć myślami jestem jeszcze na sali porodowej.

— Tego, który operował pani „nos — wyjaśnia szeptem.

— Nigdy nie przechodziłam operacji nosa — odpowiadam ze słodyczą.

Jest wyraźnie zdenerwowana. — Strasznie panią przepraszam.

— Nie ma za co — mówię łaskawie. — Uważam to za komplement.

Tak, stanowczo w znieczuleniu dołędźwiowym, razem z Avim, patrzącym jak rozwieram się do wielkości półmiska.

Rozmowa chwilowo grzęźnie i Dawn głowi się nad jakimś neutralnym tematem.

— Który typ magnetofonu uważa pani za najlepszy?

— Do czego?

— Do nagrywania wywiadów.

A może powinnam dać sobie z tym wszystkim spokój — niech sobie Dawn bierze mój stołek

— zająć się dzieckiem Aviego i tylko sporadycznie występować w reklamach magnetofonów?

— Na początek niech pani spróbuje papieru i długopisu — odpowiadam opryskliwie. — Kiedy ja zaczynałam, w szczerym polu trudno było o gniazdka elektryczne.

Momentalnie żałuję swojej szorstkości. Przypominam sobie, że w jej wieku byłam zbyt zajęta

swoimi małżeńskimi kłopotami, aby pragnąć dziecka. Kiedy miałam trzydziestkę, byłam zbyt zajęta karierą, aby pragnąć dziecka. Nagle dociera do mnie, że nie chcę przekroczyć czterdziestki żałując, iż byłam zbyt zajęta małżeńskimi kłopotami, a potem karierą, aby zdecydować się na dziecko. A w ogóle, to kiedy ostatnio robiłam wywiad w szczerym polu? Tak, chcę tego i nie tylko z powodu słów, które Avi wypowiedział jeszcze będąc we mnie. Po prostu go kocham i urodzenie jego dziecka jest najlogiczniejszą rzeczą pod słońcem — co mnie obchodzi jakieś psie kupki.

— Czy Elliot James już przyszedł? — pytam, tłumiąc szaleńcze pragnienie, żeby ją uściskać. To przerzucanie się z jednej ostateczności w drugą na pewno nie wyjdzie mi na zdrowie.

— Chyba jeszcze nie — odpowiada ona nieśmiało. — Ale może wolałaby pani poczekać w jego gabinecie? Będzie tam pani wygodniej.

Dawn wsuwa stopy w czarne baletki od Capezia i rusza w kierunku gabinetu Elliota. Niespodziewanie trzy osoby, współpracujące ze mną od czasów, gdy nie bałam się jeszcze o swoje jajniki, obstepują mnie mówiąc: — Biedny Joey, co za tragedia.

Agnes Farley, dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi wtłoczone w obcisły pastelowy spodnium z tworzyw sztucznych, to kobieta, która robiła mi makijaż przed każdym wystąpieniem za pulpitem lokalnych wiadomości. — Modliłam się za ciebie, Maggie — mówi, odgarniając z oczu kosmyk tlenionych włosów.

— Och, Agnes — odpowiadam ze wzruszeniem. — Dziękuję ci.

Peter Templeton, wysoki i chudy, z wąską twarzą i długim nosem, nadal nosi ten sam wyświechtany granatowy sweter. Był moim pierwszym kierow-

nikiem planu, jeszcze w czasach, gdy pracowałam w redakcji kryminalnej.

— Maggie — ściska mnie serdecznie — tak często o tobie myślałem.

— Wiem, Peter — odpowiadam, ściskając go za rękę.

A potem wpadam w objęcia Jacka Roshanskiego, który ze swoją lśniąca łysiną i sterczącym brzuchem z każdym rokiem coraz bardziej upodabnia się do pana Cleana. — Zastrane życie — stwierdza kwaśno. Dawn nadstawia uszu, żeby nie uronić żadnego słowa, ciekawa sekretu ludzi, którzy wspólnie spędzili wiele lat w tej branży i właśnie utracili kogoś bliskiego, kto również spędził wiele lat w tej branży, był jednym z nich. Niech słucha, może dowie się czegoś o tej specyficznej solidarności, której nie uczą na żadnych kursach.

— Nie masz pojęcia, co tu się działo, kiedy dostaliśmy wiadomość — mówi Jack. — Istny dom wariatów.

— Jak udało ci się wysłać informację? — pyta Pete. Jestem ich jedynym łącznikiem z tym, co się wydarzyło, jedyną osobą mogącą dostarczyć szczegółów tego strasznego wydarzenia, podobnie jak oni są dla mnie jedynym źródłem informacji o reakcjach ludzi, którzy kochali Joego tak samo jak ja. Potrzebują konkretów, brakujących detali, żeby zaakceptować nieuchronność tego, co się stało. A ja pragnę się przekonać, czy odczułam tę tragedię do żywego jedynie dlatego, że byłam jej świadkiem. Zaciekawiona Dawn przysuwa się do nas, pragnąc usłyszeć obie wersje makabrycznej historii, która wydaje się tak nierealna, choć dotyczy jednego z nas. „Jeden z nas zginął — szlochał Chris Ringle tamtego dnia. — Jeden z nas oberwał”.

Opowiadają o zamieszaniu, jakie wybuchło w redakcji. — Kiedy zadzwonili tu z biura w Jerozolimie, telefonistka połączyła ich bezpośrednio z zarządem, zdaje się, że z samym Graysonem — wyjaśnia Peter. Tak więc, Peter dowiedział się o niespodziewanym ataku na ekipę ABN w Libanie, jedynie dzięki temu, że akurat siedział w gabinecie Elliota. Zarząd otrzymał niejasną informację, że wiele osób zostało rannych.

— Wtedy jeszcze nikt nie wiedział nic pewnego — opowiada Peter. — Kazano nam tylko czekać na dalsze informacje.

Zaraz po otrzymaniu wiadomości Grayson zadzwonił na dół i kazał Elliotowi nie spuszczać oka z faksów stojących w pokoju wydania.

— Przypomniał mi się ten dzień, kiedy Joey dla żartu omotał wszystkie biurka w pokoju wydania papierem z teleksu. Tamtego wieczoru o mało nie spóźniliśmy się z emisją — wtrąca Jack ze smutnym uśmiechem.

Przymykając powieki, usiłuję odtworzyć w pamięci przebieg wydarzeń, poczynając od momentu, gdy Ringler wsiadł do izraelskiego czołgu „Merkava”, do którego złożono szczątki Joe Valeriego. Zgodził się go opuścić dopiero na przedmieściach Bejrutu, gdy ciało przeniesiono do opancerzonego transportera, który miał je przewieźć przez granicę. Chris odbył pozostałą część drogi do Bejrutu wojskowym jeepem, razem ze mną i Avim. Kiedy wreszcie dotarliśmy do hotelu Commodore, wszyscy rzuciliśmy się do środka w poszukiwaniu telefonu. Ringler zrugął oszołomionego recepcjonistę, tłumacząc mu, że zdarzył się wypadek i nie mamy czasu uganiać się po mieście za czynną budką telefoniczną. Recepcjonista marudził gapiąc się na mój zakrwawiony T-shirt, aż wreszcie Avi

po arabsku rozkazał, żeby udostępnił nam telefon. Po nieskończone długim oczekiwaniu, recepcjonista wrócił z informacją, że nie ma połączenia z Jerozolimą, gdyż bomby zniszczyły linie telefoniczne. Dopiero znacznie później dowiedzieliśmy się, że irlandzka ekipa telewizyjna znajdująca się w momencie wypadku koło obozu Sabra zdążyła już zawiadomić biuro ABN w Jerozolimie. Problem polegał na tym, że nikt tak naprawdę nie orientował się w liczbie zabitych, a wyciągnięcie jakichkolwiek informacji z izraelskich żołnierzy, którzy brali udział w walkach w tym rejonie, było praktycznie niemożliwe. Dlatego właśnie pierwsza wiadomość, jaką otrzymał Grayson, była tak mglista i nie sprecyzowana.

— Joey dał mi kiedyś śliczne zdjęcie — mówi Agnes, ocierając oczy. — Był na nim z grupą palestyńskich dzieci.

— Joe strasznie przeżywał los tych dzieci, to było dla niego najgorsze — wyjaśniam. — Często przynosił im jedzenie, rozmawiał z nimi. — Jak mogę powiedzieć Agnes, że tuż przed śmiercią, pożegnał się na zawsze z pewnym palestyńskim dzieckiem umierającym na zapalenie opon mózgowych. To właśnie po tym przybiegł do mnie roztrzęsiony i zalany łzami, błagając, żebym mu coś poczytała czy opowiedziała — cokolwiek, byle tylko mógł przestać myśleć. Skąd mogliśmy wiedzieć, że już za parę sekund będzie za późno na pożegnanie.

— Byłem w montażowni i przygotowywałem Elliotowi materiał do przeglądu — wspomina Jack. — Kiedy wróciłem do jego gabinetu, siedział na brzegu biurka, z dwiema słuchawkami przy uszach i rzucał rozkazy trzem sekreterkom naraz. Co chwila wpadały do pokoju, odbierając telefony i znosząc kolejne przecieki z góry.

— Wreszcie, po jakichś dwóch godzinach, Grayson zszedł na dół z teleksem w ręku — podejmuje Peter. — Podał go Elliotowi i kazał mu głośno przeczytać. Potem zwał się na krzesło, a my siedzieliśmy jak przymurowani, zbyt zaszokowani, żeby wstać.

— Nigdy nie zapomnę, jak Elliot odłożył te słuchawki i wybuchnął płaczem — wtrąca Jack, kręcąc głową.

— Wszyscy byli kompletnie ogłuszeni. Nikt nie odzywał się ani słowem, aż w końcu Grayson zapytał, kto zawiadomi jego rodzinę i czy miał żonę i dzieci.

— Elliot zdążył się już trochę opanować. Powiedział Graysonowi, że Joe nie był żonaty, ale miał przyjaciela, że był homoseksualistą.

Nie do wiary, ale Grayson Daniel zachował się całkiem przyzwoicie. Przetrawiwszy rewelację na temat prywatnego życia Joego, zasugerował, by ktoś poszedł na salę prób American Ballet Theatre i przygotował na tę wiadomość przyjaciela Joego, Garry'ego Wainwrighta.

— Jak wam się udało nadać teleks? — pyta Peter.

A Jack dorzuca: — Kiedy dokładnie ludzie z jerozolimskiego biura dowiedzieli się, co się naprawdę wydarzyło?

— To wszystko działo się tak szybko — odpowiadam. — Wszystko mi się miesza, kiedy próbuję sobie przypomnieć.

W hotelu Commodore panował chaos, mnóstwo libańskich cywilów schroniło się w środku, bo członkowie Amalu właśnie otworzyli ogień na ulicach. Oboje z Chrisem przez jakiś czas próbowaliśmy połączyć się telefonicznie z ośrodkiem w Jerozolimie, lecz w końcu daliśmy za wygraną i za radą

Aviego postanowiliśmy przedostać się do sąsiedniego budynku, by nadać teleks bezpośrednio do Stanów. Poczekaliśmy, aż strzelanina trochę ucichnie, a potem wypadliśmy z hotelu. Przemykając pod ścianami, dotarliśmy na pocztę, która nadal była otwarta, ponieważ tamci też bali się wychylić nosi na dwór. Wiadomość, którą wysłaliśmy bezpośrednio do Graysona Daniela z ośrodka ABN w Nowym Jorku, ta, którą dał do przeczytania Elliotowi, brzmiała następująco:

**JOE VALERI ZABITY NIEDALEKO OBOZU W SABRZE STOP ŻADNYCH INNYCH OFIAR  
STOP SZCZEGÓŁY PO POWROCIE DO JEROZOLIMY STOP SOMMERS I RINGLER.**

Agnes, która słuchała tego wszystkiego ze stroskaną twarzą, zaczyna mówić wyrzucając z siebie wszystko, co nagromadziło się w niej od tamtej pory.

— Byłam w charakteryzatorni, kiedy usłyszałam przez głośnik, że za chwilę nadadzą komunikat. Wróciwszy do pokoju wydania, ze zdumieniem zobaczyła, jak Elliot wchodzi na biurko, podnosi rękę nad głowę, prosząc o ciszę i głosem stłumionym ze wzruszenia mówi, że Joe Valeri zginął w Libanie około pięciu godzin temu.

— A potem ukląkł na biurku i się rozplakał

— opowiada Agnes przyciszonym głosem i dodaje:

— Nie uwierzyłam, chyba w pierwszej chwili nikt nie mógł w to uwierzyć. W pokoju była zupełna cisza. Nikt nie śmiał się poruszyć. Było tak, jakby czas się zatrzymał. A potem wszyscy zaczęliśmy płakać, wszyscy.

Ściskając dłoń Agnes, sama czuję łzy pod powiekami, bo to wszystko jest jeszcze takie świeże.

— Kiedy wyszedłem z gabinetu Elliota — mówi Peter — ludzie albo histeryzowali i szarpali biednego



Ela, próbując wyciągnąć z niego dodatkowe informacje, albo po prostu siedzieli jak przykuci.

- Gdzie byłaś, kiedy to się stało? - pyta Agnes niespodziewanie.

- Tuż przy nim, ale nic nie widziałam. Usłyszałam tylko hałas, a kiedy oprzytomniałam, było już po wszystkim.

Nie zostało wiele więcej do powiedzenia. Dawn wycofuje się cicho, z trochę mniej rozkoszną miną.

Chyba właśnie dotarło do niej, że praca w telewizji to nie tylko błyszczenie na ekranie.

- Kiedy wróciłaś, Maggie? — pyta Peter.

- Dwa dni temu.

- Na dobre, mam nadzieję - dorzuca Agnes, wydmuchując nos.

- Nie jestem pewna.

- Doszły mnie słuchy, że znowu chcą cię tam wysłać - mówi Jack. - Tu aż huczy od plotek.

- Prawdopodobnie wrócę do Izraela, ale już nie do Libanu.

- Pojutrze w Waszyngtonie zaczynają się rozmowy między naszymi władzami a Izraelczykami

- zauważa Peter. - Informowaliśmy o tym wczoraj wieczorem. Będziesz ich obsługiwać?

Co noc, kiedy będzie do mnie wracał. — Nie, Peter.

- Ten Liban to jeszcze jeden cholerny Wietnam

- zauważa Peter kręcąc głową. - O, idzie Elliot. Lecę z powrotem do studia. - Całując mnie w policzek, dodaje: - Zajdź do mnie jeszcze przed wyjściem, Mags.

- I do mnie też - prosi Agnes, ściskając mnie.

- Odłożyłem dla ciebie kopię tej kasy - mówi Jack smutno. - Oglądałem ją w kółko, sam nie wiem ile razy.

370

— Ja też, Jack. W myśli ciągle to robię. W zadumie pociera usta dłonią i odchodzi. Nikt nawet nie wspomniał o nominacji do Emmy i jestem im za to wdzięczna. Dla trojga ludzi, którzy pracowali ze mną od samego początku, to wyróżnienie nie miało żadnego związku z tematem rozmowy. Nasza rozmowa dotyczyła uczuć, a te z reguły nie mają nic wspólnego z telewizją czy nominacjami do Emmy.

Elliot unosi brwi ze zdziwienia i uśmiecha się radośnie na mój widok. Bez słowa bierze mnie za rękę i wprowadza do swojego gabinetu.

— Czy przyszedł mi powiedzieć, że wciąż ci na mnie zależy? — pyta.

— Nigdy nie przestało mi na tobie zależeć, Elliot. Zawsze będziesz moim przyjacielem. — On naciska guzik interkomu, a ja wolnym krokiem podchodzę do okna i patrzę na płatki śniegu nieprzerwanie zasypujące ulicę.

— Gładys — rzuca Elliot — czy mogłabyś przynieść dwie kawy i parę pączków? — Spogląda na mnie. — Co się stało, malutka? Wyglądasz mi na zdenerwowaną. Co się dzieje?

W pierwszym odruchu chcę skłamać, że to z powodu Joego, lecz to nie byłoby prawdą, a w każdym razie niezupełnie. W tym momencie oplakuję coś innego — swoją utraconą niewinność, zagubioną dawno temu gdzieś w pokoju wydania.

— Boję się — odpowiadam szczerze.

— Czego, maleńka? Masz wszystko, o czym tylko można zamarzyć.

Potrząsam głową, oczy wzbierają mi łzami. — Boję się, bo to wszystko już mnie tak nie cieszy jak dawniej — praca, rozkręcanie nowego programu. To już po prostu nie to samo. Czuję się szczęśliwa

tylko wtedy, kiedy jestem z nim, ale nie jestem pewna, czy dobrze robię, bo ABN była dla mnie jak dom.

— Jestem o niego zazdrosny.

Popijamy kawę w niezręcznym milczeniu. Zerkając znad kubka, zauważam fotografię Frances James, z jej zezowatym okiem, nadal stojącą na honorowym miejscu na biurku Elliota. On podąża za moim spojrzeniem i wzrusza ramionami.

— Jest wciąż jeszcze moją żoną — mówi przepraszająco.

— I zawsze będzie — dorzucam cicho.

— To był błąd, teraz to widzę, ale...

Lekko kładąc mu palec na ustach, proszę: — Daj spokój Elliot, nie zaczynajmy tego od nowa.

Wzdycha. — Chyba powinienem być zadowolony, że kogoś znalazłaś, cieszyć się twoim szczęściem.

— A tak nie jest?

Elliot uśmiecha się i podchodzi do okna. Śnieg sypie coraz obficie.

— Na swój sposób tak, choć zawsze wyobrażałem sobie, że w końcu wyjdiesz za jakiegoś snobowatego dyrektora, na pewno nie za kogoś, kto mieszka na drugim końcu świata.

Słuchając słów Elliota, namyślałam się, jak wytłumaczyć kim jest dla mnie Avi. Herzog. — Odległość nie ma tu nic do rzeczy, Elliot. Jest częścią mojego życia, w większym stopniu niż ktokolwiek, kogo dotąd znałam.

Elliot jest wyraźnie zdziwiony. — Ale przecież to Izraelczyk. Nie rozumiem.

— Kocham go, jest częścią mnie samej. Zupełnie, jakbyśmy się znali przez całe życie. A może nawet w innym życiu — dodaję z uśmiechem.

— Naprawdę aż tak źle, co? — śmieje się Elliot.

— Aż tak dobrze.

— Jeśli tak się sprawy mają, to się cieszę, Maggie. Wprawdzie nie ze względu na siebie, ale od czego są przyjaciele, jeśli...

Przerywa mu dźwięk telefonu.

— To do ciebie. — Oddaje mi słuchawkę. Cara mówi tak bezładnie, że wśród jej łkań, kichnięć i ogłuszających wrzasków jej dwojga dzieci, początkowo nie mogę zrozumieć o co chodzi. Wreszcie opanowuje się na tyle, by wykrztusić, że już wychodziła się ze mną spotkać, kiedy nieoczekiwanie zadzwoniła Jonesie. Wygląda na to, że tego ranka Alan Sommers nie poszedł do pracy, ale został w domu, aby spakować swoje rzeczy. Jonesie powiedziała Carze, że kiedy zszedł do piwnicy po dodatkowe walizki, Vera zamknęła się na klucz w sypialni. Mając w pamięci, co się stało, gdy zrobiła tak ostatnim razem, Jonesie wpadła w popłoch i kiedy Alan wrócił na górę, zaczęła błagać, by pomógł jej wyważyć drzwi. On jednak nie chciał o niczym słyszeć i wyszedł z domu trzaskając drzwiami. Nie wiedząc co robić, Jonesie zadzwoniła do Cary.

— Czy dzwoniła na policję? Elliot rzuca mi pytające spojrzenie.

— Nie, czeka na naszą decyzję.

— Już tam jadę — mówię. — Każ jej zadzwonić na policję. Jak prędko tam będziesz?

— Przy tej pogodzie najwcześniej za godzinę. Z walącym sercem odkładam słuchawkę.

— Co się stało?

Wciągam powietrze w płuca. — Obawiam się, że mama mogła się otruć.

— Dlaczego?

Kolejny głęboki oddech nie pomaga. — Och, Elliot — kryję twarz na jego ramieniu i wybucham

płaczem. — Bo wydaje jej się, że nie może żyć bez ojca. Opuścił ją.

Elliot jest szary na twarzy. — Maggie, co mogę zrobić?

— Nic. Muszę iść.

— Chcesz, żebym pojechał z tobą?

— Chyba lepiej nie. Cara niedługo tam przyjedzie, będziemy razem.

Elliot pomaga mi włożyć płaszcz. — Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebować pomocy?

Jestem jak ogłuszona. Wciąż jeszcze nie dotarło do mnie, co się dzieje. - Tak. Dziękuję, Elliot. Tak, zadzwonię.

„Co by o nas nie powiedzieć, przetrwaliśmy. Jesteśmy rodziną”. Te słowa wciąż dźwięczą mi w uszach w drodze do mieszkania mamy. Siedzę skulona na tylnym siedzeniu taksówki, z uczuciem, jakby ta jazda nigdy nie miała się skończyć. Taksówka pełnie w żółtym tempie w zamieci śnieżnej, ślizgając się po oblodzonej jezdni. Żółty wóz pomocy drogowej, ledwo widoczny przez tumany śniegu bijące o przednią szybę, niespodziewanie wyrasta przed nami na samym środku ulicy.

Mozolnie usuwa zepsutą ciężarówkę, całkowicie blokując przejazd.

— Nie może się pan cofnąć i jakoś objechać tej Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy? — pytam nerwowo.

— Co pani mi tu opowiada — warczy tamten, spoglądając na mnie przez ramię. — Myśli pani, że dla przyjemności jadę tą cholerną Pięćdziesiątą Siódmą? Nie zmartwiłbym się, gdybym już w życiu nie musiał jej oglądać.

Nie ma sensu się kłócić: sądząc z pandemonium rozgrywającego się wokół dwóch ciężarówek, dzisiejsza aura wyraźnie nie sprzyja kontaktom mię-

dzyludzkim. Tak więc, wracam myślą do naszej rodziny. To naprawdę perfidne zagranie losu: być tak daleko od tego miasta i od nich wszystkich przez całe miesiące, tylko po to, by zaraz po powrocie trafić na potencjalną katastrofę. Mam wrażenie, jakby mieszkanie mamy było w tej chwili równie odległe jak Bejrut.

Gdy wyjeżdżamy z parku naszym oczom ukazuje się Świątynia Emmanu-Ela, bastion Bożej tolerancji dla letnich wyznawców, symbol kapitalistycznej koncepcji judaizmu, w której hojne datki rekompensują niedostatki wiary. Ojciec chadzał tam raz na rok, na Jom Kippur — największe ze świąt żydowskich. Był to jedyny dzień, w którym okazywał poszanowanie własnej przeszłości i wszystkiego, w co wierzył, zanim pieniądze stały się dla niego jedyną wartością. Rzadko zabierał nas ze sobą. Zapraszał nas natomiast do Ośrodka Teozoficznego, gdzie ludzie tacy jak on przychodzili słuchać abstrakcyjnych, i mętnych wykładów o tematyce religijnej. Cara celnie podsumowała to, co się tam działo, po jakimś szczególnie nudnym odczycie na temat teorii kół koncentrycznych, czy też kompartymentyzacji życia. Stwierdziła, że te dywagacje miały na celu tylko jedno: odseparowanie mieszkańców starej, dobrej dzielnicy od nowobogackich. Lecz ojciec ujął to jeszcze lepiej tego samego wieczoru, gdy ktoś otwarcie zapytał go, czy jest Żydem. „Moje córki należą do kościoła episkopalnego — oświadczył — żona jest wyznania prawosławnego, a ja jestem prawnikiem. Oto moja wizytówka”.

Cara miała ochotę zapaść się pod ziemię, ja byłam wściekła. Ojciec wpadł w furję, kiedy zobaczył nasze miny. „Jeśli ci się tu nie podoba, możesz się wynieść

i sama zarabiać na życie!" — krzyknął na mnie. „Zachowuj się jak należy, albo poszukaj kogoś innego, kto by cię utrzymywał" — zagroził Carze.

I w końcu obie poszłyśmy za jego radą.

Światło na skrzyżowaniu zdążyło się już zmienić ze sześć razy, a my nie posunęliśmy się ani o centymetr. Spoglądając na zegarek, przekonuję się, że od telefonu Cary upłynęło już pół godziny.

— Proszę pana — mówię błagalnie. — Okropnie się śpieszę.

— Cały świat się śpieszy, proszę pani — Kierowca ziewa szeroko. — Pani się nie denerwuje, dostawię panią gdzie trzeba.

— Ma pan może papierosa? — pytam nerwowo.

— Jasne - odpowiada, podając mi paczkę. — Pani zapali.

Kiedy wreszcie ruszamy, uzmysławiam sobie, że obie z Carą wzrastałyśmy w przekonaniu, iż nasza rodzina jest zupełnie normalna. Gniewne wybuchy dobiegające zza zamkniętych drzwi sypialni Very i Alana były dla nas czymś tak oczywistym jak wieczorny brzęk talerzy po kolacji. A kiedy odgłosy kłótni milkły, bo zawsze w końcu milkły, życie toczyło się dalej zwykłym trybem. Być może dzieci w ogóle nie mają wielkich wymagań. Być może wystarczyła nam świadomość, że traumatyczne przeżycia rodziców nigdy nie staną się naszym udziałem.

„Byłem tak biedny, że żywiłem się samą czekoladą" — skarżył się ojciec gorzko.

„Bolszewicy załatwiali się na perskie dywany babci" — powtarzała mama stale.

My przynajmniej miałyśmy pewność, że żadni złoczyńcy nie zasikają naszej wykładziny dywanowej i że zawsze będzie co jeść. Dla mnie jednakże,

w przeciwieństwie do Cary, nędza i głód przestały być czymś abstrakcyjnym, odkąd zostałam dziennikarką telewizyjną.

Niewykluczone, że dzisiejszy incydent okaże się tylko kolejną próbą udowodnienia, jak okropnie Vera cierpi z powodu Alana. Ale jeśli nie, zastanawiam się, jak Cara to przeżyje. Maggie jest silna, przynajmniej tak zawsze wszyscy twierdzili. Gdybyśmy tylko byli ze sobą bliżej, gdybyż tylko rodzice od początku nie próbowali nas skłócić, wedle zasady dziel i rządź. Jedno nieznośne dziecko nie ściągało na nich podejrzeń. Dwoje nieznośnych dzieci, a ludzie mogliby zacząć snuć domysły. We wczesnym dzieciństwie niewątpliwie łączyła nas bliska więź uczuciowa, mimo że nie obca nam była normalna rywalizacja między rodzeństwem. Jednak później, w miarę jak Alan coraz mniej dbał o pozory, a nerwica Very się zaostrzała, zaczęłyśmy się wycofywać do swoich odrębnych światów. Alan wmówił Carze, że jest mało zdolna, nieatrakcyjna, nudna i nikt nie oczekuje od niej niczego, prócz posłuszeństwa. Jasnowłosa, niebieskooka, o delikatnych rysach i miętko zaokrąglonych kształtach Botticelowskiej Wenus, Cara była uosobieniem klasycznej kobiecości - z pewnością nikt przy zdrowych zmysłach nie uznałby jej za nieatrakcyjną. A przy tym była inteligentna i odcytana - od dziecka pochłaniała wszystkie książki, jakie mogła znaleźć, z dziełami klasyków na czele. „Zapełniają pustkę - tłumaczyła mi. - Przenoszą mnie w inny, lepszy świat”.

Nic dziwnego, że z wdzięcznością przyjęła rolę powiernicy mamy, która przylgnęła do niej w poszukiwaniu emocjonalnego oparcia.



Vera przynajmniej pozorowała zainteresowanie Carą. Ich układ był chociaż jasny i czytelny: poparcie w zamian za współczucie.

- Dostałam nagrodę za dobre wyniki w nauce
- oznajmiła Cara z dumą któregoś wieczoru.
- To cudownie, córeczko - odparła mama.
- Założę się, że wszyscy je dostali - stwierdził ojciec, nawet nie podnosząc oczu znad talerza.
- Czemu nigdy nie możesz powiedzieć czegoś miłego? - zawołała Cara, uciekając od stołu.

Sama nigdy nie odważyłabym się zadać ojcu takiego pytania, bo miałam z nim już dostateczną ilość problemów. Dręczył mnie za to, że byłam inna, zbuntowana i przyciągałam spojrzenia mężczyzn!

Kiedyś, gdy dentysta niby od niechcienia położył mi rękę na piersi, powiedziałam o tym ojcu.

- Z takim wyglądem sama się o to prosisz

— odrzekł brutalnie.

Miałam piętnaście lat i nie mogłam zrozumieć

o co chodzi. Dr Levy trzymał dłoń na mojej piersi, kiedy ślina kapała mi z ust. Z jakim wyglądem?

Natomiast kiedy Cara przybiegła z parku wołając, że skradziono jej rower, ojciec przesłuchiwał ją godzinami, póki się nie upewnił, że rabuś jej nie zgwałcił. Vera utrzymywała później, że doszło do tej napaści, bo Cara jest taka bezbronna. Ojciec miał odmienne zdanie - tłumaczył wszystko faktem, że chuligan był Portorykańczykiem. Dentysta pedofil był Żydem, a jaki porządny żydowski dentysta napastowałby nieletnią, o ile nie został do tego sprowokowany?

Lata mojego dorastania przypominały odsiadki wyroku w celi więziennej; odliczałam dni i miesiące, podtrzymywana jedynie oczekiwaniem na chwilę, kiedy wreszcie będę dorosła i wolna. A

że

378

zawsze miałam mnóstwo planów, pomysłów i marzeń, dni i miesiące szybko zleciały i nie wiadomo kiedy moje dzieciństwo minęło. Nadal jednak spotykałyśmy się z Carą w łazience, naszej sekretnej kryjówce, gdzie szum płynącej wody głużył nasze stłumione szepty.

— Nie mogę tego znieść — skarżyła się — ale lepiej się nie stawiać i robić to, czego on chce.

— Ja też nie mogę tego znieść - przytakiwałam

— ale nie dam mu się zniszczyć!

— Powinna pani rzucić palenie — radzi taksówkarz. — Okropnie pani kaszle.

— Nie palę — odpowiadam, krztusząc się dymem.

— Ona nie pali — mruczy pod nosem. - Dlaczego więc pali?

— Chciałam powiedzieć, że na ogół nie palę

— mówię z irytacją. — Jestem trochę zdenerwowana.

— Życie jest za krótkie, żeby się denerwować

— stwierdza on filozoficznie.

Myślę o mamie i o tym, ile życia jeszcze jej zostało.

Kiedyś, po wyjątkowo obrzydliwej awanturze, chcąc jakoś usprawiedliwić ojca w naszych oczach, powiedziała: — Męski popęd seksualny jest jak fizyczny ból, który musi być zaspokojony za wszelką cenę.

— To dobrze czy źle? — spytałam nieśmiało.

— Po prostu tak jest — odparła.

Zrozumiałam wtedy, że wszystko, co robią mężczyźni, jest zawsze w pewien sposób naszą winą, ponieważ to my doprowadzamy ich do stanu wrzenia. Naszym obowiązkiem jest albo ich zaspokoić, albo pozwolić, by zaspokoili swój popęd gdzie indziej.

„To dla nich sprawa tak błaha, jak wstąpienie na

drinka po skończonej pracy" - powtarzała mi nieraz mama. I próbowała w to wierzyć, bo tylko ta wiara trzymała ją przy życiu.

- Czy ja pani już gdzieś nie widziałem? Jechała pani kiedyś moją taryfą?

- Nie wydaje mi się - odpowiadam, podciągając szalik pod sam nos.

Na szczęście, z tyłu rozbrzmiewa ogłuszające trąbienie, co chwilowo odrywa go od mojej osoby.

Wychylając się przez okno ryczy: - Co się pan ciskasz? Mam frunąć, czy jak? Panie, życie jest za krótkie, żeby się wkurzać.

- Jeśli powie pan to jeszcze raz, zacznę krzyczeć!

— krzyczę.

Przeciąga się. - Coś pani powiem, już pani krzyczy. Może jeszcze papieroska?

- Nie chcę już palić - odpowiadam na granicy łez. - Chcę się tylko dostać na róg Piątej Alei i

Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Niech mnie pan tam zawiezie, dobrze?

Kiedy myślę o tym, jak ojciec zdominował mamę, zawsze przypominają mi się kurczęta i diamenty.

Podczas obiadu miał w zwyczaju strącać ze stołu pieczone kurczę, jeśli tylko zauważył najmniejszą kropelkę krwi pod skrzydełkiem.

- Nie potrafisz nawet porządnie upiec kurczaka! - grzmiał. - A ja obsypuję cię prezentami.

Mama uciekała od stołu, zalewając się łzami. Wpadała do sypialni i wyrzucała swoje diamenty przez okno. - Patrz, co myślę o twoich prezentach!

— krzyczała histerycznie.

A Jonesie spokojnie podnosiła z dywanu kurczaka, podczas gdy my z Carą pędem zbiegałyśmy na dół, by uratować diamenty.

— Kurczę znów było niedopieczone? — pytał portier domyślnie.

Dziś portier w domu przy Piątej Alei 1014 jest błąd jak ściana. Pomagając mi wysiąść z taksówki, szepcze: - Przyjechała karetka i policja, poszli do państwa na górę... - Zawiesza głos pytająco.

— Dziękuję — odpowiadam, kierując się prosto do holu.

W windzie dźwięczą mi w uszach słowa ojca: „Takie komedie dawno przestały robić na mnie wrażenie. To wszystko tylko na pokaz.”

Jeśli tak, to dlaczego Vera Sommers połknęła trzydzieści dwudziestopięciomiligramowych tabletek digoxinu, leku rutynowo zapisywanego w małych dawkach w celu zwolnienia przewodnictwa z przedsionka do komory i zwiększenia kurczliwości serca w niektórych przypadkach choroby wieńcowej? Dowiaduję się tego od jednego z paramedyków, zaraz po wejściu do mieszkania.

Odkryto, co mama zażyła, kiedy Jonesie wezwała policję.

Równocześnie przyjechał zespół reanimacyjny z całym koniecznym sprzętem. Na podłodze przy łóżku Very znaleźli pustą fiolkę po tabletkach opatrzoną etykietką na nazwisko Keitha Robinsona, męża Jonesie. Jonesie zaklinała się na wszystkie świętości, że Keith w ogóle nie widział tego lekarstwa na oczy — zapisano mu je wprawdzie parę miesięcy wcześniej, kiedy miał zawał, ale potem wyjechał do sanatorium w Alabamie i od tamtej pory czuł się zupełnie dobrze. To wszystko nie ma już teraz żadnego znaczenia, ponieważ po di-goxinie nie zostało już ani śladu, oprócz pustej fiołki i zwiłki waty.

Odpowiedź na pytanie, czemu Vera połknęła nieszczęsne tabletki, bez wątplenia spoczywa w wy-  
381

twornej kopercie obciągniętej różowym płótnem, z napisem: „Do wszystkich zainteresowanych”, która stoi oparta o flakon perfum „Joy” na ręcznie malowanej osiemnastowiecznej komodzie, w której mama zawsze trzyma bieliznę. Machinalnie wsuwając kopertę do kieszeni, niedowierzająco przyglądam się ohydnej scenie, jaka rozgrywa się w pokoju.

Właśnie przed chwilą przywleczono Verę z łazienki, gdzie zgięta nad muszlą klozetową wydawała odgłosy, których nie da się opisać słowami.

— Mamo! — wołam, rzucając się ku niej. — Mamo!

Odrzucając mnie niecierpliwie, paramedycy uspokajają mnie w przelocie, że digoxin spożyty w nadmiernych dawkach — zdaje się, że użyli słowa „śmiertelna” — wywołuje obok innych objawów również odruchy wymiotne.

— Jakich innych objawów? — krzyczę, opierając się o ścianę. Cały pokój się kręci, wiruje.

Paramedyk, ten, który głośno trzaska gumą balonową, nie odpowiada. Zamiast tego rzuca mamę na dywan w sypialni i z gorączkowym pośpiechem wkłwa jej w ramię igłę podłączoną do brązowej gumowej rurki.

— Co pan robi? — wołam, pochylając się nad nim.

Nawet nie podnosi wzroku. — Chinidyna — odpowiada zdyszany. - Odtrutka. - Walczę z odruchem, żeby ją okryć, bo ma rozpięty szlafrok i widać jej piersi. Ogarniają mnie mdłości.

Jonesie, z udręczoną, lśniąca od potu twarzą, wpada do pokoju i kurczowo chwyta mnie za rękę. — Za żadnego mężczyznę pod słońcem nie warto umierać — szlocha.

- Mama nie umiera, Jonesie - mówię twardo.

— Nic jej nie będzie.

- Nie, to już koniec — zawodzi. — Jezusie, tym razem skończyła z sobą na dobre.

- Cicho bądź! - krzyczę. - Nie gadaj głupstw, Jonesie!

Otacza mnie swoimi masywnymi ramionami i szeptem powtarza: — Biedne dziecko, biedne dziecko. Policjant przechyla mamie głowę do tyłu i zaczyna robić sztuczne oddychanie. Drugi paramedyk, ten z fryzurą afro, przykładą dwie elektrody do jej klatki piersiowej. — Nie wyczuwam tętna! — woła do tego pierwszego.

- Dmuchaj dalej! — odkrzykuje tamten. Wszystko mi się płacze - nogi, ręce, przewody, rurki, nawet żałosna sylwetka mamy skurczona na podłodze jest jakaś zamazana i niewyraźna. Bezsilnie opieram się o Jonesie, robi mi się słabo.

- Strzel dwa razy prądem i spróbuj odessać!

— krzyczy ktoś.

- Masz dostęp do żyły?

- Tak, możemy dawać izoptin.

- No to szybko, może uda się opanować arytmie.

- Masuj dalej, zostały już tylko trzy minuty. Dawaj!

Jej ciało podskakuje bezwładnie jak szmaciana lalka, uciskane i szarpane przez czterech mężczyzn, którzy rozpaczliwie usiłują z powrotem wpompować w nią życie. Ale nawet przez mgłę łez widzę, że to na nic. Życie ucieka z niej tak szybko, że wyścig już jest przegrany.

- Oddychaj! — woła policjant na całe gardło.

— Oddychaj!

- Proszę cię! — krzyczę bezradnie. — Proszę!

Paramedyk, dotychczas rytmicznie uciskający jej klatkę piersiową, odsuwa się na bok, żeby zrobić miejsce koledze, który szybkim ruchem wtyka jej rurę do ust.

- Masuj dalej! - rozkazuje. - Serce tłucze się jak oszalałe, puls zamiera. Chyba z tego nie wyjdzie.

- Boże Wszchemogący! - zawodzi Jonesie.

- Nie! — krzyczę. — Nie!

- Nie wyczuwam tętna - odpowiada tamten.

- Ona już nie ma głowy - stwierdza paramedyk. - Minęło z piętnaście minut.

- Kończymy — mamrocze ktoś inny.

- Nie! - wołam, podbiegając do nich. - Nie odchodźcie!

- Niech pani lepiej nie patrzy - radzi policjant, przytrzymując mnie.

Jej twarz jest obrzmiała i sina, zmieniona nie do poznania. Czuję niejasno, że jacyś ludzie podnoszą mnie z podłogi patrząc na mnie ze współczuciem. Cara wpada do pokoju; płatki śniegu wciąż jeszcze oblepiają jej rzęsy i jasne włosy, po pełnych policzkach płyną łzy. Rzucą jedno spojrzenie na mamę i ze stłumionym jękiem zakrywa usta delikatną dłonią. Padając w moje objęcia, woła z płaczem: -

Kocham cię, Maggie! Nie kłóćmy się już.

- Tak — odpowiadam półprzytomnie. — Życie jest za krótkie, żeby się kłócić.

Już po wszystkim. Trzeba tylko odłączyć rurki i przewody, i porządnie spakować wszystko do czerwonej skrzynki z napisem „Zatrzymanie krążenia”. Policjant, który robił jej sztuczne oddychanie, siedzi teraz na podłodze i sam z trudem łapie oddech.

- Przykro mi - mówi cicho.

Pagery zawieszane na paskach paramedyków sygnalizują, że właśnie wydarzył się kolejny wypadek

- gdzieś, gdzie jest jeszcze nadzieja. Schylając się po sprzęt, wydają się tak przybici i zawstydzeni, że mam ochotę ich pocieszyć, zapewnić, że naprawdę robili co mogli. Ale choć w pewien makabryczny sposób jesteśmy z sobą związani na zawsze, w tym momencie po prostu nie mogę znaleźć słów. Może gdybym zaczęła ten dzień od początku, wyszła z tego pokoju i wróciła, zastałabym ją w łóżku czytającą rosyjską gazetę emigracyjną, od której zawsze zaczynała dzień. Gdybym zamknęła oczy i zaraz je otworzyła, może to wszystko okazałoby się nieprawdą.

W życiu bywają takie cierpienia, na które nie ma żadnego lekarstwa. Cara płacze z twarzą ukrytą na moim ramieniu, wpijając mi paznokcie w plecy. Jonesie wybiega z pokoju z przeraźliwym krzykiem, który będzie mi dźwięczeć w uszach do końca życia.

- Czy denatka była pani matką? - pyta policjant.

Zrozumienie tego, co powiedział, zajmuje mi całą minutę. Denatka, o której mówi, jest istotnie moją matką, nawet jeśli mówi się o niej już w czasie przeszłym. Gdyby przejście z życia do śmierci było jedynie kwestią gramatyki, niewykluczone, że drobna poprawka mogłaby odwrócić ten cały proces. Wystarczyłoby grzecznie zauważyć: „Przepraszam, ale popełnił pan błąd gramatyczny. Ona JEST moją matką”.

Policjant rzuca na mnie szybkie spojrzenie i przez jego twarz przebiega nagły skurcz bólu. — Naprawdę bardzo mi przykro, proszę pani, ale muszę znać jej wiek i nazwisko, żeby wypełnić ten formularz. Samobójstwo to sprawa dla policji.

Jakie to osobliwe, że Vera Sommers, która nigdy nie dostała nawet mandatu za nieprawidłowe parkowanie, popełniła przestępstwo. Jej ostatnim



czynem na tej ziemi był zbrodniczy zamach na własne życie. Ciekawe, co przewiduje za to kodeks karny - karę śmierci? Poza tym, co to kogo obchodzi, skoro na ulicach Nowego Jorku codziennie znajduje się zwłoki, a w Libanie trupy wrzuca się bezceremonialnie do otwartych grobów?

Paramedycy ostrożnie kładą szmacianą lalkę

o bezwładnie majtających się rękach i nogach na nie posłane łóżko. Nakrywają ją białym prześcieradłem zdobionym angielskim haftem, jednym z tych, które ubiegłej zimy kupiła na wyprzedaży u Saksa przy Piątej Alei. Kto by pomyślał, że zaledwie rok później posłuży do okrycia jej martwego ciała. Czy na jej twarzy naprawdę maluje się zdziwienie, czy tylko tak mi się zdaje? Czy zdumiewa się, jak mogła zrobić coś tak okropnego? Powiedz, że żałujesz, mamó, a wszystko będzie dobrze. Przeproś tylko, a będziesz mogła wstać - pamiętasz, tak mówiłaś, gdy byłyśmy małe i wierzyłyśmy, że nasza rodzina jest zupełnie normalna. Chowam twarz w dłoniach, próbując nie dopuścić do siebie słów, które dudnią mi pod czaszką. Mówiono mi, że kiedy człowiek tonie, całe życie staje mu przed oczami. Ale nie wiedziałam, że gdy umiera jedno z rodziców, wszystko, co kiedykolwiek powiedziało, powraca grzmiącym echem, a potem zalega przeraźliwa, dzwoniąca w uszach cisza, gorsza od samych słów. Od tej pory skazana jestem już tylko na wspomnienia. Wszelki ruch ustał, wóz się zatrzymał. Biorę głęboki oddech i szepczę do Cary: — Gdzie Steven?

Cara nie może się odwrócić. Z twarzą przyciśniętą do mojej szlocha tak, jakby serce miało jej pęknąć. I na pewno pęknie, podobnie jak moje, lecz w tym momencie mamy parę innych rzeczy do zrobienia.

386

- W szpitalu — odpowiada wreszcie, spazmatycznie łapiąc powietrze otwartymi ustami.
  - Czy byłyby panie uprzejme przejść z nami do drugiego pokoju? - pyta policjant.
  - Caro - mówię półgłosem. - Pomogę ci, ale musimy przejść do salonu.
- Drugi policjant przysuwa się, gotów ją podtrzymać. Poradzimy sobie same. Cara pociąga nosem. Eskortuję ją przez przedpokój, zupełnie jak niewidomą, i ostrożnie wprowadzam do salonu, gdzie bezsilnie opada na fotel.
- Kocham cię, Maggie - mówi, ocierając oczy.
  - Ja też cię kocham - odpowiadam, zadając sobie pytanie, czemu trzeba było aż takiej katastrofy, żeby odblokować nasze wzajemne uczucia. - Sprawdzę tylko, co się dzieje z Jonesie. Zaraz wracam.
- Jonesie zastaję na klęczkach w kuchni. Widok jej potężnej postaci, pogrążonej w modlitwie obok zmywarki do naczyń, jest lekko szokujący, ale dzisiaj wszystko jest szokujące.
- Och, Maggie - lamentuje głośno. - Co teraz będzie?
  - Nie wiem, Jonesie - odpowiadam, gładząc ją po twarzy - ale chodź usiąść z nami w salonie.
- Ocieźdale podnosi się z klęczek. - Maggie - mówi z nagłą stanowczością - nie będę pracować dla niego i tej Loretty.
- Jakiej Loretty?
  - Dla twojego ojca i tej jego kobiety, ot co. Moja noga więcej nie postanie w tym domu — oznajmia. Kładę ręce na jej potężnych ramionach. - Powiedz mi, o co chodzi. Nie rozumiem. - Ale rozumiem, i fo aż za dobrze.
  - Przez ostatnie lata przyprowadzał ją tu, ile razy twoja mama wyjechała, czy choćby została na

noc u twojej siostry. Myślał, że mi wszystko jedno, ale to nieprawda. Nie mówiłam nic twojej mamie, bo bałam się, żeby sobie czegoś nie zrobiła. - Trzęsie się od płaczu.

— Czemu nie powiedziałaś mnie albo Carze? — pytam czując, że coś mi uciska żołądek.

— Cara ma dość zmartwień z dziećmi, a ciebie ciągle nie było.

To musi być właśnie ta ostatnia - ta, która ostatecznie dobiła ich małżeństwo. Ale przyprowadzać ją tutaj, do domu mamy - do jej łóżka! Jakiego pokroju mężczyzna robi coś takiego?

„Moja żona wyjechała - powiedział mi kiedyś pewien żonaty mężczyzna. - Przyjedź na weekend do mojego domu w Hamptons". I pojechałam, bo był zabójczo atrakcyjny, a ja byłam beznadziejną optymistką.

Wszystko popsuło się nieodwołalnie od chwili, gdy mój wzrok padł na napis „LEBO” wryty w kamieniu nad bramą wjazdową. Fikuśne połączenie dwóch imion: Lea i Bob. A potem było coraz gorzej. Siedząc w kuchni, podczas gdy przyrostek „LEBO” mieszał drinki, czułam koszarne wyrzuty sumienia na widok jej garnków, patelni, fartuchów, książek kucharskich i ściereczek. Kiedy wreszcie położyłam się na jej stronie łóżka, byłam równie sucha jak zaschnięte kielichy tulipanów stojących na nocnym stoliku Lei, wśród jej kremów, toników, mleczek do twarzy i perfum. Lecz gwałt, który dokonywał się na moim ciele, był niczym w porównaniu z pogwałceniem jej prywatności. Jakiego pokroju mężczyzna robi coś podobnego? Jego gruboskórność ustępowała tylko mojej desperacji. Rozpaczliwie kogoś potrzebowałam, choćby tylko na moment, choćby naprawdę do mnie nie należał.

„Moje małżeństwo jest w zupełnym rozkładzie" - oświadczył beztrąsko. Lecz jego małżeństwo było solidne jak skała, jak napis „LEBO" wyryty w kamieniu.

Pamiętam, że zwierzyłam się wtedy Carze, która stwierdziła mądrze: „Nigdy nie powinnaś zadawać się z mężczyzną, który nie może ci dać domowego numeru telefonu".

Kochałam ją w tamtym momencie, choć było mi przykro. Jak więc mogę winić Loretę, kimkolwiek ona jest, za wiązanie jakichś nadziei z ojcem? Nie mam do tego prawa, ale winię ją i-będę ją winić do końca życia.

Podłoga nagle się zapada, wsysając mnie w czarną otchłań bez dna, gdy jakiś głos, którego sama nie poznaję, tłumaczy paramedycykom, by nie zabierali ciała do miejskiej kostnicy. - Zadzwońmy do naszego lekarza domowego i przetransportujemy ją bezpośrednio do domu pogrzebowego — mówię.

- Wpadnijcie do domu pogrzebowego - mówi jeden z nich do walkie-talkie. Drugi już jest przy drzwiach, składa nosze i zaczyna wyciągać sprzęt na półpiętro. - Przepraszam, że nie mogliśmy więcej zrobić, ale trzydzieści tabletek digoxinu to nie żarty

— usprawiedliwia się.

- Bardzo przepraszam - wtrąca policjant - ale naprawdę muszę wypełnić ten formularz.

Oczywiście, to zupełnie zrozumiałe i, tak, to ja jestem Maggie Sommers i dziękuję za wszystko - to rzeczywiście straszny cios, bo była naszą matką

- znowu ten czas przeszły — ale bardzo proszę, niech pan nie wpisuje „samobójstwo".

- Czy mogłaby mi pani podać jej imię, nazwisko i datę urodzenia? - mówi policjant.

Czemu tak trudno mi podać jej imię, nazwisko i datę urodzenia?

— Vera Sommers - wyrecza mnie Cara.

— 7 października 1918 roku.

Przed oczami miga mi nagrobna płyta: „Urodzona 7 października 1918 roku - Zmarła 29 grudnia 1982 roku”. Czy wypada poinformować kamieniarza, że w ciągu swojego życia umierała już tysiąc razy?

Czy byłoby absurdem żądanie, by wyrył na nagrobku wszystkie daty bez wyjątku

- oczywiście drobnym drukiem - zakończone tą ostatnią, na samym dole? Och, mamó, gdybyś tylko poczekała jeszcze jeden dzień, mogłabyś poznać Aviego. Aviego, który przylatuje do Nowego Jorku już jutro - o jeden dzień za późno. Nigdy nie pozna mamy i sama nie wiem czemu, na myśl o nim łzy cisną mi się do oczu.

Cara poklepuje mnie po ręce. - Spróbuj się trzymać, Maggie — prosi szeptem.

Komisarz Ghorty jest bardzo sympatyczny, posterunkowy Rambusto także.

— Państwa lekarz domowy może wypisać kartę zgonu. Na pewno zna całą obowiązującą procedurę.

Do tego czasu wpisuję tu: „zatrzymanie krążenia”.

— Dziękuję panu. - Wydmuchuję nos.

— To bardzo miło z pana strony — mówi Cara łamiącym się głosem.

— Pójdziemy już, chyba że moglibyśmy się paniom przydać — mówi komisarz Ghorty.

— Nie trzeba, damy sobie radę — odpowiadam, ocierając oczy. — Jeszcze raz dziękuję.

— Odprowadzę panów. - Cara, zawsze wzorowa pani domu, podnosi się z miejsca. Jonesie wychodzi za nią.

390

Kiedy wracają do pokoju, Cara przypomina dzikie zwierzę. Jej drobne nozdrza drgają, a oczy lśnią zimnym blaskiem, jak dwa niebieskie kamyki.

- Jonesie właśnie powiedziała mi o Ldretcie.

- Jesteś zaskoczona?

- Nie, tylko wściekła, że nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by nie przyprowadzać jej do domu. Nie troszczył się nawet, żeby te dwie sprawy od siebie oddzielić. Ten jego korowód bab ją zabił i nigdy mu tego nie wybaczę.

- Nie było żadnego korowodu — zaprzecza Jonesie stanowczo - tylko ta jedna, odkąd byliście małże. A więc to już stara znajoma. Ciekawe, czy to ona kryła się za tamtą Niedzielą Wielkanocną i tym wieczorem w szpitalu?

Cara przygląda mi się z troską. - Maggie, jesteś strasznie blada, po prostu zielona!

- Niewykluczone, że na domiar złego złapałam grype. Myślicie, że to ta sama?

- To znaczy, która?

- No, wiesz. Ta, którą miał, odkąd byliśmy małże.

- Tak mi się zdaje - mówi Jonesie. - Odkąd pamiętam, była tylko ta.

Cara znowu zaczyna płakać. - Nigdy mu me przebaczę!

- Och, Caro! - podbiegam do niej.

- Lepiej zadzwoń po doktora Mandla - mówi, pociągając nosem - a ja zawiadomię Stevena. - Ale gdy tylko się odwracam, chwyta mnie za ramię. - Och, Maggie! - woła z rozpaczą - Co teraz zrobimy?

„Co teraz zrobimy?” nie jest prostym pytaniem. Umożliwia bogaty wachlarz odpowiedzi. Chwilowo  
391

jednak próbuję się skupić na praktycznym aspekcie sprawy, gdyż stoimy wobec konkretnego problemu, a mianowicie — mama wciąż leży w łóżku, rzecz dla niej normalna, nawet o drugiej po południu, z tą drobną różnicą, że dzisiaj jest martwa. Z racji swojego zawodu miałam okazję zetknąć się z tą mroczną stroną życia i napatrzeć ludzkich zachowań, nierzadko sprzecznych z zasadami dobrego wychowania. Innymi słowy, najgorsze jeszcze przed nami. Wiem jednak, że nie ma sensu straszyć Cary, uprzedzać ją, iż druga faza tego koszmaru będzie jeszcze trudniejsza do zniesienia niż pierwsza.

— Musimy się trzymać i jakoś przebrnąć przez to wszystko - stwierdzam.

— Maggie - zauważyła ona z osobliwym wyrazem twarzy. — Zapomniałyśmy o czymś.

— O czym?

— Ktoś powinien zawiadomić ojca, nie sądzisz? Trudno się dziwić, że wcześniej tego nie zrobiliśmy, a teraz jeszcze mniej się do tego palimy.

Carze udało się dodzwonić do Stevena na oddział psychiatryczny New York Hospital. Usłyszawszy co się stało, w pierwszej chwili zaniemówił, lecz gdy tylko odzyskał głos, zatroszczył się o rzecz dla siebie najważniejszą, czyli o nas.

— Właściwie mam dużo szczęścia — stwierdza Cara w zamyśleniu. - Jest naprawdę bardzo oddany.

— Dlaczego tak się na niego wściekałaś w Arabie?

— Miałam do niego pretensję, że znowu zaszłam w ciążę. Wiem, że to głupie, ale tak właśnie było.

— Chciałaś mieć jeszcze jedno dziecko?

— I tak, i nie — odpowiada Cara z nieznacznym uśmiechem. - Nie wiedziałam, czym zapełnić sobie czas, odkąd dzieci poszły do szkoły. Chyba w grun-

cie rzeczy przerażała mnie myśl o pójściu do pracy. Zresztą, po co miałabym zmieniać zawód, w którym już się sprawdziłam?

— A jakby odwrócić kolejność? — pytam. — Sprawdzić się w pracy zawodowej, a potem zostać matką.

Cara spogląda na mnie ciekawie. — Czyżby cię to interesowało?

— Kto wie — odpowiadam, spuszczać oczy.

— No cóż, kobiety, które decydują się na taką kolejność, przeważnie rodzą dziecko po trzydziestce, z wyboru, a nie z przypadku. Naprawdę tego chcą.

Doktor Mandel był nie mniej wstrząśnięty od Stevena i zapewnił mnie, że przyjedzie najdalej za pół godziny.

— Omal się nie rozpląkał w słuchawkę. Nie przypuszczałam, że tak się tym przejmie.

— Znali się od młodości — zauważa Cara.

— Tak, ale wiesz, jaka z niego zimna ryba.

— Co powiedział?

— Właśnie o to chodzi. Nie był w stanie wydobyć głosu. Wybełkotał tylko, że każe Loretcie odwołać wszystkie popołudniowe wizyty, czy coś w tym rodzaju. Trudno go było zrozumieć.

Cara zmrużyła oczy. — Loretcie? Jakiej Loretcie?

— Swojej pielęgniarki. — Pomyśleć, że sama na to nie wpadłam.

Doktor Hyman Mandel, nieskazitelnie ubrany, w beżowej tweedowej marynarce, jasnobrązowych spodniach i miękkim wełnianym płaszczu z jedwabistym połyskiem, wchodzi do przedpokoju z wyrazem głębokiego przygnębienia na suchej, ogorzałej twarzy. Mandel, szkolny kolega ojca z dzielnicy, której nazwę obaj taktownie przemilczają, odbył



praktykę lekarską w Londynie, skąd przywiózł brytyjski akcent, upodobanie do grzanego piwa i osobliwy kult rodziny królewskiej. Hyman — lew salonowy, wieczny kawaler do wzięcia, stwierdził kiedyś: „Nieważne ile mężczyzna ma lat, jak długo jest nieżonaty”.

Nigdy za nim nie przepadałyśmy, odrzucałyśmy nawet zaproszenia na weekend do letniego domku rodziców, jeśli usłyszałyśmy, że on tam będzie.

— Nie cierpię jak nazywa mamę „Wieruszka” i udaje, że interesuje go wyłącznie rubryka artystyczna i towarzyska „Timesa”.

— Śmierdzi „Aramisem” jak stara kokota i rozprawia o członkach rodziny królewskiej w taki sposób, jakby byli jego krewnymi — narzekałyśmy zgodnie.

Niemniej jednak, na mocy niepisanej umowy wszyscy troje zachowywaliśmy uprzejme pozory przyjaźni. Mimo wszystko nie mogłyśmy się bez niego obejść, ponieważ był tak oddany mamie i tak chętnie odciążał nas od wszystkich kłopotów z nią związanych.

— Caro, Maggie — mówi teraz nosowym głosem, jak zwykle naśladując księcia Filipa — jestem zdruzgotany. — I mimo całej afektacji wyraźnie nie kłamie, bo płacze jak dziecko.

— Dziękuję — odpowiadam.

— Jesteś kochany, że przyjechałeś — dorzuca Cara.

Jego żal jest niewątpliwie szczery, aczkolwiek ten teatralny wybuch uczucia sprawia dość osobliwe wrażenie.

— Gdzie ona jest?

— Tam — wskazuje Cara, usuwając się na bok. Hyman podaje mi płaszcz, a potem wielkimi krokami wchodzi do sypialni.

Cara widać też nie wie, co sądzić o jego nietypowym zachowaniu, bo wymownie wzrusza ramionami i potrząsa głową. Nagle dobiega nas głośny jęk, potem przeszywający krzyk, a wreszcie stłumione łkanie.

— Może nie powinniśmy go tak zostawiać — mówię niepewnie.

— Nie mogę tam wejść, Maggie — stwierdza Cara. — Idź sama.

— Dobrze się czujesz, Hy? - pytam, stając przy nim.

— To takie straszne. Jeszcze wczoraj z nią rozmawiałem.

Kiwając potakująco głową widzę, jak odkrywa mamę i ostrożnie przyciska lśniący stetoskop do jej piersi, a dwa drżące palce do jej tętnicy szyjnej.

— Niestety, nie żyje - oznajmia, znowu rozplývając się we łzach.

Zaiste błyskotliwa diagnoza. - Jeśli to dla ciebie za trudne, może mogłybyśmy...

Powstrzymuje mnie gestem. - Nie, nie, wszystko w porządku — pociąga nosem. — To tylko przez to, że jest taka sina...

Które z nas nie jest. - Przecież możesz wypełnić ten formularz w drugim pokoju - sugeruję. Wypisanie karty zgonu wyraźnie przekracza jego siły. Rzuca długopis i zachłystując się płaczem, zakrywa twarz dłońmi. — Okropnie mi przykro. Może rzeczywiście lepiej wyjdźmy.

Chwiejnym krokiem opuszcza sypialnię, nie sprawdzając nawet, czy idę za nim. Wszedłszy do salonu kieruje się prosto do kredensu pod oknem, na którym stoją kryształowe karafki. Cara śledzi, jak drżącą ręką nalewa szczodrą porcję sherry do pękatego kieliszka, który znalazł na jednej z półek.

— Policjant wpisał zatrzymanie krążenia — mówi nieśmiało.

— Przyzwoity chłop — ożywia się Mandel. — Ona ma już dość problemów.

A ja sądziłam, że śmierć to problem żyjących.

— Czy mam zawiadomić Regency? — pyta Hyman, wyraźnie pokrzepiony sherry.

Regency to najbardziej eksk<sup>z</sup>zywny ze wszystkich domów pogrzebowych, w dodatku usytuowany w bliskim sąsiedztwie. W naszej dzielnicy znaleźć można wszelkie potrzebne usługi. Jest tu sklep spożywczy Gristede'a, sklep mięsny pana Irvinga, gdzie co czwartek kupuje się polędwicę wołową na pieczeń oraz cukiernia Antoine'a, specjalizująca się w musie czekoladowym i sernikach o niskiej zawartości cholesterolu. Jest i luksusowa pralnia, gdzie upranie sukienki kosztuje prawie tyle, co sama sukienka, a także zakład Sajgon prowadzony przez dwóch braci Wietnamczyków, którzy nadal chodzą w polowych kurtkach amerykańskiej piechoty morskiej i oddają koszule ojca na ładnych białych plastikowych wieszakach, których mam sporo w szafie. Jest też kwaciarnia, gdzie przystojny Grek i jego nie mniej atrakcyjny syn co tydzień pieczołowicie układają kompozycje ze świeżych kwiatów, zdobiące apartament państwa Sommersów. Lecz jakkolwiek przydatne byłyby owe zakłady dla mieszkańców tej zamożnej części miasta, żaden z nich nie budzi takich emocji jak Regency. W promieniu kilometra nie ma ani jednej osoby, która nie wiedziałaby, że ostatecznym zakupem, ostatnią z wszystkich usług, będzie przewóz jej zwłok do tego właśnie domu pogrzebowego.

— Byłybyśmy wdzięczne, gdybyś mógł do nich zadzwonić, Hy — mówię.

— Przepraszam cię na chwilę — dodaje Cara, ciągnąc mnie za rękę. - Musimy z Maggie wyjść do łazienki.

Podnosząc słuchawkę, Mandel obrzuca nas podejrzliwym wzrokiem.

Znowu jesteśmy nastolatkami, szum płynącej wody tłumi nasze ukradkowe szepty.

— Nie rozumiem, czemu jest taki roztrzęsiony

— zauważa Cara, siadając na klapie deski klozetowej. — Myślisz, że wie o Loretcie?

— Nie mam pojęcia — odpowiadam, opierając się o umywalkę. — Nie rozumiem, jakim cudem same jeszcze się trzymamy.

Cara odgarnia z twarzy kosmyki włosów. Jej ogromne błękitne oczy znowu wzbierają łzami.

- Wiedziałam, że prędzej czy później do tego dojdzie.

— Jak możesz tak mówić?

— Bo to prawda — stwierdza rzeczowo. — wie byłaś tutaj i nie widziałaś, co się z nią działo. W ostatnich latach zachowywała się naprawdę zupełnie jak obłąkana.

— Jesteś na mnie zła.

— Nie — odpowiada Cara ze znużeniem. — Już nie jestem, ale chyba rzeczywiście byłam. Uciekłaś od niej, odcięłaś się od nas wszystkich. Wydzwaniała do mnie codziennie o siódmej rano, płacząc i skarżąc się na ojca. Nie mam pojęcia, jak Steven to znosił, bo odnosiła się do niego okropnie, wprost obraźliwie. Była bardzo trudna, a przecież miałam na głowie dzieci i samochód, i dom, i Stevena. Nie było mi lekko.

— Czemu do mnie nie zadzwoniłaś, nie poprosiłaś o pomoc?

Cara parska krótkim śmiechem. — Gdzie miałam cię szukać? Przeważnie nie wiedziałam nawet, gdzie jesteś.

397

— Zawsze mogłaś mnie odszukać przez biuro.

— Jak to sobie wyobrażasz? Miałam im powiedzieć, żeby wywołali cię z jakiejś islamskiej konferencji w Jemenie Południowym? Daj spokój, Maggie. Dobrze wiesz, że nie było jak cię zawiadomić. Specjalnie tak to urządziłaś.

— Przyznaj się, jesteś zła.

Ona niecierpliwym gestem wyrzuca ręce w górę. — W porządku, jestem zła. I co z tego? Jakie to ma teraz znaczenie? — Kręci głową. — W gruncie rzeczy mam większą pretensję do siebie niż do ciebie. Nie mogę sobie darować, że byłam taka głupia.

— Dlaczego uważasz, że byłaś głupia?

— Bo przez te wszystkie lata starałam się za wszelką cenę być dobrą córką, kosztem własnego życia. Czuję się dotknięta. — To niby ma znaczyć, że ja byłam złą córką?

Ale ona zaczęła już wyrzucać z siebie wszystkie zadawnione żale. — Nie, Maggie. Byłaś cholernie mądrą córką, bo robiłaś, co ci się żywnie podobało i beztrósco zrzuciłaś na mnie wszystkie rodzinne kłopoty.

— Szkoda, że szczerze ze mną nie porozmawiałaś. Ciągle dzwoniłam, ale kiedy pytałam o mamę czy twoje dzieci, zawsze odpowiadałaś, że czują się świetnie. Zupełnie, jakbyś umyślnie próbowała mnie od wszystkiego odsunąć.

— Nigdy nie byłyśmy ze sobą blisko — odpowiada ona niepewnie — może to dlatego. A może trochę się bałam, że przejmiesz moją rolę, a wtedy nie zostanie mi... — Urywa.

— Nic? — dopowiadam cicho. — Czy to właśnie myślałaś?

Obydwie uśmiechamy się przelotnie, nie patrząc na siebie.

— Oni cię kochali — stwierdza Cara zaczepnym tonem.

— Czyżby? — Czyżby naprawdę mnie kochali, kiedy byłyśmy małe? — Wszystko zawsze było na mnie, wszystko bez wyjątku. Nawet jeśli ciebie przyłapali na gorącym uczynku, zwałali winę na mnie. Twierdzili, że to ja musiałam cię namówić.

Cara lodowacieje. — Dlaczego mam się nad tobą litować? — pyta stłumionym głosem. — Z jakiej racji? Ostatecznie zrobiłaś karierę i jeździsz sobie po świecie.

— To też masz mi za złe?

Atmosfera robi się napięta, jak zawsze, gdy potracamy tę strunę. Przez dłuższą chwilę panuje cisza. Obydwie lękamy się, że tym razem posunęłyśmy się za daleko, straciłyśmy zdolność odczuwania dla siebie czegokolwiek — choćby nawet wrogości. Ale potem spoglądamy sobie prosto w oczy, zastanawiając się, jak nawiązać przerwany dialog. Cara podchodzi do umywalki i spryskuje twarz wodą. Przez chwilę patrzy w lustro, a potem przenosi spojrzenie na mnie. — Chyba byłam dla ciebie niesprawiedliwa. — Milknie na sekundę. — Nie powinnam cię obwiniać tylko dlatego, że jestem zazdrosna.

— Czemu miałabyś mi zazdrościć? Przecież mogłaś robić to samo co ja, tylko wybrałaś co innego.

— Zdaje mi się, że im większe odnosiłaś sukcesy, tym bardziej traciłam wiarę w siebie — mówi ona powoli. — Chyba zapomniałam wszystko, co umiałam.

Chcę wybić jej z głowy te urojenia, postawić sprawy jasno. Ale jasność nigdy nie była podstawą naszych

wzajemnych stosunków. Dlaczego więc teraz miałyby być inaczej? — Caro, w każdej chwili możesz wziąć się za pracę, a jednocześnie mieć rodzinę. Nie zaznałaś tego, co ja.

— Czego?

— Samotności.

Cara otacza mnie ramionami. — Wiesz, ja też nieraz czuję się samotna, nawet wśród swoich umorusańców.

— Potrzebuję siostry — mówię, ściskając ją. Ona wzdycha głęboko, z ulgą. - Ja także - odpowiada. Rozlega się pukanie do drzwi. — Kto tam? — woła Cara.

— Steven.

Cara otwiera drzwi niecierpliwym szarpnięciem i pada w ramiona męża. — Jak dobrze, że już jesteś. Unosi głowę znad jego ramienia i nasze oczy się spotykają. W spojrzeniu, które wymieniamy, maluje się zrozumienie odmiennych radości i smutków, jakie przypadły nam w udziale.

Steven wlepia w nas wzrok, zakłopotany widokiem naszych splakanych twarzy i potarganych włosów. Wyraźnie nie wie, co o tym sądzić, lecz prawdę powiedziawszy, wyobraźnia nigdy nie była jego najmocniejszą stroną.

— Jesteś chora, Caro, czy tylko zdenerwowana? Ona zerka na mnie. — Tylko zdenerwowana, a poza tym łazienka zawsze była dla nas szczególnym miejscem, prawda, Maggie?

Steven nie wie, jak zareagować, czuje się outsiderem. — A ty, Maggie — pyta solennie — trzymasz się jakoś?

— Tak — odpowiadam, przemywając twarz zimną wodą. Cara nadal stoi wtulona w jego

objęcia i wydaje się teraz jakby mniejsza, bardziej bezbronna.

— Czy Mandel zawiadomił Regency? — pyta, odsuwając się od niego.

— Jest w dość kiepskiej formie, więc sam zadzwoniłem. Prosili, żeby ktoś z rodziny przyszedł załatwić potrzebne formalności. Mam to zrobić?

— Nie, my pójdziemy — odpowiadamy jednocześnie.

Kurczowo zaciskam dłoń, bo siły zaczynają odmawiać mi posłuszeństwa. Nagle ogarnia mnie niehumanne zmęczenie, mam uczucie, jakby tylko pięć lat snu mogło przywrócić mi energię. — Jest coś, co możesz zrobić — mówię.

— Co takiego?

— Zadzwonić do ojca i powiedzieć mu, co się stało.

Steven jest zdziwiony. — Chcesz powiedzieć, że jeszcze tego nie zrobiliście? On nic nie wie?

Cara kiwa głową. — Byliśmy zbyt zdenerwowane.

Steven trze podbródek w zamyśleniu. — Nic mu nie powiedziałyście? — Spogląda na mnie z wyrzutem.

— Nie — odpowiadam, wychodząc z łazienki.

— Chyba po prostu za mało go lubię, żeby przekazać mu tak dobrą nowinę.

Cara chichocze. — Ona nie mówi serio. Steven jest nadąsany, znowu czuje się outsiderem.

— Naprawdę?

Nie zatrzymując się rzucam przez ramię: — Sam powinieneś wiedzieć, Steven. Jesteś przecież lekarzem dusz, no nie?

Dom pogrzebowy Regency w niczym nie przypomina kostnicy. Reprezentacyjny salonik wysłany pastelowoniebieską wykładziną dywanową zdobia



kryształowe żyrandole i stylowe reprodukcje z czasów królowej Anny. O charakterze tego miejsca świadczą jedynie przepisowo żałobne miny pracowników oraz posepne dźwięki organów dobiegające zza szeregu zamkniętych drzwi. Idąc w dół po schodach za niskim jasnowłosym mężczyzną, nie czujemy zapachu formaldehydu, żaden szmer nie dobiega z piwnicznych pomieszczeń, w których spoczywają nieodżałowani zmarli. Mimo to wyobraźnia podsuwa mi niepokojące obrazy, gdy wędrujemy labiryntem korytarzy wyłożonych grubą, tłumiącą kroki wykładziną, aby wreszcie wejść do obszernego słonecznego gabinetu.

— Pozwolą panie złożyć sobie głębokie wyrazy współczucia — mówi pan Lance, pochylając się w dyskretnym ukłonie. - Która z pań jest pogrążona w żałobie? - Gdyby przyznawano nagrody za najbardziej niedorzeczne pytanie dnia, to niewątpliwie odniosłoby całkowite zwycięstwo. Cara, z gąbczastą twarzą i zapuchniętymi od płaczu szparkami oczu, wygląda jakby właśnie sforsowała rzekę Tygrys straciwszy całą załogę w paszczach krokodyli-ludojadów. Ja natomiast nie mogę się powstrzymać od nerwowej czkawki, która męczy mnie od chwili, gdy dwóch pracowników Regency przyszło z upiornymi czarnymi noszami, żeby zabrać ciało mamy.

— Obydwie — odpowiadam walcząc z czkawką.

— Moje najszczerze kondolencje — powtarza, z ponownym ukłonem. - Była pań matką. Oczywiście. Teraz dostrzegam podobieństwo. I rzecz jasna, pragną panie ofiarować jej pogrzeb godny prawdziwie wytwornej osoby, jaką była.

Cara demonstracyjnie opada na fotel, jakby

chciała powiedzieć: „Na mnie nie liczcie”. — Moja siostra się tym zajmie — oznajmia.

Dzięki za ten przywilej, myślę, ważąc w duchu plusy i minusy bycia siostrą.

— A zatem pozwolę sobie przystąpić do rzeczy.

— Pan Lance zwilża kościsty palec szpiczastym językiem i przewraca strony lśniącego katalogu.

— Mamy tu rozmaite trumny wraz z cenami, a pod spodem całościowy koszt pochówku, obejmujący zabalsamowanie zwłok, wystawienie ciała w wieczór przed pogrzebem, ceremonię pogrzebową plus muzyka i oczywiście koszt przewiezienia pani matki oraz najbliższej rodziny na cmentarz trzema limuzynami, z tym, że jeśli w grę wchodzi odległość większa niż pięćdziesiąt pięć mil, pobieramy dodatkową opłatę. — Ten człowiek budzi we mnie jednoznaczną niechęć, lecz wieloletnia tresura towarzyska działa — skwapliwie zapewniam pana Lance'a, że jego wyjaśnienia są nadzwyczaj pomocne.

On nabiera w płuca powietrza, lekkim ruchem odgarnia kosmyk srebrnych włosów ze stalowoniebieskich oczu i kontynuuje: — Grabarzy zapewnia administracja cmentarza. Teraz, jeśli pani pozwoli, pokażę pani nasz wybór trumien.

Wstając muszę chwycić się oparcia, żeby odzyskać równowagę.

Pan Lance nakręca swój złoty zegarek z dewizką, przykłada go do ucha. — Są panie gotowe?

— Przypuszczam, że wolisz tu poczekać?

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Maggie

— odpowiada Cara pokornie. — Nie czuję się zbyt dobrze.

— Jestem ci to winna, prawda? — mówię, poklepując ją po głowie.

Kolejny atak mdłości chwyta mnie, kiedy idę za nim do słabo oświetlonego pokoju, pachnącego drewnem sosnowym i cedrowym, w którym stoi całe mnóstwo trumien. To nagle staje się rzeczywiste, brutalna prawda uderza mnie obuchem między oczy. Mama nie żyje, a ja wybieram dla niej trumnę.

— Proszę pana... — zaczynam.

— Rozumiem,— mówi z dobrocią, biorąc mnie za ramię.

Wolno wracamy do jego gabinetu; z wdzięcznością opieram się na jego ramieniu.

— Decydujemy się? — pytam, siadając obok Cary.

— Tak — odpowiada, prawie nie poruszając wargami.

Biorę głęboki oddech. — Bardzo proszę, żeby wydał pan wszystkie potrzebne dyspozycje i...

— Wszystkie dyspozycje zostały już wydane — stwierdza on z lekkim zdziwieniem. — Pozostało tylko wybrać trumnę. Widzą panie, tamtego dnia nie zostało już na to czasu. O ile sobie dobrze przypominam, była tu we wtorek. Śpieszyła się. Powiedziała że jest z kimś umówiona.

Oczy Cary rozszerza strach, strach przed czymś, czego wolałaby nie wiedzieć.

— Niech pan przestanie — mówię, lekko dotykając jej dłoni.

Pan Lance kiwa głową potakująco. — Przyślę paniom rachunek.

Cara mocno trzyma się mojego ramienia, kiedy krok za krokiem wracamy do mieszkania rodziców, drobiąc po śliskim jak szklanka chodniku. Ostre podmuchy wiatru, zacinające od przodu, orzeźwiają mnie i dodają sił, gdy zgięta wpół brnę naprzód, by stawić czoło następnej fazie koszmaru.

— Zamówiła własny pogrzeb — mówi Cara cicho. — Dlaczego?

— Znasz mamę. Zawsze uważała, że nic nie będzie zrobione jak należy, jeśli osobiście tego nie dopilnuje.

Jonesie otwiera nam drzwi. W odpowiedzi na moje pytanie wyjaśnia, że telefonowano już z domu pogrzebowego. — Posłałam im jej białą brokatową suknię z guziczkami ze sztucznych diamentów.

— Cara powoli blednie, a Jonesie ciągnie: — Prosilili też o jej fotografię, żeby zobaczyć, jak wyglądała...

— Przestań, Jonesie. — Steven wchodzi do przedpokoju. Bierze żonę pod ramię i wprowadza ją do salonu.

— Dzwoniłeś do ojca? — pytam, idąc za nimi.

— Tak, już tu jedzie.

— Co powiedział? — pyta Cara.

— Był zaszokowany, chyba mi nie uwierzył. Cara, przed chwilą bliska omdlenia, prostuje się nagle. — To wszystko? Nie powiedział nic innego?

— A co miał powiedzieć, Caro? — pyta Steven łagodnie.

Cara milknie.

— Co tu można powiedzieć? Nie ma nic do powiedzenia — konkluduję.

Trzeba pozalać różne telefony, przygotować listę gości, ułożyć nekrolog i wysłać go do gazet. Są tysiące rzeczy do zrobienia przed pogrzebem, do którego pozostały już niespełna dwadzieścia cztery godziny. Cara i Steven siedzą na kanapie i zapisują nazwiska w żółtym bloczku, podczas gdy ja siedzę po turecku na podłodze, przeglądając kalendarzyk mamy. Zastanawia mnie pewna notatka, litera „H” regularnie pojawiająca się w każdy wtorek i czwartek między godziną piątą a siódmą wieczorem.

Mam

zamiar im o tym powiedzieć, lecz w tym samym momencie przypomina mi się list. Sięgam do kieszeni i wyciągam różową kopertę. — Niemal zapomniałam — mówię. — Zostawiła to.

Zaczynam otwierać kopertę, aby odczytać ostatnie przesłanie Very „do wszystkich zainteresowanych”, co przypuszczalnie oznacza najbliższą rodzinę, kiedy drzwi otwierają się z impetem i ojciec wpada do mieszkania.

Jest czerwony na twarzy i wyraźnie zdenerwowany. — Co się dzieje, do wszystkich diabłów?

— Nie żyje — informuje go Mandel od niechcenia. — Steven ci nie mówił?

Ojciec siada, szczupły, wysportowany, młodzieńczy. Od lat nie wyglądał tak dobrze. — To niepojęte — mówi, rozglądając się po pokoju. — Zostawiłem ją dopiero dzisiaj rano.

— Słyszeliśmy — odpowiada Cara zimno.

Ojciec jest widocznie zdziwiony jej tonem. Zaczyna przeczuwać, że stracił swojego jedyne go sprzymierzeńca. Ktoś mu go podstępnie ukradł.

— To znaczy, chciałem powiedzieć... — płacze się.

— Wiemy, co chciałeś powiedzieć — odpowiadam. Ale wtedy on dziwnie się rozjaśnia, staje się niebezpiecznie opanowany. Zlokalizował wroga.

— Zawsze przysparzałaś mi samych zmartwień i kłopotów. Widzisz, co się dzieje, kiedy tylko wracasz do domu i mama spędza z tobą popołudnie?

Steven reaguje błyskawicznie. — Alanie, wszyscy jesteśmy zdenerwowani, oględnie mówiąc. Ale nie ma sensu czepiać się Maggie. To ci nie pomoże. Będiesz się potem czuł jeszcze gorzej, możesz mi wierzyć.

— Oszczędź mi swoich tanich porad.

— Steven ma rację — wtrąca Mandel — wszyscy jesteśmy zdruzgotani.

— Wcale nie jestem pewna, czy wszyscy — mówi Cara.

Ramiona ojca jakby obwisły pod ciężarem pogardy brzmiącej w jej głosie. — Caro — zaczyna błagalnym tonem — proszę cię...

- Tym razem to na nic, tato — mówię, biorąc ją za rękę. — Wszyscy dobrze wiemy, co zrobiłeś. Jak ją do tego doprowadziłeś.

On pochyła się naprzód, jego dłoń przecina powietrze, gdy mówi: — Jesteś dla mnie niczym, rozumiesz? Nic, co powiesz, nie ma dla mnie żadnego znaczenia i ona czuła to samo. To była jedyna rzecz, w której byliśmy zgodni: że jesteś dla nas niczym.

To był już koniec. Miałam wrażenie, jakby nagle coś we mnie pękło. Nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem, nie zrobiłam czegoś tak okropnego i nie mam żadnego usprawiedliwienia, prócz tego, że wszystko, co nagromadziło się we mnie przez trzydzieści cztery lata, nagle eksplodowało z dziką siłą. Małżeństwo z Erykiem, które wlokło się w nieskończoność, terroryści z granatami zabijający Joego wciąż od nowa, okrążający Aviego Herzoga, by odebrać mi go na zawsze. Bezsensowne życie mamy i jej jakże wymowna śmierć. To wszystko wybuchło we mnie teraz z niepowstrzymaną siłą i nic mnie nie obchodziło, co będzie potem.

Rzucając się na ojca, uderzam go w twarz tak mocno, że pokazuje się krew. — Ty draniu! — krzyczę. — To wszystko przez ciebie. — Lecz w głębi duszy już oplakuję swój nierozumny postępek, bo przecież wszyscy jesteśmy winni, wszyscy bez wyjątku.

A potem Steven jest przy mnie i przytrzymuje mi ręce z siłą zdumiewającą u tak szczupłego mężczyzny.

— Maggie — mówi spokojnie — to nie jest ciebie godne.

Ojciec małym palcem ociera krew sączącą się z kącika ust. — Żałuję, że to zrobiłaś, Maggie — stwierdza cicho — bo wiem, że potem będzie ci jeszcze bardziej przykro niż mnie. — Wyciąga chusteczkę i ociera usta, z których nadal płynie krew.

Więc jednak otrzymałam rozgrzeszenie. — Przepraszam — mówię z łkaniem — przepraszam. Ale w tym pokoju mam mściwego sojusznika.

— Ona ma rację — stwierdza Cara spokojnie.

— Zabiliście ją, ty i twoja Loretta.

Reakcje ojca następują szybko: lekkie, prawie niedostrzegalne drganie szczęki, suchy kaszel, a wreszcie zdecydowane wyparcie się. — Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Daj spokój — mówię do Cary — nie warto. Steven rozluźnia uścisk, prowadzi mnie przez pokój i sadza na kanapie. — Przeczytaj teraz list, Maggie — mówi łagodnie. Odgarniam włosy z oczu i kiwam głową.

— Chcecie, żebym wyszedł? — pyta Mandel drżącym głosem.

— Nie. Zostań, Hy — prosi Cara przez łzy.

Ojciec rzuca na nią piorunujące spojrzenie, z którego widać, że po raz pierwszy w życiu żywi jednakowe uczucia dla nas obu. — Jestem pewien, że to, co ona ma nam do powiedzenia, bardzo zainteresuje naszego doktora.

Nabieram powietrza w płuca. Znowu zaczyna mnie mdlić. — Już?

Hyman zaczyna coś mówić, ale milknie raptownie.

— Czytaj, Maggie — nakazuje Steven.

*Drogie Caro i Marguerite! Tak naprawdę, ten list dotyczy tylko Was obu i tylko Wy będziecie w stanie zrozumieć, jak ciężko mi go napisać. Właściwie to jedynie Marguerite będzie w stanie zrozumieć, Cara z pewnością wpadnie w histerię. To życie - nie mogę już znieść tego życia, toteż postanowiłam — nie, zacznę jeszcze raz, bo przekreślenia są w złym guście. Nic nie postanowiłam, ale zwyczajnie nie mam już siły dalej ciągnąć tego życia, więc uznałam, że lepiej będzie je zakończyć. Mogłabym wymienić z milion powodów, dla których to robię, ale na pewno wydałyby się Wam niezrozumiałe czy mało istotne. Wszystko zaczęło się od noży kuchennych i apteki oraz faktu, że noże były tępe, a farmaceuta nie chciał przyjąć mojego czeku, oraz tego, że czasy się zmieniły. Kiedy byłam małą dziewczynką, po podwórkach chodził pewien człowiek z dzwonkiem — dzwonił tym dzwonkiem i czekał, aż okna od podwórza pootwierają się jedne po drugich, jakby ktoś trącił rząd stojących pionowo kostek domina, i wtedy szedł od mieszkania do mieszkania ostrząc wszystkie noże kuchenne i nożyczki. Wczoraj płakałam nad swoimi tępymi nożami i żałowałam tego małego człowieczka i jego potomków, którzy teraz niewątpliwie obsługują komputery w czeluściach jakiejś wulgarnej korporacji. Tak więc, poszłam do apteki zrealizować parę recept i tam jakiś niedomyty, obrzydliwie ugrzeczniony młody człowiek odmówił przyjęcia mojego czeku, ponieważ nie miałam prawa jazdy. Skąd, na Boga, miałam wziąć prawo jazdy, skoro w życiu nie prowadziłam samochodu? I co to ma*

*wspólnego z moim*



*kontem bankowym? Czy to dostateczne powody, żeby nie chcieć dalej żyć, spytacie zapewne. A jednak są dostateczne i pozostają w ścisłym związku z pustą tubką po kremie do depilacji, którą znalazłam w koszu na śmieci w łazience, i z brakującym guzikiem w kształcie skarabeusza od turkusowej jedwabnej podomki, którą kupiłam w Paryżu trzynaście lat temu, co naprowadza mnie na Loretę Buonovista. Wasz ojciec obudził się dzisiaj rano i oświadczył, że ode mnie odchodzi. Następnie zakomunikował mi, że nie tylko mnie porzuca, lecz również kocha inną kobietę. Byłam wstrząśnięta nie tyle jego przyznaniem się do zdrady i zamiarem porzucenia mnie po trzydziestu ośmiu latach małżeństwa, co faktem, że uznał za konieczne poinformować mnie o tym o siódmej trzydzieści rano. Patrzyłam na tego mężczyznę, mężczyznę, którego przez tyle lat kochałam bardziej niż życie, mężczyznę, który sprawił mi tyle rozkoszy i tyle bólu, ojca moich dwóch córek, i nie mogłam zrozumieć, co się z nim stało. Widziałam jego przerzedzone włosy zaczesane na bok, żeby przykryć łysinę, medaliki wiszące na jego szyi - jeden krzyż, jedna Gwiazda Dawida, jeden egipski klucz życia i jedna Matka Boska Fatimska, o ile się nie mylę - i próbowałam sobie przypomnieć, w którym momencie zaczął tak wyglądać, jak również ubierać się w młodzieżowe golfy, džinsy i marynarki tweedowe z łatanami na łokciach. A kiedy jeszcze wyjaśnił, że chce rozwodu, aby „uczynić zadość swoim pragnieniom i nareszcie wyzwolić się z więzów”, o mało nie zemdlalam. Rzecz jasna nie musiałam znajdować pustej tubki po kremie do depilacji, aby*

*się domyśleć, że od lat ma romans z pielęgniarką Hymana Mandla (aż do niedawna miała gęsty zarost nad górną wargą, mniej więcej do czasu, gdy znalazłam tę tubkę w swoim koszu na śmieci).*

*Ioczywiście nie musiałam widzieć swojego guzika w kształcie skarabeusza w popiel- niczce na jej biurku, podczas wizyty w klinice Hy'a, aby wiedzieć, że nosiła moją turkusową podomkę i przypuszczalnie oderwała od niej jeden guzik. Wasz ojciec od lat przyprawdzał ją do tego domu, kiedy wyjeżdżałam, do tego domu i do mojego łóżka. Co przypomina mi o tępych nożach i moim odrzuconym czeku oraz o tym, że czasy doprawdy się zmieniły i to na niekorzyść.*

*Wtorki i czwartki z Hymanem Mandłem były cudowne — tak bardzo chciałam stanąć na wysokości zadania i robić to, co wszyscy dokoła zdawali się robić. Lecz najwyraźniej nie zostałam stworzona do tego, by kochać dwóch mężczyzn jednocześnie, a Waszego ojca kochałam bardziej niż życie. Hyman był naprawdę kochany, dzięki niemu znowu poczułam się młoda i piękna, ale namiętność jest zabójcza i Wasz ojciec zabił mnie już znacznie wcześniej. Dlatego przejdźmy teraz do konkretów, a potem zakończę ten list i swoje życie.*

*Wszystkie futra pozostawiam Jonesie, bo Cara ma już futra, a Marguerite tylko by je zgubiła, natomiast Jonesie nigdy w życiu nie miałaby możliwości kupić sobie czegoś podobnego. Tylko nie wkładaj ich do metra, Jonesie, i nie paraduj w nich do kościoła — sama wiesz, że to mogłoby być niebezpieczne. To mieszkanie, które przypadkiem jest zapisane na mnie, zostawiam Carze, ponieważ już najwyższy czas,*

*by jej nieokrzesane dzieci nabrały trochę oglądy właściwej tutejszemu towarzystwu. Marguerite pozostawiam wszystkie swoje wieszaki z monogramami, satynowe saszetki na bieliznę i 200.000 dolarów w gotówce, które szczęśliwie złożone są na rachunku bankowym na Twoje i moje imię. Książeczka bankowa znaj- -duje się w górnej szufladzie mojej osiemnastowiecznej komody — ją też możesz zatrzymać, na wypadek, gdybyś w końcu zdecydowała się utrzymywać porządek w swoich rzeczach. Jestem pewna, że za tę sumę będziesz mogła kupić przyzwoite mieszkanie w Izraelu, gdzie, jak przypuszczam, zamierzasz osiąść (Twoja słabość do mundurów była i jest dla mnie czymś niepojętym). Mojemu ukochanemu Hy-manowi zostawiam swoją gorącą wdzięczność za każdy wtorek i czwartek. Co do Ciebie, Alanie, zostawiam Ci wolność — coś, czego nigdy naprawdę nie pragnąłeś, bo na co byłaby ci Loretta? Aha, Car o, jeszcze jedno: Nigdy nie będziesz na tyle szczupła, żeby znaleźć kogoś bardziej interesującego niż Steven, więc przestań sobie wyobrażać, że mogłabyś przeżyć coś niezwykłego. Jest dobry, spokojny i ubóstwia cię. Nielatwo dać sobie radę w życiu z kupą dzieciaków.*

*Jonesie, zużyłam wszystkie tabletki Keitha — nigdy bym tego nie zrobiła, gdyby nie komplikacje, o których pisałam na początku. Gdyby w aptece przyjęli mój czek, mogłabym zrealizować własne recepty, gdyby noże kuchenne były naostrzone, mogłabym wybrać inne wyjście. Byłam w rozpacz.*

*Wybaczcie mi i proszę, cokolwiek się stanie, nie pochowajcie mnie w tej*

*ohydnej białej brokatowej sukience z guzikami ze sztucznych diamentów.*

*To już moja ostatnia przygoda...*

Głos mi się załamuje, chowam twarz w dłoniach. Cara siedzi oparta o męża i również gryzie wargi, żeby się nie rozpłakać. Hyman Mandel głośno wydmuchuje nos, po czym wstaje i bez słowa opuszcza mieszkanie. Ojciec wysuwa brodę do przodu i drżącymi ustami mówi: - No cóż, każde z nas dostało dokładnie to, czego chciało, włącznie z Verą. Odeszła naprawdę.

- Ciężko podnosi się z fotela, powłócząc nogami wchodzi do sypialni i cicho zamyka za sobą drzwi, odgradzając się od naszego smutku.

Nagle zauważam figlarny uśmieszek błakający się po ustach Cary. Zsuwa dłoń Stevena ze swojego ramienia i przysiada się do mnie. - Nareszcie, w ostatnich minutach życia, mama zdobyła się na obiektywizm.

Przez chwilę jestem zdziwiona, lecz zaraz odpowiadam jej uśmiechem.

— Nareszcie — odpowiadam.

Steven proponuje, że sam wróci do Short Hills zająć się dziećmi. - Przywiozę je jutro na pogrzeb - mówi, przyciskając Carę do siebie i bez końca całując ją na dobranoc. - Lepiej, żebyście były razem tej nocy.

Trzymamy się z Carą za ręce. Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia: już wcześniej uzgodniłyśmy, że tak właśnie zrobimy. Zostaniemy tutaj, w dziesięciopokojowym mieszkaniu przy Piątej Alei, należącym odtąd do Cary, w domu naszego dzieciństwa.

Leżę w łóżku w dawnym pokoju Cary. W całym domu panuje cisza, przerywana jedynie dobiegającym zza ściany stłumionym łkaniem, ojca.

- Może jednak nie jest tak nieczuły, jakby się zdawało — zauważa Cara szeptem. Lecz ja już nie potrafię spojrzeć na niego bez uprzedzeń.

— Avi jutro przyjeżdża — mówię.

- Chcesz, żebym pojechała z tobą na lotnisko?

- Nie, lepiej pojedę sama.

Nastawiam budzik na szóstą rano i zasypiam, mocno ściskając rękę Cary.

— Kocham cię — szepczę.

— Ja też cię kocham.

Wysoki mężczyzna wychodzi przez automatycznie rozsuwane drzwi odprawy celnej. Piaskowe włosy spadają mu na czoło, gdy błądzi wzrokiem po tłumie oczekujących. Ubrany jest w szare spodnie, lawendową oxfordzką koszulę, granatowy blezer, szary wełniany płaszcz w jodełkę narzucony na szerokie ramiona, w ręku trzyma brązową skórzaną dyplomatkę. Po krótkiej chwili niepewności, zaczynam się przeciskać przez tłum ludzi oczekujących na pasażerów lotu 3393 linii El Al z Tel Awiwu. Avi jest tutaj.

Scałowuje moje łzy, mocno przyciska mnie do siebie i powtarza: - Kocham cię. Nie wyjeżdżaj już nigdy, nigdy. Tęskniłem za tobą.

Kładzie mi dłonie na ramionach i przygląda mi się badawczo. - Maggie, dlaczego tak płaczesz? Coś się stało. Co?

- Po prostu jestem szczęśliwa, że jesteś - kłamię.

- To ma być szczęście? - pyta, ocierając mi łzy z twarzy.

Mocno przygarnia mnie ramieniem i obejmując prowadzi w stronę taśmociągu.

- Mama wczoraj umarła — wyrzucam z siebie raptownie.

Zatrzymuje się wstrząśnięty, jakby nie rozumiejąc moich słów.

- Popełniła samobójstwo.

- Maggie, tak mi przykro. — Gładzi mnie po włosach. — Co się stało?

- To za długa historia, później ci opowiem. Patrzy na mnie z twarzą ściągniętą bólem. - Jestem przy tobie, jestem z tobą.

- Avi, kocham cię. Gdyby coś ci się stało, gdybym cię straciła, nie przeżyłabym tego.

- Nie stracisz mnie - mówi przytulając mnie. - Należę do ciebie. Spróbuj mi powiedzieć, co się stało, Maggie.

Kiedy idziemy odebrać bagaż, opowiadam Avie-mu wszystko, co się zdarzyło, począwszy od wcześniejszych prób samobójczych mamy, a skończywszy na wiadomości, że pogrzeb odbędzie się dziś po południu.

Szofer wysłany przez izraelski konsulat w Nowym Jorku układa walizki na wózku bagażowym i kieruje się do limuzyny zaparkowanej przed wejściem do hali przylotów. Nie ma mowy o tekturowych walizkach, przepychankach do taksówki ani żadnej z tych rzeczy, które wyobrażałam sobie wczoraj w pokoju wydania. Avi jest tutaj i panuje nad sytuacją.

- Jadę na pogrzeb — mówi stanowczo, pomagając mi wsiąść do samochodu.

- Wiedziałam, że będziesz chciał - odpowiadam, ponownie wtulając się w jego ramiona.

- Jedziemy na róg Dziesiątej Ulicy i University Place - instruuje szofera, a potem odwraca się do

mnie: — Już nigdy więcej nie będziesz sama, Maggie. Będziesz ze mną.

— Tylko tego chcę — odpowiadam cicho z ustami na jego ustach.

Kiedy już kończy mnie całować, przyciska moją głowę do piersi, a potem znowu zaczyna mnie całować po oczach, ustach, czole. — Za trzy miesiące dostanę rozwód, więc może wyszłabyś za mnie w marcu, co?

Oczy wzbierają mi łzami.

— Już nigdy cię nie pozna — mówię. — Mama już nigdy cię nie pozna.

— Nie — odpowiada Avi, trzymając moją twarz w swoich dłoniach. — Ani naszego dziecka.

Czuję dławienie w gardle.

— Czy to ciągle nasza tajemnica? - pyta z błyszczącymi oczami i ledwie dostrzegalnym uśmiechem drgającym w kącikach ust.

I w ten sposób moje życie znalazło swoje naturalne rozwiązanie.

— Nasza — odpowiadam miękko..I znów słyszę w myśli te słowa: „Jacy byśmy nie byli, przetrwaliśmy. Jesteśmy rodziną”.

## *Rozdział 9*

Pogrzeb był krótki i cichy. Szczęśliwie obyło się bez większych spięć, jeśli nie liczyć paru niezręcznych momentów.

Ojciec przybył do Regency, pozując na obrażoną cnotę, choć przecież nie był pewien, co łączyło mamę z Hymanem Mandlem. Spotkawszy się z Carą i ze mną nad otwartą trumną, zuchwale uderzył w ton tragiczny, jak przystało na zrozpaczonego małżonka.

— Moje życie legło w gruzach. Wyjeżdżam do kurortu na Jamajkę, żeby spróbować je odbudować — oświadczył.

Błyskawiczna riposta Cary wprawiła mnie w osłupienie. - Z pomocą tej flądry - rzekła drwiąco.

Nastroszył brwi i cisnął mi druzgoczące spojrzenie, zupełnie jakby było moją winą, że Cara wreszcie przestała udawać.

- Widziałaś, jak na mnie spojrział? - szepnęłam do Cary, kiedy zniknął w kaplicy.

Zachichotała. - Pewnie bał się twojego lewego sierpowego.

Jonesie zachowywała się zaskakująco poprawnie do chwili, gdy zebrawszy odwagę zerknęła do



wnętrza trumny. Przysuwając się do lśniącej mahoniowej skrzyni z błyszczącymi uchwytami z brązu, nachyliła się i znalazła się nosem w nos z mamą.

- Jezu Miłosierny! - zawyła. - Pomalowali panią Sommers tak, że wygląda całkiem jak Carmen Miranda.

W pokoju zapadło zgorszone milczenie, a potem pojedynczy goście chyłkiem zbliżyli się do trumny, aby przekonać się na własne oczy.

Pan Lance stał przy organach.

— Proszę pana — powiedziałam stanowczo

— niech pan każe natychmiast zamknąć trumnę.

— Szkoda — zauważył z wyrzutem. — Wygląda zupełnie jak żywa, nie sądzi pani? Zupełnie, jakby zaraz miała wstać i wyjść.

Zjeżyłam się. - Proszę, niech pan zamknie wieko. Ona chce być sama.

Avi nie odstępował mnie ani na moment, odkąd wysiadłszy z samolotu usłyszał: „Witaj w Nowym Jorku, kochanie, i nie rób żadnych planów na to popołudnie, bo musimy pochować mamę”. Nawet jeśli nie sformułowałam tego w ten sposób, na to właśnie wyszło. Był to niewątpliwie dość szczególny sposób na zawarcie znajomości z rodziną Sommer-sów, czy też tym, co z nas zostało po śmierci mamy. Cara była oszołomiona, a ojciec zanadto się śpieszył na samolot, by zamienić z nim choćby parę słów.

Jakkolwiek zachowanie Aviego było powściągliwe, w całej jego twarzy dominowały oczy. Nic nie uchodziło ich uwagi, obserwowały wszystko z wyrazem smutku i zdziwienia, rozbawienia i gniewu oraz bezbłędnie oceniały każdego, kto podchodził składać mi kondolencje. Dopiero gdy zbliżył się do nas Eryk Ornstein, wstrzymałam oddech w obawie, że Avi w końcu straci cierpliwość.

Jeśli nie liczyć nieco cięższej sylwetki, Eryk Ornstein prawie się nie zmienił, odkąd widziałam go po raz ostatni, co miało miejsce siedem lat temu w kancelarii jego adwokata. Odruchowo przysuwając się do Aviego, uścisnęłam wilgotną rękę Eryka.

— Maggie — powiedział uśmiechając się z zakłopotaniem - już od lat chciałem zająć zapytać, jak ci się wiedzie i popatrz, że też musieliśmy się spotkać w tak smutnych okolicznościach.

— Dziękuję, że przyszedłeś, Eryku.

Zapadło krępujące milczenie. Eryk spojrzał wyczekująco na Aviego, którego jeszcze mu nie przedstawiłam.

— Eryku, to jest Avi Herzog — powiedziałam po krótkiej chwili.

Miał taką minę, jakby natknął się na przybysza z innej planety. - Pan musi być tym izraelskim generałem — stwierdził ściskając mu rękę.

Avi uśmiechnął się uprzejmie. - Istotnie, a pan musi być byłym mężem Maggie.

Eryk nieznacznie zmarszczył brwi. - Myślmy o tym, żeby spędzić miesiąc w kibucu. Jak tam się teraz żyje?

- Jak na obozie harcerskim, tylko bardziej bogobożnie — odparł Avi bez namysłu.

- Zabawne, zawsze miałem ochotę zabrać Maggie do Izraela, ale ona nigdy nie chciała, a teraz jest już za późno - bąknął Eryk smętnie.

- Gratuluję ci, Eryku. Słyszałam, że właśnie urodziło wam się drugie dziecko - powiedziałam, aby skierować rozmowę na inne tory.

Dumny uśmiech okraślił oblicze Eryka. Sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął z niej dwie fotografie. - Oto on. Tak wyglądał nasz brzdąc kwadrans po urodzeniu, a tak, kiedy go umyli.

To nie było moje dziecko i z całą pewnością tego nie żałowałam. Więc czemu miałam łzy w oczach? Coś innego sprawiło, że się tak rozkleiłam, choć on był teraz szczęśliwy, a ja miałam Aviego. Jakiś nieokreślony żal, żal za tymi wszystkimi zmarnowanymi latami, jego i moimi.

— Jest cudny — powiedziałam, pokazując fotografię Aviemu.

Avi nie mógłby być bardziej szarmancki. — Szczęściarz z pana.

— Z pana także — odparł Eryk, patrząc na mnie. W tym momencie Rona docisnęła się do nas i władczo wzięła Eryka pod ramię, przesywając mnie gniewnym wzrokiem. Paznokcie miała takie same jak dawniej, długie i szkarłatne, lecz jej włosy ostrzyżone były teraz bardzo krótko, co niekorzystnie podkreślało kanciastość jej twarzy. Jej zachowanie nadal cechowała ta sama napięta czujność, zupełnie jakby nie była jego prawowitą żoną. A jednak było w niej coś nowego, jakaś twardość. Ta odrobina bezbronności, ta szczypta niepewności, którą wyczuwało się przedtem, rozviała się bez śladu. Osiągnęła wszystko, o co jej w życiu chodziło, i teraz wprost ociekała samozadowoleniem. Lecz gdyby tylko wiedziała, jak bardzo nie chcę go odzyskać, mogłaby sobie zaoszczędzić tych wściekłych spojrzeń.

— Dzień dobry, Rono — przywitałam ją cicho. — Dziękuję, że przyszedł.

Zrobiła taką minę, jakby wzięła moje słowa za osobistą obrazę, a może po prostu była tak zmieszana, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. Tak czy inaczej, jej nastawienie uległo jeszcze pogorszeniu, gdy Eryk ujął mnie za rękę.

— Słyszeliśmy, że popełniła samobójstwo — szepnął. — Czy zostawiła jakąś wiadomość?

Avi postanowił rozproszyć uwagę nieprzyjaciela.

- Podobno planują państwo wizytę w Izraelu?

— zagadnął.

Natężyła słuch, żeby się dowiedzieć, o czym rozmawiamy. - Tak, być może - odparła z roztrągnięciem.

- Tak, zostawiła list - rzekłam cicho.

- Czy była już pani w naszym kraju? - spytał Avi.

- Co w nim było? Czy wyjaśniła, dlaczego to zrobiła? - naciskał Eryk.

- Jak możesz o to pytać, Eryku? To nasza rodzinna sprawa, nie sądzisz?

- Nadal jesteś moją rodziną - powiedział Eryk miękko. - Nigdy nie zapomnę, że kiedyś byliśmy małżeństwem.

I wtedy znowu się rozplakałam, ale teraz już wiedziałam dokładnie, czego mi żal: tych wszystkich lat, moich zmarnowanych lat, zanim poznałam Aviego. Ale płakałam też nad Erykiem, który zwyczajnie nie potrafił być inny.

Avi otoczył mnie ramieniem, a Rona po prostu stała cicho u boku męża.

- Przypuszczam, że sukces zawsze kosztuje

- zagał Eryk, próbując jakoś nawiązać rozmowę, która utknęła w martwym punkcie.

- Co masz na myśli? - spytałam, osuszając oczy.

- No, wiesz... Najpierw twój dźwiękowiec, potem twoja matka. Co jeszcze się wydarzy?

- Dlaczego coś jeszcze miałoby się wydarzyć?

- wykrzyknęłam. - Co za okropność, Eryku! Lecz moje zdenerwowanie w ogóle nie przeniknęło do jego świadomości. - Nieszczęścia zwykle chodzą trójkami, prawda?

Avi był czarujący. — Czemu nie uznać rozwodu Maggie z panem za pierwsze wielkie nieszczęście, żebyśmy wszyscy mogli czuć się bezpieczni?

I wtedy Eryk zachichotał, chociaż Rona wyglądała na bardziej zdumioną niż rozbawioną. Uściskałam go, człowieka, który kiedyś był moim mężem, z uczuciem przebaczenia i rozrzewnienia, i smutku, i żalu, i w ogóle niemożliwie wzruszona, choć przed pogrzebem przyrzekałam sobie unikać rozdrapywania starych ran.

— Cieszę się, że jesteś szczęśliwy — powiedziałam ze łzami w oczach.

— Zawsze pragnąłem dzieci — odparł — a ty ich nie chciałaś.

Wychodząc ze mną z cmentarza, Avi miał dość szczególny wyraz twarzy. — A co teraz o tym myślisz?

— On jest szczęśliwy i ona jest szczęśliwa, a ja...

— Ty będziesz żyć ze mną długo i szczęśliwie do końca życia.

Dramatyczne wyznanie Hymana Mandla nastąpiło w najbardziej niefortunnym momencie. W chwili gdy trumnę spuszczano do ziemi, kurczowo chwycił mnie za ramię.

— Przysięgam, że nawet jej nie tknąłem — za-szlochał. — W te wtorki i czwartki popijaliśmy sobie tylko i rozmawialiśmy. Chciałem tego, ale ona mówiła, że Alan uśmiercił ją od szyi w dół.

— Czemu nie powiedziałeś tego wczoraj? — spytałam, z góry znając odpowiedź.

Dokładnie w tym momencie zniknęła mi z oczu na zawsze i zrobiło mi się jakoś słabo, toteż trudno mi było skoncentrować się na jego słowach.

- Co by to zmieniło? - odparł z goryczą.
- Niech on sobie myśli, że ktoś ją kochał, a ja naprawdę ją kochałem. Nieraz doprowadzała mnie do szału, była niemożliwa, nieznośna i kompletnie zbikowana, ale miała w sobie jakiś zniewalający wdzięk, który sprawiał, że... - Nie dokończył, gdyż łopaty głośno chrzęściły o zmarzniętą ziemię. Lecz doskonale zrozumiałam, co miał na myśli; jego słowa zawierały więcej treści niż słowa rabina ze Świątyni Emmanu-Ela, którego ściągnięto w ostatniej chwili, aby wygłosił mowę pochwalną nad grobem. W ogóle nie znał mamy. Ojciec pośpiesznie poinformował go, jakie organizacje charytatywne wspierała, jaką muzykę lubiła, opowiedział mu nawet parę zabawnych anegdotek z pierwszych lat ich małżeństwa. A ponieważ rabin jej nie znał
- ujrzał ją dopiero, gdy przestała istnieć - odniosłam wrażenie, że mówił o innej osobie. Kobieta, o której mówił Hyman, była kimś bardzo mi bliskim, kimś, kto pozostanie we mnie na zawsze. Wkrótce po tym ponownie natknęłam się na ojca. Miał czerwone oczy; było widoczne, że płakał. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu, a potem lekko położyłam mu dłoń na ramieniu.
- Żał mi nas wszystkich. Wszystko mogło być inaczej, ale byliśmy za głupi.
- Spuścił głowę. - Jeśli chcesz, możesz mnie winić do końca życia, ale to niesprawiedliwe. Przynajmniej rozmawialiśmy. Było to czymś tak niezwykłym w naszych wzajemnych stosunkach, że nie chciałam zaprzepaścić tej szansy. - Nie była łatwa — powiedziałam cicho.
- Popełniałem błędy - odparł z prostotą, unikając mojego wzroku.
- Dlaczego, tato? Dlaczego nie byłeś inny?

Potrząsnął głową. - Jestem zmęczony, tak strasznie zmęczony.

Łzy wolno płynęły mi po policzkach. - Kochałam ją.

Podniósł na mnie wzrok ze zdziwieniem. — Ja także!

— Więc dlaczego?

— Mnie też coś się od życia należało.

Poszliśmy nieśpiesznym krokiem w kierunku limuzyny zaparkowanej pod kępą drzew przy bramie cmentarnej, nie zważając na deszcz ze śniegiem, który zaczął padać chwilę wcześniej.

— Twoja siostra mnie nienawidzi.

— Zależy ci na niej? Nie odpowiedział.

— A na mnie? Nie obchodzi cię, co ja czuję?

— spytałam.

Deszcz zalewał mi oczy.

Spojrzał na mnie przelotnie. — Niespecjalnie

— wyznał szczerze. - Nigdy naprawdę do nas nie należałaś. Już tak dawno zaczęłaś żyć własnym życiem.

Zatrzymałam się, przytrzymując go za ramię.

— Tato, jeszcze nie jest za późno...

Pokręcił głową ze znużeniem. - Nie mam już sił próbować. Ani się kłócić. Jest zbyt wiele rzeczy, których nigdy nie zrozumiesz.

Wyciągnął chustkę i otarł oczy. Nagle wydał mi się bardzo stary, sterany przez lata życia z Verą i to wszystko, o czym nie chciał mówić.

— Tato... — Nie mogłam mówić dalej, dusiły mnie łzy.

— Ty też nie potrafisz — zauważył z suchym uśmiechem. — Nigdy nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać.

Odwrócił się i odszedł, zgarbiony, przyciśnięty jakimś niewidzialnym brzemieniem. Zatrzymał się przy drzwiach limuzyny i przez chwilę, minutę czy dwie, przyglądał mi się z oddali, nim wsiadł do środka. Wolno poruszyłam palcami wzniesionej dłoni i nie przerywałam nawet wtedy, gdy jego samochód już dawno zniknął za kamienną bramą.

Tamten dzień najwyraźniej miał obfitować w zaskakujące wydarzenia. Z szerokim, nieco zakłopotanym uśmiechem Avi pomagał mi wsiadać do samochodu, podtrzymywał mnie za łokieć na każdym krawężniku, przepuszczał mnie przodem w drzwiach i co chwila dopytywał się przyciszonym głosem: — Dobrze się czujesz?

Było to tak do niego niepodobne, że nie mogłam powstrzymać uśmiechu. *Alufi*, mój generał, który dotychczas beztrudnie zostawiał mnie stojącą w strugach deszczu przed zatrzaśniętymi drzwiami samochodu, zanim sam nie ulokował się za kierownicą, i spokojnie przechodził przez ulicę nie zważając, że utknęłam po drugiej stronie - ten sam mężczyzna troszczył się teraz nieustannie o moją wygodę i bezpieczeństwo! Nie to, że dawniej o mnie nie dbał — po prostu miał taki, a nie inny styl bycia, co mogło być kwestią tradycji. Zdążyłam się już pogodzić z tym zachowaniem, uznając je za rzecz wrodzoną. Ale teraz coś się zmieniło.

Wracaliśmy samochodem z cmentarza wraz z Ca-żą, Stevenem, Quincy i Danem. Avi zachowywał się tak opiekuńczo, przyciskając mnie do siebie na każdym wyboju, że Quincy w końcu wypaliła: - Zachowujesz się zupełnie tak, jakby była w ciąży!

Wszyscy zaniemówili i czekali, aż zaprzeczę.

— Bo jestem — odparłam wreszcie.



Oszupiałe milczenie przerwał dopiero zachwycony pisk Cary, która śmiejąc się i płacząc zawołała: — Powinnam się była domyślić! Och, Maggie, czemu mi nie powiedziałaś?

— Miałyśmy tyle innych spraw na głowie — odparłam nie bez ironii.

— Tak się cieszę — powiedziała, ściskając mnie.

— Czemu? — odparłam ze śmiechem.

— Bo teraz będziesz nareszcie ludzka, jak my wszyscy. — Z miejsca pożałowała tych słów, choć nie były pozbawione pewnej słuszności.

— Kiedy? - spytała Quincy, przytulając policzek do mojej twarzy.

— W sierpniu.

Dan. ścisnął Aviemu rękę, a Steven jowialnie klepał go po plecach — specyficzna męska solidarność, ujawniająca się zawsze, gdy któremuś z nich udało się jedną z nas zapłodnić.

Całe to radosne zamieszanie wokół mojej osoby trochę mnie kępowało, tymczasem Avi nic sobie z tego nie robił. Z zaskakującą swobodą odpowiadał na pytania, uśmiechał się i tulił mnie do siebie przez całą drogę powrotną do miasta. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, wszyscy zgodnie stwierdzili, że jest czarujący, uprzejmy, przystojny i wariacko zakochany.

Ale to wszystko wiedziałam już znacznie wcześniej. Dopiero teraz natomiast zaczynałam sobie uświadamiać, że moje uczucie do niego jest nieuleczalne. Kochałam go, należałam do niego i kwita. Z chwilą gdy tylko weszliśmy do naszego mieszkania — instynktownie myślałam o nim „nasze”, podobnie jak o sobie myślałam teraz „my” — telefon zaczął się urywać. Dzwonili moi znajomi z kondolencjami oraz najrozmaitsi izraelscy i ame-

rykańscy dygnitarze, żeby uzgodnić stanowiska przed mającymi się rozpocząć w Waszyngtonie rozmowami.

Grayson zadzwonił między premierem Izraela a zastępcą amerykańskiego sekretarza stanu.

— Maggie — powiedział serdecznym tonem — nie toleruję pogrzebów, odkąd umarła moja matka, ale chciałbym ci powiedzieć, że możesz na mnie liczyć i nie przejmuj się swoim kontraktem.

Kłótnia wybuchła wkrótce po tym, choć Avi stanowczo twierdził, że nic podobnego nie miało miejsca — określał to jako różnicę zdań, dyskusję, a może nawet zwykłe nieporozumienie na tle językowym.

— Jakie są ostatnie wiadomości w sprawie wycofania wojsk? — spytałam, parząc kawę.

— Amerykanie chcą, żebyśmy dobrowolnie wycofali się z Libanu — odparł, wyjmując z szafy filiżanki i spodeki — a zarazem obawiają się wzmocnienia pozycji Syrii, którą popiera Związek Radziecki.

— Co z tego wyniknie? — naciskałam.

— Trudno powiedzieć — odparł, podając mi mleko. — Co mówił Grayson Daniel?

— Był naprawdę bardzo miły. Powiedział, że mogę na niego liczyć i kazał mi się nie przejmować kontraktem.

Avi odstawił filiżankę na spodek i sięgnął przez stół kuchenny po moją rękę. — Maggie, chcę, żebyś teraz szczególnie na siebie uważała ze względu na dziecko.

— Co masz na myśli?

Lekko dotknął mojego policzka. — Masz trzydzieści cztery lata i ryzyko jest większe niż gdybyś

miała ich dwadzieścia parę. Zależy mi na tym, żebyś trochę zwolniła tempo i trzymała się z daleka od rejonu walk.

Aczkolwiek w moim życiu wiele się zmieniło, jak dotąd nie musiałam się nikomu spowiadać ze swoich zawodowych posunięć.

Tylko jedna odpowiedź mogła go usatysfakcjonować i właśnie tej odpowiedzi nie zamierzałam mu udzielić. Jednak podniosłam na niego oczy i uśmiechnęłam się, gdy dorzucił: — Kocham cię i nie chcę, żeby przytrafiło ci się coś złego. — Ale on był za sprytny, żeby oczekiwać natychmiastowej kapitulacji, zwłaszcza w kwestii tej ciąży, która była tak nowym doświadczeniem dla nas obojga.

— Wracając do tego, co ci mówiłem, Amerykanie nie biorą serio radzieckich gróźb, a w każdym razie unikają zajmowania stanowczego stanowiska - podjął.

Stłumiłam uśmiech.

W tym czasie już całował mnie w szyję. — Assad nigdy nie zgodzi się negocjować z Izraelem.

— Kochaj mnie — wyszeptałam.

— Nie próbuj się ze mną targować — odparł cicho.

Izraelskie rozumienie kompromisu było dla mnie tak czytelne, że mogliby mnie wysłać na te rozmowy do Waszyngtonu. Na pewno poradziłabym sobie lepiej niż niejeden amerykański dygnitarz. Avi ujął mnie za brodę. Jego oczy przewiercały mnie na wskroś.

— Chcę, żebyś mi obiecała, że zwolnisz tempo i będziesz trzymać się z daleka od niebezpiecznych rejonów.

— Wiem, że tego chcesz, ale nie mogę ci nic obiecać. — Stałam oparta plecami o lodówkę, a on

napierał na mnie całym ciałem, już prawie dotykając ustami moich ust.

— Spróbuj trochę zmienić swoje przyzwyczajenia, to i ja tak zrobię — powiedział.

— W jaki sposób? — spytałam, wywijając mu się.

— Przeszaniez robić to, co dotychczas? — Była to klasyczna izraelska taktyka przerzucania odpowiedzialności na drugą stronę.

Jego odpowiedź była gładka i dokładnie taka, jak przewidywałam: — To, co robię, nie jest zwykłą pracą. To kwestia przetrwania, dożywotnie zobowiązanie.

Co można powiedzieć mężczyźnie, który w zawołany sposób oskarża cię o to, że każesz mu zdradzić wszystko, w co wierzy? — Kocham cię

— odparłam, pozwalając się zaciągnąć do sypialni. Na tym dyskusja się urwała, ponieważ w pewnej chwili — nie pamiętam już dokładnie — zaczął mnie całować, a potem nasze ubrania w jakiś sposób były rozrzucone po całej podłodze, a my leżeliśmy razem na chłodnej pościeli. Pamiętam natomiast, że kochał się ze mną tak ostrożnie, prawie się nie poruszając, że zauważyłam: — Tak się boisz, żeby mnie nie zabolalo.

— Kocham cię — odparł, przyciskając twarz do moich piersi — i nie chcę, żeby coś ci się stało.

— A po chwili dodał: — Nigdy.

Kłótnia dobiegła końca, choć nie obiecałam mu niczego konkretnego, prócz tego, że spędzę z nim resztę życia. Nie było nic dziwnego w tym, że się o mnie bał i gdybym miała więcej rozumu, byłoby nam obojgu znacznie łatwiej. Po raz pierwszy wspólnie oczekiwaliśmy dziecka i jedno z nas musiało pozostać w tyle. W końcu zaczęłam okropnie płakać, sama nie wiem dlaczego, choć bardzo chciałam

wierzyć, że to z powodu mamy. Avi całował moje łzy i nie pozwolił mi już nic więcej powiedzieć, bo w pewnej chwili - nie pamiętam już dokładnie

— zaczął mnie całować bez opamiętania, a potem kochaliśmy się, jakby to było ostatni raz w życiu, już nie ostrożnie i nie łagodnie.

— Kocham cię — wyszeptałam, kiedy wreszcie złapałam oddech.

— Obiecuj mi — powtórzył, przykrywając moje usta swoimi.

A ja znowu odmówiłam.

Sylwestra 1983 roku spędziliśmy w małej restauracyjce przy Bleecker Street, niedaleko mojego domu. Oboje mieliśmy na sobie dżinsy, grube swetry, puchowe kurtki i botki, bo nadal panował przeraźliwy ziąb. Avi bez trudu wtopił się w swobodną atmosferę Greenwich Village, jeśli nie liczyć momentu, gdy wyciągnął z kieszeni karteczkę z wypisanymi po hebrajsku rocznikami win. Nie przejęłam się tym, choć zabawne było widzieć, jak pilnie studiuje spis przygryzając dolną wargę.

— Nie powinienem tego robić? — spytał, podnosząc oczy znad kartki. - To tutaj wygląda śmiesznie?

A ja tylko miałam ochotę go przytulić, bo chwilami był tak bezradny i niepewny siebie. Płomień świecy drgał i migotał, rzucając cienie na jego przystojną twarz.

— Możesz robić wszystko, co ci się podoba

— odparłam i dodałam: — Nawet zabronić mi jechać w niebezpieczne rejony. - Uśmiechnęłam się.

— Miałeś rację. Byłam głupia, że tak się upierałam. Nic nie jest dla mnie ważniejsze niż ty i to dziecko.

Łzy napłynęły mu do oczu i przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. Zamiast tego wbił wzrok w swoją

listę win i kiedy przyszedł kelner, zamówił jakąś nieznaną markę, o której w życiu nie słyszałam. A kiedy przyniesiono ów trunek, odkorkowano i nalano do kieliszków, odchylił się na oparcie krzesła i zaczął go sączyć z taką miną, jakby dokładnie o to mu chodziło.

Podczas tej kolacji był paroma różnymi osobami. Ale przeważnie był małym chłopcem, który pewnej głuchej zimowej nocy uciekał z Rosji, wraz z ojcem ściskającym fałszywy papiery w kieszeni długiego czarnego płaszcza, i matką, za którą usiłował nadażyć potykając się i przewracając, póki wreszcie nie wsiedli do pociągu jadącego do Austrii. Doznawałam przemożnego pragnienia, żeby go objąć i utulić. Lecz on był dla mnie za szybki. Po chwili milczenia twarz mu się zmieniła. Gładził moje palce z błyszczącymi oczami i bezwiednym uśmiechem igrającym na ustach. Nasze dziecko będzie bezpieczne, bo on je ochroni. Tak poważnie traktował swoje bliskie ojcostwo, już teraz poczucie odpowiedzialności odzywało się w nim niezwykle silnie. I naturalnie, znowu sprowadził rozmowę na twarde realia naszego życia.

— Chwilami boję się o nas — zauważył suchym tonem. — Widziałem ostatnio tyle potworności. Po prostu nie chcę już kusić losu, nie teraz.

— Jak mam się czuć, kiedy będziesz ode mnie odjeżdżać?

— Masz się martwić, ale wierzyć, że jestem bardzo ostrożny, że wiem co robię.

— A te potworności? Czy potrafisz kontrolować to, co pozostaje poza kontrolą?

Spojrzał mi w oczy, pogłaskał mnie po twarzy, a potem przechylił się nad stołem, żeby mnie

ucałować. - Nie, nie zawsze, kochanie. Niestety, trochę za dużo wiesz. Trudno cię okłamywać.

Przerażenie chwyciło mnie za gardło. - Co masz na myśli?

Nagle twarz mu się zmieniła. Pojawił się izraelski generał o zwięzonych skupionych oczach i zaciśniętych ustach. - Powiem ci coś, co mnie niepokoi — zaczął chłodnym tonem.

Spoglądając na niego kątem oka, przypomniałam sobie jego silne cjuło, dotyk dłoni i to, że posiadam go w taki sposób, w jaki nikt inny nie będzie go posiadać.

- Pamiętasz tych sześciu żołnierzy wziętych do niewoli w strefie bezpieczeństwa prawie osiem miesięcy temu, tych patrolujących okolicę posterunku UNIFIL-u? To nie miało prawa się zdarzyć, pokpiiliśmy sprawę. Trzech terrorystów bez trudu przedostało się przez nasze linie i zwyczajnie ich porwało. A teraz mają w nosie zasady Konwencji Genewskiej. Rozumiesz, co próbuję powiedzieć?

- Niezupełnie. - Ale rozumiałam, i to aż za dobrze.

- Nie obowiązują już żadne zasady. Liban stał się bazarem zakładników.

Słyszałam jego słowa, nawet powtórzyłam je głośno: „bazar zakładników”, lecz zabroniłam sobie myśleć o wszystkim, co mogło z tego wynikać.

— Prawdopodobnie zostaną uwolnieni w zamian za jakichś Palestyńczyków. Będziemy to negocjować w Waszyngtonie. Ale obawiam się, że to dopiero początek.

— Czego? — Raptem pojawiło się nowe zagrożenie.

— Wojny innego rodzaju.

Tamtego wieczoru wróciliśmy spacerem do domu, przystając przed witrynami sklepów, żeby zająć

uwagę czymś innym. Zamieć już się wyszumiała i w powietrzu wirowały tylko pojedyncze płatki śniegu. Ulice Greenwich Village opustoszały; napotkaliśmy jedynie grupki podpitych przechodniów, którzy hałaśliwie życzyli nam Szczęśliwego Nowego Roku. Tak zwana „Mekka rewolucji” wydawała się tak odległa, prawie nierealna. Lecz to poczucie bezpieczeństwa było złudne, ponieważ wszystko, co tam się działo, wywierało nieuchronny wpływ na ludzi tu żyjących, nawet jeśli nie zdawali sobie z tego sprawy.

— W wojnach powinni uczestniczyć tylko ci, którzy sami tego chcą — rzekłam do idącego obok Aviego.

Zatrzymał się i wziął mnie w ramiona. — Tak, na jakimś specjalnie wydzielonym polu, gdzie nigdy nie świeci słońce.

Resztę powinno się zwolnić. — Boję się — powiedziałam cicho.

— Szczęśliwego Nowego Roku, maleństwo — wymruczał Avi tamtej nocy, kiedy już położyliśmy się spać.

Nie było jasne, do kogo z nas mówi, ale odpowiedziałam w imieniu obojga: — Szczęśliwego i spokojnego Nowego Roku.

O tym właśnie marzyliśmy, lecz żadne z nas nie było nastrojone szczególnie optymistycznie. A telefon wydzwaniający przez całą noc potwierdzał jedynie, że sytuacja staje się krytyczna.

Pierwszy dzień nowego roku był wyjątkowo trudny. Zalewałam się łzami — niewątpliwie z powodu mamy, bo zaczynałam płakać, ilekroć jej twarz stanęła mi przed oczami.

— Dlaczego? — wykrzyknęłam w pewnym momencie. — Dlaczego to musiało się stać?



Nawet Avi Herzog, który zawsze umiał wszystko logicznie wytłumaczyć, nie potrafił udzielić mi odpowiedzi, podobnie jak nie potrafił znaleźć racjonalnego uzasadnienia dla eskalacji ataków terrorystycznych w Libanie. Wojna teoretycznie dobiegła końca, tak wszyscy ustalili, z tym, że najwyraźniej zapomnieli zawiadomić o tym Izraelczyków, Palestyńczyków, Syryjczyków i Libańczyków. Każdy kolejny rozejm był zrywany i przewidywania Aviego na temat „wojny innego rodzaju” wydawały się coraz bardziej uzasadnione.

Leżałam skulona na łóżku obok niego, kiedy usiłował się dodzwonić do Ministerstwa Obrony w Tel Awiwie. — Czy jest jakaś szansa na przyjęcie tego planu pokojowego?

Wyczytałam odpowiedź w jego oczach - obawę, że prawda jedynie mi zaszkodzi.

— Tak — odparł w końcu. — Niewykluczone, że dojdziemy do porozumienia. Ale kto to wytłumaczy Hezbollahowi i wszystkim innym frakcjom, które działają tam na własną rękę?

Telefon brzęczał jak opętany. Avi znowu nie spał przez całą noc - prowadził długie dyskusje na temat ostatnich zajęć i ich konsekwencji dla Izraela, ppd-czas gdy ja zajęta byłam tak zwanymi „porannymi mdłościami”. W moim przypadku termin ten okazał się, niestety, mylny: wymiotowałam na okrągło, bez względu na porę dnia i nocy.

— Zostaw drzwi otwarte, na wypadek gdybym był potrzebny — zawołał Avi podczas rozmowy z ministrem obrony.

Spryskując twarz zimną wodą zastanawiałam się, czy cała izraelska rada ministrów już wie, że jestem w ciąży. Kiedy wyszłam z łazienki, Avi . tłumaczył komuś z Waszyngtonu zasady funkcjo-

nowania syryjskich rakiet ziemia-powietrze SAM 5 i SAM 6, których wyrzutnie zainstalowano niedawno w okopach. Groźba zbrojnej konfrontacji między Izraelem a Syrią stała się obecnie bardzo realna.

— Cudownie — sarknęłam, kiedy odłożył słuchawkę.

— To ja ci to zrobiłem — zauważył z czułością, gładząc mnie po twarzy. — To przeze mnie tak się męczysz.

— Nie da się ukryć — odrzekłam kładąc się.

— Jesteś zupełnie zielona.

— Nic mi nie jest — skłamałam, walcząc z mdłościami.

— Wiesz, nie mogę powiedzieć, że żałuję. — Ucałował mnie.

Wtedy ogarnął mnie przedziwny spokój, jakaś wewnętrzna pewność, której nigdy jeszcze nie doświadczyłam. Fakt, że poprosił mnie, abym zaniechała pracy, którą dotąd wykonywałam w jego części świata, wcale mnie nie zraził, a wprost przeciwnie — umocnił moją determinację. Był moim partnerem, moim kochankiem i oboje byliśmy już poślubieni wspólnej sprawie.

— Ja też nie żałuję. Pragnę tylko ciebie i tego dziecka. — A po chwili dodałam: — I żeby ta wojna wreszcie się skończyła.

Jest rano 2 stycznia. Maggie Sommers i Avi Herzog opuszczają mieszkanie, żeby rozpocząć swoje odrębne negocjacje. Avi musi o ósmej złapać samolot do Waszyngtonu, żeby zdążyć na pierwszą rundę rozmów w Departamencie Stanu, a Maggie jest umówiona z Graysonem, Elliotem i Quincy w gmachu ABN, żeby podpisać kontrakt.

Nie opuszcza mnie myśl, że dziecko, które noszę w sobie, jest naprawdę wyjątkowe — nie tylko dlatego, że jest nasze, Aviego i moje. Mam pewność, że bez względu na zawirowania światowej polityki ono na pewno się urodzi i będzie częścią mnie i mężczyzny, który stoi teraz przed lustrem w naszej sypialni zawiązując krawat. To dziecko pokonało już zwyczajnie tyle przeszkód, choćby moje rozstanie z jego ojcem na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie. Jest jedynym sukcesem, który nie jest moją wyłączną zasługą, jedynym, o który nie musiałam walczyć i który będę mogła dzielić z drugą osobą przez resztę życia. Niespodziewanie ogarnia mnie dławiący lęk, ten sam, który powraca, gdy tylko czuję się zbyt bezpieczna. Towarzyszy mi od dnia, w którym siedziałam na ziemi koło obozu w Sabrze — ostatnio odezwał się, gdy jechałam taksówką do mieszkania mamy, zaledwie parę dni temu. — Gdzie będziemy mieszkać? — pytam Aviego, żeby zająć myśli czymś stosunkowo nieistotnym. — W domu — odpowiada po prostu, przeczesując włosy grzebieniem. — Jak go znajdziemy? Ten człowiek ma naprawdę świętą cierpliwość. - Pójdziemy do pośrednika. — A jeśli znowu wybuchnie wojna? — To ją wygramy, tak samo jak wszystkie poprzednie — odpowiada spokojnie. — Ale może pozwól nam najpierw zakończyć tę jedną, zanim wymyślisz następną. — Przysiada koło mnie na łóżku ze ściągniętą twarzą. — Przypuśćmy, że przegramy tę wojnę? Co wtedy? — pytam, nerwowo szarpiąc papierową chusteczkę.

- Wtedy wyemigrujemy do Nowego Jorku i otworzę stragan z falafelem\*.
- Avi podnosi się i staje w nogach łóżka. W trzyczęściowym granatowym garniturze, białej koszuli i eleganckim jedwabnym krawacie w czerwono-no-niebieskie prążki w najmniejszym stopniu nie przypomina izraelskiego generała i specjalnego doradcy premiera do spraw Libanu. Wygląda raczej na dyrektora firmy reklamowej, czy prezesa banku inwestycyjnego. Ale co to ma za znaczenie? Wiem, kim naprawdę jest i gdzie pojedzie zaraz po opuszczeniu Stanów.
- Znam świetny punkt niedaleko Rockefeller Center. Zbiłbyś tam fortunę na falafelu. Z uśmiechem bierze mnie za rękę i wyprowadza z mieszkania.
- No więc, zgoda — przyznaję, kiedy stoimy czekając na windę. — Może stragan z falafelem, to rzeczywiście nie najlepszy pomysł. Nie mógłbyś się postarać o posadę attache wojskowego w Waszyngtonie?
- To nie takie proste — odpowiada. — A zresztą jestem najlepszy właśnie w tym, co robię.
- Niech kto inny to robi, żebym nie musiała się o ciebie bez przerwy zamartwiać.
- Ktoś inny już to robi — mówi Avi. — Mnóstwo ludzi to robi.
- To nie fair. Wiesz, jak strasznie to przeżywam. Niemal widzę czarną chmurę, która zawsze osiada na jego czole, gdy tylko poruszam ten temat. Pochyla się nade mną, żeby pocałować

\* falafel — typ sandwicza popularny w Izraelu i krajach arabskich. Zawiera mieloną fasolę, groch włoski, zieloną paprykę, cebulę i rzodkiewki, przyprawione nacią pietruszki, kolendrą, kminkiem indyjskim, pieprzem i solą — przyp. tłum.

mnie na pożegnanie i mocno przywieramy do siebie, próbując odpędzić mroczne myśli — aż do następnego razu.

— Kiedy to się skończy — stwierdza Avi, uwalniając się z moich objęć - wrócę do pracy w ministerstwie, gdzie będę siedzieć za biurkiem od ósmej do szóstej i wtedy na pewno będziesz zła, że ciągle pętam się po domu.

Znowu czuję to dławienie w gardle i nie odzywam się, żeby nie wybuchnąć płaczem.

— Sommers — mówi Avi stanowczo, wsiadając do windy - to była nasza ostatnia rozmowa na ten temat. Powinnaś była wcześniej to sobie przemyśleć. Teraz już za późno. — Wskazuje wymownym gestem na mój brzuch, a potem posyła mi ręką pocałunek przez zasuwające się drzwi.

I już go nie ma.

Gdy Grayson Daniel nachyla się, żeby mnie pocałować, dolatuje mnie odór alkoholu. Jego współczucie jest szczere, nawet jeśli wyraża je w nieco groteskowej formie. Quincy stoi schylona w rogu gabinetu i mokrym kleenexem ociera śnieg z brązowych skórzanych botków. Elliot podnosi wzrok znad pliku papierów, które przeglądał przed moim przyjściem.

— Śmierć to tragedia, Maggie — stwierdza Grayson, wsuwając moją dłoń pod swoje ramię i prowadząc mnie do okna wychodzącego na rzekę Hudson.

— Może rzucilibyśmy okiem na umowę? — podsuwa Elliot. — Maggie dobrze wie, że jej współczujemy.

Lecz moja uwaga zajęta jest czym innym, nie tym spotkaniem mającym tak kluczowe znaczenie dla

mojej kariery. Myślami jestem w Waszyngtonie, przy Avim. Prawdę powiedziawszy, nawet nie miałam ochoty tu dziś przychodzić.

Jednak, jak powiedziała Cara, gdy zadzwoniłam do niej po wyjściu Aviego: — Życie musi toczyć się dalej, Maggie. Co to da, że nie pójdziesz na spotkanie? Żałoba to rzecz osobista. Powiem ci, że wcale nie zamierzam odwiedzać jej grobu, bo przecież jej tam nie ma.

— Gdzie jest, jak myślisz?

— Pewnie gdzieś razem z carem i babcią — oglądają jaja Fabergego i skubią szaszłyki. Idź na to spotkanie i powodzenia.

Nie odważyłam się powiedzieć Carze, że tym, co naprawdę mnie trapi, jest sytuacja na świecie, bo posadziłyby mnie o egzaltację.

— Wszystko jest w porządku — orzeka Quincy, spoglądając na nas znad okularów w cienkich oprawkach. - Jest tylko jeden drobny szczegół: Maggie przez pewien czas nie może robić nic naprawdę obciążającego.

— A to dlaczego?

Quincy zerka na mnie niepewnie.

— Bo jestem w ciąży — odpowiadam — i jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę w ciąży przez najbliższe osiem miesięcy.

— W ciąży! — wykrzykuje Elliot piskliwym głosem — Proszę, proszę, widać nie tracili czasu!

— Do diabła, jakim sposobem zaszłaś w ciążę? — wybucha Grayson.

Nie można powiedzieć, żeby byli zachwyceni moją nowiną.

— No cóż — odpowiadam, tłumiąc śmiech — techniczne szczegóły chyba cię nie interesują, Grayson.

Istotne jest to, że mogę robić wszystko, aż do

ostatnich paru tygodni przed porodem — poza jeżdżeniem na front, rzecz jasna. Ale przecież już wcześniej uzgodniliśmy, że tego nie będziecie wymagać, więc w czym problem?

Grayson pierwszy otrząsa się z wrażenia. Idąc ku mnie z szeroko rozpostartymi ramionami, mówi:

— To wspaniała nowina, Maggie! Elliot, blady i drżący, jest bliski łez.

— Naprawdę przyjemnie widzieć waszą szczerą radość — komentuje Quincy z ironią.

— Można wiedzieć, czy wychodzisz za męża, czy też mamy się przygotować na skandal? - pyta Elliot złośliwie.

Na słowo „skandal” Grayson zielenieje. — Maggie — pyta spokojnie — zamierzasz wyjść za męża, prawda?

Znowu jestem dla nich bardziej towarem niż człowiekiem czy przyjacielem.

— W marcu, kiedy tylko dostanie rozwód.

— No cóż — stwierdza Grayson jowialnie — możemy po prostu dawać coraz większe zbliżenia, aż do szczęśliwego rozwiązania. No nie, Elliot?

W opowiedzi Elliot posyła mu druzgoczące spojrzenie. — Może byśmy tak wrócili do umowy?

— A zatem — podejmuje Grayson — wydaje się, że nie mamy jakichś szczególnych problemów.

Będziemy tylko unikać forsownych tematów, póki Maggie nie będzie... uhm...

— W lepszej formie — podpowiada Quincy.

— Do tego czasu ma się nie ruszać z Izraela, nie wolno jej gonić z miejsca na miejsce.

— Powinna była pomyśleć o tym wcześniej, a nie beztrosko zachodzić sobie w ciążę — gdera Elliot jękliwie.

— Słuchaj, El, tak nie można — protestuje

Grayson. - Jestem pewien, że Maggie powzięła tę decyzję po długim, dojrzałym namyśle...

— Wyobrażam sobie — burczy Elliot pod nosem.

— Dziękuję, prawdziwy z ciebie przyjaciel.

— Maggie — jęczy tylko w odpowiedzi — jak mogłaś?

— A gdzie jest ojciec dziecka? — wtrąca Grayson.

— W Waszyngtonie — odpowiadam, rzucając Quincy ostrzegawcze spojrzenie.

— Słuchajcie, jakoś to załatwimy — mówi Grayson. — Jeśli tylko Maggie zgadza się zostać z nami i poprowadzić ten magazyn.

— Oczywiście, Grayson - uśmiecha się Quincy.

— W takim razie załatwione.

W tym momencie, nim którekolwiek z nas może się odezwać, Peter Templeton i Jack Roshanski wpadają do gabinetu i rzucają kilka faksów na biurko Graysona. Nie tracąc czasu na wyjaśnienia, Jack włącza jeden z zamocowanych na ścianie monitorów. Gdy na ekranie rozbłyskuje obraz, wyjaśnia: - Mamy łącze z Ringlerem. Puszczamy to na antenę dziś wieczorem. Rozróżba na całego.

— Co się dzieje, do diabła? - mamrocze Grayson, przebiegając wzrokiem wydruki. — Dajcie no głośniej.

Słuchamy w osłupiałym milczeniu, jak Ringler dobitnym głosem mówi do mikrofonu, stojąc na tle czegoś, co wygląda na rezultat potężnej eksplozji. Potrzebuję całej minuty, żeby zrozumieć, co wynika z jego relacji, i pojąć sens przerażających migawek ukazujących się na monitorze.

Ringler, z włosami trzepoczącymi na wietrze, nadaje przechadzając się przed całkowicie zburzonym budyn-



kiem. — W tym miejscu znajdował się szpital Czerwonego Krzyża, w którym przebywało około 287 pacjentów — Izraelczycy, Libańczycy oraz dwóch Amerykanów. - Przesłuchując przewód od mikrofonu, podchodzi do rumowiska. — Ciężarówka nafaszerowana materiałem wybuchowym, prowadzona przez kierowcę samobójcę. — W oddali słychać wycie karetki pogotowia. Ringler czeka chwilę, by ambulans wynurzył się z za rogu i opuścił kompleks szpitalny, po czym mówi dalej: — Celem zamachu był ten potężny ośmiopiętrowy budynek, znajdujący się tuż za zieloną linią we wschodnim Bejrucie. Do niedawna mieściła się tu irańska ambasada, dlatego konstrukcja była tak mocna — ironia losu, co?

Ringler wkłada dłoń w kadr, gdyż w tym momencie obstepuje go grupka dziennikarzy.

Quincy jest bardzo blada. — Nic nie rozumiem. Dlaczego? Co się stało?

Elliot przerzuca papiery leżące na biurku. - Co tu jest do rozumienia? Tym razem te sukinsyny naprawdę przesadziły.

Grayson siedzi na brzegu krzesła, nie odrywając oczu od monitora. — Cicho.

— Mam już orientacyjną liczbę ofiar — informuje Ringler, rzucając okiem na trzymaną w ręku kartkę.

— Trzystu sześciu zabitych. Jezu Chryste! Puśćcie mnie z tym na żywo dziś wieczorem — odbiór? Ej tam, słyszycie mnie? - Zwijając dłoń w trąbkę, przykładą ją do ucha i przez chwilę nasłuchuje z przekrzywioną głową, a potem podnosi kciuk do góry. - Będę mieć więcej danych do czasu smisji.

Ringler, wyłączam się.

Quincy kurczowo chwyta mnie za rękę. — Myślałam, że wojna już się skończyła.

— Najwidoczniej ktoś zapomniał zawiadomić Hezbollah — odrzuca Elliot szorstko.

— Jak będzie, El? - pyta Jack, wskazując na mnie. — Posyłacie ją tam?

— Za nic w świecie — wtrąca Quincy ostrym tonem. — Tego nie było w umowie.

— Będzie już po wszystkim, zanim zdąży tam dotrzeć — odpowiada Grayson ze znużeniem. — Aż do następnego razu. - Wstaje. - Maggie będzie mogła poprowadzić specjalne wydanie: następstwa tej jatki. Gównu. — Odwraca się do Elliota. — Ruszcie się!

Skinąwszy głową, Elliot zaczyna rzucać rozkazy Peterowi i Jackowi: — Zadzwońcie do biura w Jerozolimie i każcie im siedzieć na tyłkach. Niech nie ruszają się z miejsca. Puśćcie na antenę krótką migawkę - trzydzieści sekund Ringlera plus jakiś lektor z tutejszego studia. Musimy podać to pierwsi. Wciąż jeszcze trudno mi w to uwierzyć, choć przecież słyszałam wszystkie możliwe uzasadnienia tego obłędu, jakim jest wojna w Libanie. Tylko teraz to wszystko wydaje mi się znacznie mniej abstrakcyjne.

Ktoś z pokoju wydania wtyka głowę w drzwi. — Ringler znowu się zgłasza — oznajmia i wielkimi susami odbiega do innego pokoju redakcyjnego.

Jack poprawia monitor, na który natychmiast powraca Ringler, tym razem stojący obok jakiejś pielęgniarki. Kobieta, z trudem powstrzymując łzy, relacjonuje, co wydarzyło się w ostatnich sekundach przed wybuchem.

— Zauważyłam zieloną ciężarówkę okrążającą parking przed bramą szpitala. - Głos więźnie jej w gardle.

Ringler ponagla ją dyskretnie. - Gdzie pani wtedy była?

— Szłam chodnikiem do pracy, wzdłuż ogrodzenia. Niespodziewanie kierowca ciężarówki dodał gazu i pędem ruszył w stronę portierni. Gdy tylko to zobaczyłam, domyśliłam się, że zamierza wyważyć bramę.

— Czy zdążyła pani przyjrzeć się kierowcy? Kobieta potakująco kiwa głową. — To był członek Hezbollahu, jestem tego pewna.

— Po czym pani to poznała? — Chris podnosi głos, bo znowu rozlega się wycie syren i pisk opon. Ona uśmiecha się smutno. — Po tej jego kolorowej chuście i wyrazie oczu. Wiedziałam, że zamierza wylecieć w powietrze razem ze wszystkimi innymi. To wyglądało... — bezskutecznie szuka słów. — To wyglądało jak fajerwerki na Czwartego Lipca... Niebo nagle rozbłysło jak Czwartego Lipca.

— Jest pani Amerykanką? — zauważa Chris.

— Tak, z New Jer... — zaczyna ona, ale nie ma czasu dokończyć. Ktoś podbiega do Chrisa i gorączkowo podaje mu kartkę papieru. — Nie rozłączajcie się! — woła Ringler — Mam tu coś więcej! — Przebiega wzrokiem tekst, gwizdże przez zęby i zmiąwszy kartkę rzuca ją na ziemię.

Ringler mówi teraz prosto do kamery. - Dziesięć minut po zbombardowaniu tego szpitala, gdy wszyscy zajęci byli ofiarami wybuchu, miał miejsce analogiczny zamach na ambasadę francuską, położoną kawałek dalej na tej samej ulicy. Druga ciężarówka nafaszerowana materiałem wybuchowym, z czubkiem za kierownicą. Tym razem cały budynek po prostu runął na bok jak domek z kart. Jest sześćdziesiąt pięć ofiar śmiertelnych. - Milknie na chwilę. — Jak dotąd.

Monitor gaśnie. Siedzę na brzegu krzesła z głową między kolanami i cała się trzęsę. Koszmarny łańcuch śmierci i odwetu. Co za różnica, kto to zrobił? I tak nie ma już szans na pokój, wiem to z całą pewnością. Avi miał rację — wojna weszła w nową fazę. Jack Roshanski podchodzi wyregulować monitor.

Pojawia się obraz studia ABN w Jerozolimie z Dickiem Swansonem siedzącym na moim miejscu za pulpitem i przygotowującym się do rozpoczęcia relacji z tego koszmaru. — Mamy już oficjalne potwierdzenie - oznajmia Elliot, przykrywając słuchawkę dłonią. - To rzeczywiście byli ci stuknięci Irańczycy z Hezbollahu.

Ale ja nawet go nie słucham. Wpatruję się w ekran, na którym Dick właśnie zaczyna mówić.

— W parę minut po podwójnej eksplozji anonimowy rozmówca zadzwonił do libańskiej agencji informacyjnej w Bejrucie i oznajmił, co następuje: „Nie jesteśmy Irańczykami, Palestyńczykami czy Libańczykami. Jesteśmy żołnierzami rewolucji, uciśnionymi tej ziemi, wypełniającymi nakazy Koranu. Allah Akbar”.

— Zawsze, gdy te sukinsyny robią coś w imię Allaha, giną ludzie - stwierdza Grayson, kręcąc głową.

— Skończyłeś, Dick? - mówi Elliot do telefonu.

— W porządku, dziękuję.

Odłożywszy słuchawkę, odwraca się i przebiega wzrokiem po naszych twarzach.

Quincy, bliska hysterii, zrywa się na nogi. — Nie ma mowy, żeby Maggie tam jechała, zanim sytuacja się nie unormuje.

— Znakomicie — odcina się Elliot — a jak sądzisz, Reynolds, kiedy to nastąpi? W roku czterotysięcznym?

Nie dostrzegam ich wszystkich, niewidzącym wzrokiem wpatruję się przed siebie, w jakiegoś urojonego wroga i nagle milczenie otaczających mnie ludzi przeszywa mi serce. Nawiedza mnie wizja Joe yaleriego, równie daleka i nierealna, jak wizja świata, któremu cudem przywrócono pokój, i niejasno przeczuwam jakiś związek między nim a całym tym chaosem. Wspomnienie o Joem jest może jedyną rzeczą, która zdolna byłaby mnie powstrzymać. Jednak coś innego, znacznie potężniejszego niż lęk, ponagla mnie do wyjazdu — obraz Joego rozpływa się szybko, a na jego miejsce powraca rzeczywistość.

— Wysłałem już ekipę na te rozmowy do Waszyngtonu — piekli się Grayson do telefonu

— a tymczasem nie ma komu obsługiwać tego, co się dzieje w Libanie.

— Poproście kogoś z irańskiej ambasady w Paryżu, żeby złożył oświadczenie - mówi Elliot, przytrzymując słuchawkę między brodą a ramieniem.

Quincy jest oszołomiona. — Przecież oni wyraźnie powiedzieli, że nie są Irańczykami.

— A ty w to wierzysz! - prycha Elliot niecierpliwie. - Tylko Irańczycy są na tyle stuknięci, żeby wysadzić się w powietrze - ludzie z Hezbollahu albo ich pupile.

— Kogo możemy wysłać? — woła Grayson.

— Sommers już tam jedzie! - odkrzykuje Elliot. Odwraca się do mnie i strzela palcami w powietrze.

— Tak, Sommers?

Elliot jest już tylko zawodowcem, zapomniał o niedawnych wybuchach uczucia, i o samych uczuciach także. — Jak prędko możesz się zebrać?

— naciska.

Quincy kładzie rękę na mojej dłoni, próbując

mnie powstrzymać od zbyt pochopnej odpowiedzi, od jakiegokolwiek odpowiedzi.

Ale to na nic i obydwie o tym wiemy. — Zaraz, jutro, kiedy chcecie — odpowiadam mechanicznie.

— Zamówcie jej ten sam hotel w Tel Awiwie

— rzuca Elliot w słuchawkę. — Będzie tam pojutrze, wylatuje jutro El Al-em z lotniska Kennedy'ego.

— Spoglądając na mnie, podnosi kciuk do góry i kiwa głową. Wszystko jest tak samo jak dawniej, jeśli nie liczyć śmierci mamy, ciąży, która przestała już być tajemnicą, i kochanka, który niewątpliwie wraca w rejon, gdzie obłąkani terroryści usilnie próbują wysadzić świat w powietrze. Ale jeszcze coś jest tak samo jak dawniej: znowu czuję przyływ adrenaliny, jak zawsze, gdy na horyzoncie pojawia się pasjonujący temat.

— Nie możesz tego zrobić! — krzyczy Quincy.

— Musisz teraz myśleć o innych rzeczach.

— A Avi? — pytam cicho. — Co z Avim?

— Mam tylko to jedno życie i nie obowiązuję mnie lojalność wobec nikogo prócz niego. Znowu odzywa się telefon. Grayson podnosi słuchawkę i zaraz oddaje mi ją, unosząc przy tym brwi.

— Gdzie jesteś? — pytam, nim jeszcze zdążył się odezwać.

— W samochodzie, w drodze na lotnisko. Lecę prosto do Izraela, bo nasze bazy są zagrożone. Tutaj zupełne fiasko.

— Wiem! — krzyczę.

— Kiedy wracasz, Maggie?

— Będę tam pojutrze, przywiozę twoje rzeczy. Mamy ten sam apartament w Tel Awiwie co poprzednio. - Szczegóły. Wszystko, byle tylko zagłuszyć ból.

— Kocham cię! — woła Avi, przekrzykując trzaski rozlegające się w słuchawce.  
— Ja też cię kocham! — odkrzykuję. — Obiecuj, że będziesz uważać!  
— Nie słyszę! — krzyczy on na całe gardło. Jeszcze jeden trzask i połączenie urywa się.  
Telefon milczy. I nie ma obietnic.

## *Rozdział 10*

Jumbo Jet El Al-u znajduje się gdzieś nad Grecją, kiedy na dziobie samolotu wybucha nagłe zamieszanie. Jeden z pracowników służby bezpieczeństwa ubrany w typowe beżowe safari z charakterystycznym wybrzuszeniem kabury pod pachą, szybko idzie przejściem między fotelami. Ma wygląd tak niedwuznaczny, że równie dobrze mógłby włożyć trenz i pilśniowy kapelusz ze spuszczonego rondem. Steward Szlomo, dobrze mi znany z niezliczonych lotów, które wspólnie odbyliśmy na trasie Nowy Jork - Tel Awiw, z natężeniem słucha czegoś, co mówi drugi pilot, a kilka stewardes stoi nie opodal z zatroskanymi minami.

Avi nie zadzwonił ani razu od swojego nieprzewidzianego wyjazdu przed dwoma dniami, lecz nie spodziewałam się od niego wiadomości. Wiedziałam, że z pewnością przebywa w takich rejonach Libanu, gdzie trudno o czynny telefon. Wieczorne relacje > telewizyjne na temat skutków dwóch eksplozji były już dostatecznie przygnębiające. Amerykańscy i francuscy żołnierze, wspomagani przez Izraelczyków i żołnierzy międzynarodowych sił UNIFIL-u, wciąż jeszcze wydobywali spod ruin zwłoki kolejnych ofiar. Teraz



jednak czuję instynktownie, że wydarzyło się coś nowego — obsługa samolotu musiała otrzymać jakiś komunikat radiowy.

Szlomo, mężczyzna o wyrazistych czarnych oczach i rozszczepionej brodzie, milknie, kiedy się zbliżam. Uśmiecha się i z rozbawieniem potrząsa głową. — Mogłem się ciebie spodziewać.

— Co się stało? — pytam, spoglądając po nich.

— Może napiłabyś się kawy? — proponuje Szlomo odwracając się.

Nie ruszam się z miejsca. — Dziękuję — odpowiadam, badawczo wpatrując się w drugiego pilota.

— Skąd pani przyszło do głowy, że coś się stało? — pyta tamten, rzucając szybkie spojrzenie na Szlomo.

— Maggie Sommers jest korespondentką amerykańskiej sieci telewizyjnej — wyjaśnia Szlomo, podając mi filiżankę kawy. — Wszędzie wietrzy sensację.

Jeden z pasażerów przeciska się obok w drodze do łazienki. — Mam wrażenie, że dostaliście jakąś wiadomość przez radio — mówię.

Drugi pilot wzrusza ramionami, wzrokiem nakazuje Szlomo, żeby spławił tę ciekawską, po czym odwraca się i znika w kabinie.

— Maggie, wracaj na miejsce — mówi Szlomo stanowczo. — Pasażerom nie wolno tu przebywać.

— Słuchaj — upieram się — jeśli to tajna wiadomość, możesz być pewien, że nie puszczę jej dalej.

Pytam wyłącznie z pobudek osobistych.

— Nie mogę ci nic powiedzieć.

Ale na jego twarzy maluje się niepokój. — Szlomo, proszę! — I może dlatego, że sama wyglądam na jeszcze bardziej zaniepokojoną, w końcu ustępuje.

— Dali nam ochronę aż do Ben Guriona — szepcze, rozglądając się ukradkowo.

Ręce zaczynają mi się trząść. — Dlaczego?

— Naprawdę nie mogę nic więcej powiedzieć. Proszę cię, nie pytaj.

Samolot wpada w dziurę powietrzną, kiedy chwiejnie wracam na swoje miejsce, pewna, że myśliwce czy wojskowe radary śledzą izraelskie cywilne samoloty jedynie w przypadku ataku na Izrael lub bezpośredniej groźby wybuchu wojny. Przez następne półtorej godziny snuję domysły, aż wreszcie pilot informuje, że podchodzimy do lądowania. Z uczuciem ulgi wyjmuję swoje rzeczy ze schowka pod fotelem i wysiadam z samolotu. Jeśli coś się stało, Avi na pewno mi o tym powie, zanim wyślą go na front. No i oczywiście muszę niezwłocznie zgłosić się do studia.

Na lotnisku panuje piekielny upał, ciężki do zniesienia po trzaskającym mrozie, w jakim zaledwie jednaście godzin wcześniej opuszczałam Nowy Jork. Przekładając torbę na drugie ramię, kieruję się do kontroli paszportowej. Po przydługiej wstępnej procedurze strażnik wprowadza moje dane do komputera i, uzyskawszy potwierdzenie, podbija mi paszport. Przede mną pierwsza kontrola bezpieczeństwa i tam właśnie zaczynam szukać wzrokiem Aviego w tłumie ludzi stojących za czerwoną linią. Podświadomie rejestruję, że coś jest nie tak, choć przez chwilę nie rozumiem jeszcze co. Widzę Gidona i Gile, a obok nich jakiegoś mężczyznę w mundurze, którego nigdy dotąd nie widziałam. Zbliżam się do drugiego punktu kontrolnego, gdzie cywil z identyfikatorem „security” obmacuje wzrokiem pasażerów i odbiera od nich paski niebieskiego papieru poświadczające przejście przez kontrolę paszportową. Jestem już o parę kroków od nich, kiedy Gila

451

szeptuje coś do ucha Gidonowi. Ten kiwa głową i cofa się o parę kroków, unikając mojego wzroku. Gila ma zaczerwienione oczy; jasne włosy krzywo spięte klamrą na czubku głowy w nieładzie opadają na ramiona. Jej twarz, zapadnięta i wymizerowana jak po nie przespanej nocy, wyraża tak przejmujący smutek, że siłą powstrzymuję się od ucieczki. Nie przeżyję tego. Nie zniosę już więcej. To niesprawiedliwe, nie to. Gila bierze moją twarz w dłonie, łzy płyną jej po policzkach.

— Maggie — szeptuje. — Maggie.

Mam wrażenie, jakby ziemia zapadała mi się pod nogami; odebrano mi całe poczucie bezpieczeństwa, koszmar zaczyna się na nowo. Monotonnie potrząsam głową, próbując nie zemdleć. Hala wiruje wokół mnie. Łzy toczą mi się po twarzy, wpływają do ust.

— Nie, nie, Avi. Proszę, tylko nie to — błagam. Gila usiłuje coś powiedzieć, lecz głos więźnie jej w gardle, bo te słowa są równie okrutne dla mówiącego, co dla słuchającego — to tak, jakby brutalnie zadawać komuś cios za ciosem.

Gidon stoi obok z tym drugim człowiekiem, którego wciąż nie poznaję, lecz który chyba mnie trzyma, żebym nie upadła.

I wtedy zaczyna mi świtać kto to jest: wojskowy psycholog, którego wysyła się rutynowo, kiedy trzeba zawiadomić rodzinę. Otaczają mnie ramiona Gidona, który podtrzymuje mnie z drugiej strony. Ktoś szlocha głośno; nie jestem pewna czy ja, czy Gila.

— Wczoraj wieczorem kierowca samobójca z Hezbollahu zaatakował naszą bazę w Sydonie — mówi Gidon.

Aleja nie chcę nic słyszeć, przechodzić przez mękę szczegółów, kiedy przecież wszystko jest już jasne.

Odtrącam go, patrząc mu w oczy jak ranne zwierzę, zaklinając go bezgłośnie, żeby nic nie, mówił. Jego ogromne dłonie ciężko spoczywają na moich ramionach, a szczęki są tak napięte, że widać drgające mięśnie z boku twarzy. Wieloletni trening i siła woli nie pozwalają mu się załamać, lecz dla mnie ten ból jest nie do wytrzymania.

— Avi wracał z Tyru, gdzie wizytował inną bazę. Ból jest przerażający. Gila odgarnia mi włosy z twarzy, a lekarz wojskowy zacieśnia uścisk na moim ramieniu.

— Grupa terrorystów podłożyła ładunek na poboczu drogi. Znaleźliśmy wrak jeepa, było mnóstwo krwi. Jest zabity albo w niewoli, Maggie. W tej chwili nie wiemy jeszcze nic pewnego.

Zabity albo w niewoli. Wybierz opcję: wariant A, wariant B. Zabity albo w niewoli. Te dwa słowa cykają jak komputer, próbując przywołać mnie do rzeczywistości, do drogi między Tyrem a Sydonem, wraku jeepa i ładunku podłożonego na poboczu drogi.

Gidon rzuca szybkie spojrzenie na doktora, jakby upewniając się, czy może mówić dalej. Tutaj mają w tym doświadczenie. Tylko Izraelczyk potrafi tak sprawnie przekazać tego rodzaju nowinę, krótką informację dotyczącą pewnego *tat alufa*, który zginął lub dostał się do niewoli. To wszystko dociera do mnie stopniowo, jakby z opóźnieniem. Po pierwszym szoku wywołanym odkryciem, że Aviego tu nie ma, przychodzi kolej na twardą prawdę, że już nie przyjdzie, ani tu, ani nigdzie, przez bardzo długi czas. A może już nigdy. Jednocześnie zaczyna się budzić we mnie świadomość, że było już tyle podobnych historii, iż ostateczny rezultat jest łatwy do przewidzenia. Czytam to teraz w ich oczach, kiedy łagodnie gładzę nieogolony policzek Gidona.

— Proszę cię — skamle — proszę! — Zupełnie, jakby w każdym nieszczęściu możliwy był cud. Przez chwilę wydaje się, że wybuchnie płaczem, ale oczywiście tego nie czyni. Jego twarz znowu przybiera nieprzenikniony wyraz, choć teraz przebija przez niego udręka.

— Na pewno chce pani słuchać dalej? — pyta lekarz. Ten obcy człowiek spełnia najokropniejszą funkcję, jaką tylko można sobie wyobrazić: pomaga innym się pozbierać, żeby życie mogło toczyć się dalej — jakoś.

— Avi próbował znaleźć Mosze — wyjaśnia Gidon — a kiedy mu się nie udało, postanowił jechać sam. Wskoczył do jeepa i ruszył do bazy w Sydonie. — Milknie na chwilę. — Jeden z naszych patroli znalazł jeepa, a raczej to, co z niego zostało, na poboczu drogi obok zdetonowanego ładunku. Jak się wydaje, bomba wybuchła z pewnym opóźnieniem, prawdopodobnie całe trzy minuty później, co właśnie okazuje się spodziewanym cudem, jeśli coś takiego w ogóle istnieje na tym pokręconym świecie.

— Było mnóstwo krwi. Wyrzuciło go z samochodu, co mogło uratować mu życie. Ale musiał odnieść bardzo poważne obrażenia, więc jest możliwe, że później zmarł.

Mam uczucie, że się duszę, trudno mi łapać powietrze przez spieczone usta. Odprowadzają mnie na bok hali przylotów, z dala od tłumu ludzi, którzy całują i ściskają przybyłych pasażerów. Lekarz łagodnie sadza mnie na krześle, a Gila nie zdejmuje dłoni z mojego ramienia. Kolana tak mi się trzęsą, że muszę przyciskać je rękami.

— Zginęło trzydziestu pięciu Izraelczyków, siedemnastu żołnierzy libańskich i czterdziestu Pales-

tyńczyków, przebywających w więzieniu w tej bazie. - Tak jakby mogła mnie pocieszyć wiadomość, że ci ludzie na pewno zginęli, a los Aviego pozostaje jeszcze do pewnego stopnia pod znakiem zapytania. A przecież może być jeszcze gorzej — mógł wpaść w ręce oszalałych fanatyków, gotowych zamordować go dla kaprysu, albo powoli zamęczyć.

Lekarz przykłada mi do ust filiżankę z wodą i bacznie przygląda się jak piję. Znowu widzę tę zastygłą twarz, bez śladu emocji, na widok której mogłabym się doszczętnie załamać.

- Która grupa podłożyła ładunek? - pytam, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

- Wydaje nam się, że Rada Rewolucyjna Abu Ibrihima.

Jest jasne jak słońce, że ta informacja została już potwierdzona przez izraelskie służby wywiadowcze. *Tat aluf* Herzog zginął albo znajduje się w rękach Abu Ibrihima gdzieś w Damaszku, w jakimś obskurnym szpitalu czy więzieniu.

Serce tłucze mi się tak mocno, jakby miało rozsadzić klatkę piersiową. Gila grzebie w mojej torbie, próbując znaleźć kwity na bagaż. Lekarz podaje mi drugą filiżankę wody. Gidon trzyma w ręku kwity.

- Wybiegnę na dwór sprawdzić, czy Mosze już przyjechał, a Gidon odbierze walizki - mówi Gila.

Gidon lekko dotyka mojej twarzy; przelotny odruch czułości przypominający o czasach, gdy byliśmy przyjaciółmi i nie musiał trzymać się regulaminu.

- Słabo pani? — pyta lekarz.

- Nie — odpowiadam, opierając się na nim, żeby wstać.

— Maggie, jeśli go złapali, nie zrobią mu krzywdy. Jest oficerem, ma dla nich zbyt dużą wartość. Z wdzięcznością zaciskam palce na jego krzepkim ramieniu.

— Czy są w stanie zapewnić mu właściwą opiekę medyczną? — Jak zgrabnie omijam ewentualność, że to nie ma już znaczenia.

— Ich zaplecze medyczne nie jest tak złe, jak pani myśli - mówi lekarz. — Ostatecznie Assad przeżył trzy zawały.

— Prawdopodobnie sprowadzili mu samolotem żydowskiego lekarza — mówię, z pełną świadomością, że ta rozmowa jest absurdalna.

On się uśmiecha. — Wszyscy kochają Aviego. Wiem, bo był moim dowódcą podczas wojny Jom Kippur.

— Ciekawe, czy w Damaszku też go kochają?

— odpowiadam gorzko.

Mój sarkazm jest nie na miejscu, poznaję to po jego minie.

— Nie był jednym z tych elitarnych dowódców

— podejmuje po chwili. — Wszedł z szeregów, dlatego jego ludzie tak go kochają. Jest jednym z nas. To ogromny cios dla wszystkich.

Nie dziwi mnie ta zbiorowa żałoba w kraju, gdzie nikt nie zamyka drzwi na klucz i wszyscy się znają. To jedyne miejsce na ziemi, gdzie śmierć jednego żołnierza przeszywa serce całego narodu; znam tę niewidzialną więź spajającą ich wszystkich. Ale dlaczego to musi być mój Avi?

— Na imię mi Szimon — przedstawia się lekarz po chwili milczenia. - Zrobię dla ciebie, co tylko będzie w mojej mocy, Maggie. Bardzo ci ciężko, rozumiem to, ale jesteś silna.

— Skąd wiesz? — pytam. I nagle wściekły gniew ogarnia mnie jak płomień, nieoczekiwanie dodając mi sił i odwagi, a ja witam w nim jedyne go autentycznego sojusznika w całym tym niewiarygodnym koszmarze. Lekarz wydaje się zbity z tropu moim pytaniem.

— Niełatwo go kochać, prawda? — mówi wreszcie. — Jest nieustępliwy, uparty, jak prawdziwy mężczyzna, ale mimo to kochasz go, a on ciebie. Jesteście nadal razem. — Dobrze, że chociaż nikt nie mówi o nim jeszcze w czasie przeszłym.

Mosze wybucha płaczem na mój widok. — Tak mi strasznie przykro, Maggie — szlocha — ale wszedłem do baraku tylko na chwilę, a kiedy wyszedłem, on już odjechał. Nie wiedziałem, że mnie szuka.

Dotykam dłonią jego twarzy i przyciskam usta do jego mokrego od łez policzka. Jakże mogłabym mieć do niego pretensję, do tego chłopca, który jest tak oddany Aviemu?

Avi nigdy nie mówił: „Naprzód!”, powiedział kiedyś Gidon. Zawsze mówił: „Za mną!”. A tym razem nawet tego nie powiedział, po prostu pojechał sam. I znowu porywa mnie wściekły gniew, gdzieś w środku rzucam się i miotam, co w końcu pozwala mi ochłonąć i znowu zacząć myśleć logicznie. Jak mógł mi to zrobić, jak mógł nam to zrobić, wiedząc na co się naraża?

— To nie twoja wina, Mosze — mówię. — I tak nie zdołałbyś go powstrzymać.

Ociera twarz grzbietem swojej dużej dłoni i otwiera drzwi samochodu.

Gila już tam siedzi. Wdrapuję się do środka i siadam koło niej. — On jest silny, Maggie



— zauważa. — Jeśli tylko przeżył, na pewno się z tego wykaraska.

— A jeśli nie?

Przygryza dolną wargę i milczy; czytam lęk w jej oczach. Kogo tak naprawdę próbuje przekonać? Kto może wiedzieć, jak się to skończy, skoro nie pozostało nic prócz pogiętego wraku jeepa na skrwawionej ziemi gdzieś między Tyrem a Sydonem?

Ktoś zatrzaskuje bagażnik. Mosze z Gidonem sadowią się z przodu. Opieram głowę na ramieniu Gili, łzy płyną mi niepowstrzymanie. Gidon odwraca się i mówi:

— Słuchaj, jeśli żyje, będą próbowali go wymienić na kilku swoich.

— Myślisz, że zginął? — Ale wypowiedzenie tego na głos nic nie pomaga.

— Nie wiem — odpowiada Gidon lakonicznie. Znowu jest jednym z nich.

— Jakie są szanse? — Chryste, niech będzie choćby cień szansy.

— Niewielkie.

— Co można zrobić?

Gidon chce odpowiedzieć, ale lekarz siedzący przy mnie wchodzi mu w słowo niczym czołg szturmujący półwysep Synaj. — Musimy czekać na ich ruch, aż zaproponują wymianę.

Lecz Gidon zna odpowiedź lepiej od nas wszystkich. — Jesteśmy w kontakcie z pewnymi ludźmi, którzy próbują odzyskać ciało lub ustalić miejsce jego pobytu. — Mówi o swoim najlepszym przyjacielu, człowieku, którego zna od dwudziestu lat, z którym walczył ramię w ramię w trzech wojnach.

To zdumiewające, jak sprawnie potrafi rozgraniczyć osobistą stronę tego dramatu od zawodowej. Ale to

tylko dzięki temu, że tutaj to potrafią, w ogóle jest jakieś tutaj.

— Jestem w ciąży — mówię do nikogo w szczególności, kiedy wyjeżdżamy z lotniska.

— Wiem — odpowiada Gidon miękko. — Wszyscy wiemy i nie zostawimy cię samej, obiecuję.

Wszyscy będziemy z tobą.

Jest dokładnie tak, jak przeczuwałam w Nowym Jorku: cokolwiek się stanie, to dziecko przyjdzie na świat i zawsze będzie częścią mnie i tego mężczyzny, którego może już nie ma wśród żywych. Lecz zapewnienia Gidona, że tutejsza kibucowa mentalność uchroni mnie od samotności, w najmniejszym stopniu nie łagodzą bólu, jaki sprawia mi świadomość, że nie będzie ze mną Aviego — ani teraz, ani nigdy.

— Maggie — odzywa się Gila. — Tak mi przykro z powodu twojej matki. Już słyszeliśmy. — Milczą, jakby to na mnie spoczywał obowiązek pocieszenia ich, zapewnienia, że i ta rana z czasem się zagoi, podobnie jak poprzednia.

— Jesteś już w domu, Maggie. Dasz sobie radę. Odwagi. Jesteśmy z tobą.

— *Hazak Veheimatz* — mówi Gidon z prostotą.

Bądź silny. Bądź odważny. Cała filozofia izraelskich sił zbrojnych w jednym zdaniu. Zupełnie jakby to mogło komukolwiek pomóc.

Siedzę w swoim gabinecie w biurze ABN w Tel Awiwie i popijając mleko przeglądam stos gazet i pism ilustrowanych, które co tydzień przysyłają nam ze Stanów i których nigdy nie mam czasu czytać.

Chris Ringler siedzi obok i przygotowuje się do wywiadu z Ahmedem Hassanem, wybitnym przywódcą palestyńskim i domniemanym współpracownikiem Abu

Ibrihima, mieszkającym w mieście Jenin na Zachodnim Brzegu.

Operatorzy, posłuszni wskazówkom Graysona, stopniowo podjeżdżają do mnie coraz bliżej z kamerą, tak, aby amerykańska publiczność nie zorientowała się w moim stanie. Teraz, w szóstym miesiącu ciąży, widać mi już tylko głowę i ramiona.

Rozpacz dopada mnie głównie w nocy, bo za dnia nie zostawiam sobie czasu na użalanie się nad sobą. Już i tak zbyt wiele osób się nade mną lituje. Quincy wiernie dzwoni dwa razy w tygodniu, żeby się dowiedzieć, jak się czuję i rozerwać mnie zabawnymi historyjkami o wspólnych znajomych. Jednak zawsze nadchodzi ten moment wahania, po którym nieśmiało pyta, czy przypadkiem nie było jakichś wiadomości. Cara również często telefonuje, ale przeważnie załamuje się już na samym początku rozmowy, tak że w końcu to ja muszę ją pocieszać.

Nadal nie ma żadnych wiadomości o Avim. Sześciu żołnierzy izraelskich wziętych do niewoli w strefie bezpieczeństwa, teraz już prawie rok temu, wciąż przebywa w więzieniu. Niemniej jednak izraelscy negocjatorzy są dobrej myśli — podobno zwolnienie zakładników jest już tylko kwestią dni. Nie dalej jak wczoraj wieczorem Gidon powiedział mi, że przedstawiciele Czerwonego Krzyża otrzymali pozwolenie na odwiedzenie ich w więzieniu w Damaszku i znaleźli ich w stosunkowo niezłej kondycji fizycznej i psychicznej.

Od porwania żołnierzy izraelskich Ahmed Hassan nie udziela wywiadów zachodniej prasie. Nie ma cienia wątpliwości, że jest na bieżąco informowany o wszystkim przez swojego dobrego przyjaciela, Abu Ibrihima, lecz oficjalnie nie przyznaje się do tych kontaktów. Fakt, że teraz zgodził się spotkać z ekipą ABN, musi

oznaczać, iż ma do przekazania coś ważnego — nieoficjalną wiadomość od palestyńskiego przywódcy.

— Musimy się już zbierać, jeśli nie chcemy jechać tam po nocy — ponagla mnie Ringler.

— Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby mieć w nocy trochę towarzystwa — mówię ze smutnym uśmiechem.

Chris przytula mnie do siebie. — Maggie, Maggie — gładzi mnie po głowie. — Ciężko ci, co?

Podnoszę głowę i patrzę na niego przez łzy. — Tak ciężko, że nie uwierzyłybyś, gdybym spróbowała ci powiedzieć.

Chris ponownie przyciąga mnie do siebie.

Odsuwam się nieznacznie. — Żadnej litości, pamiętasz?

Zaprzecza ruchem głowy, jego głos jest dziwnie zdławiony. — Pamiętam.

Kiedy mkniemy przez suche, jałowe wzgórza doliny Jordanu w drodze do Jeninu, zastanawiam się, jak daleko mogę się posunąć w rozmowie z Hassanem. W miarę jak oddalamy się od niewidocznej zielonej linii, oddzielającej Izrael od obszarów zdobytych w wojnie sześciodniowej, z każdym mijającym kilometrem przerzucam się od nadziei do zwątpienia. Jeśli nie zdołamy wyciągnąć z Hassana czegoś konkretnego, będziemy mieć jeszcze jeden zawałony wywiad. Jeśli OWP nie ma czegoś do zakomunikowania Izraelowi za pośrednictwem zachodniej prasy, usłyszymy tylko same slogany.

Lecz bez względu na to, jakie byłyby ukryte intencje Hassana, musimy rozegrać to nadzwyczaj ostrożnie, nie demonstrując przesadnego zainteresowania losem pewnego zaginionego *tat alufa*.

Ten region znacznie bardziej przypomina kraje arabskie niż zirygowane tereny, przeważające

w Izraelu. Przed nami jak okiem sięgnąć rozpościera się jałowe pustkowie, z jednej strony drogi ciągną się skaliste góry. Tu i ówdzie widać pojedyncze wille rozsiane w pustynnym krajobrazie i nieruchome żurawie porzucone przez robotników, którzy przykucnięci pod prowizorycznymi daszkami z papy szukają schronienia przed palącym popołudniowym słońcem. Zabawne, że nawet nie dokończone wille mają na dachach miniaturowe wieże Eiffla — potężne anteny telewizyjne odbierające sygnały od pobliskiego Ammanu, po daleki Damaszek. Wreszcie wjeżdżamy na przedmieścia Jeninu, witani przenikliwym zapachem bugenwilli, i kierujemy się krętą drogą pod górę, ku luksusowej willi Ahmeda Hassana. Stragany z pomarańczami i pomelami, stojące wzdłuż poboczy z ubitej gliny, są już zamknięte. Handlarze wracają do domów. Jest po prostu za gorąco, żeby pracować. Brama w murze otaczającym posesję wyposażona jest w mały domofon. Naciskam guzik i słyszę głos z silnym arabskim akcentem:

- Kto tam?

— Maggie Sommers z ABN.

W odpowiedzi rozlega się przeciągłe buczenie. Pchnąwszy furtkę wchodzimy z Chrisem do przepięknie utrzymanego ogrodu, który prowadzi do wykładanej marmurem werandy.

Hassan uśmiecha się dobrodusznie, siedząc w swojej zwykłej pozycji na wózku inwalidzkim. Biała długa suknia podkasana do połowy ud odsłania zniekształcone kikuty nóg. Hassan, ofiara zamachu bombowego dokonanego przez grupę żydowskich terrorystów, którym nie podobała się jego działalność polityczna, jest męczennikiem swojej

sprawy i z dumą demonstruje blizny poniesione dla swoich przekonań.

— Witajcie — mówi, turlając się w naszą stronę.

— Witajcie w moim domu.

— Dziękujemy, panie Hassan — odpowiadam.

— Miło mi znów pana widzieć.

— Widzę, że jest pani w ciąży, panno Sommers

— stwierdza. Czy naprawdę położył akcent na słowo „panno”, czy to tylko moje urojenie? — Dobrze się pani czuje?

— Doskonale, dziękuję — odpowiadam z uśmiechem.

Ostrożnie opuszczam się na czarne krzesło z kutego żelaza i patrzę, jak Hassan, dźwigając się na rękach, mozolnie przesiada się z wózka na ogrodowy bujak zawieszony na linach przymocowanych do drewnianych belek stropowych. Kiedy jest już wygodnie ulokowany, zjawia się lokaj z kafłową tacą, na której stoją miniaturowe filiżanki z kawą po turecku. Bierzymy po jednej i popijamy przez parę minut w milczeniu, aż wreszcie Hassan zauważa: — Niestety dla pani złożyło, że ojciec dziecka jest nieobecny. — W tej części świata nie ma sekretów; obie strony doskonale orientują się we wszystkich intrygach, z wyjątkiem tych dotyczących bezpieczeństwa narodowego, a nawet za to nie można ręczyć.

Hassan jest urażony moim milczeniem.

— Nie chce pani ze mną o tym rozmawiać? Moją odpowiedź przerywa ciche popiskiwanie pagera zawieszzonego na pasku, sygnał, że jest dla nas pilna wiadomość.

Chris wstaje. — To z biura w Tel Awiwie, proszą nas o kontakt.

— Tak? — odpowiada Hassan.

— Czy mógłbym skorzystać z telefonu? Muszę się do nich zgłosić.

— Oczywiście — przyzwala nasz gospodarz uprzejmie. — Telefon jest w środku. Walid pana zaprowadzi.

Odczekawszy aż Chris wyjdzie, podejmuje przerwany wątek: — Wiem, że pani bardzo się tym trapi. Nietrudno sobie wyobrazić, że mogę być strapiona, zdenerwowana, czy nawet zrozpaczona, iż ojciec mojego dziecka nie żyje lub w najlepszym wypadku leży ledwo żywy w jakiejś brudnej norze, gdzie wrzucili go terroryści. Ale przecież chyba nie wezwał mnie tu tylko po to, by złożyć mi wyrazy ubolewania?

— To prawda — potwierdzam cicho, nie spuszczać oczu z jego twarzy.

On pociąga łyk kawy, śledząc mnie uważnie znad filiżanki. Przetyka z głośnym gulgotaniem, ociera usta chusteczką wyciągniętą z rękawa obszernej sukni i kiwa głową. — To ogromna tragedia, że niewinne dzieci muszą cierpieć przez to, z pewnością nie widać rozwiązania tej kwestii. — Ile jeszcze wojen muszą stoczyć, ile celów zniszczyć, aby ta prawda wreszcie do nich dotarła?

— To wszystko sprawa okupacji — mówi dalej Hassan — nierespektowania praw ludu palestyńskiego. — Nie mam nic przeciwko Palestyńczykom, czy innym niewinnym ofiarom tego konfliktu, jednak pewne narody mają większego pecha niż inne. Żydów prześladowuje się od dwóch tysięcy lat.

— Wymiana jeńców nastąpi dziś w nocy — oznajmia on nagle, rozcierając dłońmi swoje kikuty.

— A co z ojcem mojego dziecka? Powiedział już dość, jego twarz przybiera nieprzenikniony wyraz, odwraca ode mnie oczy. — Nic

mi o tym nie wiadomo — odpowiada w końcu, patrząc w przestrzeń.

Chris wraca na taras z zaniepokojeniem na twarzy. — Maggie, pozwól tu na minutę.

— Nie ma potrzeby — odzywa się Hassan — już jej powiedziałem.

Ukrywając zdziwienie, Chris przyciąga sobie krzesło i siada.

— Izraelscy żołnierze są już w drodze do Genewy

— obwieszcza Hassan z roziskrzonymi oczami — a palestyńscy męczennicy właśnie wyruszają z Libanu do Izraela, skąd odlecą samolotami do diaspory.

— Ilu Izraelczyków zostanie wymienionych dziś w nocy? — pytam. Jestem już tak bliska prawdy.

Jedno jego słowo może położyć kres wielomiesięcznej udręce. Proszę Hassan, tylko ten jeden raz, dla dobra tego niewinnego dziecka. Ale to było kłamstwo, bo w gruncie rzeczy chodziło raczej o mnie samą. Proszę, pomóż mi stanąć na nogi, po tym wszystkim, co już się stało.

— Sześciu Izraelczyków ma być uwolnionych w zamian za 1034 Palestyńczyków i Arabów.

— Chris? — Opuszczam wzrok na stół, żeby nie natknąć się na świdrujące spojrzenie Hassana.

— Mnie też tak mówiono — odpowiada Chris cicho.

Hie mogę zaprotestować, przez co moje milczenie brzmi jak cicha zgoda, poddanie się.

Hassan przesiada się z powrotem na wózek

— znak, że uważa naszą wizytę za zakończoną. Z grymasem bólu sadowi się na gumowej poduszce i kładzie dłonie na kołach. Tuż przed powrotem do środka odwraca się.

— Nie jesteśmy barbarzyńcami, panno Sommers

— mówi. — Walczymy tylko o prawo do ojczyzny.



Ringler chwyta mnie za ramię i szeptem nakazuje:

— Nic nie mów, Maggie.

Hassan jest już w drzwiach. — Wiele kobiet straciło ojców, braci, synów, dzieci. To tutaj nic nowego. Nie jestem w stanie powstrzymać się dłużej.

— Ale gdybym chociaż wiedziała, że nie żyje, byłabym spokojna. Takie życie to męczarnia. Proszę, niech mi pan powie, jeśli pan coś wie, żebym mogła żyć dalej.

Twarz mam ukrytą w dłoniach. Lecz nawet nie patrząc na niego wiedziałam, że nie zamierza mi odpowiedzieć.

Telefony w studiu rozgrzewają się do białości. Dick Swanson, stary wyga, porzucił swoją zwykłą znudzoną, cyniczną pozę i dziś wprost tryska energią. Na zmianę z Chrisem Ringlerem łączy się to z nowojorskim biurem ABN, to z izraelskim Ministerstwem Obrony Narodowej. Właśnie godzinę temu dostaliśmy oficjalne potwierdzenie, że tej nocy nastąpi wymiana 1034 Palestyńczyków na owych sześciu Izraelczyków wziętych do niewoli prawie rok temu w strefie chronionej ONZ.

Miriam Rabai, najbardziej aktywna i wojownicza z matek porwanych Izraelczyków, zgodziła się za kwadrans udzielić nam wywiadu w studiu, zanim pojedzie na lotnisko oczekiwać na powrót syna.

Dick odkłada słuchawkę i nachyla się do przodu na krześle. — Chcę, żeby opowiedziała, co czuła przez te wszystkie miesiące, od chwili jego porwania do momentu, gdy dowiedziała się o jego uwolnieniu. Chcę, żeby wszyscy ludzie w Ameryce mogli wczuć się w jej ból i radość. Coś czysto ludzkiego, żadnej polityki, kapujecie?

Ringler spogląda na mnie z wyrazem, który pojawia się na jego twarzy, ilekroć rozmowa schodzi na ten temat. Litości.

— Maggie — pyta przyciszonym głosem — poradzisz sobie? Możesz pojechać na ten temat dziś wieczorem?

— Dasz radę? — dorzuca Dick, jakby nagle sobie przypomniał.

Nie mam czasu ich uspokoić, powiedzieć, że gdyby nie praca, już dawno bym zwariowała, ponieważ do studia wchodzi Miriam Rabai.

Ta była więźniarka obozu w Treblince jest atrakcyjną pięćdziesięcioletnią kobietą o mądrych, trochę przygaszonych oczach kogoś, kto zbyt wiele widział, choć nadal wyczuwa się w niej wewnętrzny żar. Powściągliwie siada na sofie z dłońmi złożonymi na kolanach i wyczekującym, lecz spokojnym wyrazem twarzy.

— Dzień dobry — witam ją, sadowiąc się w przeciwległym rogu sofie. - Ogromnie się cieszę, że zgodziła się pani z nami porozmawiać.

Ona z uśmiechem poprawia jasne, przyprószone siwizną włosy, skręcone w węzeł na karku. — Od razu poznałam panią po zębach — mówi, wpatrując się w mój brzuch. — Ma pani wspaniałe zęby. Jest trochę szorstka w obejściu, ale jednocześnie ma w sobie jakąś kruchość.

— Dziękuję — śmieję się. — Możemy zaczynać? Chris już kieruje kamerę prosto na nią; w kadrze widać jedynie tył mojej głowy.

— Jestem gotowa — odpowiada Miriam z błyszczącymi oczami, wyraźnie nie mogąc się doczekać, żeby opowiedzieć swoją historię.

A ja mogę podzielić jedynie jej ból, pierwszą część

jej przeżyć, bo jej syn wraca do domu i dla niej gehenna już się prawie skończyła.

— Jak się pani czuła po otrzymaniu wiadomości, że Dani dostał się do niewoli?

— Jakby ktoś mnie zabił — odpowiada z prostotą. Znam to uczucie, to powolne wykrwawianie się, umieranie bez końca. — Co dawało pani siłę, żeby się nie poddawać, nie tracić nadziei?

Miriam uśmiecha się smutno. — Któregoś ranka podjęłam decyzję: odwróciłam jego fotografię do ściany i przysięgłam sobie, że nie spojrzę na nią więcej, dopóki nie wróci do domu. Mówiłam do mego, tłumaczyłam mu, że od tej pory nie będę już płakać, bo mam zamiar walczyć o jego uwolnienie. Wtedy właśnie zaczęłam kołatać do drzwi różnych dygnitarzy, a nawet zaproponowałam Abu Ibrihimowi, żeby wziął mnie w zamian za Daniego.

Reszta jest mi już z grubsza wiadoma i nie mam odwagi wchodzić w szczegóły, wolę zachować uprzejmy dystans do radosnego finału.

— Jest już prawie po wszystkim — mówię, pochylając się ku niej. — Czy już pani w to wierzy?

— Tak — odpowiada z widocznym wahaniem — prawie wierzę, ale w moim sercu nie ma jeszcze radości. Nie poczuję jej, dopóki go nie dotknę.

Wywiad dobiega końca. Chris jest zadowolony: dobre ujęcia, celne odpowiedzi. Dick pochylony składa papiery i sprzęt, który tego wieczoru musimy zabrać ze sobą- na lotnisko.

Miriam wolnym krokiem kieruje się do wyjścia, lecz odwraca się nagle. — Podziwiam panią.

Wszyscy panią podziwiamy — mówi cicho.

Nie jestem specjalnie zdziwiona. — Dlaczego?

— Bo zdecydowała się pani z nami pozostać mimo tragedii, która panią dotknęła.

Mam uczucie, jakby nóż przeszył mi serce. Moja tragedia. Już same te słowa zabijały mnie tylokrotnie, a teraz znowu. — Skąd pani wie?

— To Izrael — odpowiada ona po prostu. — Tu nie ma sekretów.

Na szczęście w tym momencie Dick dotyka mojego ramienia.

— Maggie, Gidon do ciebie.

Z bijącym sercem rzucam się do telefonu, zapominając nawet pożegnać się z panią Rabai.

— Gidon — rzucam bez tchu do słuchawki. On wzdycha głęboko. - Maggie, nie jestem pewien, czy powinnaś tam jechać dziś wieczorem, obsługiwać tę wymianę. To może ci zaszkodzić.

— Myślałam, że zadzwoniłeś bo... bo... Słyszę kolejne westchnienie. — Maggie, nie ma sensu się łudzić, nie dręcz się tak. Chciałem się tylko upewnić, czy na pewno czujesz się na siłach tam pojechać, i spytać, czy nie mógłbym ci się przydać. Będę tam, ale...

— Alenie — dopowiadam suchym tonem. — Nie' ma żadnych wiadomości, tak?

— Słuchaj, nie chcę, żebyś sobie zaszkodziła. Boję się o dziecko. Jesteś dla nas bardzo ważna.

Dziecko zbiorowości, bliskie każdemu, kto był mu bliski. Tylko on sam nie może uczestniczyć w jego narodzinach, bo chwilowo jest nieobecny.

— Dick uważa, że dasz radę — mówi Gidon

— ale chciałem się sam upewnić.

Mimo wszystkich argumentów przemawiających przeciw temu, to najrozsądniejsza rzecz, jaką mogę zrobić. — -Nie wiem, czy dam radę — odpowiadam

— ale chcę. Może już niedługo będę musiała przerwać pracę, ale jeszcze nie teraz.

Jednak po odłożeniu słuchawki — w sekundę po

stwierdzeniu, że jeszcze nie pora, żebym się załamała

— załamuję się kompletnie. Ukrywam twarz w dłoniach i wybucham rozpaczliwym płaczem. Chris podbiega do mnie.

— Maggie. — Jego głos jest łagodny, uspokajający. — Tak mi przykro.

Przyciskam jego dłoń do mokrego policzka.

— To tylko przez Miriam, przez tę dzisiejszą wymianę. Nic mi nie będzie.

Chris ociera mi oczy czubkami palców. — Może jednak Gidon miał rację.

— Nie! Gdzie mamy jechać? — Znowu zaczynam się trząść, ale w porę się opanowuję.

— Do ministerstwa na jedenastą, a stamtąd przewiozą nas z resztą zagranicznych dziennikarzy na lotnisko Ramat David. Byłoby ci lżej, gdybyś częściej to robiła. Powinnaś się czasem wypłakać.

— Próbuję, ale nigdy nie ma dość czasu. Jesteśmy zawsze tacy zajęci — odpowiadam, uśmiechając się przez łzy.

— Masz rację, to jedyne miejsce, gdzie lokalne wiadomości trafiają na czołówki światowych gazet.

Milczę, podczas gdy Chris próbuje żartować.

— Jesteś cała potargana, więc biorąc pod uwagę, że pokazujemy tylko twoją głowę i ramiona, chyba powinnaś się uczesać.

Nagle mam uczucie, że to najcięższa chwila w całym moim życiu. Jeszcze nigdy nie doświadczyłam tak strasznego uczucia osamotnienia jak teraz, gdy przygotowuję się do relacji z powrotu sześciu izraelskich żołnierzy.

Wszyscy bez wyjątku zagraniczni korespondenci pracujący w Izraelu zebrali się na płycie wojskowego lotniska Ramat David na północy kraju. Gigantyczne

reflektory wydobywają z mroku trzy lśniące białe odrzutowce Air France z wymalowanymi znakami Czerwonego Krzyża, stojące na dalekim krańcu drogi startowej. Wyglądają niesamowicie, niemal surrealistycznie pod rozgwieżdżonym niebem.

Jest północ, wymiana jeńców ma rozpocząć się lada chwila, gdy tylko nadjedzie pierwszy autobus wyładowany Palestyńczykami z obozu Ansar w Libanie. Przywiezienie ich tutaj jest pierwszym etapem skomplikowanego procesu, którego kulminacją będzie zwolnienie sześciu żołnierzy izraelskich.

Wśród przedstawicieli zagranicznej prasy panuje nastrój karnawałowy, dziennikarze żartują, gawędzą i częstują się kawą z termosów. Czuję się kompletnie wyobcowana z ich grona, niezdolna uczestniczyć w tej powszechnej wesołości. Moje spojrzenie co chwila biegnie tam, gdzie za kordonem wojska niecierpliwie czekają rodziny powracających. Chciałabym być teraz z nimi i również odliczać minuty pozostające do zakończenia koszmaru.

Dick stoi obok, z rękami wbitymi w kieszenie spodni khaki, i wyciąga szyję w stronę zasieków z drutu kolczastego, otaczających lądowisko.

— Palestyńczycy mają wsiąść do samolotów zaraz po przyjeździe i szybko odlecieć — wyjaśnia nerwowo. — Będziemy tu w sumie około czterech godzin, bo samolot wiozący Izraelczyków z Genewy wylądowuje dopiero wtedy, gdy tamci odlecą. Mamy więc dwie oddzielne sekwencje do nakręcenia.

— Ilu dokładnie Palestyńczyków ma stąd odlecieć? — pytam, spacerując wraz z nim po płycie lotniska.

— Około trzystu pięćdziesięciu, a reszta okrętem z Libanu. — Chris sady za nami wielkimi susami, ciężko dysząc. — Czekajcie! — woła.

Przystajemy patrząc, jak podbiega do nas zasapany. — Właśnie się dowiedziałem, że Izraelczycy mają przylecieć dwoma oddzielnymi samolotami, trzech jednym i trzech drugim, więc możemy mieć piętnastominutowe opóźnienie między sekwencjami.

Dokoła zapada nagle cisza, bo w oddali pojawiają się już pierwsze autobusy, wjeżdżające przez bramę.

— Nie ruszajcie się stąd — rozkazuje Dick — i włóż to do ucha. Będzie tłumaczenie na żywo, w wypadku gdyby któryś z nich udzielił wypowiedzi. Powtórzysz ją po angielsku dla naszych widzów.

— Co to kogo obchodzi? — mruczę sama do siebie, zakładając przewód na szyję i małą słuchawkę do ucha. Oni zawsze mówią to samo, te same teksty powtarzają się od lat. Ich rewolucyjna retoryka czy błagania o ojczyznę stały się już tylko pustym dźwiękiem, tak samo jak izraelskie obietnice rozstrzygnięcia zajadłych sporów o ten skrawek ziemi stanowiący kość niezgody. Co do mnie, odkąd sama znalazłam się wśród ofiar tego konfliktu, do reszty zobojętniałam na towarzyszący rhu polityczny bełkot.

Ringler łokciami toruje sobie drogę przez tłum, kierując kamerę na autobusy. Bycie dziennikarką w ciąży ma niewątpliwie swoje zalety. Miejsce mam zapewnione, żadnego kopania i przepychania, żeby wywalczyć sobie dojsście.

— Teraz, Sommers!

Patrząc w obiektyw kamery, ukazującej moją twarz i ramiona, zaczynam relacjonować.

— Dobry wieczór państwu, znajdujemy się obecnie na lotnisku Ramat David w Izraelu, gdzie właśnie rozpoczyna się z dawna oczekiwana wymiana jeńców. 1034 Palestyńczyków za sześciu Izraelczyków.

Mam uczucie, jakbym stopniowo wariowała.

— Palestyńczycy wysiadają z autobusów ubrani w nowiuteńkie zielono-białe dresy. W miarę jak jeden po drugim wyskakują na płytę lotniska, przedstawiciele Czerwonego Krzyża rozcinają plastikowe kajdanki, skuwające ich dłonie. Z pięściami uniesionymi w górę, śpiewając hymn OWP, więźniowie formują się w szeregi i równym krokiem kierują się do oczekujących samolotów.

Nagle opada ze mnie reszta złudzeń.

— Wśród uwolnionych znajduje się sześć kobiet, bojowniczek OWP, które również dostały się do niewoli podczas walk w Libanie i teraz wejdą na pokład samolotu wraz z paroma setkami mężczyzn. Pozostali więźniowie będą przetransportowani drogą morską z libańskiego portu Jounie. Z chwilą gdy ten etap dobiegnie końca i samoloty wystartują, pierwsi trzej żołnierze izraelscy przybędą tutaj specjalnym transportowcem Swissairu, a w ślad za nimi pozostała trójka Izraelczyków, drugim transportowcem Swissairu.

Zaciskam zęby z gniewem i rozpaczą, żeby się nie rozplakać, kiedy nagle jakiś głos w słuchawce tkwiącej w moim uchu informuje, że zaraz zacznie się tłumaczenie. Dick najwyraźniej otrzymał tę samą wiadomość, ponieważ daje mi znak, żebym przysunęła się bliżej więźniarki, która właśnie udziela wypowiedzi dla prasy.

— Nazywam się Leila. Dostałam się do niewoli w Bejrucie, gdzie walczyłam przeciw Izraelowi. Obsługiwałam tam wyrzutnie latających min. Mojego męża zabito na moich oczach w dniu, w którym mnie złapano, a moje dziecko urodziło się w niewoli, w izraelskim więzieniu. Skazano mnie na piętnaście



lat, ale pozwolono mi wyjechać do Libii i opuszczam moją ojczyznę.

Kiedy kończę powtarzać jej słowa po angielsku, widzę ją jeszcze przez chwilę, jak biegnie na wolność, do samolotu. Odwraca się z wysoko uniesioną głową i wyzywającym błyskiem w oczach. Jesteśmy tak różne, jeden dzień w Ammanie, drugi w Damaszku, obóz szkoleniowy w dolinie Bekaa, więzienie w Libanie. Jesteśmy takie same, obydwie przełykamy łzy, żeby świat nie widział w nas nic prócz godności i dumy.

— Kamera, stop! - krzyczy Dick. - Spróbujmy przeprowadzić wywiad z szefem sztabu.

Potykać się o długi przewód od mikrofonu, zmierzam do generała Ehuda. Ogłuszający ryk silników uniemożliwia rozmowę. Dick przykłada zwinięte dłonie do ust, próbując przekrzyczeć huk potężnych śmigieł drugiego samolotu, który z wolna zaczyna kołować na pas startowy.

— Teraz! - wrzeszczy. - Zanim inni go dopadną!

Chaim Ehud, znany wśród zachodnich dziennikarzy pod żartobliwym przydomkiem Człowieka z Betonu, z napięciem obserwuje ostatnią grupkę Palestyńczyków wsiadających na pokład samolotu — rezultat żmudnych dwunastomiesięcznych negocjacji. Porywisty wiatr podwiewa mi spódnicę, gdy przysuwam mu mikrofon do ust.

— Miło mi pana widzieć, generale.

— Witaj, Maggie - mówi ciepło. - Jak się masz? — Ale jego spojrzenie nie jest bynajmniej przyjazne.

— Czy zechciałby pan chwilę z nami porozmawiać, podzielić się z nami swoimi odczuciami? Co pan czuje w chwili, gdy tylu Palestyńczyków wy-

chodzi na wolność w zamian za tylko sześciu Izraelczyków? — Wszyscy jesteście winni. On namyśla się chwilę, szukając odpowiednich słów, takich, które usprawiedliwiłyby i tłumaczyły jego stanowisko, a zarazem mnie nie uraziły. Odkasznawszy mówi swoim chropawym głosem: — Mam uczucie satysfakcji. Jestem przekonany, że naszym obowiązkiem jest sprowadzenie z powrotem do kraju każdego żołnierza, którego wysłaliśmy na front, nawet jeśli cena jest wysoka. Ale to nie wystarczy. - A gdyby ktoś kwestionował zasadność pana decyzji — naciskam — co odpowiedziałby pan tym, którzy twierdzą, że nie należało wypuszczać tylu terrorystów i zabójców w zamian za garstkę Izraelczyków? - A gdyby tak wypuścili wszystkich morderców bez wyjątku za jednego *tat alufa*, czy uznałabym to za nieetyczne, czy protestowałabym, czy też rozgięłabym kraty własnymi rękami?

Ehud jest niewzruszony. — Chciałbym zadać ludziom, którzy tak mówią, jedno pytanie. Jak by się czuli, gdyby zajmowali wysokie stanowisko i byli zmuszeni powiedzieć żołnierzom Izraela, ich rodzinom, żonom i dzieciom, że nawet nie kiwniemy palcem, by ich ratować? Broniliśmy ich w przeszłości i będziemy czynić to nadal.

Kurs polityczny jest stały. To jedynie kwestia szczęścia. Ręka, w której trzymam mikrofon, opada bezwładnie. Czekam na Dicka i Chrisa.

— Maggie — mówi Ehud. — Naprawdę ogromnie mi przykro.

Wpatruję się w niego przez mgłę łez, lecz nie uzyskuję niczego, prócz zatroskanego spojrzenia i paru filozoficznych słów pociechy.

— Wiesz, Maggie, modlimy się o powodzenie i zdrowie bliskich, a potem dowiadujemy się, że

zginęli lub dostali się do niewoli, więc modlimy się o niewolę. Życie jest dziwne.

Chwilami to wszystko jest prawie komiczne; inni nawet nie zdają sobie sprawy, jakie to komiczne.

— Byłaś fantastyczna, Maggie — mówi Ringler całując mnie. — Naprawdę dobra.

— Przed nami trzy godziny czekania — stwierdza Dick. — W jednym z hangarów urządzili poczekalnię dla prasy, jest kawa i ciastka.

— Wspaniale — mówię sarkastycznie. — Prawdziwa feta, zabawa na całego.

Dick obejmuje mnie ramieniem. — Chodź, Mags — powtarza. — Nie będziesz przecież sterczeć tu przez trzy godziny.

Więc pozwalam się zaprowadzić do hangaru, gdzie wszyscy jemy, rozmawiamy i komentujemy pierwszą część tego spektaklu, który bez wątpienia stanie się telewizyjnym hitem tygodnia. A potem będę mogła wrócić do swojego pokoju hotelowego i dla urozmaicenia porządnie się wyplakać.

Słońce właśnie wstaje znad Wzgórz Golan, kiedy rozchodzi się szemrana wiadomość, że pierwszy boeing 707 wiozący trzech żołnierzy izraelskich podchodzi do lądowania na Ramat David. Drzemię z głową opartą o ramię Ringlera, gdy Dick podbiega do nas galopem. — Pij, Maggie — nakazuje podnieconym głosem, podając mi papierowy kubek z kawą. — Pośpiesz się, musimy już kręcić.

Krewni żydowskich żołnierzy, rozbici na małe grupki, z napięciem wpatrują się w samolot opuszczający się na izraelską ziemię. Początkowy szmer przechodziw szaleńcze wiwaty i okrzyki radości, kiedy maszyna dotyka ziemi i z piskiem hamulców wytraca prędkość na pasie startowym.

Ludzie przepychając się

biegną w kierunku samolotu, który toczy się coraz wolniej i wolniej, a wreszcie staje. Dick wciska mi do ręki mikrofon, a Chris przymocowuje mi kabel do kostki. Rodziny ogarnięte szalem radości śmieją się, klaszczą i gwizdzą, a wojskowa służba porządkowa próbuje je powstrzymać, by się nie wdarły do samolotu.

— Już nie mogę! Nie idę tam! — wołam, rzucając mikrofon Dickowi.

— Możesz! — krzyczy ile sił w płucach i odrzuca mi sitko.

— Nie mogę! — Łzy płyną mi po policzkach.

— Maggie — odzywa się Ringler nagle — drzwi się otwierają. Rusz się.

Ale ja jestem zbyt zajęta przerzucaniem się mikrofonem ze Swansonem, żeby zwrócić uwagę na jego słowa. Nagle widzę obok siebie Miriam Rabai.

— Mój syn jest w tym samolocie — mówi zarumieniona z podniecenia.

— Maggie — oświadcza Swanson, wsuwając się między nas. — Pierwsi zrobimy rozmowę z Danim Rabai. Chodź, idziemy.

A Miriam ściska mnie za rękę i kiwa głową — ta kobieta, która musiała tyle wycierpieć, lecz teraz ma otrzymać najwspanialszą nagrodę, większą nawet niż własne życie, cudem odzyskane tyle lat temu. Zręcznie prześlizgując się przez tłum, docieram aż do podnóża ruchomych schodów. Pierwszy żołnierz, młody, najwyżej osiemnastoletni chłopak, z płaczem rzuca się w ramiona rodziców. Tuż po nim schodzi drugi, wysoki i chudy, i natychmiast wpada w objęcia żony, która podaje mu maleńką córeczkę, urodzoną podczas jego pobytu w niewoli. Ten widok jest dla mnie nie do zniesienia.

— Trzymasz się świetnie! — woła Chris, wyczuwając moją udrekę. W obiektywie widzi wyraźnie moją twarz, niewątpliwie wykrzywioną grymasem bólu. Czuję się kompletnie otepiała, nic mnie nie obchodzi, co kto widzi i jak wyglądam.

Trzeci żołnierz powoli schodzi po schodach, jakby oszołomiony tym całym zamieszaniem. To syn Miriam, Dani Rabai, bardzo podobny do niej - jasnowłosa, o mocnej szczęce. Miriam rzuca się naprzód, a za nią mąż, który chwyta Daniego w ramiona i przyciska do piersi. Podchodzę do nich, mój mikrofon wyłapuje ostatnie słowa dziękczynnej modlitwy, którą recytuje Dani.

— Przygotuj się, Sommers - rozkazuje Dick dziwnie wzruszonym głosem.

Przysuwając się do Miriam i Daniego czekam, aż krewni przestaną ich ścisnąć i całować. Dick podnosi rękę, a ja, posłuszna wieloletniemu treningowi, automatycznie szczerzę zęby do obiektywu. — Powiedziała pani dzisiaj, że uczuje radość w sercu dopiero wtedy, gdy ujrzy pani syna na własne oczy. Czy może nam pani powiedzieć, jak się pani czuje w tej chwili?

— Cudownie — odpowiada ona z promienną twarzą. — Wiedziałam, że wróci. — Całuje go.

— Dobrze wygląda, prawda?

— Dani — podstawiam mikrofon — jakie to uczucie znowu być w domu, w Izraelu?

— Nie potrafię tego opisać — odpowiada. — Tego trzeba doświadczyć.

— Dani — mówię, postanawiając zaryzykować

— czy mógłbyś nam opowiedzieć o tych miesiącach? Jakaś kobieta rytmicznie uderza w mały bębenek,

a inni klaszczą w dłonie i tańczą wkoło.

— Siedziałem w pojedynczej celi — mówi przekrzy-

kując hałas — i wiedziałem, że moim największym wrogiem jestem ja sam.

— Jak udało ci się pozostać przy zdrowych zmysłach?

— Tylko wspomnienia trzymały mnie przy życiu. Myślałem o mojej matce i o tym, że walczy o moje uwolnienie.

— Skąd wiedziałeś?

— Abu Ibrihim mi powiedział. Stwierdził, że go wyręcza, naciska na Izraelczyków, żeby zgodzili się na wymianę.

— Widziałeś go — Ibrihima?

— Widziałem.

— No i?

— I jest takie książkowe określenie: „błysk szaleństwa w oczach”. On miał właśnie takie oczy.

— Rozmawiał z tobą?

— Tylko raz. Przyszedł mi powiedzieć, że jeden z naszych umarł w więzieniu i powinienem być wdzięczny losowi, że to nie ja.

Miriam błędnie. Mam uczucie, jakby wylano na mnie kubel lodowatej wody. Zęby szczękają mi tak, że trudno mi mówić.

— Który z waszych? — pytam ledwo dosłyszalnym szeptem.

Dani jest wyraźnie spłoszony, niespokojny, czy przypadkiem nie zdradził informacji, która może zagrażać bezpieczeństwu państwa. Czy oni tu nie myślą o niczym innym?

— Który z waszych?! — krzyczę histerycznie. Dick i Chris doskakują, żeby mnie podtrzymać; lecę im przez ręce.

— Przepraszam — jąka się Dani, przyciskając się do Miriam. — Ja nic nie wiem. Nie mówili nam, jak się nazywał.

— Dani — ponagla go Miriam, raptem bardziej zatroskana o mnie niż o niego. — Czy jeden z żołnierzy umarł?

— Nie wiem. Ibrihim powiedział tylko to, nic więcej. Możliwe, że chciał mnie w ten sposób przestraszyć, zmusić do współpracy.

Drugi boeing Swissairu kołuje nad lotniskiem.

— Jestem taka zmęczona — mruczę "do Dicka.

— Już nie mam siły. W sumie może już lepiej wiedzieć. Wtedy przynajmniej wszystko się skończy.

— Spytaj Etiuda — mówi Dick, bliski łez.

— Zmuś go, żeby ci powiedział.

Chaim Ehud stoi na uboczu w otoczeniu najbliższych współpracowników i rozmawia Yarivem, ministrem obrony.

Oślaniam oczy dłonią i spoglądam w górę. W oślepiających promieniach porannego słońca z trudem rozróżniam zarysy samolotu, który dotyka już betonu lotniska.

— Generale Ehud — zwracam się do niego — czy mogłabym prosić pana na minutę?

Chris trzyma mnie pod ramię, a Dick okrąża Yariva. Ehud spogląda na mnie z ukosa, potrząsa przecząco głową i mówi: — Pozwólcie im najpierw wysiąść, dobrze?

— Ale ktoś powiedział, że jeden z Izraelczyków umarł w więzieniu. Czy to prawda?

Po jego twarzy przebiega wyraz irytacji. Ringler napiera na niego niemal groźnie, aż znajduje się z nim oko w oko.

— Musimy wpierw zawiadomić rodzinę — rodzinę, rozumie pani. Nie mogę ujawniać prasie tego rodzaju informacji.

Ryk ogromnych motorów prawie zagłusza jego słowa.

— Ale ja nie jestem tylko przedstawicielką prasy!

— krzyczę. — Jeśli to Avi, powinnam wiedzieć. Mam prawo wiedzieć.

Yariv odwraca się do nas plecami i przygląda się, jak pracownicy lotniska pchają ruchome schody w kierunku maszyny.

— Gdy tylko żołnierze opuszczą samolot, w hangarze odbędzie się konferencja prasowa — informuje Ehud urzędowym tonem.

Przypominają mi się słowa Miriam: „To Izrael. Tu nie ma sekretów”. A jednak są.

— Niech jej pan powie — rozkazuje Ringler.

— Jeśli to prawda, niech jej pan to powie.

Ehud ma już dość. Twarz mu się ściąga tłumioną wściekłością, a głos nagle się zmienia.

— Czy mam uwierzyć na słowo mordercy, który<sup>^</sup>, przesyła mi wiadomość, że jeden z moich ludzi zginął? Czy mogę podać to do prasy, zanim sprawdzimy, czy to prawda?

Tak, życie jest dziwne. Pragniemy, żeby nasi najbliżsi przeżyli, nawet gdyby to miało oznaczać śmierć kogoś innego.

Nie pozostało mi już nic, nawet krzepiące poczucie przynależności do tej wielkiej rodziny, jaką jest Izrael. Odczuwam niewymowny żal, lecz podtrzymuje mnie pamięć o tym, że kiedyś kochałam tu bardziej niż w jakimkolwiek miejscu na ziemi. Tego nikt nie zdoła mi odebrać. Oczy Ringlera iskrzą się wściekłością, jego dłoń nadal spoczywa na moim ramieniu, władczo, lecz pokrzepiająco. Dick jest błądy jak kreda, widać, że z przyjemnością rąbnąłby pięścią - w czyjaś szczękę, żeby rozładować napięcie. A ja nagle czuję przeraźliwy, chłodny spokój, jaki jest udziałem pokrzywdzonych tego świata. Mam wrażenie, jakbym dołączyła do



szeregu tych, których życie schodzi na ciągłym oczekiwaniu. Znowu jest tak jak wtedy, gdy zginął Joe Valeri, ale teraz jestem już starym weteranem.

Drzwi samolotu się otwierają i dwaj żołnierze zstępują po schodach objęci w pół, aż rozdzielają ich radosne uściski rodzin. A potem trzeci żołnierz, ze łzami spływającymi po policzkach, chwytą w objęcia młodą dziewczynę. Tu nie może się zdarzyć nic nieprzewidzianego. Sześciu obiecano, sześciu dostarczono.

Izraelscy dziennikarze nagle zaczynają się przepychać do przodu, a za nimi zdeorientowani zagraniczni korespondenci, niepewni, co jest przyczyną tego nowego zamieszania. Flesze błyskają i wszystkie kamery zwracają się ku ruchomym schodom prowadzącym do drzwi samolotu.

Idzie powoli; wysoki, barczysty, wciąż piękny, choć wymizerowany długotrwałym pobyt w więzieniu. U podnóża schodów zwraca się na prawo i saltuje swojemu szefowi sztabu, który bierze go w ramiona i mocno klepie po plecach. Ściska dłoń Yariva, który śmieje się w głos ze zdumienia i radości. A potem rozgląda się dokoła, jakby nie słysząc gromkich wiwatów i okrzyków tłumu.

Stoję o parę kroków od niego, doświadczając osobliwego uczucia lewitacji, zawstydzona, że śmieję się i płaczę jak szalona. On wyciąga rękę i lekko dotyka mojego policzka, jakby sprawdzając, czy jestem prawdziwa. A potem ze szlochaniem rzucam mu się w ramiona, pochłaniam jego usta pocałunkami, wymazując z pamięci wszystko, co było przedtem, cały ból jego długiej, długiej nieobecności.

Niewyraźnie docierają do mnie wiwaty, strzelanie lamp błyskowych, zewsząd cisną się ku nam ręce

z mikrofonami. Przyciskając mnie do piersi, z szerokim uśmiechem odpiera krzyżowy ogień pytań. Ja nie mogę wydobyć głosu.

— Jakie to uczucie być znowu w Izraelu, generale? — wykrzykuje jakiś reporter.

— Wspaniałe — odpowiada Avi.

— Jak tam było? - woła inny głos.

Avi wzrusza ramionami, po twarzy przelatuje mu drwiący uśmiech. — Interesująco — odpowiada, przyciągając mnie jeszcze mocniej do siebie.

— Kto pana więził? — Jeszcze jedno celne pytanie. Czy ja też takie zadaję?

— Rewolucyjna Rada Abu Ibrihima — odpowiada Avi.

— Dlaczego został pan zwolniony w ramach tej wymiany, skoro była mowa tylko o sześciu Izraelczykach?

— Nie miałem okazji przedyskutować tego z Ib-rihimem.

W tłumie zrywają się śmiechy.

— Czy Syryjczycy wysunęli jakieś dodatkowe żądania w zamian za pana uwolnienie? — naciska inny dziennikarz.

— Nie umiem na to odpowiedzieć. Syryjczycy nie konsultowali ze mną przebiegu negocjacji.

— Jak pana traktowano?

Avi pochyla się nade mną i dotyka ustami moich ust. — Kocham cię — mówi szeptem. Flesze znowu strzelają nam w twarz.

— Jak pana traktowano, generale? — powtarza reporter.

— Lekarze byli bardzo dobrzy, strażnicy trochę mniej sympatyczni, ale jestem w niezłej formie. - A potem znowu mnie całuje. — Jesteś strasznie gruba. Czy to ja ci to zrobiłem?

Nadal nie mogę wydobyć głosu.

— W jaki sposób dostał się pan do niewoli? — Dochodzi do mnie, jakie to wszystko idiotyczne.

— Nie pamiętam zbyt wiele. Wiem tylko, że jechałem samochodem i nagle nastąpił wybuch, a potem ocknąłem się w szpitalu, gdzie niezbyt wiele osób mówiło po hebrajsku.

Śmiech.

— Tak strasznie za tobą tęskniłem. Trzymałaś mnie przy życiu — mówi Avi przyciszonym głosem.

— Czy cena za wojnę w Libanie nie jest za wysoka?

— Nie jestem kompetentny w tej sprawie — odpowiada Avi gładko.

I wtedy jakiś bałwan z tylnych rzędów wrzeszczy na całe gardło: — Czy Maggie będzie mieć wyłączne prawo do tego wywiadu?

Avi spogląda na mnie i uśmiechnięty od ucha do ucha odpowiada:

— Od dawna ma do mnie wyłączne prawo. Twarz mi płonie. Znowu rozlegają się wiwaty, gwizdy i klaskanie.

Dick Swanson stoi teraz tuż przed nami i przysuwa mi mikrofon do ust, a kamera Chrisa filmuje każdy centymetr mojej twarzy i ciała.

— Maggie — mówi Dick z uśmiechem — to dla ciebie bardzo osobista chwila, lecz miliony ludzi, którzy nas oglądają i którzy cię kochają, na pewno chciałyby wiedzieć, co czujesz teraz, gdy Avi wrócił do domu.

Po tych wszystkich latach mam przywilej znalezienia się po drugiej stronie mikrofonu i to akurat w chwili totalnego zaniku władz umysłowych.

— Co czujesz, Maggie? — powtarza Dick, przysuwając się bliżej.

Nagle zapada cisza, wszyscy czekają na moją odpowiedź.  
Spoglądając w górę, na Aviego Herzoga, wiem tylko jedno.  
Bardzo cicho odpowiadam: - Nie czuję już bólu.  
KONIEC